JOLANTA FISZBAK

Mity „ziemi obiecanej” w regionalnej literaturze Łodzi

Między grą wyobraźni fikcją literacką a historią

WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

Mity „ziemi obiecanej”
w regionalnej literaturze Łodzi

WYDAWNICTWA
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

JOLANTA FISZBAK

Mity „ziemi obiecanej”
w regionalnej literaturze Łodzi

Między grą wyobraźni
fikcją literacką a historią

WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

ŁÓDŹ 2013

Jolanta Fiszbak – Zakład Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej
Instytut Filologii Polskiej, Wydział Filologiczny
Uniwersytet Łódzki, 90-514 Łódź, al. Kościuszki 65
jfiszbak@gmail.com

RECENZENT
Władysław Sawrycki

REDAKTORZY
Katarzyna Gorzkowska, *Dorota Stępień*

SKŁAD I ŁAMANIE
Leonora Wojciechowska

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA
Barbara Grzejszczak

Autorem zdjęć jest Radosław Biernat

© Copyright by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2013

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.06205.13.0.H

ISBN (wersja drukowana) 978-83-7525-859-2
ISBN (ebook) 978-83-7969-276-7

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 665 58 63, faks (42) 665 58 62

Spis treści

Wykaz skrótów 7

Przedmowa 9

1. Mit „ziemi zapomnianej” 31
   1.1. Zanim stała się „ziemią obiecaną”. Łódź rolnicza 33

2. Lirnik Łodzi rolniczej w fabrycznym miasteczku 47
   2.1. Początki Łodzi przemysłowej 48
   2.2. Wiktor Dłużniewski – piewca Łodzi rolniczej i krytyk Łodzi fabrycznej 60
   2.3. Apoteoza rolniczego miasteczka w gawędzie *Paweł Łodzia Kubowicz* 64

3. „Byle tylko tkaczem być…” O niezmitologizowanym życiu osadników w fabrycznej Łodzi 79
   3.1. Oskar Flatt, miłośnik Łodzi fabrycznej 80
   3.2. *Opis miasta Łodzi* Oskara Flatta jako źródło wiedzy o początkach Łodzi przemysłowej 82
   3.3. Apoteoza fabrycznego miasteczka w przewodniku *Opis miasta Łodzi* 86
   3.4. Wiktora Dłużniewskiego *Wyprawa do Ameryki* 99
      3.4.1. *Wyprawa do Ameryki* jako oskarżenie stosunków społecznych Łodzi fabrycznej 100
      3.4.2. Wartości poznawcze sztuki Wiktora Dłużniewskiego 107

4. Mit „ziemi obiecanej” 113
   4.1. Zmitologizowane szczęście łódzkich milionerów w prozie przełomu XIX i XX wieku 117
   4.2. O poszukiwaniu pierwowzorów literackich łódzkich dorobkiewiczów 140

5. *Pod wspólnym dachem*. O mitologizowaniu współistnienia różnych narodowości w Łodzi 147
   5.1. Kilka uwag o uwarunkowaniach kształtowania się wyobrażeń koegzystencji Polaków, Niemców i Żydów w Łodzi 150
      5.1.1. Niemiecko-polskie animozje w powieści Alfreda Erwina Rennera *Deutsche Schicksalswege in Lodz* 154
      5.1.2. Relacje polsko-niemieckie i polsko-żydowskie w prozie Walerii Marrené-Morzkowskiej, Wincentego Kosiakiewicza, Władysława Rowińskiego oraz Zygmunta Bartkiewicza 156
      5.1.3. Kreacja współistnienia łódzkiej triady narodowościowej w powieści Władysława S. Reymonta *Ziemia obiecana* 164
      5.1.4. Zdecydowanie osobno. Łódź żydowska w epopei Israela Joshuy Singera *Bracia Aszkenazy* 175

5.2. Wybrane wartości utworu Israela Joshuy Singera ... 192
5.3. O „czterech kulturach" Łodzi ... 205
5.4. Życie różnych nacji na łódzkim bruku w *Podróży po Polsce* Alfreda Döblina ... 211

6. Zapomniane mity „ziemi obiecanej" ... 221
6.1. Mit „złego miasta" ... 221
6.2. „Łódź Czerwona" czy „Łódź robotnicza"? O mitologizowaniu walki robotników o godność i równość społeczną ... 227
6.2.1. Obrazy nędzy życia robotników w literaturze Łodzi przełomu wieków XIX i XX ... 232
6.2.2. Stefana Żeromskiego *Róża. Dramat niesceniczny* – dramat nie o Łodzi ... 243
6.2.3. Obraz walki robotników o własne prawa w polskojęzycznej literaturze Łodzi przełomu XIX i XX wieku ... 250
6.2.4. Bunt łódzki w 1892 roku i rewolucja 1905 roku w literaturze Łodzi przełomu XIX i XX wieku ... 263
6.2.5. Diagnoza przyczyn klęski ideałów walki o wolność i równość społeczną w powieści *Bracia Aszkenazy* Israela Joshuy Singera ... 286
6.3. Mit pozbawionego radości życia robotników ... 296

7. Mit Łodzi jako „pustyni kulturowej" ... 321

Między literaturą – „zwierciadłem życia" a historią – „nauczycielką życia" ... 355

Bibliografia ... 381

Indeks osób ... 393

Zusammenfassung ... 401

Od Redakcji ... 405

Wykaz skrótów

Baran. – B. Baranowski, *O dawnej Łodzi*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1976.

Bartk. – Z. Bartkiewicz, *Złe miasto*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001.

Dłużn. – [W. Dłużniewski], *Wyprawa do Ameryki. Dzieło sceniczne w trzech aktach napisane przez Anastazego Podhalskiego, Quotlibet* [!] *złożony z żywych obrazów miasta Łodzi* (fragmenty), [w:] A. Kowalska, *„Wyprawa do Ameryki. Quodlibet z żywych obrazów miasta Łodzi" Wiktora Dłużniewskiego*, „Prace Polonistyczne" 1969, Seria XXV.

Dłużn. Paw. – W. Dłużniewski, *Paweł Łodzia Kubowicz*, Warszawa 1857, Cyfrowa Biblioteka Narodowa, http://www.polona.pl/dlibra/doccontent2?id=20788&dirids=1.

Döb. – A. Döblin, *Podróż po Polsce*, przeł. A. Wołkowicz, posł. H. Grynberg, seria: „Pisarze Języka Niemieckiego", Wyd. Literackie, Kraków 2000.

Flatt – O. Flatt, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853, przedruk: Wyd. Grako, Łódź 2002.

Gaw. – M. Gawalewicz, *Wir. Powieść z niedawnych czasów*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.

Glisz. – A. Gliszczyński, *Mańka*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.

Humn. – A. Humnicki, *Wspomnienia z lat 1888–1892*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.

Kosiak. – W. Kosiakiewicz, *Bawełna*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.

Lask. – K. Laskowski, *Lokaut, powieść łódzka*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.

Mar.-Morz. – W. Marrené-Morzkowska, *Wśród kąkolu*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.
Muzn. – S. Muznerowski, *Przyczynki do monografii Łodzi*, Łódź 1922.
Reym. – Wł. S. Reymont, *Ziemia obiecana*, Świat Książki, Warszawa 2000.
Row. – Wł. Rowiński, *Julka*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie* (*antologia*), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.
Sing. I – I. J. Singer, *Bracia Aszkenazy*, przeł. S. Pomer, t. 1, Sagitta, Warszawa 1992.
Sing. II – I. J. Singer, *Bracia Aszkenazy*, przeł. S. Pomer, t. 2, Sagitta, Warszawa 1992.
Steb. – A. Stebelski, *Łódź i klucz łódzki u schyłku* [*pierwszej*] *Rzeczypospolitej*, „Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego" 1929–1930, t. 2 (1930).
Strug – A. Strug, *Dzieje jednego pocisku*, „Nasza Księgarnia", Warszawa 1980.
Tim.-Kost. – I. Timkowskij-Kostin, *Miasto proletariuszów* (*Łódź*), przeł. S. Lubicz-Majewski, przedm. K. P. Woźniak, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001.
Vim. – H. Vimard, *Łódź. Polski Manszester*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001.
Wyb. 1989 – *Wybór tekstów języka mówionego mieszkańców Łodzi i regionu łódzkiego. Generacja najstarsza*, red. M. Kamińska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1989.
Wyb. 1992 – *Wybór tekstów języka mówionego mieszkańców Łodzi i regionu łódzkiego. Generacja starsza, średnia i najmłodsza*, red. M. Kamińska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1992.
Żer. – S. Żeromski, *Róża. Dramat niesceniczny*, oprac. S. Pigoń, Czytelnik, Warszawa 1966.

Przedmowa

Łódź kilkakrotnie w ciągu dwóch ostatnich stuleci wydobywała się z zapomnienia za sprawą gwałtownego nią zainteresowania. Najpierw, w połowie XIX w., zwróciła uwagę swoją odmiennością fabrycznego miasteczka, a pod koniec tego stulecia – jego gwałtownym rozwojem o niespotykanej dotąd skali. Karty swojej twórczości poświęcili jej pisarze i publicyści, którzy na krótko związali się z miastem, na przykład Wiktor Dłużniewski, Marian Gawalewicz, Władysław Rowiński, lub nie byli związani z nim wcale, jak Oskar Flatt, Waleria Marrené-Morzkowska, Władysław Stanisław Reymont lub Adolf Starkman. Zmagali się oni, co znamienne, z brakiem informacji nawet na temat nieodległej przeszłości miasta.

Kolejne wzmożone zainteresowanie Łodzią nastąpiło po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. Spowodowały je potrzeby odbudowy państwa polskiego oraz idea regionalizmu. Jej dzieje znalazły się m.in. w powieści Israela Joshui Singera[1]. Tym razem wiedzę o mieście zaczęli zgłębiać jej mieszkańcy, wspomagani także przez ośrodki uniwersyteckie ówczesnej Polski[2]. Tę falę zainteresowania przerwała II wojna światowa i okres powojenny, który nie sprzyjał regionalistom, jakkolwiek warto pamiętać, że za sprawą badań Uniwersytetu Łódzkiego prace zapoczątkowane

[1] We wstępie wymienia się przede wszystkim pisarzy i publicystów, których twórczość będzie przedmiotem rozważań. Przywołanie wszystkich pisarzy i ich utworów jest niemożliwe, a wybór mógłby się okazać stronniczy, dlatego zainteresowanych odsyłam do publikacji T. Błażejewskiego (T. Błażejewski, *Łódzkie środowisko literackie*. [*Informator*], Łódź 1982; tenże, *Współczesna Łódź literacka*. *Słownik autorów*, Łódź 1989) i zapoczątkowanej serii wydawniczej J. Poradeckiego (red.), *Zbiór poetów Łodzi i Ziemi Łódzkiej*.

[2] Por. np. zawartość „Rocznika Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego": „Rocznik Łódzki", Wyd. Archiwum Akt Dawnych m. Łodzi, t. 1 (1928); „Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego" 1929–1930, t. 2 (1930).

w okresie międzywojnia trwały nadal[3]. Nie docierały one wszakże do ogółu łodzian, a i oni nie byli szczególnie zainteresowani swoim miastem, na co wpływ miały wojenne oraz powojenne zmiany demograficzne i ustrojowe. Spośród obfitej twórczości tego okresu najbardziej znane są i wrosły w pejzaż miasta *Kwiaty polskie* Juliana Tuwima. Zapoczątkowane na obczyźnie w roku 1940, pisane do śmierci poety w 1953 r., zrosły się z miastem na trwałe zarówno za sprawą samego autora, związanego z nim miejscem urodzenia, jak i klimatu realiów łódzkich, uchwyconych i utrwalonych w poemacie.

Za każdym razem i na każdym etapie zainteresowania Łodzią miłośnikom miasta towarzyszyło zachłyśnięcie się jej niezwykłym urokiem i odkryciem – po raz kolejny, na nowo – jej historii. Miejsce, które wydawało się tak nijakie lub wręcz bardzo brzydkie, okazywało się w istocie niezwykłe, a nawet piękne. Te doznania towarzyszą łodzianom po raz kolejny również dzisiaj. Od lat kilkunastu obserwujemy kolejną falę wzrostu zainteresowania Łodzią i któryś z kolei powrót do jej przeszłości, a miasto na nowo odkrywa swoją niełatwą historię i niezwykły urok.

Nie zawsze rodzinna miejscowość jest akceptowana bez zastrzeżeń przez wszystkich jej mieszkańców. Wielu twierdzi, że dla nich „miejscem najbliższym" jest tylko rodzinny dom. Takie zapatrywania, jeśli są prawdziwe, to tylko w skrajnych przypadkach; żadna z osób, która deklaruje brak więzi z miejscem zamieszkania, nie zdaje sobie sprawy, jak dużo o nim wie, nie uświadamia sobie również, że wiele jej doświadczeń, wynikających z życia w określonym miejscu, jest wspólnych z doznaniami innych współmieszkańców. Wystarczy wypowiedzieć niepochlebną uwagę o wsi lub miasteczku, by w duszach tych, dla których jest to rodzinna miejscowość, odezwał się lokalny patriotyzm. Tę niezauważalną na co dzień sympatię wydobywa lekkie tylko poruszenie którejś z niewidocznych strun wiążących z miejscem zamieszkania. Wyzwalają się wówczas całe pokłady nieuświadamianych, pozytywnych emocji. Ileż radości sprawia nagłe „odkrycie" czegoś, co oglądało się codziennie, a mijało zupełnie obojętnie? Te doznania są również, co oczywiste, doświadczeniami łodzian.

[3] Por. np. zawartość powojennych „Prac Polonistycznych". Warto zwrócić uwagę na szeroko zakrojone, podjęte na przełomie latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przez polonistykę UŁ, prace nad językiem łodzian, które kontynuowała później M. Kamińska i kierowany przez nią zespół. Zainteresowanie językiem i literaturą Łodzi znalazło odzwierciedlenie na sesji naukowej zorganizowanej w 1978 r. przez Instytut Filologii Polskiej UŁ, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi oraz Muzeum Historii Miasta Łodzi. Jej pokłosie znalazło się w publikacji *Literatura i język Łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978*, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978.

Uwagę na istnienie silnej więzi pomiędzy osobą a jej miejscem życia (na przykładzie miasta właśnie) zwrócił Kevin A. Lynch, podkreślając, że każdy z nas nosi w sobie jego mapę mentalną. Na wyobrażenia obrazu miejsca składają się w pokładach pamięci różne elementy i punkty (*repery*), stanowiące charakterystyczne znaki umożliwiające orientację w przestrzeni. Każdy z nas posiada w umyśle taką własną, niepowtarzalną mapę, po której nieświadomie się porusza, wykonując lub planując różne czynności. Jej istnienie ujawnia się dopiero w momencie zastanowienia, na przykład podczas pytania o jakieś konkretne miejsce na interesującym nas obszarze. Mapa mentalna rodzinnej miejscowości każdego z nas ulega ciągłym zmianom, wzbogaca się o nowe elementy i ulega przeobrażeniom. Po latach obrazy są coraz bardziej złożone i wielowarstwowe. Każdy ich element będzie wywoływał wspomnienia wynikające z wrażeń, przeżyć i doświadczeń życia w tym właśnie miejscu[4].

„Przestrzeń" i „miejsce" są to słowa zwykłe, określające powszechne doświadczenia. [...] Miejsce to bezpieczeństwo, przestrzeń to wolność: przywiązani jesteśmy do pierwszego i tęsknimy za drugą. Nie ma lepszego miejsca niż dom. Co to jest nasz dom? To jest dom rodzinny, stare sąsiedztwo, miasto rodzinne, własny kraj. [...] Przestrzeń i miejsce są zasadniczym składnikiem naszego świata [...][5].

Jest to dla nas – jak zauważa Yi-Fu Tuan – oczywiste, jednak przyjrzawszy się obu słowom, dostrzeżemy ich odmienne znaczenia. I rzeczywiście, co innego znaczy „miejsce najbliższe", a co innego „przestrzeń najbliższa". „Miejscem najbliższym" jest obszar, który dobrze znamy – obłaskawiony i poznany wszystkimi zmysłami. „Przestrzeń najbliższa" natomiast jawi się jako obszar istniejący poza miejscem, którego punktem centralnym jest każdy z nas, zaopatrzony do tego w niemały bagaż doświadczeń z nim związanych.

Wokół wielu miejsc, choć są znane i obłaskawione, narastają też różne wyobrażenia, które nazywamy mitami. Y.-F. Tuan stwierdza, że mit i jego powstawanie nie jest tylko sprawą przeszłości i rezultatem ograniczonej wiedzy ludzkiej. Choć wiemy dziś znacznie więcej niż kilkaset lat temu, to jednak wiedza ludzi należących do różnych społeczeństw jest nadal ograniczona, wybiórcza i „określona ludzką umiejętnością życia"[6].

---

[4] K. Lynch, *The Image of the City*, University of Cambridge, MIT Press, Cambridge 1960, za: A. Majer, *Miasto osobiste*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica" 2011, nr 36, s. 27. W odniesieniu do Łodzi zob. na ten temat: E. Szkurłat, *Więzi terytorialne młodzieży z miastem. Uwarunkowania – przemiany*, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2004.

[5] Y.-F. Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, wstęp K. Wojciechowski, seria: „Biblioteka Myśli Współczesnej", PIW, Warszawa 1977, s. 13.

[6] Tamże, s. 113.

Można wyróżnić dwa rodzaje przestrzeni mitycznej. Pierwszym jest mglisty obszar niedostatecznej wiedzy, otaczający coś znanego empirycznie i stanowiący rozszerzenie bliskiej, codziennej przestrzeni, znanej z bezpośredniego doświadczenia. W drugim przestrzeń mityczna jest istniejącym na określonym obszarze składnikiem światopoglądu, koncepcją lokalizacji wartości, w obrębie której ludzie prowadzą swoje zwykłe działania. Jest składnikiem postawy kosmologicznej, próbą nadania sensu i porządku otoczeniu, by można było w nim żyć[7]. Y.-F. Tuan, jako geograf, odniósł pojęcie przestrzeni mitycznej do przestrzeni geograficznej. Wydaje się, że można jego koncepcję odnieść również do przestrzeni historycznej, tym bardziej że podejmuje on kwestię czasu w przestrzeni doświadczanej. „Przy działaniu celowym" – stwierdza – „przestrzeń i czas zostają zorientowane na myślące i działające «ja»". Powiązania pomiędzy ludźmi, czasem i przestrzenią ujawnia język, operujący zasobem słów – zaimkami i przysłówkami, wydobywającymi te relacje. Każde działanie powoduje strukturę czasoprzestrzenną, ta jednak rzadko bywa uświadamiana. Ludzkie życie nastawione jest ku przyszłości; ludzki czas jest tak samo niesymetryczny jak ludzkie ciało – zwróceni jesteśmy twarzą ku przyszłości, a tyłem do przeszłości. Życie jest więc nieustannym podążaniem naprzód i oddalaniem się od tego, co było, czego nie można widzieć, co jest ciemne i przeszłe[8].

Powstające wyobrażenia o miejscu zamieszkania i jego historii mogą więc być wynikiem potrzeby obłaskawienia i uporządkowania jego przestrzeni. Najlepiej znamy to, z czym się bezpośrednio stykamy i co nas otacza. Przestrzeń dalsza, a więc i przeszłość, jest mniej rozpoznana, docierają też do nas strzępy różnego rodzaju informacji, które nie zawsze łączą się w logiczną całość, poza tym przynależą do różnych dziedzin. Człowiekowi – jak stwierdził Y.-F. Tuan, prezentując swoją koncepcję miejsca i przestrzeni – potrzebny jest do egzystencji ład i porządek, staramy się więc uporządkować docierające do nas wiadomości, łącząc je z własnym doświadczeniem. Czy nasze wyobrażenia są zgodne z wiedzą obiektywną (o czym niżej), to już zupełnie inny problem. Nam pozwalają swobodnie poruszać się wśród tego, co znane i dopowiedziane, a ponadto stanowią podstawę wartościowania i oceniania. Podobnie jest z segregowaniem informacji o przeszłości miejsca. Tu jednak sytuacja się komplikuje, gdyż teraźniejszość miejsca przenika się na co dzień z jego przeszłością, choćby za sprawą układu przestrzennego lub architektury. Wiadomości są fragmentaryczne, często ich brakuje i nie wiadomo, jak do nich dotrzeć. Uporządkowanie chaosu wydaje się tym ważniejsze, że zwróceni

[7] Tamże, s. 114–117.
[8] Tamże, s. 163–170.

i zainteresowani tym, co przed nami, lubimy mieć zamknięte to, co „zostawiamy za sobą". Wykorzystujemy więc nawet strzępki zasłyszanych informacji, scalając je z posiadaną wiedzą i doświadczeniami. I tak powstają wyobrażenia o przeszłości, będące w istocie własnością zbiorową, jako że samo miejsce wpływa w ten sam sposób na wszystkich w nim żyjących. Różnice wynikać mogą jedynie z odmienności w patrzeniu na rzeczywistość, różnej wrażliwości lub z samej potrzeby głębszego poznania u poszczególnych osób.

Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na to, co George Lakoff i Mark Johnson, pierwszy językoznawca, a drugi filozof, piszą o prawdzie:

> Nie wierzymy, że istnieje coś takiego jak o b i e k t y w n a (absolutna i bezwarunkowa) p r a w d a [podkr. autorów], jakkolwiek przeświadczenie to ma wieloletnią tradycję w kulturze Zachodu. Wierzymy, że istnieją p r a w d y, lecz sądzimy, że pojęcie prawdy nie musi być wcale powiązane z poglądami obiektywistycznymi. Uważamy, że pogląd, iż istnieje absolutna, obiektywna prawda, jest nie tylko błędny, ale także niebezpieczny w wymiarze społecznym i politycznym. [...] prawda jest zawsze względna do systemu pojęć, który w dużej mierze określony jest za pośrednictwem metafor. Większość naszych metafor rozwinęła się w ciągu długiego trwania naszej kultury, ale wiele zostało też narzuconych przez ludzi posiadających władzę – przywódców politycznych, religijnych, urzędowych – oraz przez reklamę, środki masowego przekazu itd. W kulturze, w której mit obiektywizmu jest tak żywy, a prawda jest zawsze prawdą absolutną, ludzie, którzy narzucają swoje metafory, definiują też to, co uważamy za prawdę – absolutną i obiektywną[9].

Dalej autorzy stwierdzają, że nie należy deprecjonować mitu obiektywizmu, ponieważ jest on częścią życia każdego uczestnika kultury Zachodu, ani też, negując głoszone przez niego prawdy, zastępować go mitem subiektywizmu, który w poznaniu odwołuje się do zmysłów, wrażliwości estetycznej i intuicji. Proponują oba pozostające we wzajemnej relacji podejścia do poznania rzeczywistości zastąpić syntezą doświadczeniową. Ujęcie doświadczeniowe pozwala posłużyć się godzącą rozum i wyobraźnię metaforą (racjonalnością imaginatywną) jako podstawowym narzędziem do częściowego rozumienia tego, co nie może być rozumiane całkowicie. Tym samym pozwala przerzucić pomost pomiędzy mitami obiektywizmu i subiektywizmu w stronę bezstronności, obiektywności i rzetelności. Prawda jest względna wobec naszego systemu pojęciowego, a ten opiera się na doświadczeniu i podlega stałej weryfikacji przez nasze własne doświadczenie, a także doświadczenie innych uczestników naszej kultury podczas interakcji z ludźmi oraz z otoczeniem fizycznym i kulturowym[10].

---

[9] G. Lakoff, M. Johnson, *Metafory w naszym życiu*, przekł. i wstęp T. P. Krzeszowski, PIW, Warszawa 1988, s. 187–188.

[10] Tamże, s. 213–222.

Nasze wyobrażenia lub wizje przeszłości są w istocie mitami, pozwalającymi ogarnąć doświadczenie i wprowadzić porządek w nasze życie[11]. Tak jak mity tworzone przez różne kultury „są kluczami do duchowych możliwości" ludzi w nich żyjących[12], tak nasze mity-wyobrażenia są kluczem do obłaskawienia i (pozornego, tylko na pewnym etapie) poznania przeszłości „miejsca najbliższego". Werbalizacje naszych wyobrażeń stanowią natomiast ich metafory (do tego problemu powrócimy w końcowej fazie rozważań).

Wyobraźmy sobie, że mając znikome wiadomości na temat historii miasta, docieramy do fragmentu utworu Wł. Rowińskiego z końca XIX w., w którym czytamy:

Łódź zaczęła zatracać charakter osady fabrycznej coraz bardziej, a przybierać szaty miejskie przynajmniej na zewnątrz. Na rogu Zawadzkiej [Próchnika][13] i Piotrkowskiej stanął gmach wielki, który pałacem od razu nazwano. Wznieśli go Scheiblerowie, dając przykład innym współmieszkańcom do zdobienia miasta, w którym niejeden zdecydował się ostatecznie dokonać żywota. Geyerowie postawili piękny pałacyk na Piotrkowskiej, a fabrykant Meyer urządził pomiędzy Piotrkowską a Dziką [Sienkiewicza] nową ulicę, którą zabudował kilku ładnymi domami. Na miejscu, gdzie był „Ślachcic" – Kamiński postawił trzypiętrową kamienicę Pod Lwem[14].

Do Łodzi napływało coraz więcej ludzi z patentami na inteligentów; życie towarzyskie nabierało kształtów wyraźniejszych.

Na krańcach miasta zapuściły swe korzenie fabryczne zakłady Scheiblerów, Geyerów i Poznańskiego, w środek wśrubował się Heinzel. Były to strażnice dumnego przemysłu, a jednocześnie filary, na których opierał się świat perkalików i bojek. Nie brakowało i filarków. Wszelako ani pośród wielkich przemysłowców, ani wśród fabrykantów średnich, nawet między drobnymi – nie było Polaków z pochodzenia[15]. Większą część przemysłu dzierżyli w swych rękach Niemcy, mniejszą Żydzi, a wówczas jeszcze nie można było powiedzieć o Łodzi: miasto żydowskie, czy polskie, lecz – niemieckie.

Język niemiecki panował od krańca do krańca, wszerz i wzdłuż. Wszyscy Polacy, zgromadzeni w dzielnicy ratuszowej, jedynej, którą wówczas zamieszkiwali[16], umieli po

[11] Por. G. Lakoff, M. Johnson, *Metafory*..., s. 213.

[12] J. Campbell, *Potęga mitu. Rozmowy Billa Moyersa z Josephem Campbellem*, oprac. B. S. Flowers, przeł. I. Kania, Znak, Kraków 2007, s. 23.

[13] Wszelkie zmiany, dopiski i wyjaśnienia w nawiasie kwadratowym pochodzą od autorki. Podobnie postępować się będzie w następnych rozdziałach.

[14] Narożna, trzykondygnacyjna kamienica w stylu eklektycznym przy pl. Wolności 9, wybudowana w latach osiemdziesiątych XIX w. Na jej szczycie znajduje się postać leżącego lwa, stąd jej nazwa „Pod Lwem". W tym miejscu stał wcześniej pierwszy w Łodzi zajazd, którego właścicielem był J. Adamowski.

[15] Polacy istotnie nie zapisali się znacząco w dziejach przemysłu łódzkiego jako fabrykanci, nieliczni posiadali jednak swoje przedsiębiorstwa w Łodzi. L. Skrzydło wymienia Arkuszewskich, Urbanowskiego i Skrudzińskich (L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, cz. II, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000, s. 40).

[16] Wł. Rowiński ma zapewne na myśli tylko polską inteligencję. Polacy mieszkali i w innych częściach Łodzi, na przykład na Starym Mieście i na Bałutach (wówczas nie leżały one jednak w granicach administracyjnych miasta) lub w Nowej Dzielnicy.

niemiecku i zarówno lekarz, jak adwokat, kupiec, jak urzędnik uważali za rzecz naturalną porozumiewać się z klientelą w ojczystej ich gwarze. Dla mowy swojskiej, krajowej, żądano tolerancji tylko. A niemczyli się na gruncie przemysłowym Łodzi nie tylko krajowcy, lecz Czesi, Morawianie, Ślązacy[17], którzy tu kupą przed wielu laty przybyli. Rzadko gdzie widzieć było można na znaku sklepowym napis po polsku, stąd utwierdzano się w przekonaniu, że Łódź to prawy zakątek Germanii, że tak być powinno... [...] Setki ludzi, nawet urodzonych w Łodzi, nie umiało po polsku zupełnie; były Polki, które po wyjściu za mąż za Niemców, przez całe lata nie używały ojczystej mowy; byli Polacy, którzy ożeniwszy się z Niemkami, zrywali z tradycjami rodzinnymi. Źle się działo (Row., s. 123–124)[18].

Nie będziemy tu tworzyć doraźnych wyobrażeń potencjalnego odbiorcy utworu Wł. Rowińskiego. Możemy natomiast zwrócić uwagę, że nieobznajomiony z historią miasta czytelnik nie będzie potrafił określić czasu, do którego odnosi się cytowany fragment, prawdopodobnie też nie zlokalizuje wielu wymienionych miejsc. Z pewnością zna Scheiblerów, Geyerów, Poznańskich, Heinzlów – te nazwiska długo jeszcze nie będą w Łodzi prywatnymi, trudno jednak będzie mu wyobrazić sobie owe „krańce miasta", na których zostały usytuowane ich fabryki, jak również „środek", który zajęła fabryka Heinzlów. Informacja, że życie towarzyskie zaczęło nabierać wyraźniejszych kształtów, zrodzi pytanie, co w ogóle robili w mieście jego mieszkańcy w czasie wolnym od zajęć. Wiele nieporozumień spowoduje z pewnością ukazana ekspansywność języka niemieckiego i zakończenie: „Źle się działo". Zarysowaliśmy więc drogę, która prowadziła wprost do tworzenia wyobrażeń na temat przeszłości miasta.

Łódź jako gwałtownie rozwijająca się metropolia była swoistym fenomenem, zjawiskiem na tyle intrygującym, że warto było poświęcić jej kilka stron własnej twórczości. Był to jednak fenomen trudny do uchwycenia i wymykający się poznaniu. Nie stworzył całościowego obrazu miasta Wł. Rowiński, związany z nim w latach 1888–1906 jako redaktor działu kulturalnego „Dziennika Łódzkiego" i właściciel „Gońca Łódzkiego"[19]. Nie udało się to warszawskiej pozytywistce, autorce pierwszej

[17] Należy zwrócić uwagę, że wszystkie wymienione przez Wł. Rowińskiego narodowości przyniosły z sobą poza językiem ojczystym również język niemiecki, ponieważ przybyły ze stron znajdujących się pod niemieckim panowaniem.

[18] W rozważaniach przyjęto zasadę lokalizowania odwołania do utworu będącego podstawą rozważań w tekście głównym – w nawiasie okrągłym podaje się skrót nazwiska autora i numer strony. Wykaz skrótów znajduje się na początku książki (s. 7–8). W przypadku gdy utwory zapisane są w innej normie językowej niż współczesna, cytuje się je, stosując współczesne zasady pisowni i gramatyki.

[19] A. Kempa, *Sylwetki łódzkich dziennikarzy i publicystów*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1991.

powieści o Łodzi, W. Marrené-Morzkowskiej[20] ani jej następcy Wincentemu Kosiakiewiczowi. Wiarygodnego w całości obrazu miasta nie stworzył nawet Wł. S. Reymont. Zbyt dużo się tu działo, zbyt gwałtownie następowały zmiany i zbyt wiele zjawisk społecznych, występujących równocześnie, im towarzyszyło. Wielokulturowość, powstanie proletariatu lub rozwój socjalizmu same w sobie mogły stanowić osobny temat. Dla wszystkich pisarzy z końca XIX w., którzy zainteresowali się Łodzią, ważne było jej „tu i teraz". Żaden nie sięgnął do historii miasta, jakby trudno było dotrzeć do tego, co się w niej działo nie tylko w ciągu ostatniego stulecia, ale i w minionym ćwierćwieczu.

Podobną sytuację możemy zaobserwować w połowie wieku XIX. W *Opisie miasta Łodzi* O. Flatt daje szczegółowy obraz fabrycznej osady lat czterdziestych, zamieszcza również dokumenty, regulujące jej życie. Siedlisku „łyków łódzkich", czyli Staremu Miastu, poświęca jednak niewiele uwagi, jakkolwiek cytuje dokumenty, które starą Łódź powołały do życia. Popełnia przy tym błędy, które mogą dziwić tym bardziej, że dotyczyły czasów niedawnych. Pisze na przykład o Łodzi rolniczej jako o żydowskim miasteczku, sugerując tym samym, że Żydzi od zawsze w niej mieszkali i ją współtworzyli. Tymczasem pierwsi mieszkańcy wyznania mojżeszowego pojawili się w niej dopiero w końcu wieku XVIII, a ich osadnictwo przyjęło szerszy charakter dopiero w następnym stuleciu. Wiedzy o historii miasta nie posiadał również W. Dłużniewski, pierwszy i ostatni znany nam piewca Łodzi rolniczej, jakkolwiek odwołał się do jej legendy i faktów historycznych. Łódź z początków XIX w. odnajdziemy dopiero w powieści *Bracia Aszkenazy* I. J. Singera, wydanej w latach trzydziestych XX w. Jej dzieje w tym ujęciu są jednak tak specyficzne, że mogą zadziwić czytelnika znającego historię miasta.

Ostatnie wzmożone zainteresowanie Łodzią jest efektem renesansu idei regionalizmu w Europie, który miał miejsce w latach osiemdziesiątych XX w. W Polsce, jak pamiętamy, powrót do niej nastąpił dziesięć lat później[21]. Jeśli zwrócimy uwagę na promujące miasto organizacje,

[20] H. Karwacka, *Łódź w oczach pozytywistki. „Wśród kąkolu" Walerii Marrené-Morzkowskiej – pierwsza powieść o fabrycznym mieście*, „Prace Polonistyczne" 1975, seria XXXI, s. 146–174.

[21] Wtedy nastąpił również powrót idei edukacji regionalnej, por. np. A. J. Omelaniuk, *Przez kreowanie „małej ojczyzny" budujemy polską przyszłość*, [w:] S. Bednarek, *W kręgu małych ojczyzn. Szkice regionalistyczne*, Wrocław–Ciechanów 1996; K. Kossak-Główczewski, *W poszukiwaniu źródeł realizacji poprzez edukację regionalna pedagogia Freineta*, [w:] *Pedagogia Celestyna Freineta a edukacja regionalna*, red. W. Frankiewicz, K. Kossak-Główczewski, Gdańsk 1997. Zwrócono również uwagę na problem wykorzenienia mieszkańców osiedli wielkich miast, np.: M. S. Szczepański, T. Nawrocki, *„Ludzie bez ojczyzny prywatnej" i edukacja regionalna*, „Polonistyka" 1998, nr 5, s. 260–264; A. Łopata, *Dlaczego milczą?*, „Polonistyka" 1997, nr 9, s. 529–533.

stowarzyszenia i czasopisma, to okaże się, że niemal wszystkie, które dotarły do świadomości szerszego ogółu, zostały powołane do życia w latach dziewięćdziesiątych lub niedługo później. „Kronika Miasta Łodzi" – czasopismo historyczno-kulturalne wydawane przez Urząd Miasta Łodzi, ukazuje się od roku 1991. „Tygiel Kultury" – ogólnopolskie czasopismo społeczno-kulturalne, wydawane w Łodzi, również promujące Łódź, zaczęło wychodzić w 1996 r. Nieco później powstała Biblioteka „Tygla Kultury", seria wydawnicza Fundacji ANIMA, poświęcona szeroko rozumianej tematyce łódzkiej. Pierwsza edycja Festiwalu Dialogu Czterech Kultur miała miejsce w 2002 r. W tym też roku powstało Stowarzyszenie Przyjaciół Starego Miasta w Łodzi, którego celem jest ochrona zabytków najstarszej części Łodzi oraz upowszechnianie wiedzy o niej. To tylko kilka przykładów.

Nie znaczy to oczywiście, że Łódź nie miała wcześniej swoich miłośników, którzy zainteresowani byli jej przeszłością i popularyzowaniem wiedzy z tego zakresu. W 1936 r. powstało Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Jego działalność przerwała II wojna światowa; wznowiono ją dopiero w 1959 r. Warto wspomnieć również o powstałym w księgarni Charlotty Seipelt w 1934 r. dziale wydawniczym, który zaczął publikować tzw. biblioteczkę wiedzy o Łodzi. Do życia powołał ją Włodzimierz Pfeiffer, zaufany pracownik właścicielki. Dzięki jego działalności łodzianie otrzymali do 1939 r. siedem wartościowych pozycji autorstwa Eugeniusza Ajnenkiela, Mieczysława Hertza, Stanisława Rachalewskiego, Aleksego Rżewskiego, Adama Stebelskiego i Ludwika Stolarzewicza[22]. Dzisiaj najbardziej znana lub raczej najczęściej wymieniana jest publikacja tego ostatniego – *Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia. Szkic literacki i antologia* (Łódź 1935).

Zainteresowanie regionalizmami przyczyniło się także do wprowadzenia w roku 1999 edukacji regionalnej do programów szkolnych, na co wpływ miał również raport Jacquesa Delorsa[23]. Znawcy rozwoju idei regionalizmu na gruncie polskim z pewnością bez trudu zauważyli

[22] Zob. J. Krakowiak, *Od Fiszera do „Pegaza". 123 lata łódzkiej księgarni. Księgarnie łódzkie okresu międzywojennego*, Łódź 2005, s. 43.

[23] J. Delors (red.), *Edukacja – jest w niej ukryty skarb*, Wyd. UNESCO, Warszawa 1998. Twórcy raportu, zwracając uwagę na wielorakie zagrożenia dla współczesnego świata powodowane odradzającymi się napięciami między narodami, grupami etnicznymi i wspólnotami religijnymi, widzieli potrzebę uświadomienia jednostce jej korzeni w celu jak najlepszego usytuowania siebie (czy też postrzegania siebie) w świecie, ale również wyrobienia postawy szacunku wobec innych i ich kultury. Edukacja regionalna miała przyczynić się więc do powstania nowego humanizmu, nacechowanego silnym komponentem etnicznym i rozwiniętą współpracą między narodami oraz skrystalizowania się nowych wartości wspólnotowych, wykraczających poza grupy, jakie tworzą rodzina, społeczność lokalna, a nawet wspólnota narodowa.

istnienie zasadniczej sprzeczności pomiędzy jej rozumieniem, wypracowanym w okresie międzywojennym[24], a będącym także podstawą dla programów szkolnych ostatnich lat, i proponowanym przez wspomniany dokument[25]. Ostatnia, kolejna reforma szkoły, przywiązuje mniejszą wagę do treści regionalnych. Występują one w podstawach programowych, jednak w ograniczonym zakresie, a możliwość ich szerszej realizacji pozostawia się do uznania nauczycieli. Nastąpiło to akurat w chwili, gdy edukacja regionalna zaczęła przynosić długo oczekiwane efekty. Wyrażały się one zmianą stosunku do własnego miejsca zamieszkania, wzmożoną potrzebą poszukiwania wiedzy o małej ojczyźnie, chęcią odnalezienia własnych korzeni i odkrywania przeszłości. Ten wzrost zainteresowania miejscem najbliższym nie ominął również Łodzi. Wystarczy zajrzeć na strony internetowe łódzkich towarzystw krzewiących wiedzę o mieście, blogów lub portali internetowych[26], by zauważyć coraz większe zacieka-

[24] Por. np. Z. Łempicki, *Polska i polskość w nauczaniu polskiego*, [w:] L. Jazownik, *Teoria kształcenia literackiego w latach 1918–1939. Antologia*, cz. 1, Wyd. Humanistyczno-Społeczne Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2001, s. 214; S. Drzewiecki, *Wychowanie obywatelsko-państwowe a nauka języka polskiego*, [w:] L. Jazownik, *Teoria kształcenia…*, s. 254; J. Kleiner, *Godziny języka polskiego a budowanie kultury*, [w:] L. Jazownik, *Teoria kształcenia…*, s. 248 i in. Na wypracowanych w dwudziestoleciu międzywojennym założeniach oparte zostały programy edukacji regionalnej przełomu wieków XX i XXI, por. np. *Dziedzictwo kulturowe w regionie. Założenia programowe*, „Geografia w Szkole" 1995, nr 2 i 4; *Studium wiedzy o regionie. Informator programowy kształcenia regionalnego w zakresie dziedzictwa kulturowego Łodzi i Polski Środkowej dla nauczycieli przedszkoli, szkół podstawowych i średnich*, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1997.

[25] W raporcie J. Delorsa napotykamy zasadniczą sprzeczność: hołubienie wartości wyniesionych z domu, małej ojczyzny i narodu raczej nie będzie sprzyjać powstawaniu równocześnie wartości wykraczających poza te grupy, których potrzebę twórcy raportu podkreślają. Rozchwianie istoty regionalizmu prowadzić może do sytuacji, które niewiele mają z nią wspólnego i rodzą nawet formy wypaczone. Przykładem pierwszego może być usilne poszukiwaniu regionalizmów, których nie ma, jak w przypadku języka łodzian, a drugiego – powstanie tak dziwnego tworu, jak „narodowość śląska", o której mogliśmy niedawno usłyszeć.

[26] Zob. strony internetowe (dostęp: 10.09.2012): Towarzystwa Przyjaciół Łodzi: www.tplodzi.eu; Stowarzyszenia Przyjaciół Starego Miasta: www.staremiasto.lodz.pl; poświęcone zabytkom miasta: http://zabytki-lodzi.vex.pl, jego historii: www.historia-lodzi.obraz.com.pl, http://historycznie.uni.lodz.pl (strony te podejmują również inne zagadnienia, podobnie jak www.astral.lodz.pl/bimar); Centrum Informacji Turystycznej: www.cit.lodz.pl; poświęcone m.in. łódzkiej sztuce: www.lodz-art.eu/historia.php oraz architekturze: www.lodz-art.eu/architektura/plac/plac.php; prezentujące twórców kultury i sztuki: www.art.intv.pl; propagujące wiedzę o ul. Piotrkowskiej: www.ulicapiotrkowska.pl, www.ulicapiotrkowska.pl/data/other/szlak_ulicy_piotrkowskiej.pdf. Zainteresowanie mieszkańców Łodzi miastem zdradzają również blogi, np. *Obiektywnie widziane*: http://boguslav.blog.onet.pl i fora internetowe, np. http://forum.gazeta.pl/forum/w,443,55213833,55232602,Re_Osiedle_Stoki.html?wv.x=1.

wienie i zachwyt przeszłością miasta, a nawet silną potrzebę jej poznania[27]. Interesującą charakterystykę miłośników Łodzi znajdziemy na stronie Stowarzyszenia Topografie:

> Stowarzyszenie Topografie to przede wszystkim ludzie – to indywidualiści patrzący na Łódź w unikalny, charakterystyczny dla każdego z osobna sposób. To łodzianie, którzy dostrzegli w swoim mieście coś, czego na pierwszy rzut oka nie widać, a co zdecydowanie warto zobaczyć. Co zatem stanowi naszą misję? Chcemy pokazać naszą Łódź innym![28]

Nietrudno zauważyć, że w tych sformułowaniach kryje się świadomość unikalnego i niepowtarzalnego charakteru miasta, stanowiąca niewątpliwie efekt renesansu idei regionalizmu.

Zwiększone zapotrzebowanie mieszkańców Łodzi na wiedzę o ich *miejscu najbliższym* zaowocowało również interesującymi publikacjami. Na stronach jednej z nich, z której będziemy dalej korzystać, czytamy:

> W odpowiedzi na postulat odszukania zapomnianych lub mało znanych czy wręcz zaginionych łódzkich lektur, wyrażony przez Arkadiusza Grzegorczyka w artykule *Na tropie łódzkich książek*, opublikowanym w 2007 roku w czerwcowym numerze „Piotrkowskiej 104", ukazuje się niniejsza antologia. Przybliża ona szereg mało znanych w powszechnym odbiorze tekstów literackich i publicystycznych, których bohaterką jest Łódź i jej mieszkańcy w okresie niepohamowanego rozwoju miasta – czasu nędzy i świetności zarazem[29].

Warto również zwrócić uwagę na akcje łódzkich czasopism w propagowaniu wiedzy o mieście, na przykład na organizowane spacery po Łodzi, które zaowocowały interesującymi publikacjami[30]. Zdradzają one

---

[27] Na jednej ze stron możemy przeczytać: „Oto mój prywatny przewodnik po ulicy Piotrkowskiej w Łodzi. [...] Założyłam tę stronę, bo takiej strony na razie nie ma, a uważam, że jest potrzebna. Znane swego czasu strony o ulicy Piotrkowskiej umarły śmiercią mniej lub bardziej naturalną. Naprawdę jest wiele adresów, które sprawiają wrażenie, że są o ulicy Piotrkowskiej, a faktycznie albo nie istnieją, albo nic sensownego nie wnoszą. [...] traktują ulicę Piotrkowską ZAWSZE w sposób wybiórczy. [...] Mówią albo tylko o architekturze, albo tylko o historii, albo tylko o lokalach, albo tylko o aktualnych remontach, albo tylko o witrażach, albo tylko... I tak można w nieskończoność". Za: *Ulica Piotrkowska w Łodzi*, http://ulicapiotrkowska.blogspot.com (dostęp: 12.04.2012; wpis z 27.09.2011).

[28] Stowarzyszenie Topografie, http://topografie.pl (dostęp: 10.09.2012).

[29] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.

[30] Dzięki J. Podolskiej, współpracującej m.in. z R. Bonisławskim, dysponujemy kilkoma *Spacerownikami*, wydanymi w serii Biblioteki „Gazety Wyborczej": R. Bonisławski, J. Podolska, *Spacerownik łódzki*, Agora, Łódź 2008; R. Bonisławski, J. Podolska, M. Bomanowska, *Spacerownik łódzki*, cz. 2, Agora, Łódź 2010; J. Podolska, *Spacerownik. Łódź żydowska*, Agora, Łódź 2009; taż, *Spacerownik. Cmentarz żydowski w Łodzi*, Agora, Łódź 2010.

coraz większe zainteresowanie miastem, zarówno publicystów, jak i jej mieszkańców. W odpowiedzi na apel dziennikarzy „Gazety Wyborczej" o wskazanie łódzkich regionalizmów łodzianie przysłali kilkaset propozycji, z których zaledwie kilka językoznawcy uznali za typowe dla łódzkiego języka miejskiego. Mimo to powstały wówczas anegdotyczne zestawienia wyrazów i związków wyrazowych, które miały być charakterystyczne dla języka Łodzi, a były niezrozumiałe nawet dla samych łodzian, typu *Menu łódzkie*:

śniadanie: angielka z czarnym lub cwaniakiem, kawa z kropką i faryną
drugie śniadanie: melzupa, bober, bałabuchy
obiad: żelazne kluski, rzadzioba, dziad lub cztujda z farfoclami,
lebera z prużonymi pecłonkami, duszone betki
podwieczorek: leniwce, prażoki albo plince, jagodzianki, kawa z kropką, winogron
kolacja: plujka z werclami, drygle[31]

lub *Rozmówki łódzko-polskie* (obyczaje): „Ten obuz uflagał mi auto i jeszcze klapruje!" (Ten łobuz ubłocił mi samochód i jeszcze się awanturuje!); „Ten towar jest siajowy" (Ta tkanina wydaje mi się kiepskiej jakości); „Ta jupka będzie posiana" (Ta kurtka będzie w sam raz); „Wycwancygowali mnie, jak kupowałem laczki" (Oszukali mnie przy zakupie pantofli domowych); „Co ta Łódź taka uśmodruchana?" (Czemu ta Łódź jest taka brudna?)[32].

Na przełomie wieków XX i XXI, a więc jeszcze nie tak dawno, osobom niewtajemniczonym, a takimi była zdecydowana większość jej mieszkańców, Łódź jawiła się jako pustynia kulturowa, miejsce bez przeszłości, w którym niczego ciekawego być nie może. Czasem tylko kąt padania promieni słonecznych rozświetlał niezwykłe detale architektoniczne fasad

[31] *Słownik łódzko-polski*, http://sepitaxy.w.interia.pl/sepia/slownik.doc, s. 22 (dostęp: 10.09.2012).

[32] Tamże, s. 10. Duże zainteresowanie łodzian akcją „Gazety Wyborczej" J. Miodek objaśnił poruszeniem najczulszej strony ludzkiej pamięci: „[...] dotknęliście języka serca. To język najpierwotniejszy, ten, który człowiek usłyszał od mamy, taty, babci, dziadka. Język jedyny na świecie, osobny dla każdego. [...] Wyzwoliliście pokłady uczuć. Te słowa należą do sfery emocjonalnej, są przekazywane przez starsze pokolenia z całym bagażem wspomnień, tradycji, rodzinnej przeszłości. Są jak pamiątki przechowywane do końca życia" (tamże, s. 24). S. Gogolewski w swojej ocenie gwałtownego zapotrzebowania na łódzkie regionalizmy był bardziej sceptyczny: „Chylę głowę przed wielbicielami naszego miasta, jego odrębnego miejsca na mapie kraju, jego wyjątkowości i swojskiej urody, nawet innych niż gdzie indziej sposobów mówienia, oryginalnych słówek czy powiedzonek. Miłość to piękne uczucie, ale nie wszyscy i nie zawsze chcemy pamiętać, że nawet w najgorętszych porywach namiętności nie wypada tracić do cna zdrowego rozsądku. [...] Gorąco polecam ideę zawartą w wierszyku: «Nie dla psa kiełbasa, nie dla kota spyrka. Nie wszystko, co polskie – z łódzkiego podwyrka!»" (tamże, s. 20).

brudnych kamienic lub strugi deszczu, oczyszczając ulice, ukazywały ich urokliwe piękno. Budziło to krótkotrwałe chwile zdumienia, podobnie jak nagłe i przypadkowe odkrycie Księżego Młyna, parku na Zdrowiu, architektury domów dla oficerów polskich przy ul. Kopcińskiego, domów dla urzędników na Julianowie, architektury pałaców lub nawet „zwykłych" willi... Wymieniać można długo. Te momenty zadziwienia nie budziły jednak głębszych refleksji. W mieście – jakby programowo – nie mogło być niczego interesującego i godnego uwagi poza walką klasową robotników. Władze PRL, czyniąc z Łodzi wizytówkę miasta robotniczego, nie chciały pokazywać tego, co stworzyli w nim, również dla zwykłych ludzi, fabrykanci. Nie przypominano, co uczyniły władze miejskie i inteligencja w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Kłóciłoby się to z oficjalnym wizerunkiem miasta i przekłamaną historią Polski ostatnich wieków. Całe lata nie mówiło się o Żydach i Niemcach łódzkich. Wielu mieszkańców bloków na Dołach, widzących codziennie z okien własnych mieszkań cmentarz żydowski, nie wiedziało, choć trudno w to uwierzyć, co znajduje się po drugiej stronie ceglanego muru. Nie mieli też świadomości, że mieszkają na terenie dawnego getta. Nikt chyba nigdy nie zwiedzał Łodzi, nikt (lub rzadko kto w milionowym mieście) nie poszukiwał wiedzy o niej – przecież „to" miasto, jakby samo z siebie, nie mogło zaoferować niczego interesującego!

Nagłe odkrycie w latach dziewięćdziesiątych, że historia miasta liczy więcej niż dwieście lat, a Łódź przemysłową poprzedzało podupadające rolnicze miasteczko o tej samej nazwie, zrodziło wyobrażenie Łodzi rolniczej jako „ziemi zapomnianej przez Boga i ludzi", której nędzy nie sposób sobie wyobrazić! Dlaczego aż tak źle miało dziać się w miasteczku? Nie wiadomo, ale na tym tle pięknie odcinała się dalsza jego historia. I znów mamy do czynienia z kolejnym mitem – gwałtownie rozwijającej się Łodzi przemysłowej, rozwijającej się nieskrępowanie, bujnie, bez problemów i zahamowań (inaczej przecież nie mogłoby powstać tak wielkie miasto w przeciągu tak krótkiego czasu!). Jedynym cieniem na tej historii, o ile ktoś posiadał wiadomości na temat tego okresu, mogło kłaść się faworyzowanie przez władze Królestwa Polskiego obcych przybyszy. Każdy z nich – to kolejne mylne wyobrażenie, uznawane za prawdę: mit „ziemi obiecanej" – z łatwością mógł się dorobić ogromnego majątku, nawet wtedy, gdy nie posiadał wcześniej żadnego kapitału[33]. Specyficz-

[33] Przedstawione tu wyobrażenia-mity są efektem ponad dziesięcioletnich obserwacji, poczynionych w trakcie pracy ze studentami filologii polskiej, nauczycielami (łodzianie stanowili tu część słuchaczy) oraz łódzkimi dziećmi i młodzieżą szkolną nad ich miejscem najbliższym, zapoczątkowanych po wprowadzeniu edukacji regionalnej do szkół w 1999 r. W trakcie rozmów na temat przeszłości Łodzi dało się zauważyć powolne narastanie wiedzy, ale też nawarstwianie wyobrażeń i szybkie przechodzenie po uzyskaniu pewnej

nym przekłamaniom uległo również życie robotników walczących o godne życie. Ciężki, kilkunastogodzinny dzień pracy, niskie zarobki, brak świadczeń socjalnych, złe warunki bytowe doprowadziły ponadto do przekonania o tym, że ich życie zupełnie pozbawione było radości[34]. To nie koniec mitów „ziemi obiecanej". Należy zaliczyć do nich także przekonanie o harmonijnym współżyciu Polaków, Niemców i Żydów pod „wspólnym dachem". Przed „lukrowaniem historii" przestrzegał w 2001 r., podczas ostatniego przed śmiercią spotkania z łodzianami, Arnold Mostowicz. Twierdził, że istnienie tak wielkich skupisk narodowościowych, z których każde ciąży ku swoim interesom i wartościom, zawsze rodzi konflikty. W ostatnich latach wielokulturowość Łodzi doczekała się nawet czwartej znaczącej kultury – rosyjskiej, co jest kolejnym, odbiegającym od prawdy wyobrażeniem, na które wszyscy przystali i nikt go nie kwestionuje[35].

Uwagę na powstawanie mitów wokół historii Łodzi zwrócił w 1988 r. Jerzy Tynecki:

> Nagminnie mówi się o nagłym i żywiołowym rozwoju Łodzi, wciąż jeszcze powodującym miałkość i dezintegrację kulturalnego i intelektualnego życia miasta. Wypełnia się jednak te rytualne slogany fragmentarycznymi wyobrażeniami, niestanowiącymi żadnego przybliżenia przeszłości. Od szczątkowej wiedzy, że w 1820 r. powstała osada sukiennicza wokół Nowego Rynku, przeskakuje się do stereotypowego, naturalistycznego obrazu wielkiego miasta, pełnego kontrastów i spekulacji. Zapomina się jednak, że prócz sukienniczego Nowego Miasta powstała na południu osada Łódka, i że tam, na posiadłach nad Jasienią, a nie przy obecnym Placu Wolności, rozstrzygnęły się naprawdę losy Łodzi. Żywiołowy rozwój miasta w końcu XIX w. był bowiem poprzedzony dziesięcioleciami planowego popierania rękodzieła, manufaktur, a w końcu przemysłu, który rozrósł się ponad wszelkie pierwotne oczekiwania[36].

---

cząstki informacji do następnych problemów, mimo że poprzednie nie zostały dostatecznie oświetlone i wyjaśnione. Część zastępowała więc całość, tworząc wyobrażenie nazwane mitem, a jego ujęcie (tytuł) stawało się metaforą.

[34] Wyobrażenia-mity o życiu robotników i ich walce o godne życie są reminiscencją okresu młodości niżej podpisanej, poparte rozmowami z osobami, które ten okres przeżyły, w celu konfrontacji wspomnień.

[35] Na jednym z blogów możemy przeczytać: „Każdego roku w Łodzi organizowany jest Festiwal Dialogu Czterech Kultur – impreza kulturalno-artystyczna, która ma nawiązywać do wielokulturowej tradycji miasta, tworzonego przez przedstawicieli czterech nacji: Polaków, Niemców, Żydów i Rosjan. To sposób łódzkich władz na promocję miasta. Prawda jest taka, że tych kultur było znacznie więcej, żyli tutaj także Czesi, Holendrzy, Francuzi i inni. Sami Rosjanie byli głównie przedstawicielami zaborczej administracji i żołnierzami w łódzkim garnizonie. Nigdy nie mieli specjalnie dużego wpływu na kulturowy kształt miasta. Ale niech będzie..." (*Mit Łodzi wielokulturowej*, http://gunthera.wordpress.com/category/architektura/page/3, dostęp: 10.09.2012).

[36] J. Tynecki, *Przemysł a kultura. Dzieje imperium bawełnianego w Łodzi dla historyków kultury*, „Prace Polonistyczne" 1988, seria XLIV, s. 26.

Wypowiedź łódzkiego literaturoznawcy wydobywa obecne w wyobrażeniach łodzian, wskazane wyżej mity „ziemi obiecanej" oraz mit Łodzi jako „pustyni kulturowej". Zwróćmy uwagę, że J. Tynecki owe „slogany", które nie tylko u niego posiadają wymiar ujemny, określił jako „rytualne", i jakkolwiek samo określenie nie umniejsza negatywnej oceny zjawiska, a nawet je podkreśla, to równocześnie nadaje mu wymiar swoistego misterium (w tym ujęciu posiadającego z pewnością wydźwięk ironiczny). Badacz dostrzegł więc i krytycznie ocenił brak wiedzy, który te mity powołał do życia, dostrzegł wszakże fascynację przeszłością Łodzi jej mieszkańców.

Warto nieco więcej miejsca poświęcić zachwytowi łodzian „naturalistycznym obrazem wielkiego miasta" i przywiązywaniem do jego powstania ogromnej wagi. Mircea Eliade zwraca uwagę na żywotność mitów społeczności archaicznych i ich obecność w świecie współczesnym[37]. Społeczności te przypisywały wielkie znaczenie osiąganemu na różne sposoby „powrotowi do początku". Prestiż „początków", jak stwierdza M. Eliade, przetrwał także w społeczeństwach europejskich. Widzi go w powrocie reformacji do Biblii, rewolucji francuskiej do paradygmatu Rzymian i Spartan. Zwraca uwagę na poszukiwanie korzeni przez intelektualistów rumuńskich, żyjących na przełomie XVIII i XIX w., w starożytnym Rzymie, a przez inteligencję węgierską – w mitach o Hunorze i Magorze oraz w sadze heroicznej Arpadów. Z kolei w społeczeństwach Europy centralnej i wschodniej potrzeba istnienia początku zrodziła „postawę pełną prawdziwej namiętności w stosunku do historii narodowej, a zwłaszcza jej zamierzchłych okresów"[38].

M. Eliade stwierdza: „U zarania świata współczesnego «początkom» przypisywano znaczenie wręcz magiczne. Posiadanie wyraźnie ustalonego «początku» pozwalało szczycić się szlachetnym pochodzeniem"[39]. Nie popełnimy błędu, jeśli stwierdzimy, że ta sama potrzeba zrodziła poszukiwanie przez łodzian początków miasta w okresie jego gwałtownego, spektakularnego i niespotykanego rozwoju. Spowite przez dymy, brudne i nieciekawe (jak się zwykle uważało) miasto zostawało w ten sposób nobilitowane, zyskiwało też niezwykłą, wręcz fascynującą historię, która mogła być powodem do dumy.

Istnienie mitów wyrażanych za pomocą „[...] nazw i określeń, które po dziś dzień odpowiadają wyobrażeniom wielu osób o mieście" odnotowała również Karolina Kołodziej. Zwróciła uwagę, że powstały one w XIX

[37] M. Eliade, *Mity, sny i misteria*, przeł. K. Kocjan, Wyd. KR, Warszawa 1994; tenże, *Aspekty mitu*, przeł. P. Mrówczyński, Wyd. KR, Warszawa 1998.

[38] M. Eliade, *Aspekty mitu*, s. 179–180.

[39] Tamże, s. 180.

i na początku XX w. Za najsłynniejsze, i słusznie, uznała biblijną metaforę „ziemia obiecana", której wprowadzenie przypisuje się Wł. S. Reymontowi oraz epitet „złe miasto" stworzony przez Zygmunta Bartkiewicza. Stwierdziła, że pomiędzy nimi kryje się cała (lub prawie cała) prawda o Łodzi przełomu XIX i XX stulecia. Oprócz nich – pisze dalej – „[...] w publicystyce i prasie warszawskiej lat 90. XIX w. znajdziemy szereg innych określeń nie tylko opisujących Łódź, ale także współtworzących obraz miasta"[40]. Autorka jako charakterystyczne podała następujące określenia: kraj sam dla siebie, druga wieża Babel, polski Manchester[41], miasto poliniowane, miasto ciekawe, siedlisko gorączkowej pracy, wielkie ognisko cywilizacyjne, miasto prowincjonalne[42].

Mitologizowanie dziejów Łodzi nie jest więc zjawiskiem nowym, co nie czyni go łatwiejszym do opisu i objaśnienia. U podstawy każdego mitu, czy to stworzonego przez mieszkańców Łodzi, czy przez pisarzy lub publicystów, którzy postawili sobie za zadanie rozpoznanie niezwykłego fenomenu, jakim była Łódź, leży jakiś obszar niewiedzy. Zetknięcie z nim zawsze rodziło potrzebę nazwania zjawiska, które właśnie zostało rozpoznane. Stworzone w przeszłości metafory-określenia żyły jednak, jak się dalej okaże, swoim życiem, niezależnym od intencji ich twórców, nabierając czasem innego znaczenia. Jeśli zachodziła taka potrzeba, powstawały nowe określenia. Jesteśmy więc dziś świadkami renesansu starych mitów lub powstawania nowych. Samo zjawisko mitologizowania z pewnością nie jest negatywne. Świadczy o zafascynowaniu i zachwycie Łodzią lub przeciwnie (znacznie rzadziej) – jest wyrazem niechęci do niej. Służy też, przypomnijmy, obłaskawianiu jej historii. Wynika jednak zawsze z niewiedzy, poprzestawaniu na powierzchownych skojarzeniach oraz z braku głębszego zastanowienia nie tylko nad przeszłością Łodzi i Polski, ale również nad sprawami natury ogólnej. Warto wniknąć choćby w codzienne życie budującego się od podstaw przemysłowego miasteczka lub w życie tych, którzy przybyli tu, w obce dla siebie strony, w poszukiwaniu chleba. Przyczyn mitologizowania życia robotników należy jednak szukać w działaniach indoktrynacyjnych państwa socjalistycznego, a w przypadku dwóch ostatnich mitów – w trendach kulturowych ostatniego dwudziestolecia, szczególnie ostro uwidaczniających się w ostatniej dekadzie. Idzie tu o poprawność polityczną, relatywizm kulturowy. Trendy te, znane

[40] Zob. K. Kołodziej, *Między „ziemią obiecaną" a „złym miastem" – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 1, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2008, nr 10, s. 254.

[41] Tamże, s. 254, 260, 266.

[42] K. Kołodziej, *Między „ziemią obiecaną" a „złym miastem" – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 2, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2008, nr 13, s. 177, 179, 181, 182, 184.

od dawna na Zachodzie, uczyniły wiele zła[43], takie samo spustoszenie czynią obecnie u nas, zdają się też posiadać znamiona prądów kulturowych, od których odstąpić nie można.

Celem niniejszej publikacji nie jest budowanie wiedzy weryfikującej powierzchowne lub mylne wyobrażenia o przeszłości Łodzi, jakkolwiek i takie zadanie może ona w pewnym stopniu pełnić poprzez odwołania do literatury naukowej. Z wielu powodów trzeba, na przykład, przyjrzeć się historii Łodzi rolniczej i rękodzielniczej. Głównym zadaniem dalszych rozważań jest przede wszystkim zbadanie wybranych utworów regionalnej literatury Łodzi w celu wydobycia społecznego, kulturowego lub politycznego tła, na kanwie którego mogły ukształtować się współczesne „mity", w następnej kolejności zaś – odnalezienie w tej twórczości treści,

[43] Na upadek kultury Zachodu zwraca uwagę F. Furedi, profesor socjologii Uniwersytetu Kent w Wielkiej Brytanii. Winą za to obarcza elity społeczne, które wychodząc z postmodernistycznych doświadczeń, uznały, że oświecenie ogółu społeczeństwa nie wpływa na jego życie ani też nie czyni tego życia lepszym lub bardziej satysfakcjonującym; nie pomaga również jednostkom i grupom „wykluczonym" w pokonaniu ich problemów. Socjolog ten zwrócił uwagę na dewaluację intelektu, odrzucenie wiedzy i prawdy jako wartości samych w sobie oraz potrzeby ich zgłębiania. Zastąpienie tych wartości przez relatywizm kulturowy, posiadający – jak to określił – wszelkie znamiona prądu intelektualnego, przyczyniło się jego zdaniem do uznania wiedzy potocznej za równoważną uniwersyteckiej, do niszczenia akademickiej wolności, narodzin kultu banalności, ogólnego obniżenia poziomu nauki, kultury i sztuki, powstania kultury schlebiania, charakteryzującej się inkluzją przez afirmację oraz do rozkwitu elitarnego populizmu (F. Furedi, *Gdzie się podziali wszyscy intelektualiści?*, przeł. K. Makaruk, seria: „Biblioteka Myśli Współczesnej", PIW, Warszawa 2008).

Charakterystyczny i pożądany na gruncie badań antropologicznych relatywizm kulturowy jest właściwy, bez względu na to, czy jego spełnienie jest możliwe w praktyce, czy też nie (badacz zawsze powinien zmierzać do ideału). Z metodologicznego punktu widzenia przyjęcie tej podstawy oznacza odrzucenie wartości własnej kultury jako m i e r n i k a kultury obcej, a więc takiego podejścia do badanego zjawiska, które pozwoli na jego obiektywny opis. Przeniesienie jednak tego założenia na grunt życia społecznego budzi wiele nieporozumień i może prowadzić nawet, poprzez relatywizm wartości, do rozluźnienia więzi z własną kulturą lub, co gorsza, do wykorzenienia. Grozi zresztą i innymi konsekwencjami. Warto pamiętać, że przenoszenie teorii naukowych tam, gdzie rządzi „praktyka życiowa", ma często złe konsekwencje, o czym świadczą choćby dzieje ruchu eugenicznego, stosujące w praktyce teorię F. Galtona. Weźmy jednak inny, mniej spektakularny przykład. Badacza kultury mogą interesować i interesują napisy naścienne, także te znajdujące się w różnych przestrzeniach życia społecznego, na przykład w szaletach miejskich. Przeniesienie idei relatywizmu do praktyki życia społecznego prowadzi w tym wypadku do paradoksu, jeśli w ogóle nie do bezsensu: skoro każdy tekst jest „tekstem kultury", to również perwersyjne i pornograficzne napisy w toaletach publicznych za takowe należy uznać. Tych zaś, którzy są im przeciwni, każą je zamalowywać lub je zamalowują, należałoby uznać za obskurantów. Prowadzi to do stwierdzenia, że także brak kultury jest kulturą. Tego paradoksu wcale nie umniejsza pojemność znaczeniowa wyrazu „kultura".

które pozwoliłyby zweryfikować powstałe mity, potwierdzić możliwość ich powstania, określić jego czas (o ile to możliwe). Innymi słowy – zadaniem, które postawiono niniejszej pracy, jest zbadanie relacji, jaka zachodzi pomiędzy literaturą regionalną epok minionych a współczesnymi wyobrażeniami tamtych czasów. Nie bez znaczenia jest tu możliwość wpisania niemal wszystkich utworów w nurt literackiego realizmu. Przedmiotem rozważań będą zatem, przypomnijmy i uporządkujmy przywołane wcześniej wyobrażenia przeszłości Łodzi: mit „ziemi zapomnianej", mit „ziemi obiecanej" w różnych jego wariantach – miejsca rozwijającego się bujnie i nieskrępowanie, w którym każdy (w związku z owym niezwykłym rozkwitem) mógł znaleźć swoje szczęście, mit „złego miasta", „Łodzi Czerwonej" i „Łodzi robotniczej", mit o „pozbawionym radości życiu robotników", o „zgodnym współżyciu Polaków, Niemców i Żydów", mit „istnienia czterech kultur współtworzących miasto" oraz mit Łodzi jako „pustyni kulturowej".

Tak skonkretyzowany cel rozważań wpisuje się w nurt zainteresowań miastem, jego historią, kulturą, przestrzenią, budową, wpływem na człowieka, językiem i różnorodnymi związkami z literaturą, tym, co przyczynia się do integracji żyjących w nim ludzi lub ich dezintegracji, aż po najnowsze spojrzenia na miasto postindustrialne[44]. Mitologizowanie dziejów rodzinnej miejscowości nie jest zjawiskiem nowym i charakterystycznym tylko dla Łodzi. Na przykład o mitach Gdańska w XIX w. pisał Jerzy Samp[45]. Podobną problematykę w odniesieniu do Trójmiasta podjął Artur Nowaczewski[46].

Wszystkie współczesne „mity" Łodzi, które wcześniej wyodrębniliśmy, dotyczą okresu rolniczej, fabrycznej (rękodzielniczej) i wielkoprzemysłowej Łodzi, obejmują więc stulecie od przełomu wieków XVIII i XIX po przełom wieków XIX i XX. Podstawą badań uczyniono więc literaturę

[44] Por. np.: *Miasto – kultura – literatura. Wiek XIX. Materiały sesji naukowej*, red. J. Data, Wyd. Gdańskie, Gdańsk 1993; *Wielkie Miasto: czynniki integrujące i dezintegrujące*, [Łódź, 17–19 maja 1994 r.], cz. 1–2, red. D. Bieńkowska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1995; *Miasto – teren koegzystencji pokoleń. Łódź 19–21 maja 1997*, red. Z. Staszewska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1999; E. Szkurłat, *Więzi terytorialne młodzieży z miastem…*; *Miasto. Przestrzeń, topos, człowiek*, red. A. Gleń, J. Gutorow, I. Jokiel, Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2005; E. Rewers, *Post-polis. Wstęp do filozofii ponowoczesnego miasta*, Universitas, Kraków 2005; *Miasto jako przedmiot badań naukowych w początkach XXI wieku*, red. B. Jałowiecki, Scholar, Warszawa 2008; *Kongres Kultury Polskiej 2009. Raport o stanie i zróżnicowaniach kultury miejskiej*, www.kongreskultury.pl/title,pid,397,oid,1045.html (dostęp: 10.09.2012).

[45] J. Samp, *Obraz Gdańska w relacjach wybranych podróżopisarzy*, [w:] *Miasto – kultura – literatura…*, s. 167–169.

[46] A. Nowaczewski, *Metropolia bez centrum. Trójmiejskie mity przestrzenne w literaturze współczesnej*, [w:] *Miasto. Przestrzeń, topos, człowiek*, s. 157–166.

pochodzącą z tego okresu. W rozważaniach znajdziemy zatem odwołania, zacznijmy od literatury artystycznej: do wierszowanej gawędy W. Dłużniewskiego *Paweł Łodzia Kubowicz* (1857) oraz do nieopublikowanego dramatu tego autora *Wyprawa do Ameryki* (ok. 1857). Następne, *stricte* literackie utwory poświęcone Łodzi powstały dopiero trzydzieści lat później. Były to: pierwsze powieści poświęcone miastu – W. Marrené-Morzkowskiej *Wśród kąkolu* (1890), W. Kosiakiewicza *Bawełna* (1895), Wł. Rowińskiego *Julka* (1899)[47], Wł. S. Reymonta *Ziemia obiecana* (1897) oraz opowiadania lub nowele Stanisława Łąpińskiego *Tkacz* (1898), Wł. Rowińskiego *Dwa pokolenia* (1899), *Kwiaty dla Prusa* (1899) i *Bez tytułu* (1899).

Kolejna grupa utworów podejmuje zagadnienia ruchu robotniczego. Są to powieści Kazimierza Laskowskiego *Lokaut* (1907), M. Gawalewicza *Wir* (1908), Andrzeja Struga *Dzieje jednego pocisku* (1910), opowiadanie Artura Gliszczyńskiego *Mańka* (1907), a także fragment dramatu Stefana Żeromskiego *Róża* (1909); jak się jednak w rozważaniach okaże, utwór ten poświęcony jest w całości Polsce.

Poza okres objęty rozważaniami, którego drugą granicę wyznacza rok 1918, wykracza wydanie powieści I. J. Singera *Bracia Aszkenazy* (1936)

[47] Należałoby się zastanowić, jak zaklasyfikować *Julkę* Wł. Rowińskiego. Z pewnością nie jest to opowiadanie ani też zbiór nowel (zob. E. Umińska-Tytoń, *Język Łodzian w tekstach literackich*, [w:] D. Bieńkowska, M. Cybulski, E. Umińska-Tytoń, *Słownik dwudziestowiecznej Łodzi. Konteksty historyczne, społeczne, kulturowe*, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2007, s. 151). Jeśli poszczególne części wchodzące w skład *Julki* uznamy za odrębne utwory nowelistyczne, to należy stwierdzić, że brakuje im charakterystycznej dla tego gatunku dramatycznej konstrukcji. Są to raczej opowiastki z życia Strykowa i Łodzi. Możemy jedynie uznać, że utwór opowiada o losach dwojga młodych ludzi na tle małomiasteczkowego Strykowa i rozwijającej się Łodzi. Czasem dzieje Julki i Leona gubią się wśród losów innych bohaterów i problemów obu miast, są jednak doprowadzone do końca i spięte wspólną klamrą nieszczęśliwych śmierci obojga, podkreślających wyznawany przez Wł. Rowińskiego antyurbanizm. Skoro połączony dziejami jednego pocisku zbiór opowiadań A. Struga uznajemy za powieść, nic nie stoi na przeszkodzie, by podobnie zakwalifikować *Julkę*, tym bardziej że nie odwołujemy się do poszczególnych części utworu, przywołując ich tytuły (byłoby tak, gdybyśmy rzeczywiście mieli do czynienia ze zbiorem nowel lub opowiadań), ale do całości, uznając tym samym zwartą, choć może niekoniecznie udaną kompozycję utworu. Przywołajmy jeszcze wypowiedź J. Z. Jakubowskiego o *Dziejach jednego pocisku*, skoro się do niej odwołaliśmy. O utworze A. Struga pisał on: „Były to najpierw odrębne opowiadania ukazujące różne epizody z dziejów pokolenia Rewolucji 1905 roku. Połączył je Strug w całość historią bomby. Powstał w ten sposób utwór, który nie jest ani cyklem nowel, ani też powieścią. Zapewne jest on najbliższy gatunkowi literackiemu, który określamy mianem o p o w i e ś ć [podkr. autora], gdzie w układ zasadniczo jednowątkowy wpisana jest rozległa fabuła" (J. Z. Jakubowski, *Posłowie*, [w:] A. Strug, *Dzieje jednego pocisku*, „Nasza Księgarnia", Warszawa 1980, s. 256). Dodajmy, że w utworze Wł. Rowińskiego mamy do czynienia z więcej niż jednym wątkiem.

oraz fragment prozy reportażowej Alfreda Döblina *Podróż po Polsce* (1925). Obie publikacje w różnym zakresie prezentują dzieje Łodzi. Utwór I. J. Singera ukazuje jej przeszłość, obejmując fabułą Łódź rolniczą i rękodzielniczą. Proza A. Döblina sięga do tego okresu poprzez odwołania do historii miasta. Zarówno *Braci Aszkenazych* jak i *Podróż po Polsce* wykorzystano przede wszystkim ze względu na głos, jaki na temat życia miasta wypowiadają w nich narodowości żydowska i niemiecka, tworzące jego historię i kulturę na równi z narodowością polską.

Drugą grupą twórczości wykorzystanej w rozważaniach są wypowiedzi publicystów. Publicystyka właśnie otworzyła początki piśmiennictwa o Łodzi przewodnikiem O. Flatta *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym* (1853), a także w znacznym stopniu wypełniła trzydziestoletnią lukę pomiędzy pierwszymi i następnymi publikacjami literatury artystycznej. W dalszych rozważaniach znajdziemy więc odwołania do artykułów i wydawnictw książkowych dziennikarzy łódzkich i warszawskich: ponownie do O. Flatta *Łódź i nowobudująca się do niej droga żelazna* (1866), A. Gliszczyńskiego i A. Mieszkowskiego *Łódź, miasto i ludzie* (1894), A. Starkmana *Łódź i łodzianie* (1895), Stefana Gorskiego, *Łódź spółczesna. Obrazki i szkice publicystyczne* (1904), A. Gliszczyńskiego *Łódź po zaburzeniach* (1905), Z. Bartkiewicza, *Złe miasto* (1907), Rosjanina Iwana Timkowskija-Kostina *Miasto proletariuszów* (1907), Francuza Henryka Vimarda *Łódź. Polski Manszester* (1910), Adama Próchnika, *Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym* (lata trzydzieste) oraz do przywołanej wcześniej *Podróży po Polsce* A. Döblina (1925).

Kolejną grupę regionaliów wykorzystanych w rozważaniach stanowią wspomnienia Stanisława Wrzoska, *Bunt łódzki w roku 1982* (1904), Antoniego Humnickiego *Wspomnienia z lat 1888–1892* (1907), A. Rżewskiego, *Wódz bojowców* (1931) oraz wybór wspomnień łodzianek urodzonych na przełomie wieków XIX i XX, zbieranych z myślą o wydobyciu cech językowych mieszkańców Łodzi i będących w istocie materiałami do badań językowych. Posiadamy ponadto wspomnienia Heleny Geyerowej *Z mojego życia. Wspomnienia z lat 1855–1914* oraz Jerzego Grohmana, będącymi efektem spotkań i rozmów Pawła Spodenkiewicza z potomkiem łódzkiego rodu, zatytułowanymi *Piasek z Atlandydy, rozmowy z Jerzym Grohmanem* (2006).

Ponieważ nie dysponujemy żadnym utworem poświęconym Łodzi rolniczej, zadecydowano uczynić podstawą jej opracowania artykuł naukowy A. Stebelskiego *Łódź i klucz łódzki u schyłku* [*pierwszej*] *Rzeczypospolitej* (1930). Może on pełnić funkcję podobną do *Opisu* O. Flatta, uznawanego za pierwszy utwór poświęcony miastu. W tej części rozważań zostaną także wykorzystane *Przyczynki do monografii Łodzi*

(1922) Stanisława Muznerowskiego. Popularnonaukowa publikacja Bohdana Baranowskiego *O dawnej Łodzi* (1976) posłuży rozszerzeniu ujęcia A. Stebelskiego o elementy kulturowe, przybliżające życie codzienne rolniczego miasteczka. Należy w tym miejscu podkreślić, że w partiach poświęconych Łodzi rolniczej i rękodzielniczej za celowe uznano szersze odwołanie się do historii niż w pozostałych rozdziałach. Takie założenie wynika nie tylko z chęci przybliżenia potencjalnemu czytelnikowi obrazu miasta tych okresów i wypełnienia luki powodującej, że dzieje Łodzi dla większości jej mieszkańców zaczynają się w drugiej połowie XIX w. Przede wszystkim – brak znajomości historii miasta powoduje uproszczone pojmowanie gwałtownego rozwoju Łodzi i uniemożliwia pełne zrozumienie najstarszych utworów poświęconych miastu.

Na osobną uwagę zasługuje również wykorzystanie fragmentów *Kwiatów polskich* J. Tuwima i jego trzech młodzieńczych utworów, pieśni rewolucyjnych: *Mazur kajdaniarski*, *Czerwona Łódź*, *Czerwony sztandar*, *Łodzianka*, a także piosenek składających się na folklor robotniczej Łodzi, poświęconych życiu robotników, zabawom lub będących echem wydarzeń, które poruszyły miasto: *Motor*, *W czynszowej kamienicy*, *Uwiedziona dziewczyna*, *Niedziela w Czarnocinie*, *Zapusty*, *W Helenowie*, *W Łagiewnikach na majówce*, *Hej na rynku Geyera*, *Cztery mile lasu*, *Ballada o Zajdlowej*, *Łaniucha*. Wymienione w tej grupie utwory nie będą stanowić podstawy przemyśleń, lecz tylko ilustrację omawianych zagadnień. Podobną funkcję pełni fragment wspomnień Artura Rubinsteina, *Moje młode lata*.

Podsumowując omówienie literatury wykorzystanej w rozważaniach, przypomnijmy, że odwołano się do wybranych utworów literatury pięknej (gawędy, noweli, opowiadania, powieści, prozy poetyckiej, dramatu, prozy publicystycznej i sporadycznie liryki, jako ilustracji omawianego zagadnienia) oraz wspomnień i publicystyki, a także literatury naukowej, ze względu na zupełny brak twórczości ukazującej Łódź rolniczą. Przez literaturę regionalną rozumieć więc będziemy każdą publikację, której bohaterem jest interesujące nas miejsce, jego kultura materialna i duchowa oraz życie w nim. Ze względu na brak znajomości zdecydowanej większości przywołanych wyżej utworów oraz utrudniony dostęp do niektórych, zadecydowano o przywołaniu ich fragmentów w ilości większej niż to praktykuje się w rozprawach naukowych.

Na koniec wyrazimy nadzieję, że poznawanie prawdziwej historii Łodzi będzie równie interesujące i da tyle samo satysfakcji, co jej zmitologizowane i barwne wyobrażenia. Pamiętać bowiem należy, że poprzestawanie na powierzchownych skojarzeniach i mitach nie służy poznaniu „miejsca najbliższego" i wytworzeniu silnych z nim więzi. Warto też zauważyć, że specyfiką pracy nad regionaliami jest zawsze odwołanie do

miejsca, które one prezentują. Siłą rzeczy nie da się więc uniknąć jego geografii i historii, co pozwala na weryfikację zniekształceń powstających w wyniku żywiołowej fascynacji małą ojczyzną oraz uniknięcie przekłamań, dla których podstawę stanowią ideologiczne trendy. Ponadto, poprzez owe odwołania, sięgamy dalej, poza „miejsce najbliższe", obejmując zainteresowaniem również Wielką Ojczyznę. Y.-F. Tuan, prezentując swoją teorię miejsca i przestrzeni, postawił pomiędzy nimi znak równości, stwierdzając: „Co to jest nasz dom? To jest dom rodzinny, stare sąsiedztwo, miasto rodzinne, własny kraj". Myśl tę zauważymy również u Adama Stebelskiego we wstępie do jego publikacji poświęconej Łodzi. Uzasadniając podjęcie badań niewielkiego obszarowo terytorium, pisze:

> Zawsze żywe w społeczeństwie zainteresowanie dziejami poszczególnych miejscowości i okolic ma dla historii ogólnej narodu i państwa dwojakie znaczenie: pomnażając liczbę studiów monograficznych i specjalnych nad przeszłością większych lub mniejszych części kraju, przyczynia się do stworzenia szerszej podstawy dla opracowań ogólnych i porównawczych; ponadto – poprzez znajomość dziejów partykularnych prowadzi szersze koła społeczeństwa do poznania ogólnych dziejów narodu (Steb., s. 57).

1. Mit „ziemi zapomnianej”

Zastosowana w tytule rozdziału przenośnia dziejów Łodzi rolniczej została stworzona na użytek niniejszych rozważań. Nikt nigdy nie użył jej w odniesieniu do najstarszej historii miasta ani jego kolebki[1], jednak dla łódzkiej Starówki takie określenie wydaje się szczególnie trafne. Dla większości łodzian najstarszą częścią miasta była jeszcze do niedawna ul. Piotrkowska lub pl. Wolności (dawniej Nowe Miasto), a jego historia zaczynała się dopiero z chwilą przybycia osadników. Nic więc dziwnego, że informacja o istnieniu wcześniej rolniczego miasteczka wywoływała zdziwienie. Nagłe „odkrycie” najstarszej części przyczyniło się do powstania obrazu tego miejsca jako „zapomnianego przez Boga i ludzi”, zagubionego wśród lasów, odsuniętego od innych siedzib ludzkich, z których każda prezentowała wyższy poziom rozwoju. Siłą rzeczy takie ujęcie zrodziło też przekonanie, że jego mieszkańcy musieli żyć w skrajnej biedzie, całkowitym zapomnieniu i w oderwaniu od świata. Zapatrywania te utwierdzał jeszcze obraz nieszczęsnej Zośki Straszybotki, spalonej na stosie czarownicy łódzkiej. Miasto było tak biedne, że nawet własnego kata nie miało i stosownego oprawcę musiało sprowadzić z innej miejscowości[2].

Czy obraz taki lub podobny zrodził się dopiero w ostatnim dziesięcioleciu? Okazuje się, że nie i, co ciekawe, niewiele się od współczesnego różnił. Na istnienie Łodzi rolniczej zwrócili uwagę w 1894 r. A. Gliszczyński i A. Mieszkowski w artykule *Łódź, miasto i ludzie*[3]. W powszechnym

---

[1] Podobną metaforę stworzyła kilka lat wcześniej K. Kołodziej, określając nią wrażenia korespondentów warszawskich dzielących się spostrzeżeniami z Łodzi, którą widzieli po raz pierwszy. Odkrywali wówczas nie tyle „ziemię obiecaną”, ile – „ziemię nieznaną”. Zob. K. Kołodziej, *Między „ziemią obiecaną” a „złym miastem” – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 1, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica” 2008, nr 10, s. 254.

[2] Taki obraz Łodzi rolniczej ukazywały pierwsze studenckie prace poświęcone temu okresowi miasta.

[3] A. Gliszczyński, A. Mieszkowski, *Łódź, miasto i ludzie*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź

mniemaniu, co podkreślają, historia miasta jest niezbyt długa. Ta informacja wywołuje zwykle niemiłe zdziwienie nawet u tych, którzy Łódź podziwiają. Publicyści zapewniają jednak, że posiada ona „swoje dzieje, jeno odmiennymi niż wszystkie nasze miasta kreślone rysami"[4]. Choć przywołują w artykule Władysława, księcia ziemi łęczyckiej i dobrzyńskiej, który nadał cały szereg wsi wraz z Łodzią biskupom kujawskim, dokument ujmujący Łódź „w wykazie miast dostarczających pomocy na wojnę przeciw Prusakom w r. 1459", a także lustrację pruską z 1793 r., to jednak nie uważają, by były to właściwe dzieje początków współczesnej im Łodzi. Piszą żartobliwie:

> Na zaspokojenie domowych potrzeb ówczesnych mieszkańców Łodzi pracowało niewielkie gronko rękodzielników, 8 stelmachów, 2 garbarzy, ślusarz, krawiec, szewc i stolarz. Wszystko to modliło się w prastarym kościółku drewnianym, parafialnym; w młynie wodnym mełło zboże na chleb, aby go spożywać spokojnie, żując po bożemu, a przy święcie i wolnej od pracy chwili, w dwóch karczmach „trunkiem dobrym" zakrapiało i topiło w nim „frasunki"[5].

Obaj publicyści, choć są sympatykami Łodzi i jej historii (dodajmy – nie pierwszymi), początków istnienia grodu bawełny upatrują w roku 1806, w którym Łódź przestała być własnością prywatną. Ich uzasadnienie nie wydaje się przekonujące. Poza tym wyraźnie oddzielają historię miasta rolniczego od historii miasta przemysłowego, traktując je jako dwa oddzielne organizmy. Słusznie i błędnie zarazem, bo przecież to jest ciągle to samo miasto, jednak jego części składowe zupełnie różniły się charakterem. Nie informują również, że Łódź rolnicza długo jeszcze współistniała z Łodzią przemysłową, tę bowiem zaprojektowano w rejonie Nowego Miasta[6], Stare Miasto zaś zachowało dalej swój rolniczy charakter, choć i tam zaczęły pojawiać się domy tkaczy oraz budynki fabryczne.

O tym, jak bardzo burzliwe były dzieje tego miejsca, świadczy nie tylko tempo prac, które doprowadziło do ukształtowania Łodzi wielkomiejskiej – w 1894 r., w którym opublikowano cytowany artykuł, z pewnością posiada ona już taki charakter – ale również problemy z wiedzą o jej historii. Od czasu wejścia Łodzi na drogę wielkoprzemysłową minął zaledwie okres życia jednego pokolenia. Był to również czas, w którym zanikały relikty Łodzi rolniczej. Dowiadujemy się tego z powieści Wł. S. Reymonta, który kazał jednemu z bohaterów zapuścić się

2008. Na podstawie: *Miasto i ludzie*, przez X.Y.Z., odbitka z „Wieku", nakład Bolesława Londyńskiego, Łódź 1984, s. 11–12.

[4] Tamże, s. 11.

[5] Tamże, s. 12.

[6] Był to obszar w kwadracie pomiędzy ulicami: Wschodnią, Zachodnią, Północną/Ogrodową i Rewolucji 1905 r./Próchnika.

[...] w ulicę Drewnowską, jedną z najstarszych w Łodzi i bardzo cichą, obstawioną małymi konającymi domkami pierwszych w Łodzi tkaczów, pomiędzy którymi tuliły się jeszcze proste chłopskie domy, [...] na pół zapadłe w ziemię, wykrzywione, otoczone ogródkami, gdzie dogorywały stare wiśnie i grusze przysadziste, które niegdyś kwitły i rodziły, a teraz od lat całych ściśnięte pomiędzy murami fabryk i odgrodzone coraz gęstszymi zaporami od słońca, od pól, od wiatrów, spróchniałe, gryzione przez odpływy, jakie się sączyły z farbiarni, gęsto rozrzuconych w tej stronie, obłamywane, zapomniane konały z wolna w tragicznej melancholii opuszczenia i smutku (Reym., s. 124).

Wśród nowej zabudowy istniał więc jeszcze nie tylko niewielki kościółek, ale też i stare drewniane domy mieszczan trudniących się niegdyś pracą na roli, lub przynajmniej istniała jeszcze pamięć o nich[7]. Obaj dziennikarze jednak, z których jeden, A. Gliszczyński, jest również literatem i pierwszym piewcą Łodzi wielkoprzemysłowej, niewiele wiedzą o Łodzi rolniczej. Nie idzie tu o początki jej istnienia. Te można było odnaleźć już tylko w dokumentach i nie do wszystkich autorzy artykułu, jak widać z ich publikacji, mieli dostęp. Warto podkreślić jednak, że mieszkali wówczas w mieście ludzie, którzy doskonale pamiętali „żywą” Łódź rolniczą, jakkolwiek niepodobną do tej z przełomu wieków XVIII i XIX. Gdzie jednak szukać w ćwierćmilionowym mieście, którego mieszkańcy mówią różnymi językami, potomków mieszczan łódzkich, trudniących się niegdyś rolnictwem? Ta Łódź nie tyle uległa zapomnieniu, ile rozpłynęła się w wyniku gwałtownych zmian i napływu nowych mieszkańców.

1.1. Zanim stała się „ziemią obiecaną”. Łódź rolnicza

Łódź, skoro tylko wniknie się w historię miasta, była w przeszłości małym rolniczym miasteczkiem, co dziś mocno się podkreśla. Bez większego trudu, jak się wydaje, można powiedzieć, dlaczego – po prostu dlatego, że mieszczanie łódzcy trudnili się rolnictwem (źródłem ich utrzymania, czy też jednym ze źródeł, była praca na roli). Problemów już jednak nastręczą odpowiedzi na pytania: czym, w takim razie, Łódź różniła się od wsi, a życie mieszczan od życia chłopów? Dlaczego była miastem, skoro jej mieszkańcy byli także rolnikami? Czy zadecydowały

[7] Ślady Łodzi rolniczej widoczne są zresztą do dziś w Śródmieściu w ukośnych, załamanych pod pewnym kątem podwórkach – na przykład przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Zielonej oraz powstałych później przy ul. Wólczańskiej. Innym przykładem może być załamująca się w pewnym miejscu i biegnąca dalej ukośnie ul. 1 Maja, zwana najpierw Pasażem Szulca. Odzwierciedlają one dawne podziały i stosunki agrarne; takich przykładów mamy zresztą w mieście znacznie więcej, choćby na Bałutach, gdzie dzisiejsze ulice wyrosły wprost z dawnych miedz dzielących pola mieszczan.

o tym tylko prawa miejskie? Jak w ogóle wyglądało życie w miasteczku i na całym obszarze dzisiejszej Łodzi? Jak wyglądał ten obszar zanim stał się on wielkoprzemysłowy i wielkomiejski? Czy Łódź różniła się od innych, sąsiadujących z nią miast? Co to znaczy, że miasto stanowiło czyjąś własność?

Źródłem wiedzy na temat tego okresu miasta może być artykuł A. Stebelskiego z 1930 r. *Łódź i klucz łódzki u schyłku* [*pierwszej*] *Rzeczypospolitej*[8]. To naukowe ujęcie historii Łodzi rolniczej może pełnić taką samą funkcję dla miłośnika miasta, jak pochodzący z 1853 r. *Opis miasta Łodzi* O. Flatta[9] w odniesieniu do jego wczesnoprzemysłowego okresu oraz przewodnik S. Gorskiego z roku 1904, *Łódź spółczesna. Obrazki i szkice publicystyczne*[10], ukazujący miasto okresu wielkoprzemysłowego. Zasadnicza różnica pomiędzy obrazem A. Stebelskiego a wizerunkami O. Flatta i S. Gorskiego wynika z możliwości bezpośredniego oglądu, jakiego mogli doświadczyć warszawscy dziennikarze. A. Stebelski był go pozbawiony, gdyż Łódź jako miasteczko rolnicze nie istniała przecież w chwili powstawania artykułu od ponad stu lat. Możliwość tę zastąpił autor staranną kwerendą archiwaliów, do których od 1923 r. jako pracownik Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie i historyk miał dostęp. Tak więc pod względem rzetelności opisu obraz A. Stebelskiego nie ustępuje pracy obu dziennikarzy, wspomnieć wszakże wypada, że wszystkie przywołane tu publikacje obciążone są z punktu widzenia dzisiejszych badań drobnymi usterkami. Stanowią jednak również źródło wiedzy, którego nie można przecenić. Drugą istotną różnicą pomiędzy wymienionych opracowaniami jest czas istnienia form miejskich, które są przez nie prezentowane. Łódź okresu wczesnoprzemysłowego u O. Flatta i wielkoprzemysłowego u S. Gorskiego liczyła zaledwie około trzydziestu–czterdziestu lat. Łódź rolnicza trwała niemal cztery stulecia. Artykuł A. Stebelskiego ukazuje jej obraz z końca XVIII w. Nie ma to jednak większego znaczenia – miasteczko w ciągu całego swojego istnienia ulegało niewielkim zmianom, dodać należy, że na gorsze. Nie były one jednak aż tak znaczne, by w Łodzi XVIII w. nie można było odnaleźć i zobaczyć tej z początków wieku XVI. Nigdy zresztą Łódź rolnicza nie miała zadatków na wielki ośrodek (o czym dalej), przeżyła jednak rozkwit w pomyślnych dla Rzeczypospolitej czasach. Przerwały go wojny i nieszczęścia, które były udziałem państwa, a pożary i epidemie

[8] A. Stebelski, *Łódź i klucz łódzki u schyłku* [*pierwszej*] *Rzeczypospolitej*, „Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego" 1929–1930, t. 2 (1930), s. 57–159.

[9] O. Flatt, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853.

[10] S. Gorski, *Łódź spółczesna. Obrazki i szkice publicystyczne*, Warszawa 1904.

dopełniły zniszczenia. Praca A. Stebelskiego może być dla miłośnika Łodzi interesująca również z tego powodu, że ukazuje niemal cały obszar, na którym rozłożone jest dzisiejsze miasto. We wstępie do artykułu autor zaznacza, że zbyt wąskie koło obserwacji, jakie stanowiła Łódź, uniemożliwia snucie uogólnień, dlatego postawił sobie za zadanie możliwie szczegółowe zobrazowanie wszystkich jednostek wchodzących w skład klucza łódzkiego (Steb., s. 57). Znajdziemy więc w artykule ciekawe informacje o mało znanych formach życia gospodarczego, które istniały na terenie dzisiejszej Łodzi. Wiemy, na przykład, o istnieniu kilku młynów, nieobce są nam też ich nazwy, jak jednak wyglądały – to stanowi już zagadkę. Przeciętny łodzianin zainteresowany historią miasta potrafi również powiedzieć, że w Łodzi znajdowały się karczmy, choćby ze względu na konflikt interesów pomiędzy karczmą proboszczowską a innymi, usytuowanymi w jej bliskim sąsiedztwie. Z pewnością jednak mało kto wie o istnieniu folwarku proboszczowskiego, z dzisiejszej perspektywy tak samo egzotycznego jak proboszczowska karczma, oraz wójtostwa i folwarku starowiejskiego, stanowiących własność biskupów kujawskich i odgrywających w życiu Łodzi i jej mieszkańców ważną rolę. W pracy A. Stebelskiego znajdziemy również informacje na temat nieistniejących już miejscowości, na przykład o Wólce – wsi, po której jedyny ślad pozostał w nazwie ul. Wólczańskiej[11].

Jakież więc miasteczko widzimy u A. Stebelskiego? W ogólnym zarysie przestrzennym niemal dokładnie takie samo, jaki posiada dzisiejsza Starówka, wraz z ulicami-drogami, położeniem kościoła mariackiego i Starego Rynku. Nie ma już, co oczywiste, folwarku proboszczowskiego, karczmy ani kuźni, rzeki czy też rzeczki, mostów (mostków) na niej, przynajmniej dwóch – jak twierdzi A. Stebelski, młyna i długiego, zamulonego stawu przymłyńskiego. Miasteczko rozlokowało się wzdłuż traktu piotrkowskiego i rozpięte było pomiędzy ulicami: Brzezińską (Wojska Polskiego), Lutomierską, Nadrzeczną, Drewnowską i Wolborską. Na południu zamykała je rzeka i wspomniany staw. Na północy graniczyło z Bałutami. Otaczały je lasy, rzadziej obszary bagienne porośnięte typową dla nich roślinnością oraz wąskie poletka uprawne mieszczan, wmieszane często w pola innych właścicieli.

Łódź posiadała zabudowę drewnianą. Dachy domów i budynków gospodarczych pokryte były najczęściej słomą, rzadziej gontem. Nieco więcej o wyglądzie rolniczego miasteczka dowiemy się z pracy B. Bara-

[11] Zaledwie sto lat temu Wólką nazywano okolice ul. Czerwonej, zamieszkane przez ludność niemiecką (informacje na temat Wólki jako „dzielnicy” Łodzi znajdziemy w *Julce* Wł. Rowińskiego). Niewiele trzeba było czasu, by o tym zapomnieć. Dziesięć lat temu Wólkę kojarzono z łódzkimi zakładami włókienniczymi „Wólczanka”, a o wsi mówiono, że jest wsią zagubioną i nie wiadomo dokładnie, gdzie leżała.

nowskiego[12], trzeba wszakże zaznaczyć, że ze względu na brak odpowiednich źródeł wiedzę o nim autor budował często poprzez analogię do istniejących przekazów z miejscowości sąsiednich. Można więc przypuszczać, że domy mieszczan łódzkich niewiele różniły się od chłopskich, ale dla odróżnienia od nich sytuowane były frontem (wejściem) do drogi. Składały się najczęściej z sieni, izby i komory. Były parterowe, czasem posiadały wykorzystywaną latem, nieopalaną izdebkę na poddaszu. W głównej izbie znajdowały się jedno lub dwa nieduże okienka oszklone malutkimi szybami albo w ich zastępstwie pęcherzami lub papierem. W niewielkie otwory okienne zaopatrzona była również sień i komora. Domy bogatszych mieszczan, zwykle obszerniejsze, budowano w centrum miasta, blisko rynku. Posiadały podmurówkę z kamienia i na wzór domów szlacheckich ganek. Składały się z dwóch izb; w jednej z nich znajdował się niekiedy warsztat rzemieślniczy lub szynk. Drewnianą podłogę zastępowała jednak najczęściej polepa z gliny.

Domy mieszczan nie były bogato wyposażone. Całe umeblowanie głównej izby stanowiły stoły, stołki, ławy służące do siedzenia i spania, oraz skrzynie, w których mieszczanie trzymali odzież. Łóżka i szafy pojawiły się dopiero w XVIII w. Do przechowywania żywności służyły stojące najczęściej w komorze lub sieni szafarnie (skrzynie). Meble były proste, zwykle domowej roboty, rzadko pomalowane lub ozdobione. Wyposażenie domów biedoty przedstawiało się jeszcze skromniej. Stołki zastępowały zwykłe pieńki, a odzież składano w wydrążonych pniach drzew. Ważną rolę w mieszczańskich domach odgrywały budowane z gliny i kamienia piece chlebowe oraz kuchnie do gotowania posiłków. Wierzch kuchni stanowiła nalepa z gliny, na której gospodynie trzymały garnki. Naczynia kuchenne rozstawiały natomiast na specjalnych półkach. Obok pieca chlebowego znajdował się zwykle piec do ogrzewania z zapieckiem, na którym sypiali niektórzy członkowie rodziny. Poza tym w każdym domu można było spotkać różnej pojemności naczynia drewniane lub słomiane[13]. Gospodynie przygotowywały posiłki w glinianych garnkach, czasem używały żelaznych kociołków. Zastawę stołową stanowiły gliniane misy i drewniane łyżki. W domach bogatych mieszczan znajdowały się ponadto cynowe misy, półmiski i wazy, które traktowano jako lokatę kapitału. Pościeli łodzianie nie mieli wiele. Stosy poduszek

[12] B. Baranowski, *O dawnej Łodzi*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1976.

[13] Były to kłody (naczynie wydrążone z pnia drzewa) do kiszenia kapusty, mniejsze kłódki, stągwie (duże, wysokie zbiorniki na wodę o szerokim dnie, zaopatrzone w uchwyt), beczki, słomiany (pojemniki ze słomy do składowania ziarna), fasy (pojemne naczynia drewniane do przechowywania produktów spożywczych) i dzieże (pojemniki do rozczyniania mąki i wyrastania ciasta chlebowego, wykonane z drewnianych klepek otoczonych obręczą, czasem zakrywane pokrywą wyplecioną ze słomy).

ułożone na ławie, czasem na łóżku, świadczyły o zamożności gospodarzy. Niewiele też było bielizny pościelowej; wyrabiano ją najczęściej z lnianego płótna (Baran., s. 57–60, 62–64). Trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z domostwem chłopskim, które dziś możemy zobaczyć jeszcze w skansenie.

W mieszczańskich obejściach, prócz domu, znajdowały się: obora, stajnia, chlewiki i kurniki, stanowiące często jeden budynek, oraz stodoła. Dla bezpieczeństwa stodoły budowano często z dala od miasta[14]. Przezorność mieszczan była uzasadniona – pożary strawiły niejedną miejscowość o drewnianej zabudowie, kilkakrotnie niszczyły też Łódź. Poza kościołem i karczmą w miasteczku nie istniał pod koniec XVIII w. żaden budynek użyteczności publicznej. Wcześniej znajdował się w Łodzi ratusz, szkoła parafialna oraz szpital, czyli przytułek dla starców i kalek. Jak stwierdza S. Muznerowski, kościół istniał już zanim lokowano miasteczko, „za biskupa Zbiluta Galanczewskiego [Zbyluta z Wąsosza], który zasiada na stolicy biskupiej pomiędzy rokiem 1364 a 1368” (Muzn., s. 46). Niewiele wiemy o samym budynku. Zapewne było ich kilka. Kiedy zachodziła taka potrzeba, łodzianie rozbierali stary kościół i przenosili jego wyposażenie do nowego wnętrza. Drewna było wszak pod dostatkiem. Uwagi wizytujących parafię biskupów lub ich przedstawicieli świadczą, że dom Boży znajdował się zwykle w stanie zaniedbania. Biskup Rozdrażewski, przybywszy do Łodzi w 1595 r., by wybierzmować w parafii 146 wiernych, „W kościele znalazł nieporządek do tego stopnia, że po nim kury swobodnie chodziły” (Muzn., s. 49). Podobnie było w 1633 r. kościół znajdował się w lepszym stanie, ale na ołtarzu leżały brudne obrusy, a Najświętszy Sakrament był przechowywany w brudnym korporale (Muzn., s. 50). Także stan cmentarza otaczającego kościół pozostawiał wiele do życzenia. Przede wszystkim był źle ogrodzony, a cmentarna kostnica posiadała lichy dach i jedną ścianę w ruinie (Muzn., s. 50). Wizytacja kościoła z 1718 r. przynosi inne ciekawe informacje. Muznerowski pisze, że Bałuty, Doły i Lipinki są pustkowiami, co zdaje się świadczyć o degradacji gospodarczej tego obszaru. Warto też przytoczyć, ponieważ mało wiemy o życiu w rolniczej Łodzi, uwagi łodzian na temat proboszcza. Co do „[…] prowadzenia się plebana i jego gorliwości wezwani mieszczanie oświadczyli, że jest pilnym w sprawowaniu Św[iętego] Sakramentu, ale przy spowiedzi wymaga od ojców rodzin Świętopietrza, że się upija i lubi przeklinać, że

[14] Do II wojny światowej ul. Stodolną lub Stodolnianą zwano przylegające do Starego Miasta odcinki dzisiejszych ulic Wojska Polskiego i Zachodniej. Była to pamiątka po Łodzi rolniczej. Dziś jest nią także nazwa ul. Ogrodowej, przede wszystkim jednak układ przestrzenny Starego Miasta oraz nazwy ulic odchodzących od ulicy Piotrkowskiej: Drewnowskiej, Nadrzecznej i Wolborskiej. Tak więc nie tylko stary kościółek pw. św. Józefa jest pamiątką po Łodzi rolniczej.

lży mieszczan z ambony i że za śluby drogo bierze". Plebanowi nakazano później (między innymi): „od ślubów nie zdzierać, przy spowiedzi wielkanocnej nie pobierać od ojców rodzin [...] Świętopietrza i to pod grozą kary. Od upijania się i złorzeczenia z ambony [...] odzwyczaić" (Muzn., s. 54–55).

Niezwykle ważną funkcję odgrywała w Łodzi szkoła. Jej znaczenie wśród mieszczan poświadcza nazwanie w XVI w. jednej z ulic Szkolną. S. Muznerowski stwierdza, że szkoła parafialna istniała jeszcze w 1754 r., a uczył w niej Michał Zajączkowicz. Pierwotnie mieściła się w domu należącym do plebana (później znajdowała się w domu wikarego), o czym świadczą dokumenty z 1633 r.; istniała z pewnością wcześniej (Muzn., s. 29). Uczono w niej – jak stwierdza Henryk Samsonowicz – tego, co łączyło się z potrzebami kościoła: „pewnych łacińskich zwrotów, liczenia, bo oktawa Bożego Ciała czy 40 dni Wielkiego Postu wymagały umiejętności arytmetycznych. Wydaje się, że na zamówienie zainteresowanych uczono również pisania, które stawało się niezbędne w życiu zawodowym"[15]. Szkoła działała dość prężnie, wielu mieszczan bowiem potrafiło własnoręcznie się podpisać (o ile na samym podpisie nie poprzestawano), co poświadczają księgi miejskie. Umiejętność tę w wieku XVIII posiadali już nieliczni. Wśród dzieci mieszczan uczyli się również przyszli studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, spośród których najsłynniejsi są bracia Rożkowicowie lub Rożkowiczowie[16]. Pod koniec XVIII w. szkoły w miasteczku już nie było i otwarto ją dopiero w 1806 r. z nakazu władz pruskich. Prowadził ją Andrzej Awatka, a obowiązek utrzymania szkoły i nauczyciela spadł na mieszczan łódzkich, czym nie byli zachwyceni. Z jakichś powodów nie lubili nauczyciela. Ponieważ nie płacili składek i nie posyłali dzieci do szkoły, przestała ona istnieć[17].

Inną ważną instytucją w mieście był szpital (przytułek). Powstał dzięki biskupowi Hieronimowi Rozdrażewskiemu, który odwiedziwszy Łódź

[15] *Kiedy w Łodzi wypasano owce*, rozmowa z Henrykiem Samsonowiczem (rozmawiał Z. Dominiak), „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 11.

[16] Starszy z braci Rożkowiczów, Paweł, został profesorem uczelni, a także kanonikiem w kolegiacie św. Floriana, we wsi Kleparz. W 1586 r. uczynił zapis, zgodnie z którym procenty z pożyczonej trzem łodzianom kwoty 200 bitych florenów będą przeznaczone na stypendia dla niezamożnej łódzkiej młodzieży, kształcącej się w Akademii Krakowskiej, oraz na posagi dla ubogich dziewcząt, które chciały wstąpić w związki małżeńskie. Młodszy z braci Rożkowiczów, Piotr, otrzymał w 1578 r. katedrę na wydziale atrium, a 7 lat później został dziekanem tego wydziału i pełnił funkcję kanonika kolegiaty św. Anny, a następnie kanonika kościoła św. Floriana. W tym czasie administrował też dobrami Akademii Krakowskiej. Za: *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 1, s. 26 (www.uml.lodz.pl/get.php?id=115, dostęp: 10.12.1012).

[17] *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 3, s. 66 (www.uml.lodz.pl/get.php?id=117, dostęp: 10.12.1012).

w 1594 r., polecił, by z jego funduszy pobudowano przytułek dla starców i kalek (Muzn., s. 31). W 1633 r. ten ważny przybytek borykał się z trudnościami finansowymi, nadal jednak dawał schronienie potrzebującym; w 1718 r. posiadał nawet ogród. Niedługo później budynek rozpadł się ze starości (Muzn., s. 32). A. Stebelski stwierdza, że przytułku w badanym przez niego okresie już nie było. Z pracy J. Mączyńskiego, poświęconej nazwiskom łodzian, możemy się dowiedzieć, że istniał jeszcze w roku 1752. W części słownikowej jego pracy znajdziemy przytoczony za dokumentami fragment zdania: „Anna Francuzka Mendicances de Hospitali” (1752)[18].

Nieco więcej o budowlach miasteczka mówi B. Baranowski. Pod koniec lat osiemdziesiątych XVI w. został wzniesiony drewniany ratusz. Znajdowały się w nim m.in. izba służąca do odbywania narad, karczma i jatki. Z jakichś względów nie spełniał jednak swojej funkcji i nadal obradowano w prywatnym domu. Poza ratuszem, kościołem, szkołą, przytułkiem i karczmami Łódź posiadała jeszcze więzienie – zbitą z drewnianych bali niewielką budkę o zakratowanym okienku i okutych drzwiach. Większe nie było potrzebne. Zwykle przetrzymywano w nim przez kilka dni awanturników i osobników nieokazujących szacunku władzom miejskim. Czasem osadzano chłopów z okolicznych wsi[19]. Za lżejsze przewinienia oskarżony otrzymywał zasądzoną przez władze miejskie porcję plag – karę chłosty w miejsce poniżej pleców i (lub) karę pieniężną. Tę ostatnią można było zamienić na plagi, z czego mieszczanie chętnie korzystali, nie przynosiły bowiem nikomu ujmy. Niekiedy osądzony zmuszony był odbyć publiczną pokutę w kościele. W cięższych

[18] J. Mączyński, *Nazwiska łodzian (wiek XV–XIX)*, Łódź 1970, s. 61.

[19] Życie w rolniczym miasteczku płynęło na ogół spokojnie. Czasem wybuchały jakieś skandale obyczajowe, burdy, sporadycznie zdarzały się zabójstwa. Mieszczanie łódzcy byli zwykłymi ludźmi, toteż popełniali takie „przestępstwa”, jak np. obrzucenie kogoś wyzwiskami albo wystąpienie przeciwko szóstemu przykazaniu. W takich wypadkach kobiety były karane surowo, czasem musiały odbywać pokutę w kościele, nawet publicznie wyrzucano je z miasta, co było widowiskiem i wydarzeniem także dla chłopów z okolicznych wsi. Zdarzały się jednak i poważniejsze przewinienia. Na przykład w 1534 r. miejscowy bakałarz, będąc pod wpływem alkoholu, napadł na mieszczanina łódzkiego Sebastiana Zasadkę z nożem w ręku. Ponieważ nauczyciel uciekł, władze miasteczka surowo ukarały jego dwóch braci, uznając, że ponoszą odpowiedzialność za to, co się dzieje w rodzinie. Innym razem, w 1642 r., kilku mieszczan wraz z wójtem ukradło z biskupiego lasu wszystkie dorodne drzewa. Pikanterii wydarzeniu dodają okoliczności kradzieży – działo się to w czasie, gdy duchowieństwo łódzkie i mieszczanie żegnali uroczyście arcybiskupa Macieja Lubińskiego, który przenosił się na stolec arcybiskupi w Gnieźnie. W 1667 r. chłopi z łagiewnickich dóbr dotkliwie pobili znienawidzonego podstarostę J. Misowicza, prawdopodobnie szlachcica. Jedną z bardzo głośnych spraw było zabójstwo w XVII w. w tajemniczych okolicznościach wpływowego i zamożnego mieszczanina Pawła Kubowicza. Za: *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 2, s. 41–45 (www.uml.lodz.pl/get.php?id=116, dostęp: 10.12.1012).

przypadkach przestępcę po wychłostaniu wypędzano z miasta lub sprowadzano kata (Baran., s. 94–95). Egzekucje odbywały się w miejscu publicznym, na rynku przed ratuszem i Rynek Staromiejski był również ich niemym świadkiem.

W interesującym nas okresie Łódź nie wyróżniała się niczym spośród otaczających ją wsi – ani wielkością, ani zabudową i znaczniejszym jej wyglądem, ani też jakąś szczególną dbałością o miasto. Cechowała ją tylko charakterystyczna zabudowa – zwarte skupisko domów wokół placu targowego i wychodzących z niego ulic (Steb., s. 62). Powszednie zajęcie mieszczan stanowiła praca na roli. Ich gospodarstwa nie były zbyt duże, nastawione głównie na hodowlę zwierząt, dla których o paszę nie było trudno. Handel nie rozwinął się na szerszą skalę, gdyż nie było ku temu odpowiednich warunków; nie zajmował też mieszczan w szczególny sposób. Również rzemiosło nie osiągnęło takiego poziomu, by stanowić główne źródło utrzymania; w miasteczku istniało zaledwie kilkanaście małych warsztatów. B. Baranowski wspomina, że spośród wszystkich rzemieślników[20] jedynie kołodzieje, zajmujący się wyrobem wozów konnych, znani byli daleko poza granicami miasta (Baran., s. 75–97). Liczba warsztatów rzemieślniczych uległa pod koniec XVIII w. wydatnemu zmniejszeniu i A. Stebelski pisze już tylko o stelmachach, garbarzach, ślusarzu, krawcu, szewcu i stolarzu.

Życie Łodzi rolniczej skupiało się wokół targowiska, które stanowiło ważne miejsce dla jej mieszkańców, a także dla ludności najbliższej okolicy. Miasteczko było ośrodkiem dla wsi i osiedli oraz dla wsi niebędących własnością biskupów kujawskich, czyli Retkini, Chojen, Stoków, Bałut, Rogów, Rokicia, Dołów, Lipinek, Radogoszcza i Brusa, a nawet siedziby sąsiedniej parafii, Mileszek (Steb., s. 82). Wsie te były silnie związane z Łodzią, gdyż stanowiła dla nich centrum parafialne i handlowe. Potrzeby okolicy były jednak skromne i nie wpływały wydatnie na dochody mieszczan. Łodzianie utrzymywali również kontakty z innymi miejscowościami, także z pobliskimi miastami (Steb., s. 86). Umożliwiała je rozbudowana sieć dróg lokalnych, wśród których istniało wiele dogodnych i dobrej – jak na ówczesne warunki – jakości. Ważne krajowe połączenia komunikacyjne z dużymi ośrodkami miejskimi omijały jednak Łódź, co niekorzystnie wpływało na jej gospodarkę, nie była ona wszakże pozbawiona kontaktu ze światem i posiadała drogi, dzięki którym jej mieszkańcy mogli do tych ośrodków dotrzeć (Steb., s. 82–91).

A. Stebelski stwierdza, że Łódź nie była w pełni miastem ze względu na bardzo słabo rozwinięte funkcje gospodarcze i brak typowych form

[20] Byli wśród nich młynarze, rzeźnicy, krawcy, szewcy, garbarze, kuśnierze, kowale, ślusarze, cieśle, stolarze, bednarze, garncarze, gontarze, piekarze, kramarze, stelmachowie.

życia miejskiego. Miały na to wpływ: słabe zaludnienie okolicy, jej niska kultura materialna, zbytnie zgęszczenie osiedli miejskich w tych stronach oraz brak inicjatywy i kapitałów. Łódź nie była też wsią, ponieważ zbyt ją absorbowały funkcje miejskie, by wytworzyć duże gospodarstwa rolne, jakie istniały w okolicznych wsiach (Steb., s. 109). Obraz przyczyn, dla których Łódź nigdy nie osiągnęła znaczniejszego stopnia rozwoju, nie byłby jednak pełny, gdybyśmy pominęli wydarzenia dziejowe. Tak samo, jak inne miejscowości tego obszaru, ucierpiała ona w wyniku najazdu szwedzkiego w latach 1660–1665. Wówczas część mieszkańców uciekła, innych wymordowano, a miasto zostało złupione i spalone. Kolejne nieszczęście dotknęło łodzian podczas rokoszu Lubomirskiego. Nie oszczędziły ich też wojny Augusta II ze Szwecją. W takim samym stopniu byli łupieni przez wojska szwedzkie, saskie, zwolenników Augusta II Mocnego albo też Stanisława Leszczyńskiego i ich stronników. Dały się odczuć również skutki wojny o sukcesję po śmierci Augusta II, a później okres konfederacji barskiej. Wreszcie – dotkliwym ciosem dla rozwoju Łodzi był pożar w 1572 r. Ogień zniszczył wówczas połowę miasta. Poważne straty przyniosły pożary w 1666 i 1722 r.[21]

Zadaliśmy wcześniej pytanie, co stanowiło o tym, że Łódź była własnością prywatną. Otóż, jak stwierdza A. Stebelski, pan klucza, biskup kujawski, posiadał pełnię władzy nad ludnością osiadłą w jego dobrach i pełnił ją w takim zakresie, jak w państwie władza państwowa. Nikt poza nim i osobami przez niego upoważnionymi nie miał nad tą ludnością prawa nadzoru, nie posiadały go również władze państwowe (Steb., s. 151). Ponieważ swojej władzy biskupi kujawscy nie mogli sprawować bezpośrednio, dlatego na miejscu, w Łodzi, ich funkcję pełnił wskazany przez nich przedstawiciel. Był nim dzierżawca klucza. Jego siedziba znajdowała się w kwadracie dzisiejszych ulic Pomorskiej, Kilińskiego, Północnej oraz Solnej i nazywano ją dworem. O znaczeniu dzierżawcy i jego siedziby świadczy jedna z nazw ul. Wolborskiej. Zwano ją w pewnym okresie ul. Dworską. Była to nazwa typowa i charakterystyczna, utworzona od ważnego obiektu, stanowiącego w terenie punkt orientacyjny. Siedziba dzierżawcy z pewnością nim była. Nie powinniśmy też spodziewać się żadnego wspaniałego budynku – dworem nazywano w tym czasie każdy okazalszy budynek, a nawet tylko zwykły dom ważnej osoby.

Zakres kompetencji administracyjnych i sądowych dzierżawcy był bardzo szeroki, działał on jednak tylko w imieniu i zastępstwie biskupa. Sprawował więc bezpośredni nadzór nad miastem i wsiami, zatwierdzał wybór władz miejskich oraz doglądał wykonywania przez nie obowiąz-

[21] Por. *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 4, s. 41 (www.uml.lodz.pl/get.php?id=118, dostęp: 10.12.1012).

ków, gdy zachodziła taka potrzeba, dawał im zlecenia i zezwolenia. Dzierżawca sprawował również sądownictwo w sprawach spornych, doglądał opieki nad małoletnimi, dbał o przestrzeganie porządku i obyczajności w obrębie klucza. Udzielał czasem zezwoleń na budowę młynów i puszczał je w dzierżawę. Stał na straży interesów swego mocodawcy (Steb., s. 152–153). Ostateczna decyzja należała jednak do właściciela dóbr, dlatego w sprawach spornych poddani biskupów kujawskich mogli się do nich odwoływać i z tego prawa korzystali.

Swój status miasta Łódź zawdzięczała więc przede wszystkim prawom miejskim. Posiadała typowe dla miast kompetencje w zakresie prawa materialnego, organizacji sądowej, administracyjnej i gospodarczej. Administracja i sądownictwo znajdowało się w rękach urzędu burmistrzowskiego oraz wójtowskiego. Pierwszy urząd tworzyli burmistrz i czterej rajcy, drugi – landwójt i ławnicy, zwani także rajcami landwójtowskimi. Oba urzędy pochodziły z wyboru przez ogół obywateli, czyli pospólstwo, i wymagały zatwierdzenia ze strony dworu (Steb., s. 153). Burmistrz z radą był przedstawicielem miasta i jego samorządu. Do niego należały wszystkie sprawy dotyczące bezpieczeństwa i administracji, a także sądownictwo niesporne, czyli sprawy związane z kupnem i sprzedażą gruntów, placów i budynków, z zapisami oraz darowiznami i testamentami. Wszelkie zmiany praw własności były odnotowywane w księgach burmistrzowskich, podobnie jak transakcje czasowe, pożyczki, spłaty należności, poręki i areszty (zajęcia mienia z tytułu niewykonania zobowiązań). Urząd burmistrzowski rozpatrywał także spory pomiędzy mieszczanami, wtedy był jednak krępowany przez sąd dworski lub przez obecność dzierżawcy podczas rozpatrywania tych spraw. W sądownictwie niespornym obok urzędu burmistrzowskiego uczestniczył zazwyczaj także urząd wójtowski. Jego udział był obowiązkowy jednak tylko w sprawach dotyczących zmiany właściciela nieruchomości oraz podczas zastawiania nieruchomości. Do zadań urzędu wójtowskiego należało rozstrzyganie spraw spornych, w których mógł uczestniczyć dzierżawca. Czasem tworzono nawet specjalny komplet sądowy. Dodajmy, że wójtostwo znajdowało się przy dzisiejszej ul. Sterlinga, pomiędzy ul. Rewolucji 1905 r. i Jaracza[22]. W samorządzie miejskim tego czasu niemałą rolę odgrywało także pospólstwo, czyli ogół obywateli miasta. Zwoływano je w celu dokonania wyboru urzędów miejskich oraz przyjmowania obcych do obywatelstwa miejskiego. Zebrania pospólstwa służyły prawdopo-

[22] Dawne miejskie urzędy dziedziczne, a do takich zaliczały się wójtostwa w XVII i XVIII w., straciły swój właściwy charakter, zachowały natomiast pewne gospodarcze funkcje. Przeobraziły się w maleńkie, dożywotnie dzierżawy, które nadawano zwykle niezamożnej szlachcie, zasłużonej wobec biskupa, któregoś z dostojników kościelnych lub przez nich protegowanej.

dobnie także zasięganiu opinii mieszczan w ważniejszych sprawach (Steb., s. 154–156).

Nie trzeba być znawcą historii, by na podstawie tej prezentacji stwierdzić, że Łódź nie odznaczała się ani dodatnio, ani ujemnie na tle innych miast rolniczych Polski. Potwierdza to zresztą sam A. Stebelski:

> [Łódź] zajmowała miejsce pośrednie pomiędzy [...] [leżącym niedaleko] Kazimierzem a Zgierzem i w zestawieniu z innymi okolicznymi miastami była niedużym wprawdzie miasteczkiem, ale nieodcinającym się w gruncie rzeczy ani wielkością, ani też większym zaniedbaniem lub upośledzeniem. Nie była ona, jednym słowem, unikatem, choć słaby jej rozwój znajdował uzasadnienie nie tylko w ogólnych warunkach politycznych i gospodarczych kraju, powstrzymujących rozwój miast w ogóle, ale także i w warunkach lokalnych (Steb., s. 88).

A. Stebelski wskazuje na lesistość okolicy, niezbyt urodzajne gleby, słabe zaludnienie, brak dających się łatwo eksploatować bogactw naturalnych oraz dostatecznej łączności ze światem. Również organizacja administracyjna i sądownicza Łodzi u schyłku Rzeczypospolitej była taka sama, jak w innych, na wpół rolniczych miastach ówczesnej Polski (Steb., s. 156). Na sytuację Łodzi nie wpłynęło również znacząco to, że była własnością prywatną i nie uczestniczyła w związku z tym w przemianach, jakim uległo życie polskie w ostatnich trzydziestu latach istnienia dawnej Rzeczypospolitej (Steb., s. 62). Zapóźnień obejmujących okres życia jednego pokolenia nie można wszakże uznać za szczególnie znaczące, zwłaszcza że wszelkie zmiany następowały wówczas nieśpiesznie.

Łódź okresu rolniczego była więc miasteczkiem niczym się zgoła pod żadnym względem nieróżniącym od innych tego typu miejsc w pierwszej Rzeczypospolitej. Dlaczego więc postrzegana była, i jest także dzisiaj, jako miejsce zagubione i odcięte od świata? Już wcześniej stwierdziliśmy, że na tle tej biedy i zagubienia niezwykle efektownie odcina się dalsza jej historia. Niewątpliwie jest to bardzo pociągająca wizja przemiany miasta, tak spektakularna, jak przeobrażenie Kopciuszka w piękną królewnę albo brzydkiego kaczątka w łabędzia. W jakiś sposób uległ jej nawet W. Dłużniewski, choć nie krył niechęci do nowej, fabrycznej Łodzi i bliższa mu była jej stara, swojska forma:

> Przed wielu laty, w odmienne czasy,
> Przyszłą osadę kryły tu lasy,
> A pośród lasu licha mieścina,
> Że ledwo kościół ją przypomina
> Dziś swym ubóstwem.
>
> (Dłużn. Paw., s. 8)

Podobnie przedstawił ją O. Flatt, choć u niego obraz ten nie dziwi – był wszakże zafascynowany Łodzią przemysłową: „Przed laty trzydziestu, w obrębie ziemi Łęczyckiej, wśród dziewiczych dokoła lasów, drzemała snem zapomnienia nędzna mieścina. [...] mały, brudny rynek i z niego rozpryśniętych kilka ulic, biednie i rzadko zabudowanych, były przytułkiem kilkuset mieszkańców z rolnictwa byt utrzymujących; handel żaden, bo miasteczko żyło samemu sobie" (Flatt, s. 9). Pedagog i historyk Andrzej Zand, pisząc o Łodzi już po omawianej wyżej publikacji A. Stebelskiego, stwierdza: „Była skromną, cichą, nędzną osadą wiejską, później miejską, odległą od wielkiego świata i jego rozlicznych zdarzeń i wypadków"[23].

Nie powinno to jednak dziwić, bo i sam A. Stebelski, udowadniając typowość Łodzi pośród innych miast rolniczych, przeczy sobie, pisząc: „Z dala od gwarnych ośrodków życia i ruchliwych traktów, zgubiona, rzec by można, wśród rozległych brzezińskich lasów, pozostała Łódź do końca Rzeczypospolitej nędznym miasteczkiem rolniczym" (Steb., s. 62). „Łódź stanowiła typowy na tle puszczy obraz zakątka, dalekiego nie tylko od wielkich zdarzeń politycznych epoki, ale nawet od wszelkiego świata zewnętrznego, poczynającego się tuż poza opłotkami i najbliższą okolicą" (Steb., s. 82). Nie udało się również uniknąć uproszczenia innemu historykowi, Józefowi Śmiałowskiemu. Pisząc o Łodzi przemysłowej, nie zajmuje się jej wcześniejszymi dziejami. Stwierdza tylko krótko: „O przeobrażeniu się średniowiecznej mieściny, liczącej pod koniec XVIII w. niespełna tysiąc mieszkańców, w metropolię przemysłu włókienniczego, liczącą wiek później 400 000 mieszkańców, zadecydowały czynniki gospodarcze [...]"[24]. Tę fascynację przemianą, ujętą nieco inaczej, widzimy również w przywołanym na początku rozdziału artykule A. Gliszczyńskiego i A. Mieszkowskiego: „Dziwnym na pozór wydaje się, iż mawiają o Łodzi: ona nie ma historii. [...] A jednak ma ona swoje dzieje, jeno odmiennymi niż wszystkie nasze miasta kreślone rysami. Tym oryginalniejszymi są te dzieje, że dotyczą jed[y]nego w swoim rodzaju ogniska fabrycznego krajowego [...]. Czy to powód dla odmawiania Łodzi historii?". W podobnym duchu pisze sto lat później regionalista i publicysta Mirosław Z. Wojalski: „Turystom odwiedzającym nasze miasto, ale i wielu łodzianom nie wiedzieć dlaczego wydaje się, że dzieje naszego miasta o krótkiej nazwie są też krótkie. Że Łódź jest miastem młodym, bez tradycji, bez zabytków, bez historii. [...] A szkoda. Łódź wszak, wbrew

[23] A. Zand, *Łódź*, Lwów 1933, s. 3–4.

[24] J. Śmiałowski, *Od narodzin do rozkwitu Łodzi przemysłowej. 1820–1870*, seria: „Biblioteczka Wiedzy o Łodzi", z. 4, Łódź 1973, s. 4.

powszechnemu acz błędnemu mniemaniu, ma przeszłość bogatą i niezwykłą”[25].

Na fascynację łodzian istnieniem rolniczego miasteczka można spojrzeć jeszcze inaczej. W przedmowie, za rozważaniami M. Eliadego o obecności archaicznych mitów w społeczeństwach współczesnych, zwróciliśmy uwagę, że u podstaw poszukiwania przez łodzian początków miasta w okresie jego gwałtownego, spektakularnego i niespotykanego rozwoju legł charakterystyczny dla społeczności archaicznych „mit początku”. Ten sam mit mógł również zaważyć na chęci „wydłużenia” historii Łodzi. Istnienie dwóch „początków” miasta wcale nie znalazłoby się we wzajemnej sprzeczności. Wręcz przeciwnie. Miasto byłoby w ten sposób podwójnie nobilitowane: współczesna Łódź posiadałaby początki w okresie gwałtownego rozwoju miasta, ale ono samo mogłoby się szczycić średniowiecznymi korzeniami.

[25] M. Z. Wojalski, *Kieszonkowa kronika dziejów Łodzi*, Widzewska Oficyna Wydawnicza „Zora”, Łódź 1998, s. 3.

2. Lirnik Łodzi rolniczej w fabrycznym miasteczku

Opis miasta Łodzi (1853), informator-przewodnik O. Flatta, oraz gawędę pisaną wierszem W. Dłużniewskiego, *Paweł Łodzia Kubowicz* (1857), uznaje się za pierwsze łódzkie utwory i od nich rozpoczyna datowanie „Łodzi literackiej". Możemy do nich dołączyć jeszcze *Wyprawę do Ameryki* (1858)[1], znaną nielicznym i nigdy nieopublikowaną sztukę W. Dłużniewskiego. Zarówno przewodnik warszawskiego publicysty, jak i gawęda oraz dramat łódzkiego nauczyciela i literata warte są głębszej uwagi nie tylko z tego powodu, że są poświęcone Łodzi, ani też dlatego, że obrośnięte patyną czasu, zyskały na wartości. Niezwykłość tych utworów objawia się w tym, że są świadectwem miejsca i czasów, w których powstały, fenomenu Łodzi – jedynego w swoim rodzaju miasta i jego niezwykłego rozwoju, przezwyciężającego kryzysy i rozkwitającego mimo trudności, a także różnych postaw wobec przemian, które w nim zachodziły. Są one również specyficznym dokumentem życia ówczesnej Polski i zarazem charakteru ludzi, którzy te utwory napisali.

Zanim przejdziemy do omówienia i wydobycia interesujących nas problemów z twórczości obu pisarzy, spróbujmy wyobrazić sobie, jak wyglądała Łódź za czasów pobytu w niej W. Dłużniewskiego i O. Flatta. Zadanie to nie jest łatwe. Zwykle koncentrujemy się na tym, że w przeciągu kilkudziesięciu lat, z niczego, na obszarach porośniętych lasem powstało wielkie miasto i cała jego infrastruktura, imperia przemysłowe, domy dla robotników, rezydencje i fabryki przemysłowców. Taka wizja Łodzi, choć jest fascynująca, nie jest prawdziwa. Przyczyniła się również do mylnych wyobrażeń o historii miasta. Podkreślamy też często, co budzi mniej wątpliwości, że inne miasta, by osiągnąć ten etap rozwoju, co Łódź, przygotowywały się setki lat, „gród bawełny" – zaledwie kilka dziesięcioleci. Nie jest to jednak obraz do końca prawdziwy, najczęściej bowiem

[1] A. Kowalska, *„Wyprawa do Ameryki. Quodlibet z żywych obrazów miasta Łodzi" Wiktora Dłużniewskiego*, „Prace Polonistyczne" 1969, seria XXV, s. 83–84.

mamy przed oczyma tylko śródmieście. Nie zastanawiamy się też, ile przeciwności musieli pokonać łodzianie – rdzenni mieszkańcy tych terenów i przybysze, ile trudów przezwyciężyć i jakie koszty ponieść, by wznieść najpierw Łódź rękodzielniczą, a później dopiero wielkoprzemysłową.

2.1. Początki Łodzi przemysłowej

Od czasu wytyczenia w latach 1821–1823 granic osady dla sukienników, czyli Nowego Miasta, do czasu osiedlenia się w Łodzi W. Dłużniewskiego minęło niewiele więcej niż dwadzieścia pięć lat. W tym właśnie czasie odebrany przyrodzie obszar powoli, dzięki ciężkiej i wytrwałej pracy, stawał się przyjazny dla osiedleńców[2]. Nowi mieszkańcy nie tylko zagospodarowali ziemię, lecz także zorganizowali od podstaw życie miasteczka. Ciągle zmieniał się również jego wygląd. Osadnicy napływali falami, nierzadko wyjeżdżali ci, którym się nie powiodło, przybywali na ich miejsce nowi, czasem zachęcani przez specjalnych wysłanników rządu Królestwa Polskiego. W Łodzi powstały w tym czasie zarówno nowe domy mieszkalne, budynki użyteczności publicznej oraz fabryki, jak i kolejne osiedla: Łódka i Nowa Dzielnica[3].

---

[2] Interesującą, literacką wizję napływu osadników do Łodzi znajdziemy w powieści I. J. Singera *Bracia Aszkenazy*: „Po piaszczystych drogach, prowadzących z Saksonii i Śląska do Polski – przez lasy, wsie i miasteczka, zburzone i spalone po wojnach napoleońskich, ciągnęły jeden za drugim wozy pełne mężczyzn, kobiet, dzieci i dobytku. [...] Wozy były rozmaite. Jedne szerokie, na ciężkich, wysokich kołach, zaprzężone w parę dobrych koni. Inne lekkie, sklecone byle jak, ciągnione przez jedną szkapinę. Inne znów jakby całe domy, ze ścianami i dachem [...]. Pomiędzy wozami przewijały się również małe wózki, zaprzężone w dwa duże psy lub ciągnione przez mężczyznę i kobietę, a popychane z tyłu przez dzieci. [...] Podobni do wozów byli ich właściciele. Na wozach-domach leżeli rozwaleni tłuści i brzuchaci Niemcy [...]. Koło nich krzątały się opasłe Niemki [...]. Właściciele mniejszych wozów byli tacy chudzi i spracowani jak ich szkapiny [...]. Zabiedzeni, zgłodniali i bosi byli ci najubożsi, którzy sami ciągnęli swoje małe wózki, albo zaprzęgli do nich psy. [...] Wszyscy jednak wędrowcy, bogaci czy ubodzy, wieźli jedną rzecz taką samą, a mianowicie drewniany tkacki warsztat. [...] Byli to tkacze z Niemiec, a po części z Moraw, jadący do Polski, aby się tu osiedlić. Bo w Niemczech było dużo ludzi, a nie było chleba. W Polsce zaś było dużo chleba, a nie było sukna" (Sing. I, s. 5–7).

[3] Ten okres w rozwoju Łodzi opracowano, o ile nie podano inaczej, na podstawie: *Łódź – dzieje miasta*, red. R. Rosin, t. I: *Do 1918*, red. B. Baranowski, J. Fijałek, PWN, Warszawa–Łódź 1980; *Łódź – monografia miasta*, red. S. Liszewski, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 2009; L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, cz. I–II, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000; A. Rynkowska, *Ulica Piotrkowska*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1970; O. Flatt, *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853, przedruk: Wyd. Grako, Łódź 2002; Piotr Machlański, *Szlak ulicy Piotrkowskiej*,

W 1820 r., u progu swej wielkiej przemysłowej kariery – czytamy w jednej z monografii miasta – Łódź liczyła 767 mieszkańców, Polaków i Żydów; jeszcze wówczas nie mieszkał tutaj ani jeden cudzoziemiec, a władze miejskie składały się zaledwie z kilku osób: burmistrza A. Czarkowskiego, dymisjonowanego napoleońskiego oficera strzelców konnych, pełniącego równocześnie obowiązki kasjera; jednego z dwóch honorowych [pracujących nieodpłatnie] ławników mianowanych w 1810, mianowicie: S. Gozdowskiego, byłego dzierżawcy dochodów konsumpcyjnych, zamożnego właściciela karczmy, kilku placów, gruntów rolnych, oraz tzw. sługi miejskiego T. Baranowskiego i stróża J. Wernera. Ci ostatni pełnili w mieście obowiązki porządkowo-policyjne, w czym nie napotykali większych trudności, znając osobiście niemal wszystkich mieszkańców. Bardziej wpływowe osoby: chirurg, akuszerka, nauczyciel[4], ksiądz i rabin[5] z tytułu wykonywanych zawodów pozostawały na ogół w zależności etatowej od władz miejskich, których prestiżu nie umniejszał fakt urzędowania w drewnianym budynku ratuszowym na Starym Mieście, służącym równocześnie jako biuro magistratu, prywatne mieszkanie burmistrza i areszt policyjny[6].

W 1823 r. przybyli do Łodzi sprowadzeni przez rząd Królestwa Polskiego pierwsi tkacze z Grünberga (Zielonej Góry), a rok później sukiennicy z Dolnego Śląska i Wielkiego Księstwa Poznańskiego oraz tkacze lnu

www.ulicapiotrkowska.pl/data/other/szlak_ulicy_piotrkowskiej.pdf (dostęp: 10.09.2012); P. Spodenkiewicz, *Zaginiona dzielnica żydowska – miejsca i ludzie*, Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1999; M. Budziarek, *Łodzianie*, Literatura, Łódź 2000.

[4] Wśród ważnych osobistości rolniczego ciągle jeszcze miasteczka A. Barszczewska-Krupa i P. Samuś, autorzy cytowanego wyżej rozdziału w monografii *Łódź – dzieje miasta*, wymieniają nauczyciela. Istniała więc w Łodzi szkoła dla Polaków. Należy tę narodowość już wyodrębnić, gdyż w ciągu pierwszych kilkunastu lat XIX w. znacznie rozrosła się obok niej liczba ludności wyznania mojżeszowego, która również dbała o rozwój swoich dzieci. Na początku XIX w. nauczycielami żydowskiej szkoły byli rytualni rzezacy – Lewek Heber i Pinkus Sonenberg. Nie wiadomo, czy istniał wówczas w Łodzi cheder (szkoła religijna), czy raczej mełamed uczył dzieci w synagodze, łącząc tę funkcję ze sprawowaną godnością kantora. Chedery, choć spełniały głównie rolę szkół religijnych, w życiu społeczności żydowskiej odgrywały także istotną rolę kształcącą. W spisie ludności z 1821 r., sporządzonym przy okazji przyjmowania przez rodziny wyznania mojżeszowego stałych nazwisk, znajduje się przybyły z Uniejowa nauczyciel Szmul Jakubowicz Grynsztayn. Może to oznaczać, że istniała wówczas szkoła żydowska. Warto podkreślić, że w okresie Łodzi rękodzielniczej pewna liczba dzieci żydowskich uczęszczała również do państwowej szkoły elementarnej. W 1820 r. na ogólną liczbę 11 uczniów tej szkoły uczyło się w niej 3 Żydów, w następnym roku wśród 47 uczniów było 9 dzieci żydowskich. W 1825 r. liczba dzieci w szkole podwoiła się, a połowę z nich stanowili Żydzi – 30 chłopców i 24 dziewczęta. W latach trzydziestych i czterdziestych, mimo przyrostu liczby ludności żydowskiej, liczba uczniów tej narodowości spadła do kilkorga. W roku szkolnym 1839/1840 wśród 55 uczniów szkoły elementarnej był już tylko jeden z rodziny żydowskiej. Główną przyczyną nieobecności dzieci wyznania mojżeszowego w szkołach państwowych było przywiązanie społeczności żydowskiej do wychowania religijnego i pobierania nauki w chederze. Za: W. Puś, *Szkoły żydowskie w Łodzi*, „Tygiel Kultury" 2004, nr 4–6, www.tygielkultury.eu/4_6_2004/aktual/15ram.htm (dostęp: 10.09.2012).

[5] Zwróćmy uwagę, że pierwsza synagoga została wzniesiona w 1809 r. przy ul. Wolborskiej.

[6] *Łódź – dzieje miasta*..., s. 359–360.

i bawełny z Dolnego Śląska, Czech, Prus i Saksonii. W tym też roku Adam Torno wybudował pierwszy wiatrak. Ich skupiska na lokalnych wyniesieniach stanowić będą charakterystyczny obraz przestrzeni okalającej ówczesną Łódź[7]. W tym samym roku, w którym przybyli pierwsi tkacze, burmistrz Starego Miasta, Antoni Czarkowski, wystawił przy dzisiejszej ul. Nowomiejskiej tabliczkę z nazwą ul. Piotrkowskiej. W 1827 r. w drugim końcu Łódki, na Górnym Rynku (pl. Reymonta), został ustawiony słup z nazwą miasta i powiatu oraz liczbą dymów (zasiedlonych domów). Niedługo po przybyciu pierwszych osadników, w roku 1824, powstało Towarzystwo Strzeleckie, zwane także Bractwem Kurkowym, które przez dziesiątki lat odgrywało w Łodzi ważną rolę, oraz Zgromadzenie Majstrów Tkackich – związek najważniejszego w mieście cechu. W roku następnym Namiestnik Królestwa Polskiego wydał rozporządzenie, na mocy którego wyznaczono dla ludności żydowskiej specjalny rewir na Starym Mieście. Zniesiono je oficjalnie dopiero w 1862 r., choć już wcześniej nie przestrzegano jego przepisów. W 1827 r. powstał w rynku Nowego Miasta pierwszy murowany ratusz projektu Bonifacego Witkowskiego; dziś jest to najcenniejszy i najstarszy w Łodzi zabytek architektury klasycystycznej. Rok później poświęcono bliźniaczo podobny do ratusza, również klasycystyczny kościół luterański Świętej Trójcy[8]. Świątynia katolicka pw. Najświętszej Marii Panny w dalszym ciągu znajdowała się na Górkach Plebańskich, służąc do czasu wzniesienia kościoła luterańskiego wszystkim chrześcijanom. Już wtedy planowano budowę nowej, obszerniejszej świątyni dla katolików.

Obok ratusza Bogumił Zimmermann wybudował dom, do którego przeniesiono w 1840 r. aptekę z sąsiedniego budynku Antoniego Bittdorfa. Jej właścicielem był wówczas Karol Ketschon[9]. Pod numerem 9, tu gdzie dziś usytuowana jest kamienica „Pod Lwem", Jan Adamowski

[7] W Łodzi rozwinął się również przemysł młynarski dzięki pomocy rządu i Banku Polskiego. Dawne młyny wodne na Łódce i Jasieni zostały wykorzystane na urządzenia wspomagające produkcję włókienniczą, zwane w literaturze posiadłami wodno-fabrycznymi. Ich funkcje przejęły wiatraki. Po A. Torno wiatrak wybudował w 1828 r. w Łódce H. Peters. Warunki dla działalności wiatraków było dogodne ze względu na różnicę wzniesień. Właścicielami wiatraków byli, poza wymienionymi: S. Meischatz, A. Tulikowski, K. Richter, J. Torno, L. Kunkel, K. Wende, D. Kumer, K. Krauze i K. Tulikowski. Oni też założyli w 1833 r. Cech Majstrów Młynarskich. W roku 1838 do zgromadzenia należało już 23 członków. Za: *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 4, s. 93, www.uml.lodz.pl/get.php?id=118 (dostęp: 10.12.1012).

[8] Kościół luterański Świętej Trójcy, wykonany z nietrwałego materiału, został w 1891 r. zastąpiony przez budynek w stylu neorenesansowym. Dziś jest to kościół garnizonowy pw. Zesłania Ducha Świętego.

[9] Apteka, którą założył K. Ketschon, istnieje do dziś; jest to najstarsza łódzka apteka.

posiadał od 1824 r. piętrowy, drewniany zajazd z szynkiem. Sprzedawał w nim wódkę, zagraniczne trunki i artykuły korzenne. W 1834 r. wieżę ratusza ozdobiono zegarem; był to dar fabrykanta Fryderyka Schlössera z Ozorkowa, wuja przyszłego „króla bawełny", Karola Wilhelma Scheiblera. Rok później, w 1835 r., Piotrkowską w pobliżu rynku oświetliły latarnie rewerberowe (olejowe), a w następnym roku w mieście zaczął pracować lekarz miejski, urzędowo zatwierdzony na tym stanowisku. Od 1838 r. w Nowym Rynku, u wylotu ul. Średniej (Pomorskiej) łodzianie mogli zaopatrywać się w pieczywo i mięso w jatkach miejskich piekarniczych i mięsnych. Były to specjalnie postawione w tym celu kryte dachem stoiska, o arkadowych murowanych frontach i drewnianych tyłach projektu H. Marconiego. W jatki jego projektu zostały wyposażone kilka lat później Stare Miasto[10] i pl. Fabryczny (pl. Katedralny im. Jana Pawła II). W tym też czasie, w celu zmniejszenia analfabetyzmu wśród pracującej młodzieży, powstała rzemieślnicza szkoła niedzielna, a w 1839 r. zaczęła działać prywatna szkoła elementarna Mikołaja Olszewskiego. W następnym roku wytyczono w Nowej Dzielnicy pierwszy park publiczny w Łodzi. Został on zaprojektowany w modnym wówczas stylu angielskim i powszechnie uznawano, że był najpiękniejszym ogrodem spacerowym w Królestwie Polskim. W tym też roku nastąpił rozwój komunikacji miejskiej i na Piotrkowskiej pojawiły się dorożki.

W 1841 r. Łódź awansowała do rangi stolicy okręgu i otrzymała prawa przysługujące miastom gubernialnym (wojewódzkim). Jej pierwszym prezydentem został Karol Tangermann, który od 1826 r. pełnił urząd burmistrza po odwołanym A. Czarkowskim[11], a drugim, od 1844 r., był Franciszek Traeger (1844–1862). Pracowitości i zapobiegliwości obu Łódź zawdzięcza bardzo dużo; wymieniane tu kolejne zmiany i inwestycje w mieście są zasługą pracy tych ludzi; m.in. dzięki ich staraniom w Łodzi powstał ratusz, szkoły, szpital, oświetlenie ul. Piotrkowskiej, rozwój komunikacji miejskiej, droga do Rokicin, „pierwszej stacji kolejowej" Łodzi, a także połączenie z koleją warszawsko-berlińską[12]. Zasług

[10] Istniejące na Starym Mieście budowle z podcieniami nie są jatkami Marconiego. Ten łódzki zabytek rozebrano po II wojnie światowej i na jego miejscu stanęły budynki wzorowane na warszawskim Mariensztacie.

[11] Burmistrz A. Czarkowski musiał ustąpić z funkcji i wyjechać z Łodzi z powodu ciążących na nim zarzutów nierozliczenia kasy miejskiej. Jak twierdzi M. Budziarek, winy nigdy mu jednak nie udowodniono. Za: M. Budziarek, *Łodzianie*, Literatura, Łódź 2000, s. 58.

[12] Powstanie bezpośredniego połączenia Łodzi z koleją warszawsko-berlińską nastąpiło po rezygnacji F. Traegera z funkcji burmistrza, jednak to jego zapobiegliwości miasto zawdzięcza to połączenie.

F. Traegera nie umniejsza wiernopoddańczy gest wobec cara i chęć zmiany nazwy Łodzi na Mikołajew, co mieli mu za złe patrioci[13]. Rządy K. Tangermanna i F. Traegera są też świadectwem nowych czasów, które nastały w życiu miejskim Łodzi.

W połowie lat trzydziestych wybudowano w rynku Nowego Miasta studnie publiczne[14]. Pierwsza stoi do dziś na pl. Wolności, choć oczywiście wygląda zupełnie inaczej niż dziewiętnastowieczna. W 1841 r. oddano do użytku wystawioną z funduszy prywatnych studnię publiczną przy ul. Piotrkowskiej (przy zbiegu z Nawrot)[15]. Wydarzenia te miały istotne znaczenie dla łodzian, gdyż, na przykład, w Łódce mieszkańcy Piotrkowskiej czerpali wodę z rowów i z Jasieni[16]. Szczególnie ważny dla miasta był rok 1845 – otwarto wówczas przy pl. Fabrycznym, zwanym także Rynkiem Szpitalnym, projektowany przez Marconiego szpital miejski św. Aleksandra[17]. Usytuowano go w tym miejscu celowo, ze względu na „dobre powietrze". Była to właściwie wielka sala koedukacyjna na 56 łóżek. Początkowo korzystali z niej głównie kozacy. W 1845 r. powstała dzięki Michałowi Radwanowi, komisarzowi obwodu Łęczyckiego, pierwsza szkoła średnia – Powiatowa Szkoła Realna Niemiecko-Rosyjska z językiem wykładowym rosyjskim i niemieckim. Ówczesne realia mia-

[13] Warto dokładniej zastanowić się nad pomysłem F. Traegera, tym bardziej, że pochodził on ze spolonizowanej rodziny niemieckiej, a jego żona była polską szlachcianką. Nie będzie nas interesować, co by się stało, gdyby miasto zostało Mikołajewem. Pewnie Łódź rolnicza nigdy nie powróciłaby do życia, a może nawet podzieliłaby los Wólki – „zagubionej wioski". Zamiast zastanawiać się nad charakterem gestu prezydenta, warto by rozważyć, na ile ówczesna Łódź była... Łodzią, to znaczy na ile sama nazwa była utrwalona jako wyróżniająca całe miasto wśród jej ówczesnych mieszkańców. Składało się na nie przecież kilka odrębnych dzielnic: Łódź, Nowe Miasto, Łódka (będąca początkowo samodzielnym organizmem), Nowa Dzielnica. Posługiwano się też nazwami: Szlezyng, Bałuty, Wólka. Warto jeszcze zwrócić uwagę na nazwę Przedmieście (Nowe Miasto), a więc obszar, który leżał przed miastem, a miastem nie był. Nazwą tą posługiwano się jeszcze pod koniec XIX w. Czy w związku z tym w świadomości mieszkańców Łodzi lat czterdziestych tego wieku cały obszar miasta był „Łodzią", skoro tak niewielkiemu organizmowi miejskiemu potrzebnych było kilka nazw „dzielnic"? Co w ten sposób wyróżniano? Może nie chodziło wcale o zmianę nazwy miasta, ale o nadanie jednej wspólnej, wyróżniającej całość? Być może Łódź za bardzo kojarzyła się ze Starym Miastem (starą Łodzią)? Może więc i tu kryje się istota zagubienia Łodzi rolniczej?

[14] Były to pompy z drewnianymi wiadrami. Za: *Ilustrowana encyklopedia*..., z. 4, s. 117.

[15] Studnia przy zbiegu ul. Nawrot i Piotrkowskiej była otwarta, a wiadro z wodą wyciągano żurawiem. Miała wystarczająco dużo wody, by zaopatrywać w nią mieszkańców sąsiednich domów. Burmistrz zaproponował, by ze względów estetycznych przerobić ją na pompę, czyli studnię zakrytą. W 1848 r. istniało w Łodzi 19 studzien miejskich i 215 prywatnych. Za: *Ilustrowana encyklopedia*..., z. 4, s. 117.

[16] Tamże.

[17] W pierwszym łódzkim szpitalu mieści się dzisiaj Seminarium Duchowne.

steczka wymusiły jednak nauczanie w języku polskim. W 1856 r. przeniesiono ją do sąsiadującego z kościołem luterańskim budynku, specjalnie wzniesionym dla jej potrzeb. W 1846 r. z inicjatywy m.in. Ludwika Geyera powstało najstarsze w Łodzi Niemieckie Towarzystwo Śpiewacze Männergesangverein[18]. Mieściło się ono w piętrowym budynku Bogumiła Beera[19], wzniesionym w 1835 r. (dziś Piotrkowska 243; pomiędzy ulicami Radwańską i Skorupki). W latach 1850–1860 dwie izby zajmowała w nim Szkoła Elementarna Ewangelicko-Katolicka, w której uczyło dwóch nauczycieli – Polak i Niemiec. Należy również wspomnieć o pierwszej księgarni, którą otworzył przy dzisiejszej Nowomiejskiej w 1849 r. Jankiel Gutsztadt.

Bardzo ważnym budynkiem w mieście był parterowy, kryty dachówką murowany dom Jakuba Petersa, wybudowany w roku 1839 według projektu Ludwika Bethiera przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Przejazd (Tuwima)[20]. Służył jako miejsce zebrań Zgromadzenia Majstrów Tkackich. W części centralnej domu, od ul. Piotrkowskiej, znajdowało się ozdobne wejście główne z czerwonymi drzwiami. Na tę ulicę wychodziło sześć okien z czerwonymi okiennicami. Później z jednego z nich uczyniono drzwi prowadzące do szynku. Wewnątrz budynku znajdowała się duża sala zebrań oraz kilka mniejszych, przeznaczonych m.in. na archiwum, dla administratora budynku, a także na izbę medyczną dla chorych tkaczy. W podwórzu urządzono ogród z kręgielnią. W szynku odbywały się bale obywatelskie, a członkowie cechu organizowali również uroczystości rodzinne.

Dwie przecznice dalej, w kwadracie dzisiejszych ulic Piotrkowskiej, Wólczańskiej, Mickiewicza i Wigury, znajdował się prywatny park i zajazd Paradyż lub Paradyz (niem. *Paradise* ‘raj’), wytyczony w 1827 r., podczas regulacji drugiej dzielnicy osadniczej – Łódki. Było to przez długie lata jedno z głównych miejsc rozrywki i wypoczynku mieszkańców miasta. Jego właścicielem został J. Adamowski, ten sam, który posiadał zajazd w Nowym Rynku. Już w pierwszym roku działalności wybudował wśród drzew krytą gontem oficynę z pruskiego muru, kręgielnię i piwnicę na skład win. W następnym roku zajazd wzbogacił się o drewnianą altanę, stajnię dla koni przyjezdnych gości i oborę. Kolejny rok przyniósł kryty dachówką, murowany i parterowy budynek przy Piotrkowskiej, a na tyłach posesji, od ul. Wólczańskiej, ogród spacerowy, zaprojektowany na modny wówczas sposób angielski. Rósł tam stary, piękny drzewostan,

[18] W opracowaniach spotykamy różną pisownię Towarzystwa: Männergesangverein, Männer Gesangverein lub Männer Gesang Verein.

[19] W tym budynku działało później Polskie Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia”, a także teatr, dla którego wybudowano okazałą salę koncertową.

[20] Dom J. Petersa znajdował się w miejscu, na którym stoi dziś Esplanada.

stanowiący resztki łódzkiego lasu. J. Adamowski zasadził także drzewa owocowe. To miał być właśnie planowany przez właściciela „Raj". Sytuacja zmusiła go jednak w połowie 1834 r. do sprzedaży zajazdu. Kolejna właścicielka, Henrietta z Neumanów Hentschlowa, zaniedbała otaczający zabudowania park i dopiero jej drugi mąż, Michał Kunkel, przywrócił go do świetności. Ogrodził sztachetami, wytyczył klomby i aleje, posadził nowe drzewa, a cały teren zyskał dodatkowe walory dzięki utworzonemu stawowi. M. Kunkel rozbudował Paradyż i urządził doskonały, jak na owe czasy, zajazd z ogrodową restauracją i salą widowiskową. W 1842 r. „był już popularnym w Łodzi właścicielem oberży Paradis na Łódce. Zatrzymywali się w niej przyjezdni kupcy krajowi i zagraniczni oraz inni goście"[21].

Jak widać, do momentu przybycia W. Dłużniewskiego do Łodzi miasto rozwinęło się i okrzepło w pełnieniu swoich funkcji. W 1820 r. Łódź liczyła 767, a w 1859 r. już 27 890 mieszkańców. Nie dziwią więc zachwyty nad miastem O. Flatta, które wyrażał w przewodniku. Władze miejskie zadbały o ład i porządek (na co warszawski publicysta również zwrócił uwagę), powstało wiele interesujących architektonicznie budynków użyteczności publicznej, którymi Łodzianie mogli się szczycić. Za czasów pobytu w mieście autora *Pawła Łodzi Kubowicza* powstało założone w 1850 r. Łódzkie Stowarzyszenie Kupców, przekształcone później w Zgromadzenie Kupców miasta Łodzi. W 1851 r. powołano do życia pierwszą Kasę Oszczędności. W roku 1853 nakładem warszawskiej „Gazety Polskiej" ukazał się *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym* O. Flatta. Przewodnik zawierał pierwszy ogólnie dostępny plan miasta. W 1855 r. utworzono zespół cmentarny przy ul. Ogrodowej i Srebrzyńskiej (ewangelicki, katolicki, prawosławny), zwany dziś Starym Cmentarzem.

W mieście pojawiły się również ważne obiekty (poza wyżej wymienionymi), wyróżniające się funkcjonalnie i architektonicznie. W połowie XIX w. jednym z najelegantszych budynków miasta był wzniesiony w 1853 r. przez Antoniego Engela budynek projektu Jana Karola Mertschinga – budowniczego powiatu łęczyckiego, przeznaczony na zajazd. Właściciel nazwał go Hotelem Polskim[22]. Hotel posiadał 30 pokoi w budynku głównym oraz miejsca noclegowe w dwóch podwórkowych oficynach. Okna eleganckich pokoi wychodziły na ul. Piotrkowską. Na drzwiach umieszczono napisy informacyjne w języku francuskim, co nadawało hotelowi europejskiego szyku. Na parterze znajdował się szynk oraz

[21] *Rajski ogród – Paradyż*, *Ilustrowana encyklopedia…*, z. 4, s. 114. Więcej na temat działalności zajazdu w rozdziale 7. *Mit Łodzi jako „pustyni kulturowej"*.

[22] Dziś jest to niepozorna kamienica przy ul. Piotrkowskiej 3.

traktiernia (podrzędna restauracja), w której podawano ciepłe posiłki dla gości. Od podwórza budynek zdobił na wysokości piętra ganek z galerią. W podwórku znajdował się również ogród i stajnia dla koni. Hotel cieszył się dobrą opinią. Pokoje były przytulne i ciepłe, ogrzewane kaflowymi piecami.

Przede wszystkim jednak w Łodzi od chwili powstania Nowego Miasta, a później Łódki i Nowej Dzielnicy, rozwijał się przemysł. Pierwszą elitę fabryczną tworzyli głównie przedsiębiorczy ludzie przybyli z Saksonii – Krystian Fryderyk Wendisch, Jan Krystian Rundzieher i Jan Traugott Lange – oraz ze Śląska. Z tej ostatniej grupy osadników najbardziej znany jest dzisiaj Tytus Kopisch, być może ze względu na powszechnie znany Bielnik Kopischa. Następni przybysze przyczynili się do gwałtownego rozwoju miasta dzięki zastosowaniu w przemyśle wynalazków technicznych. W 1839 r. Ludwik Geyer uruchomił zmechanizowaną przędzalnię bawełny z pierwszą maszyną parową. W latach następnych uczynili to również Traugott Grohmann (1843), Dawid Lande (1850), Karol Wilhelm Scheibler (1855) i Karol Moes (1856). W końcu lat pięćdziesiątych Abram Prussak uruchomił pierwszą tkalnię wełny, a w pełni zmechanizowaną posiadał Juliusz Heinzel (1866), było to już jednak po wyjeździe z Łodzi W. Dłużniewskiego.

Od początku uprzemysławiania Łodzi zaczęły powstawać w niej fabryki, a później coraz bardziej okazałe domy przemysłowców. Najstarsze budynki fabryczne powstały w dolinie rzeki Jasień. Odstąpmy jednak od chronologii i dokończmy prezentację zabudowy ulicy Piotrkowskiej. W 1828 r. do Łodzi przybył Ludwik Geyer. Był on jednym z pionierów i największym potentatem przemysłu włókienniczego Łodzi tamtych czasów. Najpierw wybudował trzyizbowy drewniany dom mieszkalny z niewielką drukarnią perkali (dziś Piotrkowska 284–286). Po pięciu latach wzniósł w sąsiedztwie piętrowy budynek fabryczny oraz stojący do dzisiaj dom, zwany potocznie dworkiem Geyera ze względu na podobieństwo architektoniczne do siedzib szlacheckich. W tym samym roku (1833) L. Geyer nabył posesję po lewej stronie stawu (Piotrkowska 282), po drukarzu Antonim Potempie. W latach 1835–1839 powstała tu według wzorców angielskich, w stylu klasycystycznym Biała Fabryka. Gmach otrzymał potężną, dwudziestosześcioosiową fasadę. W zamyśle fabrykanta miał mieć tyle okien, ile dni w roku; uwzględniono nawet rok przestępny. W 1838 r. dobudowano skrzydło północne, a w roku 1848 – skrzydło południowe (wieżyczka powstała pod koniec wieku XIX). Przedsiębiorstwo L. Geyera należało w tym czasie do najdynamiczniej rozwijających się w mieście. W 1840 r. fabrykant dokupił jeszcze tereny leżące po zachodniej stronie ul. Piotrkowskiej (obecnie Piotrkowska 287–301) – posesję po farbiarzu J. T. Langem oraz posesję po J. Rundzieherze (Piotrkowska 303–315). Na przestrzeni kolejnych lat powstały tutaj

następne zabudowania fabryczne. W ich sąsiedztwie Geyerowie wznieśli później swoje rezydencje.

W miejscu dzisiejszego pałacu Scheiblerów (Piotrkowska 266) miał powstać w latach dwudziestych XIX w. zajazd, ostatecznie, w 1844 r. ówczesny właściciel posesji, farbiarz Karol Gebhardt, wybudował jednopiętrowy dom mieszkalny o siedmioosiowej fasadzie i dwuspadowym dachu. W 1846 r. nabył sąsiednią działkę i wzniósł kolejny jednopiętrowy budynek, w którym urządził drukarnię tkanin wełnianych i bawełnianych, a następnie, w głębi posesji, pierwszy w Łodzi dom czynszowy. W 1852 r. K. Gebhardt odsprzedał działki Leonardowi Fesslerowi, drukarzowi perkali, który przybył do Łodzi trzy lata wcześniej. Nowy właściciel z domu czynszowego uczynił fabrykę, a w roku 1853 postawił pierwszy w mieście młyn poruszany parą. Nieco dalej za pl. Fabrycznym (Piotrkowska 272) stanęła w latach trzydziestych XIX w. niewielka drukarnia perkalu saksońskiego tkacza, Karola Steinerta, protoplasty kolejnego fabrykanckiego rodu, a następnie, od strony ulicy, dom z facjatką zwany dziś dworkiem Steinerta. Po kilku latach w głębi posesji wzniesiono kolejne budynki fabryczne.

Początkowo przemysł rozwijał się wzdłuż rzeki Jasień, na wschód od Piotrkowskiej, na obszarze wytyczonych posiadeł wodno-fabrycznych[23]. Możemy nawet powiedzieć, że od tej części zaczęła rozwijać się Łódź przemysłowa, tu bowiem powstały pierwsze manufaktury. W 1840 r. tereny te objęła wspomniana wcześniej Nowa Dzielnica. W przeciwieństwie do dwóch pierwszych osad – Nowego Miasta i Łódki – mogli się w niej osiedlać również ludzie niezwiązani z przemysłem. Jej centralnym punktem był Wodny Rynek, wokół którego powoli zaczęło koncentrować się życie handlowe tej części miasta. W sąsiedztwie rynku znajdował się park Źródliska[24].

Pierwszym, który zbudował w dolinie Jasienia manufakturę i wykorzystał jego wody był Krystian Wendisch. Do Łodzi przybył w 1824 r. Wziął w wieczystą dzierżawę od miasta tereny Księżego Młyna, Lamusa, Wójtowskiego Młyna i Arasztu. Zobowiązał się postawić w przeciągu dwóch lat przędzalnię bawełny, a później także lnu. Obok Księżego Młyna powstał dom Wendischa, nawiązujący architekturą do dworków szlachec-

[23] Posiadła fabryczne, to obszar, na którym prowadzona była skoncentrowana działalność o charakterze rzemieślniczo-przemysłowym, urządzona na terenach należących pierwotnie do młynów na Jasieni. Na temat posiadeł zob.: J. Tynecki, *Przemysł a kultura. Dzieje imperium bawełnianego w Łodzi dla historyków kultury*, „Prace Polonistyczne" 1988, seria XLIV, s. 8–10, 17–19.

[24] Dużo później obok parku powstało „miasto w mieście" – Księży Młyn, obejmujące fabrykę, pałac, osiedle mieszkaniowe dla robotników, szpitale, szkołę, sklepy i straż ogniową, których właścicielem był Karol Scheibler.

kich (dziś Przędzalniana 71)[25]. Niedaleko stanęła w 1827 r. jego trójkondygnacyjna fabryka, pierwszy tak duży budynek w Łodzi. Mniejszą wybudował rok wcześniej przy Wójtowskim Młynie[26]. K. Wendisch nie posiadał jednak własnego kapitału i zmuszony był zaciągać pożyczki. Wyczerpany trudnościami finansowymi zmarł na zawał serca w 1830 r. Po jego śmierci budynek większej fabryki stał opuszczony i niszczał; około 1845 r. kupił go i rozbudował Fryderyk Moes. Po jego śmierci z kolei, w 1863 r. nabył ten teren Teodor Krusche, syn fabrykanta z Pabianic, a później K. Scheibler. Na razie jednak przyszły właściciel Księżego Młyna zamieszkał po przyjeździe w 1854 r. do Łodzi przy ul. Piotrkowskiej (dziś nr 263) w typowym parterowym domu rękodzielniczym z 1838 r., niewiele różniącym się od innych.

Ważnym obiektem fabrycznym Łodzi początku okresu uprzemysłowienia był wzniesiony w 1825 r. przez władze rządowe budynek, zwany dziś Starym Bielnikiem lub Bielnikiem Kopischa. Znajduje się on nieopodal ul. Piotrkowskiej (przy ul. Tymienieckiego 5). Do niedawna sądzono, że jest to najstarsza budowla fabryczna Łodzi. Dziś uważa się ją za pierwszy murowany budynek mieszkalny[27]. Zakład płócienniczy (jak nazywano takie obiekty), który mieścił bielnik, krochmalnię, suszarnię, folusz i magiel, już nie istnieje i znajdował się w innym miejscu. Administrował nim najpierw Karol May, a następnie Daniel III. Obaj przedsiębiorcy nie sprawdzili się jako fabrykanci; pierwszy nie był zbyt uczciwy, u drugiego mniemanie o sobie nie szło w parze z pracowitością, toteż mimo przychylności rządu, budynek w 1828 r. stał się własnością Tytusa Kopischa, który prowadził w nim pierwszą przemysłową farbiarnię. Po wykupieniu fabryki, wsparty pożyczką rządu Królestwa, rozbudował zakład i sprowadził do Łodzi tkaczy lnu ze Śląska. Wybudował dla nich siedemnaście drewnianych domów parterowych (osadę zwano Szlezyngiem lub osiedlem Ślązaki) i zatrudnił przy wyrobie płótna. Jego wykończeniem zajmował się właśnie zakład płócienniczy. Po ponad dwudziestu latach działalności, w 1847 r. T. Kopisch sprzedał fabrykę, przedsiębiorstwo bowiem przestało być opłacalne, i powrócił do ojczyzny. Później, w latach siedemdziesiątych XIX w. właścicielem „bielnika" został wymieniany już wielokrotnie K. Scheibler.

[25] Ten najstarszy w tym rejonie budynek mieszkalny Łodzi stoi dziś opuszczony.

[26] Fundamenty fabryki Krystiana Wendischa, najstarszej fabryki w Łodzi, odkryto nad rzeką Jasień na terenie dawnego folwarku Karola Scheiblera; rozebrano ją w latach sześćdziesiątych XIX w. Za: W. Pierzchała, *Odkopano najstarszą łódzką fabrykę*, www.dzienniklodzki.pl/artykul/460498,odkopano-najstarsza-lodzka-fabryke-zdjecia,id,t.html (dostęp: 10.09.2011).

[27] M. Domińczak, *Bielnik Kopischa w świetle najnowszych ustaleń badawczych*, [w:] *Sztuka w Łodzi 2. Materiały sesji naukowej zorganizowanej przez Łódzki Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki, 8–9 października 2001 roku*, red. M. Wróblewska-Markiewicz, Łódź 2003, s. 40.

W 1842 r. na terenie młyna Lamus (należącym niegdyś do Wendischa) rozpoczął działalność kolejny protoplasta fabrykanckiego rodu, Traugott Grohmann. Przy rzece Jasień postawił tkalnię o napędzie wodnym. Sam zamieszkał w typowym rzemieślniczym domku o spadzistym dachu, przy zbiegu ulic Tylnej i Targowej. Dom ten stoi do dziś. Około 1854 r. Grohman uruchomił maszynę parową, która zmieniła manufakturę w fabrykę.

Jeśli spojrzelibyśmy na Łódź tego okresu z lotu ptaka, naszym oczom ukazałoby się rozciągnięte na kilka kilometrów wzdłuż jednej drogi miasteczko, z wyciągniętym na wschód skrzydłem. Spostrzeglibyśmy, że ulice (drogi) tego miasteczka zabudowano jednostajnymi ciągami bliźniaczo podobnych do siebie, niskich domków. Głównie drewnianych, rzadziej z muru pruskiego i sporadycznie murowanych lub piętrowych, krytych najczęściej, mimo zakazów, strzechą, rzadziej gontem lub dachówką. Domy sytuowano frontem do ulicy. Za nimi kryły się zabudowania gospodarcze z inwentarzem oraz ich obejścia pokryte nierzadko stojącą gnojówką lub składowanym obornikiem. Z tyłu działek znajdowały się ogrody – poletka uprawne. Poza tym, że dostarczały surowca do produkcji tkanin, żywiły również właścicieli posesji. O żywność trzeba było zadbać odpowiednio wcześnie i stworzyć jej zapasy. Stosowny składzik w domach rękodzielników krył się w sieni, zwykle za schodami prowadzącymi na strych. Nie każdego było też stać na zakupy, toteż część żywności właściciele posesji pozyskiwali z własnych upraw i hodowli. W okresach prac polowych cichły więc warsztaty i zaczynał się, ku utrapieniu władz miasta, ruch na tyłach działek.

Wzdłuż głównej ulicy Łodzi ciągnęły się rowy odprowadzające z niej wodę. Posesje z ulicą łączyły drewniane mostki prowadzące do parceli i domów. Miejsce przed budynkiem mieszkalnym stanowiło część reprezentacyjną, służącą także wypoczynkowi oraz spotkaniom w gronie rodziny i znajomych. Władze miasta dbały o ład i porządek. Działki miały być ogrodzone, również te niezamieszkane, a rowy systematycznie oczyszczane. Rosnąca w nich trawa była przedmiotem ciągłych sporów, gdyż stanowiła jedno ze źródeł paszy dla inwentarza. O tym, jak wielkie było na nią zapotrzebowanie, świadczy konflikt pomiędzy rękodzielnikami i T. Kopischem, który dzierżawiony przez siebie pl. Fabryczny zaorywał i obsiewał zbożem, pozbawiając okolicznych mieszkańców rynku. Skarżyli się oni władzom miasta na to bezprawie. Te zaś nakazywały przywrócić placowi jego funkcję, ale upominały skarżących się, że sami czynią podobnie, podorując drogi w mieście. Wzdłuż całej ul. Piotrkowskiej, ku jej upiększeniu, zostały wysadzone topole cyprysowe (pochodziły ze specjalnie założonych w tym celu szkółek), ale zaprzestano ich sadzenia, bo zabierały tkaczom światło potrzebne podczas pracy przy warszta-

cie. Miejsce dla nich znalazło się przy bocznych drogach lub w innych miejscach. Te topole możemy zobaczyć na litografiach W. Walkiewicza w *Opisie miasta Łodzi* O. Flatta i czasem spotkać w mieście jeszcze dziś.

Jeśli spojrzymy więc z lotu ptaka na Łódź połowy XIX w. – zakończmy podjętą myśl – zobaczymy otoczone lasami i polami długie, jakby ciągle jeszcze rolnicze, zielone miasteczko, zabudowane ciągiem małych, niemal jednakowych domków z wyróżniającymi się architektonicznie budynkami rozsianymi w różnych jego punktach. Warsztaty rękodzielników znajdowały się w domach prywatnych. Nieliczne fabryki zajmujące osobne budynki, przypominające bardziej okazałe domy mieszkalne, usytuowane były wzdłuż rzeki Jasień. Pojawiły się już jednak wysokie kominy fabryczne. Obrazu całości dopełnią wspomniane wiatraki, których skupiska były rozsiane na lokalnych wyniesieniach obrzeży miasta[28].

W. Dłużniewski, przybywszy do Łodzi, znalazł ją w pełni rozkwitu. Dysponowała już wieloma z tych udogodnień, jakie miasta w tamtych czasach posiadały: piękną siedzibą władz, świątyniami, szkołami, szpitalem, miejscami zgromadzeń i rozrywki, parkiem, zajazdami, placami targowymi. Nie udało nam się jednak w pełni odtworzyć życia miasta, którego wygląd z pewnością budził duże zainteresowanie, choćby ze względu na nadzieje, jakie pokładano w rozwoju przemysłu. Przedmiotem zainteresowania i opisu czyni się bowiem najczęściej to, co stanowiło o fabrycznym charakterze Łodzi, rzadziej zaś tych, którzy się do tego przyczynili. Wystarczy jednak zwrócić uwagę, jak szybko posesje rękodzielników oddawane przez władze w wieczystą dzierżawę z możliwością późniejszego wykupu przechodziły z rąk do rąk, by wyczuć podskórny prąd, który drążył życie mieszkańców miasta. Wcale nie tak łatwo było prowadzić w niej życie na godziwym poziomie, mimo wielu ułatwień, które oferowano przybyszom. Niełatwo też im było wypełnić zobowiązania wobec władz miejskich, dlatego często zwracali się z prośbą o zgodę na prowadzenie innej działalności, na przykład wyszynku (miejsce sprzedaży i spożycia alkoholu). Możemy też domyślać się, że codzienność była tu niezwykle ciężka. Pierwsze jatki, jak wspomniano, powstały w 1838 r., żywność sprzedawano więc na niewybrukowanych rynkach. Bywało, że tusze zwierzęce wisiały wprost na okiennicach domów. Studnie publiczne oddano do użytku w połowie lat trzydziestych. Skąd wcześniej czerpali wodę mieszkańcy rozwijającego się miasteczka? Gdzie odprowadzali nieczystości? Czy można się zatem dziwić, że Łodzią niemal

[28] J. Tynecki ten okres życia Łodzi nazywa „sielską fabrycznością" (tenże, *Przemysł a kultura*..., s. 36). Zygmunt Manitius, syn przybyłego w 1852 r. do Łodzi pastora, nazywa miasteczko wioską: „Łódź robiła wrażenie wyciągniętej wzdłuż głównej drogi olbrzymio wyciągniętej (5 wiorst) wioski" (za: J. Tynecki, *Przemysł a kultura*..., s. 37).

od początku jej przemysłowego rozwoju cyklicznie wstrząsały dziesiątkujące ludność epidemie? Szpital, o którym mówiliśmy, powstał dwadzieścia lat po wytyczeniu granic Nowego Miasta. W okresach zwiększonych zachorowań nie wystarczał jednak i jego funkcję przejmowały prywatne domy tkaczy. Poza tym w takim mieście, które powstało właściwie bez zaplecza, musiały rodzić się również niepożądane społecznie, wypaczone formy życia, a przecież zmagało się ono z innymi jeszcze problemami. Mieszkały tu trzy narodowości, każda o odmiennej kulturze i cechach: jedna, Niemcy, była faworyzowana, bo niosła uprzemysłowienie; druga, Polacy, ponosiła tego koszty; trzecią, Żydów, spychano na margines życia społecznego z powodu przesądów religijnych. Nawet jeśli te trzy społeczności żyły w zamkniętych kręgach, ich przedstawiciele bezustannie ocierali się o siebie, nierzadko żywiąc w sercu nieprzyjazne, choć podyktowane różnymi przyczynami, uczucia.

2.2. Wiktor Dłużniewski – piewca Łodzi rolniczej i krytyk Łodzi fabrycznej

Wiktor Dłużniewski przybył do Łodzi w roku 1850. Interesował się jej życiem, rozwojem i przeszłością. Wiemy już, co mógł zobaczyć. Czy Łódź wzbudziła w nim zachwyt? Czy życiowe doświadczenia poety i to, co działo się w nowym dla niego miejscu, wpłynęło na utwory poświęcone miastu? Kilkakrotnie – i należy podkreślić, że z powodzeniem – podejmowano próbę rozwikłania losów łódzkiego nauczyciela[29]. I za każdym razem istotne wiadomości znikały na przepastnych półkach bibliotecznych. Poeta, z pochodzenia szlachcic, zasilił, jak wielu przedstawicieli z jego warstwy, szeregi polskiej inteligencji. Urodził się w zaborze pruskim w 1817 lub 1818 r. Te fakty z jego życia, tak jak i miejsce urodzenia, nie są wyjaśnione ostatecznie. Niewiele informacji posiadamy również o jego rodzinie i młodzieńczych latach. Wiadomo, że jego młodszy brat Marceli, urodzony w 1830 r., był publicystą i autorem dzieł z zakresu historiozofii, którą interesował się również W. Dłużniewski. Przyszły autor *Pawła Łodzi Kubowicza* ukończył w 1836 r. gimnazjum w Brzeżanach i zamierzał poświęcić się karierze urzędniczej. W latach 1836–1839 był aplikantem przy trybunale w guberni sandomierskiej. Bardziej

[29] Por. L. Stolarzewicz, *Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia. Szkic literacki i antologia*, Łódź [1935]; R. Kaczmarek, *Wiktor Dłużniewski, pierwszy piewca Łodzi*, „Prace Polonistyczne" 1955, seria XII, s. 381–402; A. Kowalska, *Wiktor Dłużniewski, autor „Wyprawy do Ameryki"*, „Prace Polonistyczne" 1967, seria XXIII, s. 168–187. Biogram poety opracowano głównie na podstawie tych publikacji.

interesowała go jednak praca na polu literackim. Jak stwierdziła Aniela Kowalska, W. Dłużniewski debiutował prawdopodobnie w 1841 r. w warszawskim „Nadwiślaninie", organie młodych literatów wierszem *Dwa głosy*. Utwór ten został wyróżniony przez P. Chmielowskiego[30]. Zdaniem Romana Kaczmarka poeta, poszukując pracy zarobkowej, która umożliwiałaby mu też pisanie, postanowił zostać nauczycielem. A. Kowalska uważa jednak, że zadecydował o tym przypadek. W. Dłużniewski przez jakiś czas związany był z Warszawą, w której nie tylko drukował swoje utwory, ale też żył wśród ludzi bliskich mu ideałami, zaangażowanych w służbie ojczyźnie. Tragiczne wydarzenia roku 1843 – aresztowania w Warszawie i na prowincji – spowodowały, że „profesor D. […], jak większość młodych literatów warszawskich – «ubezpieczy się» przed podejrzeniami, które spadły na grono najbliższych, także niezatrudnionych w państwowej służbie, za to poważnie «zaangażowanych» w innego rodzaju pracę – i podda się egzaminom kandydackim na nauczyciela […]"[31]. Złożył je jesienią 1843 r. przed warszawską komisją egzaminacyjną.

Nie wiemy, poza ogólnymi informacjami (debiut, pobyt w Warszawie, „prywatna belferka"), co poeta robił w latach 1839–1843 oraz pomiędzy rokiem 1843 a 1848, kiedy to zaczął uczyć w Hrubieszowie. Sam nigdy tego okresu w życiu nie wspominał. Według A. Kowalskiej istnieją przesłanki, na podstawie których można stwierdzić, że jakiś czas spędził za granicą, prawdopodobnie na którymś z niemieckich uniwersytetów; niewykluczone, „że wzorem wielu innych Polaków także i o Dorpat zawadził"[32]. W. Dłużniewski nie mógł chwalić się ani pobytem w Niemczech i kontaktami ze skłonną do spisków młodzieżą niemiecką i z Młodą Germanią, ani też pobytem w Warszawie w okresie silnego wrzenia oraz bliskimi więzami z grupą młodych poetów warszawskich. Ściągnęłoby to na niego represje władz zaborczych. Jakim człowiekiem był w tym czasie? „Według relacji Niewiarowskiego – pisze A. Kowalska – Seweryn Filleborn, redaktor «Nadwiślanina» miał zwracać się do Dłużniewskiego z ironiczną nieco atencją: «Ty wzorze pedagogów, ty wytworny tłumaczu młodej Germanii, przyjacielu ludzkości i muz rodzinnych kochanku […]»". W podobny sposób wypowiadają się o poecie również inni jego znajomi[33]. Słowa S. Filleborna są znamienne: ukazują wykształconego, poważnego, rozsądnego i odpowiedzialnego młodego człowieka, pedagoga świadomego swojej misji, bardzo dobrego tłumacza i gorącego patriotę. W. Dłużniewski być może zbyt pryncypialnie dążył do doskonałości lub jej poszukiwał, stąd owa „ironiczna nieco atencja".

[30] A. Kowalska, *Wiktor Dłużniewski*…, s. 174.
[31] Tamże, s. 176–177.
[32] Tamże, s. 175.
[33] Tamże.

W 1846 r. miał miejsce debiut książkowy W. Dłużniewskiego. W zbiorku *Poezje* (1846) ukazały się obok przekładów poezji niemieckiej (Freilighratha, Herdera i Schillera) także własne próby poetyckie, świadczące o głębokim, choć siłą rzeczy skrywanym patriotyzmie. W sytuacji narastającego zagrożenia w tym też roku W. Dłużniewski pomyślał o ukryciu się na prowincji. Jeszcze przed objęciem pracy w Hrubieszowie wydał w roku 1847 podręcznik *Pierwsze zasady gramatyki niemieckiej. Nowy wykład części mowy odmiennych w sposób najprzystępniejszy dla uczących się*. W latach 1847–1850 uczył w szkole powiatowej w Hrubieszowie w Lubelskiem języka niemieckiego, łaciny, a później także języka polskiego. Mimo uzdolnień i możliwości, nie osiągnął zadowalających efektów. Być może winne tu było zbyt nagłe przejście od życia w środowisku cyganerii artystycznej do życia podporządkowanego sztywnym rygorom, które narzucało środowisko szkolne. Dość, że jego wysiłki pedagogiczne uznano za niezbyt owocne. Ostatecznie przeniósł się do Łodzi, w czym pomógł mu kolega z hrubieszowskiej szkoły, Antoni Leonard, inspektor Szkoły Powiatowej Realnej Niemiecko-Ruskiej. W tej szkole W. Dłużniewski spędził kolejne dziewięć lat, ucząc języka polskiego, kaligrafii i geografii popularnej.

W życiu W. Dłużniewskiego nastąpił zupełnie nowy okres. Do tej pory

Jak zapewnia Niewiarowski, żył on „nierozłącznie prawie z całym kółkiem młodych poetów warszawskich". [...] a więc dzielił nie tylko ich ambicje literackie, ich pasje samokształceniowe, ich mające na celu agitację patriotyczną podróże po Polsce. Wiedział [...] o wszystkich ich porywach i klęskach. W jakiej mierze angażował się w akcję spiskową osobiście – nie wiemy. Był jednak jednym z nich. Dzielił ich nadzieje i ich rozczarowania do końca. Gdy inni, jak Dziekoński i Baykowski, jak przedtem Dembowski i Zmorski, uszli za granicę przed grozą więzienia i terroru – Wiktor Dłużniewski skrył się na prowincji, najpierw w Hrubieszowie, potem, od r. 1850 po 1858 w Łodzi. Starannie i konsekwentnie zacierał za sobą ślady pobytu w Warszawie, przemilczając lata dla siebie niezapomniane, gdy w kole młodych, ożywionych ideą współdziałania czuł się wraz z nimi „zbiorową potęgą". A potem wśród ludzi żywiących bałwochwalczą cześć dla złota z całą siłą dawnego protestu przeciw nikczemnej rzeczywistości zapisywał karty swych satyrycznych utworów[34].

Początkowo wszystko układało się dla poety pomyślnie. Przełożeni byli z pracy nowego nauczyciela w Szkole Realnej Niemiecko-Rosyjskiej zadowoleni, czego dowodem było udzielenie mu zezwolenia na nauczanie w prywatnych szkołach w Łodzi (w trzyklasowej Szkole Prywatnej Żeńskiej Wyższej, kierowanej przez Rozalię Schrej) i w Zgierzu (na Pensji Wyższej Męskiej). Ponadto prowadził w wynajmowanym mieszkaniu

[34] Tamże, s. 187.

stancję dla kilku chłopców, którymi opiekował się, udzielając im również korepetycji. W Zgierzu nawiązał kontakty towarzyskie z rodziną warszawskiego adwokata Franciszka Zawiszy. Z jedną z jego dwóch córek (obie były nauczycielkami), Julianną, ożenił się w 1853 r. Świadkami ślubu był inspektor Leonard i zgierski farbiarz Jan Pawiński, ojciec przyszłego historyka Adolfa Pawińskiego. Ze związku z Julianną na świat przyszedł w 1854 r. syn Władysław i dwa lata później córka Helena Maria.

Mimo licznych obowiązków szkolnych Dłużniewski nie zaniedbywał pracy literackiej, a warto wspomnieć, że obowiązków miał niemało. Poza nauczaniem i opieką nad chłopcami obciążony był też wyborem i zakupem książek do biblioteki szkolnej. W tym celu wyjeżdżał do Warszawy. Udzielał się również społecznie. Pomagał m.in. ludziom cierpiącym na różne dolegliwości. Twierdził, że wynalazł skuteczne lekarstwo na cholerę, której epidemie wstrząsały miastem i sąsiednimi miejscowościami. Był to specyfik, jeśli nie zwalczający tej choroby, to przynajmniej znacznie łagodzący jej skutki. Po kilku latach pracy szkolnej stosunki pomiędzy W. Dłużniewskim i jego przełożonym, kierownikiem szkoły, zaczęły się psuć. Inspektor Leonard, który na początku oceniał jego pracę nauczycielską bardzo wysoko, od 1856 r. zaczął odnosić się do jego wysiłków bardzo krytycznie. Poza tym W. Dłużniewski w 1855 r. złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska. Pragnął wyjechać do Galicji. Pominął jednak obowiązującą drogę służbową, co przyczyniło się do zaostrzenia konfliktu między nim a przełożonym. Wreszcie, w 1858 r., na własną prośbę został przeniesiony do Mławy, co w zasadzie uznać można za degradację. W Szkole Powiatowej Ogólnej w Mławie wykładał w latach 1858–1866 przedmioty filologiczno-historyczne, głównie język polski.

Co było powodem tego, że poeta nie zaklimatyzował się w Łodzi i czuł się w niej źle? A. Kowalska uważa, że W. Dłużniewskiemu, który długie lata żył ideałami, trudno było zżyć się z ludźmi „żywiącymi bałwochwalczą cześć dla złota" i pogodzić się z atmosferą małomiasteczkowej, przyziemnej codzienności. Był też zapewne świadkiem wielu występków, których nie brakowało w mieście wstrząsanym kryzysami[35]. Jego niechęć budziła też z pewnością obca mowa na rdzennie polskiej ziemi.

W 1869 r. W. Dłużniewski zamieszkał w Warszawie. Był wówczas ociemniały, nadal jednak zajmował się pracą literacką. Skarżył się na trudności materialne; jego twórczość nie budziła szerszego zainteresowania i nie dostarczała dochodów. Autor drugiego utworu poświęconego Łodzi zmarł w Warszawie w 1873 r.

[35] A. Kowalska, „*Wyprawa do Ameryki…*"

2.3. Apoteoza rolniczego miasteczka w gawędzie *Paweł Łodzia Kubowicz*

Zarówno pierwszy piewca Łodzi[36], W. Dłużniewski, jak i jego utwór, *Paweł Łodzia Kubowicz*, nie mogą przebić się do szerszej świadomości tych, którzy i autora, i jego gawędę znać powinni[37]. Autor wydał ją w Warszawie w 1857 r. wraz z inną – *Scholastyk i szewc*[38]. Interesujący nas utwór łódzkiego nauczyciela traktuje się głównie jako legendę eponimiczną i przywołuje zwykle w związku z wyjaśnianiem proweniencji nazwy Łodzi. Wedle tej legendy miała ona pochodzić od herbu właściciela lub założyciela miasta.

Historia pisze,
Że cesarz Zygmunt śle po Zawiszę
Przez Dunaj jedną ze swoich łodzi,
By ten, co jego wojsku dowodzi,
Mógł się ratować. Podanie chowa
Wodza odpowiedź, bo takie słowa:
„Ci, co się zlękli, niech uciekają,
Polacy chlubną śmierć przekładają".
I z placu bitwy wódz śle rycerza, […]
Rycerzem owym, co łodzią wrócił,
I swą cesarza wieścią zasmucił,
Był Mazur Kuba, od owej łodzi,
Którą odpowiedź wiózł cesarzowi,
Nazwany Łodzia. Ród swój wywodzi
Od niego Paweł, który domowi
Swemu niemało zasług przysporzył.

(Dłużn. Paw., s. 9–10)

By zrozumieć, jak doszło do powstania herbu, który dał nazwę miasteczku, musimy cofnąć się do roku 1428. Wtedy właśnie Zawisza Czarny podczas obrony twierdzy nad Dunajem (dzisiejszy Golubac w Serbii)

[36] R. Kaczmarek, *Wiktor Dłużniewski…*, s. 381.

[37] Zdarza się, że utwór W. Dłużniewskiego traktowany jest po macoszemu. Na przykład w *Kalendarium* zamieszczonym w publikacji *Łódzkie Stare Miasto* czytamy: „1857 – Wiktor Dłużniewski, łódzki polonista, nauczyciel i poeta wydał wierszowaną gawędę *Paweł Łodzia Kubowicz i scholastyk* [!] *szewc. Dwie gawędy*. Rzecz o tyle warta uwagi, że nawiązuje do starych legend rolniczej Łodzi" (L. Małecki, M. Z. Wojalski, Ł. Robak, *Łódzkie Stare Miasto*, Łódź 2011, s. 59). Pomijając już pomyłki świadczące o nieznajomości gawędy, utwór *Scholastyk i szewc* nie nawiązuje do łódzkich legend. Sformułowanie: „Rzecz o tyle warta uwagi" świadczy o lekceważącym stosunku do samej gawędy, a przecież warta jest ona uwagi choćby z tego powodu, że właśnie tę legendę ocaliła od zapomnienia i przechowała dla potomności. Ile takich legend łódzkich znamy?

[38] W. Dłużniewski, *Paweł Łodzia Kubowicz*, Warszawa 1857.

został otoczony przez wojska tureckie. Nie skorzystał z pomocy wysłanej mu przez Zygmunta Luksemburczyka, wnuka Kazimierza Wielkiego, elektora brandenburskiego, wówczas króla węgierskiego i niemieckiego, później także króla czeskiego i cesarza, dla którego wtedy walczył i którego odwrót osłaniał. Polski rycerz odmówił wycofania się i pozostał wśród druhów, by do końca wypełnić swoje zadanie. Wysłał natomiast Mazura Kubę, który wrócił do króla i zdał mu sprawę z postanowienia Zawiszy, przekazał również jego ostatnią wolę. Od łodzi wysłanej po Zawiszę, a którą wrócił jego rycerz, nazwano Mazura Kubę Łodzia. Jak to z prawdą w legendzie bywa – wydarzenia, które przyczyniły się do powstania nazwy herbu, miały miejsce cztery lata po lokacji miasta Łodzia i dwa wieki po powstaniu wsi o tej nazwie.

Gawęda W. Dłużniewskiego zasługuje jednak na uwagę także z innych powodów. Zacznijmy od tego, że poeta już na samym początku utworu zwraca uwagę na fenomen rozwoju miasteczka, podkreślając jego nietypowy rozwój – gwałtowny, „z niczego" i zupełnie odmienny aniżeli ten, który był charakterystyczny dla innych miast:

> Tu, gdzie dziś długa Niemców osada, [...]
> Gdzie dziś od razu wzmógł się lud w taką
> Ludność jak Kraków, choć nie jednako,
> Bo przecież Kraków wzrósł nie od razu; [...]
>
> (Dłużn. Paw., s. 7)

Czy ten obraz budzi zachwyt poety-narratora? Przywołany fragment utworu tak właśnie bywa interpretowany, o czym można przekonać się na forach internetowych. J. Tynecki za A. Kowalską stwierdza, że gawędy W. Dłużniewskiego nie można odczytywać jako pochwały Łodzi fabrycznej. Taka interpretacja utworu nie da się bowiem utrzymać w świetle późniejszej twórczości poety, a zwłaszcza w kontekście jego nieopublikowanej sztuki *Wyprawa do Ameryki*[39]. Nie trzeba jednak odwoływać się do kontekstów. Dowody na to, że poety wcale nie zachwycały zmiany zachodzące w Łodzi, zauważymy już w gawędzie:

> Tu, gdzie dziś długa Niemców osada,
> Jakoby łodzią z rwącą powodzią
> Gotyckiej rzeszy w kraj polski wpada [...]
>
> (Dłużn. Paw., s. 7)

[39] J. Tynecki, *Literatura Łodzi do 1918 roku*, [w:] *Literatura i język Łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978*, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978, s. 20.

Poza tym, że w cytowanych wersach dostrzegamy wizję naocznego świadka rozwoju miasta, dowiadujemy się także, dlaczego zmieniło ono tak gwałtownie swoje oblicze. To przybysze z obcej ziemi wpłynęli na charakter tego skrawka Polski, niczym powódź zalewając długi pas ziemi (ciągnący się wzdłuż ul. Piotrkowskiej). Nie jest to obraz przyjazny: osadnictwo niemieckie porównane jest przecież do powodzi, ponadto charakteryzującej się wielką siłą, a ta, jako dodatkowa moc żywiołu, czyni go w dwójnasób niszczącym. Nie wiadomo też, czy na samej „długiej osadzie" ta ekspansja się zakończy. Słowa gawędy zdają się sugerować, że to dopiero początek zalewu.

Czytając utwór, możemy również doświadczyć, jak w połowie XIX w. rdzenni mieszkańcy Łodzi postrzegali swoje miasto, a przynajmniej, jak widział je narrator, którego odczucia były z pewnością tożsame z przekonaniami poety:

> Tu, gdzie dziś długie ulice z głazu,
> Gmachy jak zamki, zbrojne w maszyny,
> A w nich jak wieże wzniosłe kominy;
> Gdzie jak namioty w długim szeregu
> Gonią się domki w milowym biegu,
> Gdzie teraz słychać wózki, sandały,
> Lub jednostajne tkaczów warsztaty[40] [...]
>
> (Dłużn. Paw., s. 7)

Przy pierwszym oglądzie zobaczymy tylko poetycką wizję miasteczka, którego rzeczywisty obraz staraliśmy się wcześniej odtworzyć. Jeśli jednak dokładniej przyjrzymy się, co kryją „ulice z głazu", „gmachy jak zamki", „jak wieże wzniosłe kominy" – to obraz może się wydać dość dziwny: niby pochwała rozmachu, z jakim zbudowano Łódź, ale równocześnie jest w tym coś złowrogiego. Zamki zwykle czegoś strzegą, a te w utworze dodatkowo jeszcze są uzbrojone w (jakieś) maszyny. Pamiętajmy, że w czasach W. Dłużniewskiego architektura fabryczna nie nawiązywała do gotyku. Zamki w utworze nie ukazują więc neogotyckich murów fabryk. Słowo „maszyna" też niesie pierwiastek niepokoju: to jakaś nadludzka siła. Dziś sam wyraz nie buduje złowieszczych skojarzeń, dla ludzi połowy XIX w. była to jednak siła katastroficzna. W 1861 r., trzy lata po opuszczeniu przez W. Dłużniewskiego Łodzi, doszło do buntu tkaczy łódzkich, zakończonego niszczeniem maszyn. To one, niczym bezduszne istoty, były przyczyną ich nieszczęścia i ubóstwa – czyniły

[40] Ten bezustanny stukot warsztatów wspominał cytowany wcześniej Zygmunt Manitius „[...] jak Piotrkowska długa, ze wszystkich domów, okien, drzwi dolatywał charakterystyczny [...] klekot i stuk tysiąca warsztatów" (za: J. Tynecki, *Przemysł a kultura*..., s. 37).

pracę i umiejętności, tak do tej pory pożądane, zbędnymi i odbierały chleb. A przecież dla nich właśnie tkacze zostali sprowadzeni. W. Dłużniewski, będąc na miejscu, mógł zauważyć to, czego nie widział O. Flatt – początki pauperyzacji środowiska rękodzielniczego.

Jest też w tym obrazie Łodzi jakaś groza – głazy, mury, wieże i do tego domki, które „gonią się". To nie tylko poetycki obraz domków ciągnących się wzdłuż długiej ulicy; one gonią się, jakby jeden przed drugim się spieszyły, by szybciej powstać. Do tego są „jak namioty". Z jednej strony te słowa nawiązują do kształtu łódzkich domów tego okresu i ich kolorystyki, z drugiej jednak, jeśli zestawimy je z zamkami i wieżami, otrzymamy miejsce, w którym panuje stan jakiegoś dziwnego oblężenia, a przynajmniej czegoś, co nie jest człowiekowi przyjazne. Zwróćmy też uwagę na zupełny brak przyrody w tym obrazie, a przecież powiedzieliśmy, że Łódź przypominała długą wieś. Do tego ten bezustanny stukot: wozów, sandałów, warsztatów – hałas w jakiś sposób mechaniczny – jednostajny, nieprzyjazny człowiekowi, bo nużący.

Następne słowa utworu ukazują bezpowrotnie utracony raj. Dowiadujemy się również, że te gwałtowne zmiany dokonały się za życia jednego tylko pokolenia, a więc rzeczywiście jakby podczas zalewu powodzi:

> Tu, w dzikiej puszczy się rozlegały
> Dzięciołów lub też bydła kołaty –
> I to niedawno, boś nie tak stary,
> A mogłeś jednak bezdrożną knieją
> Biec za jeleniem, [...]
>
> (Dłużn. Paw., s. 8)

Możemy również odczuć, w jaki sposób estetykę tego miejsca postrzegali ci, którzy je widzieli, albo też – jak widział je narrator:

> [...] tu, gdzie dym szary
> Lub gęstą parą kominy zieją.
>
> (Dłużn. Paw., s. 7)

Ten obraz też nie jest przyjazny. „Ziać" to 'ciężko oddychać, dyszeć, sapać, buchać, dmuchać, wydzielać coś nieprzyjemnego'. Dodatkowo jeszcze, w znaczeniu przenośnym: 'żywiołowo uzewnętrzniać, okazywać przede wszystkim negatywne uczucia'. Wypada przy tym zwrócić uwagę, że do początków przemiany Łodzi fabrycznej w Łódź wielkoprzemysłową brakuje jeszcze kilkunastu lat, dokonała się ona bowiem w ostatnim ćwierćwieczu XIX w. W. Dłużniewski mógł co najwyżej obserwować zalążki tych przeobrażeń. Wniosek jednak nasuwa się dość oczywisty:

z jakichś powodów zmiany te raczej nie napawały Polaka dumą, nie przyprawiały o przyspieszone bicie serca, nie wzbudzały zachwytu, choć starą Łódź narrator nazywa w innym miejscu „lichą mieściną". Wniosek ten potwierdzają również kolejne wersy, poświęcone trosce o zachowanie wiary przodków:

[...] Czemuż lud nowy,
Co tak opieki niebios doznaje,
Na biednej tylko tu poprzestaje
Świątyni dawnej, jak zagrobowej?
Czyż stara wiara w tak wątłej łodzi
Wyjdzie z triumfem z nowej powodzi?

(Dłużn. Paw., s. 8)

Ten fragment utworu przepojony jest troską o zachowanie wiary i kultury przodków. Stara świątynia, jak wiemy, przez jakiś czas służyła katolikom i ewangelikom. Przybysze, którzy najwyraźniej doznają opieki niebios, zawłaszczają nie tylko ziemię, ale i tę starą świątynię, która w nowej sytuacji jawi się, jakby już była nie z tego świata. Czy w tych okolicznościach Polska i polskość mogą się uratować?

Nie wiemy, jak przybysz ze Śląska, Saksonii, Czech lub Moraw odczuwał wygląd i rozwój miasta. O tym utwór milczy, jest bowiem poświęcony innym problemom. Zanim do nich przejdziemy, zwróćmy jeszcze uwagę na wersy:

Przed wielu laty, w odmienne czasy,
Przyszłą osadę kryły tu lasy,
A pośród lasu licha mieścina,
Że ledwo kościół ją przypomina [...]

(Dłużn. Paw., s. 8)

W. Dłużniewski, naoczny świadek zmian w mieście, potwierdza to, co dziś słyszy w szkole każdy mały łodzianin: stara Łódź do początków XIX w. była niewiele znaczącym i powoli upadającym miasteczkiem rolniczym, otoczonym lasami, a jedynym zabytkiem z tego okresu jest drewniany kościółek znajdujący się obecnie przy ul. Ogrodowej. Równocześnie jednak z utworu dowiadujemy się, że już za czasów pobytu poety w Łodzi, a więc w połowie wieku XIX, dzisiejszy kościółek pod wezwaniem św. Józefa był reliktem i zabytkiem Łodzi rolniczej, choć stał jeszcze w pierwotnym miejscu, na wzgórzu, tam gdzie dziś stoi neogotycka świątynia, a Łódź rolnicza nadal żyła starym, choć mocno już odmienionym trybem.

Gawęda W. Dłużniewskiego warta jest poznania również z tego względu, że prawdopodobnie kryje w sobie zręby starej opowieści lokalnej, którą przekazywali z pokolenia na pokolenie mieszczanie-rolnicy łódzcy. Byłaby więc wariantem jedynej, jaką znamy, niezachowanej opowieści o Łodzi rolniczej. Powszechnie uważa się, że utwór W. Dłużniewskiego jest legendą literacką, a jej bohaterowie – Paweł Łodzia Kubowicz i Jakub Rogowski – są postaciami fikcyjnymi. Warto jednak zwrócić uwagę, że pierwodruk utworu został poprzedzony *Wypisem z ksiąg kościelnych w Łowiczu*:

Visitatio 1633 anni

Ornamento ecclesiae dato a quodam Paulo de Łodzia, dicto Kubowicz, qui dum militem ageret multo tempore, fere substantiam totam donavit huic ecclesiae dum viveret, comaparavitque monstrantiam, cruces 2., calicem argenteum, urceolos cum pelvi argentea, fl. pol. 320 pro organo comparando et alia nonnulla. Is talis donator ecclesiae a fure nocturne misere occissus est.

Pro sacramento poenitentiae reperiuntur 800, inter quos quidam Jacobus Rogowski a multis annis non est confessus. In oppido sex oppidiani non sunt confessi. In hoc oppido sunt scandalosi, omnes inebriantur se, unde inter illos discordiae multae. Monui serio proconsulem, imo totam universitatem oppidi, ne id faciant (za: Dłużn. Paw., s. 6).

Dowiadujemy się z niego, że niejaki Paweł z Łodzi zwany Kubowiczem, żołnierz, ofiarował tuż przed śmiercią wszystko, co posiadał kościołowi, m.in. monstrancję, dwa srebrne krzyże, dzbanuszek i miseczkę ze srebra oraz pewną sumę na organy. Darczyńca ten w nocy został zdradziecko zabity przez złodzieja. Dalsza część zapisków kościelnych informuje, że w mieście wszczynane są burdy pomiędzy upijającymi się mieszczanami i panuje między nimi niezgoda. Po śmierci Pawła Kubowicza (jak możemy przypuszczać) do sakramentu pokuty przystąpiło ośmiuset mieszczan. Sześciu mieszczan nie spowiadało się, m.in. Jakub Rogowski, który od wielu lat nie był u spowiedzi.

Autentyczność zapisków kościelnych przytoczonych przez W. Dłużniewskiego potwierdza R. Kaczmarek, powołując się na S. Muznerowskiego (Muzn., s. 50)[41]. Między notatką księdza i fabułą gawędy istnieją jednak znaczne rozbieżności. Wymienieni w notatce mężczyźni są mieszczanami (gdyby byli szlachcicami, ksiądz nie omieszkałby o tym wspomnieć), zaś w gawędzie ich przynależność stanowa jest zupełnie inna; ksiądz pisze o pijaństwie wśród mieszczan, a narrator obciąża nim dom szlachcica; Paweł Kubowicz przekazuje kościołowi kilka precjozów, natomiast bohater W. Dłużniewskiego cały swój rodowy dobytek. To tylko kilka dość istotnych przykładów.

[41] R. Kaczmarek, *Wiktor Dłużniewski…*, s. 395.

Wypada teraz odpowiedzieć na trzy pytania: czy rzeczywiście przedstawione w zapiskach księdza wydarzenia mogły obrosnąć legendą i być przekazywane wśród łodzian z pokolenia na pokolenie; czy utwór W. Dłużniewskiego może być w związku z tym wariantem takiej opowieści, oraz: czy przedstawia on fakty, ale – jak to w legendzie bywa – zniekształcone? Odpowiedź na pierwsze pytanie jest twierdząca. W takim miasteczku, jakim była rolnicza Łódź, otoczonym lasami, odsuniętym od ważnych szlaków komunikacyjnych, każde wydarzenie urozmaicające monotonną codzienność warte było roztrząsania oraz wspominania i stawało się podstawą opowieści. Tym bardziej mogło nim być zabójstwo kogoś, kto właśnie ofiarował biednej świątyni dary, bardzo cenne, jak na możliwości miasteczka. Utwór W. Dłużniewskiego może więc być wariantem takiej opowieści, wzbogaconym o nowe elementy, ważne z punktu widzenia autora-narratora. Jak należy zatem potraktować autentyczność postaci i wydarzeń? Tu też nie ma wątpliwości – tylko jako fikcyjne. Znamy przecież bardzo dużo opowieści, w których odnajdziemy motyw biednej sieroty wykorzystanej przez krewnych, chcących zagarnąć jej mienie i niewahających się przed popełnieniem czynów haniebnych. Podobnie jest z motywem pomszczenia nieszczęsnej kobiety przez narzeczonego, brata lub ojca oraz motywem kary za popełnione przewinienia[42]. Wszystkie znajdujemy w legendzie *Paweł Łodzia Kubowicz*.

Zajmijmy się teraz innowacjami wprowadzonymi przez W. Dłużniewskiego do historii, którą być może usłyszał. R. Kaczmarek jest tego pewien. Twierdzi, że poeta w ciągu kilku lat pobytu w mieście dobrze poznał miejscowe stosunki, jego rozwój i przeszłość[43]. Podkreślić jednak wypada, że wprowadzenie do utworu postaci i wydarzeń historycznych jest z pewnością zamierzonym działaniem poety. Mieszkańcom Łodzi przełomu XIX i XX w. (tylko oni mogli przekazać poecie treść legendy) daleko było do aspiracji cechujących mieszczan okresu świetności miasteczka – o czym niżej – i z pewnością wiedzy historycznej, nawet niezbyt szerokiej, nie posiadali. To kolejny element, dla którego warto poznać tę gawędę, ukazuje ona bowiem świat wartości osób przewodzących narodowi, wykształconych Polaków połowy XIX w. Już pierwsze, cytowane wcześniej wersy utworu, zdradzają troskę autora o zachowanie polskości i wiary przodków. Stara się więc zaszczepić wśród rodaków, którym przewodzi – jest przecież nauczycielem – wartości ważne dla Polaka żyjącego w zaborze rosyjskim (nie zapominajmy o narastającym terrorze władz carskich, który doprowadzi do kolejnego krwawego powstania),

[42] Por. J. Krzyżanowski, *W świecie bajki ludowej*, PIW, Warszawa 1980.
[43] R. Kaczmarek, *Wiktor Dłużniewski*..., s. 391.

otoczonego obcą, niemiecką mową i obcą religią, co autor nazywa „nową powodzią". Pierwszą były z pewnością rozbiory.

Okrutna śmierć Pawła Łodzi Kubowicza oraz wypadki przedstawione w utworze miały miejsce, jak wynika ze słów narratora, w 1632 r.:

> [...] Przed dwoma wiekami,
> W roku, gdy zaszła śmierć Zygmunta Wazy,
> Miało tu miejsce pamiętne zdarzenie.
>
> (Dłużn. Paw., s. 20)

Był to również, jak czytamy, rok śmierci Zygmunta III Wazy, króla – gorliwego katolika i tak gorliwego obrońcy wiary, że nie zezwolił przejść na prawosławie swojemu synowi Władysławowi, zwanemu później Czwartym, by ten mógł objąć tron Księstwa Moskiewskiego. Nie jedyne to zresztą odwołanie do polsko-rosyjskiej historii, w których strona polska odgrywała rolę zupełnie inną niż w czasach W. Dłużniewskiego. Paweł Łodzia Kubowicz „I w boju tańczył i na weselu, / Kiedy zaślubiał Dymitr Marynę" (Dłużn. Paw., s. 10). Mowa tu oczywiście o Dymitrze Samozwańcu, który w zamian za poparcie obiecał m.in. podporządkować Cerkiew Prawosławną Stolicy Apostolskiej i wprowadzić katolicyzm w Rosji jako wiarę państwową, oraz o Marynie Mniszchównie, córce wojewody sandomierskiego, przyszłej carycy. Te niewinne wzmianki, jedyne możliwe ze względu na cenzurę, kryły przecież krzepiącą ducha informację, że w przeszłości nie Rosja Polską rządziła, a znaczenie obu narodów i ich władców było zgoła odmienne.

W. Dłużniewski, poza królem Zygmuntem III Wazą, przywołuje w utworze Stefana Batorego, uważanego przez wielu historyków za jednego z najwybitniejszych polskich wodzów i królów elekcyjnych. Paweł Łodzia Kubowicz wspomina zwycięską bitwę o Połock w 1579 r., otwierającą wojnę o odzyskanie Inflant i ziemi połockiej, zagarniętych przez Iwana IV Groźnego. O wojnach króla i jego planach bohater opowiada młodzieży, dzieląc się swoją wiedzą i doświadczeniami, pełniąc ważną funkcję łącznika między starym i młodym pokoleniem, przekazując ideały i tradycję przodków, zwracając uwagę na przywary szlachty, które, niestety, przywiodły do upadku Rzeczpospolitą, a na które już za Batorego, jak wynika z utworu, zwracano uwagę:

> [...] Wśród młodej braci
> Wspominał wiarus swoje przygody
> Za Batorego, jak on przed wzięciem
> Miasta Połocka otrzymał ranę.
> Wyliczał wszystkie bitwy wygrane
> Wielkiego Króla. Gdy tak z zajęciem

Rozważał jego święte zamiary,
Wreszcie nadmienił o sejmie w Grodnie,
Co miał ukrócić szlachty przywary
I odrodzenie nadać jej zgodnie.

(Dłużn. Paw., s. 10–11)

Bohater utworu był również wyróżniającym się żołnierzem Stefana Żółkiewskiego, znakomitego wodza i stratega (który wśród wielu swoich zwycięstw mógł się poszczycić zdobyciem Moskwy i jej okupowaniem), pradziada innego wybitnego stratega, a do tego monarchy – Jana III Sobieskiego. Pawłowi Kubowiczowi, jako wybitnemu rycerzowi hetmana, przypadł zaszczyt złożenia zdobycznych darów królowi:

Gdy znów Żółkiewski witany ludem
Jako zwycięzca u bram Warszawy,
Stanął przed zamkiem w rycerstwa gronie,
Najpierwszą zdobycz składa przy tronie
Chorąży Paweł.

(Dłużn. Paw., s. 10)

Nie tylko tytułowy bohater utworu jest postacią niezwykle szlachetną. Także jego przodek i protoplasta rodu, Mazur Kuba, został ukazany jako człowiek wielki, niepośledni, cieszący się zaufaniem najpierwszego rycerza zarówno Polski, jak i Europy – Zawiszy Czarnego. To właśnie pradziada Pawła Kubowicza, według gawędy W. Dłużniewskiego, wybrał rycerz spośród innych towarzyszy i jemu powierzył swoją ostatnią wolę i klejnot rodowy:

Historia pisze,
Że cesarz Zygmunt śle po Zawiszę
Przez Dunaj jedną ze swoich łodzi,
By ten, co jego wojsku dowodzi,
Mógł się ratować. Podanie chowa
Wodza odpowiedź, bo takie słowa:
„Ci, co się zlękli, niech uciekają,
Polacy chlubną śmierć przekładają".
I z placu bitwy wódz śle rycerza,
Jemu ze łzami pierścień powierza,
I gdy rodzinne godło wspomina,
Żegna przez posła żonę i syna.
I wnet w zaciętej walce z Turkami,
Poległ przeszyty wielu strzałami.

(Dłużn. Paw., s. 9)

Przypomnieć też wypada, że dla wielu pokoleń Polaków Zawisza Czarny stał się jednym z ważniejszych bohaterów narodowych i symbolem niewzruszonej odwagi, nadzwyczajnej słowności i lojalności.

Przywołanie w utworze tak wybitnych postaci i wydarzeń historycznych pełniło z pewnością kilka zadań: ukazywało naszą świetność w minionych wiekach i w ten sposób czyniło z gawędy utwór „ku pokrzepieniu serc", sankcjonowało bohatera utworu jako wielkiego Polaka i znakomitą postać minionej Łodzi. Takie ujęcie postaci pełniło również wieloraką funkcję: mogło dawać garstce Polaków, zalanej przez „rwącą powódź gotyckiej rzeszy", poczucie przynależności do ziemi, na której miały miejsce przedstawione w gawędzie wydarzenia, a więc i do obszaru miasteczka, uprawomocniało ich też jako panów tej ziemi, podnosiło rangę miasteczka i – wreszcie – czyniło z „założycieli" miasta ród ponadprzeciętny, którego koniec spowodowała nie tyle zdradziecka kula, ile miłość i poświęcenie dla ojczyzny. A to powinno stanowić wyróżnienie i dawać powód do chluby.

I w tym miejscu można już przejść do „obrosłych legendą" wydarzeń, które miały miejsce w Łodzi w roku śmierci króla znanego najbardziej z przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy. Streścić je można w kilku zdaniach. Pochodzący ze znakomitego łódzkiego rodu założycieli miasta Paweł Łodzia Kubowicz – szlachcic, żołnierz i patriota – po utracie ukochanej żony poświęcił się ojczyźnie. Wyruszając na wojnę, oddał swojej siostrze na wychowanie jedyną córkę Urszulę, a swoje dobra, w tym Łódź, wydzierżawił jej mężowi, Jakubowi Rogowskiemu. Nieszczęście chciało, że wojny trwały bezustannie, a bohater dostał się pod Cecorą do tureckiej niewoli. W tym czasie dom siostry podupadł za sprawą zięcia Rogowskich, Jacka, który przywiódł do upadku, najpierw poprzez pijaństwo, a później zdradę i haniebne czyny, swego teścia. Żona Jakuba Rogowskiego zmarła ze zgryzoty. Wtedy Jakub i Jacek postanowili, że doprowadzą do śmierci Urszuli, by jej dobytek mógł odziedziczyć syn Jacka, Włodzio. Wydawało się, że los Urszuli odmieni się za sprawą miłości szlachetnego Podstolica. Jednak i tę przeszkodę teść z zięciem usunęli, podżegając pijanych poddanych do pobicia młodzieńca. Po jego śmierci nic nie stało już na przeszkodzie, by doprowadzić do śmierci również dziedziczkę znakomitego rodu. Niespodziewanie jednak w dniu jej pogrzebu powrócił z niewoli ojciec. Nie umknęło jego uwadze, co naprawdę było przyczyną śmierci córki, a i ludzie nie mieli co do tego wątpliwości. Wcześniej nie było jednak komu ująć się za sierotą. Nie mógł jej śmierci pomścić i ojciec. Nocą został zabity w swoim domu przez Jacka, działającego w porozumieniu z teściem. Obaj obawiali się zemsty, poza tym chcieli doprowadzić do końca swój plan odziedziczenia przez Włodzia – syna jednego, a wnuka drugiego – majątku Kubowiczów. Ich

haniebny plan nie powiódł się jednak. Paweł zdążył przed śmiercią ofiarować rodzinne dobra kościołowi. Jacek zginął z własnej ręki, a Jakub przepadł bez wieści. Odnalazł go później wnuk w pustelni niedaleko Łodzi, pokutującego szczerze za grzechy (Dłużn. Paw., s. 11–24).

Zarówno postaci, jaki i wydarzenia przedstawione w utworze są fikcyjne. Nawet jeśli Paweł Kubowicz pochodził ze znaczniejszego rodu (jak na warunki łódzkie) i ofiarował kościołowi precjoza, to był mieszczaninem, a nie szlachcicem i z pewnością nie był potomkiem założyciela miasta. Łódź – miasto, od początku swojego istnienia stanowiło dobra kościelne i zostało założone na wcześniej istniejącej osadzie, leżącej nieopodal wsi Łodzia. Wieś powołał do życia biskup włocławski Gerward, należący do rodu Leszczyców (a nie Łodziców, jak wcześniej sądzono i od jego herbu wywodzono nazwę wsi[44]; pogląd ten i dziś jeszcze ma swoich zwolenników wśród miłośników miasta)[45]. Nie było też w Łodzi szlacheckiej siedziby. Warto w tym miejscu przytoczyć rozważania i wyniki badań R. Kaczmarka. Opierając się na źródłach, stwierdza on, że:

[...] w aktach pisano nazwisko Kubowicza w następujący sposób: „Paulus de Lodzia", „Paulus Lodziensis"; określenia tego typu wskazują tylko na wywodzenie się z mieszczan.

Trudno określić, jak dawne są tradycje mieszczańskie rodziny Pawła Kubowicza w Łodzi. Wiadomo tylko, że w XVI wieku w miasteczku mieszkał jego ojciec Jakub przezwiskiem Kuba. Zmarł on przed rokiem 1594, bo w tym czasie małżonka jego Anna Kubina była już wdową i sama załatwiała interesy majątkowe. Anna Jałoszanka pochodziła z zamożnego rodu łódzkiego Jałochów, którzy często zasiadali w urzędach miejskich.

Synem Anny Jałoszanki i Jakuba Kubów był bohater legendy, Paweł Kubowicz. O jego życiu niewiele da się powiedzieć. [...] Urodził się około 1560 roku. Pierwsze nauki odebrał prawdopodobnie w szkółce parafialnej w rodzinnym mieście. W szesnastym lub siedemnastym roku życia ruszył syn bogatego mieszczanina, Paweł Kubowicz, z Łodzi do Krakowa na studia [...] i zapłacił za wpisowe 2 grosze (najwyższy wpis wynosił 8 groszy). [...]

W szesnaście lat później w 1593 r. młodszy brat jego, Wojciech, na rok przed śmiercią ojca zaczął studia w Akademii, latynizując swe nazwisko – Albertus Jacobi Kubacius. Zamożność rodziny Kubów z XVI stulecia jest widoczna i w fakcie wysłania dwóch synów na uniwersytet, i w tym, że młodszy Wojciech zapłacił wpisowe w wysokiej stawce 6 groszy. Świadczy to także o wysokich aspiracjach kulturalnych rodziców i młodych Kubowiczów.

---

[44] Nie ma zgodności co do pochodzenia nazwy Łodzi. Odrzucono jej pochodzenie od herbu założyciela wsi, biskupa Gerwarda – niemożliwe jest, by wszystkie miejscowości w Polsce o nazwie Łódź założył biskup Gerward lub inni członkowie rodu Łodziców, przede wszystkim jednak biskup Gerward nie należał do rodu Łodziców tylko Leszczyców. Nie ma również zgody co do tego, że nazwa Łodzi pochodzi od krzewiny bagiennej, zwanej łoza lub łodzia. Zdecydowanie należy odrzucić wywodzenie jej od łódki lub imienia Włodzisław, Włodzio.

[45] *Łódź – dzieje miasta*..., s. 58

Po sześciu latach studiów w Krakowie, w roku 1583 [...] zdobył Paweł stopień bakałarza na wydziale artium. Kolegami jego, którzy również ten stopień otrzymali, byli z pobliskich Brzezin: Kacper i Wojciech.

Jak potoczyły się dalsze koleje życia Pawła Kubowicza – nie wiemy. Ponieważ zyskał stopień naukowy, można by sądzić, że objął rektorstwo jakiejś szkoły parafialnej lub wstąpił do stanu duchownego. Tymczasem źródła historyczne sprawiają nam niespodziankę [...] Otóż Paweł z Łodzi zwany Kubowiczem [...] od chwili uzyskania bakalaureatu prawdopodobnie niemal do końca życia parał się żołnierką[46].

Z innych ustaleń badacza warto jeszcze przywołać informacje na temat rodziny Pawła Kubowicza: jego brat Wojciech został księdzem, a siostra Zofia wyszła za mąż za bogatego mieszczanina łódzkiego, Stanisława Nowaczka. Źródła milczą natomiast na temat rodziny – żony i córki samego bohatera[47] i możemy przyjąć, że pozostał w stanie bezżennym.

Informacje te są niezwykle cenne. Dzięki badaniom i kwerendzie R. Kaczmarka udało się bohatera W. Dłużniewskiego wydobyć z pomroki dziejów. Należy jednak ostrożniej podejść do interpretacji pewnych faktów: zamożności rodziny Kubowiczów, Jałochów i Nowaczków, a także aspiracji kulturalnych rodziców oraz młodych Kubowiczów, co miałoby tę rodzinę szczególnie wyróżniać. Łódź w XVI w. znajdowała się w fazie szczytowego rozwoju i ogólnej prosperity, co zresztą cechowało ziemie Rzeczypospolitej tego okresu. Wyrażało się to m.in. podejmowaniem przez synów mieszczańskich i chłopskich studiów w Krakowie. Wraz z Pawłem, jak stwierdza R. Kaczmarek, studia skończyło dwóch młodzieńców z Brzezin. Nie jest to jednak jakaś sytuacja wyjątkowa – studia te odbywało wielu młodych ludzi z okolicznych miejscowości; poprzestańmy tylko na szesnastu łodzianach, z których dwóch, bracia Rożkowicowie, zostało nawet rektorami krakowskiej uczelni. Należy także pamiętać, że Łódź nigdy nie należała do zamożnych miast, toteż mówiąc o bogactwie mieszczan łódzkich, zawsze należy takie stwierdzenie opatrzeć zastrzeżeniem „jak na warunki łódzkie".

Wiemy zatem, że utwór W. Dłużniewskiego jest rozbudowaną legendą literacką, opartą na miejscowej legendzie, w której występują odwołania do autentycznych postaci i wydarzeń. Możemy z niej wyłuskać także inne elementy realistyczne. Poza wskazanymi wcześniej (gwałtowny rozwój położonego pośród lasów podupadającego miasteczka za sprawą niemieckich przybyszy, stary kościół, usytuowanie nowych domów ze spadzistymi dachami wzdłuż jednej drogi, istnienie wyróżniających się spośród nich większych budowli) należy również zwrócić uwagę na szlachecką wieś Rogi, od której można wywieść nazwisko rodziny Rogow-

[46] R. Kaczmarek, *Wiktor Dłużniewski*..., s. 394–395.

[47] Tamże, s. 396–397.

skich. Jej członkiem jest Jakub Rogowski, legendarny pieniacz i rozbójnik z XVII w., często występujący w księgach miejskich Łodzi z powodu zatargów z mieszczanami[48].

Nieco dłużej zatrzymajmy się jeszcze przy znanej do dziś łagiewnickiej Pustelni, leżącej pomiędzy Zgierzem i Łodzią:

> Pomiędzy Łodzią a miastem Zgierzem
> Jeden myśliwy, goniąc za zwierzem,
> Wśród starodrzewia starego boru
> Odkrył kaplicę, taką z pozoru
> Jakby kościółek biedny, malutki,
> A przy kaplicy coś na kształt budki,
> Coś niby domek w ziemię zapadły.
>
> (Dłużn. Paw., s. 22–23)

Wszyscy, którzy widzieli łagiewnickie kapliczki, zauważą analogię pomiędzy nimi i ich opisem w utworze. By nie dać się temu zwieść i uznać miejsce za autentyczne oraz zachowane do dziś, trzeba wiedzieć, że kapliczek było kilka i tylko dwie ostały się z pożogi ostatniej wojny. Legendy o ich początkach nawiązują do powstania kaplicy i objawień św. Antoniego w latach siedemdziesiątych XVII w. W 1680 r. Łagiewniki zostały ogłoszone miejscem cudownym, a dwa lata później, w związku z dużą liczbą napływających pielgrzymów, zbudowano na miejscu drewnianej kapliczki duży drewniany kościół, do którego uroczyście przeniesiono obraz świętego. Drewnianą, modrzewiową kaplicę z 1676 r., znaną obecnie jako kapliczkę św. Antoniego, przeniesiono do tzw. Pustelni. Obok niej wzniesiono na początku XVIII w. drugą, pod wezwaniem św. Rocha i św. Sebastiana. Nawet jeśli pustelnik, bohater utworu Dłużniewskiego stwierdza, że „Już lat trzydzieści w osamotnieniu / W poście, w modlitwach i odrzuceniu" żyje w tym miejscu, to i tak Włodzio musiałby spotkać dziadka zanim wzniesiono pierwszą kapliczkę. Tak więc znów mamy do czynienia z fikcją literacką. Warto jednak pamiętać, że kapliczka św. Antoniego jest najstarszym zabytkiem współczesnej Łodzi i wraz z cudownym źródełkiem w środku uznawana jest za miejsce cudowne.

Może jednak i tu kryje się ziarnko prawdy lub rozlegają echa innej łódzkiej legendy? R. Kaczmarek, rozważając cytowany wcześniej fragment gawędy i powołując się na O. Flatta pisze: „Jeszcze w XIX w. istniała tu pustelnia, jak opowiada Oskar Flatt: «W pół drogi [Łódź–Łagiewniki] stała do ostatnich czasów pustelnia obok wyniosłego kurhanu, co krył pod

[48] Tamże, s. 392, 397.

sobą mogiłę pięciu pustelników – i tę rozebrano [...]»"[49]. Czy mamy do czynienia z dwoma różnymi miejscami i „pustelniami"? O kurhanie dzisiaj przecież już się nie mówi! Gdyby tak było, pieniacz i awanturnik, szlachcic Jakub Rogowski, może i dokonałby żywota w jednej z nich? Albo w jednej z wielu tu istniejących, które rzeczywiście rozebrano, nim O. Flatt zobaczył to miejsce? A może to ciągle ta sama pustelnia, ale powstała znacznie wcześniej? Trudno orzec. Miejsce jakby to samo, a jego historia nieco inna. Łódź i jej okolice kryją przed nami wiele jeszcze tajemnic.

Paweł Łodzia Kubowicz jest więc niewątpliwie pożegnaniem Łodzi rolniczej – pożegnaniem nostalgicznym. Poeta – „muz rodzinnych kochanek" – woli tę dawną Łódź, ubogą, otoczoną puszczą pełną dzikiego zwierza, skrywającą mroczne tajemnice, będącą kolebką wiary i kultury przodków. Z niepokojem patrzy, jak te dawne dzieje i tradycja giną w „rwącej powodzi" osadników, którzy pochłaniają wszystko, co spotykają na swej drodze – puszczę, lichą osadę miejską, a nawet ubogą świątynię. W ich żywiole roztapia się to, co bliskie sercu – Ojczyzna. Teraz jest już podwójnie zagrożona – przez zaborcę i przez ten hołubiony obcy żywioł, któremu nawet niebiosa zdają się sprzyjać. Nie cieszą więc łódzkiego nauczyciela „ulice z głazu", „gmachy jak zamki", „jak wieże wzniosłe kominy", ani też mnożące się bez mała niewielkie domki, stawiane jeden za drugim wzdłuż ulicy. Odzywa się w nim dusza pedagoga. Pisze gawędę, która ma przypomnieć, kto w istocie jest panem tej ziemi i dlaczego zapomnieć o tym nie można. „[...] gawęda o Łodzi, kronika jej dawności, to zarazem kronika niepodległych lat ojczyzny, kiedy najlepsi obywatele gotowi walczyć *pro publico bono* nie znali rozbratu między duchem a czynem"[50]. Ku takiej interpretacji skłania również krytyka Łodzi fabrycznej w drugim utworze W. Dłużniewskiego, *Wyprawa do Ameryki*, o czym już w innym miejscu.

Zarówno działalność W. Dłużniewskiego w Łodzi, jak i jego legenda są świadectwem współistnienia starej i nowej Łodzi, jakkolwiek może wydawać się to dziwne, skoro pod koniec XVIII w. żyło w niej „mieszkańców ogółem 190, w tej liczbie mężczyzn 89, kobiet 90, Żydów 11; kościół był jeden katolicki, dymów było 44, domów niezamieszkałych 11, placów pustych 18, stodół 44" (Flatt, s. 16). Łódź rolnicza nie przestała więc istnieć w wyniku zmian historycznych, powstania osady przemysłowej i gwałtownego napływu obcych, a takie przekonanie wydaje się powszechne wśród współczesnych łodzian. Mieszczanie łódzcy nie tylko

[49] Tamże.

[50] A. Kowalska, „*Wyprawa do Ameryki...*", s. 85.

zachowali swoją tożsamość, ale też żywe musiały być wśród nich dawne tradycje i silne ich odczuwanie, skoro ta garstka ludzi zdołała przez pół wieku przechowywać i uratować od zapomnienia dawne opowieści. W. Dłużniewski, jedyny prawdopodobnie i równocześnie ostatni piewca Łodzi rolniczej, ocalił dla potomności historię o Pawle Łodzi Kubowiczu. Nieobcy był mu ten skrawek ziemi, choć nie darzył go wielkim uczuciem. Stał jednak na straży narodowych pamiątek. Był patriotą, człowiekiem świadomym zagrożenia, jakie mogą nieść zmiany. Postrzegał je zresztą bardzo szeroko.

3. „Byle tylko tkaczem być…” O niezmitologizowanym życiu osadników w fabrycznej Łodzi

Z chwilą wytyczenia w 1823 r. granic Nowego Miasta rozpoczął się napływ do Łodzi oczekiwanych i pożądanych przez rząd Królestwa Polskiego osadników. Pod koniec XVIII w., niedługo przed tym, jak Łódź przestała być własnością biskupów kujawskich, zaczęli przybywać do niej Żydzi. Wcześniej tu nie mieszkali, choć żaden przepis nie zabraniał im osiedlać się w dobrach kościelnych. Ani oni jednak, choćby posiadali umiejętność wytwarzania sukna, ani też rdzenni mieszkańcy tej ziemi nie byli oczekiwanymi przez twórców uprzemysłowienia przybyszami. Tym bowiem nadano liczne przywileje. Otrzymywali m.in. w wieczystą dzierżawę działki, bezpłatnie budulec na pierwszy dom, zwolnienie z wszelkich ciężarów i podatków na okres sześciu lat, przywileje i prawa, jakie posiadali mieszkańcy Łodzi rolniczej, a nawet poletka uprawne przygotowane przez chłopów z Wólki. Tych zmuszono jeszcze do opuszczenia rodzinnej wsi i przeniesienia się wraz z inwentarzem i zagrodami do Widzewa. Ich bunt uśmierzyli sprowadzeni z Łęczycy kozacy. Jedyne, czego wymagano od osadników w zamian za przywileje, to produkcja sukna, a później także innych tkanin i rozwój poprzez tę działalność przemysłu Królestwa. To zapewne liczne udogodnienia, których pozbawieni byli Polacy, przyczyniły się do powstania przekonań o spokojnym, pozbawionym trudów i przeciwności życiu tkaczy. Zobowiązani byli przecież robić tylko to, co doskonale umieli i co im samym mogło przysporzyć bogactwa.

Przeciwności, z którymi zetknęli się przybysze, wynikały jednak nie tylko z samego zagospodarowywania się w nowym miejscu, a przecież i ono mogło uprzykrzyć życie. Ich przyczyną nie była również pewna niechęć tych, którzy, jak można przypuszczać, pozbawieni nadanych osadnikom przywilejów, ponosili koszty zmian. Źródłem problemów były przede wszystkim wahania koniunktury na produkty przemysłu włókienniczego i niepokoje społeczno-polityczne, jakie dotknęły ziemie polskie

w pierwszej połowie XIX w. Czy rzeczywiście życie tkaczy pozbawione było trudów? O tym możemy dowiedzieć się z publikacji O. Flatta i pozostawionej w rękopisie sztuki W. Dłużniewskiego.

3.1. Oskar Flatt, miłośnik Łodzi fabrycznej

Oskar Flatt, urodził się 6 listopada 1822 r. w Siedlcach, w rodzinie nauczyciela języka niemieckiego, Bogumiła Flatta. Uczęszczał do Gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim, w którym jego ojciec był nauczycielem. Po ukończeniu szkoły został urzędnikiem rządu gubernialnego w Warszawie, a później urzędnikiem kolejowym; dosłużył się nawet stanowiska dyrektora jednej z najdłuższych linii Rosji – Kolei Żelaznej Libawskiej. Był również dziennikarzem, literatem, krytykiem, znawcą historii, geografii, etnografii i folkloru ziem polskich – erudytą i człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach: „Zapalony krajoznawca, wielbiciel swojszczyzny, a zarazem zwolennik postępu w technice i nauce, pozostawał pod wpływem literatury okresu romantyzmu, zwracającej się ku badaniom pieśni i zwyczajów ludu. Interesowały go współczesne zwyczaje [...] przeszłość historyczna, stan ludności i rozwój przemysłu"[1].

Dość wcześnie, bo w 1849 r., O. Flatt związał się z dziennikarstwem; z czasem został współredaktorem „Gazety Codziennej" (wydawanej później pod nazwą „Gazety Polskiej"), na łamach której zamieszczał korespondencje terenowe ze swoich licznych podróży, sygnowane literą F. Zwiedzał i opisywał przede wszystkim Królestwo Polskie, ale również ziemie polskie w innych zaborach. Zawdzięczamy mu prezentację Mazowsza, Kujaw, Pomorza, Podlasia, Lubelszczyzny, Gór Świętokrzyskich, Tatr, brzegów Wisły. Wędrował różnymi środkami lokomocji – koleją żelazną, statkiem parowym po Wiśle, dyliżansami, karetkami pocztowymi, a nawet furmankami i konno. Wyjeżdżał poza granice Królestwa Polskiego do Austrii, Prus, Francji, Anglii i Rosji. Należy podkreślić, że obowiązki zawodowe traktował bardzo sumiennie, natomiast ulubionym działaniom pozazawodowym oddawał się z pełnym zaangażowaniem i pasją, czemu sprzyjał stan kawalerski, w którym pozostał do końca życia, oraz liczne wyjazdy służbowe. Ruchliwy tryb życia dawał mu okazję poznawania ludzi, zjawisk społecznych, przeszłości odległej i niedawnej, przede wszystkim jednak pasjonowały go współczesne problemy gospodarcze i socjalne. Zmarł w wieku zaledwie pięćdziesięciu lat, w 1872 r. został pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy ul. Młynarskiej w Warszawie.

[1] *Polski słownik biograficzny*, t. VII, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Kraków 1948–1958, s. 31.

Mimo wielu obowiązków i ruchliwego trybu życia, O. Flatt, poza licznymi artykułami, opublikował monografie Piotrkowa (*Opis Piotrkowa Trybunalskiego pod względem historycznym i statystycznym*, Warszawa 1850) i Łodzi (*Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853) oraz opis przeszłości nadwiślańskich brzegów od Warszawy do Ciechocinka (*Brzegi Wisły od Warszawy do Ciechocinka. Popularny podręcznik podróży malowniczej*, Warszawa 1854). Wszystkie te publikacje znajdują się w zbiorach British Museum[2]. Z anonsów w „Bibliotece Warszawskiej" i „Gazecie Warszawskiej" z roku 1856 wiemy również, że powstawała monografia Pilicy i Szczekocina[3].

Na zakończenie tej krótkiej informacji o życiu i działalności O. Flatta warto dodać, że był on bratankiem znanego agronoma Jerzego Beniamina Flatta[4], który na polecenie Stanisława Staszica zajmował się rozwojem szkolnictwa rolniczego w Polsce i w tym celu poznawał nowoczesne rolnictwo Szwajcarii i Niemiec. Owocem wypraw był m.in. niepublikowany *Dziennik Podróży do Szwaycaryi z Kalisza*. J. B. Flatta uznaje się za twórcę współczesnej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW) w Warszawie[5].

Porównując życie i działalność W. Dłużniewskiego i O. Flatta, wypada stwierdzić, że mamy do czynienia z dwoma różnymi charakterami oraz zupełnie odrębnymi drogami życiowymi, jakkolwiek obu charakteryzowała pracowitość, pasja i oddanie ideałom. Na życiu W. Dłużniewskiego zaważyły szlacheckie korzenie i idee narodowowyzwoleńcze. Posiadającego prawdopodobnie niemieckie korzenie O. Flatta fascynowała natomiast współczesność. Z tego też zapewne powodu podchodził inaczej niż łódzki nauczyciel do rozwoju ziem polskich. Obaj pozostawali pod wpływem literatury romantycznej i byli „wielbicielami swojszczyzny", jednak warszawski publicysta był też zwolennikiem i entuzjastą postępu w technice, nauce i gospodarce. W ogóle był zwolennikiem działalności praktycznej, a taka postawa nie była wówczas ani częsta, ani popularna. Zachwycał się więc tym, co widział w Łodzi i nie mierził go obcojęzyczny gwar na

[2] A. Kowalska, *Nieznany łódzki utwór sceniczny o „ziemi obiecanej"*, „Prace Polonistyczne" 1966, seria XXII, s. 4.

[3] „Oskar Flatt wykańcza obecnie obszerną monografię Pilicy i opis miasta Szczekocin. W Pilicy przesuwają się rodziny Pileckich: tu wydatnieje postać trzeciej małżonki Władysława Jagiełły, Elżbiety z Pileckich Granowskiej; Padniewskich, szczególniej Stanisława znanego starosty dybowskiego i wreszcie Wesslów, z których Maryja Józefa była małżonką królewicza Konstantego Sobieskiego, a przy niej staje postać podskarbiego Teodora Wessla. Dzisiejsza epoka staje się zapowieścią [!] odrodzenia się Pilicy, odpowiednio duchowi czasu, bo zyskało imię w dziejach przemysłu krajowego". Cytat za: Aleksander Kot, *Oskar Flatt*, http://jura-pilica.com/?oskar-flatt,434 (dostęp: 10.09.2012).

[4] A. Kowalska, *Nieznany łódzki utwór*..., s. 4.

[5] *Polski słownik biograficzny*..., s. 30; *Beniamin Flatt*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Beniamin_Flatt (dostęp: 10.09.2012).

rdzennie polskiej ziemi[6]. Warto przy tym zauważyć, że O. Flatt czuł się Polakiem i pochodzenie jego rodziny w żaden sposób nie wpływało na stosunek autora *Opisu* do Polski. Świadczą o tym liczne sformułowania typu: „karta z dziejów [...] – byle s w o j s k a"; „Łódź przoduje u n a s"; „przemysłowe życie n a s z e [...]", „n a s z e g o przemysłu, n a s z e g o handlu" [podkr. – J. F.]. Użycie tych zaimków, jak zaznaczono – częste, wyraźnie świadczy o pełnej asymilacji jego rodziny i przywiązaniu O. Flatta do Polski i polskości.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ostatnie zdania *Przedsłowia*:

> Czemuż byśmy nie mieli mieć historii naszego przemysłu, naszego handlu? Mianowicie dziś, gdy potrzeba czasu zbudziła do pełniejszego życia te dwa ważne działacze [czynniki sprawcze]; gdy młodzież nasza otrząsnęła się z wiekowego przesądu i zaczyna wierzyć, że upotężniając żyły narodowego przemysłu, nie mniej korzystnie służy interesom kraju, jak pracując na widowni służby publicznej lub pługiem podnosząc bogactwo swej ziemi" (Flatt, s. VII–VIII).

Podobną myśl zauważamy we *Wstępie*:

> Skromne na kartach dziejów Łódź zajmuje miejsce, ale za to w historii przemysłu, w rozwoju naszych fabryk świetnie jaśnieje, a wszak to przemysł, zbratawszy się z handlem i rolnictwem, ma krajowi naszemu jasną, złotodajną zapewnić przyszłość. A ta przyszłość i dla Łodzi jest zwiastowaniem dalszego rozwoju (Flatt, s. 10–11).

W świetle tych słów O. Flatt, pozostając pod wpływem romantyzmu, jawi się również jako prekursor pozytywizmu. Potwierdza to także jego działalność, o której dziś się nie pamięta – był współorganizatorem wystaw i konkursów rolniczych.

3.2. *Opis miasta Łodzi* Oskara Flatta jako źródło wiedzy o początkach Łodzi przemysłowej

Opis miasta Łodzi był gotowy do druku już w 1851 r., jednak z powodu zakazu cenzury ukazał się, o czym dalej, dopiero dwa lata później. Monografia O. Flatta była odpowiednikiem pierwszej tego rodzaju książki

[6] „Nie mamy w całym kraju miasta" – pisze O. Flatt w *Przedsłowiu* – „które by tyle, co Łódź zawdzięczało przemysłowi; miasta, które by przez przemysł z zupełnego zapomnienia, z zupełnej nicości, podniosło się na ten stopień zamożności i rozwoju; miasta, w którym by wydatniej przejawiało się życie fabryczne – słowem, miasta więcej typowo-fabrycznego. Łódź przoduje u nas całemu przemysłowi bawełnianemu i przez to na szczególną zasługuje uwagę, że na tle jej wydatnie odkreśla się i cały rozwój, i wszystkie zmienne koleje, jakie odznaczyły przemysłowe życie nasze, od zaczątku jego, przez całe ubiegłe trzydziestolecie" (Flatt, s. VI).

o Polsce, wydanej przez Józefa hr. Krasińskiego w Warszawie w 1820 r. w wersji francuskiej i w 1821 r. w wersji polskiej – *Przewodnik dla podróżujących w Polsce*. „Oprócz szczegółowego opisu Warszawy i okolic, *Przewodnik* zawierał opis Radziwiłłowskiej Arkadii i Puław [Czartoryskich] [...] oraz opis Krakowa". W *Przewodniku* J. Krasińskiego nie było jeszcze wzmianki o Łodzi, stąd pomysł Flatta – jak zauważa A. Kowalska – aby poświęcić temu miastu osobną, wzorowaną na tamtej „monografię", ozdobioną również litografiami[7].

Publikacja O. Flatta zasługuje na uwagę z wielu względów. Składa się na nią rys historyczny, obejmujący dzieje Łodzi od 1820 r. wraz z etapami jej rozwoju, dokumenty archiwalne – poza średniowiecznymi aktami lokacyjnymi, a także przepisy regulujące osiedlanie się w Łodzi oraz powinności i przywileje rękodzielników (tzw. umowa zgierska), przepisy regulujące możliwość zamieszkania w niej Żydów, dane statystyczne, informacje o przemyśle, wyglądzie miasta i życiu jego mieszkańców. O. Flatt wykazał się przy tym doskonałą znajomością podejmowanej problematyki – również od strony teoretycznej – i erudycją. Wielokrotnie, omawiając jakieś zagadnienie, odwołuje się do autorytetów dziedzin bardzo specjalistycznych, np. z zakresu ekonomii (Flatt, s. 46–47) lub przemysłu lnianego w Polsce (Flatt, s. 102).

Monografia została wydana bardzo starannie. Jest wzbogacona o plan i siedem litografii. Pierwszy publicznie znany plan Łodzi z 1853 r. zadziwia swoją precyzją i dokładnością szczegółów, np. kwadracikami oznaczono poszczególne budynki, różnicując je na drewniane i murowane (na co pierwszy zwrócił uwagę, jak się sądzi, M. Jaskulski)[8]. Istniejące wówczas w Łodzi ulice (było ich 31) oznaczono na planie literami alfabetu łacińskiego – małymi, pojedynczymi lub podwójnymi (np. a, aa, b, bb). Wielkimi literami oznaczono „Znakomitsze Gmachy i Zakłady Fabryczne". Cyfry arabskie zostały wykorzystane do oznaczenia pięciu „Placów Publicznych" i „Ogrodu angielskiego". Stosowne objaśnienia ulic, placów i gmachów znalazły się z boku planu[9]. Litografie W. Walkiewicza ukazy-

[7] A. Kowalska, *Nieznany łódzki utwór*..., s. 5.

[8] *Oskar Flatt*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Oskar_Flatt (dostęp: 10.09.2012).

[9] Na pierwszym planie Łodzi, zamieszczonym w przewodniku O. Flatta, znajdujemy zatem: „Place publiczne: Rynek Starego Miasta, Rynek Nowego Miasta [pl. Wolności], Rynek Fabryczny [pl. im. Jana Pawła II], Rynek Górny [pl. Reymonta], Rynek Wodny, Ogród angielski [park Źródliska]; Znakomitsze Gmachy i Zakłady Fabryczne: Kościół katolicki, Kościół ewangelicki, Ratusz, Szpital miejski, Zakład Fabryczny Geyera, Zakład Bielnikowy, Maglowy i Przędzenia wełny Petersa, Zakład przędzenia bawełny P. Grohman[a], Zakład przędzenia bawełny Moesa [wchłonięty później przez zakłady Scheiblera], Zakład przędzenia bawełny P. Dawida Lande[go] [znajdujący się na rogu ulic Wólczańskiej i Kątnej, obecnie Wróblewskiego]; oraz Ulice: Zgierska, Brzezińska [dziś Wojska Polskiego], Kościelna, Wolborska, Stodolna, Drewnowska, Podrzeczna, Piotrkowska, Pół-

wały „Ratusz i kościół ewangelicki, Kościół katolicki, Zakład fabryczny Geyera, Zakład fabryczny Grohmanna, Zakład fabryczny Petersa, Zakład Fabryczny Moessa[10], Zakład fabryczny Feslera" (dziś już nieistniejący) i „Park miejski" (Źródliska). Przyglądając się im, warto pamiętać, że przedstawiają one budowle, na które patrzyli W. Dłużniewski i O. Flatt – przedstawiciele różnych kultur, odmiennie postrzegający to, co ważne dla kraju.

Pracy O. Flatta, mimo pewnych (rzadkich!) nieścisłości, niewynikających zresztą z winy autora, a tylko z przyczyn obiektywnych, przecenić w żaden sposób nie można. Ukazał on bowiem miasto wszechstronnie, dając też wnikliwe oświetlenie omawianych problemów. Przedstawił więc drogę, jaką przebyła Łódź od „zagubionego" wśród lasów miasteczka ku „fabrycznej karierze", jej wygląd, twórców jej uprzemysłowienia, fabrykantów, czasem – rzadko – zwykłych ludzi, przemysł i jego rozwój, problemy uprzemysłowienia, życie w miasteczku, a wszystko to zostało wnikliwie omówione, poparte szczegółowymi opisami i analizami. Warto też zwrócić uwagę, że naukowa ścisłość, typowe dla języka naukowego wyliczenia i dane statystyczne, powoływanie się na autorytety oraz samo przeznaczenie publikacji (dla szerokiego grona odbiorców; pamiętać jednak należy, że owo „szerokie grono" nie jest identyczne z dzisiejszym), nie pozbawiają jej walorów literackich. Występują one w ujęciach typu: [...] „wśród dziewiczych dokoła lasów, drzemała snem zapomnienia nędzna mieścina" (Flatt, s. 9); [...] „padła potem iskra życia, bujnie wschodzący krzew przemysłu coraz więcej rozrastać się zaczął [...]" (Flatt, s. 10); „W czerwcu 1823 roku nie istniał jeszcze w Łodzi żaden dom rękodzielniczy, nie mieszkał żaden fabrykant cudzoziemski, a w grudniu tegoż roku, na przestrzeniach, gdzie jeszcze w lipcu sprzątano zboże, znajdujemy sześć nowych domów dwufamilijnych i w pełnym ruchu warsztaty sukiennicze dziewięciu majstrów, wprost z Grünberga, ze Śląska sprowadzonych" (Flatt, s. 61–62); „Zmienia się obraz. Po tej błogiej jutrzence nowe następuje zaćmienie" (Flatt, s. 81); „Widok kościoła wspaniale i dziś jeszcze uderza oczy, bo i samo położenie wioski

nocna, Średnia, Południowa [Próchnika i Rewolucji 1905 r.], Cegielniana [Więckowskiego i Jaracza], Zachodnia, Wschodnia, Widzewska [Kilińskiego], Targowa [Knychalskiego i Sterlinga], Dzika [Sienkiewicza], Wólczańska, Dzielna [Zielona i Narutowicza)], Krótka [Benedykta i Traugutta], Przejazd [Andrzeja Struga, bardziej znana jako Andrzeja i Tuwima], Nawrot [Zamenhoffa i Nawrot], Główna [Mickiewicza i Piłsudskiego], Pusta [Żwirki i Wigury], Boczna [Radwańska i Brzeźna], Placowa [ks. I. Skorupki], Św. Emilii [Tymienieckiego], Czerwona, Kątna [Wróblewskiego], Zarzewska [Przybyszewskiego], Przędzalniana".

[10] Litografia przedstawiająca Zakład Fabryczny Moessa jest w istocie jedynym zachowanym wizerunkiem nieistniejącej już fabryki K. Wendischa.

[*sic*!] pełne jest uroku; szkoda tylko, że ręka ludzka nie pomyślała o jego podniesieniu, o upiększeniu" (Flatt, s. 127). Owa literackość wynika z braku wykształcenia się typowego dla języka naukowego czasów późniejszych hermetyzmu, pewnej płynności stylistycznej, a także z nakazu pięknego, plastycznego wypowiadania się[11]. Zauważamy ją również, co warto podkreślić, u A. Stebelskiego, w omówionym wcześniej jego artykule.

Charakterystyczne dziś dla języka literackiego epitety, przenośnie, powtórzenia, wyszukane zwroty i wyrażenia, długie konstrukcje składniowe z zakłóconym szykiem, nadają *Opisowi* cechy bardzo specyficzne, zdradzają również stosunek autora do prezentowanych zjawisk, wyrażają szacunek dla ludzkiej pracy i projektu uprzemysłowienia, czynią obraz, w zależności od zamysłu autora, plastycznym, barwnym lub uroczystym, wprowadzają dynamikę, oddziałują na uczucia, pozwalają wręcz rozkoszować się rozwojem przemysłowej Łodzi, świadczą też o ambicjach pisarskich autora[12]. Pozorne zwroty do adresata: „w rzeczywistości nic tu nie poznasz. Wjechawszy od strony Zgierza [...] przypomnisz sobie Stare Miasto, ale szybko je minąwszy [...] wjeżdżasz w szereg [...] zabudowań [...]. Jedziesz wiorstę, drugą, i piątą mijasz, a ciągle [...] jesteś w Łodzi [...]" lub zrównanie perspektywy narratora z perspektywą adresata: „Dziś znowu w tym samym stańmy miejscu: przypominamy sobie, że tu stała kiedyś mieścina rolniczo-żydowska [...]" służą w istocie podkreśleniu niezwykłości zjawiska, jakim był rozwój Łodzi fabrycznej. Wszystko to czyni publikację O. Flatta niezwykłą – była i jest ona nie tylko bezcennym źródłem informacji, ale też informacje te podane są po mistrzowsku. Swoim entuzjazmem autor potrafił „zarazić" ideą uprzemysłowienia czytelników, do których kierował swoje dzieło. Dzisiejszego odbiorcę czaruje magią egzotycznych bez mała obrazów: „Wjechawszy od strony Zgierza potoczystym traktem, przypomnisz sobie Stare Miasto, ale szybko je minąwszy, tam, gdzie niegdyś nieprzebyte były topiele, wjeżdżasz

[11] Nieco inaczej widzi ten problem K. Kołodziej. Pisze: „Maniera pisarska Flatta jaskrawo kontrastowała z przedmiotem studiów. Liryczny język dużych partii wypowiedzi nie przystawał do opisu dynamicznie rozwijającego się miasta, choć należy pamiętać, że pierwszy opis fabrycznej Łodzi pochodzi z roku 1853, czyli z czasów, które w mitologii miasta zapiszą się jako lata niemal «sielskie», «anielskie». W połowie XIX w. Łódź była dopiero u progu gwałtownego ożywienia" (K. Kołodziej, *Między „ziemią obiecaną" a „złym miastem" – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 1, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2008, nr 10, s. 255). Warto jednak pamiętać, że mitologizacja dziejów miasta nastąpiła później (i trwa do dzisiaj), natomiast O. Flatt widział Łódź, którą opisywał, kilkakrotnie i świadom był występujących w niej zmian. Jego praca nie zakładała samego tylko opisu Łodzi, ale również propagowanie zachodzących w mieście pozytywnych zmian.

[12] Por. H. Karwacka, *„Opis miasta Łodzi Oskara Flatta początkiem piśmiennictwa przemysłowego miasta*, „Prace Polonistyczne" 1976, seria XXXII, s. 257.

w szereg nowych, porządnych zabudowań, a wszędzie ruch, a wszędzie życie" (s. 10). Poza rysem historycznym, dokumentami archiwalnymi, przepisami regulującymi życie w miasteczku, informacjami o rozwijającym się przemyśle, wyglądzie miasta i życiu jego mieszkańców, O. Flatt daje również niezwykle barwny obraz uroczystych obchodów święta Towarzystwa Strzeleckiego[13] i, sporadycznie, prezentację innych sposobów odpoczynku w „przemysłowym" mieście.

3.3. Apoteoza fabrycznego miasteczka w przewodniku *Opis miasta Łodzi*

Omówienie treści publikacji O. Flatta zaczniemy od ukazania drogi, jaką przebyła Łódź ku „fabrycznej karierze". Wiemy już z poprzedniego podrozdziału, że publicysta nazwał miasteczko „drzemiącą snem zapomnienia nędzną mieściną" lub „mieściną rolniczo-żydowską". To już jednak czasy minione i tylko pamięć wiąże przeszłość z teraźniejszością. Przybysz z pewnością zauważy nowe, porządne zabudowania rozlokowane wzdłuż długiej drogi, ruch i przejawy działalności mieszkańców, a przede wszystkim „wielkie gmachy", w których tętni „przemysłowe życie" (Flatt, s. 9–10). Autor informuje dalej, że przyczyną tych zmian było korzystne położenie: „bogata w piękne lasy okolica, przerżnięta strumieniami zasilanymi przez rzeczkę Łódkę i odkryte w nowym parku źródła". Wszystko to dawało nadzieje na pomyślny rozwój rękodzielnictwa i fabryk (Flatt, s. 18).

W *Opisie* znajdziemy również etapy rozwoju Łodzi i granice, w jakich mieściła się w połowie XIX w. O. Flat informuje, że na Łódź złożyło się sześć oddzielnych części: Stare Miasto, Osada Sukiennicza, którą później nazwano Nowym Miastem (dziś pl. Wolności z przyległymi ulicami), Osada Tkacka, Osada Prządnicza (obie złożyły się na Łódkę, ciągnącą się wzdłuż ul. Piotrkowskiej od Zielonej/Narutowicza po pl. Reymonta),

[13] Zwróćmy tylko uwagę na barwny początek uroczystości: „Z rana o godzinie dziewiątej wszyscy członkowie towarzystwa w wojskowym szyku, w zielonych mundurach, strzelbami uzbrojeni, ciągną pod przewodem swego Kapitana na Nowe Miasto i rozciągają się szeregiem przed siedliskiem miejscowego Magistratu. Starszyzna uprasza Prezydenta, który w pełnym mundurze staje na czele orszaku. Na ten znak rozwija się chorągiew, brzmi orkiestra i pochód poprzedzany przez strzelca, niosącego ofiarowaną przez ostatniego króla tarczę honorową, rusza do mieszkania Króla, stojącego na schyłku swego panowania. Niebawem więc przyłącza się do orszaku Król, przybrany w oznaki swej godności: wielką gwiazdę na piersiach i przez plecy zielono wyszywaną szarfę, poobwieszaną różnymi numizmatami, ofiarowanymi przez ustępujących od władzy królów tarczowych" (Flatt, s. 147).

Osada Szlązaki i Nowa Dzielnica (jej centralnym placem był Wodny Rynek, dziś pl. Zwycięstwa). „Z tych żywiołów utworzona całość miasta Łodzi graniczy na północy z dobrami prywatnymi Radogosz[cz] i Łagiewniki; na wschód z dobrami prywatnymi Stoki oraz rządowymi – Widzew i Zarzew; na południe, z dobrami Chojny i Rokicie; na zachód z dobrami prywatnymi Brus" (Flatt, s. 26). Dzisiejsza Łódź jest zupełnie inna. Z najstarszych nazw miasta zachowała się jedynie nazwa Starego Miasta. Dawne wsie stały się osiedlami mieszkaniowymi. Większość tych zmian rozpoczęła się w ostatnim ćwierćwieczu XIX w.

Warto bliżej przyjrzeć się zasiedlaniu fabrycznej Łodzi. Zwykle nie zastanawiamy się, jak osadnictwo przebiegało; co najwyżej stwierdzamy: przyjechali i zostali, mając na myśli Niemców i Żydów, jak gdyby to przybycie cechowało dumne *veni*, *vidi*, *vici* Cezara. Tymczasem odbywało się to zupełnie inaczej i było dużo bardziej skomplikowane. Przede wszystkim osadnictwo żydowskie, jak wszędzie zresztą, napotykało na liczne utrudnienia (o czym w innym miejscu), natomiast oprócz Niemców przyjeżdżali także Czesi i tkacze ze Śląska (poprzestańmy na tych grupach osadniczych). Trudno też określić narodowość ostatniej grupy; jak wiemy Dolny Śląsk odpadł od Polski po rozbiciu dzielnicowym, a od 1740 r., po zajęciu przez Fryderyka II Górnego Śląska, przebiegała na tym terenie planowa germanizacja. Mówiąc o napływie osadników, musimy też wiedzieć, że nie był to akt jednorazowy ani też bezustanny, rozwijający się w czasie proces. Po pierwszej fali osadnictwa następowały okresy stagnacji, a nawet regresu, wywołane różnymi czynnikami, i trzeba było nawet wysyłać „światłych ludzi", by namawiali co bardziej przedsiębiorczych do „wyojczyźnienia", jak emigrację, czy z naszego punktu widzenia – imigrację – nazywa O. Flatt. Przebieg osadnictwa uzależniony był też od rodzaju przemysłu włókienniczego, jaki rozwijał się w Łodzi.

Początkowo najefektywniej rozwijał się przemysł sukienniczy, dla „fabrykantów" tej gałęzi wytyczono bowiem Nowe Miasto. Ich napływ był niemały: w roku 1821 rękodzielnicza ludność Łodzi zwiększyła się czterokrotnie (Flatt, s. 72). „Osada sukiennicza [...] z zamożniejszych złożona fabrykantów, a przy tym oddająca się zyskowniejszej gałęzi przemysłu, wzniosła się zrazu do wysokiego stopnia dobrego bytu, tak że znaczna część fabrykantów własnym już kosztem domki dla siebie pobudowała". Pierwszym ciosem dla sukienników było – jak informuje O. Flatt – odebranie im możliwości dostaw towaru dla wojska; tę stratę wynagrodził jednak eksport sukna do Rosji i zwiększone zapotrzebowanie na nie w kraju. Spadek zainteresowania w 1825 r. suknem w Niemczech z kolei, spowodował napływ osadników: „W miarę upadku sukiennic zagranicznych wznosiły się tutejszo-krajowe, dźwigane kapitałami przychodniów [...]" (Flatt, s. 62–63). Trzeba bowiem wiedzieć, że sukiennicy wcale nie

przybywali z gołymi rękami. Oprócz warsztatów przywozili z sobą często środki pieniężne oraz surowce do wyrobu tkanin. Kolejne trudności w 1826 r. spowodowały, że – jak to obrazowo przedstawił O. Flatt – „poprzestać musiała osada sukiennicza na zaszczycie gustownego zabudowywania się" (Flatt, s. 63). Później jednak nastąpił okres stagnacji, głównie za sprawą konkurencji fabryk rosyjskich i trudności celnych, i druga fala imigracji w roku 1828 ustała (Flatt, s. 63–64). Powstanie listopadowe – „zaburzenia roku 1830" – spowodowały kolejne problemy. Wielu fabrykantów opuściło Łódź, a inni zaprzestali produkcji. Był to jednak tylko początek nieszczęść, które spowodowały głęboki kryzys w całym Królestwie i doprowadziły sukiennictwo do upadku. Tylko lata 1838–1840 były dla tej gałęzi przemysłu bardziej pomyślne (Flatt, s. 64–65).

Inaczej, znacznie bardziej dynamicznie, przebiegał proces osadnictwa związany z rozwojem przemysłu bawełnianego. On właśnie miał doprowadzić Łódź „do kwitnącego stanu". Zachęcone przywilejami przybyły w połowie 1824 r. „tłumy rękodzielników wyrobów bawełnianych" z Czech i Saksonii (Flatt, s. 72). Przeznaczono dla nich osadę Łódkę, a dla ułatwienia nabycia przędzy założono obok tkackiej osadę prządniczą (Flatt, s. 73). W obu osadach wzniesiono parterowe, murowane lub z muru pruskiego domki kryte dachówką, by zachęcić do osiedlania się w Łodzi i ukazywać przychylny stosunek władz dla przybywających ubogich osadników. Rok 1826 był ogólnie niepomyślny dla przemysłu bawełnianego w Królestwie Polskim i tylko w Łodzi nie odczuwano kryzysu (Flatt, s. 74).

Potrzeby przemysłu krajowego skłoniły rząd do wysłania za granicę Benedykta Tykla, który oglądał zakłady fabryczne w Prusach, Saksonii oraz na pograniczu Czech i zapoznawał równocześnie tamtejszych fabrykantów z przywilejami udzielanymi przez rząd Królestwa. Zachęcał ich też do rozwijania tej gałęzi przemysłu na polskiej ziemi (Flatt, s. 75–76). Takim zabiegom zawdzięczamy przyjazd do Łodzi nowych osadników, a wśród nich Ludwika Geyera. Lata 1827–1829 były więc dla przemysłu bawełnianego w Łodzi pomyślne. Nie zaszkodziło mu powstanie listopadowe, a po jego zakończeniu nie tylko fabryki się rozwijały, ale też przybyli nowi osadnicy (Flatt, s. 77–78). Bardzo pomyślny dla przemysłu był również rok 1840, mimo spadku cen, defraudacji i stagnacji w handlu. Łódzkie wyroby sprzedawano w Królestwie Polskim i poza jego granicami (Flatt, s. 79). Odtąd jednak zaczynają się dla łódzkich fabrykantów problemy, których przyczyną były owe wspomniane „rozgałęzione defraudacje". Winę za kryzys w przemyśle bawełnianym ponosili, zdaniem O. Flatta, Żydzi, którzy opanowawszy handel przemytniczy, zalali cały kraj tanimi, bo sprzedawanymi bez opłat, celnych wyrobami zagranicznymi. Spowodowali tym samym, że produkcja krajowa nie miała zbytu.

Znakomita ludność fabryczna Łodzi znacznie się zmniejszyła, a biedni fabrykanci i rękodzielnicy, nie będąc w stanie znieść tych dotkliwych chwil przesilenia, opuszczali tłumnie swoje warsztaty, innych szukając zatrudnień. Przedsiębiorcy znakomitsi jeszcze się trzymali, ale trzeba było wysilenia kapitału; ubożsi zaś fabrykanci jeździli z towarami swymi po kraju, z trudnością propagując ich wyprzedaż (Flatt, s. 80).

Kryzys na szczęście nie trwał zbyt długo. Poza tym łódzcy fabrykanci, poznawszy zalety zagranicznych wyrobów, starali się im dorównać, poprzestali też na mniejszych zyskach, widząc niskie ceny u konkurencji. Wreszcie „obostrzenia celne ukróciły o wiele defraudacje". Wszystko to przyczyniło się do rozwoju łódzkiego przemysłu bawełnianego (Flatt, s. 80). W połowie 1844 r. znów nadeszły gorsze czasy i nie pomogła nawet pomoc rządu w postaci pożyczek. Podwyższyła się, co prawda, produkcja, ale nastąpił odpływ ludności. Jedynie „zaburzenia w roku 1848" pomogły nieco miastu. Wzmocniona straż na granicy utrudniała handel przemytniczy i zapewniła tym samym większy zbyt wyrobom krajowym. Do czasu wydania *Opisu miasta Łodzi* nic w tej niekorzystnej sytuacji się nie zmieniło i należało tylko z nadzieją oczekiwać, jak pisał O. Flatt, że wraz z polepszeniem się koniunktury nastąpi dalszy rozwój i postęp w przemyśle bawełnianym (Flatt, s. 82–83).

Zupełnie inaczej przebiegał rozwój przemysłu lnianego. Wydawać by się mogło, że ze względu na tradycję ma on największe szanse powodzenia, jednak ta gałąź przemysłu, związana głównie z działalnością Tytusa Kopischa i Jana Rundziehera, rozwijająca się od roku 1825, upadła w 1830 r.[14] Rozwój osadnictwa związanego z tym przemysłem wtopił się w ogólny rozwój miasta, zawdzięczamy mu jednak *Szlezyng*, zwany też osadą Ślązaki, w której zamieszkałe „familie prządnicze przędzę lnianą i konopną w znacznej wyrabiały ilości" (Flatt, s. 90) dla fabryki T. Kopischa.

Monografia O. Flatta przedstawia również twórców uprzemysłowienia Łodzi, od pomysłodawców po wykonawców, każdemu okazując szacunek, zwracając uwagę na należne mu tytuły, chwaląc pracę. Pomijając już niezwykle kwiecistą prezentację[15], poznajemy m.in.: JO. księcia Zajączka Namiestnika Królestwa, księcia Druckiego-Lubeckiego, Mo-

[14] Szerzej na temat rozwoju przemysłu lnianego zob.: J. Tynecki, *Przemysł a kultura. Dzieje imperium bawełnianego w Łodzi dla historyków kultury*, „Prace Polonistyczne" 1988, seria XLIV, s. 11–16.

[15] „Światłe umysły mężów, kierujących wtedy sprawami kraju, jak JO. książę Zajączek, Namiestnik ówczesny Królestwa, jak Lubecki, Mostowski, obmyśliły zaradcze środki, które bezzawodność skutku z szybkością wykonania łączyły" (Flatt, s. 18); „Chciał jeszcze los, aby wykonawcą szlachetnych pomysłów rządu był mąż, z rzadką trafnością postępowania głęboką znajomość potrzeb krajowych łączący: był nim ówczesny Prezes Komisji Województwa Mazowieckiego, Radca Stanu Rajmund Rembieliński" (Flatt, s. 19).

stowskiego, Prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego, Radcę Stanu Rajmunda Rembielińskiego, geometrów Plebanowskiego (Flatt, s. 20) i Viebiga (Flatt, s. 21), komisarza fabryk województwa mazowieckiego Benedykta Tykla (Flatt, s. 21, 76); adiunkta dozorcy miast obwodu łęczyckiego Zawadzkiego, budowniczych obwodu łęczyckiego Dierringa (Flatt, s. 21) i Bethiera (Flatt, s. 24); burmistrza Czarkowskiego (Flatt, s. 21), burmistrza, a później prezydenta Tangermana (Flatt, s. 24), prezydenta Traegera (Flatt, s. 27); gubernatora cywilnego hrabiego Franciszka Potockiego (Flatt, s. 22), komisarza wydziału administracyjnego w rządzie gubernialnym Rozwadowskiego, komisarza obwodu łęczyckiego Radwana. Wszyscy oni, w mniejszym lub większym stopniu, w zakresie swoich obowiązków przyczynili się do rozwoju Łodzi. Wielu z nich łodzianie uszanowali, upamiętniając ich w nazewnictwie ulic – Zawadzkiego (ul. Zawadzka, dziś Próchnika), Rozwadowskiego (ul. Rozwadowska, dziś Zamenhoffa), Radwana (ul. Radwańska), Potockiego (ul. Franciszkańska), Tykla (ul. św. Benedykta).

Najwięcej jednak miejsca zajmują w publikacji O. Flatta przemysł oraz ci, którzy są faktycznymi twórcami fabrycznej Łodzi – fabrykanci oraz stworzone przez nich fabryki. Należy w tym miejscu koniecznie zwrócić uwagę na stosowane ówcześnie (także przez O. Flatta) nazewnictwo. Posługujemy się tu pojęciami: przemysł, fabryka, zakład, przedsiębiorca, produkcja przemysłowa. Ich znaczenie jest jednak odmienne od dzisiejszego. Przedsiębiorcy i fabrykanci to rękodzielnicy (pierwsza maszyna parowa pojawiła się, jak pamiętamy, w roku 1839), a ich zakłady i fabryki znajdowały się nierzadko w domach mieszkalnych. Wyjątkowo tylko fabrykanci posiadali osobny, okazały budynek, będący w istocie manufakturą.

Na ponad sześćdziesięciu stronach *Opisu* znajdujemy dokładnie omówione, działające wówczas zakłady przemysłowe. O. Flatt podaje nazwiska właścicieli, profil i wielkość produkcji, dochody. Większość tych nazwisk powinien znać każdy, kto dziś interesuje się dziejami Łodzi, ich nosiciele bowiem na trwałe wpisali się w pejzaż miasta, zmieniając jego oblicze[16]. Oprócz fabrykantów w Łodzi pracowało również około 350

[16] Większość z przybyłych do Łodzi tkaczy wymieniliśmy wcześniej. Przypomnijmy więc ich tylko, grupując zgodnie z rodzajem prowadzonej przez nich działalności. Na kartach *Opisu* pojawiają się: Holender [Jakub] Peters „biegły w stawianiu budowli wodnych", przybyły z Chodzieszyna „farbiarz kunsztowny" [Karol] Saenger (Flatt, s. 62), przedsiębiorcy pruscy, bracia Skerle (Flatt, s. 63), fabrykanci wyrobów wełnianych: Henryk Vorverk, Julia Hentsch, Abraham Prussak, Franciszek Pitschmann, Karol Raettig, Karol Quetisch, Florian Pfeifer, Franciszek Müller, Edward Braun, Markus Elbinger (Flatt, s. 65–67). W przemyśle bawełnianym działali: farbiarz czerwieni tureckiej Jan Traugott Lange i Krystian Wendisch, przedsiębiorca przędzalni, obaj z Chemnitz

rzemieślników[17]. Zaprezentowany w monografii ich wykaz jest dla nas niezwykle interesujący. Działalność bednarzy, brukarzy, pompiarzy, dekarzy, gwoździarzy, zdunów, szklarzy, stolarzy, mularzy w rozwijającym się mieście nie dziwi, potrzeba piekarzy, rzeźników, a nawet piwowarów jest oczywista, tak samo jak felczerów i konowałów. Zrozumiała jest również obecność folusznika. Już jednak praca kapeluszników, czapników, modniarek, rękawicznika, krawców, szwaczek, praczek, introligatorów, mosiężników, piernikarzy, sztycharzy, zegarmistrzów, złotnika i aż 21 muzykantów świadczy, że miasto nie tylko nie jest lichą mieściną, w której każdy własnym sumptem dba o zaspokojenie potrzeb, ale też że wzrosły potrzeby jego mieszkańców. Potwierdza to inny fragment, z którego dowiadujemy się o istnieniu w mieście aptek, cukierni (kawiarni w dzisiejszym rozumieniu), księgarni, domów zajezdnych, sklepów, a nawet kantorów loterii fantowych[18]. To zwiększone zapotrzebowanie na pracę i wyroby rzemieślników wyjaśnia wzrost liczby ludności; jak podaje O. Flatt: ze 190 mieszkańców mieszkających w 44 domach w roku 1793 do „18 190 w 1014 domach w roku 1851". W ciągu pięćdziesięciu lat ludność Łodzi powiększyła się 100 razy. „Takie rezultaty zaledwie by dziś zaatlantycka Ameryka przedstawić zdołała!" (Flatt, s. 47–48).

---

w Saksonii, fabrykant Antoni Potempa, właściciel zakładu drukarnianego (Flatt, s. 74), Ludwik Geyer, fabrykant z miasta Zittau (Flatt, s. 76), Samuel Lande (Flatt, s. 82), Traugott Grohmann, Jakub Peters, Fryderyk Karol Moes, Adolf Freimund, Władysław Müller (Flatt, s. 94–95). W przemyśle lnianym działali: Tytus Kopisch, ojciec przemysłu lnianego w Łodzi (Flatt, s. 97), Jan Rundzieher (Flatt, s. 99) oraz Fryderyk Wilhelm Schmidt, działający jeszcze w roku 1850 (Flatt, s. 100).

[17] Według zestawienia ludności rzemieślniczej z końca roku 1850 w Łodzi pracowało wówczas: „bednarzy 13, brukarzy 2, blacharzy 4, felczerów 7, cieśli 6, czapników 6, dekarzy 4, folusznik 1, garbarzy 3, gwoździarzy 5, introligatorów 2, kominiarz 1, konował 1, kotlarz 1, kowali 10, krawców 48, kołodziei 8, koszykarzy 2, kapeluszników 2, mechaników 2, muzykantów 21, modniarek 4, młynarzy 22, mosiężników 2, mydlarzy 4, mularzy 9, piekarzy 32, piernikarzy 3, piwowarów 2, powroźników 10, praczek 4, postrzygaczy 2, pompiarzy 2, rymarzy 8, rzeźników 33, rękawicznik 1, ślusarzy 10, szklarzy 5, szwaczek 5, szewców 39, stolarzy 31, sztycharzy 7, szmuklerzy 3, szczotkarz 1, tokarzy 10, waciarzy 2, zegarmistrzów 3, złotnik 1, zdunów 15; cechów rzemieślniczych jest 18" (Flatt, s. 51–52).

[18] „Istnieją w mieście" – jak pisze O. Flatt – „dwie apteki, jest trzech lekarzy, cukiernia, kawiarnia i sied[e]m domów zajezdnych, z których jeden głównie, położony w Nowym Mieście, odznacza się porządkiem i wygodą" (Flatt, s. 52). Ponadto Łódź posiada: „księgarnię jedną, kantorów loterii dwa, handlów towarów łokciowych 48, przędzy bawełnianej 18, handlów sukna 5, materiałów farbiarskich 5, towarów norymberskich [drobna, ręcznie robiona galanteria, zabawki i inne drobne przedmioty domowego użytku] 3, żelaza 4, skór 4, wełny 3, ryb i śledzi 18, mąki i wiktuałów 66, soli 40, korzeni 33, szkła 2, kramarszczyzny 3, dystrybucji tabak 10, wreszcie furmanów 18 i faktorów [pośrednik handlowy lub pośrednik w interesach] 6" (Flatt, s. 53).

O rozwoju miasta świadczy również połączenie Łodzi z koleją warszawsko-wiedeńską. O. Flatt przedstawia okoliczności tego wydarzenia. Kiedy tylko ukończono połączenie kolejowe Warszawy z Wiedniem, w Łodzi zaczęto odczuwać konieczność zbliżenia jej „do tego łańcucha". Władze miasta zauważywszy taką potrzebę, zarządziły wybudowanie bitego traktu, wiążącego „Łódź bezpośrednio z najbliższą stacją kolei żelaznej, Rokicinami, odległą o mil trzy przeszło" (Flatt, s. 49). Ten trakt, zwany szosą Rokicińską, to dzisiejsza al. Marszałka Piłsudskiego.

Monografii Łodzi zawdzięczamy elementy wiedzy o rozwoju łódzkiego szkolnictwa. Pierwszym nauczycielem w mieście w XIX w. był, o czym pisaliśmy już wcześniej, „niejaki Andrzej Atwatka". O. Flatt pisze także o otwarciu w 1845 r.[19] Szkoły Powiatowej Realnej Niemiecko-Rosyjskiej, z tendencją fabryczną; w roku szkolnym l949/1950 liczyła ona 8 nauczycieli i 102 uczniów. W Łodzi istniały ponadto trzy szkoły elementarne męskie, jedna żeńska, trzy prywatne, w których razem uczyło się 763 dzieci, oraz dwie szkoły rzemieślniczo-niedzielne, liczące 750 uczniów (Flatt, s. 54–55).

Przede wszystkim jednak Łódź wyglądem znacznie odbiegała od innych miasteczek tego okresu i korzystnie się na ich tle wyróżniała. O. Flatt szczególnie podkreśla jej zupełnie odmienne oblicze w porównaniu z większymi miastami, zawładniętymi przez handlującą ludność żydowską. Publicysta chwali czystość, porządek, zapobiegliwość władz miasta i samych mieszkańców. Zwraca nawet uwagę, że „samo ubóstwo przyjęło tu szlachetniejszą i przyzwoitszą postać, bo dobroczynność postarała się, aby ubogi, jeżeli już nim być musi, współczucie tylko, nie zaś odrazę obudzał [budził]; słowem, ta czystość, ten panujący wszędzie porządek ważny wpływ na samą moralną stronę ludności wywierają" (Flatt, s. 114–115). Jego zdaniem jest to wynik oddziaływania przyzwyczajonej do porządku ludności niemieckiej, a z drugiej strony – wpływu fabrycznego miasta. O. Flatt wskazuje również przyczyny odmienności Łodzi:

> można wierzyć, że znajdujemy się [...] pośród fabrycznych osad niemieckich, tak tu i towarzystwa, i kluby, i duch jest czysto niemiecki. Bo rzeczywiście też wpływ polskiej ludności zbyt jest mały, zbyt ograniczony: stanowi go szczupłe grono urzędników Magistratu, szkoły realnej i kilku skarbo[w]ych. Dlatego też w tak znacznym mieście jak Łódź próżno byśmy szukali owych cukierni, kawiarni, nierozdzielnych już dziś z wyobrażeniem nawet o średnich naszych miastach; tu kilka zakładów z piwem bawarskim – oto i główne chwilowe wypoczynki dla ludności fabrycznej (Flatt, s. 116–117).

[19] W *Opisie* O. Flatta występuje rok 1815. Jest to, oczywiście, pomyłka.

Zaprezentowany wyżej fragment *Opisu* wyraźnie pokazuje, co w istocie mogło drażnić W. Dłużniewskiego: miasteczko może i było ładniejsze od innych, ale też było zupełnie obce – obce na rdzennie polskiej ziemi. Do tego pogoń za dobrami materialnymi dodatkowo jeszcze czyniła je obcym człowiekowi, dla którego ważna była strawa duchowa. Wreszcie – nawet chwile wolne od pracy nie dawały wytchnienia, szczególnie jeśli ktoś nie lubił „piwa bawarskiego".

Monografia O. Flatta daje również wyobrażenie o sposobach spędzania wolnego czasu w Łodzi rękodzielniczej. Dniami wolnymi od pracy były niedziele i święta. Jeśli dopisywała pogoda, łodzianie najchętniej spędzali je w okolicznych lasach, szukając dogodnego miejsca nawet pod Zgierzem, natomiast zimą spotykali się w salach tańca, na przykład w Paradyżu[20]. Poza tym w szczególny sposób świętowano Zielone Świątki oraz zakończenie roku:

> Dwie są w Łodzi główne, doroczne uroczystości, rzec można, ludowe: jedną jest Zabawa Strzelecka, drugą bal na zakończenie roku wydawany. Zabawa Strzelecka odbywa się w drugi i trzeci dzień Zielonych Swiątek; wszyscy członkowie towarzystwa, złożonego z 166 przeszło osób i cała prawie ludność miasta spieszą wtedy do ogrodu spacerowego, gdzie w oddzielnej na ten cel przeznaczonej dzielnicy odbywa się z całym zapałem strzelanie do tarczy. Obrany Król Strzelców uroczysty przez miasto odbywa pochód, a cała Łódź tchnie życiem i zgiełkliwym ruchem (Flatt, s. 117; na temat Towarzystwa Strzeleckiego szerzej w innym miejscu).

Wówczas chyba jeszcze nie było tak silnego rozdziału pomiędzy ludnością niemiecką i polską[21] albo też Towarzystwo nie było aż tak elitarne, gdyż wśród królów kurkowych znaleźli się także Polacy (Flatt, s. 149).

---

[20] „W lecie" – pisze O. Flatt – „każde święto, każda niedziela jest prawdziwą dla mieszkańców uroczystością; po całotygodniowej, mozolnej i utrudzającej pracy następuje chwila odpoczynku, wytchnienia, nagrody. Ale któż też wtedy z fabrykantów pozostanie w mieście? Im świeższego powietrza, im dalszych potrzeba przechadzek; ogród spacerowy na obszerny założony rozmiar, i właśnie dla pewnej może dzikości tym więcej mający uroku, mało jest uczęszczany; cała ludność karawanami, że tak powiem, wylega za miasto, w okolice, pod sam Zgierz niekiedy, i tam dopiero w familijnych kołach swobodnie dni odpoczynku świętują. A zbliży się zima, ustaną wycieczki, otwierają się zabawy z tańcami, a jest na ten cel oddzielna sala wielka w ogrodzie Paradyzem zwanym; boć ruch dla ludności fabrycznej jest tym, czym powietrze dla ptaka, czym woda dla ryby" (Flatt, s. 116–117).

[21] Autorzy *Ilustrowanej encyklopedii historii Łodzi* twierdzą, że stosunki pomiędzy niemieckimi przybyszami a ludnością polską nie układały się dobrze. Tkacze, dzięki rządowemu wsparciu, byli w znacznie lepszej sytuacji niż Polacy. Antagonizmy między kolonistami i Polakami narastały, pogłębiło je jeszcze powstanie listopadowe. Za: *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 4, www.uml.lodz.pl/get.php?id=118, s. 102 (dostęp: 10.12.1012).

Na zakończenie prezentacji zawartości monografii warto zwrócić uwagę na przyszłość, jaką rysuje O. Flatt dla Łodzi. Publicysta podkreśla, że twórcy przemysłowego miasteczka zakładali proporcjonalne do długości jego rozszerzenie, nie wierzy jednak, by szybko to nastąpiło:

[...] równoległe do linii środkowej osady mało dotąd zaludnione, mniej jeszcze są zabudowane. Daleka tylko przyszłość, przy paśmie pomyślnych lat, mogłaby kiedyś ziścić śmiałe przypuszczenia założycieli; a w takim razie Łódź zbliżyłaby się w obszerności do naszej stolicy, może by jej nawet zrównała. Ale powtarzamy, dalekie to i bujne marzenia; dziś zaś takie rozciągnienie na wąskiej przestrzeni pociąga za sobą brak koncentracji, która to niedogodność, jakkolwiek zastąpiona podziałem miasta, tak pod względem administracji jak i handlu, niemniej przecież jest dotkliwą (Flatt, s. 112–113).

Jak bardzo bliska przyszłość dowiedzie – nie są to dalekie, trudne do spełnienia i „*bujne*", czyli nieosiągalne, marzenia. Już niedługo, za lat kilkanaście, Łódź wejdzie na drogę żywiołowego, niekontrolowanego rozwoju. Co innego też będzie przyczyną niedogodności „pod względem handlu" i komunikacji (tym razem): tory kolejowe przetną długie ciągi ulic.

Ziszczą się także inne prognozy, które w zalążku widział O. Flatt i których zła nie dostrzegał lub nie przewidywał:

Co do ludności fabrycznej, ta ma najcelniejszego reprezentanta w panu Geyer[ze]. Jak jego zakład przoduje innym zakładom w Łodzi, tak on przoduje innym fabrykantom. W liczbie ośmiuset robotników zatrudnionych w jego fabrykach, znajdują się dzieci większej części fabrykantów mniej zamożnych: zakład Geyera jest dla nich szkołą i źródłem zarobkowania, a ta okoliczność jest ogniwem ściślejszego wzajemnego związku i pewnej solidarności (Flatt, s. 118–119).

Przyszłość pokaże, że w zatrudnianiu dzieci i ich matek w fabrykach nie będzie „ściślejszego wzajemnego związku i pewnej solidarności" pomiędzy pracodawcą a pracownikiem, lecz jedynie żądza zysku pierwszego i nędza drugiego. W tej przyszłej Łodzi nie będzie już tak barwnych postaci, jak Twardowski[22], którego O. Flatt podał jako przykład szlachetniejszej postaci ubóstwa, nigdzie indziej niespotykanej. Za lat kilkanaście Łódź wejdzie na drogę krwiożerczego kapitalizmu, a tacy ludzie, jak

[22] O Twardowskim O. Flatt pisze: „Jak po wielu innych miastach, tak i w Łodzi wśród grona istot żyjących ze wsparcia ogółu, jest jedna typowa, charakterystyczna, uprzywilejowana. Jest to niewidomy Witkowski, znany więcej pod popularną nazwą Twardowskiego. Z wiernymi skrzypkami w ręku obchodzi swoje gospody i pewien jest chętnego wszędzie przyjęcia i hojniejszego wsparcia; boć też to wydatna postać na tle codziennego życia Łodzi. Witkowski, to typ czysto nasz, krajowy – on nie przedzierzgnął się pod niemieckim wpływem; rozpowiada on szeroko o swojej przeszłości – a podania ludowe, mianowicie też o panu Twardowskim, wymownego w śpiewach jego znajdują rapsodę" (Flatt, s. 114–115).

Twardowski, będą nie tyle szukać wsparcia, grając na skrzypkach i śpiewając, ile zostaną zmuszeni do zarobkowania w podobny sposób.

Ostatnia informacja O. Flatta o Łodzi, zamieszczona w 1866 r. w „Tygodniku Ilustrowanym", ukazuje już Łódź, która weszła na drogę wielkoprzemysłową:

> Rozsiadła na długiej, wąskiej, pięciowiorstowej niemal przestrzeni, zaczyna z wolna rozrastać się w pasma ulic równoległych do głównej arterii. W miejsce i obok jednostajnych, niepozornych i oko nużących dworków coraz gęściej dźwigać się zaczynają wspaniałe kamienne budowle, a w potężnych fabrycznych gmachach drga tętno przemysłowego życia [...]. Przez cały dzień pustki i cisza zalegają długie, okiem niedościgłe ulice; nie znać ruchu 40 000 mieszkańców, bo zamknął się on w głębi kolosalnych gmachów fabrycznych[23].

Opis miasta Łodzi, będąc bezcennym źródłem wiedzy o nowo powstającym miasteczku fabrycznym, jego wyglądzie, przemyśle, znaczniejszych obywatelach i różnorodnych formach życia, jest równocześnie źródłem umożliwiającym weryfikację mitu „ziemi obiecanej" w jego popularnym ujęciu oraz motywów, które wchłonął. Dzięki O. Flattowi wiemy, że nie było „rwącej powodzi gotyckiej rzeszy", która zalała „kraj polski", jak to ukazał W. Dłużniewski. Owszem, sądząc ze wzrostu liczby mieszkańców, chętnie przybywali do Łodzi (i innych miejscowości Królestwa Polskiego) tkacze i prządkowie szukający poprawy losu, zachęcani też przez rząd Królestwa licznymi przywilejami. Nie był to jednak „najazd". Pożądani przez władze przybysze napływali etapami, czasem wręcz trzeba było ich zachęcać bezpośrednimi namowami. Ponadto, z podanej przez O. Flatta liczby mieszkańców Łodzi znaczna część to Żydzi i Polacy niemający z przemysłem fabrycznym nic wspólnego, poszukujący w mieście, podobnie jak tkacze i prządkowie, poprawy losu i swojego miejsca w życiu. Tak więc Niemcy, sprowadzeni przez rząd Królestwa Polskiego w celu uprzemysłowienia wybranych ziem, nie zagrażali Polakom i nie panoszyli się w mieście, zyskawszy liczne przywileje. Trzeba też pamiętać, że część osób narodowości niemieckiej pojawiła się w Królestwie wcześniej w wyniku kolonizacji fryderycjańskiej, której celem była germanizacja zajętych w wyniku rozbiorów ziem polskich.

Nieprawdziwe jest również panujące przekonanie, jakoby przybyszom doskonale się w Łodzi wiodło kosztem Polaków. Już wcześniej wspomniano o niepokojąco częstym odstępowaniu działek, otrzymywa-

[23] O. Flatt, *Łódź i nowobudująca się do niej droga żelazna*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 4–6. Na podstawie: O. Flatt, Na podstawie: O. Flatt, *Łódź i nowobudująca się do niej droga żelazna*, „Tygodnik Ilustrowany", 20.01.1866, t. XIII, nr 330, s. 28–29.

nych przez nich w wieczystą dzierżawę. Wiemy od O. Flatta, że K. Wendisch, nękany problemami finansowymi, zmarł na zawał serca. W nieznanych okolicznościach zaginął jego ziomek J. T. Lange, co spowodowało upadek fabryki, której był właścicielem[24]. T. Kospisch po dwudziestu latach działalności sprzedał swoje przedsiębiorstwo i powrócił do ojczyzny. Można wątpić, czy wyjechał z Łodzi bogaty, gdyż karierę fabrykanta zakończył po latach kryzysu. J. Rundzieher, doznawszy porażki jako przemysłowiec, przyjął posadę zastępcy kierownika technicznego w fabryce Wendischa (już po jego śmierci)[25]. A. Potempa, który posiadał we Wrocławiu fabrykę znacznej wartości, w Łodzi zbankrutował. Obarczony liczną rodziną, został buchalterem w fabryce L. Geyera po sprzedaniu swojej działki[26]. Wychwalany przez warszawskiego dziennikarza L. Geyer zmarł w 1869 r. jako bankrut i przebywał nawet w więzieniu. Nie, Łódź nie była ziemią obiecaną dla przybyszy. Nie wiodło się nawet tym, którzy rozwinęli szeroką działalność. Udało się (właśnie!) tylko nielicznym. Trudne życie kolonistów poświadczają rodzinne wspomnienia.

Dziadek mojego ojca – opowiada potomek tkaczy, urodzony w 1918 r. – przybył z Turyngii do Zgierza i był tam od roku 1833 członkiem cechu tkackiego. Jego syn urodził się już w Zgierzu z pabianiczanką pochodzenia saksońskiego. Mieli ośmioro dzieci, z których najmłodsze było moim ojcem. Losy tej rodziny tkackiej były bardzo ciężkie, mój dziadek umarł wcześnie z powodu nadmiernego wysiłku i niedożywienia i mój ojciec musiał jako dwunastolatek opuścić szkołę. [...] Pamiętam jeszcze, jak mnie przerażały opowiadania mojego wiele starszego kuzyna o stosunkach robót tkackich w warsztacie jego ojca. Cała rodzina pracowała tam od świtu do późnego wieczora przy krośnie tkackim. On tam też musiał pracować od dziecięcych lat. Pracowało się przez cały tydzień, nawet w niedzielę, z przerwą tylko na nabożeństwo, a po nim na nieco lepszy obiad. [...] Istnieje przysłowie kolonistów wołyńskich, że pierwsze pokolenie traci życie, drugie żyje w nędzy i dopiero trzecie ma chleb – dobrze pasujące do sytuacji wielu rodzin w czasie powstania Łodzi[27].

Na koniec wspomnijmy, że monografia O. Flatta skrywa inną jeszcze wiedzę, choć jej przekazanie nie było zamierzonym celem autora. Jest ona bowiem swoistym źródłem wiedzy o sytuacji w Polsce połowy XIX w. Jakkolwiek poświęcona tylko Łodzi, wnosi wiele ciekawych informacji o Polakach zaboru rosyjskiego. Zacznijmy od zasygnalizowanego na początku opóźnienia wydania *Opisu*. Wpływ na nie miało prawdopodob-

[24] W śledztwie ustalono, że J. T. Lange wyjechał do Warszawy i zamieszkał w hotelu. Utonął podczas kąpieli w Wiśle. Nie wiadomo, czy było to samobójstwo. Przedsiębiorstwo fabrykanta było tak zadłużone, że rodzina zrezygnowała ze spadku i wróciła do Saksonii, a fabrykę przejęło miasto. Za: *Ilustrowana encyklopedia*..., z. 4, s. 99.

[25] Tamże.

[26] Tamże, s. 97.

[27] J. Oberländer, *Łódź mojej młodości*, „Tygiel Kultury" 1996, nr 4, s. 52.

nie kilka zaledwie bardzo ogólnikowych odwołań do powstania listopadowego. Autor, pisząc o wypadkach lat 1830–1831, jedynie sygnalizuje je (wyraz „powstanie" pojawił się zaledwie dwa razy, w bardzo ogólnym kontekście, do tego jakby w negatywnym świetle stawiając zryw niepodległościowy), nazywając co najwyżej „burzą", „zaburzeniami", „wydarzeniami" i tym samym odwołując się do wiedzy ówczesnego czytelnika – wszyscy wszak mieli świadomość, o jakie wydarzenia w istocie chodzi, na przykład: „Dotkliwe dla całego przemysłu krajowego zaburzenia w roku 1830 i 1831, na gałąź przemysłu bawełnianego nie wywarły szkodliwego wpływu" (Flatt, s. 77). Jednak i to było dla cenzorów nadużyciem. O. Flatt nie mógł pominąć wojny polsko-rosyjskiej, jeśli chciał pozostać w zgodzie z prawdą obiektywną: powstanie wywarło negatywny wpływ na uprzemysłowienie Łodzi, szczególnie w zakresie przemysłu lnianego: „Burze 1830 i 31 r., co z taką względną oszczędnością przeciągnęły ponad przemysłem bawełnianym, z całą siłą rzuciły gromy w zakłady płóciennicze; a tym dotkliwsze były to ciosy, że i przywrócenie pokoju zagoić ich nie mogło" (Flatt, s. 99). To samo dotyczy wydarzeń okresu Wiosny Ludów. Współczesny czytelnik, pozbawiony odpowiedniej wiedzy, nie zdołałby nawet wywnioskować, że O. Flatt odwołuje się do napiętej sytuacji, jaka miała miejsce w 1848 r. w Europie. Co najwyżej odniósłby wrażenie, że to tylko jakieś zakłócenia w koniunkturze mniej lub bardziej wpływały na produkcję w łódzkich zakładach: „Zaburzenia w roku 1848 nie wywarły szkodliwego wpływu na byt fabryk łódzkich, bo wzmocniona straż pograniczna, utrudniając handel przemytniczy, zapewniła zarazem większy odbyt wyrobom krajowym" (Flatt, s. 82). Brak możliwości swobodnego pisania o wydarzeniach z początku lat trzydziestych i drugiej połowy lat czterdziestych XIX w. w sposób dobitny świadczą o bardzo napiętej sytuacji, jaka miała miejsce dwadzieścia lat po powstaniu listopadowym i dziesięć lat przed powstaniem styczniowym na terenie zaboru rosyjskiego, skoro nawet wspomnieć nie można było o tym, co działo się dwadzieścia lat wcześniej (powstanie listopadowe) i o wrzeniu rewolucyjnym, które miało miejsce poza granicami cesarstwa (Wiosna Ludów). W takim razie, jak trudna musiała być w ogóle sytuacja w zaborze rosyjskim i jak ciężko musiało się żyć w nim Polakom nawykłym do swobody?

Dzisiejsze ataki na zrywy narodowowyzwoleńcze XIX w. jakby w ogóle nie uwzględniały sytuacji politycznej tego okresu. Piętnuje się za nie Polaków, mówi o braku u nas realnego osądu, o tendencji do „machania szabelką", o niechęci do ciężkiej pracy i wytrwałości itd. (poprzestańmy na tym; przegląd naszych wad narodowych znajdziemy w nadmiarze u E. Lewandowskiego[28]), zapominając, że te dwa krwawe powstania miały

[28] E. Lewandowski, *Pejzaż etniczny Europy*, Wyd. Muza, Warszawa 2005; tenże, *Charakter narodowy Polaków i innych*, Wyd. Muza, Warszawa 2008.

miejsce tylko w zaborze rosyjskim, jakkolwiek stawiały w stan gotowości Polaków w dwu pozostałych zaborach. Wywoływali je co prawda Polacy, tyle że były one wynikiem braku poszanowania prawa, szczególnej bezduszności i okrucieństwa władz zaborczych, a nie masochistycznych skłonności tych, którzy je wywołali. Warto przypomnieć, że jeden z hymnów Polski, pieśń religijną *Boże, coś Polskę* (konkurującą w 1918 r. z *Mazurkiem Dąbrowskiego* do statusu oficjalnego hymnu państwowego) napisał Alojzy Feliński, a słowa refrenu: „Naszego króla zachowaj nam, Panie!" śpiewane przez Polaków bez oznak niezadowolenia, wielbiły nie kogo innego, jak tylko cara Aleksandra I. Dlaczego więc te słowa zamieniono dość szybko na: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie" lub: „Ojczyznę, wolność racz nam zwrócić, Panie"? Warstwy arystokratyczne i większość społeczeństwa polskiego z entuzjazmem poparły powstanie w 1815 r. Królestwa Kongresowego. Potraktowały ten moment jako przywrócenie tak bardzo upragnionej niepodległości. Ale w obietnice Rosji nie należało wierzyć. Władze zaborcze szybko zaczęły ograniczać autonomię Królestwa i łamać prawa konstytucyjne. W historii lata 1815–1830 nazywane są okresem „złudzeń przedlistopadowych".

Zwróćmy uwagę, że O. Flatt, nawet jeśli nie mógł rozumieć przyczyn wybuchu powstania (był wówczas dzieckiem) i nie widział bezpośrednio walk powstańczych, jednak z pewnością o nich słyszał, znał więc te wydarzenia niemal z autopsji. Nie piętnuje ich jednak i nie rozpisuje się negatywnie ani na temat powstania, ani na temat skutków, które za sobą pociągnęło. Pamiętajmy też, że scharakteryzowaliśmy go jako zwolennika działalności praktycznej, postępu w technice, nauce i gospodarce. Brak potępienia zrywu powstańczego u człowieka, którego nazwaliśmy prekursorem pozytywizmu, jest wymownym dowodem zrozumienia sytuacji i jej aprobowania.

Polaków XIX w. i Polaków w ogóle charakteryzuje się również jako ludzi, którzy nie szanują władzy, nie potrafią się jej podporządkować, potrafią zjednoczyć się jedynie w obliczu wielkiego zagrożenia, „mierzą czyny na zamiary", nie są wytrwali, żyją w wyimaginowanym świecie ideałów oderwanych od rzeczywistości. Zastanówmy się, czym były w istocie plany uprzemysłowienia Królestwa Polskiego, kto je opracował, kto wprowadził w życie i konsekwentnie dążył do ich realizacji? Odpowiedź znajdziemy w *Opisie* O. Flatta, który nie żałuje pochwał dla Rembielińskiego, Potockiego, Druckiego-Lubeckiego i innych. Same polskie nazwiska. Bywało też, że służąc Polsce, ci ludzie nie tylko nie szczędzili swojego umysłu, ale i osobistego majątku, jak wspomniany Rajmund Rembieliński[29]. Do tego ci Polacy, pomawiani często o ksenofobię,

[29] L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, cz. I, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000, s. 8.

sprowadzili do Polski Niemców, by swój zamysł wprowadzić w życie, i żyli z nimi dość zgodnie w Łodzi rękodzielniczej, zanim ostra konkurencja Łodzi wielkoprzemysłowej i rozwój nacjonalizmów w II połowie XIX w. nie doprowadziły do zadrażnień na tle narodowościowym.

3.4. Wiktora Dłużniewskiego *Wyprawa do Ameryki*

Wiktor Dłużniewski w sztuce *Wyprawa do Ameryki* ukazuje patologie życia społecznego, jakie rodzą się wśród nękanej kryzysem ludności przemysłowego miasteczka. Przywrócenie Łodzi tego utworu zawdzięczamy pracy badawczej A. Kowalskiej; ona również wzbogaciła naszą wiedzę o życiu poety w okresie warszawskim i umożliwiła dzięki temu zrozumienie uwarunkowań, które wpłynęły na jego trudny w pożyciu, rodzący konflikty charakter[30].

Pierwszy utwór sceniczny o „ziemi obiecanej" A. Kowalska odnalazła „[...] wśród spuścizny rękopiśmiennej po Józefie Ignacym Kraszewskim w dziale rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej"[31]. Była to jedna z prac nadesłanych wybitnemu artyście, znanemu dziś głównie z powieści historycznych, do oceny. Na stronie tytułowej dramatu liczącego pięćdziesiąt dwie strony, poza tytułem i autorem: *Wyprawa do Ameryki. Dzieło sceniczne w trzech aktach napisane przez Anastazego Podhalskiego* z dopiskiem: *Quotlibet* [!] *złożony z żywych obrazów miasta Łodzi*, znajdujemy również notatkę z podpisem J. I. Kraszewskiego: „Nie może bydź przyjętą??" oraz wyjaśnienie autora sztuki: „Ponieważ scena jako między Niemcami odbywała się w ich języku, stąd niepodobna było wprowadzić tu język polski kaleczony wymową tutejszych Niemców". Na ostatniej stronie rękopisu, po tekście sztuki, autor zanotował: „Pisałem w lipcu 1857 w Łodzi"[32].

Kim był Anastazy Podhalski, piszący w Łodzi swoją sztukę?

> Za tym pseudonimem – pisze A. Kowalska – kryje się niewątpliwie obywatel tego miasta, ale jego związki z Łodzią były raczej świeżej daty. Nie tu bowiem zdobył znajomość łaciny, francuskiego i rosyjskiego, czym nie omieszkał się popisać na kartach rękopisu [...]. W Łodzi trudnił się, oczywista, nauczycielstwem, filantropią i – uprawiał literackie rzemiosło podobnie jak bohater jego sztuki[33].

---

[30] A. Kowalska, *Nieznany łódzki utwór...*, s. 3–17; taż, *Wiktor Dłużniewski, autor „Wyprawy do Ameryki"*, „Prace Polonistyczne" 1967, seria XXIII, s. 168–187; taż, *„Wyprawa do Ameryki. Quodlibet z żywych obrazów miasta Łodzi" Wiktora Dłużniewskiego*, „Prace Polonistyczne" 1969, seria XXV, s. 83–114.

[31] A. Kowalska, *Nieznany łódzki utwór...*, s. 9.

[32] Tamże, s. 9–10.

[33] Tamże, s. 10.

W kolejnym artykule, poświęconym dramatowi Podhalskiego, badaczka napisze, że kiedy sygnalizowała odnalezienie nieznanego łódzkiego utworu scenicznego o „ziemi obiecanej", posiadała już wtedy przesłanki, aby wnosić, że jej autorem jest Wiktor Dłużniewski. Ostateczny dowód zdobyła, odnajdując w *Zbiorku wierszy i wierszyków* (Warszawa 1959) Wiktora Dłużniewskiego zamieszczony na końcu tomiku „wiersz «Sokrates», ten sam [...], który bohater (i autor zarazem) łódzkiego utworu scenicznego wpisuje *in extenso* do albumu swego niewdzięcznego, łajdaczącego się ucznia"[34]. Chciał za pomocą wpisu wpłynąć na zdemoralizowanego młodzieńca, skłaniając do przemyślenia jego postawy.

Wyprawa do Ameryki Anastazego Podhalskiego – pisze A. Kowalska w innym miejscu – to wymowne świadectwo konfliktów, żywych i ostrych już w zaczątkach rozrostu szybko uprzemysławiającego się miasta, a zarazem wyraz protestu przeciw bezdusznej supremacji pieniądza nad miłym sercu polskiemu obyczajem i tradycją. Wąski zasięg obserwacji i nuta napastliwych w tonie inwektyw zaciążyć musiała na losach sztuki, niczym się poza tym niewyróżniającej, i skazała ją w rezultacie na pozostawienie w rękopisie, choć autorowi zależało najwidoczniej na kolportowaniu i upowszechnianiu na szerszym forum dostrzeżonych zjawisk i anomalii w stosunkach łódzkich. Tekst sztuki wskazuje na to, że autor sztuki patrzył na życie Łodzi poprzez własne animozje, uprzedzenia i niechęci, graniczące z wrogością. Miłośnik starego polskiego obyczaju wystąpił tu jako ideowy przeciwnik inwazji do Łodzi elementu germańskiego. Ukazał Łódź pod zalewem obcości jako bagno, w którym toną ludzie w pogoni za uczciwym lub nieuczciwym zarobkiem[35].

Dla nas wszakże ten obraz łódzkiego życia ważny jest z innego powodu. Osobiste animozje poety możemy po półtora wieku bez mała od czasu ich zaistnienia, żyjąc w zgoła odmiennych warunkach, traktować z lekkim przymrużeniem oka, a niekiedy nawet z rozbawieniem, rozumiejąc wszakże ich przyczyny. Niedrukowany utwór W. Dłużniewskiego dostarcza nam tego, czego w odtwarzanym wcześniej obrazie Łodzi brakowało – jej mieszkańców i ich życia. Nie przeszkadza więc, że sztuka nie wyróżnia się artystycznie ani też, że postaci nakreślone są tendencyjnie.

3.4.1. *Wyprawa do Ameryki* jako oskarżenie stosunków społecznych Łodzi fabrycznej

Omówienie obrazów łódzkiego życia czasów poety należy zacząć od najbardziej udanych fragmentów jego sztuki, ukazujących typowe scenki przemysłowej Łodzi – śpiewających po niemiecku (w sztuce, z wiadomych

[34] A. Kowalska, *Wiktor Dłużniewski*..., s. 168.
[35] A. Kowalska, *Nieznany łódzki utwór*..., s. 14–15.

już powodów, po polsku) niemieckich weberów – pewnych siebie, butnych, jak stwierdza A. Kowalska, czujących się ciągle Niemcami, mimo lat pobytu w Polsce i niezwykłej przychylności okazywanej im przez rząd Królestwa Polskiego. Akt I zaczyna się od sceny w szynku: „Dokoła siedzą tkacze, przed każdym kufel piwa, buteleczka z wódką i kieliszek. Wszyscy śpiewają". W wizji scenicznej najbardziej eksponować się będzie zapewne refren:

Gdy cię dręczą troski, smutki
Wychyl tylko kielich wódki.
Palnij jeszcze drugi, trzeci,
Wnet i smutek cię odleci.
Zaraz raźniej i wesoło
Krzykniesz, bijąc ręką w czoło:
Hoch, Vaterland!
Handwerkerland!
Ja, ja, ja, ja, ja, ja
Vivat, Germania!
Przy warsztacie robić trudno,
Ciągle słuchać, to i nudno
Webersztubów tik tak, tik tak
Marsz do knajpy, tu nachmittag
Popijając sznaps i piwo
Z kamratami, krzykniesz żywo:
Hoch, Vaterland,
Bierbrauerland!
Ja, ja, ja, ja, ja, ja
Vivat Germania!
Czy znasz ten kraj, ten ziemski raj.
Gdzie fabryk huk, gdzie chmiel jak gaj,
Shwarz-gelb-rothbier, kraj Bawarów,
Kraj otyłych piwowarów.
Kraj pijaków gorzałczanych.
Hoch, Brandweinland,
Bierbrauerland!
Ja, ja, ja, ja, ja, ja
Vivat Germania!

(Dłużn., s. 102–103)

Akt II kończy się nie mniej sugestywną sceną. Teraz tkacze śpiewać będą bardzo popularną wówczas pieśń *Blauer Montag* – utwór „[...] pełen tupetu kolonizacyjnego i niepohamowanej buty, [...] grzmiący pochwałą «błękitnego poniedziałku», czczonego najhuczniejszym «trąbieniem flasz». Jest to obraz pogotowia nieustannego weberów, ich wzmożonej jakby narodowej krzepy"[36]:

[36] A. Kowalska, „*Wyprawa do Ameryki...*", s. 91.

Felejz na grzbiecie
Od lądów mórz,
Chodzi po świecie
Nasz handwerks bursz.
Wszędzie gospoda,
Bety, wygoda,
Na każdej ziemi
Jest między swemi
Nasz blauer Montag
Tak tik, tak tik tak,
Nasz blauer Montag.

(Dłużn., s. 93)

Obie sceny ukazują typowy obrazek życia rękodzielniczej Łodzi, co możemy jednoznacznie stwierdzić, ponieważ są zgodne z relacją O. Flatta. Nie powinno być dla nas ważne, kim czują się śpiewający i w jakim języku śpiewają. Zostali zaproszeni przez rząd Królestwa i wymagano od nich tylko okazania się pracą i umiejętnościami. Nikt nie żądał, by zapomnieli o swojej starej ojczyźnie. Musimy sobie uświadomić, że wyparcie się jej raczej przemawiałoby na ich niekorzyść – ich ojczyzną, bez względu na nasze oczekiwania, były strony, z których przybyli. Nowe miejsce, jakkolwiek bardzo gościnne, istniało w życiu osadników zbyt krótko, by można było oczekiwać od nich asymilacji. Należałoby też zastanowić się, czy rzeczywiście śpiew biesiadników jest „pełen tupetu kolonizacyjnego i niepohamowanej buty", jak twierdzi A. Kowalska. A może to tylko przejaw potrzeby żywiołowego odpoczynku? Czy rzeczywiście zmęczeni wielogodzinną pracą, nękani kryzysami tkacze chcieliby specjalnie pokazywać swój tupet i niepohamowaną butę? Komu też mieliby ją pokazywać? Wreszcie – śpiewali to, co znali, a bawić się umieli i lubili. Nie mieli też zapewne czasu na układanie nowych piosenek. Taką interpretację zdają się potwierdzać również słowa poszczególnych zwrotek.

W tych scenkach istotne jest to, że pozwalają one uświadomić sobie istnienie obcojęzycznego, a raczej różnojęzycznego gwaru w miasteczku. Poza tym możemy zobaczyć odpoczywających po ciężkiej pracy rękodzielników, spędzających czas wesoło i gwarnie, wśród ziomków i przyjaciół. Echo i wieczorna rosa daleko zapewne niosły śpiewy i odgłosy zabawy. Tkacze łódzcy potrafili się bawić. I może jeszcze jedno jest ważne – czas odpoczynku, bez względu na codzienne kłopoty, musiał dawać wytchnienie od trosk. Śpiew nie był więc raczej przejawem buty i kolonizacyjnego tupetu, choć mógł być tak odbierany przez osoby postronne, niechętne przybyszom. Skrywał też najpewniej codzienne troski, a tych było niemało. Świadczą o tym rozmowy bohaterów sztuki. „Nie ma co robić" – skarży się Taberloch – „zarobek mały, fabryki upadają, życie drogie – kraj cały

zarzucony zagranicznymi towarami – Żydzi wzięli cały przemysł i handel w antrepryzę, żadnych widoków na przyszłość" (Dłużn., s. 107). Wtóruje mu Rainaffe: „Przed dwudziestu laty nie było miasto ludne, ale ludzie byli bogaci. Nasi rodzice przybywali tu z tłumoczkami, niejeden z ostatnim talarem, lecz dawali tu korzystną robotę, grunt na dom i ogród i byli nawet tacy, co w niewielu latach dorobili się wielkich majątków" (Dłużn., s. 107). Rozmowa tych przyjaciół, bohaterów negatywnych utworu, ukazuje, że już wtedy żywy był mit Łodzi jako „ziemi obiecanej", choć nikt na razie tego nie wypowiedział. Czy więc była to w istocie „ziemia obiecana"? Czy łatwo i z niczego można było się dorobić w niej majątku? Taberloch w to wierzy:

> W roku 1820 [...] przybyło tu *per pedes* dwóch Wanderem. Oba byli w Berlinie w Instytucie i znali chemię. Mieli ochotę zostać farbiarzami – i już rachowali krocie, które spodziewali się tu zebrać w niewielu latach. Ale tymczasem przetrząsłszy wszystkie kieszenie, nie zebrali nawet całego talara. Co tu robić z taką małą sumą? Wtedy odezwał się jeden z nich: Oto kupmy sobie gęś, mięsem będziemy żyli parę dni, na pierzu i piórach także coś zarobimy, z tłustości, co najważniejsza, narobię kilkanaście słoików rozmaitych maści, dokupiwszy w aptece za kilka groszy różnych proszków i narkotyków. Z krwi nawet będziemy mieli smaczną zupę. [...] ta gęś była fundamentem milionowego majątku [...]. Jednemu tak się powiodło na maściach i lekarstwach, że zarobił na nich kilkanaście talarów i odtąd wziął się całą duszą do przyrządzania lekarstw. [...] Następnie udał się do Warszawy i tam popracowawszy nad sobą parę lat, przybył tu jako aptekarz, drugi zaś został farbiarzem i dzisiaj obydwa są milionerami (Dłużn., s. 107–108).

Całą tę nieprawdopodobną historię potwierdza jeden z jej bohaterów, Goehle, który pojawia się niczym *deus ex machina* i stwierdza: „Tym handlarzem maści i lekarstw byłem ja, a tym farbiarzem był [Werner] teraźniejszy dziedzic kilku wsi [Lućmierza]" (Dłużn., s. 108). Poza tym i autor sztuki potwierdza na marginesie: „Wszystko autentyczne; Goehle, który w tym miesiącu umarł, zostawił półtrzecia miliona majątku". W rzeczywistości jednak nigdy żadna z łódzkich fortun nie powstała z niczego. Ci, którzy dorobili się milionów lub nawet tylko znacznego majątku, najczęściej posiadali jakiś kapitał, byli oszczędni, pracowali niezwykle ciężko i sprzyjało im przysłowiowe szczęście. Gęś, jako podwalinę dwóch ogromnych fortun, można między bajki włożyć. Poza tym zwróćmy uwagę na zdanie: „Mieli ochotę zostać farbiarzami – i już rachowali krocie, które spodziewali się tu zebrać w niewielu latach". „Tu", czyli w Łodzi. Kto w Berlinie słyszał w roku 1820 o małym, mającym dopiero powstać miasteczku fabrycznym?

Osadnikom wcale nie było tak łatwo w nowym miejscu, co już wcześniej wykazaliśmy, jak się dziś sądzi. Otrzymali, co prawda, niezwykłe ulgi, nie przyniosło to jednak ich rodzinom dobrobytu. Potwierdza to również sztuka W. Dłużniewskiego. Taberloch i Raineffe – drugie, a być

może i trzecie pokolenie osadników (Rainaffe ma w Łodzi dziadków), skarżą się na sytuację w miasteczku. Nie chodzi im i wielu innym o bogactwa tych dwóch, którzy przybyli tu *per pedes*. Chodzi o zwykłe, godziwe życie: „zarobek mały, fabryki upadają, życie drogie [...], żadnych widoków na przyszłość". Potomkowie tych, przed którymi otwarła się niezwykła szansa, mają problemy z utrzymaniem siebie. Ich rodzice przybywając do Łodzi, też nie dorobili się na tyle, by dać jakieś zabezpieczenie swoim synom i córkom. Utwór W. Dłużniewskiego potwierdza więc owo „podskórne życie" miasta, które wyczytaliśmy wcześniej z częstych zmian właścicieli poszczególnych posesji, poświadczą również uwagi o rozwoju przemysłu u O. Flatta.

Bieda w miasteczku i trudne warunki życia rodzą patologie, jakich nie brakuje w większych skupiskach ludzkich. Goehle, który w cudowny sposób stał się bogaczem, stwierdza: „Jak wiecie, dzisiaj na lasach w krótkim czasie można przyjść do wielkiego majątku" (Dłużn., s. 108). Wzbogacić się można więc szybko na lasach, czyli na gruntach leżących wokół Łodzi – nieużytkach, które można przeznaczyć pod zabudowę. W jaki sposób? Spekulując nimi, a więc w krótkim czasie można przyjść do wielkiego majątku w sposób dość podejrzany (pomijając już, że i do tego potrzebne są środki, których bohaterowie nie mają). Wypowiedź Goehlego każe też poważnie zastanowić się, czy jego majątek powstał w sposób uczciwy, tym bardziej, że powstał „z niczego".

Inną patologią życia ukazaną w sztuce jest niewydolność wychowawcza rodziny i deprawacja ludzi młodych, prowadząca nawet do zerwania więzi rodzinnych. Narwal, *nota bene* kierownik szkoły, nie może okiełznać syna, który zapowiada się na kryminalistę. Broniąc go, zamiast wziąć w ryzy, stwierdza: „nie ten jest złodziejem, co kradnie, ale ten, kogo złapią na kradzieży" (Dłużn., s. 113). Jego syn zaś wyznaje już w młodym wieku dość specyficzną „filozofię", świadczącą o daleko posuniętej deprawacji i demoralizacji: „mądry złodziej zawsze kradnie do spółki z tymi, co go mają sądzić (bo im przynajmniej połowę trzeba odstąpić)" (Dłużn., s. 113). Według niego więc wszystkich i wszystko można kupić. Gdzie, kiedy i od kogo zdążył nabyć swoją „mądrość życiową"?

Opętani wizją wyjazdu do Ameryki – nowej „ziemi obiecanej" – Rainaffe wraz z Taberlochem, szukają pieniędzy. Najpierw postanawiają napaść, a w razie potrzeby nawet zabić i okraść człowieka, o którym mówi się tylko, że nosi przy sobie papiery wartościowe. W Łodzi wierzy się w takie nonsensy, o czym świadczą słowa sztuki: „Słyszałem, że nosi przy sobie listy zastawne na 30 000" i dopisek na marginesie: „Ktoś na żart puścił taką pogłoskę o autorze". „Na żart" znaczy zapewne tyle tylko, że autor, W. Dłużniewski, papierów wartościowych na taką sumę nie posiada. Obaj, Taberloch i Rainaffe, decydują się nawet wykorzystać w tym

celu siostrę jednego z nich. Ma ona uwieść ofiarę. Jest młoda i niebrzydka, z łatwością więc omota ofiarę i pociągnie za sobą do lasu (Dłużn., s. 111). Rainaffe nie pomyślał nawet, że jest to rodzaj stręczycielstwa, a poza tym może doprowadzić do urobienia siostrze złej opinii. Być może już nie jest ona najlepsza, Berta bowiem, jak wynika ze słów brata, „chodzi co wieczór za miasto". Co tam robi? Rainaffe'a to nie interesuje. Wreszcie, kiedy plany ze zdobyciem papierów wartościowych nie powiodą się, Rainaffe zabija dziadków, którzy przez lata ciułali pieniądze (Dłużn., s. 112). Czyn jest odrażający i nie zmieni tego fakt, że dziadkowie nie byli prawdopodobnie dobrymi ludźmi. Jesse, weterynarz, pyta Rainaffe'a: „cóż tam robi twój grosfater i straszna grosmuter. Ta baba straszy wszystkie dzieci i ciężarne matki. Czy to wy nie wita, że ona rychtyk czarownica; jak w oczy psu lub koniowi popatrzy, to zaraz biedne zwierzę dostaje choroby" (Dłużn., s. 109). Obaj zdają się temu przytakiwać.

Rozluźnienie więzi rodzinnych widać szczególnie w rodzinie Narwala. Mówiliśmy już o problemach kierownika szkoły z synem. Degradacja więzi rodzinnych doprowadziła go nawet do tego, że opętany wizją wyjazdu do Ameryki myśli o sprzedaży swojej córki „handlarzowi piękności", Żydowi Cyperlemu, by zdobyć w ten sposób pieniądze na podróż. A. Kowalska uważa ten pomysł za mało realistyczny i prawdopodobny:

> Ten ostatni koncept w utworze scenicznym widać samemu autorowi wydał się zbyt ryzykowny i pozbawiony wszelkich cech prawdopodobieństwa, bo opatrzy go na marginesie aż dwoma przypisami [...]: „Wszak jeden ojciec sprzedał tu swą córkę oficerowi" [...]; Tyle tylko prawdy, że rzeczywiście namawiano tak Bertę [...] jak i inne dziewczęta do wyjazdu do Ameryki[37].

Autor nie wspomina, w jakim celu miały wyjechać. Skoro jednak brat Berty nie posiadał pieniędzy na taki wyjazd, ona też ich nie miała. Nikt zaś z pewnością nie ofiarował jej podróży za Atlantyk tylko dlatego, że sytuacja w mieście była ciężka. To raczej te okoliczności starano się wykorzystać w celu pozyskania kobiet do pracy w wiadomych „przybytkach". Czterdzieści lat temu, kiedy A. Kowalska wypowiadała się krytycznie o pomyśle W. Dłużniewskiego, o handlu „żywym towarem" mówiło się niewiele albo wcale. Sam problem wydawał się tyleż nieetyczny, co i niesmaczny. Handel kobietami i prostytucja były niewątpliwie i w czasach poety tematem tabu. Nie znaczy to jednak, że sam proceder nie istniał, inaczej nie pojawiłby sie na kartach rękopisu. Nas wszakże nie interesuje, czy pomysł Dłużniewskiego jest dobry, czy też zły – istotne jest, czy handel kobietami miał miejsce w Łodzi w połowie XIX w. Idzie

[37] Tamże, s. 100.

jedynie o samo stwierdzenie faktu. I – niestety – odrzucić go nie możemy[38].

Sztuka Dłużniewskiego ukazuje również ludzi, którzy żyli z oszustwa. Szczególnie odrażającym i zdeprawowanym typem był weterynarz Jesse. W życiu kierował sie zasadą: „Wszystko jest pozwolone, gdzie prawo ludzkie nie sięga". Nie cofnął się przed żadną niegodziwością, jeśli tylko miała mu przynieść dochód. Głodził powierzone mu zwierzęta, sprzedawał je lub zabijał w zależności od spodziewanego zysku (Dłużn., s. 108). Szkodził ludziom, których leczył, wykorzystywał ich naiwność. Pozwalał oszukiwać innym, o ile nie wchodzili mu w drogę, w przeciwnym przypadku musieli „się opłacać", czyli płacić mu za nieskrępowane uprawianie tej haniebnej działalności. Przyznawał się nawet do „spędzania płodu" (Dłużn., s. 110). Niszczył wszystkich, którzy szkodzili jego interesom, nawet (i co gorsza szczególnie wtedy) jeśli postępowali etycznie, zgodnie z prawami ludzkimi i boskimi: „Ale ten Podhalski nie bierze nic od ludzi i daje chyba proszek na cholerę. [...] Kiedy ja rychtyk poszedł do niego z groźbą i chciałem, żeby się opłacił, jak Forsbergerowa, to on mnie wyśmiał i rychtyk wypędził za drzwi. Tego mu nie daruję". Tacy jak Podhalski byli dla niego szczególnie niebezpieczni, bo uczciwi.

Kończąc rozważania o sztuce W. Dłużniewskiego, warto jeszcze wspomnieć, że mówi ona szeroko o życiu zdrowotnym mieszkańców Łodzi. Problemów zdrowotnych nie brakowało[39]. Nierzadko wynikały one ze złych warunków higienicznych. Czy to jednak ze złej woli tych, którzy leczyć powinni, ale zainteresowani byli tylko zarobkiem[40], czy też

[38] Por. St. Posner, *Nad otchłanią (w sprawie handlu żywym towarem)* [1903], http://lewicowo.pl/category/teksty/kwestia-kobieca (dostęp: 10.09.1012).

[39] Dowiadujemy się o nich z wypowiedzi Jessego: „[...] on już trzy razy gryzłby ziemię, bo kiedy mu tam ktoś w Zgierzu coś takiego zadał, że się wił nie jak rybka, a jako robak po ziemi, to on po północy posłał rychtyk po niego tego tam kwaksalbera, a on mu rychtyk jak ręką odjął chorobę i odtąd jego dzieci kurował, a teraz to już jego samego nauczył leczyć. [...] Na Wólce rychtyk jeden weber, co już siedem roków na nogę chorował – a teraz wszem wygaduje, że mu ten wasz nauczyciel pomógł. [...] żona pana przełożonego, jak jej dzieci chorowali, to do niego posyłała po lekarstwa i po radę. [...] w czasie cholery, to jego służący Gustaw Ekiert rychtyk do wszystkich webrów swych znajomych zanosił jakieś jego lekarstwo i z kilkanaście ludzi wykurował, a nikt rychtyk, co brał od niego proszek, nie umarł, chociaż często nie było i nadziei. [...] kobieta [...] z płaczem prosiła go, żeby jej syna wyleczył, a on zalecał jej doktora, a kiedy ona mu mówiła, że doktór kazał trumnę robić, [...] że już dwa dni leży jak nieżywy, że po paroksyzmie choroby cały poczerniał; to on dał jej akurat jakiś proszek i kazał przy tym coś z chłopcem robić, [...] prawda, że za parę godzin, jak z drugiego świata wrócił chłopak do życia" (Dłużn., s. 104–105).

[40] Z filantropii Podhalskiego, jak twierdzi Jesse, są niezadowoleni wszyscy, którzy zajmują się leczeniem: „[...] najgorzej, że jeszcze za swój grosz lekarstwa kupuje. Wszystkie doktory źle na to patrzą, a ja doktór zwierząt; oho, to ja mu tego [...] nie mogę

z nadmiaru chorych albo ogólnie trudnej sytuacji, nie przestrzegano podstawowych zasad higieny, co prowadziło do epidemii. Leczeniem zajmował się w miasteczku lekarz, ale również aptekarz, weterynarz, „baba" i w zasadzie każdy, kto zdobył zaufanie. Szczególnie ceniony z powodu skuteczności był nauczyciel Podhalski, który wynalazł lekarstwo na cholerę; w każdym razie jego sposoby leczenia były skuteczne. Wniosek nasuwa się oczywisty – mieszkańcy miasteczka nie posiadali odpowiedniej opieki zdrowotnej i ich życie narażone było na szwank nie tylko z powodu chorób, ale też z powodu braku odpowiedniej opieki medycznej, nieuczciwości ludzkiej i naiwności samych zainteresowanych. Ta naiwność może jednak świadczyć również o biedzie w miasteczku – Forsbergerowa za „usługę" brała zapewne mniej niż doktor. Może też być świadectwem problemów zdrowotnych: w potrzebie „tonący brzytwy się chwyta" – gdy doktor nie wyleczył, to może ktoś inny pomoże. Nauczyciel Podhalski potrafił pomóc.

3.4.2. Wartości poznawcze sztuki Wiktora Dłużniewskiego

Wyprawa do Ameryki posiada raczej skromne wartości artystyczne. Zaciążyły na niej zamierzenia autora. Miała być bowiem pamfletem na stosunki łódzkie i równocześnie rozrachunkiem z jego osobistymi wrogami, o czym zdają się świadczyć dopiski na marginesach, informujące najczęściej, kto i co złego uczynił. Dla nas jednak sztuka W. Dłużniewskiego jest cenna, ponieważ ukazała prawdziwe oblicze Łodzi. Pełna wigoru i energii zabawa tkaczy jest bodaj jedynym przyjemnym aspektem życia w miasteczku. Takie jednostronne ujęcie koegzystencji mieszkańców miasta wynika, oczywiście, z charakteru utworu, niemniej jednak i pozostałym „scenom" nie można odmówić realistycznej prawdy. Pamiętając o zubożeniu sztuki, będącym skutkiem zamierzeń autora, możemy stwierdzić, że utwór W. Dłużniewskiego obala również, choć niezamierzenie, jeden z wariantów mitu „ziemi obiecanej" – mit „spokojnego i dostatniego bytu tkaczy" oraz sam mit „ziemi obiecanej" (szerzej na ten temat w następnym rozdziale) – Łodzi rozdającej dobrobyt i szczęście tym, którzy chcieli się tu szybko i łatwo wzbogacić lub przybyli jedynie w poszukiwaniu spokojnej egzystencji.

darować. On to widać szuka jakiejś łaski u niemieckiej publiki. Nie dosyć, że uczy dbać o zdrowie i nie pozwala ludziom chorować. A co będzie [...] z doktorem i apteką, jak tam wszystko będzie zdrowe?" (Dłużn., s. 104).

W sztuce Dłużniewskiego wspomina się również o ogólnych problemach miasteczka – o braku pracy, upadku fabryk, zastojach w produkcji, zalewie rynku obcymi produktami i wynikającymi stąd trudnościami z utrzymaniem odpowiedniego poziomu życia. Powodowały one biedę, która rodziła patologie: niewydolność wychowawczą rodziny, wyzwalanie się najniższych instynktów popychających do oszustwa i czynienia zła w pogoni za pieniądzem, a nawet do morderstwa, prostytucji i handlu żywym towarem. Wreszcie – utwór Dłużniewskiego ukazuje problemy zdrowotne mieszkańców miasta. Poza chorobami, na które człowiek narażony jest zawsze, sztuka uświadamia istnienie bezustannego zagrożenia epidemiami, tu konkretnie cholerą, i brak godziwej opieki lekarskiej.

Wyprawa do Ameryki jest dla nas cenna z jeszcze innych powodów. Zacznijmy od tego, że ukazuje lub wymienia postaci autentyczne z „imienia", jak Jesse, Goehle, Werner, Rainaffe, Tabertloch, Berta, Józef, Gustaw Ekiert, pan Weber i pan Frać, pani Pleciakowska, Forsbergerowa, kupcowa Koprowska. Prezentuje również prawdziwych mieszkańców miasteczka, ukazanych pod „imieniem" zmyślonym, jak Podhalski lub Narwal. Ich charaktery są jednak prawdziwe, nawet jeśli przerysowane. Poza tym w sztuce mamy także wzmianki o innych osobach, których nazwisk nie znamy, a które niewątpliwie odgrywały w miasteczku jakąś rolę, na przykład: „grosfater i straszna grosmuter, żona pana przełożonego" (Narwala), która „jak jej dzieci chorowali, to posyłała po lekarstwa i po radę" do Podhalskiego, wroga swojego męża, lub Brygisia, która przywiązywała znaczenie do sztambuchowych wpisów: „Brygisia mi wyrzucała, że kiedy wszyscy koledzy mają w sztambuchu pańskie wiersze, ja tylko nie zasłużyłem sobie na tę łaskę". Ten aspekt sztuki W. Dłużniewskiego możemy traktować jako ciekawostkę. I nie chodzi o to, że poza Grohmanami, Scheiblerami czy Geyerami „znamy" innych jeszcze mieszkańców fabrycznej Łodzi. Dzięki bohaterom sztuki Łódź w końcu ożywa i tętni prawdziwym, a nie fabrycznym, składającym się z cyfr, fabryk lub pałaców, życiem. Wreszcie – takie postaci jak Podhalski, troszcząca się o dzieci żona Narwala lub Brygisia, a nawet sama Berta, która zakochała się w nauczycielu i pokrzyżowała niecne plany brata, świadczą o tym, że w Łodzi mieszkają zwyczajni ludzie, a ich codzienność toczy się utartymi torami troski o najbliższych i zabezpieczenie bytu. Deprawacje, które ukazuje W. Dłużniewski, są natomiast ciemnymi stronami życia, spowodowanymi narastającą biedą, a nie cechami dla miasteczka typowymi lub charakterystycznymi.

Poza autentycznymi postaciami pojawiają się również nazwy rzeczywistych miejsc: Zgierz, Łowicz, Brzeziny, Radogoszcz, Lućmierz, nieistniejąca już Wólka, lub nazwa szynku, zapewne – Bawaria, w której

bywają lub którą znają bohaterowie sztuki. Fragmenty utworu potwierdzają także istnienie w połowie XIX w. wokół miasteczka pól i lasów. Niezamierzenie sztuka zdradza również przedsiębiorczość mieszkańców Łodzi, której „fabryczna" historia liczy zaledwie trzydzieści lat. Wzmianki w utworze potwierdzają, że w ciągu tego czasu wybudowano nie tylko domy i fabryki, ale też szkołę, aptekę, szynki lub karczmy. Poza tym uruchomiono omnibus łączący Łódź ze Zgierzem: „pytał go jakiś tam pan, co to jest za napis na omnibusie". Zgierz w tym czasie był lepiej rozwinięty, nie dziwi więc potrzeba dojazdu do niego. Mieszkańcy Łodzi, jak wynika z treści sztuki, utrzymywali kontakty z mieszkańcami sąsiednich miejscowości, na przykład z dość odległego, jak na ówczesne czasy Łowicza, ale też i sąsiadów ściągały do Łodzi różne potrzeby, o czym świadczą słowa Jessego: „Tego konia pocztowego z Brzezin trzymam już [...] cały miesiąc". Panował więc w miasteczku ożywiony ruch.

Wydarzenia przedstawione w sztuce są oparte na faktach, nawet jeśli czyny przypisane są osobom o innym nazwisku:

> fakta prawdziwe, lecz tylko Jesse figuruje pod swoim nazwiskiem. Jego śmierć od trucizny ogłoszona w „Kurierze" w roku 1856, w styczniu. [...] akcja sztuki zamienia się – pisze A. Kowalska – w kronikę wypadków łódzkich z lat 1851–1858 – wypadków tendencyjnie dobranych i wykorzystanych dla podkreślenia wrogich nastrojów i złej woli ludzi, z którymi przyszło stykać się Dłużniewskiemu w Łodzi[41].

Istotnie, wypada zgodzić się z badaczką – ukazane przez autora wydarzenia dobrane są tendencyjnie, nie zmienia to jednak faktu, że są one prawdziwe, dzięki czemu znów możemy obcować z tym, co naprawdę miało miejsce, a nie z własnymi wyobrażeniami o Łodzi. Musimy być wszakże świadomi, że mamy do czynienia jedynie z pewnym wycinkiem życia miasta.

Wreszcie – sztuka zdradza nam charakter samego autora. Jakim był człowiekiem? Dlaczego tak źle potoczyły się jego losy w Łodzi? Czy winien temu był tylko jego charakter? Po nakreśleniu cech Podhalskiego i jego antagonistów wydawać by się mogło, że W. Dłużniewski przedstawił w całości nieprawdziwą, a przynajmniej bardzo subiektywną wizję wypadków w mieście. I tak na pewno jest, jeśli chodzi o „prawdę literacką" – sztuka jest tendencyjna, nie pozostawia żadnych wątpliwości co do winy i charakterów postaci. Oto z jednej strony mamy nauczyciela Podhalskiego – altruistę i dobroczyńcę ubogich, niosącego pomoc w potrzebie i nieodmawiającego jej nikomu (nawet rodzinie osobistego wroga), człowieka prawego i bezkompromisowego, niewahającego się stawić czoła ludziom niebezpiecznym, z gruntu złym i nikczemnym, do

[41] A. Kowalska, „*Wyprawa do Ameryki*...", s. 99.

tego człowieka wykształconego, o wiedzy sięgającej daleko poza odbyte studia i o szerokich zainteresowaniach, literata, a także pedagoga dbającego o wychowanie i przyszłość powierzonych mu uczniów. Jest też w Podhalskim jakieś szlachetne dostojeństwo. Słowem – to postać pozytywna i niezwykle piękna. Z drugiej zaś strony antagonistami pozytywnego bohatera są same czarne charaktery: oszust i zbrodniarz Jesse gotowy na każdy, nawet najbardziej haniebny i odrażający czyn, podatni na wpływy wykolejeńcy tęskniący za łatwym zarobkiem i nową „ziemią obiecaną" – Ameryką – Taberloch i Rainaffe, zdemoralizowani młodzi ludzie, jak Józef, syn Narwala, i wreszcie ci, których najmniejszą wadą jest głupota, megalomania i brak szerszych horyzontów myślowych, jak Narwal. Postaci te, nawet jeśli są prawdziwe, to z pewnością mocno przerysowane. W. Dłużniewski kreśląc je, jakby zapomniał, że w literaturze mniejsze znaczenie ma prawda rzeczywista, a większe prawdopodobieństwo (znajomość tej zasady udowodnił w *Pawle Łodzi Kubowiczu*), które czyni wydarzenia literackie realnymi. Nas wszakże znów mniej interesują walory literackie utworu W. Dłużniewskiego, a bardziej prawda, która znalazła w nim odzwierciedlenie. Zajmijmy się już samym Podhalskim.

Wypadałoby zastanowić się, czy W. Dłużniewski, kreśląc postać nauczyciela i swoją zarazem, nie upiększył charakteru i osobowości Podhalskiego lub przynajmniej, czy nie popadł w przesadę, rysując tak świetlanego człowieka. Bo skąd w takim razie brałyby się jego problemy w miasteczku? Sam wspomina w sztuce, że grożono mu odizolowaniem: „trzeba ogłosić, że wariat i koniecznie zrobić go wariatem", a na marginesie rękopisu: „Przypadek autora z 1849 i z 1854 r.". Wydaje się, że W. Dłużniewski nie przesadził w niczym, charakteryzując siebie: rzeczywiście był człowiekiem wykształconym i o szerokich zainteresowaniach, nieobce były mu na przykład elementy zielarstwa, higieny lub medycyny, skoro wynalazł, jak twierdził, skuteczny środek na cholerę. Nie możemy również odmówić mu altruizmu i bycia dobroczyńcą ubogich, niosącym bez wyboru pomoc każdemu w potrzebie. Wart uwagi jest również jego sposób postępowania z wychowankami. Człowiek bliski W. Dłużniewskiemu ideałami nadał mu miano „przyjaciela ludzkości". Skąd więc problemy tak wspaniałego człowieka? Ich przyczyną były niewątpliwie dwie inne cechy charakteru poety, które zostały nakreślone wcześniej: bezkompromisowość i zasadniczość. Same w sobie, przynajmniej pierwsza, nie są negatywne, należy je nawet uznać za pozytywne. Rzecz w tym, że W. Dłużniewski hołdował im w nadmiarze: „on wariat, wymyśla [...] na kupców i wszystkich nazywa złodziejami" – stwierdza Narwal i dodaje – „[...] oddamy go do aresztu albo do bonifratrów". Na marginesie sztuki pojawia się notatka: „Pogróżka znowu miała miejsce [w] 1856 r.". Nazy-

wanie mieszkańców Łodzi złodziejami nie było więc raczej pojedynczą inwektywą, którą można było pominąć.

Czy W. Dłużniewski mógł się w ten sposób wyrażać o niektórych przynajmniej mieszkańcach miasta, skoro był człowiekiem kulturalnym? Mógł i specjalnie się nie krępował ani też nie ukrywał swoich negatywnych uczuć, bo był też, jak powiedzieliśmy, człowiekiem zasadniczym i bezkompromisowym, a rzeczy nazywał po imieniu. Kiedy przybył do Łodzi, miał 33 lata, za sobą najpiękniejszy okres życia, obfity w ważkie i wzniosłe wydarzenia, w pełni ukształtowany charakter i zdecydowane poglądy. Był gorącym patriotą, nienawidził pogoni za pieniądzem i blichtrem, braku wyższych ideałów, obojętności na dobro ogółu – słowem, tego co widział w okresie warszawskim u polskiej arystokracji[42]. Odnalazł to wszystko w Łodzi, do tego pomieszane z nędzą moralną zepchniętych na margines ludzi, którym się nie powiodło. Obca mowa i buta (tak odbierał zachowanie tkaczy) hołubionych przez władze niemieckich kolonistów z pewnością nie nastrajały go przychylnie do łódzkiej rzeczywistości. Wydaje się też, że W. Dłużniewski był człowiekiem pozbawionym poczucia humoru, które ułatwiałoby mu pożycie w nowym środowisku, a do tego dość ironicznym, z którym niełatwo było wygrać w szermierce słownej:

[...] kiedyśmy z nim jechali do Zgierza, to pytał go jakiś tam pan, co to jest za napis na omnibusie? A on [...] odpowiedział [...] po polsku: „Dwa razy na dzień do Zgierza z Łodzi Merkur, bóg kupców i złodziei chodzi". A napisane tylko: „Drei mal des Tages geht Merkur aus Lodz nach Zgierz" (Dłużn., s. 106).

Mimo wszystko jednak starał się wypełniać obowiązki dobrego patrioty, pedagoga i obywatela. Nie spotkał się jednak ze zrozumieniem i przychylnością; czuł się niedoceniony i szykanowany[43].

Przyczyny niepowodzeń, które spotkały W. Dłużniewskiego w Łodzi, są więc złożone. Zaciążył tu z pewnością jego dość trudny w pożyciu charakter, ale też poglądy i ideały, których nie możemy przecież oceniać negatywnie. W równym stopniu, co i osobowość poety, na okresie łódzkim W. Dłużniewskiego zaciążyła sama rzeczywistość miasteczka tego okresu – kryzys charakteryzujący się nasilonym bezrobociem, głodem

[42] A. Kowalska, *Wiktor Dłużniewski*..., s. 181–182.

[43] J. Tynecki pisze o W. Dłużniewskim jako o człowieku ogarniętym manią prześladowczą, który starał się zohydzić środowisko niemieckie w Łodzi (J. Tynecki, *Literatura Łodzi do 1918 roku*, [w:] *Literatura i język Łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978*, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978, s. 20). Podobne oceny spotkamy u innych badaczy. Wydaje sie jednak, że zbyt mało wiemy o poecie, by wysnuwać jednoznaczne sądy o jego charakterze.

i chorobami z pewnością w sposób deprawujący wpływał na jego mieszkańców i zagubił gdzieś ideę uprzemysłowienia tego obszaru, realizowaną wcześniej z takim rozmachem. Pozostała tylko chęć wzbogacenia się, odbierana przez poetę jako żądza i główny cel życia. Nie możemy więc obwiniać tylko poety za konflikty, które rodziła jego osoba, tym bardziej że nie wiemy nic o tym, by był przyczyną problemów w innych miejscach, w których zamieszkał.

4. Mit „ziemi obiecanej”

Wielokrotnie już nawiązywaliśmy do metafory Łodzi jako „ziemi obiecanej”. Nadanie jej tego miana przypisuje się Wł. S. Reymontowi, który, jak wiadomo, tak właśnie zatytułował poświęconą miastu powieść. Warto jednak zaznaczyć, że czterdzieści lat przed nim, na co zwróciła uwagę A. Kowalska, nazwał w ten sposób Łódź W. Dłużniewski w omówionej wcześniej sztuce *Wyprawa do Ameryki*[1]. Goehle, bohater jego utworu, który w Łodzi zdobył znaczny majątek, stwierdza: „Mądry umie ze wszystkiego korzystać. Polska była dla mnie obiecaną ziemią – była to prawdziwa Ameryka” (Dłużn., s. 108)[2]. Podobnie do Goehlego o Łodzi i możliwościach, które stwarzała, wypowiada się jeden z bohaterów powieści W. Marrené-Morzkowskiej, choć nie używa przy tym magicznej metafory: „Łódź dobre miasto, bardzo dobre miasto, piękne miasto, kto ma rozum, będzie miał pieniądze” (Mar.-Morz., s. 173). Także w powieści W. Kosiakiewicza odnajdziemy ten motyw:

> Ona to [bawełna] [...] wsi kilkanaście pochłonąwszy, przerobiła je na miasto, niby fabryka surową roślinę na sztuczny materiał na ubranie. Ona dawała chleb robotnikowi i miliony fabrykantom; ona utrzymywała doktorów, adwokatów, aptekarzy, urzędników; ona co roku obalała domki drewniane, aby postawić na ich miejsce wille i pałace; ona niszczyła ogrody, aby wznosić mury fabryczne; ona budowała gmachy wspaniałe, ona tworzyła naokoło miasta pierścień kominami nasadzony. Ona karmiła ludzi, ona opłacała ich zbytek (Kosiak., s. 283).

Motyw Łodzi jako „ziemi obiecanej” powraca w powieści Wł. S. Reymonta kilkakrotnie. Łódź mogła nią być dla wszystkich bez wyjątku, toteż każdy, kto tylko chciał, próbował w niej znaleźć szczęście:

> Wszystkimi drogami [...], które biegły ze wszystkich krańców świata do tej „ziemi obiecanej” [...], ciągnęły tłumy ludzi [...], tysiące westchnień wznosiło się i tysiące

[1] A. Kowalska, *Wiktor Dłużniewski, autor „Wyprawy do Ameryki”*, „Prace Polonistyczne” 1967, seria XXIII, s. 96.

[2] Na marginesie sztuki autor stwierdza: „Goehle, który w tym miesiącu umarł, zostawił półtrzecia miliona majątku” (Dłużn., s. 108).

rozpalonych spojrzeń rzucało się w ciemność z upragnieniem i gorączką, szukając kontaktów tej „ziemi obiecanej". Z równin odległych, z gór, z zapadłych wiosek, ze stolic i z miasteczek, spod strzech i pałaców, z wyżyn i z rynsztoków ciągnęli ludzie do tej „ziemi obiecanej". Przychodzili użyźniać ją krwią swoją, przynosili jej siły, młodość, zdrowie, wolność swoją, nadzieje i nędzę, mózgi i pracę, wiarę i marzenia (Reym., s. 666–667).

Czy jednak Łódź była „ziemią obiecaną", skoro:

Dla tej „ziemi obiecanej", dla tego polipa pustoszały wsie, ginęły lasy, wycieńczała się ziemia ze swoich skarbów, wysychały rzeki, rodzili się ludzie, a on wszystko ssał w siebie i w swoich potężnych szczękach miażdżył i przeżuwał ludzi i rzeczy, niebo i ziemię, i dawał w zamian nielicznej garstce miliony bezużyteczne, a całej rzeszy głód i wysiłek (Reym., s. 668).

Podobnie fabryczne miasto widział Wł. Rowiński; nazywa je monstrualnym polipem, pająkiem lub Molochem[3]. Warto również zastanowić się, czy Łódź przyniosła szczęście Wilczkowi, synowi organisty z Kurowa, którego domowe wychowanie, patronat księdza proboszcza i kontakty z przyzwoitymi ludźmi nie uchroniły od zachowań typowych dla żądnej pieniądza kanalii, żyjącej z wyzysku innych, żerującej na biedzie i nieszczęściu?[4]

Miasto było podobne do potężnego wiru – stwierdza Wł. S. Reymont – w którym kotłowali się ludzie, fabryki, materiały i namiętności, miliony i nędza, rozpusta i głód wieczny, a wszystko to wirowało z szalonym pośpiechem, z rykiem maszyn, pożądań, głodu, nienawiści; z rykiem walki wszystkich przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Wszystko pchało się z siłą rozpętanego żywiołu naprzód, po trupach fabryki i ludzi – byle zdążyć prędzej do milionów, których źródła zdawały się wytryskiwać z każdego cala tej „ziemi obiecanej" (Reym., s. 657–658).

Bo „ziemia obiecana" to tylko „miliony". Tak stwierdza Borowiecki w rozmowie z Kurowskim. Jeśli „ziemię obiecaną" stanowią tylko miliony, upragnione szczęście zdobyli wszyscy: Kurowski, Maks Baum i Stach Wilczek, Moryc Welt i Grosman, Firma Bucholc, Szaja Mendelsohn, Grosglik, także Borowiecki, któremu teść powierzył bez zastrzeżeń całą fabrykę (Reym., s. 658).

[3] Jeden z jego bohaterów „Łódź porównywał do olbrzymiego polipa, który przyrósł do wnętrzności kraju i wysysa z nich najzdrowsze soki żywotne; to znów do straszliwego pająka, obmotującego całe społeczeństwo; to wreszcie do złośliwego Molocha, pochłaniającego niewinne ofiary" (Row., s. 99).

[4] Narrator stwierdza, że Wilczek „kochał tę «ziemię obiecaną», jak kocha zwierzę drapieżne głuche puszcze pełne łupów. Uwielbiał tę «ziemię obiecaną» płynącą złotem i krwią, pożądał jej, pragnął, wyciągał do niej ramiona chciwe i krzyczał głosem zwycięstwa – głosem głodu: – Moja! Moja! – I już chwilami czuł, że ją posiadł na zawsze i że nie puści zdobyczy, póki nie wyssie złota wszystkiego" (Reym., s. 350).

A jednak Borowiecki, który zdobył to, czego pragnął ponad wszystko, nie jest szczęśliwy. „Mam to, czego chciałem…” – mówi z goryczą do dawnej narzeczonej – „Chciałem milionów – mam, a że mi do życia nie wystarczają – to moja wina. Tak, to moja wina, że zdobyłem w tej „ziemi obiecanej” wszystko – prócz szczęścia. To moja wina, że cierpię głód” [„niewypowiedziany głód duszy”, s. 660; „niezaspokojony głód duszy”, s. 662] (Reym., s. 664). Nie zdobyła w Łodzi szczęścia także kobieta szukająca w fabryce Bucholza sprawiedliwości i odszkodowania za śmierć męża w trybach fabrycznej maszyny. Jej rodzina nie szukała milionów. Chciała tylko godziwego życia w zamian za ciężką pracę. W Łodzi znalazła jednak tylko nieszczęście; kobieta wyklina więc miasto: „[…] a niech tam to miasteczko Łódź mór nie minie, niech ją ta ogień spali, niech ich tam Pan Jezus niczegoj nie żałuje, coby wszystkie wyzdychały, co do jednego” (Reym., s. 26).

U obu pisarzy, Wł. S. Reymonta i W. Dłużniewskiego, metafora Łodzi jako „ziemi obiecanej” ma wydźwięk ironiczny. Dramatyczne losy ludzi szukających odrobiny szczęścia, rozbudzanie najniższych instynktów lub deprawacja charakterów z natury nieskłonnych do zła – nadają jej też wydźwięk tragiczny. Wł. S. Reymont mówi o tym wprost: ludzie tę „ziemię obiecaną” przychodzili użyźniać swoją krwią. Przynosili jej siły, młodość, zdrowie, wolność, umysły, pracę, wiarę, a miasto wchłaniało wszystko i niszczyło. W sztuce W. Dłużniewskiego takie odczytanie metafory wynika z kontekstu. To nie była ziemia, która mogła stać się Arkadią, Rajem lub Edenem dla przybyszy. To był potwór niszczący każdego, kto mu zanadto zaufał i wierzył, że tu spełnią się jego nadzieje i marzenia.

Czy to jednak za sprawą bohaterów powieści Wł. S. Reymonta: Karola Borowieckiego, Moryca Welta i Maksa Bauma, którzy stworzyli przymierze, by zdobyć w Łodzi bogactwo i związaną z nim niezależność, czy też za sprawą marzeń każdego człowieka o poprawie bytu – tak przecież postrzega się miasto w powieściach W. Marrené-Morzkowskiej i W. Kosiakiewicza – dość że metafora Łodzi zaczęła żyć własnym życiem. Odczuwana jest pozytywnie (choć może i skrywa pewien niepokój): w Łodzi każdy mógł zdobyć majątek, każdy mógł poprawić swój byt, każdy mógł stać się niezależny, każdy mógł znaleźć szczęście! Metafora obejmuje, oczywiście, przeszłe dzieje miasta, głównie przełom XIX i XX w., choć można ją również odnieść do czasów wcześniejszych. W powszechnym mniemaniu Łódź staje się „ziemią obiecaną” w chwili, gdy kończą się „oficjalne” dzieje Łodzi rolniczej, a więc pod koniec pierwszego ćwierćwiecza XIX w.

Rozważania o ukazanej w literaturze „ziemi obiecanej” i jej roli w życiu przybywających do niej ludzi są w istocie roztrząsaniem problemu

wyznawanego przez nich świata wartości. Na łódzkim bruku uległ on gwałtownej zmianie. Trafniej będzie nawet stwierdzić, że zupełnie zatracił się uznawany dotąd system wartości; wyróżniamy przecież (z punktu widzenia stosunku człowieka do wartości) nie tylko wartości uznawane i respektowane, ale też wartości uznawane, lecz nierespektowane. Taką wartością tylko uznawaną może być, na przykład, altruizm, nie każdy przecież, uznając jego znaczenie, jest równocześnie altruistą. Poza tym to, co było antywartością, przestało nią być – nie raziło, a nawet nie było odczuwane jako antywartość. Ukazana w literaturze Łódź jest miejscem, „w którym oszustwa, podstępne bankructwa, plajty, wszelkiego rodzaju szwindle, wyzysk – były chlebem codziennym, wszyscy się tym łakomie karmili, zazdroszczono głośno sprytnie ułożonych łajdactw [...] czczono miliony, nie bacząc skąd pochodzą; co to kogo obchodziło, zarobił czy ukradł, byle te miliony miał" (Reym., s. 117). Zmianie uległo jednak nie tylko pojmowanie uczciwości, ale też szacunku dla drugiego człowieka, altruizmu, moralności, elementarnego poczucia przyzwoitości.

Dostrzegając sprzeczność pomiędzy „ideami", których jako transcendentnych jednostek używa się do mierzenia ludzkich zachowań, a wartościami, które społeczeństwo uznało za faktycznie istniejące, Hannah Arendt stwierdza:

> Wartości są towarami w społeczeństwie – „same w sobie" nie mają żadnego znaczenia, ale – podobnie jak inne towary – istnieją tylko w ciągle zmieniających się relacjach powiązań społecznych i handlowych. Przez tę relatywizację zarówno rzeczy, które człowiek wytwarza dla swego użytku, jak i wzorce, wedle których żyje, przechodzą decydującą przemianę: stają się przedmiotami wymiany, a nosicielem ich wartości jest społeczeństwo, nie zaś człowiek, wytwórca, użytkownik i sędzia. „Dobro" traci swój charakter idei, czyli wzorca, za pomocą którego można mierzyć i rozpoznawać zło, i staje się wartością, którą można wymieniać na inne wartości, takie jak wygoda czy siła. Posiadacz wartości może odmówić tej wymiany i stać się „idealistą" ceniącym wartość „dobra" wyżej niż wartość wygody, ale nie czyni to wcale „wartości" dobra mniej relatywną[5].

Problem zmiany systemu wartości zostanie rozwinięty w dalszych rozważaniach, między innymi poprzez podjęcie teorii indywidualizacji jednostki Ericha Fromma. Odwołanie się do myśli niemieckiej filozof jest natomiast o tyle uzasadnione, że literackich bohaterów „ziemi obiecanej" wartościuje się zwykle, używając jako narzędzia oceny głównie idei wartości, izolując ich od świata, w którym żyją. Stają się przez to postaciami groteskowymi lub przynamniej taki rys osobowości posiadają. Ponadto, ponieważ nie są ludźmi przygotowanymi do rozporządzania

[5] H. Arendt, *O wartościach*, tłum. M. Jałocho, [w:] *Wartości: etyka i estetyka. Antologia tekstów filozoficznych*, red. S. Jedynak, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 419.

dużymi sumami pieniędzy, odmawia im się niemal możliwości owej wymiany, o której H. Arendt pisze, lub tę wymianę poddaje krytyce. Widzi się ich tylko jako wzbogaconych nuworyszy i równocześnie żąda, by postępowali mądrze i roztropnie, jak ludzie, którzy poprzez wychowanie i tradycję posiedli właściwe podejście do posiadanych dóbr; ci zaś uznają, że odziedziczone po przodkach dobra są nie tylko przywilejem, ale również zobowiązaniem wobec społeczeństwa. Tej wiedzy łódzcy milionerzy posiąść jeszcze nie zdążyli i zbyt dobrze pamiętali swój wysiłek, by uznać, że powinni się również dzielić pracą własnych rąk.

4.1. Zmitologizowane szczęście łódzkich milionerów w prozie przełomu XIX i XX wieku

Niewiele wiemy o życiu łódzkich przemysłowców. Na naszą wyobraźnię działają pozostawione przez nich wille, pałace i fabryki oraz anegdoty, świadczące o ich bogactwie, rozrzutności, nieposkromionym temperamencie ich dzieci, zdające się mówić o życiu łatwym i przyjemnym, pozbawionym wszelkich trosk[6]. Czego dowiemy się z literatury? Czy zaprezentuje ona prawdziwy obraz życia fabrykanta i jego rodziny? Czy ukaże, na ile i któremu z bohaterów zdobyty majątek przyniósł szczęście, dając radość, zadowolenie, głęboko rozumianą i odczuwaną pełnię życia? Jaki będzie obraz łódzkiego lodzermenscha, o którym mówi się, że zanim został milionerem, bywał tkaczem, pracował w cudzej fabryce jako majster, a nawet przymierał głodem? Jak radził sobie z bogactwem człowiek, którego nie przygotowano do rozporządzania nim? Na co wydawał z trudem zapracowane pieniądze? Co robił w wolnym czasie? Nikt nawet nie wątpi, że go posiadał i to zapewne w nadmiarze. Łodzianie znają na ogół tylko *Ziemię obiecaną* Wł. S. Reymonta, często z ekranizacji Andrzeja Wajdy, istnieją wszakże i inne utwory o Łodzi, przedstawiające interesującą nas grupę jej mieszkańców.

W dalszych rozważaniach ukażemy życie codzienne bohaterów *Ziemi obiecanej* Wł. S. Reymonta, *Wśród kąkolu* W. Marrené-Morzkowskiej, *Bawełny* W. Kosiakiewicza, *Braci Aszkenazych* I. J. Singera oraz prozy

[6] „*Lodzermensche* – tak określano obywateli «ziemi obiecanej» – nadawali ton życiu miasta przez kilkadziesiąt lat: stworzyli je od podstaw i ukształtowali jego oblicze. Wznieśli fabryki, wille i pałace, pobudowali kamienice, kościoły, banki... Najbogatsi tworzyli książtewka, obejmujące obok zakładów i rezydencji domy dla robotników, parki i ogrody, stawy, bocznice kolejowe... Nazwiska takie, jak Scheibler, Poznański, Grohman czy Geyer długo jeszcze nie będą w Łodzi prywatnymi. O ich dniu codziennym wiadomo jednak niewiele” (W. Górecki, *Łódź przeżyła katharsis*, „Tygiel Kultury”, Łódź 1998, s. 139).

reportażowej Z. Bartkiewicza. Jedni, jak Reymontowscy Baumowie lub Julian Rumiński W. Kosiakiewicza, do wielkich majątków dochodzili ciężką pracą i w sposób uczciwy, rozporządzając tylko własnymi siłami, umiejętnościami lub odpowiednim wykształceniem, czasem także warsztatem tkackim przywiezionym ze sobą; inni, jak Moryc Welt, Stach Wilczek, Grünspanowie polskiego noblisty lub Pifkowie W. Marrené-Morzkowskiej – w sposób wątpliwy moralnie, ale w Łodzi akceptowany: „Nie mamy nic do stracenia prócz honoru" – mówi Maks Baum – „a przecież tym towarem w Łodzi się nie operuje" (Reym., s. 52). Przykłady „uczciwości łódzkiej" znajdziemy w każdej powieści przełomu XIX i XX w., Łódź jest bowiem miejscem, w którym oszustwa, podstępne bankructwa, plajty, wyzysk i wszelka nieuczciwość zyskały akceptację. Nie zastanawiano się, w jaki sposób powstawały fabrykanckie fortuny, za to „czczono miliony". Jeszcze inni, jak Borowiecki, zawdzięczali majątek sprytowi, nie zawsze czystym zasadom postępowania, umiejętnościom praktycznym, ciężkiej pracy i odpowiedniemu małżeństwu. Do wyjątków należy Trawiński, który angażując odziedziczoną, niemałą szlachecką schedę, chciał rozwijać krajowy przemysł.

Interesujące nas postacie wyodrębniają się w dwie wyraziste grupy: tych, których ekonomiczna pozycja w Łodzi jest już ugruntowana oraz dużo młodszych, którzy dobrobyt pragną dopiero osiągnąć. Warto też zaznaczyć, że nie będziemy w tym miejscu poruszać problemów tak ważkich moralnie, jak na przykład: czy można być w pełni szczęśliwym, żyjąc z wyzysku i kosztem nędzy innych lub, widząc tę nędzę, zaspokajać coraz to nowe potrzeby, właściwie kaprysy, niedające ostatecznie żadnego zadowolenia poza ich spełnieniem. Takie dylematy zwykle nie nurtowały również tych, którzy miliony zdobyli.

Rozważania na temat ukazanych w literaturze łódzkich milionerów zacznijmy od starego, odchodzącego już pokolenia. Należący do tej grupy potentaci przemysłowi latami, ciężką pracą i wyrzeczeniami wytrwale budowali fortuny, dobrobyt i stabilizację. Ci, którym w Łodzi powszechnie się zazdrości, w młodości mieli tylko siebie i swoje ręce, byli pracowici i uparci. Wykorzystali łut szczęścia, który im sprzyjał, bezustannie też pomnażali to, co już zdobyli: Bucholc, najbogatszy łódzki milioner powieści Reymonta, swoje fabryczne królestwo tworzył przez życie ciężką pracą „i mocą swojego geniuszu przemysłowego" (Reym., s. 21). Podobnie kształtowała się droga życiowa Müllera, który do milionów doszedł dość późno[7]. Herman Pifke, Niemiec z pochodzenia, bohater powieści

[7] Müller, jak pisze Reymont, był „świeżym milionerem. [...] Przybył przed laty jako zwykły tkacz do tej ziemi, która istotnie stała się dlań «ziemią obiecaną»" (Reym., s. 288–289).

W. Marrené-Morzkowskiej, również sam był twórcą swojego majątku. Posiadał rozum i spryt, jednak u podstaw jego fortuny legła ludzka krzywda[8]. Odpowiednikiem Bucholza w powieści I. J. Singera *Bracia Aszkenazy* jest Niemiec Hünze. Był równie biedny i tak samo pracowity jak bohater Wł. S. Reymonta[9].

Nieco inaczej kształtowała się droga do fortuny żydowskich fabrykantów. Początki działalności w tej grupie narodowościowej związane były z handlem. Ich posiadaczy cechował wszakże taki sam upór, wytrwałość i ciężka praca, jak wymienionych wcześniej bohaterów. W przypadku Żydów jednak podkreśla się brak uczciwości w stosunkach handlowych produkcji towarów. Szaja Mendelsohn nazywany był królem bawełnianym (Reym., s. 46). Gdy Bucholc zdobywał miliony, on dopiero zaczynał jako handlarz nędznego kramu na Starym Mieście. Cierpiał głód i nędzę, przeżywał katusze, myśląc o możliwości utraty z trudem zarobionych pieniędzy. Nie mniejszy strach ogarniał go, gdy zdobywał się na większą inwestycję. W drodze do milionów nieraz wystąpił przeciw zasadzie uczciwości[10]. Podobną drogę przeszedł Zuker, stary chałaciarz, przedzierzgnięty w milionera-fabrykanta. Zaczynał od skupowania zużytych i niepotrzebnych już szmat bawełnianych, strzępów papieru, a nawet pyłu bawełnianego, którego w fabrykach wszędzie było pełno. Jego wyroby były tandetne i naśladowały w kolorach i deseniach wyroby fabryki Bucholca. Były to „[...] materiały w najgorszym gatunku, sprzedawane tanio, które uniemożliwiały wszelką konkurencję” (Reym., s. 71). Singerowski fabrykant Maksymilian Fliederbaum przybył do Łodzi z pustymi

[8] Bohater powieści W. Marrené-Morzkowskiej, podobnie jak bohaterowie Wł. S. Reymonta i I. J. Singera, „[...] sam był twórcą swego majątku. Czy doszedł do niego uczciwą pracą [...], czy też, jak z cicha szeptali ludzie, węgielnym kamieniem jego była cudza krzywda, to bynajmniej nie zmieniało faktu. Był bogaty [...]. Przy tym, jeśli co do genezy majątku mogły być wątpliwości, nie istniały one względem rozumu i sprytu Pifkego” (Mar.-Morz., s. 191–192).

[9] Heinz Hünze był przed laty ubogim tkaczem, kiedy go poznajemy jest już „[...] człowiekiem interesu; całą duszą tkwił w fabryce, którą wybudował i w majątku, który zgromadził swymi dwiema gołymi, tkackimi rękami. [...] Do Łodzi [...] przybył na jednokonnym wózku z Saksonii” (Sing. I, s. 177–178).

[10] Szaja nawoływał ludzi, zapraszając do siebie, a nawet ciągnął za rękaw, by zechcieli u niego kupować. Odnosił paczki do domów, sprzątał czasami sklep i chodnik przed nim. Całe miesiące spędził na trotuarze. Potem nagle zniknął. „[...] Przyjechał z trochą pieniędzy i zaczął prowadzić interes na własną rękę. [...] Potem te pierwsze warsztaty, jakie założył [...] tysiące drobnych oszustw [...] nim zaryzykował wydzierżawić jakąś fabryczkę. [...] sam nie spał, nie jadał, nie żył, robił tylko i oszczędzał. On pierwszy dawał na kredyt [...]. On pierwszy zaczął robić tandetę [...]. On prawie pierwszy wprowadził, rozwinął i udoskonalił system wyzysku wszystkiego i wszystkich. [...] A szczęście szło za nim nieodstępnie [...]” (Reym., s. 105–106).

rękami i zdobył ją w krótkim czasie (Sing. I, s. 243–244). Jego droga do fortuny była podobna do drogi Szai i Zukera oraz – jak oni – był Żydem.

W prozie reportażowej *Złe miasto* Z. Bartkiewicza znajdujemy interesujący, ale nie wolny od ironii obraz miejsca życia i pracy łódzkiego przemysłowca. Związany z Łodzią warszawski publicysta nie indywidualizuje bohatera i nie nazywa go żadnym imieniem, co zdaje się sugerować, że przedstawiony przez niego wizerunek nie jest zjawiskiem odosobnionym i w związku z tym jest charakterystyczny dla Łodzi przełomu XIX i XX w.:

W południowej stronie ulicy [Piotrkowskiej], wśród niskich, skromnych domków, wznosi się gmach dwupiętrowy, ze zwierciadlanymi szybami w drzwiach [...]. Marmurowe, dywanowe schody wiodą z sieni na górę. [...] Drzwi z napisem „Comptior", „kantora", rzadko kantor lub biuro. Za nimi sala, podzielona na klatki, dębowe przepierzenia, oszklone matowymi szybami. [...] W głębi sanktuarium – kasa, a obok gabinet właściciela firmy (Bartk., s. 37–38).

Piętro wyżej znajduje się część mieszkalna, „[...] gdzie kilka salonów, ozdobionych bogactwem sztukaterii i złoceń, tworzy amfiladę, mogącą zaspokoić i książąt udzielnych, o ile ich wymagania, zbytkowe potrzeby, tapicer zadowolić jest w stanie [...]". Najpierw salon w stylu *Empire*, dalej sala balowa, a za nią coś w rodzaju niemieckiego *Wohnzimmer* i jeszcze kilka pokojów,

ale w nich wszystkie meble w pokrowce spowite, żyrandole i lustra osłonięte gazą, dywany zwinięte zalegają pod ścianą, a cały ten przepych odświętny, galowy, całunem pokryty ma coś w sobie ze śmierci [...]. Całe życie rodzinne gdzie indziej się skupia. Gdzieś na uboczu w parterowym domku, jakby zagubionym wśród wyniosłych gmachów fabrycznych, lub w oficynie pałacu, gdzie dwa, trzy małe pokoiki i kuchnia w zupełności wystarczają rodzinie (Bartk., s. 39–40).

Niemal identyczne wnętrza i taki sam do nich stosunek gospodarzy przedstawiła W. Marrené-Morzkowska, kreśląc obraz domu Holzbergów (Mar.-Morz., s. 224–226), Wł. S. Reymont, prezentując pałace Bucholca (Reym., s. 94–97) i Müllera (Reym., s. 286–294), oraz W. Kosiakiewicz, ukazując zadowolenie Feinsohna z posiadania trzech salonów i fumoiru (palarni) (Kosiak., s. 297). Cechą wspólną wszystkich tych domów jest bogactwo na pokaz i luksus, z którego gospodarze nie potrafią, a nawet boją się korzystać. Dlatego obok wystroju, który zadowolić mógłby rodową arystokrację („udzielnych książąt" – używając tego wyrażenia, Z. Bartkiewicz i W. Kosiakiewicz podkreślają przepych umeblowania i dekoracji wnętrz), znajdujemy akcenty bliskie sercu i wymaganiom

gospodarzy: zużyte patery, powyszczerbianą porcelanę[11], ordynarne oleodruki lub wytarte linoleum, imitujące parkiet w pałacu Bucholca; gospodarski pokój – jadalnię przy kuchni u Holzbergów, w którym gospodyni w przydeptanych pantoflach i połatanej sukni miała zwyczaj dozorować kucharkę. Podobny sposób organizowania życiowej przestrzeni widzimy również u Müllerów. Tak jak bohaterowie Z. Bartkiewicza, również i inni fabrykanci posiadają nieużytkowaną, a nawet zamkniętą na klucz część domu, w której meble, żyrandole i lustra spowijały pokrowce. Wł. S. Reymont pokazuje również otoczenie fabrykanckich pałaców, niczym zgoła nieróżniące się od ich wnętrz w sposobie organizacji przestrzeni. Przed pałacem Bucholca ścieżki były wysypane miałem węglowym, a w rogach czworobocznego trawnika stały cztery posągi, okręcone na zimę w barchany. Müller nie pokusił się nawet o stworzenie odpowiedniego otoczenia dla swojej posiadłości. Za to jego pałac, ze względu na wygodę, łączyły ze „starą chałupą” schody.

Dom Feinsohna przygodny gość określił jako „ładne muzeum”. Podobnie można nazwać pałace innych fabrykantów, gdyż życie ich rodzin toczyło się w starych domach lub w pokojach, które bardziej odpowiadały przyzwyczajeniom i gustom gospodarzy[12]. Dlaczego ludzie, którzy ciężką pracą i kosztem wielu wyrzeczeń dorobili się tak ogromnego majątku, że stać ich na pałace, nie chcą w nich zamieszkać? Nie ma znaczenia, że urządzone są bez gustu i z nadmiernym przepychem. Dla nich są niewątpliwie piękne, cokolwiek by o pałacu i jego wystroju ktoś inny powiedział. Z. Bartkiewicz stwierdza: „To [...] dla gości, bo niemiło gospodarstwu w tych blaskach przepychu. Źle im się chodzi po lśniącej posadzce, nie w smak wino szumiące, przykro pani w gorsecie, a panu we fraku i jakże im błogo, gdy pychę nasycą i są już u siebie” (Bartk., s. 40). Podobne uczucia kierują zapewne Holzbergami i Feinsohnem. Czy chęć posiadania pałacu, w którym się nie mieszka, można wytłumaczyć jednak tylko pychą? Müller mówi:

[11] M. E. Stainhagen wspomina dziadka, który w porywie złości wytłukł całą starą porcelanę. Mimo zamożności rodziny jej babka nie mogła zdobyć się na wyrzucenie zniszczonej zastawy, która dotąd służyła rodzinie. Zob. M. E. Steinhagen, *Kruschowie. Historia rodu. Wspomnienia*, Literatura, Łódź 2003.

[12] Łódzkim milionerom, jak pokazuje Z. Bartkiewicz, wystarczały: „Dwie szafki «na bejc», stół jesionowy owalny, kanapa kryta ceratą, nad nią krwawy zachód i bydło srokate, obok: *Mann, ärgere deine Frau nicht – Frau ärgere deinen Mann nicht*, pięknie filozelą wyszyte, a wszędzie ład i porządek aż do śmieszności i nudy. Każdy przedmiot posiada tam jakieś praktyczne dopełnienie. Każdy klucz, nawet gałgan ma swój haczyk i często napis przeznaczenia [...]” (Bartk., s. 40–41). Ten opis może dopełnić zdanie z powieści Wł. S. Reymonta: „Dom [...] pachniał porządkiem i tą czysto niemiecką wołową pracowitością” (Reym., s. 296).

[...] żebym ja miał mieszkać w pałacu, toby się ludzie ze mnie tak śmieli, jak się śmieją z Meyera i z Endelmana. Po co mi to, kiedy wygodniej w starej chałupie. [...] Wszyscy stawiają pałac, i ja kazałem postawić, mają salony i ja mam salony [...]. Kosztuje drogo, niech kosztuje i niech sobie stoi, niech ludzie wiedzą, że Müller może mieć pałace, a woli mieszkać w starym domu (Reym., s. 293).

Za słowami Müllera kryje się na pewno dorobkiewiczowska pycha, ale też i iście kupiecka przebiegłość – nie chce się przyznać, że nie potrafi żyć w stworzonym przez siebie luksusie, tak jak nie chce się przyznać, że nie umie pisać, choć wie o tym każdy. A może nie uświadamia sobie nawet, że nie potrafi mieszkać w pałacu? O Müllerach bowiem Reymont pisze, że są ludźmi wyjątkowymi, gdyż posiadanie milionów ich nie zmieniło (Reym., s. 296). Także Bucholcowie nie zmienili swoich obyczajów. Obiad, na który zaproszono Borowieckiego, był typowy dla tego domu – podano mało mięsa i wiele warzyw na zwykłej zastawie. Platery były już zużyte, porcelana, malowana w gołąbki na brzegach talerzy – powyszczerbiana (Reym., s. 108). Miliony nie „zepsuły" także Singerowskich starych Hünzów, nie pomogło im to jednak dobrze poczuć się w pałacu. Heinz Hünze rzadko w nim bywał, zajęty od rana do nocy swoją fabryką. Zachował też swoje zwyczaje. Gdy się zdenerwował, ktoś sprzeciwił się jego woli lub coś mu się nie spodobało – krzyczał, wymyślał ordynarnymi słowami, pluł na kosztowne dywany. Teraz wiedział i czuł jeszcze, że może to robić bezkarnie. Jego żona, chłopska córka, skazana na ciągłe przebywanie w salonach nowego domu, była bezgranicznie nieszczęśliwa. Wytrącony ze zwykłego rytmu dnia jej mąż również poczuł się w tym domu źle. Ciążyli im wytworni goście ich dzieci i przepych urządzonego na nowo przez córki pałacu. Odpoczywając w wielkim łóżku po balu, „zatęsknili [...] za dawnymi czasami" (Sing. I, s. 206–207).

Przyjrzyjmy się bliżej twórcom łódzkich fortun. Wydaje się, że poza sporadycznymi sytuacjami, wszyscy właściwie fabrykanci i przedsiębiorcy czują się dobrze w nowej sytuacji życiowej i w stworzonym przez siebie luksusie. Do dobrego łatwo się przyzwyczaić, a poza tym mężczyźni bezustannie byli zajęci pomnażaniem majątku. Poczuli też smak tego, co dawały pieniądze – swobodę i nieograniczone możliwości. Czy jednak byli szczęśliwi?

Szaja Mendelson uważał, że za swoje pieniądze może kupić nawet radość życia, którą utożsamiał z dobrym samopoczuciem i zabawą: „Twoje goście przyszły? Bawią się dobrze?" – pyta córkę, jak przystało na gospodarza. Nie goście i ich samopoczucie go jednak interesują, ale nastrój i humor Róży. Gdy ta stwierdza, że wszyscy się nudzą, tak jak i ona, jest zdziwiony: po co trzyma nudnych gości, skoro za swoje pieniądze może mieć wesołych? (Reym., s. 152–156). Martwi się, że córka nie jest radosna, że zabawa w gronie równie jak oni bogatych albo takich, których

mogą mieć zawsze, bo przecież wszystko można kupić, nie daje jej zadowolenia. Pieniądze można poza tym spożytkować lub „zainwestować” lepiej. Nie, Szaja nie jest szczęśliwy w swoim pałacu. Odczuwa to i ten dyskomfort powoduje, że drażni go nawet dobre samopoczucie innych, których stać było na beztroskę, choć byli ubodzy i mieszkali w wybudowanych przez niego famułach. Gdy widział, że jego pracownicy wesoło spędzali wolny czas, odzywała się w nim nienawiść i kupiecka dusza: „Skąd oni mają na zabawę? […] Ernest Ramisz musi za dużo brać, kiedy go stać na zabawy” (Reym., s. 153–154). Do tego dochodził jeszcze despotyzm i tyrania: „Jestem chory, a oni się bawią”.

Także i Fliederbaum, mimo wyraźnych oznak zadowolenia, nie był w pełni szczęśliwy. Wielkopańska postawa i maniery skrywały w istocie człowieka prostego, bojącego się ogni piekielnych[13]. Bał się swojego Boga, a lista grzechów fabrykanta oraz występków jego dzieci była długa; wszystkie, które go zatrważały i budziły lęki, dotyczyły odejścia od nakazów Zakonu; nad innymi się nie zastanawiał. „Ale nie mógł już teraz prowadzić trybu życia pobożnego Żyda. Był na to zbyt bogaty i możny” (Sing. I, s. 246). Za swój dobrobyt starał się odwdzięczyć Bogu w inny sposób: wspierał wszystkich, którzy się do niego zwracali. Wybudował synagogę, szkoły talmudyczne dla biednych dzieci, szpital. By uniknąć ogni piekielnych, zawczasu wynajął odmawiacza modlitwy pośmiertnej i opłacił dziesięcioosobowe grono pobożnych i bogobojnych Żydów, żeby modlili się za jego duszę (Sing. I, s. 247–249). Jego dzieci, choć byłoby to najbardziej pożądane, nie mogły już tego uczynić i za to też ponosił winę. Nie był chyba jednak pewien efektu swoich zabiegów, bo czynił wszystko, by zyskać przychylność Boga.

Rozstrzyganie, czy fabrykanci-milionerzy byli w pełni zadowoleni z życia w stworzonym przez siebie luksusie, jest zabiegiem dość ryzykownym, z pewnością bowiem nie był to problem, wokół którego pisarz kreował postać lub świat przedstawiony. Poza tym na ich szczęście lub jego brak mogło wpływać bardzo wiele różnorodnych czynników, które ze stworzonym przez nich bogactwem niewiele miały wspólnego. Zarówno Szaja, jak i Bucholc – na przykład – byli ludźmi schorowanymi. Odwołu-

[13] Lęki Fliderbauma I. J. Singer przedstawił w sposób niezwykle obrazowy: „[…] dręczyły go we śnie zmory. Upiory i czarty prażyły go w ogniu piekielnym, wylewały mu wrzącą smołę na głowę i ciskały nim z jednego krańca świata na drugi. Zdejmowała go groza, oblewał go zimny pot z przerażenia i krzyczał po nocach, tak, że jego żona Elżbieta, leżąca obok niego, otulona w hafty i koronki, zapominała ze strachu o swojej wytworności i o tym, że zwykle mówiła po polsku i budziła go, wołając po żydowsku” (Sing. I, s. 248). „Przy tym wszystkim […] lękał się wciąż jeszcze żydowskiego Boga. Dobrze pamiętał, chociaż stał się taki bogaty i potężny, że całą swoją pomyślność zawdzięcza rabinowi z Kazimierza, który dał mu «na szczęście» tak skutecznego trojaka” (Sing. I, s. 246).

jemy się wszakże do świata przedstawionego i tego, co jest dostępne naszej uwadze. Zastanówmy się więc, dlaczego Hünze i Bucholc, którzy obrażają ludzi, lżą ich, poniżają, a bohater Wł. S. Reymonta nawet ich bije, są tak odrażający w swoim postępowaniu? Czy przemawia przez nich tylko prostactwo i pycha? To najprostsza i narzucająca się interpretacja. Jednakże ich zachowanie może zdradzać nie tylko brak kultury i ogłady; może skrywać też zdenerwowanie, niezadowolenie, a może i niepewność. By nie rozstrzygać arbitralnie tego problemu, zauważmy jedynie, że nie zawsze postępowanie Hünzego i Bucholca musiało być spowodowane pychą, chełpliwą dumą lub nieokrzesaniem i prymitywizmem. Nie możemy odrzucić skrywania przez nich wewnętrznych frustracji, a może nawet i odreagowania za lata trudów, niepewności, lęków przed utratą tego, co się już zdobyło. „Siła jest uniwersalnym środkiem" – pisze Erich Fromm – „dzięki użyciu którego można ukryć swoją niemoc, zaprzeczyć jej. Wrogość tego typu możemy nazwać wrogością rekompensacyjną"[14]. Hünze w prostacki sposób obrażał swoich pracowników i nie szanował ich[15]. Podwładnych obrażał też Bucholc, przypominając im, że pracują dla niego i za jego pieniądze. Swoich robotników nazywał bydłem (Reym., s. 98), a wiernego służącego – „kundlem". Lubił tylko Borowieckiego, a raczej „[...] on go szacował na całe 10 000 rubli, jakie mu płacił rocznie" (Reym., s. 20). Ale i jego lubił nękać, tym bardziej, jeśli widział, że sprawia mu przykrość; „[...] sprawiało mu to niezwykłą przyjemność, jeśli mógł męczyć kogoś i pluć w ludzkie dusze" (Reym., s. 105).

Co nie posiadało wymiernej wartości pieniężnej, Bucholc uważał za pozbawione jakiejkolwiek wartości. Podobnie traktował ludzi – im mniej im płacił, tym gorzej się z nimi obchodził. Podobny do Bucholca jest Szaja Mendelsohn. Swoje prostactwo, skąpstwo, pychę i brak obycia obnażał na każdym kroku: „A tobie, Abram, to ja zapłacę dzisiaj tylko osiemdziesiąt kopiejek, tobie się dzisiaj nie chciało, tyś symulował śpiewanie. Chciałeś oszukać mnie i Pana Boga" (Reym., s. 149) – mówi do jednego z towarzyszących mu podczas kilkugodzinnej modlitwy śpiewaków bóżniczych, wymieniając siebie przed „Panem Bogiem". To nadmierne przywiązywanie wagi do pieniędzy przez fabrykantów może być efektem pamiętania o starych czasach, gdy ciągle było ich brak; może być jednak również przejawem owej „siły skrywającej niemoc", o której mówiliśmy wcześniej.

[14] E. Fromm, *Wojna w człowieku. Psychologiczne studium istoty destrukcyjności*, przeł. P. Kuropatwiński, P. Pankiewicz, wstęp i red. nauk. P. Pankiewicz, Gdańska Inicjatywa Wydawnicza, Gdańsk 1991, s. 6.

[15] Hünze „[...] z prostacką uciechą obrażał swoich wykształconych pracowników, inżynierów, chemików, dyrektorów. Każdemu z nich, nawet najstarszemu mówił «ty», zajmował czyjeś krzesło, kazał sobie zapalić porcelanową fajkę, gdy mu wygasła, spluwał na ziemię, niemal tamtemu pod nogi" (Sing. I, s. 176).

Niekoniecznie więc musi to być tylko parweniuszowska pycha, którą zwykliśmy dostrzegać w tego typu zachowaniach.

A może buta i prostacka arogancja tych bohaterów były sposobem obrony na ataki i docinki, aż w końcu stały się jedyną widoczną stroną ich osobowości i zrosły z ich obliczem? Takie postawienie problemu nie łagodzi absolutnie negatywnej oceny bohaterów, dostarcza jednak materiału do przemyśleń nad konsekwencjami dążenia za wszelką cenę do zdobycia bogactwa. Na końcu takiej drogi zawsze pojawia sie pytanie: czy było warto? Patrząc na życie fabrykantów, nie ma wątpliwości, jaka będzie odpowiedź.

Nie ma również wątpliwości, jak interpretować problemy Fliderbauma, Müllera lub przywołanych wcześniej bohaterów *Złego miasta*. Zarówno zdradzane przez Holzbergów, Hünzów i Bucholców trwanie przy dawnej rutynie życia codziennego, dylematy religijne Fliderbauma oraz niechęć Müllerów i bohaterów prozy Z. Bartkiewicza do zamieszkania w pałacu wynikają z tego samego. Ich podłożem są nawyki, przyzwyczajenia i wartości wyniesione z domu, z najwcześniejszego okresu, które zawsze, czy człowiek tego chce, czy też nie – będą rzutować na życie dorosłe, bowiem głęboko tkwią psychice i w żaden sposób nie można się od nich uwolnić. Trzeba silnej osobowości, by tę barierę pokonać lub zatrzymać się, jak Reymontowski Müller, w swoich dążeniach na tej granicy, za którą przestaje się już właściwie istnieć, bo przestaje się kontrolować własne życie.

Twórcy przemysłowych potęg zachowali w dużym stopniu dawny sposób życia i to, co kiedyś stanowiło o sensie ich istnienia – pracę. Należałoby się jednak zastanowić, jaki charakter ma ich praca i czemu właściwie służy. O właścicielu firmy Bartkiewicz pisze: „Ten pracuje najciężej. O szóstej jest już na nogach, obiega wprowadzone w ruch maszyny, przed ósmą wypija naczynie kawy i schodzi do kantoru, gdzie liczy, podpisuje, przyjmuje interesantów, już do południa. Bez chwili odetchnienia, bez odpoczynku dla mózgu, po którym kołaczą się cyfry”. Jego pracownicy korzystają już z przynależnej im przerwy na posiłek, a on jeszcze pracuje. „Nareszcie jednak może odpocząć i on – posiadacz milionowego majątku. [...] krótki to jednak spoczynek, bo nim minie godzina, już w kantorze jest pierwszy i znów chwyta go interesów koło zębate”. Wieczorem jego robotnicy i ludzie pracujący w kantorze, radzi i w pośpiechu opuszczają miejsca pracy, snując plany na wieczór, tylko on, „[...] nieszczęśliwy niewolnik – a władca tylu setek ludzi, drżących na każde jego skinienie, idzie na wieczerzę, znużony, jedenastogodzinną pracą rozbity. Zwykle jeszcze coś w domu odrabia” (Bartk., s. 38–41). Także fabrykanci Wł. S. Reymonta i I. J. Singera spędzają całe dnie w swoich fabrykach, choć są tak bogaci, że zastępują ich ludzie odpo-

wiednio przygotowani i wykształceni. Fabryka jest jednak ich życiem i sensem istnienia. Hünze przebywał w niej całymi dniami, interesował się każdą drobnostką, zaglądał wszędzie, nawet do ksiąg buchalteryjnych, chociaż ich nie rozumiał, wszystkiego musiał i chciał osobiście dopatrzeć (Sing. I, s. 175). Podobnie wyglądało życie Reymontowskiego Bucholca. Mimo że był schorowany, najlepiej czuł się w niezdrowym powietrzu fabrycznym, czując mechaniczne drżenie budynku[16]. Niezwykłym świadectwem stosunku do pracy i fabryki odchodzącego pokolenia fabrykantów jest stary Baum. Siłą przyzwyczajenia i uporu, tak jak Hünze i Bucholc, również dużo czasu spędzał w fabryce, ale obchodził puste hale upadającego przedsiębiorstwa: „[...] zamknął się w obrębie fabryki i razem z nią umierał" (Reym., s. 426–427). Nie było w nim żalu za utraconą świetnością. On po prostu ukochał dzieło swoich rąk.

Codzienna obecność bohaterów powieściowych w fabryce jest zachowaniem bardzo typowym. Tak samo postępuje Julian Rumiński, bohater powieści W. Kosiakiewicza. Przez rok, jak twierdzi narrator, zdążył „zupełnie złodzieć". Czas dzielił tylko pomiędzy pracę a sporadyczne i niewyszukane rozrywki. Wstawał wczesnym świtem, zimą w zupełnych ciemnościach, i ostatni opuszczał fabrykę (Kosiak., s. 288). W jego przypadku jest to jednak zachowanie nieodzowne – przedsiębiorstwo Rumińskiego dopiero się rozwijało. Fabrykanci-milionerzy nie musieli codziennie zaglądać do swoich fabryk i przesiadywać w nich całymi dniami. Wydaje się jednak, że działała tu nie tylko siła przyzwyczajenia i rutyna, ale również konieczność, choć innego rodzaju niż w przypadku bohatera W. Kosiakiewicza: co innego mieliby robić, gdyby do fabryki nie poszli? Praca i fabryka zdawały się zapewniać im siłę, zdrowie i żywotność. Hünze, odsunięty od niej przez synów pod pozorem troski o jego zdrowie, zmarł szybciej, niż się tego spadkobiercy spodziewali (Sing. I, s. 215–216).

Dlaczego zatem twórcy fabrykanckich fortun nie byli szczęśliwi? Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie daje zjawisko indywidualizacji jednostki E. Fromma, czyli narastania poczucia własnej odrębności, powodujące rozluźnienie więzi i zależności z grupą:

[16] Bucholc niczym się już w fabryce nie zajmował, ponieważ prowadził ją zięć, ale „[...] wskutek przyzwyczajenia całego życia, co rano przychodził do niej z robotnikami. W fabryce jadał śniadanie i przesiadywał do południa, a po obiedzie, jeśli nie jeździł do miasta, to łaził po kantorach, składach, magazynach bawełny. Nie mógł żyć z dala od tego potężnego królestwa [...]; musiał czuć pod nogami, w sobie, te roztargane trzęsące się mury; czuł się dopiero dobrze przedzierając się przez przędzę transmisji i pasów, rozwleczoną po całej fabryce, wśród ostrych zapachów farb, blichowni, surowego materiału i smarów rozgrzanych w tym upale strasznym" (Reym., s. 20–21).

[…] jednym z aspektów narastającego procesu indywidualizacji jest wzrost poczucia własnej siły. Granice narastania indywidualizacji i wzrostu „ja” określone są częściowo warunkami indywidualnymi, ale głównie warunkami społecznymi. Chociaż bowiem różnice między jednostkami wydają się pod tym względem wielkie, każdą społeczność charakteryzuje określony poziom indywidualizacji, którego normalna jednostka nie może przekroczyć.

Drugim aspektem procesu indywidualizacji jest wzmagająca się samotność. Więź pierwotna zapewnia bezpieczeństwo i podstawową jedność ze światem zewnętrznym. […] To odseparowanie od świata, który w porównaniu z własną jednostkową egzystencją jest czymś przytłaczająco silnym i potężnym, często zaś groźnym i niebezpiecznym, rodzi uczucie niemocy i niepokoju. Dopóki człowiek stanowił integralną część świata, świadom swych możliwości samodzielnego działania i ponoszenia odpowiedzialności za nie, nie musiał żywić takich obaw. Z chwilą, kiedy sam stał się jednostką, został sam w obliczu świata z jego wszystkimi niebezpieczeństwami i przytłaczającą potęgą[17].

Osadnicy, przybywając do Łodzi, wchodzili do wspólnoty ludzi o podobnych problemach. Czuli się jednością, istnieli wśród swoich. Wszyscy inni członkowie wspólnoty odczuwali te same lęki i nawet jeśli życie było trudne, a przyszłość budziła niepokój, poczucie więzi dawało ukojenie i uspokojenie. Poprawa warunków bytu początkowo z pewnością nie zmieniała tej sytuacji, ale rosnące możliwości finansowe dawały poczucie siły i niezależności, niemniej jednak w dalszym ciągu coraz bogatsi tkacze byli częścią społeczności, w której tę siłę zdobyli. W pewnym momencie ci ludzie stawali się przedsiębiorcami i przestawali być integralną częścią świata, do którego dotąd należeli, nie było jednak innego, alternatywnego, do którego mogliby się przyłączyć. Ich udziałem stały się też problemy, z którymi, w wyniku braku doświadczenia, z trudem sobie radzili. Pozostali sami, wydani na pastwę rzeczywistości innej, obcej ich mentalności oraz nieprzychylnych im z różnych powodów ludzi. Wspomnieć również trzeba, że pierwsze pokolenie łódzkich przemysłowców należało do tych społeczności, w których jednostka ludzka nie była wartością samą w sobie i istniała tylko poprzez odniesienie do grupy oraz w relacjach z innymi jej członkami.

Samotność „świeżych milionerów” była dojmująca. Zgromadzony kapitał umożliwił im kontakty z ludźmi, o towarzystwie których dawnymi laty nie tylko nie marzyli, ale przede wszystkim – wcale nie myśleli. Fliederbaum, jak już wspomniano, czuł się wśród elit towarzyskich doskonale; pochlebiało mu poza tym, że on, wnuk arendarza, wszedł w koligacje z zamożnymi, magnackimi rodzinami (Sing. I, s. 248). Müller, choć specjalnie nie szukał z nimi kontaktu, chętnie wydałby i wyda w końcu córkę za Borowieckiego, bo ten posiada doświadczenie w prowa-

[17] E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, przeł. O. i A. Ziemilscy, przedm. E. Wnuk-Lipiński, Czytelnik, Warszawa 2001, s. 44–45.

dzeniu fabryki, ale nie bez znaczenia było jego szlacheckie i polskie pochodzenie (Reym., s. 297). Hünze, przeciwnie, wcale takich kontaktów nie chce, ale chcą ich jego dzieci, kupuje więc w końcu „próżniaków na zięciów" i sam zostaje baronem, dodając do nazwiska przydomek Schwarzwald (Sing. I, s. 200). Świat, w który weszli, jest im jednak zupełnie obcy, nawet jeśli pochlebiają parantele, które się dzięki milionom zyskało.

Łódzcy milionerzy nie posiadają przyjaciół. Oceniają innych przez pryzmat ich i swoich pieniędzy; ich ocenia się w ten sam sposób. Nie mogą nawiązać bliskich więzi z tymi, którzy niegdyś, tak jak oni, dorobili się, ponieważ nieustannie z nimi konkurują i prześcigają w widomych oznakach swojego bogactwa, choćby dla samej tylko uciechy i zdenerwowania konkurenta[18]. Hünze przez tę konkurencję stracił dużo pieniędzy, ale wściekłość przeciwnika była mu wynagrodzeniem poniesionych kosztów. Podobne uczucia targają Müllerem, który gardzi Endelmanami (Reym., s. 290). Szaja nienawidzi Bucholca, z którym bezustannie współzawodniczy o palmę pierwszeństwa w Łodzi i poza jej granicami[19]. Na

[18] Hünze bezustannie konkuruje z Fliderbaumem: „Niedaleko od siebie znajdowały się fabryki [...] Niemca Hünzego i Żyda Fliederbauma. Były to dwie największe fabryki w mieście. Także ich pałace były najpiękniejsze w Łodzi. Ale między oboma panowała nieustanna wojna. [...] kiedy Hünze prześcignął Fliederbauma w interesach, Fliederbaum prześcignął Hünzego we wspaniałości i wielkopańskim trybie życia. Wprawdzie [Fliederbaum] nie mógł uzyskać tytułu barona tak jak Hünze. [...] Ale order św. Anny dostał jednak za swoje wielkie zasługi dla rosyjskiego przemysłu. [...] Także jego fabryka otrzymała liczne złote, srebrne i brązowe medale. [...] Wszystko to wzbudzało zawiść starego Hünzego. Ale Fliederbaumowi to jeszcze nie wystarczało. Starał się, by od czasu do czasu było o nim głośno w Łodzi, zarówno dla własnej przyjemności, jak i dla wzbudzenia zazdrości Hünzego" (Sing. I, s. 244–245). Wcześniej Hünze współzawodniczył ze swoim obecnym wspólnikiem Goetzkem. „Stracił dużo pieniędzy, bardzo dużo, aby tylko tego Schweinskerl [Świntucha] usunąć z rynku. [...] nie może ścierpieć, że takie nic, taki zwyczajny czeladnik tkacki, naśladuje we wszystkim swego byłego pracodawcę" (Sing. I, s. 34–35).

[19] „[...] ja Bucholcowi i wszystkiemu, co jest jego" – złorzeczy Szaja – „życzę wszystkich nieszczęść. Niech on zbankrutuje i pójdzie służyć. Ja przez tego złodzieja, przez tego Szwaba, co on do Polski psami przyjechał i na nas zrobił pieniądze, niech on zmarnieje do dziesiątego pokolenia, ja przez niego chory jestem ciągle, mnie serce boli, on mnie ciągle okrada" (Reym., s. 150). Dodać należy, że za owym „okradaniem" kryje się jedynie konkurencja – lepsze gatunkowo towary fabryki Bucholca powodowały obniżenie zbytu towarów Szai, z tego też powodu jego dochody były mniejsze niż się spodziewał, co dla fabrykanta było równoznaczne z kradzieżą. Szaja nienawidził Bucholca „[...] całą potęgą żydowskiego fanatyzmu" (Reym., s. 151). „[...] zawsze bywał tam, gdzie przypuszczał, iż będzie Bucholc, jego największy współzawodnik w królestwie bawełny, największy fabrykant łódzki i do tego osobisty nieprzyjaciel" (Reym., s. 47). Jednak „Bucholc zawsze był większym [...]. Bucholc wciąż był pierwszym, z nim liczyła się opinia kraju, jego słowo równało się monecie brzęczącej, u niego szukano rady i inicjatywy [...], jego towary miały

ironię zakrawać więc może, że i Bucholc nienawidzi Szai, tym bardziej że jest bardzo chory. Żydowski fabrykant bezustannie zaprząta jego myśli. Ale na ich wzajemnej nienawiści się nie kończy. „Szai [...] nie cierpiała cała nieżydowska Łódź” (Reym., s. 47). Nienawiść otacza także Bucholca. Otrzymuje listy z pogróżkami i wyzwiskami. Cieszą go one i są dla niego rozrywką. Dla obu – Szai i Bucholca – najwyraźniej ta okazywana im anonimowo niechęć i nienawiść jest jeszcze jednym, wymiernym dowodem ich bogactwa. Zabawna nawet mogłaby być ta nienawiść pomiędzy fabrykantami, gdyby nie jej koszty. Ileż energii, sił, zdrowia i pieniędzy ona pochłaniała! A co dawała w zamian? Chwilowe zadowolenie, że zdenerwowało się przeciwnika?

Zewsząd zatem starych potentatów przemysłowych otacza nienawiść, zawiść, zazdrość i pogarda. Te uczucia bezustannie im towarzyszą w kontaktach z innymi. Dodać do nich należy jeszcze strach robotników. Hünze „[...] wpadł wieczorem do piwiarni, przysiadł się do stolika, zajętego przez starych tkaczy i kazał sobie podać piwa. Starzy tkacze tak się przerazili, że nie mogli wydobyć z bezzębnych ust grzecznego «prosit». Oniemieli ze strachu” (Sing. I, s. 182). Bogatych fabrykantów bali się zapewne nie tylko starzy tkacze i ludzie, których byt uzależniony był od ich kaprysów i woli[20]; często strach kryje się przecież za nienawiścią. W fabryce, gdy tylko Bucholc ukazywał się w zasięgu wzroku robotników, zamierały głośne rozmowy, śmiechy i żarty, które unosiły się powietrzu. Wszyscy cichli i słychać było tylko szum maszyn (Reym., s. 332–333).

Prawdziwe uczucia w obliczu fabrykantów skrywali nie tylko robotnicy. Podczas wizyty u Bucholca „Borowiecki, zaprawiony już dobrze w tej serwilistycznej subordynacji wobec milionerów, nie śmiał nic mówić [...]” (Reym., s. 97). Ten strach spowodował, że Bucholc umierał w samotności, bez współczucia i pomocy. Kiedy niemoc powaliła go na ziemię, robotnicy byli zbyt wystraszeni, by dotknąć „drgającego jeszcze trupa” (Reym., s. 334). Ten strach spowodował również, że w Łodzi nikt nie odczuwał żalu po śmierci fabrykanta (Reym., s. 337–345). Stach Wilczek skwitował

najlepszą markę, jego otaczał pewien szacunek, gdy tymczasem Szaję nawet równi mu szwindlami obrzucali pogardą i nienawiścią. Szaja nie mógł tego rozumieć, zdawało mu się, że Bucholc obdziera go nie tylko z pieniędzy, ale ze wszystkiego, czego pragnął dla siebie, obdziera go z zaszczytu panowania nad tym morzem kominów” (Reym., s. 153).

[20] Hünze wiedział i czuł całym sobą, że „[...] od jego woli wyłącznie zależy, czy fabryka ma działać dniem i nocą, tak żeby robotnicy pracowali do zupełnego wyczerpania, ale za to żeby zarobili przez tydzień o całego rubla więcej, a ich żony mogły krasić zupę nie olejem, ale prawdziwym wieprzowym smalcem. I od niego tylko zależy zatrzymanie fabryki na tak długo, jak mu się tylko zechce, żeby robotnicy chodzili z wyschniętymi językami w gębach, a kobiety sprzedawały swoje ciała za trochę kartofli lub bochenek chleba” (Sing. I, s. 34).

prostacko to, co czuli inni: „Wesoła parada – mieć tyle milionów i zdychać!" (Reym., s. 345).

Samotność to pierwsza konsekwencja Frommowskiej indywidualizacji jednostki; drugą jest przeobrażenie systemu wartości, która dodatkowo podkreśla tragizm egzystencji w zmienionych warunkach. Max Scheler stwierdza, że rozwój nowożytnej mentalności kupieckiej i przemysłowej spowodował wypaczenie hierarchii aksjologicznej[21]. Wypaczenie ocen przejawiało się w tym, że wartości przedmiotów, które umożliwiły sukces, zostały wywyższone jako wartości moralne powszechnie obowiązujące.

> Rozwaga, umiejętność szybkiej akomodacji, zmysł kalkulacji, zmysł „asekuracji" w życiu oraz nawiązywanie na wszystkie strony kontaktów czy też cechy, które są w stanie stworzyć te warunki, przeświadczenie, iż wszelkie okoliczności dają się obliczyć, uznanie dla pracy wytrwałej i pilnej, dla oszczędności i skrupulatnego zawierania i dotrzymywania umów [...]

stały się cnotami kardynalnymi, którym podporządkowano:

> odwagę, waleczność, ofiarność, radość z ryzyka, szlachetność, żywotność, zdobywczość, obojętne traktowanie dóbr materialnych, miłość ojczyzny oraz wierność rodzinie, plemieniu i władzy, siłę, która pozwala panować i rządzić, pokorę, itd.[22]

Zmiany te, jak zauważa M. Scheler, poszły jeszcze dalej, w kierunku przekształcenia pojęć, mimo że nazwa pozostała ta sama. Dla łódzkich potentatów przemysłowych nowa sytuacja ujawniła swoją siłę w dwójnasób: była nie tylko obca, ale też dopiero zaczęła się kształtować. „Uznanie skrupulatnego zawierania i dotrzymywania umów" w Łodzi jeszcze nie istniało, co dodatkowo musiało wzmagać czujność, lęki i brak zaufania w kontaktach międzyludzkich „świeżych" milionerów.

Wypaczenie systemu aksjologicznego łódzkich fabrykantów ukazuje zmiana ich stosunku do pracy i ludzi. Przyjechali do Łodzi w poszukiwaniu lepszego jutra. Gdzieś jednak zagubili istotny cel swoich pierwotnych dążeń. W pewnym momencie, którego zapewne nawet nie zauważyli, celem ich działalności stało się już tylko pomnażanie ciągle rosnącego dobytku. Na uwagę Borowieckiego, że interesom Müllera nawet najgorsza koniunktura nie może zagrozić, ten odpowiada: „*Ja!* Ale co się straci dzisiaj, tego już i najlepszy sezon nie powróci" (Reym., s. 290), jakby od tego jednego, niekorzystnego dla przedsiębiorstwa roku, zależało życie na

[21] M. Scheler, *Mentalność przemysłowa i kupiecka a wypaczenie hierarchii wartości*, przeł. J. Garewicz, [w:] *Wartości: etyka i estetyka*..., s. 336.

[22] Tamże, s. 337.

dotychczasowym poziomie lub utrata wszystkiego, co się już zdobyło. Wraz ze zmianą celu ich pracy, niezauważalnie nastąpiła również zmiana wyznawanego przez nich systemu wartości. W dalszym ciągu najważniejsza dla fabrykantów była praca, ale tylko ta, która pomnażała miliony. W związku z tym, w swoisty sposób zaczęli cenić ludzi; uwagi wart był tylko ten, kto je posiadał; innych można było kupić, dlatego też, choćby byli niezbędni, nie było potrzeby ich szanowania.

Omówiliśmy ukazany w literaturze wpływ na fabrykantów nowej sytuacji życiowej. Zastanówmy się, co ona zmieniła w życiu ich żon. Czy były zadowolone z pozycji męża i swojej? Okazuje się, że żony „świeżych” milionerów zupełnie nie mogły się do niej przystosować. Przyzwyczajone do ciężkiej pracy od świtu do nocy, pozbawione nagle tego, co było sensem ich istnienia, zostały głęboko unieszczęśliwione. To, za czym na pewno niegdyś tęskniły, zmęczone bezustanną krzątaniną domową, dreptaniem wokół małych, ale ważnych spraw, opieką nad dziećmi i pracą wraz z mężem przy warsztacie tkackim, stało się ich przekleństwem, bo przecież kiedyś i odpoczynek wypełniała im praca. „Zahukana starowina” – mówi narrator o Hünzowej – „prostoduszna, niezręczna, nie wiedziała nawet, jak się obchodzić ze służącymi i lokajami [...] czuła się obco i nieszczęśliwie w swoim wielkim pałacu, do którego nie mogła się przyzwyczaić. Tęskniła za tymi czasami, gdy siedziała przy kołowrotku, gdy gotowała wielkie gary jadła dla męża i czeladników, gdy gawędziła z sąsiadkami o gospodarstwie, o dzieciach i kobiecych sprawach” (Sing. I, s. 182). Najlepiej jeszcze czuła się, „[...] gdy zostali sami z mężem w domu, gdy stary nabił sobie fajkę, jak za dawnych czasów, zrzucił z siebie surdut i mówił do niej po staremu, po saksońsku, podczas gdy ona robiła na drucie pończochę” (Sing. I, s. 182).

Do nowego życia nie może również przywyknąć żona Müllera. Podobnie jak Hünzowa, najlepiej czuła się w kuchni, cerując lub robiąc na drutach (Reym., s. 286). Chorującą Baumową widzimy podczas odwiedzin Borowieckiego, kiedy siedzi na łóżku otoczona stosem poduszek i trzyma w ręku pończochę; „chociaż jej nie robiła i uśmiechała się jakimś smutnym, rozdzierającym uśmiechem” (Reym., s. 425). Także i Bucholcowa nie rozstaje się z drutami (Reym., s. 95). Kilkakrotnie też narrator informuje o jej cielesnej jedynie obecności: „uśmiechała się niby maska woskowa bladymi ustami, spoglądała martwym wzrokiem” (Reym., s. 107).

Ową, nikomu już niepotrzebną w nowym życiu, pończochę uznać możemy za alegorię dawnej skrzętności, zapobiegliwości oraz trwającej nieprzerwanie pracowitości tych kobiet. Müllerowa, zamiast służącej, otwiera drzwi Borowieckiemu „i nieomal chciała pomagać przy zdejmowaniu palta” (Reym., s. 286). Bohaterka Bartkiewicza „skwapliwie” podsuwa mężowi pantofle domowe (Bartk., s. 41); w ten sposób zawsze

okazywała mu szacunek i miłość. Tak zresztą była wychowana, by służyć i pomagać mężczyźnie. Bucholcowa, gdy służący ustawił jej męża przy stole, pocałowała go w głowę, a następnie podała mu swoją rękę do ucałowania (Reym., s. 105). Kiedy obiad się skończył, ceremonia została powtórzona (Reym., s. 108). Ta wymiana grzeczności czy też uprzejmości jest mechaniczna, nie zdradza uczucia; jest tylko rytuałem, za którym nic się nie kryje.

Nic tych kobiet nie wiąże z nowym życiem. Wcześniej zapewne cieszył je mężowski sukces, radowała łatwiejsza egzystencja. Teraz nie potrafią lub nie chcą nawet zaspokoić zwykłej kobiecej próżności. Nie dziwi, że „[...] przykro pani w gorsecie [...]" (Bartk., s. 39), ale Müllerowa, witając Borowieckiego, okręcona jest w niebieski fartuch (Reym., s. 286), jakim zapewne zawsze wcześniej ochraniała ubranie przed zabrudzeniem, poza tym „[...] miała na sobie jakiś barchanowy w kratkę kaftan i chustkę wełnianą na głowie, zawiązaną pod brodą" (Reym., s. 286). Holzbergowa, jak wcześniej wspomniano, chodziła po domu w przydeptanych pantoflach i połatanej sukience. Żonom milionerów trudno też odwyknąć od codziennych czynności. Bohaterka Bartkiewicza „[...] smakowity sos powidłowy do wieprzowiny przyrządza, lub napełnia knedle śliwkami". W chwilę później zdejmuje z rąk markizy, zanurza ramiona w mydlanej pianie i, wzdychając z ulgą: „So-o! To dobrze robi... – odpoczywa przy praniu" (Bartk., s. 40). Hünzowa tęskniła za ciężką pracą. Müllerowa zaś wyglądała jak stara kucharka i nawet jakieś kuchenne zapachy ją otaczały (Reym., s. 286). Wydaje się, że Bucholcową z życiem wiąże jedynie dzierganie tej niepotrzebnej nikomu pończochy. Żony fabrykantów pracują, choć nie muszą tego robić. Nie potrafią wszakże robić niczego innego.

Wszystko, co było dla nich zrozumiałe, pozostało w starym życiu, od którego nie potrafiły i nie chciały się oderwać. Z nowym nic ich nie wiązało – nie umiały nawet porozumieć się z ludźmi, z którymi ich mężowie swobodnie i bez skrępowania rozmawiali. Müllerowa, gdy zobaczyła Borowieckiego, „była tak zakłopotana i onieśmielona, że tylko ruchem ręki zaprosiła go do pokoju" (Reym., s. 286). Uprzejme starania gościa, by nawiązać z nią rozmowę, nie dały rezultatu, choć mówił o sprawach najzwyklejszych: o pogodzie, wiośnie, drożyźnie na targach (Reym., s. 286). Bucholcowa pierwsza pozdrowiła Borowieckiego, gdy wszedł do pokoju i „wyciągnęła do niego rękę jakimś automatycznym ruchem" (Reym., s. 95). Hünzowa, jak już wspomniano, nie potrafiła nawet rozmawiać ze służbą.

Do tego wszystkiego żony milionerów były jeszcze bardziej samotne niż ich mężowie. Starych przyjaźni nie można było prowadzić, przed nowymi paraliżował strach, męża, wiecznie zajętego interesami, nigdy nie

było w domu. Nie było w domu też dzieci, a nawet jeśli były, to zajęte swoimi, niezrozumiałymi już dla matki sprawami. Hünzowa bała się nawet własnych dzieci, które „[...] mściły się na matce za wszystko, czego nie mogły wymóc na ojcu [...]”. Unikały jej, nie chciały z nią rozmawiać, czuła się onieśmielona ich „pańską wyniosłością” (Sing. I, s. 182–183).

Na nową sytuację żon fabrykantów należy spojrzeć jeszcze z innej perspektywy. Dawniej praca tych kobiet miała nie tylko ogromne znaczenie dla domu, ale też zrównywała je z mężem. Posiadały władzę, jakiej pozbawione były nawet kobiety z elit społecznych, jeśli nie rozporządzały własnym majątkiem. Bez pomocy żony chłop, rzemieślnik lub mężczyzna, którego podstawę utrzymania stanowiła praca, nie byłby w stanie zapewnić bytu rodzinie. Żona, mimo własnych obowiązków, często też pomagała mu w pracy. Mężczyzna wiedział o tym i ją za to szanował. Siłą przyzwyczajenia szanował ją zapewne dalej, w zmienionej sytuacji życiowej, o czym świadczą wieczorne rozmowy Hünzów lub stała obecność żony przy boku Müllera. Już jednak „obstalowanie wyprawy” dla Pifkowej przez jej męża lub odebranie jej wychowania córki świadczą, że zmiana sytuacji życiowej mogła bardzo wpłynąć na stosunki w rodzinach fabrykanckich. Żona przestała być niezbędna. Mogła stać się balastem, a nawet ośmieszać męża. Kobiety z pewnością odczuły nową sytuację życiową boleśnie, nawet jeśli mąż nadal darzył je szacunkiem. Czuły się zbędne, odarte z wartości, niepotrzebne. Świadczy o tym postawa melancholii i wycofania u Baumowej, nie tylko szanowanej, ale też kochanej przez męża i dzieci, oraz u Bucholcowej. W tej sytuacji pozbawiony głębszych treści rytuał przy stole Bucholców przestaje dziwić. Pozostała tylko forma, która w nowym życiu jest zupełnie pusta. Nawet jeśli Bucholc nadal darzy partnerkę szacunkiem, ona sama może czuć się pozbawiona tego znaczenia, które kiedyś posiadała[23].

Przejdźmy teraz do sytuacji dzieci w rodzinach dorobkiewiczów. Nie poznajemy dzieci Bucholca, Reymont ukazuje tylko Knolla, jego zięcia, który „był największym po teściu dorobkiewiczem”, człowiekiem wykształconym przyjemnym w obcowaniu, ale też nieubłaganym, bezwzględnie wyzyskującym pracę ludzi i wpływy, jakie wszędzie posiadał (Reym., s. 54). Równie bezwzględne, nawet wobec własnych rodziców, są

[23] Nieco inaczej postaci Bucholcowej, Baumowej i Müllerowej interpretuje K. Kołodziej: „Niemki są piastunkami domowego ogniska, doskonałymi gospodyniami, obowiązkowymi matkami i żonami; wolne chwile poświęcają robótkom ręcznym. Ciche, spolegliwe, stanowią podporę mężów pochłoniętych zdobywaniem majątków; ufają w trafność ich decyzji”. Zob. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie pozytywistyczno-młodopolskim*, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2009, s. 77–78. Spostrzeżenie autorki jest niewątpliwie trafne, wszystkie te postaci charakteryzuje jednak również cecha rezygnacji, przygnębienia i wycofania, co podkreśla jeszcze brak dbałości o własną powierzchowność.

dzieci Hünzów. Ich roszczenia powodują nieustanne kłótnie w pałacu (Sing. I, s. 175). „Jungens i Maedels", jak dzieci nazywała Hünzowa, wstydzą się swojego nazwiska, które w Łodzi brzmi pięknie, ale w świecie jest kompromitujące, Hünze bowiem znaczy tyle, co „kundel". Dlatego „Maedels" szybko powychodziły za mąż za baronów. Zyskały piękne nazwiska, z pewnością jednak nie poprawiły one ich sytuacji życiowej[24]. Synowie zaś nie ustawali w wymuszaniu na ojcu kupna tytułu barona, aż w końcu dopięli swego.

Podobne jak u I. J. Singera, mariaże fabrykanckich córek znajdziemy też u Wł. S. Reymonta: Grosglik wydał swoją córkę „za jakieś nadgryzione mocno rozpustą hrabiątko, które musiał wciąż leczyć i utrzymywać" (Reym., s. 658). Jedynymi bodaj wyjątkami wśród dzieci łódzkich milionerów są Mada Müller i Mela Grünspan. Jakkolwiek różnią się pochodzeniem, wykształceniem i potrzebami duchowymi, zachowały niespaczone milionami charaktery, wdzięk i radość życia. Bo fabrykanckie pociechy nudzą się w swoich pałacach, a nudząc się, mimo ogromnych możliwości, potrafią wymyślać jedynie prostackie albo dwuznaczne rozrywki (Reym., s. 140–147).

Nuda jest chorobą bogaczów – stwierdza Wysocki. – Ty, Mela, nudzisz się. Róża się nudzi, Toni się nudzi, Fela się nudzi, no i z wami nudzą się te dwa bałwany [Wilhelm Müller i Bernard Endelman], a poza wami połowa córek i żon milionerów nudzi się. Wszystko was nudzi, bo wszystko mieć możecie, co kupić można. Was nic nie obchodzi, chcecie się tylko bawić, a najszaleńsza zabawa kończy się również nudą (Reym., s. 147).

Tłumaczenie dyskomfortu życiowego fabrykanckich pociech tylko wstydem z pochodzenia rodziców lub nudą powodowaną możliwością zaspokojenia wszelkich potrzeb, co prowadzić miało do braku jakichkolwiek dążeń, jest uproszczeniem. U podstaw nagannych zachowań dzieci fabrykantów tkwi rozchwianie wyznawanego przez nie systemu wartości.

Cechą konstytutywną wartości – pisze Kazimierz Denek – jest ich hierarchiczność. Do wymiaru ich porządku służą wysokość i moc wartości. Wysokość ich wyraża się w pozytywnej odpowiedzi emocjonalnej na ich urzeczywistnienie (aprobacie, uznaniu, szacunku, podziwie, zachwycie). Moc wartości ujawnia negatywną, uczciwą reakcję na wykroczenie przeciw wartościom. Mocnymi są te wartości, które mają podstawowe

[24] „Starsza Elza" – opowiada narrator – „przywiozła swego barona z zagranicy. Był to wysoki i już dość leciwy pan [...]. Równie długie jak jego wzrost było nazwisko. [...] Jeszcze większe niż jego nazwisko były jego długi" (Sing. I, s. 179). „Druga córka, Gertruda, wzięła sobie [...] młodego oficera, chwackiego chłopa z huzarskimi wąsami [...]. Ale i ten zaraz po ślubie zaczął pić, hulać, grać w karty i raz po raz żądał nowych sum od teścia [...]. Toteż obie siostry przesiadywały teraz w ojcowskim pałacu częściej niż za swoich panieńskich czasów", by wymóc na ojcu potrzebne kwoty. „*Jungens* zaś [...] nie przestawali nastawać na ojca, żeby ni mniej ni więcej, tylko został baronem" (Sing. I, s. 179–180).

znaczenie dla życia, zdrowia i bezpieczeństwa człowieka. Zalicza się też do nich wartości moralne. Wartości wysokie to osobiste „cnoty zdobiące” człowieka.

Jedną z pejoratywnych czynności aksjologicznych jest pomylenie, nierozróżnienie lub świadome przestawienie hierarchicznego ich porządku. Tworzą je wartości: hedonistyczne, użytkowe, witalne, duchowe, religijne. Te pięć hierarchicznych modalności wyznacza wertykalny system wartości. Mylne umieszczenie którejś z tych wartości za wysoko lub zbyt nisko wśród innych wprowadza aberrację w systemie. Pominięcie każdej modalności stanowi wykroczenie aksjologiczne[25].

Analiza zachowań młodych ludzi wzrastających w omawianych rodzinach prowadzi do wniosku, że wyznawany przez nich system wartości nie odtwarza hierarchicznego ich uporządkowania; jest on zakłócony i zupełnie odwrócony, a co za tym idzie, żadna z wartości w tym systemie nie znajduje się na swoim miejscu. Za najważniejsze młodzi ludzie zdają się uznawać wartości hedonistyczne i bezustannie dążą do zaspokajania swoich pragnień. Przychodzi im to bez trudu, ale nie daje zadowolenia. Biorąc pod uwagę omówione wyżej zaburzenia światopoglądu obojga rodziców, a także nieograniczone możliwości, jakie dawała wypracowana przez ojca fortuna, nie można się dziwić bezustannym i nieograniczonym żądaniom młodych Hünzów, dążeniom ich sióstr lub nudzie towarzyskiego kółka Róży Mendelsohn. Nikt młodych ludzi nie nauczył, że „nieograniczone zaspokajanie wszelkich pragnień nie sprzyja s z c z ę ś l i w o ś c i, nie stanowi drogi do szczęścia, czy choćby maksymalizacji przyjemności”[26]. Warto jednak zauważyć, że destrukcyjny wpływ wywiera również sama Łódź i jej atmosfera przepełniona supremacją pieniądza, co dokładniej ukaże przeprowadzona dalej analiza wchodzącego w życie pokolenia kandydatów na milionerów.

Podsumujmy dotychczasowe rozważania poświęcone odchodzącemu pokoleniu przemysłowców. Obraz dorobkiewiczów i ich rodzin jest u Bartkiewicza utkany z jawną ironią; u Singera i Reymonta skrywa się ona za realistyczną relacją świata przedstawionego, bądź też wynika z samej tylko narracji. Bo też i groteskowy, wywołujący uśmiech pogardy lub pobłażania (za którym kryje się przecież lekceważenie) jest obraz rozpieranych pychą nuworyszy nieradzących sobie z sytuacją, którą sami stworzyli. Rozbawienie budzi Müller oprowadzający Borowieckiego po swojej „nowej chałupie, w pantoflach kłapiących drewnianymi podeszwami i w barchanowym, podwatowanym i mocno zatłuszczonym

[25] K. Denek, *Wartości jako źródło edukacji*, [w:] K. Denek, U. Morszczyńska, W. Morszczyński, S. C. Michałowski, *Dziecko w świecie wartości*, cz. 1: *Aksjologiczne barwy dziecięcego świata*, seria: „Nauczyciele – Nauczycielom”, t. XIV, Oficyna Wyd. Impuls, Kraków 2003, s. 22.

[26] E. Fromm, *Mieć czy być*, przeł. J. Karłowski, wstęp M. Chałubiński, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1995, s. 37.

kaftanie", kiedy wyciąga z kieszeni zatłuszczonych i powypychanych spodni garść zmiętych i pokruszonych cygar (Reym., s. 290–291). Śmieszy też, kiedy z pogardą mówi o innych. Politowanie budzi wielkopański Fliederbaum ze swoimi zmorami nocnymi, instynktami i poziomem umysłowym człowieka prostego. Takież same uczucia, a czasem i odrazę, wywołuje Hünze, który z prostacką uciechą obraża podwładnych, rządzi setkami ludzi i ich terroryzuje, a nie radzi sobie z własnymi dziećmi.

Widzimy wszakże i zwracamy uwagę na jedną tylko, widoczną stronę życia fabrykantów; zauważamy ich prostactwo, głupotę i pychę na tle milionów. Nie myślimy o tym (bo też i nie było to celem utworów pisarzy z przełomu wieków), że za tym wszystkim kryje się jednak tragedia zniszczonego, zmarnowanego, zaprzepaszczonego życia. Bohaterowie miotają się, nie znajdując przyczyn swoich problemów, bo przecież przy takim bogactwie, nie tylko w ich mniemaniu, życie powinno się toczyć bez kłopotów i trudności. W najlepszym wypadku spotykają ich drobne, a jednak częste i bolesne nieprzyjemności: ktoś przypomni ubogą przeszłość, wypomni pochodzenie, celowo i złośliwie nazwie Rojzą zamiast Różą. A o tym wszystkimi chciałoby się koniecznie zapomnieć. Niedługo przed śmiercią chory już Hünze chce spalić fabrykę, która wypełniała całe jego życie; krzyczy: „[...] nie chcę po sobie nic zostawić. Niech wszystko idzie z dymem" (Sing. I, s. 217). Dlaczego? Czy tylko po to, by ukarać synów, którzy go ubezwłasnowolnili? Przecież w szale, a bywał nieobliczalny, mógł rzucić się na nich, a nie na to, co było jego prawdziwą miłością.

Przejdźmy teraz do omówienia drugiej wyodrębnionej przez nas grupy ludzi – tych, którzy dobrobyt w Łodzi chcą dopiero osiągnąć. Łódzka młodzież, widząc tylko jasną stronę życia odchodzącego pokolenia – bogactwo oraz wolność i swobodę, które ono daje, za wszelką cenę dąży do zdobycia takiego samego lub porównywalnego majątku. Nie posiada przy tym jednak takiej, jak tamto pokolenie, cierpliwości. Borowiecki

nie pamiętał, że Müllerowskie gmachy rosły przez lat trzydzieści, że pawilon wznosił się po pawilonie, że lata całe składały się na te potężne, hucące pracą mury; nie, on pragnął mieć od razu podobną fabrykę. [...] Chciał stanąć prędko i mocno, chciał obracać milionami, czuć się otoczonym setkami maszyn, tysiącami robotników [...], hukiem i siłą wielkiego przemysłu, do którego się przyzwyczaił u Bucholca (Reym., s. 608).

Młodsze pokolenie przyszłych milionerów reprezentują u Wł. S. Reymonta trzej przyjaciele: Karol Borowiecki, Maks Baum i Moryc Welt oraz Stach Wilczek, zaś u I. J. Singera – tytułowi bracia powieści oraz młodzi Hünzowie. Są różnej narodowości, pochodzą z różnych środowisk, różne też były ich doświadczenia z działalnością przemysłową i obcowaniem z potęgą pieniądza. Moryc Welt i bracia Aszkenazy to Żydzi wywodzący

się z dość dobrze sytuowanych rodzin. Nigdy nie zaznali biedy i nie doświadczyli związanych z nią poniżających przeżyć, jakich może dostarczyć życie w skrajnym ubóstwie. Karol Borowiecki i Stach Wilczek są pochodzącymi z różnych warstw społecznych Polakami. Trudno tu dokonać porównania pomiędzy ich stanem posiadania i przygotowaniem do życia, zupełnie inne możliwości ścielą się bowiem przed wykształconym szlachcicem, choćby ubogim, a inne przed młodym człowiekiem z nizin i „bez przeszłości”, choćby znajdował się pod patronatem samego księdza proboszcza. Wypada jednak stwierdzić, że obaj, chociaż nie byli bogaci (trudno jednak i tu dokonywać porównań), nie byli również ludźmi pozbawionymi przez biedę widoków na przyszłość. Maks Baum oraz młodzi Hünzowie są Niemcami urodzonymi w bogatych rodzinach przemysłowych. Ich drogi jednak, na skutek odmiennych losów rodzin, nigdy nie mogłyby się zetknąć, poza przypadkowym przecięciem. Baumowie schodzili bowiem z fabrycznej areny Łodzi na skutek mechanizacji przemysłu włókienniczego, Hünzowie zaś pięli się w górę i wydawało się, że nic nie może stanąć na ich drodze i zaszkodzić przemysłowej potędze. Młodzi Hünzowie jednak, jakkolwiek niczego im nie brakowało i trwonili majątek ojca bez umiaru, nie byli jego właścicielami. Zawładnąwszy nim, przestali interesować się fabryką i to, co wydawało się nieprawdopodobne, po kilkunastu latach stało się faktem – przestali być „fabrykantami”. Ich drogę do fabryki, czyli spadku, cechowała jednak podobna determinacja, jak pozostałych wymienionych tu bohaterów. Zabrakło im jednak poświęcenia i pracowitości – podstawowych cech, które starym fabrykantom umożliwiły zdobycie majątków, a dla młodzieży bez odpowiednich funduszy były absolutnie niezbędnym kapitałem.

„Borowiecki był chemikiem-kolorystą, Baum tkaczem i przędzalnikiem, a Welt skończył kursa handlowe” (Reym., s. 110). Moryc Welt wszystkie swoje myśli kieruje ku pieniądzom i na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy[27]. Bezustannie rozważa, jak zdobyć miliony, a od chwili zawiązania spółki z przyjaciółmi – jak ich oszukać[28]. Myśl ta nie opuszcza go do chwili spalenia się ich wspólnej fabryki.

[27] „Karol” – pyta Welt Borowieckiego – „ile może być dzisiaj milionów w teatrze?” (Reym., s. 42). Stwierdza: „Przecież stać ją [Szajównę, mającą na sobie cały magazyn jubilerski] na dwa sklepy jubilerskie” (Reym., s. 48). „Cudne miasto, ale co ja na tym zarobię – myślał drwiąco […]” (Reym., s. 117). Mówiąc o przyjaźni z Borowieckim, stwierdza: „Karol, ty się nie śmiej, ale ja ci powiem, iż twoją przyjaźń mógłbym obliczyć na ruble, bo ja przez nią, przez to, że razem mieszkamy, mam więcej kredytu o jakie dwadzieścia tysięcy rubli” (Reym., s. 81).

[28] „Odstąpcie mi ten interes” – mówi Moryc już na samym początku do Karola i Maksa – „Ja wam dam po pięć, no po dziesięć tysięcy odstępnego, niech stracę, i to gotówką, *bares geld*, za parę godzin” (Reym., s. 83).

Maurycy Welt za bardzo był łódzkim „Gründerem", żeby mógł mieć jakie takie wahania sumienia, przeszkadzające mu zrobić dobry interes chociażby na skórze przyjaciół, jeśli ten interes sam mu wszedł w ręce. [...] Moryc myślał właśnie, jak by zarobić na spółce i jak by zarobić bez spółki: Kupić na wspólne konto co bądź, tylko dla zamydlenia oczów, a kupować, co się da, na swoje własne konto [...] (Reym., s. 117).

Jest bezwzględny w swoim postępowaniu. Borowiecki, pokazując Morycowi różnicę między nim a sobą, stwierdza, że on (Borowiecki) chce zarobić miliony, ale dla niego świat nie kończy się na milionach, natomiast Welt cel swojego życia widzi tylko w zrobieniu pieniędzy: „Kochasz pieniądze dla pieniędzy i zdobywasz je z bezwzględnością, nie oglądając się na środki" (Reym., s. 81).

Bezwzględny w swoim postępowaniu jest również Borowiecki, jakkolwiek kilkakrotnie znajdujemy w powieści uwagę, że powracały do niego czasem dawne ideały i nie ze wszystkim się ich wyzbył. Taki odruch uczciwości, na przykład, poruszyła w nim porzucona kochanka (Reym., s. 27). Potwierdza to również charakterystyka Borowieckiego dokonana przez Moryca. Stwierdza on, że Karol jest typowym lodzermenschem – człowiekiem bezwzględnym, ale czyni czasami coś tak dziwnego, czego zrozumieć nie można, i nazywa to „ideowymi bzikami"[29]. W innym miejscu narrator jakby wyjaśnia przyczyny tych „ideowych bzików":

Wyrzucał stale z budżetu swojego życia wszystko, co tylko nosiło ślad jakiegokolwiek uczucia, porywu bezwiednego, interesu ogólniejszej natury – wszystko, co mogło przeszkodzić mu do zrobienia majątku i do spokojnego nasycania się życiem. Spekulował na zimno, uwodził kobiety na zimno, bo wypadały mu taniej niż płatne kochanki, żenił się prawie na zimno, wszystko obliczał i tak się trenował dobrze, że chwilami czuł, że jest nowym, innym człowiekiem, że wyniesione z domu, ze szkół, ze społeczeństwa popędy, aspiracje i wierzenia – zgasły w nim zupełnie. [...] Patrzał teraz z trwogą, że jednak nie zdołał utopić całej duszy w interesach, w fabryce, w takiej ściśle egoistycznej egzystencji, że duszę ma pełną tych mar, które się zbudziły i potężniejsze niż dawniej dopominały się o swoje prawa (Reym., s. 269).

Było to jednak tylko chwilowe przebudzenie się świadomie odrzucanych ideałów przeszłości. Znamienne, że Borowieckim bardziej wstrząsnął ich powrót niż to, co je wywołało.

[29] Borowiecki, stwierdza: Welt „[...] to jest dziwny człowiek, to jest mój kolega z gimnazjum w Warszawie, mój kolega z Rygi, mój przyjaciel, my razem mieszkamy tyle lat, mnie się zdawało, że go znam, że to nasz człowiek. On ma ostre pazury, on jest zupełnie człowiek łódzki, on lepszy macher niż ja, a on czasem zrobi coś takiego, czego ja nie rozumiem, czego żaden z naszych nie zrobi; on jest *Lodzermensch*, a on pomimo to ma różne takie bziki ideowe, utopijne marzenia, dla których gotów jest dać rubla, jak ma przy sobie dwa, a dla których ja bym dał dziesiątkę, jakby się już nie można wykręcić [...]" (Reym., s. 136).

Spośród trójki przyjaciół najsympatyczniejszy wydaje się Maks, ale jest to też postać najmniej wyrazista. Nie uczynił niczego, co mogłoby dać podstawę do posądzenia go o deprawację charakteru. Jest lojalnym przyjacielem, kochającym synem i dobrym człowiekiem, tak jak jego ojciec. Wiąże się jednak z żyjącym z wyzysku Wilczkiem, czego stary Baum nigdy by nie uczynił, a którego inny Niemiec, Horn – człowiek o prawym charakterze – uznał za kanalię i wykluczył z grona swoich znajomych. Wilczek bowiem w sposób drapieżny – *nomen omen* – i bezwzględny żerował na biedzie najuboższych. Gotów też był oszukać każdego. Jak żartobliwie zauważa Kurowski, Maks może zrobić przy nim majątek, jeśli ten nie zabierze mu go sprzed nosa. „Jeśli tylko będzie można” – szepnął na tę uwagę Wilczek (Reym., s. 654).

Drogę bardzo podobną do drogi Borowieckiego wybrał Maks Aszkenazy, jeden z tytułowych bohaterów powieści I. J. Singera. On również świadomie zerwał z wartościami wyniesionymi z domu. Kiedy rabin z Warki przepowiedział reb Abrahamowi Herszowi, że jego potomkowie będą bogaci, przyszły ojciec nie ucieszył się: „Rabi – odezwał się z respektem – wolałbym, żeby byli bogobojni” (Sing. I, s. 14). Życzenia reb Abrahama Hersza nie spełniły się jednak. Jego dwaj synowie odeszli od wiary i tradycji przodków, i obaj stali się bogaci, choć poszli innymi drogami. Młodszemu, Jakubowi, sprzyjało szczęście, a bogactwo samo wchodziło mu w ręce. Starszy, Maks, po wypowiedzeniu ojcu posłuszeństwa, zamiast studiować Talmud, zajął się tkalnią teścia – usamodzielnił się. „Cóż znaczył ojcowski policzek dla niego, wspólnika tkalni «Alter et Aszkenazy», samodzielnego człowieka, który szedł oto na podbój Łodzi, zaczynał od razu przy pięćdziesięciu warsztatach i spoglądał ku najwyższym miejskim kominom fabrycznym” (Sing. I, s. 118). Były nimi kominy fabryki Hünzów. Zanim je zdobył, został jedynym właścicielem tkalni teścia, wcześniej jednak całkowicie ją sobie podporządkował. Później wykorzystał do własnych celów młodych Hünzów. Wszedł w ich łaski, omotał tak, że w końcu został głównym udziałowcem ich fabryki. Wcześniej jednak usunął z niej własnego ojca. Nie wahał się przed oszustwem, wyzyskiem, niegodziwymi i nikczemnymi czynami. Pracował bardzo ciężko, zdobył bardzo dużo, ale ciągle mu było mało. Rozwiódł się nawet z żoną, którą zawsze kochał, by poślubić kobietę brzydką, zbyt starą dla niego, ale bardzo bogatą. Szanował ją jednak, choć nie był z nią szczęśliwy.

Porównanie „dróg do zdobycia fabryki” odchodzącego i wchodzącego w życie pokolenia powieściowych bohaterów pokazuje, że mamy do czynienia z zupełnie odmiennymi postawami życiowymi i ludźmi – tak różnymi, jak stara, rękodzielnicza Łódź i Łódź wielkoprzemysłowa. Starzy fabrykanci u progu kariery nie myśleli o bogactwie i milionach. Na początku chcieli tylko zapewnić rodzinie godziwe życie, a później dobro-

byt. Całe życie ciężko pracowali i powoli dochodzili do wielkich fortun. Możemy nawet powiedzieć, że powstawały one jakby przypadkiem i mimo woli ich twórców. Dopiero później nastąpiło świadome pomnażanie zdobytych dóbr. Młode pokolenie jest zupełnie inne – zdeterminowane, drapieżne, roszczeniowe, niecierpliwe i bezwzględne. Jego celem od początku są tylko miliony. W przeciwieństwie do swych ojców posiada już wykształcenie, praktykę i kapitał (lub niecierpliwie myśli o jego zdobyciu). Teoretycznie ma więc większe szanse na powodzenie. Czy będzie szczęśliwsze od pokolenia, które już odchodzi?

Bardzo znamienne są zakończenia powieści. Borowiecki, zdobywszy majątek, stwierdza, że zmarnował życie (Reym., s. 665). Zmarnował, bo podeptał i zdradził wierzenia oraz ideały, bo egoistycznie poświęcił wszystko dla bezużytecznych pieniędzy (Reym., s. 666–667). Co zdradził i poświęcił w istocie? Nie Ankę, której nie kochał, nie Kurów, nie „narodowe pamiątki", o które tak dba Wysocka. Zdradził i poświęcił dla pieniędzy świat wartości, w którym został wychowany, podeptał własną tożsamość. Jego wybór pracy dla innych, oddanie się działalności charytatywnej nie jest oznaką słabości i chęci zadośćuczynienia za wyrządzone innym krzywdy. To powrót na drogę, którą zagubił i której go w dzieciństwie uczono: służby innym i ojczyźnie. Maks Aszkenazy po śmierci brata odbył pokutę w jego domu. Przez siedem dni nie przestawał rozmyślać o swoim losie (Sing. II, s. 139). Tak jak Karol, również stwierdził, że zmarnował życie (Sing. II, s. 141). Powrócił do działalności, ale nie z egoistycznych pobudek, jakie dawniej nim kierowały; powrócił nie dla pieniędzy i sławy, ale dla rodziny, bo po śmierci brata wszyscy byli od niego zależni. Powrócił też, bo chciał bronić pozycji własnej i Żydów w Łodzi. Przestał też „kroczyć gojowskimi ścieżkami": Maks Aszkenazy powrócił na drogę, z której zboczył. Jego ojciec, gdyby żył, mógłby powitać syna marnotrawnego.

4.2. O poszukiwaniu pierwowzorów literackich łódzkich dorobkiewiczów

Doszukiwanie się w literackich kreacjach postaci historycznych jest tyleż intrygujące, co i złudne. Dociekamy, na kim autor wzorował kreowaną przez siebie postać, kto powiedział takie lub inne głupstwo, kto popełnił jakiś haniebny lub kompromitujący czyn albo obnażył swoje prawdziwe, skrywane za milionami pochodzenie. Wydaje nam się, że odkrywając literackie pierwowzory, poznajemy osobowość i życie prawdziwych łódzkich fabrykantów, bo nic o nich właściwie nie wiemy. To

jednak złudzenie. Na kreację literackich postaci złożyły się losy i anegdoty o życiu wielu łódzkich przemysłowców. Według Anny Rynkowskiej Herman Bucholc miał być wzorowany na Karolu Scheiblerze, Szaja Mendelsohn na Izraelu Poznańskim, Knoll na Edwardzie Herbście, a baron Oskar Meyer na Juliuszu Heinzlu[30]. Krzysztof Stefański odszukał pierwowzór Grosglika w Maksymilianie Goldfederze[31]. Barbara Koc twierdzi natomiast, że postać Bucholca Wł. S. Reymont budował, wykorzystując Juliusza Kunitzera[32]. Można wszakże „typować” inaczej. Koleje życia Maksymiliana Fliderbauma i jego swoista konkurencja z Hünzem nasuwają skojarzenia z Izraelem Kalmanowiczem Poznańskim, ale Hünze konkuruje nie tylko z Fliderbaumem, lecz także z Goetzkem. Hünze wydaje się wzorowany na Karolu Scheiblerze i Juliuszu Heinzlu, za sprawą swojego ogromnego majątku – z jednej strony, oraz nabytego tytułu barona – z drugiej; wiemy jednak, że Heinzel był majstrem u Scheiblera, pasowałby więc bardziej do znienawidzonego przez Bucholca barona Oskara Meyera. Heinzel miał jednak zgoła odmienny charakter niż Hünze. Za sprawą swojej prostoduszności oraz postury posłużył bowiem kreacji Müllera. Pierwowzorem Bucholca mógł być Karol Scheibler z uwagi na swój ogromny majątek, oczywiście nic jednak nie zdradza, mimo różnych o nim anegdot, by w prostacki sposób odnosił się do swoich pracowników. W końcu jeden z nich został jego zięciem. Herbst jest uważany za człowieka przedsiębiorczego i kulturalnego, a zatem co miałoby zadecydować o wzorowaniu na nim postaci Knolla? „Bawełniany” majątek, skąpstwo i „siajowa produkcja” Szai Mendelsohna każą doszukiwać się odwołań do Szai Rosenblatta. Pierwowzorem Maksa Aszkenazego był z pewnością Oskar Kon, o czym znów świadczą wspólne elementy kreacji pierwszego i życiorysu drugiego: zmiana imienia, zastąpienie ojca na stanowisku w fabryce w sposób niezbyt etyczny, podstępne przejęcie fabryki, powolne, ale uparte dążenie do sukcesu, również przedsiębiorczość i rzutkość. W literacki życiorys Maksa wplecione zostały jednak elementy życiorysu innego fabrykanta – Leona Grohmana. Idzie tu mianowicie o jego rozmowę z przywódcą robotników podczas rewolucji 1905 r. L. Grohman w podobnej sytuacji pertraktował z F. Dzierżyńskim[33]. Podstawą dla kreacji szlachetnych Trawińskich mogli

[30] A. Rynkowska, *Łódź w latach „Ziemi obiecanej”*, „Odgłosy” 1967, nr 6, s. 3; taż, *Łódź, jaką widział Reymont*, „Osnowa”, wiosna 1967, s. 11.

[31] K. Stefański, *Piotrkowska 77*, Wyd. Wing, Łódź 2005.

[32] B. Koc, *O „Ziemi obiecanej” Reymonta*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 56.

[33] Syn Leona Grohmana, Jerzy, wspomina: „Pewnego dnia przyszła delegacja robotnicza i zapytała, czy by nie mogli podjąć rozmów w sprawie uposażeń, żeby fabryka znów ruszyła. Dogadali się […]. Doradca tych robotników, żegnając się z ojcem, podziękował za

być równie szlachetni Skrudzińscy – jedyni Polacy, którzy odnieśli dość znaczący sukces w Łodzi[34]. Inne postaci są mniej wyraziste, a my, jak powiedzieliśmy wcześniej, niewiele wiemy o życiu fabrykantów, toteż szukanie odniesień do rzeczywistych pierwowzorów nie przyniesie spodziewanych efektów.

Dla rozważań *stricte* literackich takie poszukiwania, o ile nie są uzasadnione, nie mają większego znaczenia. W tym miejscu warto jednak podjąć ten problem, ponieważ odwołania w omawianych powieściach do autentycznych postaci oraz te same problemy poruszone w odmiennych gatunkowo utworach, odzwierciedlone u różnych, niekontaktujących się ze sobą i żyjących w innych środowiskach twórców, dają podstawy do twierdzeń o pewnej typowości przedstawionych w literaturze zjawisk, mającej odniesienia do świata rzeczywistego. Jeśli jednak przyjrzymy się osi konstrukcyjnej postaci Fliderbauma, Hünzego, Müllera, Mendelsohna, Bucholza, a także mniej zindywidualizowanych, jak Grosglika lub Zukera, to okaże się, że jest ona u każdej postaci niemal taka sama: nędza i ubóstwo w dzieciństwie oraz młodości, ciężka praca od najmłodszych lat, trudne początki kariery niezapowiadającej powodzenia i spektakularnego sukcesu, pierwsze nikłe promyki pomyślności, stabilizacja, długie lata wytrwałej pracy przy rozbudowie majątku i pomnażaniu dóbr, bezgraniczne poświęcenie się tej pracy, awans społeczny, milionowy majątek. Niektórzy przeszli tę drogę w sposób uczciwy, drogę innych znaczyła wspomniana wcześniej „uczciwość łódzka", a więc czyny nieetyczne. W przypadku młodszej generacji schemat ten wystąpił u Stacha Wilczka, jest to jednak przypadek odosobniony. By odnieść sukces w rozwiniętym fabrycznym mieście, trzeba już mieć wykształcenie i umiejętności, zaplecze w postaci majątku rodzinnego lub znaczącej, posiadającej znajomości i koneksje rodziny, a także – chęci, samozaparcie i wytrwałość w dążeniu do celu. Na takim schemacie opierają się kreacje Maksa Aszkenazego oraz Karola Borowieckiego, Maksa Bauma i Moryca Welta. Przypadek Jakuba Aszkenazego jest wyjątkiem; jak już zaznaczono – takim ludziom, jak on szczęście zawsze samo sprzyja i nawet jeśli niczego specjalnie nie pragną, przychodzi ono do nich samo.

Już same te schematy konstrukcyjne powinny budzić zastanowienie co do zasadności poszukiwania w świecie realnym pierwowzorów bohaterów literackich. Niemożliwe jest przecież, by wszyscy łódzcy fabrykanci zaczynali swoją karierę od majątku w postaci własnych rąk (lub krętactw

życzliwe podejście i powiedział: «Może kiedyś będę miał okazję zrewanżować się». To był Feliks Dzierżyński". Za: P. Spodenkiewicz, *Piasek z Atlantydy*, rozmowy z Jerzym Grohmanem, Wyd. „Hobo", Łódź 2006, s. 30.

[34] L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, cz. II, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000, s. 40.

i oszustw), a kończyli ją na posiadaniu milionów. Inną przesłanką, która powinna ograniczać nasze dążenia w tym kierunku są powtarzające się u różnych autorów anegdoty. Reymontowski Bucholc bezustannie poniża swojego służącego, nazywając go „kundlem”. Z jakiegoś powodu I. J. Singer nazwał podobnie niemieckiego fabrykanta. Tenże fabrykant, wściekły, „woła na służącego w zielonym strzeleckim kostiumie – *Du! stopfe mir Pfeif an! Schnel, du Rotz-Hund!*” („Ty! nabij mi fajkę, ty zasmarkany kundlu!”; Sing. I, s. 36). Być może to przypadek, wydaje się jednak, że obaj autorzy odwołali się do jakiejś znanej łódzkiej anegdoty. W obu powieściach znajdziemy jeszcze jedną, podobną sytuację. I. J. Singer, ukazując przybywających do Królestwa Niemców, przedstawiając ich zróżnicowanie, ukazuje m.in. małe wozy, które ciągnęły psy: „Pomiędzy wozami przewijały się również małe wózki, zaprzężone w dwa duże psy [...] Zabiedzeni, zgłodniali i bosi byli ci najubożsi, którzy sami ciągnęli swoje małe wózki, albo zaprzęgli do nich psy” (Sing. I, s. 6). Reymontowski Szaja wyrzeka na Bucholca: „Ja przez tego złodzieja, przez tego Szwaba, co on do Polski psami przyjechał [...] ja przez niego chory jestem ciągle [...]” (Reym., s. 150)[35].

I znów możemy stwierdzić, że jest mało prawdopodobne, by wózki zaprzężone w psy były tak charakterystycznym środkiem lokomocji przywożącym do Łodzi osadników, że stworzyły typowy obraz łódzkiego osadnictwa[36]. Mamy więc znów do czynienia z jakąś znaną w Łodzi fabrycznej, a dziś już zapomnianą anegdotą. Być może jednak I. J. Singer znał powieść Wł. S. Reymonta i świadomie do niej nawiązywał. Obie przedstawione wyżej sytuacje mogłyby być tego dowodem.

Podobnie, w sposób stereotypowy, ukazane są żony fabrykantów. Te nieszczęsne kobiety albo dziergają pończochy, albo chodzą w barchanach, albo mieszają w garnkach i rondlach, przygotowując sos śliwkowy lub knedle. Fabrykantowe nie potrafią mieszkać w pałacach, jak Müllerowa, boją się własnej służby, jak Hünzowa, lub wręcz drżą o każdą rzecz w swoim domu, nie umiejąc z niej zwyczajnie korzystać, jak Berta Pifke[37]. W przypadku żon fabrykantów autorzy korzystają już nie tyle z krążących

[35] K. Kołodziej przywołuje w swoich rozważaniach anegdotę o I. K. Poznańskim, wedle której miał on przybyć do Łodzi z niewielkim wózkiem zaprzężonym w psy (K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie...*, s. 99–100).

[36] Motyw ten znajdziemy u Z. Bartkiewicza w *Złym mieście* (s. 36) oraz we wspomnieniach A. Brauna w: *Kolega z „Żeromszczaka”*, rozmowa z Andrzejem Braunem, pisarzem (rozmawiał Z. Dominiak), „Tygiel Kultury” 1996, nr 6–7, s. 68.

[37] Berta Pifke, jak stwierdza narrator, „ze czcią prawie siadała na adamaszkowych meblach, lękała się ugnieść pluszu kozetek i porysować hebanowych stołów, stawiając na nich jaką rzecz służącą do użytku. Drżała ciągle o całość każdego domowego sprzętu, jakby nie była w stanie niczym go zastąpić” (Mar.-Morz., s. 192).

anegdot, a wręcz ze złośliwych plotek, których zapewne było więcej niż faktycznych zdarzeń. W ten sposób ci, którym nie udało się zdobyć bogactwa, odreagowywali zapewne własne niepowodzenia. Za owymi „psami", „skarpetami" i „knedlami" kryje się rzeczywiście cząstka prawdy. Przedstawiciele łódzkiej burżuazji tego okresu należeli na ogół do najmniej wykształconych w ówczesnej Europie, co wszakże nie było winą tych ludzi. Mając miliony, mieli dalej żyć w dwuizbowych domach? Już po postaci Müllera widać, że nie pozostawiono by ich w spokoju.

Poszukiwanie pierwowzorów literackich postaci może być więc tylko zabawą. Iluzoryczne jest również odkrywanie za kreacjami życia powieściowych milionerów kolei losu mieszkających w Łodzi przemysłowców i bankierów. Ujrzymy zapewne tylko cząstkę prawdy, która zbudować może zupełnie fałszywy obraz życia łódzkich elit. Warto jednak zastanowić się, czy te poszukiwania wespół z przedstawionym wcześniej schematem konstrukcyjnym postaci nie doprowadziły do niezwykłej żywotności mitu „dwóch *Wanderem*", którzy przybyli do Łodzi *per pedes*, zaczynali od „gęsi", a zakończyli swoją działalność, zdobywając ogromne majątki. Bohaterowie W. Dłużniewskiego – Werner i Goehle – są żywym dowodem istnienia Łodzi jako „ziemi obiecanej" dla wszystkich, którzy zechcieli tylko spróbować. Takim dowodem mogą być więc i inni bohaterowie literaccy. Może więc i tu należy szukać żywotności tej metafory miasta?

Do ciekawych wniosków może prowadzić refleksja nad przyczynami naszego zainteresowania łódzkimi fabrykantami. Dlaczego na wyobraźnię tak bardzo oddziałują bezimienni bohaterowie Bartkiewicza, bohaterowie I. J. Singera, Wł. S. Reymonta, W. Marené-Morzkowskiej? W realnym świecie tacy ludzie budzą pogardę, wywołują drwiny, są przedmiotem złośliwych anegdot. Inaczej wszakże ocenia się ludzi z „wyższych sfer", o których życiu chętnie informuje współczesna bulwarowa prasa, pisma dla „gospodyń domowych" oraz wydawane na nieco lepszym poziomie pisma dla „kobiet klasy średniej"[38]. Ukazują one blichtr i lukrowane życie

[38] „Kathy" – czytamy w „Marie Claire" – „pracuje na Wall Street, jest jedną z tych, którzy transakcjami giełdowymi wprawiają w ruch Nowy Jork. Zanim zniknie za wielkimi drzwiami, pochyla się ku tylnej szybie limuzyny i posyła całusa pieskowi o imieniu Harry, który towarzyszy swojej pani każdego ranka w drodze do pracy, a potem odwożony jest do psiej kosmetyczki lub na spacer do parku. Później szofer Andy zawozi go do domu". W tym świecie widok takich ekstrawagancji nikogo nie dziwi. „Ludzie mają już po dwa, trzy domy i pełno ubrań, więc wydają pieniądze na podróże [do Hampton albo północnozachodniego Connecticut na] rozmaite przyjęcia, bale dobroczynne, weekendy [...] dokąd najwygodniej dostać się samolotem [...]. To świat, w którym ulubioną rozrywką kobiet [...] jest wyprawa z gromadką przyjaciółek prywatnym odrzutowcem wartym 20 milionów dolarów na zakupy do innego miasta. [...] To życie w zamkniętym kręgu. [...] Tylko nielicznym młodym ludziom pozbawionym wielkich pieniędzy i pochodzenia udaje się przedostać do wewnętrznych kręgów towarzyskiego rezerwatu". Życie w tym świecie jest

„wielkiego świata”, schlebiając tyleż próżności ludzi do niego należących, co i potrzebie przeciętnego człowieka, mogącego choć w ten sposób do niego się zbliżyć. W świetle wszystkich niemal artykułów widać, że życie ich bohaterów niczym nie różni się od życia dziewiętnastowiecznych łódzkich nuworyszy: jest tak samo jałowe i puste, pozbawione sensu, a do tego – jednak nudne. Oni również w sposób bezsensowny wydają z trudem zapracowane pieniądze. Z ludzi takich, jak Müllerowie, Endelmanowie, Hünzowie lub Fliederbaumowie śmiejemy się pobłażliwie, pogardzamy nimi lub z nich drwimy, dlatego że ich znamy, ponieważ w każdym z nas w jakiś sposób tkwi parweniusz. Taki parweniusz tkwi także niemal w każdym z bohaterów artykułów poświęconych życiu „wyższych sfer”. W ich świetle sfery te cechuje takie samo życie na pokaz, bezsensowna rozrzutność, pogoń za błyskotkami i błahostkami oraz ta sama nieumiejętność zerwania z tym, co nudzi i męczy.

---

wyczerpujące, ale nie do pomyślenia jest, by ktoś, kto się do niego dostał, nie poszedł na proszoną kolację, obiad lub bal. Obowiązek bywania mają również i ci, którzy do niego należą, i oczywiście mają poczucie, że „[…] jakieś kolacje i obiady […] trzeba […] samemu wydawać” (T. Souter, *Tak żyją nowojorscy bogacze*, „Marie Claire” 1999, nr 48, s. 38–42).

5. *Pod wspólnym dachem* O mitologizowaniu współistnienia różnych narodowości w Łodzi

Obraz zgodnego współżycia różnych narodowości „na łódzkim bruku" – taka „mała Europa narodów" – jest wyjątkowo nęcący. Chciałoby się, by tu – w środku Polski, w niezwykle trudnych warunkach, dokonał się cud bezkonfliktowego współistnienia różnych nacji, kultur i religii, na przekór historii i niezwykle silnemu odczuwaniu własnej narodowości przez Europejczyków i Żydów. Chciałoby się też, by ten cud, który miałby się dokonać w czasie silnych i rodzących się nacjonalizmów Europy na przełomie XIX i XX w., był kultywowany sto lat później, jako możliwy do urzeczywistnienia, mimo czystek etnicznych i religijnych w byłej Jugosławii.

Termin *nacjonalizm* – pisze Jacek Bartyzel – [...] wszedł w użycie znacznie później niż zaistniało zjawisko stanowiące jego społeczny i ideologiczny desygnat. O nacjonalizmie, jako fenomenie tego rodzaju można bowiem mówić już od drugiej połowy XVIII wieku (oświecenie i rewolucja we Francji), podczas gdy pierwsze w pełni samoświadome zastosowanie pojęcia *nacjonalizm* w funkcji (samo)określenia kierunku ideowo-politycznego nastąpiło dopiero w końcu XIX wieku [...]. Nie ulega wszakże wątpliwości, że, z jednej strony, postawy, poglądy, programy i działania polityczne (a także kulturalne, zwłaszcza w dobie romantyzmu) typowe dla nacjonalizmu stały się jedną z głównych tendencji i zarazem sił sprawczych ogromnych przemian, jakie zaszły w życiu społeczeństw doby późnej nowożytności, z drugiej zaś strony, doktryny oraz ruchy polityczne, określające się *expressis verbis* jako nacjonalistyczne, pojawiły się dopiero (za to licznie i w wielu miejscach naraz) w ostatniej dekadzie XIX i w początku XX wieku [...][1].

[1] J. Bartyzel, *Pojęcie, geneza i próba systematyki głównych typów nacjonalizmu*, [w:] *Różne oblicza nacjonalizmów. Polityka – religia – etos*, red. B. Grott, Nomos, Kraków 2010, s. 21.

W Polsce, inaczej niż w krajach anglosaskich, pojęcie nacjonalizmu posiada konotacje pejoratywne; oznacza zjawisko związane z nietolerancją, uciskiem, pogromami, konfliktami zbrojnymi i wojnami[2]. Dla interesującego nas okresu historycznego, na przykład, charakterystyczne były dotkliwie odczuwane przez Polaków w zaborze pruskim: germanizacja, tzw. rugi pruskie oraz hasła i działalność „hakatystów". Idee nacjonalistyczne znalazły zwolenników również w Polsce. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX w. powstała Narodowa Demokracja, ruch polityczny o wyraźnej nacjonalistycznej ideologii. Ze względu na wspomniane wyżej ujemne konotacje pojęcia oraz wrogie nastawienie władz PRL-u do Narodowej Demokracji, ruch ten był w okresie powojennym przez ogół Polaków błędnie oceniany (pomijamy tu problem istnienia skrajnych jego odłamów). Po odzyskaniu suwerenności pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, sytuacja ta zaciążyła negatywnie na ocenach partii nawiązujących do ideologii Romana Dmowskiego. Isaiah Berlin wyróżnił cztery najważniejsze cechy nacjonalizmu: wiarę w nadrzędny charakter potrzeby przynależności narodowej, naturalną współzależność pomiędzy poszczególnymi elementami tworzącymi naród, preferowanie (bez względu na sytuację) osób należących do własnej grupy oraz przedkładanie ponad wszystko dobra i interesu własnego narodu[3]. Zjawiskami i pojęciami pokrewnymi nacjonalizmowi są: etnocentryzm (pogląd, że własna grupa stanowi centrum wszystkiego i wszystkie inne gromady są hierarchizowane i oceniane w odniesieniu do niej), szowinizm (skrajny pogląd opierający się na bezkrytycznym uwielbieniu własnego narodu, przy równoczesnym pogardliwym i nienawistnym stosunku do innych narodowości), ksenofobia (znacząca pierwotnie niechęć i strach, a dzisiaj niechęć, wrogość i agresywność wynikająca z poczucia obcości), rasizm (bazujący na założeniu, że ludzie różnią się nie tylko cechami somatycznymi, ale również psychicznymi, ludzkość zaś dzieli się na rasy „lepsze" i „gorsze", „wyższe" i „niższe"). Szczególną postacią rasizmu jest antysemityzm (wrogość do narodu żydowskiego) i antyjudaizm (wrogość do Żydów jako wyznawców religii mojżeszowej). Z problematyką nacjonalizmu wiążą się również pojęcia patriotyzmu (postawa oparta na zasadach umiłowania własnej ojczyzny, własnego narodu, połączona z gotowością do ofiar, przy równoczesnym poszanowaniu i uznawaniu praw innych narodowości) oraz kosmopolityzmu (afirmowanie swojej przynależności

[2] W. Paterek, *Nacjonalizm*, [w:] *Konflikty współczesnego świata*, red. R. Borkowski, Uczelniane Wydawnictwa Naukowo-Dydaktyczne, Kraków 2001, s. 88.

[3] Tamże, s. 90.

do całego świata i negowaniu podziałów politycznych oraz terytorialnych)[4]. Przywołanie tych pojęć i ich znaczeń – jakkolwiek są znane – jest istotne dla dalszych rozważań.

Na przełomie XX i XXI w. dążenia nacjonalistyczne nabrały innego jeszcze wymiaru, gdyż są sprzeczne z dążeniami współczesnego świata do integracji regionalnej, a nawet globalnej. Towarzyszy im również wzrost nacjonalizmów w jego skrajnych postaciach i fundamentalizmów narodowych, czego przykładem jest konflikt na Bałkanach. Pod wpływem odradzających się napięć między narodami, grupami etnicznymi i wspólnotami religijnymi, pojawiła się konieczność ukształtowania nowego humanizmu, nacechowanego silnym komponentem etnicznym i rozwiniętą współpracą międzynarodową. Te same czynniki zadecydowały o dążeniu do budowania nowych wartości wspólnotowych, wykraczających poza grupy, jakie tworzą rodzina, społeczność lokalna, a nawet wspólnota narodowa. Problem ten nakreślono we wstępie, nawiązując do raportu J. Delorsa.

Dążenia te, wespół z polityczną poprawnością i relatywizmem kulturowym, przyczyniły się do zniekształcającego historię mitologizowania współżycia różnych narodowości w Łodzi. Świadczy o tym choćby tytuł publikacji poświęconej łódzkiej triadzie – Polakom, Żydom, a przede wszystkim łódzkim Niemcom: *Pod jednym dachem*[5] lub nazwa festiwalu, który odbywa się co roku w Łodzi od 2002 r. – Festiwal Dialogu Czterech Kultur – polskiej, niemieckiej, żydowskiej i rosyjskiej. Ów wspólny, „jeden dach" to oczywiście metafora domu-miasta, w którym wiodły swój żywot różne nacje. Natomiast idea festiwalu – jak mówił Witold Knychalski, jego twórca –

> zrodziła się na wspomnienie dialogu, który w Łodzi toczył się nieprzerwanie przez wiele kolejnych dziesięcioleci. Ludzie czerpiący z czterech jakże odmiennych kultur, połączeni w tym dialogu budowali wspólnie fabryki, świątynie, kina, teatry i stadiony. Wspólnym wysiłkiem stworzyli największy pomnik porozumienia – Łódź [...][6].

Czy rzeczywiście tak owo współżycie wyglądało? Czy Łódź budowały cztery narodowości i „wspólnym wysiłkiem"?

---

[4] Tamże, s. 95–96.

[5] *Pod jednym dachem. Niemcy oraz ich polscy i żydowscy sąsiedzi w Łodzi w XIX i XX wieku/Unter einem Dach. Deutsche und ihre polnischen und jüdischen Nachbarn in Lodz im 19. und 20. Jahrhundert*, red. K. Radziszewska, K. Woźniak, Łódź 2000.

[6] Festiwal Dialogu Czterech Kultur, http://pl.wikipedia.org/wiki/Festiwal_Dialogu_Czterech_Kultur (dostęp: 10.09.2012).

5.1. Kilka uwag o uwarunkowaniach kształtowania się wyobrażeń koegzystencji Polaków, Niemców i Żydów w Łodzi

Rozważania o koegzystencji różnych narodowości w Łodzi należy rozpocząć od rozpatrzenia, czym dla każdej z nich było to miasto. Według Zygmunta Baumana współczesny człowiek staje się nomadą, wiecznym wędrowcem bez przynależności i zakorzenienia, i chociaż nadal jest bytem terytorialnym, to jednak okres jego przywiązania skończył się bezpowrotnie[7]. Odwołaliśmy się do Z. Baumana nieprzypadkowo. Jeśli przyjrzeć się mieszkańcom Łodzi XIX i początków XX w., to okaże się, że mogli oni posiadać taką właśnie nomadyczną osobowość. Każda z trzech dużych liczebnie narodowości zamieszkującej miasto znajdowała się w ciągłym ruchu, o którym decydowała koniunktura. Przyjeżdżający do Łodzi Niemcy często opuszczali ją, gdy nastawał kryzys, a na ich miejsce przybywali inni. Polscy robotnicy, wcześniej chłopi, którzy przybywali do Łodzi w poszukiwaniu pracy, wracali na wieś, jeśli następowały redukcje zatrudnienia. Żydzi, obierając jakieś miejsce, zakorzeniali się w nim, czego symbolem może być dziś Anatewka za sprawą filmu *Skrzypek na dachu* w reżyserii Normana Jewisona. I oni jednak zmuszani byli do szukania pracy poza Łodzią.

W jaki sposób tworzyły się więzi tych trzech narodowości z miastem? Można przyjąć, że przynosili z sobą jakąś część dawnej, małej lub wielkiej ojczyzny. Część taka mogła mieć – jak twierdził Martin Heidegger – moc całości[8], pozwalając na poczucie silnych więzi z nowym miejscem. Niemcy przynosili z sobą obraz starej ojczyny. Nowa przypadała im do gustu, ponieważ ukształtowanie terenu i przyroda bardzo przypominały im opuszczone miejsca[9]. W Łodzi poza tym kultywowali stare obyczaje, czego dowodem jest choćby zabawa strzelecka lub wspólne, gromadne spędzanie czasu, ukazane przez O. Flatta. Polscy robotnicy pielęgnowali zwyczaje przyniesione ze wsi; miasto leżało zwykle niedaleko ich miejsca urodzenia, w związku z czym mogli nie czuć zupełnego zerwania z nim więzi. Zamieszkanie w mieście zmieniało jednak i podnosiło ich status społeczny, co niewątpliwie przyczyniało się do utrwalenia związków z Łodzią. Żydzi natomiast kultywowali swoje zwyczaje religijne, sytuujące ich życie pomiędzy *sacrum* i *profanum*, określając szczegółowo każdy element

[7] Z. Bauman, *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika*, przeł. E. Klekot, PIW, Warszawa 2000, s. 92.

[8] M. Heidegger, *Bycie i czas*, przeł. i przedm. B. Baran, PWN, Warszawa 1994, s. 144–162.

[9] A. Rynkowska, *Ulica Piotrkowska*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1970.

codzienności. Wszystkie te grupy posługiwały się ponadto wyniesionym z domu językiem, co dodatkowo wpływało na utrwalenie i kultywowanie własnej tożsamości.

Możemy więc uznać, że przedstawiciele wszystkich tych narodowości mieszkających w Łodzi obierali ją za miejsce swojego życia i wracali do niej, jeśli tylko koniunktura na to pozwalała. Nie była więc ona miejscem przypadkowym, nieróżniącym się od innych, podobnych. Przynależeli do niej i czuli się z nią związani. Tak więc z pewnością nie można ich porównywać ze współczesnymi, Baumanowskimi nomadami, co zdecydowanie rzutuje na interpretację kształtowania się współżycia pomiędzy nimi.

W tradycyjnym ujęciu czynnikami konstytuującymi grupy etniczne jako trwałe, wyraźnie wyodrębniające się zbiorowości były: posługiwanie się odrębnym od innych językiem oraz posiadanie swoistej „tradycji", rozpatrywanej z uwzględnieniem m.in. religii, pokrewieństwa, sposobów zdobywania środków do życia, standardów moralnych[10]. Wsevolod Isajiw wyróżnił następujące kryteria, służące definiowaniu grup etnicznych: język, podobieństwo cech fizycznych lub „rasy", religia, wspólnota „zwyczajów", przekonanie o wspólnym pochodzeniu[11].

Rozpatrując te kryteria, możemy przyjąć, że dla każdej spośród trzech wielkich narodowości charakterystyczne było zachowanie odrębności i silne jej odczuwanie. Wypada też wspomnieć o Rosjanach, skoro i o nich będziemy mówić w tym rozdziale. Ich związki z Łodzią kształtowały się inaczej. Obecność tej narodowości w mieście determinowały czynniki natury politycznej. Wydaje się też, że Rosjanie raczej nie identyfikowali się z miastem, przybywając do niego zwykle na kilka lat.

Wspomnieliśmy wcześniej, że istniejące w Łodzi trzy główne narodowości los i polityka władz nierówno obdzieliły przywilejami, obowiązkami, nakazami i zakazami. Wspomnienia łodzian niosą różne wizje ich koegzystencji. Raz jest to pełne harmonii i zrozumienia współistnienie, innym razem dowiadujemy się o zakłóceniach, wynikających z różnic narodowościowych, wyznaniowych i ekonomicznych. W ostatnim przypadku idzie głównie o to, że Polacy stanowili podstawowy i najliczniejszy trzon pracujących w fabrykach robotników, natomiast fabryki pozostawały w rękach Niemców i Żydów, stąd antagonizmy pomiędzy Polakami a Niemcami i Żydami miały w istocie stanowić wynik konfliktu interesów robotników i ich pracodawców.

---

[10] Z. Bokszański, *Tożsamość grup etnicznych w społeczeństwach wielokulturowych*, [w:] *Tożsamość a język w perspektywie slawistycznej*, red. nauk. S. Gajda, Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2008, s. 22.

[11] W. Isajiw, *Definitions of Ethnicity*, "Ethnicity" 1974, nr 1. Za: Z Bokszański. *Tożsamość grup etnicznych…*, s. 22.

Omówienia problemu koegzystencji łódzkiej triady narodowościowej nie ułatwiają również historyczne uwarunkowania ostatnich siedemdziesięciu lat, które doprowadziły do zubożenia mieszkańców Łodzi o mniejszość niemiecką i żydowską, spowijając ich odejście zasłoną milczenia. Przez długie lata wiedzieliśmy, że do II wojny światowej żyły w Łodzi inne narodowości i specjalnie się nad tym nie zastanawialiśmy, tak jakby nagłe zniknięcie dwóch bardzo liczebnych grup było zjawiskiem zupełnie naturalnym. Stosunek Polaków do Niemców i Żydów, kształtowany przez politykę władz PRL, był dość ambiwalentny. Z jednej strony istniała budowana systematycznie niechęć do Niemców, a z drugiej – krzewiona bujnie przyjaźń polsko-niemiecka, obejmująca Niemców „bloku wschodniego". W stosunku do Żydów zaś władze PRL-u przyjęły politykę oficjalnego potępienia Holokaustu i budowania atmosfery współczucia dla przeżyć i cierpień, które były ich udziałem, z równoczesnymi niemal atakami na tę narodowość po 1968 r. i podsycaniem atmosfery nienawiści. Co ciekawe – poza stereotypami oraz pamięcią lat wojny i okupacji nie było w Polakach niechęci ani do Niemców, ani do Żydów, ujemnie ich wyróżniającej na tle narodów Europy. Wydaje się, że nadmiar propagandy nauczył po 1956 r. skutecznego radzenia sobie z nią poprzez stosowanie zasłony niedopuszczającej do świadomości jej haseł lub też ironicznego ich traktowania. W istocie jednak obcować z propagandą PRL-owską było znacznie trudniej, niż się dzisiaj wydaje.

Oficjalny koniec socjalizmu w Polsce u schyłku lat osiemdziesiątych XX w. stworzył nową sytuację społeczno-polityczną. Zainteresowanie małymi ojczyznami i powrót idei regionalizmu zrodziły potrzebę zmierzenia się z narodowymi fobiami i stereotypami. Z jednej strony łodzianie słyszeli budujące informacje o niezwykle harmonijnym współżyciu w niej interesujących nas grup narodowościowych, z drugiej – wypłynął problem zwrotu zagarniętego mienia, odpowiedzialności za wysiedlenia Niemców i eksterminację Żydów. Pojawiła się również jakaś niezwykle silna polska ksenofobia – rusofobia i germanofobia, a w szczególności antysemityzm, sięgający, zdaniem niektórych, już początku wspólnych dziejów polskiej i żydowskiej społeczności[12]. Spadła na Polaków także odpowiedzialność za pogromy ludności żydowskiej, o których wcześniej nikt nie słyszał, głównie za silnie akcentowane pogromy powracających po wojnie Żydów. Jak było w istocie? Mówić o „odwiecznym polskim antysemityzmie" z pewnością nie można, choć niewątpliwie istniały animozje i nieporozumienia pomiędzy naszymi narodami, tak jak istniały pomiędzy Żydami i innymi narodowościami. Wzrost nastrojów antyży-

[12] W. Schlott, *Antysemityzm w Polsce – widziany z zewnątrz*, „Tygiel Kultury" 1997, nr 3, s. 10–20.

dowskich należy też ujmować w szerszym kontekście, na przykład w odniesieniu do rozwoju dziewiętnastowiecznych nacjonalizmów i w tym tylko okresie problem rozpatrywać. Ograniczanie się jedynie do stosunków pomiędzy naszymi narodami, a tym bardziej uogólnianie pewnych wydarzeń i obarczanie nimi całości relacji polsko-żydowskich jest uproszczeniem, prowadzącym do błędnych wniosków.

Omawianie współżycia trzech nacji w Łodzi nie jest więc łatwe, budzi bowiem – pomijając brak istotnej wiedzy – demony strachów, stereotypów i przekłamań. Wiemy z pewnością, że nie było to współżycie harmonijne i pozbawione zakłóceń (co dokumentuje również przywołana wcześniej publikacja *Pod jednym dachem*), jak chcieliby tego niektórzy miłośnicy Łodzi oraz zwolennicy politycznej poprawności i relatywizmu kulturowego. Owszem, istniały miejsca, kamienice, których mieszkańcy darzyli swoich sąsiadów innych narodowości ogromnym szacunkiem. Czy łączyły ich również więzy przyjaźni? W tym miejscu interesuje nas głównie literacki obraz współżycia łódzkiej triady, wydaje się więc, że problemy historyków, do których należy gruntowne oświetlenie i wyjaśnienie tego problemu, nie będą nas dotyczyć. Lektura literatury poświęconej Łodzi zaskakuje jednak.

Przejdźmy zatem do literackiego obrazu stosunków między różnymi narodowościami mieszkającymi w Łodzi. Dysponujemy dwiema powieściami, ukazującymi realia miasta czasu jego rozkwitu – powieścią Wł. S. Reymonta *Ziemia obiecana* oraz I. J. Singera *Bracia Aszkenazy*. Obie, poza tym że kreują wizerunek miasta w okresie rozwoju wielkoprzemysłowego, przedstawiają też „gród bawełny" z punktu widzenia różnych narodowości – polskiej u Wł. S. Reymonta i żydowskiej u I. J. Singera. Dodać należy, że w obu utworach spotykamy głównie Żydów ortodoksyjnych i niezasymilowanych. Istnieją ponadto utwory W. Marrené-Morzkowskiej *Wśród kąkolu*, W. Kosiakiewicza *Bawełna*, Wł. Rowińskiego *Julka* oraz opowiadania tegoż autora, które ukazują Polaków i ich problemy w rozwijającym się, wielkoprzemysłowym mieście. Porównanie obrazów życia Łodzi u tych pisarzy, niezwiązanych z miastem – co należy podkreślić – wywołuje ogromne zdziwienie. Nikt by nawet nie przypuszczał, że to samo miejsce może być widziane w zupełnie odmienny sposób. Zarówno Wł. S. Reymont, jak i I. J. Singer podkreślają bezwzględne dążenie fabrykantów do zdobycia dobrobytu i ukazują swoistą konkurencję pomiędzy milionerami w eksponowaniu swojego bogactwa. Pozostali twórcy koncentrują się głównie na obronie polskości w Łodzi. Zaskakuje jednak przede wszystkim obecność lub brak w wymienionych utworach konkretnych narodowości oraz samo ujęcie tych, które pisarze objęli zainteresowaniem.

5.1.1. Niemiecko-polskie animozje w powieści Alfreda Erwina Rennera *Deutsche Schicksalswege in Lodz*

Ze względu na znaczenie Niemców dla rozwoju Łodzi, rozpatrzenie współżycia łódzkiej triady narodowościowej należałoby zacząć od utworu z kręgu twórczości tej grupy. Nie dysponujemy jednak utworem epickim, który by w pełni odpowiadał naszym kryteriom[13]. Jedyna powieść ukazująca życie Niemców w Łodzi, *Deutsche Schicksalswege in Lodz*: *ein historischer Roman* Alfreda Erwina Rennera, jest nie tylko niedostępna i nieprzetłumaczona na język polski, ale też powstała na początku lat osiemdziesiątych XX w.[14] Należałoby więc postawić podstawowe pytanie: świadkiem czyjego spojrzenia na Łódź i jej rzeczywistości jesteśmy w tej powieści? Ponieważ jednak utwór A. E. Rennera pod względem czasu i miejsca akcji jest porównywalny z przywołanymi wcześniej utworami, warto i na niego zwrócić uwagę.

Omówienie powieści znajdziemy w publikacji *Pod jednym dachem*[15]. Ze względu na brak możliwości bezpośredniej lektury, będziemy musieli z niego skorzystać.

Historyczna powieść Rennera *Deutsche Schicksalswege in Lodz* (*Losy Niemców w Łodzi*) – czytamy w omówieniu utworu – ukazuje życie niemieckiej rodziny sukienników von Eichberg, należących do pierwszych niemieckich osadników w Łodzi. Czytelnikowi przedstawiona zostaje na jej przykładzie przede wszystkim niemiecka kultura i obyczajowość. Rodzina von Eichberg tworzy zamknięty krąg i nie ma zamiaru nawiązywać kontaktów z innymi narodowościami. Członkowie rodziny są bowiem zdania, że „zawsze byli przyzwoitymi i świadomymi własnej kultury Niemcami i takimi też pozostaną". Podkreślają, że „nie są Polakami tylko łódzkimi Niemcami". Równocześnie boją się, że Polacy „chcą wszelkimi środkami spolonizować Niemców w Łodzi tak dalece, że staną się oni Polakami". Tak więc ochrona ducha niemieckiego staje się ich najważniejszym, życiowym celem. [Akcja powieści] urywa się w przededniu drugiej wojny światowej. Młodzi małżonkowie von Eichberg opuszczają Polskę, aby tu nigdy nie powrócić[16].

---

[13] Jedyną łatwo dostępną powieścią z tego kręgu kulturowego jest *Hotel Savoy* (1924) Józefa Rotha. Utwór ten wszakże, interesujący choćby ze względu na autora *Marsza Radetzkiego*, jest nieprzydatny. Jego akcja została wprawdzie umieszczona w łódzkim hotelu, powieść nie jest jednak poświęcona miastu. Możemy co najwyżej przywołać fragmenty (nieliczne), ukazujące jego realia – nędzę, brud, kominy lub żywiołowy ruch w mieście. Te wszakże mogą być charakterystyczne i dla innych miejsc.

[14] Pierwsze wydanie powieści A. E. Rennera miało miejsce w 1983 r. Na podstawie informacji bibliograficznych w: *Deutsche Schicksalswege in Lodz*, http://books.google.pl/books/about/Deutsche_Schicksalswege_in_Lodz.html?id=AZ7OSgAACAAJ&redir_esc=y (dostęp: 10.09.2012). Alfred Döblin był z pochodzenia Żydem. Ponieważ jego więzi z Niemcami i kulturą niemiecką były bardzo silne, do jego przewodnika odwołano się w części rozważań poświęconych obecności w Łodzi Niemców.

[15] Tamże, s. 82–103; za: *Pod jednym dachem*..., s. 212.

[16] *Pod jednym dachem*..., s. 90.

Z tego krótkiego omówienia wyłania się obraz rodziny zamkniętej, niechętnej innym narodowościom i ceniącej jedynie własną kulturę. Jej niemiecko-łódzka tożsamość budowana jest też w wyraźnej opozycji do tożsamości polskiej i Polski. Posiłkowanie się omówieniem utworu z pewnością nie jest zabiegiem fortunnym. Nie może bowiem zastąpić bezpośredniej lektury i wynikających z niej refleksji. Wyłania ono jednak obraz zgodny z przekazami na temat życia Niemców w Łodzi[17], także z ujęciami tego problemu w literaturze naukowej. Z jakichś powodów polska tożsamość narodowa i kultura najwyraźniej niepokoiły Niemców i były na tyle atrakcyjne lub destrukcyjne, że trzeba było się przed nimi bronić. Może to dziwić, skoro, jak wiemy z poprzednich rozdziałów, mniejszość niemiecka zdecydowanie przeważała liczebnie i materialnie w początkach fabrycznej Łodzi wśród mieszkańców miasta. Dominowała ona również później wśród elit fabrycznych Łodzi wielkoprzemysłowej (właścicieli i pionu kierowniczo-technicznego). Nie wiemy, niestety, jaki był stosunek Niemców do Żydów. Omówienie powieści A. E. Rennera nic do tego tematu nie wnosi.

Podsumowując tę część rozważań, wypada stwierdzić, że prawdopodobnie na obrazie Łodzi i jej mieszkańców u A. E. Rennera zaciążyły w postrzeganiu innych nacji stereotypy narodowe i podobne w charakterze fobie. Należy w tym miejscu odwołać się również do zdania historyków. P. Samuś zwraca uwagę, że środowisko zamożniejszych Niemców było lojalne wobec państwa rosyjskiego i w sposób demonstracyjny składało tego dowody. W latach osiemdziesiątych XIX w. na łamach miejscowej prasy deklarowało ono więzi uczuciowe z rosyjską „wielką ojczyzną". Taką postawą Niemcy nie mogli zdobyć sympatii Polaków, pielęgnujących tradycje narodowowyzwoleńcze. Wpływ na społeczność niemiecką w Łodzi wywarły także szerzące się w XIX w. idee nacjonalistyczne i pangermańskie hasła oraz poczynania organizacyjne i kulturalne, mające na celu odbudowę i umocnienie więzi łódzkich Niemców z Rzeszą Niemiecką[18]. W znacznym stopniu zaciążyły one negatywnie na stosunkach polsko-niemieckich, a także na postrzeganiu Niemców w ogóle. Nie należy jednak zapominać, że część społeczności niemieckiej czuła się związana z Polską, czego dowody dała po odzyskaniu niepodległości w 1918 r.[19]

---

[17] Na istnienie niechęci Niemców do Polaków i wynoszenie się tej narodowości ponad polską wskazują wyraźne odwołania, np. w utworze Wł. Rowińskiego *Julka*, o czym niżej w tekście głównym.

[18] P. Samuś, *Łódź – mała ojczyzna Polaków, Niemców i Żydów*, [w:] *Polacy, Niemcy i Żydzi w Łodzi w XIX i XX wieku. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Wyd. Ibidem, Łódź 1997, s. 127.

[19] Por. tamże.

5.1.2. Relacje polsko-niemieckie i polsko-żydowskie w prozie Walerii Marrené-Morzkowskiej, Wincentego Kosiakiewicza, Władysława Rowińskiego oraz Zygmunta Bartkiewicza

Omówienie koegzystencji Polaków, Niemców i Żydów w Łodzi, ukazanej w twórczości Polaków, zaczniemy od utworów *Wśród kąkolu* W. Marrené-Morzkowskiej, *Bawełny* W. Kosiakiewicza i twórczości Wł. Rowińskiego, głównie *Julki*, ze względu na pewne powinowactwo tematyczne pomiędzy nimi a powieścią A. E. Rennera, w której, jak pamiętamy, wystąpił motyw obrony tożsamości narodowej i kulturowej Niemców przed Polakami. Wymienione tu polskie utwory zdradzają bardzo wyraźnie istnienie konfliktu czy też napiętych stosunków polsko-niemieckich. W każdym z nich mocno się akcentuje lub tylko napomyka, że w Łodzi dominował język niemiecki. W. Marrené-Morzkowska w powieści kilkakrotnie podkreśla niezadowolenie głównego bohatera, Jana Krzesławskiego, z wszechwładnego panowania tego języka w mieście (Mar.-Morz., np. s. 175–180). Niektórzy polscy bohaterowie *Wśród kąkolu* wręcz szczycą się znajomością niemieckiego; zdarzają się nawet i tacy, jak lekarz Frömlich, którzy zapomnieli o swoich polskich korzeniach, stali się Niemcami i głoszą wyższość języka niemieckiego nad polskim (Mar.-Morz., np. s. 211–213). Nie trzeba dodawać, że te postaci nie są bohaterami pozytywnymi powieści. Istnieje też w utworach W. Marrené-Morzkowskiej i W. Kosiakiewicza wyraźny podział na szlachetnych Polaków i nieuczciwych Niemców.

Najmniej problem ten jest wyeksponowany w *Julce* Wł. Rowińskiego, a polsko-niemieckie animozje przedstawione są niemal jako „pokojowe", choć dochodzi do starcia na pięści i kufle między Polakami i Niemcami. Przypomina ono jednak bardziej bójkę nastroszonych uczniaków niż prawdziwych i zażartych wrogów. U tego pisarza znajdujemy albo tylko pozbawioną komentarza suchą relację o pewnych faktach z życia Łodzi, albo ich sfabularyzowaną wersję, bez ataków na inne narodowości i złośliwych uwag, na przykład:

> Sprawdziły się pogłoski, co do „Łodzierki: zmieniła ona format, treść i kierunek. Przy stole redakcyjnym zasiadł pruski junkier, Kulturtreger, który [...] pisał ziejące żółcią artykuły. Wymyślał swoim za brak patriotyzmu dla wielkiej „über alles", wyśmiewał tubylców z ich sentymentalizmu, zapóźnionych żalów, niewczesnych zamiarów, „Posnische-wirtschafft" zohydzał na równi z najzacieklejszymi wrogami polskości (Row., s. 121).

Nieco dalej Wł. Rowiński ukazuje manifestację Polaków przeciw poczynaniom Niemców w mieście i rodzącej się niechęci do gospodarzy

wśród tej narodowości. Jej uczestnicy w sposób humorystyczny chcieli przypomnieć Niemcom ich przybycie do Łodzi[20]. Zapewne nie dowiemy się, czy mamy tu do czynienia z wydarzeniem autentycznym, czy też z pomysłem pisarza i dziennikarza, jak radzić sobie z pogardliwym stosunkiem Niemców do Polaków. Warto też wspomnieć o jego noweli *Bez tytułu*. Ukazuje ona rodzącą się miłość pomiędzy wykształconym chemikiem Karolem Melcerem, Niemcem z pochodzenia, a za to – jak sam mówi – Polakiem duszą i ciałem, oraz Zofią Regerówną, córką niemieckiego fabrykanta. Zarówno „Polak z wyboru", jak i rodzina dziewczyny oraz ona sama są postaciami szlachetnymi i ze wszech miar godnymi szacunku[21]. Nowela zdaje się potwierdzać proniemieckie sympatie pisarza, nie znajdujemy też w niej nawiązań do waśni między Polakami i Niemcami. Warto dodać, że Wł. Rowiński spędził w Łodzi kilka lat; być może spotkał Niemców, którzy nie żywili niechęci do Polaków albo też – po prostu – przyjmował tego typu konflikty jako nieuniknione w sąsiadujących ze sobą zbiorowościach i nie nadawał im szczególnego znaczenia.

Koleżanka po piórze Wł. Rowińskiego, W. Marrené-Morzkowska, jest mniej powściągliwa w ujawnianiu swoich poglądów czy też może w realizowaniu dydaktycznych trendów epoki. Jej powieść jest ciekawsza, ale, niestety, pełna stereotypów, czasem ocierających się o humorystyczne absurdy, które dzisiaj drażnią: jeśli Niemiec – to atletyczny, rudobrody i rudowłosy mężczyzna z ogromnymi rękoma i niewielkimi oczami, na którego twarzy znać było wytrwałość i bezwzględność rasy germańskiej (Mar.-Morz., s. 172), do tego „krzyżacki potomek" (!) o dzikich, niezbyt głęboko ukrytych instynktach (Mar.-Morz., s. 247). Jeśli Niemka, to koniecznie gospodyni okręcona w barchany i w przydeptanych pantoflach, grzebiąca łyżką w garnku, a jak kobieta dobrze ubrana – to znów albo zupełnie pozbawiona gustu, albo nic nie było w stanie zmienić jej fizjonomii, zawsze poznawało się w niej sprzątaczkę, praczkę albo ku-

[20] „Pewnego dnia" – czytamy w utworze Wł. Rowińskiego – „ulica Piotrkowska przedstawiała niezwykły widok. Od Górnego Rynku ciągnął się sznur ludzi dziwacznie ubranych i dziwnymi przyborami otoczonych. Było ich z pół setki, a każdy miał na sobie obszarpaną sukmanę kolonisty niemieckiego, czapę podobną do wroniego gniazda, fajkę na długim cybuchu w ustach, popychał taczkę i wiódł psa za sobą. W przebraniu tym na czele postępował Jankowski, niosąc tablicę, na której napis głosił: «Pamiętajcie, że tak przyszliście». Była to cicha manifestacja przeciwko wybrykom niemieckim, manifestacja humorystyczna lecz wyraźna" (Row., s. 122).

[21] Wł. Rowiński, *Bez tytułu*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 161–165. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

charkę. Panna zaś koniecznie musiała być głupia i niedouczona, niezdolna do głębszego wysiłku umysłowego[22].

Świat Niemców jest momentami groteskowy, a oni sami źli, nastawieni na zysk, nieczuli na krzywdę ludzką, łamiący wszelkie zasady ludzkie i boskie: oszukują robotników, kradną podstępnie Polakom ojcowiznę, dają pracę swoim rodakom, wyrzucając Polaków na bruk i pozbawiając ich środków do życia, nie płacą odszkodowań za wypadki, szantażują, łajdaczą się, wykorzystują polskie kobiety, drwią i szydzą z Polaków. Przeciwstawieni są im szlachetni Polacy, ale ich powieściopisarka też nie oszczędza, jeśli sprzeniewierzają się ojczyźnie i swój interes stawiają ponad dobrem Polski. Czyny złe etycznie często u tych postaci idą w parze z brakiem patriotyzmu. Taki jest, na przykład, Aureli Świrski, który dopomógł niemieckiemu fabrykantowi Pifkemu w ograbieniu szlachcica Bosowicza. Jak na ironię, siostrzeniec Świrskiego jest cichym wielbicielem córki Bosowicza – pracowitej, łagodnej, kochającej, czułej i spokojnej Anny (jakiż kontrast dla Amalii, bezdusznej i głupiutkiej, mimo kształcenia się w pierwszorzędnej pensji; możliwości kształcenia pozbawił Annę ojciec Amalii!). Tym, którzy ulegają Niemcom z egoistycznych pobudek, autorka wytyka obłudę, prywatę i zaprzedanie się. Bohaterem pozytywnym powieści W. Marrené-Morzkowskiej jest Jan Krzesławski – „łódzki Judym"[23]. Postać to niezwykle szlachetna – obrońca języka i kultury polskiej, prawy, prostolinijny, śmiały w wypowiadaniu swoich opinii, bezkompromisowy, bezsprzecznie dobrze wykształcony, do tego odważny – staje w obronie Bosowiczów, nie waha się przeciwstawić możniejszym i silniejszym pozycją (a przecież od poparcia w Łodzi wszystko zależało), a także silniejszym fizycznie (udaje się w poszukiwaniu złodzieja na osławione Bałuty), broni robotników i chce ich leczyć, mimo że nie są to klienci, którzy mogliby zapewnić mu utrzymanie. Słowem – jest to typowy pozytywistyczny bohater[24].

Konstrukcja utworu W. Kosiakiewicza oparta jest na kontraście pomiędzy uczciwym Polakiem i „uczciwym po łódzku" Niemcem, których przypadek uczynił w Łodzi wspólnikami. Dla bohatera powieści, Juliana Rumińskiego, tak jak i dla Jana Krzesławskiego, nie istnieje jednak

[22] „Amalia" – czytamy w utworze – „jak każda Niemka, miała się za osobę bardzo poetyczną; była wielbicielką Schillera, ale zniżała go do swego poziomu" (Mar.-Morz., s. 249). K. Kołodziej postać Amalii uznaje za najciekawszą postać w rodzinie bogatego fabrykanta Pifkego (zob. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie pozytywistyczno-młodopolskim*, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2009, s. 24).

[23] H. Karwacka, *Łódź w oczach pozytywistki. „Wśród kąkolu" Walerii Marrené-Morzkowskiej – pierwsza powieść o fabrycznym mieście*, „Prace Polonistyczne" 1975, seria XXXI, s. 157.

[24] Por. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie…*, s. 26–28.

„uczciwość łódzka": albo jest się człowiekiem uczciwym, albo jest się łajdakiem. Niemiec Stein jest dla Rumińskiego złodziejem, ponieważ bankrutował i regulował długi, ale odpowiednio zaniżone, czyli okradał swoich wierzycieli – resztę tego, co powinien oddać, zabierał dla siebie. W Łodzi był to powszechny proceder, dla Rumińskiego jednak, którego uczciwość jest silnie sprzężona ze szlacheckim etosem, takie działanie jest jednoznacznie negatywne. Rozwój akcji pokazuje, że z dwóch wspólników to główny bohater ma rację, a ponadto, wbrew temu, co twierdził Reymontowski Maks Baum – uczciwość jest cnotą, która w Łodzi W. Kosiakiewicza posiada ogromną wartość. Dzięki niej właśnie główny bohater mógł ponownie rozpocząć działalność – dopomógł mu w tym fabrykant, który docenił tę cechę charakteru u Rumińskiego[25].

Warto zwrócić uwagę, że w utworach wyżej wymienionych autorów nie znajdujemy w ogóle antagonizmów polsko-żydowskich ani też niechęci do tej narodowości. Zaznaczyć trzeba jednak, że ta społeczność albo pojawia się na marginesie ich świata przedstawionego, albo w ogóle nie jest w nim ujęta. Ta sytuacja wynika jednak nie z tendencji do marginalizowania Żydów – umniejszyć ich znaczenia w Łodzi z pewnością nie było można – ile z konstrukcji świata przedstawionego. Powieści te, w przeciwieństwie do utworów Wł. S. Reymonta i I. J. Singera, nie ukazują panoramy społecznej miasta, lecz tylko wąskie grono bohaterów, które ma reprezentować pewną grupę społeczności – Polaków, głównie inteligencję, i ich problemy. Brak w tych powieściach Żydów jest jednak znamienny – najwidoczniej autorzy uznali, że nie jest to społeczność niezbędna do wykreowania prawdopodobnego obrazu życia Polaków w mieście. W utworach, poza ogólnymi uwagami, na przykład, że „Żydzi protegują tylko swoich" (Mar.-Morz., s. 176) lub przypadkowego opisu ich domu (Kosiak., s. 297), znajdujemy nieliczne sytuacje, w których występują żydowskie postaci, zawsze w charakterystycznych dla nich, stereotypowych sytuacjach. U Wł. Rowińskiego poznajemy fabrykanta Kalmana Gdańskiego, najzamożniejszego z łódzkich Żydów, o którym było wiadomo, że spalił dwa razy dobrze ubezpieczoną fabrykę, oszukał zagraniczną firmę na kupnie maszyn, płacił robotnikom fałszywymi pieniędzmi i przywłaszczył fundusz z kar ściąganych z robotników za wykroczenia przeciw regulaminowi w fabryce, sam jednak bezwzględnie wymagał od

[25] Problem „łódzkiej uczciwości", jak zaznaczono, podnoszony jest we wszystkich powieściach. Podsumować go można fragmentem powieści Rowińskiego: „Rasz uwiódł córkę Pretzlowi" – mówi jeden z bohaterów – „to samo zrobił Kaszmir z córką Decza; Gdański spalił się dwa razy, Hans zbankrutował, Golik podszedł konkurenta. A wszyscy, jak wiesz, są teraz bogaczami. Zresztą wszyscy parobasy [fabrykanci]! Bez wykształcenia, bez poczucia moralnego, bez honoru" – charakteryzuje na koniec fabrykantów (Row., s. 100).

nich uczciwości (Row., s. 128). W. Marrené-Morzkowska natomiast kreuje wszystkowiedzącą i znającą wszystkich Żydówkę Rubinkę – szynkarkę, o której niewiele wiadomo, gdyż bardzo dba o swoją anonimowość. Oprócz prowadzenia szynku jest chętna do podjęcia się za odpowiednią opłatą każdej posługi. Potrafi znaleźć włóczęgę, który służył po dworach, a także namówić do małżeństwa niechętną mężczyźnie dziewczynę. Jej usługi ocierają się niemal o stręczycielstwo. Jest jednak dobrą dyplomatką i w związku z tym osobą w środowisku raczej lubianą (Mar.-Morz., s. 194–198). Nie budzi też niechęci czytelnika, z pewnością zwróci on jednak uwagę na przebiegłość – wyraźnie rysującą się cechę jej charakteru.

Brak społeczności żydowskiej w świecie powieściowym omawianych wyżej utworów da się wytłumaczyć jeszcze inaczej. Wydaje się, że dla społeczeństwa polskiego przełomu XIX i XX w. problem zaczyna stanowić wspomniany wcześniej szerzący się niemiecki nacjonalizm i hasła pangermanizmu. Jak zauważyliśmy, w utworach Wł. Rowińskiego, W. Kosiakiewicza i W. Marrené-Morzkowskiej widać wyraźnie negatywny stosunek do Niemców i ich języka. Taki sam stosunek cechował wcześniej Podhalskiego, bohatera sztuki W. Dłużniewskiego oraz samego autora sztuki. Czy więc zawsze pomiędzy Polakami a Niemcami istniały tak napięte stosunki? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w prozie reportażowej Z. Bartkiewicza *Złe miasto*. W początkach istnienia Łodzi jako miasta przemysłowego, w Łodzi rękodzielniczej, nie istniał chyba jakiś szczególny konflikt pomiędzy Polakami i Niemcami, choć niewątpliwie przywileje, którymi obdarowano kolonistów, mogły budzić antagonizmy. Wydaje się jednak, że poszczególne narodowości, w tym również Żydzi, żyły z sobą w zgodzie, wszystkie bowiem wzajemnie siebie potrzebowały. Kilkakrotnie – przypomnijmy – podczas corocznej Zabawy Strzeleckiej królami kurkowymi zostawali Polacy, a była to przecież zabawa kultywowana przez Niemców. Nie obywało się, oczywiście, bez problemów, o czym świadczy sztuka Dłużniewskiego *Wyprawa do Ameryki* oraz kłopoty samego poety. I. J. Singer wspomina o pogromie Żydów, którego dokonali Niemcy obawiający się o swoją produkcję[26].

[26] I. J. Singer pisze: „Niemieccy rzemieślnicy uznali, że grozi im niebezpieczeństwo ze strony tych kominów [reb Szlojme Duweda], które zabierają ludziom pracę. [...] Źli i gniewni gromadzili się jeszcze po szynkach i przepijali ostatnie grosze. A pewnego sobotniego wieczoru wyszli z pochodniami, nożami i żelaznymi łomami i połamali Żydowi maszyny, naftą oblali ściany i podpalili. Na przodzie szli niemieccy majstrowie, niosąc cechowe chorągwie. A potem pijani i rozjuszeni wpadli na żydowskie ulice ze śpiewami i przekleństwami i jak ich niemieccy dziadowie w niemieckiej ojczyźnie, rzucali się na Żydów, wybijali szyby, bili, rabowali i wrzeszczeli: – Hep, hep, *jude*...

Lecz wtedy otoczyli ich kozacy, nagimi szablami zapędzili do Łódki i bili nahajkami po głowach" (Sing. I, s. 27). Nie wiemy, kiedy miał miejsce ten pogrom. Zgodnie

Pogorszenie się wzajemnych stosunków i nasilenie antagonizmów polsko-niemieckich nastąpiło wraz z mechanizacją przemysłu. Symbolicznym wyrazem tej sytuacji może być rozpad przyjaźni pomiędzy Polakiem, Józefem Żabusiem, i przybyłym do Polski Niemcem Wurstem w opowiadaniu *Dwa pokolenia* Wł. Rowińskiego. Na skutek wzrostu zamożności Niemca najpierw rozpadła się przyjaźń starszej generacji, później zupełnie rozeszły się drogi ich synów. Stary Wurst, pamiętający ciężkie czasy, czuje wdzięczność wobec Polski, doświadcza silnej więzi z nową ojczyzną. Wyrzuca sobie, że zapomniał o starym przyjacielu. Syn Wursta, Hans, uważa siebie za Niemca, a ponadto głosi wyższość kultury niemieckiej nad kulturą polską[27].

Koniunktura w łódzkim przemyśle w drugiej połowie XIX w. spowodowała kolejną falę napływu Niemców do Łodzi. Zaczęli oni zastępować gorzej wykształconych Polaków na ich stanowiskach pracy i obejmować funkcje kierownicze, o czym wspomina się w omówionych wyżej utworach. Niemieccy robotnicy byli lepiej przygotowani do pracy w przemyśle, ponieważ przyjeżdżali do Łodzi „za chlebem", z odpowiednim, cennym bagażem doświadczeń. Polscy robotnicy natomiast wywodzili się ze wsi i dopiero co ją opuścili. Nie bez znaczenia w Łodzi była również znajomość języka niemieckiego, której polscy chłopi nie posiadali.

O tych antagonizmach pomiędzy Niemcami i Polakami czytamy również w prozie publicystycznej Z. Bartkiewicza.

> Dziś trudno by orzec – pisze warszawski dziennikarz – jaki tu żywioł panuje, poza tą mocą, co spętała ludzi w sieć wspólnych interesów [...]. Do czegoś jednak tutaj tak przywykli, że dobrze im tylko w tej walce i wysileniu wprost zdumiewającej twórczości, natchnionej przez chciwość. Lecz z niej właśnie rosła powoli, aż nagle wyrosła masa, zwarta z cząstek spoistych, a jak jednolita! – Żydzi. Trzeźwi, nieulegli, zwarci, jak powinien być naród. Tworzą powoli nowe życia warunki, a choć drwią z nich Niemcy, a my pokrzykujemy wesoło, że nie zginęliśmy jeszcze [...] oni postępują wciąż naprzód i prą, już silni samorodnym rozumem, sprytem, rozwagą i tą zgodną jednomyślnością, której uczy tylko – nieszczęście. [...] Polacy tymczasem, dogadzając przysłowiu, o dwóch, co się kłócą, prowadzą wojnę z Niemcami, wypominają im chleb polski, pałace z krwawicy, jak gdyby to było polskiej ziemi zasługą, że przybysze ładem, zapobiegliwością... i trzecim sposobem zdobyli majątki. Ale jak to się dziwnie zmieniają czasy i ludzie. Gdy dzisiejszy milioner w dwa pieski podróżował skromnie i przybył do małej osady, wtedy z panem rajcą i łykiem zamożnym żył w zgodzie, a dziś, gdy ten i ów z polskości coś przejął, a nasz pan brat od Niemców czegoś się nauczył, dziś – plwają na siebie i żrą jedni drugich (Bartk., s. 36).

z konstrukcją świata przedstawionego, było to w czasach Łodzi rękodzielniczej. Problem jednak w tym, że pierwsze zmechanizowane fabryki założyli w miasteczku Niemcy.

[27] Wł. Rowiński, *Dwa pokolenia*, [w:] *Łódź, która przeminęła*..., s. 149–156.

Spośród przedstawionych wyżej ujęć stosunków polsko-niemieckich najbardziej obiektywna wydaje się wypowiedź Z. Bartkiewicza. I on wszakże zwraca uwagę na pogorszenie stosunku Niemców do Polaków w Łodzi przełomu wieku XIX i XX. Podkreśla również powstanie drugiej potęgi łódzkiego świata – Żydów. Niewątpliwie podziwiał ich jako naród, ale w obrazie tej narodowości nie uniknął ujęć stereotypowych. Wydaje się, że na omówionej wyżej twórczości piętno odcisnęły nacjonalistyczne trendy (niekoniecznie nacjonalizm jakiejś konkretnej narodowości) epoki. Na powieściach W. Kosiakiewicza i W. Marrené-Morzkowskiej mogły zaciążyć idee warszawskiego pozytywizmu, którego przedstawiciele pod wpływem ideologii Narodowej Demokracji byli niechętni Niemcom.

Warto również zwrócić uwagę na to, co zaobserwował na początku XX w. H. Vimard podczas pobytu w Łodzi. Stwierdził mianowicie wyraźną dyskryminację Polaków i liczne przywileje, z których korzystali w tym samym czasie Niemcy. Używanie polskiego języka i godła było zakazane i surowo karane, Niemcy w analogicznych sytuacjach nie musieli się obawiać represji. Innym przykładem różnic w sposobie traktowania narodowości polskiej i niemieckiej przez władze rosyjskie było zamknięcie polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół"[28], natomiast stowarzyszenia gimnastyczne niemieckie sam gubernator wojenny Kaznakow „zaszczycał komplementami"[29]. Takie sytuacje również mogły budzić niechęć Polaków do Niemców, zwłaszcza gdy ci prezentowali typowo nacjonalistyczne podejście do własnej ojczyzny.

Nie zauważamy w twórczości W. Marrené-Morzkowskiej, W. Kosiakiewicza i Wł. Rowińskiego, a także w publicystyce Z. Bartkiewicza – co należy podkreślić – przejawów antysemityzmu. Wyraźnie natomiast rysuje się u tych pisarzy postrzeganie innych nacji poprzez stereotypy

[28] Towarzystwa Gimnastyczne „Sokół" zaczęły powstawać w Galicji. Pierwsze zostało założone w 1867 r. we Lwowie. Podobne związki w Królestwie Polskim powstawały od 1905 r. Celem działalności Towarzystw było podtrzymywanie i rozwijanie świadomości narodowej, podnoszenie sprawności fizycznej oraz wyrabianie tężyzny fizycznej i sił moralnych młodzieży polskiej. W Łodzi Towarzystwo zaczęło działać (początkowo przez krótki czas legalnie) od 1905 r. na Bałutach wśród młodzieży rzemieślniczej, przyczyniając się do nauki czytania i pisania, wzrostu czytelnictwa, a także krzewienia wiary (Bartk., s. 52). Towarzystwo pozostawało pod silnym wpływem Narodowej Demokracji. Z jego istnieniem wiąże się znane hasło „W zdrowym ciele zdrowy duch".

[29] „Niemcy mają w Łodzi teatr, dwie duże gazety codzienne, jeden tygodnik". Utarło się, że do tych towarzystw Polacy nie mieli wstępu. „Każdej zimy konsul z Warszawy przyjeżdża na wielki bal dobroczynny, urządzany przez kolonię; bywają też na nim wszyscy dygnitarze miejscowi. Sala jest dekorowana godłami cesarstwa niemieckiego i hymn narodowy niemiecki rozbrzmiewa w niej obok hymnu rosyjskiego. Łatwo pojąć uczucia Polaków, których śpiewy narodowe i godła tradycyjne surowo są zakazane" (H. Vimard, *Łódź. Polski Manszester*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001, s. 19–20).

narodowe[30]. Na stosunkach polsko-niemieckich zaciążyło wspomniane wyżej nasilenie nastrojów nacjonalistycznych i progermańskich wśród społeczności niemieckiej. Jerzy Bartmiński stwierdza, że postawa wrogości Polaków wobec Niemców narastała wraz ze wzrostem hegemonii Prus i przyjmowania przez nie funkcji reprezentanta całych Niemiec. W świadomości polskiej następowała identyfikacja tego, co pruskie, z tym, co krzyżackie i niemieckie. W obrazie Niemca eksponowano m.in. takie cechy, jak bezwzględność, brutalność, egoizm, arogancja, okrucieństwo, pogarda, pycha, nieuczciwość, megalomania, kult siły, obłuda, mściwość, stosowanie przemocy, zachłanność, zadufanie. Utrwalił się wówczas frazeologizm „buta niemiecka", stanowiący dominantę w ówczesnym wariancie stereotypu Niemca[31]. Wszystkie wymienione tu cechy znajdziemy w wykreowanym obrazie powieściowych Niemców. Podobny obraz ukazuje w *Złym mieście* Z. Bartkiewicz.

Nieco inaczej kształtował się obraz Żydów w utworach pozytywistycznych. Monika Szabłowska zwraca uwagę ich na nowy wizerunek. Pozytywiści chcieli uświadomić czytelnikom, że Żyd nie jest tylko chciwym i bezdusznym kupcem, lecz człowiekiem odczuwającym i cierpiącym jak inni. Pod koniec XIX w. pisarze zaczęli też rozróżniać w społeczności żydowskiej ludzi biednych i bogatych oraz wynikające z tego podziały[32]. Omówione wyżej utwory potwierdzają zdanie M. Szabłowskiej, choć, jak zwróciliśmy uwagę, bohaterowie żydowscy to postaci epizodyczne i sporadycznie w nich występujące. Spostrzeżenia te potwierdza w całości obraz Żydów w *Złym mieście* Z. Bartkiewicza: na jednym biegunie znajdujemy bogatego Żyda, który brzydzi się tanią rozrywką i wieczory woli spędzać w teatrze. Tu jednak w chwilach wolnych lub w chwilach znudzenia wyjmuje notes i liczy, jaki dochód może przynieść oglądane widowisko. Drugi biegun stanowią niziny społeczne, wyraźnie traktowane z sympatią przez warszawskiego publicystę. Przeciwstawia się on pogromom i podkreśla solidarność tej nacji w obliczu nędzy.

---

[30] Pojęcie stereotypu zostanie szerzej omówione w rozdziale poświęconym Łodzi jako „pustyni kulturowej". Stereotypy narodowe budzą dziś duże zainteresowanie Polaków, być może ze względu na chęć odszukania własnego wizerunku u innych nacji. Są również przedmiotem zainteresowania różnych dyscyplin naukowych, por. na przykład: *Mity i stereotypy w dziejach Polski*, red. J. Tazbir, Polska Agencja Interpress, Warszawa 1991; *Stereotypy i uprzedzenia. Uwarunkowania psychologiczne i kulturowe*, red. M. Kofta, A. Jasińska-Kania, Scholar, Warszawa 2001; *W kręgu mitów i stereotypów*, red. K. Borowczyk, P. Pawelczyk, Wyd. Marszałek, Poznań–Toruń 1993.

[31] J. Bartmiński, *Jak zmienia się stereotyp Niemca w Polsce*, „Obyczaje" 2001, nr 4, http://tnn.pl/tekst.php?idt=311 (dostęp: 21.01.2013).

[32] M. Szabłowska, *Obraz Żyda w literaturze (rekonesans)*, 2000, http://tnn.pl/tekst.php?idt=328 (dostęp: 21.01.2013).

Odwołajmy się jeszcze do zdania historyków i zwróćmy uwagę, że pod koniec XIX w. na relacje polsko-żydowskie miały wpływ inne czynniki. Paweł Samuś podkreśla istnienie więzi, jakie wytworzyły się pomiędzy zasymilowanymi Żydami a Łodzią. Dały się one zauważyć już przed powstaniem styczniowym. Na początku XX w. przedstawiciele polskiej inteligencji wyznania mojżeszowego piastowali już ważne stanowiska honorowe w mieście, a ponadto pomiędzy tą społecznością i kolonią Polaków utrzymywały się stosunki towarzyskiej zażyłości. Inaczej przebiegał rozwój relacji narodowościowych pomiędzy Polakami i Żydami ortodoksyjnymi, opornymi na asymilację lub wręcz jej wrogimi. Jeszcze inne stosunki panowały pomiędzy zrusyfikowanymi litwakami, którym wrodzy byli nawet miejscowi, łódzcy Żydzi, a Polakami[33]. Istnienie skomplikowanych i trudnych relacji pomiędzy narodowością polską a niezasymilowaną narodowością żydowską ukazują powieści Wł. S. Reymonta *Ziemia obiecana* oraz I. J. Singera *Bracia Aszkenazy*. Obie zdradzają także uwarunkowania tego stanu rzeczy. Te problemy zostaną podjęte w następnych częściach niniejszego rozdziału.

5.1.3. Kreacja współistnienia łódzkiej triady narodowościowej w powieści Władysława S. Reymonta *Ziemia obiecana*

Polski noblista, jako jedyny spośród pisarzy przełomu wieków XIX i XX podejmujących problematykę przemysłowej Łodzi, ukazał wszystkie trzy narodowości w niej mieszkające. Starał się też „równo je obdzielić" na kartach powieści wadami i zaletami. Najwięcej uwagi poświęcił jednak Polakom, w drugiej kolejności Żydom i proporcjonalnie najmniej – Niemcom. Mamy u niego cały właściwie przekrój polskiej społeczności: byłych ziemian Trawińskich, którzy przybyli do Łodzi, by rozwijać polski przemysł; szlachtę, która z własnej woli porzuciła gniazda rodzinne, jak Borowiecki i Kurowski, albo też została „wysadzona z siodła", zasilając – w zależności od sytuacji – szeregi inteligencji (Wysocki, Malinowski), rodzący się proletariat (Malinowscy), a nawet lumpenproletariat (Jaskólscy); chłopów, którzy znaleźli zatrudnienie w Łodzi (Sochowie lub Stach Wilczek) bądź tułali się po mieście, szukając pracy w fabryce, najczęściej zaś jakiegokolwiek zatrudnienia, oraz robotników (rodzina Malinowskich); także ludzi bez konkretnej przynależności społecznej, utrzymujących się ze służby. Kwintesencją społeczności polskiej w Łodzi wydaje się wyraźnie lubiana przez Wł. S. Reymonta „kolonia" – grupa kobiet różne-

[33] P. Samuś, *Łódź – mała ojczyzna*..., s. 128.

go pochodzenia, które w Łodzi starały się na miarę swoich możliwości i umiejętności utrzymać przy życiu[34].

Niemieckich przemysłowców-milionerów reprezentuje wszechpotężny Bucholc i jego zięć Knoll, stary Müller wraz z rodziną, Kessler oraz schodzący z areny przemysłowej Łodzi, niegdyś dobrze prosperujący właściciel fabryki ręcznych warsztatów – stary Baum i jego syn Maks, próbujący u boku Borowieckiego i Welta, a w końcu Wilczka szczęścia w Łodzi. Spotykamy ponadto spolonizowanego, zdobywającego w fabrycznym mieście doświadczenie, a pochodzącego z Warszawy von Horna. Wśród Żydów Wł. S. Reymont przedstawia głównie przemysłowców i bankierów oraz ich rodziny: Szaję Mendelsohna, jego syna Stanisława i córkę Różę, rodzinę Endelmanów, małżeństwo Zukerów, Grosglika, Grünspana i jego córki Melę i Reginę oraz męża Reginy, Alberta Grosmana. Podobnie jak w przypadku społeczności polskiej, Wł. S. Reymont ukazuje również kilka epizodycznych postaci niemieckich i żydowskich. Poza tyranizowanym przez Bucholca Augustem nie spotykamy jednak wśród nich postaci wywodzących się z nizin społecznych.

Nie udało się zachować polskiemu nobliście proporcji pomiędzy tymi narodowościami tak dalece, że posądzany był nawet o antysemityzm[35]. B. Koc twierdzi, że ujęcie poszczególnych bohaterów utworu, na przykład miłośnika fabrycznej Łodzi, Halperna[36], lub przykłady podobnych cech

---

[34] Kolonię tworzyło „[...] kilkanaście kobiet, Polek, wyrzuconych przez los z różnych części kraju na łódzki bruk. Były to przeważnie rozbitki życiowe: wdowy, eks-obywatelki ziemskie, eks-kapitalistki, eks-panie, stare panny i młode dziewczyny, które przyszły tutaj szukać pracy. Bieda je połączyła i bieda wyrównała pomiędzy nimi różne towarzysko-kastowe nierówności" (Reym., s. 163–164).

[35] Por. L. Budrecki, *Władysław Reymont. Zarys monograficzny*, Czytelnik, Warszawa 1953, s. 86–96. W monografii znajdujemy interesującą i wnikliwą analizę bohaterów *Ziemi obiecanej* i ukazanych w niej stosunków kapitalistycznych. Należy jednak zaznaczyć, że na wyrażanych opiniach zaciążyły, jak się wydaje, tendencyjne interpretacje okresu powojennego. Autor wprowadza, na przykład, ciekawe omówienie zależności pomiędzy *Ziemią obiecaną* a ideologią Narodowej Demokracji, której Wł. S. Reymont był zwolennikiem, twierdzi jednak, że obraz narodowości żydowskiej został ukształtowany pod wpływem nacisków ze strony przedstawicieli ugrupowania (s. 95), co wydaje się tezą niezbyt fortunną. Rezultatem jej udowadniania jest uwaga, że Wł. S. Reymont jest tak niekonsekwentny w odniesieniu do narodowości żydowskiej, że utwór robi wrażenie, jakby był pisany przez kilku autorów (tamże, s. 87–88). Problemu tego rozwijać nie będziemy, ponieważ rozważania dotyczą innych zagadnień, należy go wszakże odnotować.

M. Adamczyk-Garbowska zdaje się w artykule *Dwie powieści o jednym mieście* śledzić dość dokładnie antysemickie „wpadki" autora. I można się z jej wskazaniami zgodzić, można też uznać je za powielanie stereotypów narodowych (taż, *Dwie powieści o jednym mieście*, „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 82–89).

[36] B. Koc, *O „Ziemi obiecanej" Reymonta*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 53.

i sposobów postępowania u wszystkich interesujących nas narodowości[37], bronią go przed tym posądzeniem. Znajdziemy bowiem wśród nich porównywalne postaci szlachetne lub przynajmniej niebudzące niechęci – Wysockiego i Trawińskiego, Bernada Endelmana i Grosmana, Bauma i Horna lub z gruntu złe, obojętne na los i krzywdę ludzką, dążące za wszelką cenę do zdobycia pieniędzy, pozbawione hamulców moralnych (lub niektóre z tych cech posiadające) – Wilczka i Borowieckiego, Bucholca i Kesslera, Mendelsohna i Grosglika. Proporcje ujęcia wszakże zawsze wypadają na niekorzyść powieściowych Żydów. Przede wszystkim jednak, jak twierdzi B. Koc, przed posądzeniem o antysemityzm broni autora koncepcja powieści:

> Bakcyl łatwego zdobycia pieniędzy w przemysłowej Łodzi zaraził przedstawicieli trzech grup narodowościowych: Żydów, Niemców i Polaków. Tak samo poraził on przedstawicieli trzech grup społecznych: mieszczan, szlachty i chłopów. Zacierają się różnice narodowościowe wobec dominującej chęci posiadania. Autorytet zdobywa wyłącznie posiadacz majątku: kimkolwiek się urodził: Polakiem, roszczącym sobie stale największe prawa do dumy narodowej – Niemcem, najbardziej skłonnym do pychy w chwili zdobycia pieniędzy – czy Żydem, najzdolniejszym z przedstawionych w powieści spekulantem w dziedzinie przemysłu[38].

B. Koc uświadamia również, że dużą wartość *Ziemi obiecanej* stanowi ukazanie zaobserwowanego przez autora zjawiska mechanizacji działalności ludzkiej, obejmującej nie tylko uprzemysłowienie i zależność człowieka od maszyny, ale regulującej także życie jednostki i zbiorowości:

> Reymont podkreśla nieuchronność procesów skłaniających człowieka do kumulacji działań we wszystkich dziedzinach będących w jego zasięgu: przemysł, handel, uprawa, hodowla, wystąpienia gromadne. Człowiek jest istotą społeczną. Lecz człowiek jest także istotą zachłanną i wszystko inne na świecie pragnie sobie podporządkować[39].

Ów „bakcyl łatwego zdobycia pieniędzy" również podlega „mechanizacji działania". Żaden z bohaterów, który doszedł do milionów, nie zastanawia się, na co są mu potrzebne kolejne. Ci zaś, którzy do takich milionów próbują dojść, skoncentrowani są przede wszystkim na jak najszybszym dorównaniu tym, którzy je posiadają. Prawu temu podlegają w powieści wszystkie nacje i wszystkie grupy społeczne. Żadna z nich nie zostaje wyróżniona pozytywnie lub negatywnie i jeśli stwierdzamy, że autor nie zachował proporcji w ukazaniu wad poszczególnych narodowości, to nie może to być dowód na istnienie jakiejś charakteryzującej go

[37] Tamże, s. 67.
[38] Tamże, s. 54.
[39] Tamże, s. 116.

cechy. Warto wszakże zwrócić uwagę, że Wł. S. Reymont, podobnie jak B. Prus lub S. Żeromski, znajdował się pod wpływem ideologii Narodowej Demokracji, której jednym z elementów był antysemityzm oparty na podłożu ekonomicznym i kulturowym, a wynikający z opanowania przez Żydów pewnego sektora gospodarki (handlu, rzemiosła, drobnej wytwórczości i pośrednictwa pomiędzy producentem i nabywcą) oraz niechęci do asymilowania się[40]. Narodowość ta była do tego niezwykle solidarna[41], co doskonale ilustruje rozmowa Moryca z Grosglikiem na temat udziału Polaków w działalności przemysłowej Łodzi. Obdarzanie sympatią Narodowej Demokracji nie oznacza jednak, że polski noblista był antysemitą. Na przypisywaniu mu niechęci do Żydów mogły zaciążyć zupełnie inne czynniki, sam problem zaś pojawił się jako efekt uboczny sytuacji niemającej nic wspólnego z wartościowaniem którejkolwiek narodowości, o czym dalej.

Przyjrzyjmy się zatem literackiej wizji współżycia triady narodowościowej tworzącej łódzką rzeczywistość. Przede wszystkim należy stwierdzić, że Wł. S. Reymont ukazuje jej pokojową egzystencję. Pokojową o tyle, że nie czyni nas świadkami waśni i burd na tle narodowościowym. Widzimy nawet wspólne spotkania jej przedstawicieli w salonach, w teatrze, w domach prywatnych i miejscach publicznych. Już jednak bliższe spojrzenie zdradza, że ta bezkonfliktowość jest pozorna, a wzajemne relacje są wręcz wypełnione wewnętrznymi napięciami i dotyczą wszystkich grup społecznych.

U podstaw wewnętrznych napięć pomiędzy Polakami, Niemcami i Żydami leży konflikt interesów i chęć zdobycia za wszelką cenę pieniędzy oraz dominującej pozycji w fabrycznej Łodzi. Moryc, o czym już mówiliśmy, w chwili zawiązania spółki zaczyna myśleć o wyeliminowaniu z niej Maksa i równie szybko Borowieckiego. Wszechobecna konkurencja powoduje również, że nawet jeśli nie posiada się uprzedzeń na tle narodowościowym, w wyrażanych ocenach dochodzą do głosu opinie, które charakteryzuje niechęć i brak tolerancji, o czym świadczy choćby pogardliwa rekcja Borowieckiego na widok buduaru Zukerowej[42]. Ta niechęć i pogarda cechuje również Żydów. W rozmowie z Melą Moryc lekceważąco wyraża się o Polakach, zarzucając im jałowe dyskusje, zakłamanie,

[40] Więcej na temat Narodowej Demokracji – zob. podrozdział 6.2.2.

[41] Przykładem tej solidarności wśród Żydów może być porozumienie między nimi, zakładające nieudzielenie Borowieckiemu kredytu lub cofnięcie przyznanych.

[42] „Handełesy – szepnął [Borowiecki na widok buduaru Zuckerowej] z jakąś zawistną nieomal pogardą, zirytowany tym przepychem, ale pomimo to rozglądał się ciekawie: dziwaczne, kosztowne sprzęty o formach wschodnio-japońskich były bezładnie nagromadzone i stosunkowo do wielkości pokoju w nadmiernej ilości. [...] Pociejów milionerski [...]" (Reym., s. 60–61).

pozorny nonkonformizm[43]. Ta wzajemna niechęć widoczna jest także pomiędzy Niemcami i Żydami oraz między Niemcami i Polakami.

Przykładów nieżyczliwości, zawiści i nienawiści wpływających na wzajemne stosunki pomiędzy Polakami, Niemcami i Żydami znajdziemy w powieści Wł. S. Reymonta bardzo dużo. Wszystkie, jak stwierdzono, wynikają przede wszystkim z żądzy pieniądza i wszystkie obnażają nędzę moralną bohaterów, którzy żyją jedynie myślą zdobycia lub mnożenia milionów, nie licząc się zupełnie z kosztami, które ponoszą ci, którzy te miliony wypracowują lub giną w wyniku bezdusznej konkurencji, cynicznej i niemoralnej działalności spekulacyjnej. Żydowscy milionerzy obawiają się polskiej konkurencji[44], która, jak twierdzą, bardziej zagraża ich pozycji w Łodzi niż konkurencja niemiecka. W obronie swoich interesów gotowi też są przedsięwziąć wszelkie środki: „Żeby to był kto inny" – mówi Grosglik do Welta – „nie Borowiecki, toby się jego przydeptało nieznacznie i zdechłby" (Reym., s. 415). Nie tylko jednak Borowiecki i Kurowski „psują interesy" Żydom. Drażni ich w ogóle wszystko, co zmniejsza zyski – nie tylko ich zyski. Krytycznie wyrażają się o działalności Trawińskiego, ponieważ tracą przez niego Blachman i Kessler, Niemcy. „Sam nie zarabia nic" – podkreśla Grosglik – „dokłada co rok [...] bo zniża cenę za towar i podnosi płace majstrów i robotników! On się bawi w filantropię, za którą inni drogo płacą" (Reym., s. 413–414). Grosglik wyjaśnia też, dlaczego należy obawiać się Polaków: z nimi „nie wytrzymamy konkurencji" – mówi do Welta – „bo oni będą mieli za sobą cały kraj" (Reym., s. 414). Ta obawa o utratę miejsca i znaczenia w Łodzi, która powoduje, że Polaków najchętniej zepchnęłoby się na margines

[43] „[...] tyś się wychowała w Warszawie" – mówi pobłażliwie do Meli Moryc – „żyłaś tam w polskich sferach i przeszłaś przez wszystkie kółka i saloniki [...]. Przywykłaś do studentów rozczochranych, do tej deklamującej radykalii, oczekującej na spadek i na synekury biurowe, do tej wykwintnej atmosfery blagi i wspólnego obełgiwania się na wzniosły, szlachetny sposób" (Reym., s. 135). „[...] ja jestem Żyd, ja się tego nigdy i nigdzie nie wstydziłem i nie wypierałem, co za interes się wypierać! Mnie tak samo nic nie obchodzi poza moim własnym interesem jak naszych wszystkich, bo ja tego nie mam wprost we krwi" (Reym., s. 136).

[44] W rozmowie z Weltem Grosglik stwierdza: „[...] Kurowski bierze tylko swoich i tak stanął, że z nim nie może być konkurencji, a za rok, ile zechce brać, tyle będzie brał za swoje farby. Ale to nie o to idzie, idzie o to, że jak się jednemu Polakowi uda, to zaraz całą kupą przychodzą inni. [...] A teraz powstaje Borowiecki i także obiecuje «uszlachetnić produkcję» [...]. Jak Borowieckiemu pójdzie, to za dwa lata założy znowu jaki Sosnowski interes «uszlachetniania», za cztery lata będzie ich ośmiu «uszlachetniało» i psuło ceny, a za dziesięć to cała Łódź będzie ich! [...] po co im fabryki! Nie mogą oni siedzieć na wsi, trzymać wyścigowe konie jeździć za granicę, polować, romansować z cudzymi żonami, robić politykę i wielki szyk po świecie! [...] [Polacy] Niech przychodzą [do Łodzi], jest tyle miejsc... stróżów, woźnych, stangretów, oni są od tego specjaliści, ale po co im się brać do nie swoich rzeczy, dlaczego oni mają psuć interesy?" (Reym., s. 413–415).

życia, jest tak silna, że aż zaraźliwa. Moryc, po rozmowie z Grosglikiem, bezwiednie – przyglądając się szyldom – sprawdza stan obecności i posiadania łódzkich Żydów[45].

Konkurencyjna zawiść wpływa również na stosunki pomiędzy Żydami i Niemcami, choć jak – stwierdza Grosglik – Z Niemcami nie trzeba się specjalnie liczyć: „ich i tak wcześniej czy później diabli stąd wezmą [...]" (Reym., s. 414). Jak na ironię Knoll, zięć Bucholca, podobnie wieszczy o losie Żydów:

> Ta parszywa, żydowska, tandetna konkurencja zdechła w połowie albo zaraz zdechnie, struli się sami. Na jakiś czas będzie nam luźniej. Będziemy robili parę nowych gatunków, które oni robili, no i będziemy o tyle więcej sprzedawali. Ale to jest bagatelka, kręcą karki, niech kręcą; palą się, niech się palą; oszukują, niech oszukują; my zawsze zostaniemy (Reym., s. 53).

Skażone tymi uczuciami są także niziny społeczne. Polscy służący wobec pracodawców i ich gości zachowują się nienagannie. Zdradzają czasem swoje uczucia wobec Polaków, nie kryjąc pogardy dla chlebodawców[46]. Franciszek, służący Grünspanów, okazuje podczas rozmowy z Weltem taką uległość, że udaje mu się oszukać swoją postawą tego inteligentnego człowieka[47]. Mateusz, służący Borowieckiego, kilkakrotnie źle wypowiada się o Niemcach. Jego niechęć najdobitniej dochodzi do głosu w humorystycznej scenie po zakończonym przyjęciu weselnym Mady i Borowieckiego. Zamroczony alkoholem pokazuje, co sądzi o nowej rodzinie swego chlebodawcy. Gdy Müllerowa poleciła schować niedopite butelki i resztki kolacji ze stołów, stwierdza:

---

[45] Moryc po wyjściu od Grosglika „Rzucał badawcze spojrzenia na szyldy sklepów niezliczonych, na tablice domów, na tysiące nazwisk powypisywanych na balkonach, ścianach i oknach domów. «Motel Lipa, Chaskiel Cokolwiek, Ita Aronsohn, Józef Reinberg» itd., itd., same żydowskie nazwiska, przetykane gdzieniegdzie nazwiskami niemieckimi.

– Sami nasi! – szepnął jakby z pewną ulgą i lekceważący uśmiech przewijał mu się po ustach i bił z oczów, gdy spostrzegł polskie nazwisko na szyldziku jakiegoś szewca lub ślusarza. [...] czuł w tej chwili, patrząc na żydowską potęgę miasta, że jej nikt i nic złamać nie potrafi. A szczególniej Polacy!" (Reym., s. 416–417).

[46] „Puściłem w licytację tamtych Żydów – szepnął cicho [znany Borowieckiemu z innego domu lokaj Zukerów] [...] Jaśnie pani rozmawia z pokojówką – objaśnił Józef [dochodzący z oddali krzykliwy głos], ale z takim zimno-pogardliwym wyrazem twarzy, że Borowiecki zwrócił na to uwagę i o nic już nie pytał więcej" (Reym., s. 61).

[47] Franciszek starannie ukrywa swoje uczucia w kontaktach z Weltem. Gdy się rozstają, natychmiast daje im upust: „– Rozumiem, dostałbym niby po mordzie, ale że jaśnie pan ma humor, to już nie dostanę – szepnął dobrodusznie, ściągając mu kalosze.

– No, to niech Franciszek napije się wódki i niech pamięta – powiedział zadowolony [Welt] dając mu dziesiątkę i wszedł do pokoju.

– Parszywiec, ścierwo! Biłby polski naród – splunął za nim" (Reym., s. 125).

Ożeniliśmy się, to dojadać ani dopijać resztek po Szwabach nie będziemy [...] Huknął pięścią w stół i pokazał jej [Müllerowej] drzwi. [...] Służba, nalać wina... słuchać pana Mateusza, bo jak nie, to pięścią w pysk, i będzie *fertig* [...] za zdrowie mojego pana... a resztę o piec i za drzwi. [...] Ożeniliśmy się, psze... pana dyrektora... mamy fabryki... mamy żony... mamy pałace... a Szwaby won... a jak nie, to pięścią w pysk... nogi do okapu... i fora ze dwora [...] (Reym., s. 656–657).

Poza silnymi animozjami pomiędzy Polakami, Niemcami i Żydami przytoczone wyżej fragmenty utworu zdradzają jednak coś jeszcze – wzajemną nieznajomość poszczególnych nacji, która została zastąpiona stereotypami narodowymi[48], jakie często cechują członków jednych narodowości w stosunku do innych. Tu, siłą rzeczy, objawiły się polskie stereotypy, obejmujące jednak nie tylko Żydów, ale i Niemców. Powieść Wł. S. Reymonta potwierdza przywołany wcześniej za J. Bartmińskim zestaw stereotypowych cech Niemca z końca XIX w. Zdobywszy majątek, staje się on butny i pełen pychy. Wynosi się ponad innych, nie krępuje wygłaszaniem obelżywych opinii, nie zastanawia nawet, czy w jakiś sposób nie ośmiesza się nimi lub czy nie obnażają one mrocznych cech jego charakteru, które lepiej byłoby ukryć. Gardzi wszystkimi, bo wszystko, jak mu się wydaje, może i nic nie jest w stanie go ograniczyć. Może nawet, jak Kessler, bezkarnie deprawować porządne dziewczęta. Znamienne wydaje się również wyeksponowanie przytoczonych wyżej zachowań polskiej służby. Jakże ona inna od uległego i wiernego Bucholcowego Augusta, który lżony i bity przez pana, niewolniczo i z oddaniem służy mu dalej, z troską okrywając jego chore nogi! Przy takim zestawieniu wypada tylko z aprobatą przyklasnąć postępowaniu Mateuszów, Franciszków czy Józefów – choć biedni, posiadają honor i nie dają obcym zawładnąć sobą! „Trzymając fason", zaspokajają naszą narodową próżność: „Polak biedny, ale pan!"

Czy w powieści Wł. S. Reymonta znajdziemy również stereotypowe ujęcia Żydów? Włodzimierz Filipek zwraca uwagę, że stereotypy zawierają pewną ambiwalencję, stąd obok ocen negatywnych występują również pozytywne. W ujęciu stereotypowym Żydów przedstawia się jako ludzi mądrych, ale też chciwych, czystych i brudnych, ładnych (szczególnie w odniesieniu do żydowskich kobiet) i brzydkich (gdy mowa o kupcu lub lichwiarzu). Ta sama cecha może występować dwukrotnie, jest jednak inaczej wartościowana: pochwała spokojnego trybu życia w sytuacjach konfliktowych idzie w parze z oskarżeniem o tchórzliwość, mądrość bywa uważana za spryt lub przebiegłość. Często również, na co zwróciła uwagę

[48] Por. M. Adamczyk-Garbowska, *Dwie powieści...*, s. 82–89. Badaczka zwraca uwagę na stereotypowe postrzeganie przez Reymonta tylko Żydów, co wynika z zakresu rozważań jej artykułu; w powieści stereotypowe ujęcia dotyczą także Niemców.

Alina Cała, podkreślano, że osoba znana swoim zachowaniem podważa ocenę anonimowej masy, stąd Żydzi mogli pełnić rolę autorytetów na wsi i na dworze szlacheckim, mogli udzielać porad i pośredniczyć w interesach. Pod uwagę brano tylko ich zalety charakteru. Natomiast wówczas, gdy mówiło się o Żydach handlarzach, przybierano ton pogardliwy albo otwarcie nienawistny[49].

Taką ambiwalencję zauważamy również w powieści Wł. S. Reymonta. Lucy Zukerowa jest piękna. Melę Grünspan również cechuje uroda, ale ta ma zupełnie nieżydowski charakter. Ponadto Mela we wszystkim jest zaprzeczeniem nacji, z której pochodzi: jest piękna, delikatna, mądra, subtelna, uczuciowa. Kiedy jednak zostaje żoną Moryca, wszystkie te cechy traci. Piękną postacią na tle rodziny wydaje się również Albert Grosman i on jednak nie wychodzi poza granicę charakterologiczną, nakreśloną dla jego narodowości. Poza tym spotykamy przebiegłych i wyrachowanych Żydów. Taki jest Welt i Grosglik, wszystkich zaś przewyższa Szaja Mendelsohn.

Żydom Wł. S. Reymont poświęcił znacznie więcej miejsca niż Niemcom. Wynikać to może z lepszej znajomości ich świata, na co wpływ miała również wielowiekowa tradycja współżycia obu narodowości. Nie zaowocowała ona jednak dobrym, wzajemnym poznaniem, dlatego też stereotypów znajdziemy w utworze więcej niż w przypadku Niemców, a te najczęściej nie są przychylne członkom innych nacji. Nagromadzenie w powieści przesądów odnoszących się do Żydów wynika z kreacji postaci – w *Ziemi obiecanej* żydowskimi bohaterami są przedsiębiorcy: handlowcy, bankierzy i przemysłowcy. Mają więc do czynienia z obrotem pieniądzem i papierami wartościowymi. Ten typ był Polakom znany najlepiej, ale też był obciążony różnymi przekonaniami. Musimy również zwrócić uwagę, że część stereotypów stanowią zupełnie bezwiednie przejęte przez pisarza sądy i przeświadczenia, będące efektem życia w określonym środowisku i dla tego środowiska charakterystyczne. Łącznie dały pokaźny zbiór, przyczyniając się do przypisania autorowi powieści antysemityzmu, która to cecha mogła być mu najzupełniej obca. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na przywiązanie żydowskich bohaterów Wł. S. Reymonta do rodziny oraz na ukazanie łączących ich silnych więzi rodzinnych: na ojcowską miłość i troskę Szai oraz Grünspana o własne dzieci, a szczególnie o córki, które te uczucia odwzajemniają, głębokie oddanie Meli dla zdziecinniałej babki, miłość Zukera dla żony[50]. Obdarzenie tych bohaterów tak ważnymi

[49] W. Filipek, *Stereotyp Żyda w kulturze polskiej – rozpoznanie*, [w:] *Dziennikarz w świecie klerków. Rozmowy – szkice – reportaże*, wybór i oprac. J. Fiećko, Wyd. WiS, Poznań 2006, s. 111–118. Za: www.obieg.pl/artmix/1712 (dostęp: 10.02.2013).

[50] Por. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie…*, s. 81.

dla polskiej nacji uczuciami można uznać za wymowny dowód szacunku pisarza dla tej narodowości.

Przypatrzmy się jeszcze innym fragmentom powieści Wł. S. Reymonta. Matka Wysockiego podczas rozmowy z Borowieckim zdradza silną niechęć do Meli i krytykuje wybór syna. Nic konkretnego nie ma jej do zarzucenia poza tym, że Mela jest Żydówką, a Żydówki to, jej zdaniem, kobiety zupełnie obce Polakom: „[...] nie mają religii, nie mają etyki, nie mają tradycji obywatelskiego życia, nie mają zwykłej kobiecości, są puste, pyszne, bezduszne handlarki własnych wdzięków, lalki poruszane sprężynami najpierwotniejszych potrzeb, kobiety bez przeszłości i bez ideału" (Reym., s. 432). Wysocka nie wyraża zgody na matrymonialne plany syna; okazuje też wrogość i pogardę wobec Żydów. Wpływ na jej stosunek do tej narodowości ma wielkopańska pycha, obawa przed zdeklasowaniem oraz zupełna nieznajomość tej nacji. Skąd Wysocka wie, jakie są Żydówki? Z jakich doświadczeń wynikają tak krzywdzące i równocześnie nonsensowne oceny? W wypowiedzi bohaterki *Ziemi obiecanej* znajdujemy zapewne pozbawione podstaw sądy części polskiego społeczeństwa. Są one groteskowe, choć niedoszła teściowa Meli mówi to, co rzeczywiście czuje.

W rozmyślaniach Meli Grünspan znajdziemy odzwierciedlenie postaw, które możemy jednoznacznie określić jako antysemickie, ale poświadczają one również osobiste refleksje autora, zdradzające jego nieznajomość świata Żydów. Mela Grünspan widziała i czuła, że

> ten cały polski świat tak ukochany – jest zupełnie inny, obcy zupełnie jej światu; obcy przez jakąś szerokość uczuciową, niezamkniętą tylko w polu egoistycznych spraw, w ciasnym obrębie robienia pieniędzy i używania ordynarnego.
>
> – Nie takimi są nasi, moi! – myślała patrząc na delikatną, uduchowioną twarz Trawińskiego, który taki energiczny protest zakładał przeciw wywodom Wysockiego, że twarz mu pobladła [...], a potem patrzyła na Wysocką, na Ninę i Ankę siedzącą w kole kobiet bardzo wykwintnych, pełnych dziwnego wdzięku, rozmawiających półgłosem, i równocześnie widziała oczami duszy swój własny dom, ojca, siostry, szwagra i odczuwała teraz dopiero, przez mimowolne zestawienie, cały obmierzły ton, całą płaskość życia własnej sfery. [...] pamiętała dolę tych ze swoich znajomych, które wyszły za Polaków, ich upokorzenia wobec własnych dzieci, wyrzucającym matkom ich pochodzenie, to koło pogardy wykwintnej lub lekceważenia, jakie ich zawsze otaczało, tę ich obcość we własnych domach, wobec najbliższej rodziny (Reym., s. 495).

Skąd u Meli to zadziwiająco silne przeciwstawienie kultury polskiej – kulturze żydowskiej, nawet jeśli obejmuje tylko sferę szybko wzbogaconych nuworyszy? Mela widziała zaledwie kilka polskich domów. Czy tylko na tej podstawie mogła budować tak krzywdzące dla własnej nacji opinie? Jest przecież inteligentną kobietą. Możemy również założyć, że w Warszawie bywała w domach Żydów zasymilowanych. Ich kultura nie mogła

przecież różnić się od kultury Polaków. Wątpliwości jest zresztą znacznie więcej. Skąd bohaterka wiedziała, jak dzieci z mieszanych małżeństw traktują swoje matki – Żydówki, skoro w tych domach nie bywała? Wydaje się też, że jest zbyt młoda na „znajome", których dzieci mogłyby okazywać komuś pogardę. Wreszcie – wśród ortodoksyjnych Żydów nie było aż tak wielu dziewcząt, które zdecydowały się na opuszczenie swoich rodzin.

„Życie własnej sfery" Meli Grünspan miało obracać się tylko wokół pieniądza i zdobywania go do tego stopnia, że nie było w nim miejsca na uczciwość. „[...] Grünspan zrujnował własnego brata i układał się już parę razy" (Reym., s. 117). Podczas rodzinnej kłótni o sposób rozwiązania problemów Grosmana – wykupić weksle i stracić piętnaście tysięcy rubli, jak chciał mąż Reginy, czy też ogłosić plajtę i zarobić na niej, jak chciała reszta rodziny, ktoś z grona wykrzykuje z pogardą: „Płacić! płacić to i głupi potrafi, każdy Polak to samo umie, to wielka sztuka!" (Reym., s. 127). Kłótnię tę jeden z bohaterów nazwał poważnie *Gross-Familien--Plaitenfest* (Wielkie rodzinne święto plajty; s. 126), podczas którego hałaśliwie analizowano różnego rodzaju sposoby przeprowadzenia bankructwa, a zachowanie wszystkich cechował nadmiar spektakularnej gestykulacji[51]. Twierdzenie, że skoro działalność Żydów obraca się tylko wokół pieniądza i jego zdobywania, to w ich życiu brak uczciwości, jest nazbyt daleko idącym uogólnieniem. Czy poza zdobywaniem pieniędzy naprawdę nic już przedstawicieli tej narodowości nie interesuje? Czy charakterystyczne, ruchliwe zachowania pełne gestów i mimiki mogą świadczyć tylko o duchowej pustce?

Rozpatrzmy jeszcze odmienność Żydówek na tle dystyngowanych, wykwintnych i delikatnych Polek, na co uwagę zwróciła Mela. To, że nie spotkała ona delikatnych i wykwintnych Żydówek, nie znaczy przecież, że w ogóle nie istniały. Byłby to czysty absurd. Mamy też w powieści dość charakterystyczny opis Żydówki-milionerki Zukerowej, rysowany przez Kozłowskiego, „operetkowego warszawiaka", dający tyleż informacji o Zukerowej, co i o nim samym. Zwrócił on uwagę na bogactwo i przepych wierzchnich toalet, natomiast zachowanie i ukazujące się czasem skryte spódnice zdradzały „wystrojonego parzygnata", czyli prostytutkę[52].

[51] *Gross-Familien-Plaitenfest* wyglądało dość charakterystycznie: „[...] krzyczeli wszyscy razem, pochylali się nad stołem, bili w niego pięściami, wydzierali sobie z rąk papiery, kreśląc na ceracie coraz nowe cyfry, rzucali coraz ohydniejsze projekty i sposoby plajty, wymyślali sobie nawzajem, zrywali się od stołu, siadali znowu i krzyczeli; a wszystkim brody, twarze, usta i wąsy trzęsły się i drgały, porwane tymi cyframi, jakie można było zarobić, rozwścieczeni na tego głupca, który stał odwrócony plecami i ani chciał słuchać o plajcie" (Reym., s. 131).

[52] Zukerowa, zgodnie z opisem Kozłowskiego: „Kapelusz i twarz miała kobiety z towarzystwa – milionerki, suknia osoby zamożnej – powozowa; *fil de cosy* [pończochy] – to

Nielogiczne w kreacji tej postaci wydaje się, by Zukerowa, posiadająca przeładowany kosztownymi bibelotami buduar, który poza służbą oglądała ona sama, jej mąż i kochanek, miała oszczędzać na pończochach i „spodnich spódniczkach", tym bardziej że mógł je oglądać Borowiecki.

Wydaje się, że te fragmenty – a znaleźć możemy ich znacznie więcej – zdradzają zupełną nieznajomość Żydów i ich kultury, cechującą ówczesnych Polaków, także Wł. S. Reymonta. Kontakty między naszymi narodowościami ograniczały się przede wszystkim do interesów i spraw handlowych, toteż te sceny noblista ukazał po mistrzowsku, jak rozmowę Grünspana i Moryca, omawiających sprawę małżeństwa tego drugiego z Melą. Układanie tego związku zaczyna się od zdań: „Co Pan dajesz Meli? Co pan masz?" (Reym., s. 554). Po mistrzowsku również zostało ukazane rozwiązanie przez Grosglika problemu picia herbaty w jego kantorze:

> – Ja chciałem panu powiedzieć, że mnie denerwuje ten ciągły brzęk szklanek i to ciągłe syczenie gazu [...]. Kto gaz płaci? Ja płacę. Ja płacę gaz na to, żebyście, panowie, mogli cały dzień pić herbatę! Gdzie tu sens! Od dzisiaj będziecie, panowie, płacili.
>
> – I pan prezes pija przecież...
>
> – Pijam, nawet zaraz się napiję. [...] Mam myśl. Pijcie herbatę, pijcie i płaćcie za gaz, na tyle ludzi to niedrogo wyjdzie, a mnie dawajcie herbatę w procencie, bo przecież urządzenia gazowe są moje, w moim kantorze i pijacie w godzinach zajęcia. [...] Ja to robię dla panów dobra, no bo teraz to oni się wstydzą pić herbatę, ich gryzie sumienie, że to na moim gazie, a jak każdy zapłaci gaz, to on będzie śmiały, on będzie mi mógł patrzeć prosto w oczy. To jest bardzo moralne, panie Szteiman, bardzo (Reym., s. 405).

Nie dociekamy w tym miejscu, co zadecydowało o zerwaniu przez Melę zaręczyn z Wysockim i dlaczego w ten sposób Wł. S. Reymont pokierował losem sympatycznej pary. Połączenie ich węzłem małżeńskim wraz z zakończeniem: „i żyli długo i szczęśliwie" prawdopodobieństwa powieści raczej by nie przysporzyło. Wybór rozstania był więc słuszny. Nie będziemy też rozstrzygać, czy na obrazie powieściowych Żydów zaciążyła jakaś ideologia. Być może. Z pewnością możemy stwierdzić jedno – Wł. S. Reymont nie znał Żydów i ich codzienności, stąd w jego powieści wizerunek tej społeczności nie jest wolny od uproszczeń lub nielogiczności, jak choćby w przypadku rozmyślań Meli. Dodać wszakże należy, że winą za nieznajomość kultury żydowskiej nie można obarczać tylko Polaków.

---

znowu coś nauczycielki, żony urzędnika, małego kupca; spódniczka spodnia [...] z żółtej glasy, w tanim gatunku – uszłaby, ale cóż, kiedy była ozdobiona bawełnianymi koronkami [co oznacza] Tandetę [...] trotuarową facetkę, a w najlepszym razie wystrojonego parzygnata. [...] Gdybym się mylił w poprzedniej ocenie, to [...] spuszczenie sukni i zamiatanie nią błota samo już wystarczyło, aby mnie przekonać, że to zwykła łódzka flądra. Żadna warszawska szwaczka nawet tego nie zrobi [...]" (Reym., s. 171).

5.1.4. Zdecydowanie osobno. Łódź żydowska w epopei Israela Joshuy Singera *Bracia Aszkenazy*

Czy analogiczną sytuację – nieznajomość Polaków i ich kultury przez Żydów oraz odwołanie się w kreacji bohaterów do stereotypów znajdziemy również w powieści I. J. Singera *Bracia Aszkenazy*? Struktura narodowościowa świata przedstawionego w tej powieści jest zgoła inna aniżeli w powieści Wł. S. Reymonta, co już w jakimś stopniu daje odpowiedź na postawione pytanie: Polacy, jeszcze bardziej niż Niemcy, znajdują się bowiem na marginesie powieściowego społeczeństwa. Bardziej zastanawiająca jest jednak historia Łodzi, tak różna od tej, którą znamy. Gdyby zastąpić w powieści nazwy miejscowe innymi, znawcy dziejów miasta raczej nie zauważyliby podobieństwa pomiędzy miejscem akcji a przemysłową metropolią.

O usytuowaniu akcji utworu na ziemiach polskich świadczą, poza nazwami własnymi miejsc, odwołania do historii[53]. Natomiast dzięki nawiązaniu autora do „umowy zgierskiej" wiemy już z całą pewnością, że miejscem akcji jest Łódź. Od tego momentu zaczyna się historia Żydów łódzkich, przetykana czasem ich konfliktami z niemieckimi osadnikami. I jest to historia zaskakująca – widzimy bowiem zupełnie inne dzieje miasta niż te, do których przywykliśmy. Na krańcach miasteczka, poprzecinanego „żydowskimi uliczkami" mieszkają polscy chłopi. Dość szybko jednak odchodzą od pracy na roli. Zatrudniają się u Żydów, kupują w kramikach, a ich dzieci „pałętają się" po żydowskich ulicach. Zrzucają też chłopski ubiór i przywdziewają miejski. Potem przyjeżdżają niemieccy tkacze i zamieszkują w chłopskich chałupach[54]. W tym ujęciu to nie Żydzi

[53] „Przybysze ciągnęli do okolic nizinnych, w stronę Warszawy, ku obszarom od Żyrardowa do Kalisza, od Pabianic i Zgierza po Piotrków. Część z nich osiadła w miasteczku Łódź, położonym nad wąską stojącą wodą – Łódką. Na uboczu od miasteczka, przy drodze prowadzącej do sosnowych lasów przybysze wybudowali sobie domki, założyli ogródki, zasadzili kartofle, wykopali studnie, zasiali zboże i ustawili swoje tkackie warsztaty. W zamian za to rząd Królestwa Polskiego, podległy wówczas rosyjskiemu carowi, nadał im takie przywileje, jakich tylko zażądali. Nie pobierano od nich przez pierwsze lata podatków, nie powoływano ich do wojska, nie stawiano im przeszkód w obchodzeniu protestanckich obrządków, w zachowaniu mowy i obyczaju, a wreszcie zabroniono Żydom mieszkać w pobliżu ich osiedla, w pobliżu Łodzi, które nazwano Wilki, bo wilki ukazywały się tu nieraz w zimie, w wielkie mrozy. Kilkudziesięciu Żydów mieszkało jednak w miasteczku, w jednej ciasnej uliczce. Wszyscy oni byli krawcami i wpuszczono ich do miasteczka tylko dlatego, że szyli odzież dla jego mieszkańców; innym zaś Żydom nie pozwolono tu mieszkać" (Sing. I, s. 8).

[54] „Na krańcach [miasteczka] jeszcze wciąż mieszkali chłopi w swoich lepiankach ze słomianymi dachami, wraz z chudymi krówkami, kurami, wieprzami i psami. Ale z każdym dniem znikała ich wiejskość. Zostali wciągnięci do miasta. Znajdowali zajęcie przy wożeniu cegieł, to przy kopaniu gliny, to przy karczowaniu terenu. Powoli zrzucali

są gośćmi na polskiej ziemi, ale wydają się nimi Polacy. Poza tym ludność wyznania mojżeszowego czuje się tu bardzo dobrze.

Zauważamy też zupełnie inną historię Łodzi: historię miasta budowanego przez Żydów. Wydawać się też może, że to właściwie dzięki nim ono powstało i rozwinęło się. I nie jest to złudzenie. Dalej dowiemy się, że tak jak za sprawą Żydów Królestwa Polskiego zaczęła się Łódź fabryczna, tak za sprawą litwaków, Żydów wypędzonych z Rosji, zaczęła się Łódź wielkoprzemysłowa[55]. Dzięki nim powstały domy, przedsiębiorstwa, fabryki, przyjechali do Łodzi rosyjscy kupcy. Litwacy również przyczynili się do rozwoju życia intelektualnego:

> Litwaccy nauczyciele, buchalterzy, dentystki, akuszerki, wszyscy oni zaczęli ściągać ze wszystkich krańców Rosji do Łodzi. [...] Agenci maszyn do szycia i rosyjskich towarzystw ubezpieczeniowych, maklerzy, faktorzy, pośrednicy, komisjonerzy i wojażerowie zjeżdżali się wciąż do miasta i handlowali, kupowali, ubijali interesy, robili transakcje i zapełniali wszystkie ulice i uliczki. Miasto rosło, rozszerzało się, ożywiało się coraz bardziej dzięki nieustannemu napływowi przyjezdnych, ich ruchliwości i energii (Sing. I, s. 226–227).

A gdzie Niemcy, dzięki którym – wedle naszej wiedzy – rozwinęła się Łódź fabryczna i wielkoprzemysłowa oraz Polacy, którzy tę akcję zapoczątkowali? O Polakach, twórcach uprzemysłowienia Łodzi, I. J. Singer nawet nie wspomina, natomiast Niemców w powieści nie znajdziemy wielu. Poznajemy Hünzego i jego rodzinę, których przedstawiliśmy w poprzednim rozdziale, jego synów jako samodzielnych fabrykantów po śmierci ojca, równego Hünzemu stanem posiadania Fritza Goetzkego, jednego z zaufanych dyrektorów Hünzego – Alberta, służących fabrycznych Melchiora i Josela oraz zięcia Hünzego, pułkownika barona von Heidel-Heidellowa, pełniącego funkcję komendanta Łodzi podczas I wojny światowej. Wszyscy występują na kartach powieści w związku z bohaterami żydowskimi, głównie fabrykantem Hünzem i Maksem

chłopską odzież i wdziewali tandetno-miejską, kupowali w kramikach, zarabiali i wydawali pieniądze. Ich dzieci pętały się po żydowskich uliczkach, nauczyły się żydowskich słów, złapały czasem kawałek chały w sobotę za zdjęcie lichtarzy ze stołu w żydowskim domu, za zapalenie zimą w piecu, za zgaszenie lampy. Biedni niemieccy tkacze wprowadzili się do chłopskich chałup. A rychło potem jęli chodzić po wsiach niemieccy agenci i werbować chłopów, kobiety i młode dziewczęta do pracy w parowych fabrykach, które poczęły się właśnie pokazywać w mieście [...]" (Sing. I, s. 25).

[55] Może warto na to zwrócić uwagę, gdyż na stronach internetowych możemy przeczytać, że *Bracia Aszkenazy* są trzytomową (?) „powieścią historyczną o rozwoju żydowskiego przemysłu włókienniczego w Polsce", tak jakby ani rząd Królestwa Polskiego, ani Niemcy nie brali w nim udziału. *Yiddish literature*, www.britannica.com/EBchecked/topic/653224/Yiddishliterature/234160/Writers-in-Poland-and-the-Soviet-Union (dostęp: 10.09.2012).

Aszkenazym. Co ciekawe jednak – żaden z bohaterów niemieckiego pochodzenia nie budzi sympatii.

Heinz Hünze, który nie radzi sobie z synami i córkami, jest groteskowy i momentami odrażający w swoim prostactwie. Jak wiemy, w fabryce jest niepodzielnym władcą i od jego woli zależy los robotników (Sing. I, s. 34), co pozwala mu bez wahania wykorzystywać tę sytuację. Na jego stosunek do robotników nie wpływała ich narodowość. Równie źle traktował Niemców, jak Polaków (Sing. I, s. 34, 211–212) i o wszystkich jednakowo źle się wyrażał. Synowie Hünzego to ludzie bez godności i honoru – nie szanują rodziców, nie potrafią nic robić, trwonią ciężko zapracowane przez ojca pieniądze i w końcu tracą fabrykę, czemu sami są winni. Gardzą, jak ojciec, wszystkimi, ale brakuje im jego mądrości. Goetzke, o którym wiemy znacznie mniej niż o Hünzem, również nie budzi sympatii. Został ukazany jako człowiek nienawidzący swojego wspólnika i zazdroszczący mu sukcesów (Sing. I, s. 209–210). Jest takim samym typem człowieka, jak Hünze, tak samo ograniczonym i złośliwym, i bardziej jeszcze małostkowym.

Z zupełnie innego powodu sympatii nie budzą dwaj służący fabryczni. Melchior, zwalisty mężczyzna „o rudowłosych łapskach", rewidował robotników przy wyjściu z fabryki. Jego najbliższy przyjaciel Josel był głównym wartownikiem fabrycznych zabudowań, pilnował również kluczy do drzwi i bram. Nieoficjalnie zajmowali się również lichwiarstwem. Wiodło im się dobrze. Melchior otrzymywał napiwki od odwiedzających Hünzego interesantów i wynagrodzenie od dyrektora Albrechta, któremu dostarczał fabryczne dziewczęta do sprzątania dyrektorskiego mieszkania. Wychodziły po tym sprzątaniu posiniaczone, w taniej sukience lub z rublem w kieszeni. Josel natomiast brał pieniądze od każdego, kogo wpuszczał na fabryczny dziedziniec – od skupujących odpadki, śmieciarzy zabierających gnój ze stajen, furmanów przywożących surowiec, nawet od chłopów, którzy chcieli znaleźć pracę w fabryce. Tak jak Melchior pożyczał pieniądze, ale on wolał pożyczać je kobietom, „a przede wszystkim matkom małych córeczek". Kiedy „oszczędności" Hünzego wprowadziły biedę do robotniczych mieszkań, obaj podnieśli jeszcze lichwiarski procent.

Dorodny Melchior nie przestawał wesoło wygrywać na klarnecie wobec najładniejszych dziewcząt, które się schodziły w jego mieszkaniu zastawionym trunkami zlanymi z niedopitych resztek po hünzowskich balach. Stary Josel używał sobie z małymi dziewczynkami, które przychodziły wciąż prosić o pożyczki dla matek (Sing. I, s. 212–215).

Albrecht, zwalisty dyrektor i prawa ręka Hünzego, był leniwy i wiecznie zaspany. I tak też prowadził fabrykę. Maks Aszkenazy, kiedy objął

fabrykę, przekonał się jednak, że fabryka szła mocą własnego rozpędu, jak dobrze nakręcony zegarek" (Sing. I, s. 156). W istocie więc Albrecht niewiele w niej pracował. I. J. Singer wyeksponował szczególną skłonność tego ledwo stojącego na „swoich klocowatych nogach w szerokich, torbiastych spodniach" człowieka, do młodych, ładnych dziewcząt fabrycznych. Aby je zdobyć, wykorzystywał swoją pozycję w fabryce (Sing. I, s. 213).

Bliżej poznajemy także niemieckiego komendanta Łodzi z okresu I wojny światowej, nienawidzącego Polaków pruskiego właściciela dóbr, pułkownika barona von Heidel-Heidellowa. „[...] ów zubożały arystokrata, który dla odnowienia blasku swego herbu ożenił się z córką łódzkiego fabrykanta Heinza Hünzego" (Sing. II, s. 122), a później za sprawą nazwiska i majątku piął się szybko w wojskowej karierze, okazał się człowiekiem bezwzględnym. Równie łatwo było mu wyrzucić obecną właścicielkę pałacu teścia, co kazać spalić dla pokazu kilka wsi lub Kalisz w pozbawionym podstaw odwecie (Sing. II, s. 122). Wyroki śmierci podpisywał bez czytania (Sing. II, s. 128). Łódź, którą nazywał *jidisch-polnischer Mistkasten* (żydowsko-polski chlew; Sing. II, s. 134), podobnie jak swoich żołnierzy trzymał w żelaznej dyscyplinie. Kazał „czyścić ulice, jak na niemieckie miasto przystało", zakazał zatrzymywać się, gromadzić w grupkach i przystawać pod murami, co było dotychczas praktyką, rzucać na ulicę papierki, niedopałki, a nawet spluwać. Dbał szczególnie o stan higieniczny Łodzi[56]. Jego wysiłki jednak nie przynosiły skutków, „bo równocześnie z czyszczeniem ulic, oczyścił baron von Heidel-Heidellow miasto z chleba, z ciała i z duszy", czyli sprowadził na nie nędzę i głód, wywożąc wyposażenie fabryk do Niemiec. Pozbawiał ludzi pracy, a miasto jego charakteru. Był powszechnie znienawidzony. Podobnie jak przedstawionych wyżej bohaterów, i jego intymne skłonności zostały w powieści obnażone[57].

Jakich Niemców ukazuje I. J. Singer? Trudno tu dokonać oceny, wartościować będziemy bowiem jako Polacy, a interesować nas będzie

[56] Komendant miasta „Głębokie rynsztoki musiały być codziennie oblane wapnem, skrzynie na śmiecie po podwórzach wysmarowane smołą, ścieki i kanały oczyszczone. Po ubogich ulicach na Bałutach chodzili milicjanci, łapali biednych ludzi, Żydów z brodami, kobiety w perukach i odprowadzali ich do miejskich zakładów kąpielowych [...]. Ale im więcej baron von Heidel-Heidellow szorował ludzi i ulice, tym więcej epidemii tyfusu, szkarlatyny i innych chorób szerzyło się po mieście [...]" (Sing. II, s. 135).

[57] „[...] ujął swego adiutanta za rękę i jął głaskać jego czerwone policzki swymi kościstymi palcami.

– *Du schoenner Bub* (Piękny chłoptaś) – szeptał starczymi, bezzębnymi ustami. Jego sztuczna szczęka mokła obok na stoliku w szklance wody. [...] Baron ciągnął go do siebie kościstymi palcami. Znowu czuł się zdobywcą" (Sing. II, s. 128).

stanowisko Żyda. Sądząc jednak po stosunku autora do zachłannych i bogacących się kosztem współbraci Żydów, Hünzego i Goetzkego należy uznać za postaci zdecydowanie negatywne. Z tych samych powodów należy podobnie ocenić Melchiora i Josela – żaden z żydowskich bohaterów nie wykorzystuje kobiet i dzieci w niegodny sposób. Z innych już przyczyn postacią negatywną jest również dyrektor Albrecht – judaizm jest religią wrogą obżarstwu, choć niezalecającą też ascezy w jedzeniu; zdecydowanie złe i odrażające jest natomiast wykorzystywanie przez niego dziewcząt. Zarządzenia barona von Heidel-Heidellowa wyraźnie sytuują go jako antysemitę, a na tym punkcie Żydzi są bardzo czuli, toteż i przykładów takich zachowań barona i komendanta miasta znajdziemy w powieści niemało. Znaczące jest również jego nazwisko. *Heide* po niemiecku znaczy tyle, co „człowiek nieokrzesany". Na nic, jak widać, zdało się jego szlacheckie pochodzenie. Jego zachowanie jest warte tyle samo, co kultura Hünzego i Goetzkego. Negatywnymi postaciami są również synowie Hünzego; wszystko, co robią, zasługuje na potępienie. Służący fabryczni Melchior i Josel, dyrektor Albrecht oraz baron von Heidel-Heidellow i młodzi Hünzowie dodatkowo jeszcze zasługują na anatemę. Z punktu widzenia ortodoksyjnych Żydów są oni ludźmi wyklętymi z powodu pedofilii (Josel), czynnego homoseksualizmu (Heidel--Heidellow), stosunków pozamałżeńskich (dyrektor Albrecht oraz z całą pewnością Melchior i młodzi Hünzowie); zgodnie z nakazami religii żydowskiej seks przed ślubem powinien natychmiast zakończyć się małżeństwem. Do tej negatywnej kolekcji Niemców należy dodać również kamerdynera, pamiętającego jeszcze czasy Hünzów. Postać ta przypomina w pewien sposób Reymontowskiego Augusta, poniżanego przez Bucholca jego wiernego służącego[58].

Nie lepiej obszedł się I. J. Singer z Polakami, którym poświęcił na kartach powieści mniej miejsca niż Niemcom. Reprezentują ich wspomniani wcześniej właściciele Bałut, bracia Konarscy, rozrzutni szlachcice, którzy wyszli na głupców, sprzedając za bezcen swoją ziemię, a ponadto socjalista Marcin Kuczyński, socjaldemokrata Paweł Ściński, pułkownik żandarmerii Konicki lub Wojciech Smoluch. Ci bohaterowie ukazani są zawsze w związku z losami Żydów, bywają też im przeciwstawiani jako postaci negatywne. Jedynym wyjątkiem jest książę Pącz-Pączewski, wojewoda łódzki w odrodzonym państwie polskim, ale i on występuje w powieści w dość specyficznej roli, podobnie jak baron von Heidel--Heidellow[59].

[58] „Po latach lokajskiego poniżenia w siedzibie u Żyda, niewiedzącego, jak się należy obchodzić ze służącym, nieumiejącego krzyczeć, wymyślać i dać się obsługiwać, uczuł znowu przyjemność służenia. Miał pana nad sobą" (Sing. II, s. 127).

[59] Por. M. Adamczyk-Garbowska, *Dwie powieści…*, s. 87. „Jeśli idzie o polskie postaci" – pisze M. Adamczyk-Garbowska – „Singer nigdy nie próbuje wprowadzać czytelni-

Relegowanego z uniwersytetu studenta weterynarii Marcina Kuczyńskiego poznajemy w związku z perypetiami życiowymi Feliksa Feldbluma, Żyda, postaci niezwykle szlachetnej, ideowej i naznaczonej tragizmem. Obaj są członkami partii Proletariat (Sing. I, s. 276; Sing. II, s. 79), a później Polskiej Partii Socjalistycznej (Sing. II, s. 79). W przeciwieństwie do Feldbluma, który wierzył w wolność i równość ludzi bez przelewu krwi, Kuczyński uważał, że robotników można porwać za sobą tylko wtedy, gdy przemówi się im do instynktów, głównie do siły wydobytej z walki i umocnionej przelaną krwią (czyżby odezwały się tu wypaczone echa walk narodowowyzwoleńczych Polaków?). Widzimy go także podczas brawurowej ucieczki z rąk ścigającej go policji po terrorystycznym napadzie na stację kolejową w Rogowie. Zabił wówczas dwoje ludzi. W ten sposób zdobywał pieniądze dla swojej organizacji (Sing. II, s. 80–83). Obu, i Feldbluma, i Kuczyńskiego, ukazał I. J. Singer w legionach Kuczyńskiego-Piłsudskiego, pierwszego jako oficera, drugiego jako komendanta legionów i przywódcę organizacji bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej (Sing. II, s. 178). Dodajmy jeszcze, że Kuczyński podkpiwał sobie z semickich korzeni Feldbluma. Ogólnie rzecz biorąc – wzorowany na Piłsudskim bohater to postać zdecydowanie negatywna, szczególnie w porównaniu z partyjnym kolegą.

Socjaldemokrata Paweł Ściński pojawia się po raz pierwszy w świecie powieściowym, gdy wraca z Nisanem, Żydem z Bałut, ze zsyłki. Później widzimy go w rewolucyjnej Rosji: „Ten człowiek o niebieskich oczach, jasnych włosach i jasnej bródce, przypominającej brodę talmudysty, o łagodnym, a nawet romantycznym usposobieniu, porzucił swoje książki, kiedy tylko jego partia doszła do władzy i jął się rewolweru" (Sing. II, s. 201). Wykonywał dla rewolucji „pracę oczyszczania":

> Noc w noc wysyłał swoich ludzi na miasto w automobilach ciężarowych, uzbrojonych w rewolwery, karabiny, ręczne granaty. Ekspedycje napadały wśród nocy na wszystkich dawnych dygnitarzy, wyższych dostojników wojskowych, baronów, hrabiów, wyższych urzędników, bankierów, fabrykantów, eserów[60] i wszystkich tych, którzy nie należąc do klasy posiadającej, wlekli się w swojej nieświadomości za wrogami proletariatu. Wszystkich tych rejestrowano, aby ich następnie unicestwić. Żadnych sądów Ściński nie urządzał. Aresztowani byli przesłuchiwani, badani i skazani na miejscu, a ich nagie ciała przewożono natychmiast ciężarowymi automobilami na cmentarz i grzebano w dużych, płaskich grobach. Wielu wsadzano do piwnic krestiowskiego więzienia (Sing. II, s. 20).

Pierwowzór wydaje się oczywisty i oceny dokonywać nie trzeba.

---

ków w ich prywatne życie; nie są też ukazani w relacjach z innymi Polakami, ale wyłącznie w opozycji do Żydów".

[60] Eserami nazywano członków zwalczanej po dojściu bolszewików do władzy Partii Socjalistów-Rewolucjonistów.

Typem równie negatywnym był pułkownik żandarmerii Konicki, duszą (przeszedł na prawosławie) i ciałem zaprzedany oraz podporządkowany służbie w carskiej policji politycznej. Był to człowiek odrażający, przebiegły i podły, z opanowanymi do perfekcji technikami przesłuchiwania aresztantów, które przejął od Rosjan. Jedna z nich polegała na zastraszeniu więźnia poprzez wystawienie go na psychiczną torturę przysłuchiwania się w samotności sfingowanym odgłosom katowania innych więźniów. Po odpowiednio długim czasie, gdy więzień był już półżywy ze strachu, Konicki, bez podnoszenia głosu, traktując przesłuchiwanego z szacunkiem, niemal po ojcowsku, dobrotliwie tylko tłumacząc, stosując jednak odpowiednie, niemal niezauważalne chwyty, docierał do najgłębszych tajemnic więźnia, by zasiać w nim bojaźń, zwątpienie i osamotnienie. Po takim przesłuchaniu aresztant w czystej i wygodnej już celi nie przestawał myśleć o tym, że towarzysze nie wytrzymali tortur podczas śledztwa, bo skądże pułkownik Konicki mógł tak dokładnie wszystko wiedzieć? W końcu „Zagrzebał głowę w słomianej, więziennej poduszce i płakał, szlochał wśród nocy" (Sing. II s. 83–100). Dodajmy jeszcze, że w powieści pułkownik Konicki przesłuchuje Żydów. Nie jest to fakt bez znaczenia. Na jego miejscu mógłby I. J. Singer z powodzeniem umieścić Rosjanina i w niczym nie zmieniłoby to sytuacji; uczynienie przesłuchującego Polakiem daje natomiast dużo do myślenia.

Typem równie mało ciekawym, choć już z innych powodów, jest książę Pącz-Pączewski, wojewoda łódzki w odrodzonej Polsce. Zamieszkał w pałacu opuszczonym przez pułkownika barona von Heidel-Heidellowa i nie chciał go zwrócić prawowitemu właścicielowi. Zmuszony sądownie, pozostawił go „w niezbyt idealnym stanie". Brakowało też różnych cennych przedmiotów i raczej można wątpić, czy zabrała je służba (Sing. II, s. 247–248). Książę jest postacią pod każdym względem antypatyczną, pełną uprzedzeń, uraz i pychy, co zdaje się podkreślać jeszcze jego groteskowe nazwisko. Pragnie powrotu dawnego ładu, czuje się niedowartościowany, jest wiecznie niezadowolony. Charakteryzuje go również brak szerszych horyzontów myślowych. Przemawia przez niego egoizm i megalomania. I jest antysemitą. Tę cechę podkreśla się wielokrotnie (Sing. II, s. 249). Na tym na razie zamkniemy prezentację postaci księcia, wiążą się bowiem z jego osobą także inne aspekty koegzystencji Polaków i Żydów, dlatego wypadnie nam do niej jeszcze powrócić.

Zwróćmy uwagę, że żaden z przedstawionych bohaterów narodowości niemieckiej lub polskiej, z którymi dane było Żydom w Łodzi współżyć, nie jest dobrym, przyzwoitym, normalnym lub choćby tylko przeciętnym człowiekiem. Czy nie mamy tu do czynienia z jakimś żydowskim stereoty-

pem postrzegania obcych, wedle którego każdy goj jest zły lub w jakiś sposób naznaczony?

Na koniec, na zasadzie już tylko anegdoty, zaprezentujemy epizodyczną zupełnie postać Wojciecha Smolucha. Szlojme Duwed Preiss, ten sam, który „Zbił [...] wielki majątek ze swoich placów na Bałutach [...] puścił się przez wiele granic i lądów aż do Anglii, i nie znając żadnego obcego języka, porozumiewając się z żydowska po niemiecku, zakupił wielkie maszyny, zaangażował inżyniera i chemika i razem z maszynami sprowadził [ich] do Łodzi" (Sing. I, s. 26). Jego fabryka posiadała komin jeszcze wyższy aniżeli komin niemieckiego fabrykanta Hünzego, miał jednak reb Szlojme Duwed niejakie problemy z zatrudnieniem tkaczy – Żydów lub Niemców (!) ze względu na ich zasady religijne, a głównie ze względu na pracę w soboty lub niedziele. Ponieważ był uczony w Piśmie, poradził sobie i z tym problemem, a mianowicie „sprzedał" fabrykę i stała się ona własnością Wojciecha Smolucha, „który nie musi przestrzegać świętych praw Zakonu, nadanych przez Boga wybranemu narodowi Żydowskiemu" (Sing. I, s. 27). Akt sprzedaży

> opiewał, że Szlojme Duwed Preiss ze świątobliwej gminy Łodzi, położonej nad rzeczką Łódką, sprzedaje fabrykę swemu parobkowi Wojciechowi Smoluchowi.
>
> – Panie – prosił parobek [...] – jestem biedny, jakże mogę kupić fabrykę?
>
> – Głupiś, Wojciech! [...] rób, co ci każę, zapłacisz mi za fabrykę tylko rubla.
>
> – Ale ja nie mam rubla! – przestraszył się Wojciech.
>
> Reb Szlojme Duwed wyjął srebrnego rubla ze swej dużej, skórzanej sakiewki i dał go parobkowi.
>
> – Na, masz, Wojciechu, pożyczam ci rubla – powiedział – zapłać mi za fabrykę, którą ci sprzedaję, oddasz mi go, kiedy będziesz miał (Sing. I, s. 26).

Ta scena jest porównywalna z cytowaną wcześniej sceną w kantorze Grosglika. Czy nie mieliśmy racji mówiąc, że polski noblista potrafił po mistrzowsku ukazać kupiecki charakter swoich żydowskich bohaterów? Warto podkreślić, że nagromadzenie takich właśnie anegdot oraz ukazanie dwuznacznej, żydowskiej przebiegłości kupieckiej spowodowało m.in. posądzenie Wł. S. Reymonta o antysemityzm. U I. J. Singera analogicznych scen znajdujemy jednak równie dużo.

Poza przedstawionymi wyżej bohaterami, Polaków i Niemców spotykamy czasem w epizodycznych scenach zbiorowych, ukazujących życie miasta, lub w fabryce Hünzego, na przykład: „Chrześcijańscy tkacze [gdy kryzys zbierał swoje żniwo] z pochodzenia chłopi, wracali do swoich wsi. Dziewczęta wiejskie wracały do swoich rodziców do pracy na roli" (Sing. I, s. 266).

Podobnie jak Wł. S. Reymont, który w *Ziemi obiecanej* ukazał szeroką panoramę społeczeństwa polskiego, tak I. J. Singer przedstawił z rozma-

chem obraz społeczności żydowskiej. W jego powieści odnajdujemy ludzi bardzo bogatych i ubogich, również takich, którym nie starcza nawet na łyżkę strawy; ludzi, przed którymi świat stoi otworem i żyjących na skraju ubóstwa; ludzi przedsiębiorczych i niedołęgów życiowych; bogobojnych Żydów i odszczepieńców; ludzi zachłannych i potrafiących dzielić się z innymi; mądrych i głupich; pracowitych i leniwych; widzących tylko naród wybrany i patrzących szeroko, poza żydowski światek. Przede wszystkim jednak pisarz stworzył postaci barwne, bogate w różnorodne cechy, ukształtowane plastycznie, nieschematyczne i niepoddające się, jak w przypadku bohaterów polskiej i niemieckiej narodowości, jednoznacznym ocenom. Jest to jednak społeczność zamknięta, niechętna obcym i kontaktująca się z nimi tylko na gruncie interesów lub zmuszona pozycją i statusem do wyjścia poza krąg żydowski. Nie mamy tu małżeństw mieszanych i nikt też o takich nawet nie myśli. Nie ma też problemów z wyrzeczeniem się wiary w żydowskiego Boga i przyjęciu innego, bo problem ten nie istnieje – tacy ludzie nie są bohaterami utworu, choć I. J. Singer napomyka o nich. Co najwyżej jesteśmy świadkami ciążenia ku innym kulturom lub otwartego przeciwstawiania się religii. Odejście od tradycji żydowskiej czasem wynika z dziecinnych mrzonek, jak w przypadku Dinełe, która zaczytywała się w gojowskich romansach. Czasem ma źródło w wykalkulowanych korzyścią interesach, jak w przypadku męża Dinełe, Maksa Aszkenazego. Innym znów razem jest wynikiem posiadania milionów – ich właścicielom trudno było zachować żydowskie ograniczenia, jak w przypadku Fliderbaumów. Znamienne jednak, że ludzie ci nie wychodzą zupełnie poza środowisko, w którym się urodzili, lub nie zrywają z nim całkowicie, jak choćby córki Fliderbauma. Jedynym przykładem Żyda zasymilowanego w powieści I. J. Singera jest nieżyjący ojciec Feliksa Feldbluma; syn wszakże do korzeni, choć nie do wiary przodków, powrócił. Narrator zauważa zresztą: „Jak wszyscy polscy asymilanci Feldblum[61] stał zawsze na straży swego niewygodnego żydostwa, gotów do obrony […]" (Sing. II, s. 278).

Naszym zadaniem jest ukazanie stosunków pomiędzy trzema łódzkimi narodowościami, jak jednak wydobyć stosunek Żydów do Niemców i Polaków, skoro w powieści ich obraz ograniczony jest do minimum? Odnajdujemy jeden właściwie znaczący ich przykład: oto reb Abraham Aszkenazy zdecydował się pogodzić Hünzego z Goetzkem i tak długo namawiał obu do zgody, aż mu się to udało, z korzyścią dla nich, oczywiście. Poza tym ojciec Maksa był generalnym przedstawicielem handlowym starego Hünzego, nie posiadamy jednak opisów ich wzajemnych

[61] W powieści kilkakrotnie nazwisko Feldblum używane jest wymiennie z nazwiskiem Feldman.

kontaktów. Więzi zawodowe łączyły później również Maksa i synów Hünzego. Trwały one od chwili poniżającego dla młodego Aszkenazego spotkania z synami fabrykanta i skończyły się, gdy mógł im oświadczyć, że przejął kontrolę nad ich fabryką, zdobywając największy spośród udziałowców pakiet akcji. To ograniczone pole kontaktów narodowości żydowskiej z innymi nacjami jest wynikiem ich świadomego izolowania w celu ochrony własnej tożsamości, religii i tradycji.

Jedyną niezwykle trafną i zarazem anegdotyczną syntezę stosunków pomiędzy Żydami, Niemcami i Polakami zawarł I. J. Singer w scenach balu u Hünzów:

Ze wszystkich stron Łodzi, po wszystkich drogach prowadzących do miasta, ciągnęły karety z wystrojonymi gośćmi, podążającymi do baronostwa Hünze-Schwarzwald. Jechali więc bogaci niemieccy fabrykanci, byli tkacze, którzy przybyli niegdyś do Łodzi [...] jak ich kolega Hünze na jednokonnym wózku, z jednym warsztatem ręcznym, a teraz mieli kominy i fabryki. Jechali również na ten bal żydowscy bankierzy, tłuści i brzuchaci, usiłujący długimi wąsikami dodać sobie pańskiego wyglądu. Jechali ze swych dóbr zbiedniali polscy ziemianie, arystokratyczni i rozgoryczeni na szwabskich chamów, zagarniających dla siebie w ich ojczyźnie bogactwa i zaszczyty. W wojskowych bryczkach, zaprzęgniętych w „trójkę" jechali rosyjscy oficerowie i czynownicy z pobliskiego gubernialnego miasta. [...] Teraz dopiero można się było naśmiać do syta z baronowskich manier Hünzego [który nie sprostał sytuacji i nie potrafił wygłosić przygotowanego podziękowania za nadanie mu tytułu barona].

– Przy piwie z tkackimi majstrami pewnie jest wymowniejszy – śmieli się mężczyźni.

– Jakże się muszą wstydzić za starego jego córki – kiwały z zadowoleniem głowami kobiety. – Gryzą się pewnie, biedactwa, na śmierć.

– Głupi goj – drwili żydowscy bankierzy.

– Cuchnie szwabską kapustą – krzywili się polscy ziemianie [...].

Kobiety oglądały się wzajemnie zawistnymi spojrzeniami, zazdroszcząc jedna drugiej biżuterii, toalet i pięknych dekoltów. Żydowscy bankierzy starali się wyróżnić i zwrócić na siebie uwagę, opowiadając gojom żydowskie dowcipy, wywołujące śmiech i uznanie. Rosyjscy oficerowie szeptali pornograficzne dowcipy i anegdotki. Polscy ziemianie sypali docinkami przeciw Rosjanom, Niemcom i Żydom, zagarniającym dla siebie ich ojczyznę. Mówiono wyłącznie po niemiecku i rosyjsku, rzadko dało się usłyszeć jakieś polskie słowo. Polscy szlachcice, nie umiejąc po niemiecku, kaleczyli straszliwie francuski, męcząc się nad wydobyciem z pamięci słów [...]. Byli z tego powodu źli i nie przestawali mruczeć.

– Prostacka hojność... nastawiali tego jedzenia jak w szynku...

– Uwaga, znajdziesz jeszcze szwabską kiszkę z kapustą...

– Już wnet nie starczy dla nas miejsca w kraju, wszystko zagarnęli szwaby, kacapy i Żydzi. [...] gdy tylko jeden się od drugiego odwrócił, obmawiali się wzajemnie i urągali sobie.

– Polscy kapcani, pyszałki – mruczeli żydowscy bankierzy – nadymają się jak indyki.

– Szwabskie świnie... – szeptali polscy ziemianie – rozpierają się w naszym kraju, jakby byli tu gospodarzami...

– Żydowscy tandeciarze... – warczeli między sobą Niemcy – wydzierają z rąk cały przemysł...

– Damoczki charoszeńki – szemrali rosyjscy oficerowie – tylko ich mężczyźni niech idą do diabła. Sami obcy, jakby się nie było we własnym, rosyjskim kraju... (Sing. I, s. 204–205).

Jest to, jak zauważono, synteza anegdotyczna i trafna, ale zarazem też ukazująca poszczególne narodowości w sposób bardzo stereotypowy. I. J. Singer nie pokusił się o pogłębioną refleksję. Polska szlachta jest pyszałkowata, niedouczona, biadająca nad panoszeniem się obcych w ich własnym kraju, a do tego potrafiąca jedynie narzekać oraz formułować złośliwe i zawistne uwagi na poziomie własnych stangretów i fornali. Rosjanie oglądają się tylko za kobietami i opowiadają pornograficzne dowcipy – wiadomo, żołnierze. Niemcy jak zwykle zazdroszczą Żydom ich przedsiębiorczości i wypominają im produkcję tandety. Największej krytyce poddano Polaków, najmniejszej Żydów – wytknięto im jedynie, że chcą upodobnić się wyglądem do panów, czyli polskiej szlachty. Widomym tego znakiem są wąsy zapuszczane przez tych, którzy doszli do majątków i „z pańska" przez ich posiadaczy podkręcane. To kolejny stereotyp, który w powieści często powraca. Nie mamy właściwie w utworze I. J. Singera analiz, które pozwoliłyby sformułować wnioski co do wzajemnych stosunków interesujących nas narodowości, tak więc posłużyć się musimy kontekstami oraz – paradoksalnie – tym, czego nie ma lub co nie istnieje na kartach powieści.

Zacznijmy od miejsca przeznaczonego w powieści różnym narodowościom. Poświęcenie utworu niemal w całości łódzkim Żydom, przy stosunkowo ograniczonym miejscu dla Polaków i Niemców, zdaje się sugerować, że są oni niechętni kontaktom z gojami lub przynajmniej nie widzą ich potrzeby. Jak wcześniej stwierdzono, wszyscy bohaterowie spoza kręgu żydowskiego występują w powieści tylko w wyniku swoich związków z tą narodowością. Kontakty takie na gruncie prywatnym, poza praktykowanymi przez Fliederbaumów (a i te związane są z działalnością fabrykanta i niewiele się o nich dowiadujemy), zupełnie jednak nie istnieją. Przyjaźnie jego dzieci, głównie córek, są źle widziane wśród Żydów i ojciec obwinia siebie za ich odwrócenie się od tradycji i religii przodków. Dowodem na zamykanie się i separowanie Żydów jest również przyjęcie przez nich litwaków po ukazie cara Aleksandra III, który spowodował wypędzenie Żydów z Moskwy, a później z innych rejonów Rosji[62]. Po ich przyjeździe do Łodzi nastąpiło w mieście dużo zmian.

[62] „W mieście zaroiło się wnet od tych nowych, obcych ludzi, których nazywano «litwakami». Odnajęli dużo mieszkań, zajęli największe sklepy. [...] Osiedlili się w najpiękniejszych domach, zakładali przedsiębiorstwa w najokazalszych lokalach. [...] Ponadto budzili oni zgorszenie swoją bezbożnością. [...] Mówili zaś ci obcy [chłopcy] rosyjską mową, nie przymierzając, jak policaje albo oficerowie. [...] Ale nawet rodziców, rozmawiających po żydowsku i uczęszczających na modły do bóżnic, nie uważano za lepszych od ich synów [...]" (Sing. I, s. 220–221). „Prowadzono więc z nimi interesy, ale nie zbliżano się do nich, rzadko zapraszano jakiegoś litwaka do domu, u n i k a n o i c h j a k g o j ó w. [...] N i e n a w i ś ć [podkr. – J. F.] do przybyszów wzrosła jeszcze bardziej, gdy po

Wszystkie wyniknęły z przedsiębiorczości przybyszy i z niechęci do nich Żydów z Kongresówki. Nie spodobali się, bo ich mowa brzmiała obco, inaczej się modlili, a recytowanie Talmudu nie miało wdzięku, nawet „Amen" mówili inaczej. Poza tym nosili krótkie kapoty i golili się[63], co dla Żydów łódzkich było wyraźnym dowodem na odejście od wiary przodków i wejście na gojowskie ścieżki. Niechęć do Litwaków objawiła się w ksenofobicznym strachu. Byli „inni", „obcy", dlatego zaczęto przypisywać im najgorsze cechy, które niewiele miały wspólnego z rzeczywistością, a przede wszystkim traktowano ich niemal jak gojów. Dzieci nawet obrzucały przechodzących litwaków wyzwiskami[64].

Analiza postawy Żydów z Kongresówki wobec ich rodaków przybyłych z Rosji może budzić zdumienie. Narrator kilkakrotnie mówi w powieści o pogromach. Nie ocenia ich jednak i na ogół pozostawia bez

---

moskiewskich bogaczach zaczęli napływać biedacy z litewskich miast i miasteczek, by zarobić w Polsce na życie. Jak moskiewscy Żydzi byli hojni i rozrzutni, tak ci, przeważnie młodzieniaszkowie, byli biedni, skąpi i wychudli. [...] Patrzyli ze zdumieniem na polskich obżartuchów jedzących codziennie mięso i otwierali szeroko oczy, widząc, jak każdego piątku ubogie kobiety pieką na sobotę gąski i wielkie blachy słodkiego ciasta. [...] Dziwili sie polskim Żydom chodzącym do restauracyjek, gdzie pili piwo, jedli solony groch, zamawiali jednego sznapsa i zagryzali siekaną wątróbką [...]. Śmiech w nich wzbierał, gdy widzieli jak starsze kobiety wchodzą do cukierni i kupują sobie czekoladę lub ciastko.

– Polskie łasuchy! – mówili urągliwie – Dzicy ludzie!

– Litewscy cebularze! – odpowiadano im urąganiem na urąganie – Barszcz ze śledziem!

Żaden z tych litwaków nie chciał pracować w tkalni. Ten fach pozostawili tubylcom. Oni zajmowali się handlem i nader szybko dźwigali się w górę" (Sing. I, s. 225–226).

[63] „Ich mowa żydowska brzmiała obco i niezrozumiale [...]. Ich sposób modlenia się i recytowania Talmudu nie miał ani smaku, ani wdzięku. [...] Dziwni to byli Żydzi, nie widywano wcale takich w Polsce. Starsi z nich mieli wprawdzie brody, ale ich kapoty były krótkie, gojowskie, takie też były ich kapelusze na głowach. Młodsi byli goleni [...]. Przy modlitwach nie kiwali się w przód i w tył, jak polscy Żydzi, ale stali wyciągnięci prosto jak struny. «Amen» powtarzali wyraźnie i głośno. Jeszcze dobitniej i powolniej, słowo po słowie mówili kadisz, przy czym wypowiadali hebrajskie słowa zupełnie inaczej niż wszyscy tutejsi Żydzi" (Sing. I, s. 221–222).

[64] „Polscy Żydzi zaczęli sobie opowiadać cuda o nadzwyczajnych wyczynach i sprycie przybyszów. Byli oni niby Cyganie. Każdy z nich potrafił, jak upiór, przewracać oczyma i trzeba się ich było strzec jak diabłów. Ludzie unikali ich, odsuwali się od nich, nie chcieli stanąć w pobliżu ich cienia. Bogaci chasydzi wyprowadzali się z domów, w których zamieszkał litwak. Pobożni Żydzi niechętnie zaliczali w bóżnicach litwaka jako dziesiątą osobę do obowiązującego dla gromadnych modłów dziesięcioosobowego grona. Kobiety na podwórkach starały się unikać wypożyczania naczyń litwaczkom, nie miano bowiem pewności, czy przestrzegają koszernych przepisów i czy nie mieszają ze sobą naczyń mięsnych i mlecznych. Kobiety starały się również nie wstawiać czulentu do takiego pieca, gdzie litwaczka wstawiała swój garnek z czulentem. Chłopcy chederowi biegali po ulicach za przechodzącymi litwakami i śpiewali: «Litwak – świnia czu-czu-czu / Leżysz w ziemi lu-lu-lu» [...]" (Sing. I, s. 222–224).

komentarza. Nie jest to jednak wyraz pogodzenia się z losem. Za brakiem jakichkolwiek uwag kryje się niezgoda i pamiętliwa wrogość, czemu trudno się dziwić. Jednakże wypędzeni z Rosji Żydzi nie znajdują u swoich rodaków ani zrozumienia, ani współczucia. Mało tego – spotyka ich niechęć, a nawet wrogość tylko dlatego, że są inni, że mówią inaczej, inaczej się modlą. Stanowią zagrożenie! Jakiż więc musiał być stosunek Żydów do „prawdziwych" gojów? Próbę odpowiedzi na to pytanie znajdziemy w dalszej części rozważań.

Stwierdziliśmy wcześniej, że u Wł. S. Reymonta występują stereotypowe ujęcia Niemców i Żydów. Stereotypy w ukazaniu Polaków i Niemców zauważamy także u I. J. Singera[65]: jeśli Niemiec – to pyszałek, prostak, człowiek nieokrzesany, pozbawiony godności i honoru, niepanujący nad własnymi popędami; jak Polak – to człowiek bez przyszłości, skłonny do przelewu krwi, nieudacznik i pyszałek równocześnie, a do tego zwykły cham, mimo „pańskiego" pochodzenia[66]. Takie ujęcia i postrzeganie innych narodowości wynika, jak się wydaje, z separowania się Żydów i w konsekwencji niewielkiej znajomości innych nacji, które sprowadza się do jednej – gojów. Nieważne – Niemiec, Polak czy Rosjanin; każdy z nich jest gojem. Wydaje się też, że Żydów niewiele interesuje świat obcych, czego dowody znajdziemy w powieści. Na przykład polscy chłopi przybywali do Łodzi w poszukiwaniu pracy tylko dlatego, że ich ziemia była nieurodzajna i nie mogła ich wyżywić. I. J. Singer często też myli Polaków z Niemcami. Jakiej narodowości są właściwie robotnicy w fabryce Hünzego?

Sposób ujęcia Polaków i Niemców w powieści zdaje się sugerować, że Żydzi bardziej skłonni są do kontaktów z Niemcami. Trudno powiedzieć,

---

[65] Por. M. Adamczyk-Garbowska, *Dwie powieści*..., s. 83–87. Autorka zwraca uwagę na stereotypowe postrzeganie przez I. J. Singera tylko Polaków, co wynika z zakresu rozważań jej artykułu; stereotypowe ujęcia w powieści Wł. S. Reymonta dotyczą w powieści także Niemców.

[66] Na temat kreacji Polaków w powieści I. J. Singera M. Adamczyk-Garbowska w przywołanym artykule pisze: „Podczas gdy dla Reymonta główną rolę we wzajemnych stosunkach wydaje się odgrywać czynnik rasowy [raczej kulturowy i ekonomiczny – uwaga J. F.], w powieści Singera obraz większości polskich bohaterów ma źródło w dwóch stereotypach zakorzenionych w żydowskim folklorze i tradycji literackiej: prostego goja i dziedzica (jidysz: *porec*). Goj jest głupi, nie potrafi czytać ani pisać i nie przedstawia szczególnego niebezpieczeństwa, jak Wojciech na początku powieści, ale w tłumie staje się niebezpieczny dla Żydów. Dziedzic jest gwałtowny, nieprzewidywalny w reakcjach, czasami pozytywnie nastawiony do Żydów, ale częściej okrutny. [...] Jeśli w świecie Reymonta Żydzi mają wydatne nosy, to u Singera Polacy nie mogą obejść się bez wąsów i czym wąsy dłuższe, tym większe niebezpieczeństwo się za nimi kryje. [...] Żydzi, którzy chcą przybrać polski wygląd, również nie zapominają o tym rekwizycie, na przykład Flederbojm [Fliderbaum] tańczy poloneza, dumnie podkręcając wąsa" (taż, *Dwie powieści*..., s. 86).

czy bardziej szanują ich niż Polaków. Może Niemcy są lepiej przez nich postrzegani ze względu na umiejętność bogacenia się i gromadzenia dóbr? Polacy pociągają Żydów swoją „pańskością", której widomym znakiem w powieści są wspomniane już długie wąsy, ale traktuje się ich protekcjonalnie. Przede wszystkim jednak pisarz zwraca uwagę na antysemityzm Polaków. Takie zachowania zauważamy również u Niemców, jednakże w powieści, poza znienawidzonym baronem von Heidel-Heidellowem, arogancko do Żydów odnoszą się tylko synowie Hünzego. Oni wszakże nigdy z nikim się nie liczyli, nawet z własnymi rodzicami. Scena poniżenia Maksa Aszkenazego przez młodych Hünzów (Sing. I, s. 195–197) następuje zaraz po burdzie, którą uczynili w lokalu podczas spotkania z węgierską tancerką i sprawozdaniu narratora z ich nocnych szaleństw, za pomocą których starali się zapomnieć o doznanym upokorzeniu. W takim kontekście przyjęcie Symche Majera (Maksa) Aszkenazego odbierzemy inaczej, aniżeli osobiste animozje Pącza-Pączewskiego, który jest przecież przedstawicielem polskiej władzy. Niechęci i urazy w stosunku do Polaków podkreślają też rzucane mimochodem, przypisywane tylko im, antysemickie zachowania w krótkich scenkach rodzajowych:

> [Symche Majer] Minął kilku robotników, którzy zaczepili go warcząc nań, jak psy.
> – Ajwaj!
> – Mojsie nie bój się – śmieli się z niego (Sing. I, s. 197).

Lub:

> Młodzi i zdrowi Żydzi zgłaszali się do biur pośrednictwa pracy [...], ale tłumy bezrobotnych robotników odpędzały ich stąd.
> – Zabierajcie się stąd, Moszki – wyszydzano ich.
> – Tatełe – mamełe! Aj-waj! (Sing. II, s. 271).

Tak więc w powieści bardziej widoczna jest niechęć Polaków do Żydów, aniżeli niechęć do nich Niemców, bo nawet konkurencja Hünzego z Fliderbaumem zostaje zniwelowana poprzez istniejącą konkurencję Hünzego z jego wspólnikiem Goetzkem.

Wypada również stwierdzić, że przejawy wrogości lub niechęci Żydów i Polaków u I. J. Singera są jednostronne – wyraźnie widać tylko niechęć lub wrogość Polaków do Żydów. Nie spotykamy właściwie wcale sytuacji odwrotnej. Istnieje wszakże tak przerysowana postać antysemity i zarazem przedstawiciela władzy, że jej kreacja zdradza również antypolskie fobie społeczności żydowskiej (niekoniecznie samego autora!).

Książę Pącz-Pączewski, ojciec i opiekun miasta, nienawidził swego miasta, nie cierpiał go nie mniej, niż baron von Heidel-Heidellow. [...] nie mógł znieść tych pałaców wzniesionych przez byłych arendarzy żydowskich, tych karet, którymi rozbijali się potomkowie żydowskich kramarzy. [...] Najgorszym jednak złem było to, że wsadzono go do tego żydowskiego miasta, w którym musiał mieć do czynienia z różnymi Żydami, fabrykantami i kupcami, byłymi arendarzami cuchnącymi cebulą, że musiał z nimi mówić jak z równymi sobie, a nawet niektórych z nich zapraszać do siebie na przyjęcia. Przychodzą do niego różni dziennikarze, pismaki tutejsze i zagraniczne, różne ważne Żydki [...]. Musi ich przyjmować i traktować grzecznie. Ostatnio zjawił się u niego nawet jakiś dyplomata [...]. A okazało się, że ten dyplomata był Żydem. W sobotę modlił się nawet ze swoimi rodakami w bóżnicy. A on, książę Pącz-Pączewski musiał mu towarzyszyć. [...] Ilekroć miał się spotkać z żydowskimi fabrykantami, kupcami i inteligentami, wrzała w nim ze wstydu jego błękitna, arystokratyczna krew. Nie był wcale wrogiem Żydów, chciał tylko, żeby byli tacy, jak ich pamiętał ze swoich dziecinnych lat: w długich kapotach i pejsach, arendarze i kramarze wiejscy, całujący dziedzica po rękach, ulegli i czołobitni. Książę lubił wszystko, co dawne, tradycyjne, wszystko takie, jakie było za czasów jego przodków. Żeby pan był panem, chłop chłopem, a Żyd Żydem. Nie wyobrażał sobie, żeby Polska mogła obejść się bez Żydów. Lubił spotykać na drodze brodatego, pochylonego Żyda, ściągającego ulegle czapkę przed przejeżdżającym w karecie panem. Nie cierpiał Żydów zapuszczających długie, szlacheckie wąsy, owych wyfraczonych bankierów spotykanych na balach i przyjęciach, inteligentów wciskających się wszędzie, plutokratów w pałacach i w karetach (Sing. II, s. 249–250).

Zastosowanie mowy pozornie zależnej silnie eksponuje antysemityzm księcia, graniczący wręcz z fanatyczną nienawiścią. Książę postanawia bowiem zrobić porządek z panoszącymi się Żydami[67]. Dalej znajdujemy prezentację polsko-żydowskiej wojny, będącej w istocie wojną „książęco"--żydowską o wyrugowanie Żydów z zajętych przez nich pozycji, okraszonej uwagami o dwuznacznej postawie Polaków, z jednej strony bowiem krytykowali Żydów, a z drugiej – nawiązywali z nimi spółki, czerpiąc z tego korzyści finansowe[68]. Ponadto znajdujemy uwagi o antysemickich karykaturach Aszkenazego, ukazujących go w niewybredny sposób[69].

[67] „Dopóki Moskale rządzili w kraju, książę Pącz-Pączewski nic na to nie mógł poradzić. Sam gubernator rosyjski bywał na balach i przyjęciach u tych Żydów. Teraz jednak, gdy nastały inne czasy, trzeba zaprowadzić inny porządek, jak za dawnych, złotych, szlacheckich czasów. Pan ma wrócić do panowania, chłop do gnoju, a Żyd do noszenia worka. Przeciw chłopom i motłochowi nie mógł nic przedsięwziąć. Nadeszły teraz inne czasy. Oni rządzili w kraju. Ale do Żydów można się było zabrać" (Sing. II, s. 250).

[68] „Wiele wpływowych osobistości zawierało takie [pozorne] spółki z Żydami, osłaniało swymi odpowiednio brzmiącymi nazwiskami na «ski» owe wszystkie żydowskie «sohn», «berg», «stein», «mann», które nie mogły liczyć na poparcie ani otrzymać dostawy. Nawet redaktorzy antysemickich gazet, którzy lżyli i wymyślali takim «szabesgojom», sami cichcem wdawali się z Żydami w konszachty i użyczali swoich nazwisk trefnym, żydowskim firmom" (Sing. II, s. 252).

[69] „Rysownicy w humorystycznych pismach wyobrażali Aszkenazego w bardzo brzydkiej postaci, z krzywą koroną na głowie, spod której wyglądają pejsy. Wydłużali mu nos

Nie można zaprzeczyć, że te scenki poświadczają mało pochlebną dla Polaków rzeczywistość, jednak w przerysowanej i karykaturalnej formie. Książę o dość osobliwym i humorystycznym nazwisku Pącz-Pączewski jest typem tyleż niesympatycznym, zacofanym i głupim, co pochodzącym raczej z niewykształconej szlachty zaściankowej lub z „posiadających aspiracje" nuworyszy, a nie z rodziny o długowiekowej tradycji. Wadą arystokracji był raczej kosmopolityzm, a nie brak horyzontów myślowych. Oczywiście nie znaczy to, że takie ograniczone indywidua nie trafiały się i wśród arystokracji. Co ciekawe, ta postać obnaża również skrywany polski antysemityzm: Pącz-Pączewski nie jest wrogiem Żydów! O, nie! Ale chce „tylko", żeby Żyd pozostał Żydem, czyli – nikim[70]. Antysemickie nastroje rzeczywiście mogły utrudniać Żydom ich działalność, a w pismach, nie tylko „humorystycznych", ukazywały się ich złośliwe karykatury. Ile jednak mogło istnieć takich pism antyżydowskich i z czego by się w końcu utrzymywały, bo że istniały, zaprzeczyć nie można? Adresowane były wszakże do charakterystycznego grona odbiorców, a to znów nie było aż takie liczne.

Problem w tym, że te jednostkowe zdarzenia poprzez ich wyeksponowanie zyskują rangę prawdy obiektywnej, czyniąc ze wszystkich Polaków antysemitów jawnych lub ukrytych. Być może Żydzi tak właśnie odczuwali i odczuwają? Zwróćmy jednak uwagę, że przerysowana, obrzydliwa w wyrazie postać Żyda została stworzona „przez antysemitów", z czego wynika, że istnieli również nie-antysemici! Wydaje się też, że musiała być ich większość, bo inaczej nie byłoby w ogóle problemu antysemityzmu, gdyż Żydzi opuściliby niegościnne ziemie, jak stało się, niestety, w 1968 r. i nie była to wtedy wina Polaków jako narodu, a wynik propagandy aparatu bezpieczeństwa sterowanej z ZSRR. Książę Pącz-Pączewski jako wojewoda łódzki II Rzeczypospolitej „spotykał się", czy chciał tego, czy nie, bo musiał – tak stanowiło prawo i zasady dyplomacji (!), „z żydowskimi fabrykantami, kupcami i inteligentami". I musiał wobec

i zakrzywiali go, żeby wyglądał jak najbardziej po żydowsku. Cienkie i ostre wargi Aszkenazego zamieniali na grube i obwisłe, upodabniając je do idealnego wyobrażenia żydowskiej fizjonomii, urobionej przez antysemitów dla uciechy gawiedzi" (Sing. II, s. 253).

[70] O księciu Pącz-Pączewskim M. Adamczyk-Garbowska pisze: „Ta cecha polskiego pana, mianowicie jego niezdolność do zaakceptowania wyemancypowanego Żyda (w tym także zamaskowanego komunisty), ujawnia się również w scenie na polsko-sowieckiej granicy (znacznie – jak wspomniałam – ocenzurowanej), kiedy to polski oficer stara się upokorzyć obydwóch braci, każąc im tańczyć majufes. Dopóki Żyd jest posłuszny panu, może czuć się stosunkowo bezpieczny; kiedy jednak przestaje być pachciarzem z workiem na plecach, jego pozycja a nawet życie, zostają zagrożone" (taż, *Dwie powieści…*, s. 87). Autorka odwołuje się do nieocenzurowanej wersji, która w całości nie została przetłumaczona na język polski.

nich zachowywać się poprawnie, bez względu na to, co myślał. Te grupy, z którymi się kontaktował, wyodrębniły się bez przeszkód w społeczeństwie żydowskim i w państwie polskim o ograniczonej autonomii, wśród Polaków, także w Łodzi. Przedstawiciele tych grup byli też zapraszani na uroczystości, gdyż książę, który nie cierpiał „Żydów zapuszczających długie, szlacheckie wąsy, wyfraczonych bankierów, inteligentów, plutokratów", spotykał ich jednak dość często. Nie były to więc grupy izolowane. Znamienny jest też przykład ilustrujący antyżydowskie nastroje, zmuszające Żydów do zawierania z Polakami fikcyjnych spółek. Dla Żyda, który w podobnych warunkach miałby wejść do takiej spółki, byłby to doskonały, dający dochód interes, który z pewnością nie przynosiłby mu najmniejszej ujmy. Dlaczego jednak wyczuwamy w tym fragmencie nutę wyższości i pogardy, gdy czynią to Polacy? Powróćmy też do stron poświęconych przybyciu litwaków do Łodzi. Ileż to w zachowaniach Żydów łódzkich i przybyszy znajdujemy cech przypisywanych Polakom? Zacytowane wyżej (w przypisach) fragmenty, ukazujące koegzystencję Żydów z Kongresówki i litwaków, zdradzają nie tylko izolowanie się tej narodowości, lecz także ujawniają pychę, brak tolerancji, ksenofobię, prostackie ubliżanie innym. A więc i Żydzi zdolni są do takich zachowań. Dlaczego więc piętnuje się je tylko u Polaków?

Poprzestaniemy tylko na tych uwagach, ponieważ stąpamy po cienkiej linie, z której łatwo zboczyć i urazić czyjeś uczucia – Żydów broniących swoich krzywd[71] doznanych od Polaków lub Polaków broniących się przed podobnymi „insynuacjami". Nie jest też zadaniem niniejszych rozważań obrona przed posądzaniem Polaków o antysemityzm lub

[71] Warto w tym miejscu odwołać się do wczesnej twórczości J. Tuwima. W *Pieśni o biciu*, datowanej na 5 listopada 1914 r., czytamy:

Żydów biją! Wesoło! Ha-ha-ha!
Żydów biją! Będą i mnie bili:
Batogiem w pysk,
Nahajką w plecy
Żelastwem w głowę. [...]
Będą mnie bić – a mocno bić! [...]
Hej, staną wszyscy na zew,
Zakipi słowiańska krew.
Zobaczą mnie na ulicy.
Ech – cisną się robotnicy
(Mój panie – Aryjczycy!)
[...] krzykną: Żyd!
Tłuc!!

A. Kowalczykowa zwraca uwagę na pojawiającą się refleksję młodego poety o jego pochodzeniu. Wywołała ją fala antysemityzmu, która przeszła przez ziemie Królestwa na początku I wojny światowej. Na tym tle doszło również do zamieszek w Łodzi. Za: A. Kowalczykowa, *Tuwim – poetyckie wizje Łodzi*, „Prace Polonistyczne" 1996, seria LI, s. 15.

udowadnianie Żydom, że powinni się uporać z problemem własnej niechęci do Polaków. A prawda, jak zwykle, tkwi pośrodku. Wypada jednak stwierdzić, że podobnie jak Polaków, tak i Żydów cechuje brak znajomości drugiej nacji, że i oni są w jej postrzeganiu pełni stereotypów i uprzedzeń.

Bardzo znamienne są przytoczone wcześniej zakończenia powieści. Borowiecki, zdobywszy majątek, stwierdza, że zmarnował życie. Maks Aszkenazy zauważa to już podczas pobytu w rewolucyjnej Rosji. Po śmierci brata odbywa pokutę i podejmuje dawną działalność, ale już z innych pobudek – powraca do żydostwa, na drogę, z której zboczył. Do swoich korzeni powróciła też trwająca przy własnej kulturze rodzina von Eichbergów. Te zakończenia to wynik osobistych doświadczeń pisarzy. Nie była więc Łódź takim przykładem relacji pomiędzy Polakami, Niemcami i Żydami, które mogłyby je zmienić. Łódź składająca się z trzech narodowości, z których każda silnie odczuwała własną kulturę i tożsamość, ciążyła ku nim i stawiała ponad innymi, nie mogła być miejscem bezkonfliktowego ich współżycia. Utrudniały je poza tym brak potrzeby, chęci i możliwości głębszego poznania. Nie znaczy to, oczywiście, że pomiędzy przedstawicielami różnych narodowości nie istniały żadne kontakty lub że nie dochodziło pomiędzy nimi do współpracy. Wiesław Puś podkreśla dużą aktywność społeczności żydowskiej w organizowaniu szkolnictwa w Łodzi, także polskiego, po 1905 r.[72]

5.2. Wybrane wartości utworu Israela Joshuy Singera

Dużo miejsca poświęciliśmy obrazowi Polaków, Niemców i Żydów w powieści Wł. S. Reymonta oraz Polaków i Niemców u I. J. Singera. Nie zwróciliśmy natomiast uwagi na ukazanych w utworze *Bracia Aszkenazy*

[72] Wielu przedstawicieli środowiska żydowskiego, pisze badacz, „[...] angażowało się w pracach nad tworzeniem szkolnictwa polskiego. Prezesem powstałego w 1906 r. Towarzystwa Krzewienia Oświaty był dr Mieczysław Kaufman, a w Towarzystwie im. Elizy Orzeszkowej wiceprezesem Paweł Rosenthal. Obok tych osób wielu innych przedstawicieli społeczności żydowskiej działało w różnych polskich stowarzyszeniach, w Towarzystwie «Uczelnia», dzięki któremu powstało pierwsze polskie gimnazjum, najważniejszą rolę odgrywały rodziny żydowskie Heimanów i Schifferów. Stanisław Silberstein aktywnie działał w Polskiej Macierzy Szkolnej. Wydaje się, że można postawić tezę, że mimo wyraźnej odrębności religijno-kulturowej społeczności żydowskiej, w sferze życia kulturalnego miasta dochodziło do daleko idącej współpracy. Środowiska Żydów częściowo zasymilowanych (określanych mianem Polaków wyznania mojżeszowego) były często inicjatorami przedsięwzięć w dziedzinie oświaty, które służyły społeczeństwu Łodzi bez względu na przynależność narodową" (W. Puś, *Szkoły żydowskie w Łodzi*, „Tygiel Kultury" 2004, nr 4–6, www.tygielkultury.eu/4_6_2004/aktual/15ram.htm; dostęp: 10.09.2012).

Żydów. Ich świat, utrwalony na kartach powieści, jest nam dziś niedostępny, zaś ten, z którym możemy spotkać się w sztuce – zawsze ukryty za charakterystycznymi chałatami, długimi brodami, tańczącymi samoistnie pejsami, kapeluszami i czapkami, cycesami, mezuzą, tałesami, tefilinami, zwojami Tory, mykwą, babińcem w synagodze, szabasem, szabasowymi świecami – słowem, za tym wszystkim, co wydaje się dziś magiczne i tajemnicze, a skrywało i skrywa, tak przynajmniej sądzimy, prawdziwe życie i oblicze Żydów. Podobnie zresztą odczuwało wielu Polaków, którzy mieli możność żyć obok nich[73].

Zacznijmy od tego, że I. J. Singer urodził się w 1893 r. w Biłgoraju. Jego ojciec, Pinchas Mendel Zinger, był chasydzkim rabinem, a matka, Basheva Zylberman, córką rabina z Biłgoraja, przeciwnika chasydyzmu. Pisarz znany jest głównie jako starszy brat noblisty Issaka Bachevisa Singera; wielu żydowskich krytyków sądzi jednak, że to Israel Joshua bardziej godny był tego wyróżnienia[74]. Podkreśla się również, że dzięki niemu młodszy brat zyskał sławę. Z tej rodziny pochodzi pisząca w jidysz Esther Kreitman, najstarsza z rodzeństwa, utrzymująca jednak luźne kontakty z braćmi. I. B. Singer uważał ją za najlepszą pisarkę w jidysz. E. Kreitman jest pierwowzorem jego Yentl, znanej głównie z ekranizacji Barbry Streisand utworu I. B. Singera, kobiety pragnącej na równi z mężczyznami studiować żydowskie teksty. Jako najstarszy syn, I. J. Singer przeznaczony był do rabinatu, ale zbuntował się w wieku siedemnastu lat. Zaczął tworzyć w 1915 r.; swoje utwory poświęcał życiu chasydów.

W 1918 r. I. J. Singer wyjechał do Kijowa, a następnie do Rosji. Był zainteresowany komunizmem, który zdawał się zwiastować nowy ład, wolny od niesprawiedliwości i możliwość odnalezienia w tym świecie miejsca przez europejskich Żydów. Pobyt w Rosji pozbawił go złudzeń co do możliwości realizacji tych marzeń. Od rosyjskiego komunizmu odstręczyła pisarza skala barbarzyństwa i antysemityzm przywódców rewolucji. Po powrocie do Polski, w latach dwudziestych, opublikował kilka zbiorów opowiadań, z których *Perła* przyniosła mu światową sławę. W 1921 r., po tym jak Abraham Cahan zauważył jego zbiór opowiadań, został korespondentem amerykańskiej gazety wydawanej w jidysz „Jewish Daily

[73] Ten niedostępny świat był intrygujący: „A w Żydach" – pisze A. Braun – „zawsze tak odczuwałeś – coś było tajemniczego. Niby zwykli, biedni i brudni, a jednak zagadkowi. Odkrywałeś w nich ukryte zaplecze jakiejś przestrzeni czy też głębi nieznanej kultury, historii, obyczajów i religii – wszystkiego, co się składa na egzotyczny, niepojęty świat. Więc odczuwałeś, o dziwo, pewien respekt przed tymi tragarzami i handlarzami, przed krawcem, lodziarzem, przed twoim pejsatym rówieśnikiem, bo zawsze miałeś szacunek przed czymś, czego nie znasz i nie rozumiesz" (A. Braun, *Psie Pole*, Oficyna Wyd. Agawa, Warszawa 1977, s. 51).

[74] M. Adamczyk-Garbowska, *Dwie powieści…*, s. 82.

Forward". Pracował również jako redaktor warszawskiego „Literarische Bleter", wydawanego w tymże języku. W 1934 r. wyemigrował do USA. Zmarł dziesięć lat później w Nowym Jorku.

Pisarz znany jest na świecie jako urodzony w Polsce autor powieści pisanych w jidysz: *Josie Kałb* (1932), *Bracia Aszkenazy* (1936), *Haver Nachman* (*Towarzysz Nachman* lub *Na wschód od Edenu*; 1938), *Rodzina Karnowskich* (1943). I. J. Singer tworzył także opowiadania i sztuki teatralne, które z powodzeniem były wystawiane przez żydowskie trupy teatralne zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Za jego największe dzieło uznaje się powieść *Bracia Aszkenazy*[75]. Podobnie jak utwór Wł. S. Reymonta, dzieło I. J. Singera spotkało się z różnym przyjęciem u czytelników. Powieść krytykowana była z przyczyn natury historycznej, ideologicznej i artystycznej. Zwracano także uwagę na sposób przedstawiania różnych grup narodowościowych[76]. W sumie jednak, jak twierdzi Monika Adamczyk-Garbowska, powieść I. J. Singera spotkała się z bardziej entuzjastycznym przyjęciem przez krytyków żydowskich niż dzieło Wł. S. Reymonta przez krytyków polskich.

Uważa się, że powieść *Bracia Aszkenazy* to saga rodzinna, ukazująca dzieje bliźniaków – Symche Majera i Jakuba Binema, urodzonych w odstępie kilku minut, zdecydowanie jednak różniących się wyglądem i cechami charakteru[77]. Los obdarzył ich nierówno, ale dość proporcjonalnie. Młodszemu, Jakubowi, dał ujmującą powierzchowność i charak-

[75] *Yiddish literature*, www.britannica.com/EBchecked/topic/545796/IJ-Singer; www.britannica.com/EBchecked/topic/653224/Yiddish-literature/234160/Writers-in-Poland-and-the-Soviet-Union; *Israel Joshua Singer*, http://en.wikipedia.org/wiki/Israel_Joshua_Singer; *Esther Kreitman*, http://en.wikipedia.org/wiki/Esther_Kreitman (dostęp: 10.09.2012).

[76] M. Adamczyk-Garbowska, *Dwie powieści*..., s. 82.

[77] Interesującą interpretację kreacji braci Aszkenazych daje M. Adamczyk-Garbowska. Zauważa, że powieść I. J. Singera jest w pewien sposób reakcją na znany mu, wcześniejszy utwór Wł. S. Reymonta: „Łatwo sobie na przykład wyobrazić, że Singera musiała szczególnie irytować w powieści Reymonta postać Moryca Welta. Mając ten fakt na uwadze, możemy potraktować braci Aszkenazy jako dwie strony Moryca: Jakub przypomina go pod względem fizycznym, powodzenia u kobiet i dobrych stosunków z polskim środowiskiem, Symcha natomiast pod względem przebiegłości i braku skrupułów. Jakub jest jednocześnie wyposażony w cechy charakterystyczne dla polskiej szlachty, jak gdyby zaczerpnięte z postaci Borowieckiego czy Trawińskiego. Co więcej, na małżeństwo Dinełe z Symchą można patrzeć przez pryzmat związku Meli z Morycem, z tą tylko różnicą, że Dinełe pozostaje nieszczęśliwa, a Reymont każe nam wierzyć, że z Melą tak nie jest. Co charakterystyczne, Dinełe, podobnie jak Mela, nie ma «żydowskiego» wyglądu i, co więcej, pogardza tradycyjnym żydostwem. Ma brązowe włosy, niebieskie oczy, a jej fizjonomia – jak to zresztą często bywa u braci Singerów – symbolizuje odejście od własnej społeczności, którą postrzega w krytyczny sposób" (taż, *Dwie powieści*..., s. 87–88).

ter, poskąpił zaś bystrego umysłu i chęci do nauki. Jego starszy brat był natomiast niezbyt miłym i urodziwym chłopcem, a później mężczyzną, do tego zazdrosnym i złośliwym, posiadał natomiast niezwykle bystry umysł, inteligencję, umiejętność przewidywania i konsekwencję w działaniu, które zapewniły mu sukces. Zdolności te były u niego ponadprzeciętne. Symche Majer był zazdrosny o Jakuba Binema; obu braci poróżniła też Dinełe, która kochała z wzajemnością Jakuba, ale została zmuszona przez rodziców do małżeństwa z jego bratem. Losy braci i społeczności, w której żyli, zostały ukazane w postaci rodzinnej sagi na tle szerokiej panoramy dziejów, obejmującej początki osadnictwa żydowskiego w Łodzi, czas powstania styczniowego, śmierci Aleksandra II, rewolucji 1905 r., I wojny światowej, rewolucji bolszewickiej i odzyskania przez Polskę niepodległości.

Ukazany przez I. J. Singera świat Żydów jest w swoim ludzkim wymiarze, abstrahując od problemów narodowych, bliski światu Polaków i, jak można przypuszczać, wszystkich innych nacji. Dręczą nas te same problemy, to samo nas cieszy, złości, sprawia ból, mamy taki sam świat wartości, takie same fobie, uprzedzenia, w taki sam sposób wyrażamy uczucia. Doskonałym tego przykładem są powieściowi bohaterowie. Reb Abraham Hersz, ojciec Maksa i Jakuba, przypominający swoją prawością Reymontowskiego Bauma[78], nie jest jednak pozbawiony wad. Oschle traktuje swoją żonę, nie poważa też teścia. Bardziej ceni innych rabinów, w tym swojego ojca. Opuszcza żonę tuż przed rozwiązaniem i jedzie na święto do rabina z Warki, któremu kupił prezent. Przed wyjazdem nakazuje dać chłopcu, którego się spodziewa, imiona po swoim ojcu,

[78] M. Adamczyk-Garbowska zwraca uwagę na paralelność postaci kreowanych przez I. J. Singera oraz Wł. S. Reymonta: „Rodziny niemieckie, Hünzowie u Singera i Müllerowie u Reymonta, również są do siebie podobne. Nie będę się wdawać w szczegółową prezentację Niemców u obydwu pisarzy, ale warto wspomnieć o niewątpliwych podobieństwach. Niemcy, zarówno w powieści Reymonta jak i Singera, są zazwyczaj albo ciężko pracującymi prostakami, albo ludźmi zdeprawowanymi ze skłonnościami do perwersji [Wł. S. Reymont nie przedstawiał perwersji u przedstawicieli żadnej nacji – dopisek J. F.]. Ogólnie rzecz biorąc, obraz Niemców u Reymonta jest bardziej pozytywny niż u Singera (np. pozytywna choć raczej bezbarwna postać Maksa Bauma i wyidealizowana, niemalże utopijna postać jego starego ojca). W tym przypadku widać wyraźnie, że postawa pisarza jest bardziej klasowa niż narodowościowa. Reymont był przeciwnikiem industrializacji i pod wieloma względami przeciwstawiał dawny świat szlacheckich wartości nowemu; stary Baum, podobnie jak ojciec braci, Abraham Aszkenazy, reprezentuje odeszły w przeszłość świat i obowiązujące w nim zasady etyczne. Należy także pamiętać, że w przeciwieństwie do Żydów, Niemców uważano za łatwo ulegających asymilacji i że powieść została napisana w okresie, kiedy antagonizmy polsko-niemieckie nie znajdowały się w szczególnie krytycznym punkcie. Z kolei w portretowaniu przez Singera Niemców łatwo można odczytać projekcję sytuacji w Niemczech w czasie, kiedy powieść została napisana" (taż, *Dwie powieści…*, s. 88).

Symche Binemie. Nawet nie chce słyszeć, by żona uhonorowała swojego ojca, Jakuba Majera. I dobry żydowski Bóg, którego reb Abraham Hersz tak szanuje, ukarał jego pychę – dał mu dwóch synów. Biedna położnica jest w rozterce. Dobrze zna męża; cokolwiek uczyni, będzie źle, a reb Abraham Hersz będzie niezadowolony, czemu da wyraz na swój zwykły, szorstki sposób. Podporządkowana mu bezwzględnie, nie sprzeciwiała się, choć bolała ją jego oschłość. Rozumiała to, bo tak było i w jej domu. O czym zresztą uczony Żyd miałby rozmawiać z kobietą? Sytuacja, która ją spotkała, z jednej strony budzi jej przerażenie, z drugiej: „Cała jej kobieca duma, deptana przez tyle lat mężowskimi butami, rozkwitła na położniczym łóżku. [...] A także w sprawie imion dla dzieci zadecydowała sama. Przeciwstawiła się mężowskiej woli i nadała im takie imiona, jak chciała" (Sing. I, s. 19), po swoim ojcu także.

Nie jedyny to w powieści przykład niezbyt udanego pożycia małżeńskiego[79]. Nie zawsze też uczony Żyd spotykał się ze zrozumieniem i szacunkiem żony, szczególnie gdy ta nie miała czym wykarmić dzieci. Żona reb Noskego,

córka bogatego domu, za którą ojciec dał dużo pieniędzy w posagu, aby ją uczynić żoną uczonego człowieka, strofowała i wyśmiewała swojego męża. [...] Posag przejedli już dawno. [...] Rabinowa zgorzkniała, schorowana, z mokra szmatą owiniętą wokół zbolałej głowy, ze wstrętem zabierała ze stołu tych kilka miedziaków [które mąż zarobił] i rzucała mu je pod nogi.

– Niedołęgo – wymyślała mu. – Idioto! Za to mam nakarmić dzieci?

Nie odpowiadał, wiedział, że Zakon można studiować tylko w ubóstwie. [...] Nie odpowiadał jej ani słowem. To ją doprowadzało do jeszcze większego gniewu.

– Odpowiedz chociaż, idioto! – krzyczała histerycznie – znieważam cię przecież! (Sing. I, s. 75–76).

[79] „Rebe [Boruch Wolf] ma drugą żonę, znacznie młodszą od siebie, ale strasznie nieporadną i bezpłodną [...]. Niedowidzi, niedosłyszy, przekręca wszystko, potyka się o słomkę. [...] Żona nie pojmuje zupełnie jego cudactw, co go gniewa najbardziej.

– Boruch Wolf – pyta śpiewnie rozciągając każde słowo jak gumę. – Boruch Wolf, pójdziesz jeść?

– A co? Czy jedzenie przyjdzie do mnie, głupia? – odpowiada Boruch Wolf pytaniem na pytanie.

– Boruch Wolf, co ci dać jeść?

– Rosół z makaronem – mówi reb Boruch Wolf.

– Co ty mówisz! – przeraża się kobieta – gdzież ja ci wezmę w powszedni dzień rosół z makaronem?

– Więc po co pytasz, oślico – złości się reb Boruch Wolf.

Kobiecina milczy. Poznała już, że on nigdy nie może odpowiedzieć po prostu" (Sing. I, s. 43).

Pozostańmy przy tych tylko niezbyt szczęśliwych obrazach życia rodzinnego. Szczęście jest wszakże jak los wygrany na loterii, rzadko bywa udziałem ludzi i w powieści I. J. Singera nie znajdziemy wielu jego przykładów. Znajdujemy wszakże bogaty zbiór różnorodnych relacji pomiędzy małżonkami, dziećmi i rodzicami, a także wielorakich postaw życiowych dzieci, ludzi młodych i dorosłych. I nie można oprzeć się wrażeniu, że gdyby nie żydowskie imiona i nazwiska, mogłyby to być z powodzeniem obrazy z życia ich sąsiadów innych narodowości, których tak u I. J. Singera brakuje. Dlaczego zatem ich nie ma, a zastąpione zostały stereotypami narodowymi? Bo autora *Braci Aszkenazych*, tak jak i polskich autorów, cechuje charakterystyczny dla społeczności polskiej i żydowskiej, także niemieckiej, brak znajomości innych narodowości, co zaciążyło, jak już mówiliśmy, na ich wzajemnych relacjach.

Powiedzieliśmy, że losy społeczności żydowskiej zostały ukazane na tle szerokiej panoramy dziejów. Odniesienia do historii są wyraźne, I. J. Singer oszczędza jednak czytelnikowi szczegółów, zarysowując tylko ogólny plan, by wprowadzić dzieje Żydów[80]. Kiedy odwołuje się do powstania styczniowego, pokazuje, ile problemów mieli przywódcy gminy z powodu tych wydarzeń i stwierdza tylko:

> Wówczas bowiem było w Polsce powstanie. Szlachta polska chciała zrzucić rosyjskiego cara i znowu osadzić na tronie polskiego króla. Powstańcy ukrywali się po lasach, a kozacy uganiali się za nimi po drogach i gościńcach, wyłapywali ich i wieszali. Po wsiach byli liczni Żydzi-arendarze, którzy wozili dla powstańców proch i naboje. Jeśli któregoś kozacy złapali, wieszali go na drzewie przy drodze (Sing. I, s. 22).

Następnie pisarz przedstawia pochwycenie przez kozaków takiego transportu broni i związane z tym problemy dla gminy żydowskiej. Pomijając już pewne nieścisłości historyczne, należy zaznaczyć, że wszystkie wydarzenia prezentowane są w związku z narodowością żydowską i posiadają do niej odniesienia. Czy taka wizja dziejów polskiej ziemi jest zła i tendencyjna? No cóż, wzajemne relacje polsko-czeskie na przykład, też będą się różnić po jednej i po drugiej stronie. Nie można się więc oburzać, że Żydzi budują własną historię.

I. J. Singer prowadzi narrację z pełnym rozmachem dobrego bajarza, nie dbając o szczegóły i chronologię, a czasem i logikę przyczynowo-

[80] Na przykład: „Na carskim dworze w Petersburgu panował niespokojny i bojowy nastrój. Kiedy rewolucyjni studenci zabili w zamachu bombowym rosyjskiego cara Aleksandra II, oswobodziciela chłopów z poddaństwa i zwolennika liberalizmu, dwa dworskie stronnictwa starały się zyskać wpływ na nowego cara, Aleksandra III" (Sing. I, s. 220–221). Dalej zaś znajdujemy opis sytuacji, która doprowadziła do pogromów w Rosji, będących bezpośrednią przyczyną napływu litwaków do Łodzi.

-skutkową, dowolnie łącząc wątki, wprowadzając i porzucając bohaterów, jak mu wygodnie. Nie zakłóca to jednak toku narracji. Kilkakrotnie zdarza się, że „zatrudnia" w fabryce Hünzego Niemców na zmianę z Polakami[81]. Innym przykładem takiej swobodnej narracji może być historia litwaków. Symche Majer zwraca się do litwaka Lipe Chalfena z prośbą o pomoc w pokonaniu buntujących się bałuckich tkaczy na stronie 183 powieści. O samym sprowadzeniu się litwaków do Łodzi i jego przyczynach narrator opowiada na stronach 220–227, czyli później aniżeli interwencja Lipe Chalfena. Nie byłoby to żadnym dowodem na zakłócenie chronologii, gdyby nie to, że narrator przerywa opowieść o litwakach, by wprowadzić powrót do Łodzi dwóch bohaterów. Stali oni na czele buntujących się tkaczy w fabryce Symche Majera i za sprawą Lipe Chalfena zostali odizolowani od buntowników. Ponadto powrócili z Syberii. Przywieźli z sobą nowe opowieści, nowy ubiór i nową mowę, nie zmieniając wszakże zupełnie swoich poglądów. „Porobiły się z nich litwaki – wzdychali pobożni Żydzi – Zapomnieli o Bogu!" (Sing. I, s. 230).

Podobnych pomyłek znajdziemy w powieści więcej. Czy rzeczywiście są to pomyłki?[82] Zapewne. Czy narrator jednak dba o takie szczegóły? Nie jesteśmy w stanie, na przykład, jednoznacznie uchwycić czasu akcji. W *Prologu* dowiadujemy się o przybyciu niemieckich osadników do Królestwa Polskiego i do Łodzi. W Łodzi są już jednak Żydzi, którzy w tym czasie, a może wcześniej (?) walczą z kahałem łęczyckim. Następnie, w rozdziale pierwszym, poznajemy nagle ojca tytułowych bohaterów, który jeździł do Gdańska kupować wełny i jedwabie[83]. I nie wiemy, czy

[81] Hünze – czytamy – „Gdy zechce, trzyma ich [robotników] przy pracy do późnej nocy, a gdy zechce, zwalnia ich wcześniej, aby mogli pić piwo, wylegiwać się na trawie wokół fabryki, albo nawet gromadzić w swoich związkach śpiewaczych i wyśpiewywać lub wygrywać na blaszanych instrumentach swoje niemieckie, patriotyczne pieśni" (Sing. I, s. 34). „Przy kasie fabrycznej stały teraz [po «reformach» oszczędnościowych w fabryce Hünzego] długie szeregi polskich chłopów, którzy pracowali dotąd w fabryce i czekali teraz na ostatnią tygodniową zapłatę, miętosząc nerwowo w rękach swoje niebieskie, chłopskie czapki" (Sing. I, s. 212). Kilka linijek dalej zaś narrator stwierdza: „Pastor fabryczny [a więc przewodnik duchowy Niemców] stał się teraz częstym gościem w robotniczych koszarach. Przychodził wciąż, żeby odprowadzić na wieczny spoczynek tkackie dzieci" (Sing. I, s. 214).

[82] Za pomyłkę autora można chyba uznać dość zagmatwane relacje pomiędzy więźniem Bocze i pułkownikiem Konickim. Czytelnik najpierw jest przekonany, że towarzysz Bocze przesłuchiwany przez pułkownika Konickiego to, za sprawą pewnych szczegółów życia, Feliks Feldman lub Feldblum (pomyłka tłumacza?). Bliższe poznanie więźnia wyklucza tę możliwość. W końcu drugiego tomu widzimy jednak, że z jakichś powodów Konicki ściga Feldmana/Feldbluma, z którym w powieści nie miał do czynienia.

[83] Narrator wyjaśnia również przyczyny tych wyjazdów: „Niemcy osiadli w Polsce wyrabiali bardzo liche i grube materiały, które nie podobały się paniom dziedziczkom ani oficerom, dygnitarzom i bogaczom" (Sing. I, s. 10).

znajdujemy się w początkach fabrycznej Łodzi, czy też w czasie późniejszym (ale też niekoniecznie chcemy się tego dowiedzieć i wiedzieć nie musimy!). Dalej bowiem dowiadujemy się o żydowskich kupcach, którzy trudnili się „przemycaniem" towarów, jeżdżąc po drogie tkaniny do Gdańska powstałą w tym czasie koleją[84]. Singer wyraźnie nawiązuje tu do przemytu towarów w połowie lat czterdziestych, który, jak pisał O. Flatt, sprowadził na Łódź poważny kryzys. Jednak kolej na Pomorzu zaczęła powstawać na początku lat pięćdziesiątych, dochodząc do Gdańska w roku 1852. Jakby nie dość było tej chronologicznej gmatwaniny,

[84] „Żydowscy kupcy" – opowiada narrator – „jeździli pocztowymi wozami, a także powstałą właśnie w tych czasach koleją do Gdańska lub Lipska i przywozili drogie tkaniny. Inni przemycali towary w porozumieniu ze strażnikami przez niemiecką granicę, sprzedawali je i dobrze na niej zarabiali. Niemieccy majstrowie denuncjowali Żydów przywożących do kraju towary z Niemiec. Nie mogli również ścierpieć, że żydowscy handlarze bawełną wydają bawełnę ubogim niemieckim rzemieślnikom do przerobu i w ten sposób obniżają cenę materiałów. Żydzi wydający bawełnę nie mogli tak jak Niemcy korzystać z kredytu w polskim banku, więc brakowało im nieraz gotówki i nie mogli zapłacić rzemieślnikom. Wydawali przeto kwitki pisane po hebrajsku, opieczętowane czarnym stemplem z kamienia, i takie kwitki zastępowały pieniądze. Żydowskie sklepiki, krawcy i szewcy, a także szynki przyjmowały od ubogich niemieckich tkaczy te kwitki, jak pieniądze. [...] Niemieccy majstrowie oskarżyli przed urzędnikami tych Żydów, którzy zrobili sobie takie własne pieniądze. I urzędnicy zabronili Żydom wypuszczać kwitki. Ponadto wysłano agenta do Anglii, który zakupił tam dużo bawełny, aby wyrugować Żydów z handlu tym produktem. Ale zakupioną bawełnę rozkradziono. Urzędnicy dali się zjednać łapówkami, a niemieccy rzemieślnicy znowu wyrabiali towary dla Żydów i pobierali od nich w zamian hebrajskie kwitki. Ci sami urzędnicy, którzy wydawali zakazy przywożenia z zagranicy towarów, chętnie je kupowali u Żydów, tak samo jak chętnie brali łapówki od przemytników, którzy przywozili do kraju te zagraniczne towary bez cła" (Sing. I, s. 10–11). Fragment ten jest arcyciekawy z wielu powodów. Warto choćby zwrócić uwagę, że wyraźnie chwali tu żydowski spryt i umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach, nie poddaje już jednak analizie wpływu, jaki wywiera on na życie innych. Wiemy od O. Flatta, że skutki przemytu były tragiczne i dla Niemców, bo sprowadził na nich kryzys i głód, i dla Polaków, bo ponosili koszty uprzemysłowienia, a kryzys powodował upadek tego, co znacznie obciążało ich życie. Możemy przyjąć punkt widzenia społeczności żydowskiej i stwierdzić: niech każdy radzi sobie, jak potrafi. I słusznie, tyle że w tym momencie mamy prawo oczekiwać tego samego z drugiej strony. Tymczasem w powieści, nawet w cytowanym fragmencie, spotykamy wielokrotnie sugerowane lub wręcz artykułowane twierdzenia, jak źle dzieje się Żydom i jak źle są oni traktowani przez tych, wśród których żyją, jak – na przykład – „że Żydzi nie mogli, tak jak Niemcy, korzystać z kredytu w polskim banku". Rzucenie takiej informacji, niby przypadkowe (a może i nieprzypadkowe, tyle że tego charakteru mimochodem rzucanych informacji mamy w powieści niemało), narzuca samo przez się szykanowanie narodowości żydowskiej przez banki polskie, Polaków i rząd polski w ogóle. Pisarz nie wspomina jednak, że kredyty dla niemieckich osadników były celowym założeniem rządu i że nie mogli z nich również korzystać Polacy. Ujęcie problemów w taki sposób, w jaki przedstawił je I. J. Singer, jednoznacznie sugeruje upośledzenie, krzywdę i celowe szykanowanie Żydów.

w następnych akapitach dochodzimy do powstania styczniowego (rok 1863). By zamknąć już problem chronologii lub jej braku, odwołajmy się jeszcze do informacji, którą znajdziemy na wewnętrznej stronie tylnej okładki drugiego tomu: „Rodzina Aszkenazych osiadła w Łodzi w latach (około 1861[85]–1924)". Jeśli to nota wydawcy, to najwyraźniej nie mógł on sobie poradzić z określeniem czasu fabuły i czasu akcji. Jeśli zaś jest to informacja odautorska, przejęta przez wydawcę, to mamy ostateczny dowód na to, że Singer nie przywiązuje wagi do takich szczegółów, jak chronologia, ciąg przyczynowo-skutkowy i wierność prawdzie historycznej.

Nie powinniśmy jednak czynić pisarzowi z tego powodu zarzutów. Jego celem jest bowiem, jak się wydaje przy pierwszym oglądzie, ukazanie szerokiej panoramy życia społeczności żydowskiej w Łodzi, rodzącego się socjalistycznego ruchu wśród bałuckich tkaczy i w ogóle losu Żydów. Ośrodkiem powieści autor czyni więc losy dwóch braci, których koleje życia śledzimy, a wespół z nimi poznajemy i tych, wśród których mieszkają. I jak to w dobrej opowieści rodzinnej bywa, wnuk przychodzi na świat, zanim jego dziadkowie się poznali. Cała powieść utkana jest jakby z refleksów życia bohaterów, malowana do tego grubymi pociągnięciami pędzla, które mają zasugerować całość, i okraszona humorem, zakazującym brać na poważnie wszelkiego rodzaju nieścisłości[86].

Na powieść I. J. Singera możemy jednak spojrzeć z innej jeszcze perspektywy i wtedy wszelkie nieścisłości nabiorą zupełnie innego znaczenia. Bohaterowie rodzinnej sagi noszą nazwisko Aszkenazy, Aszkenazyjczykami[87] zaś nazywano Żydów Europy Środkowej, posiadających określone tradycje i posługujących się jidysz. Tak więc powieść wcale nie musi być sagą rodzinną lecz żydowską epopeją, a osnowa dziejowa została zastosowana w celu wydobycia etosu narodowego. Nie ma wtedy znaczenia ścisła chronologia i zupełnie nie będą dziwić odstępstwa w widzeniu wydarzeń historycznych oraz ukazywanie ich z punktu widzenia narodowości żydowskiej. Za tą tezą przemawiają zbyt częste odejścia narratora od losu

[85] Przypomnijmy, że rodzina Aszkenazych, zgodnie z treścią utworu, powinna zamieszkać w Łodzi około piętnastu lat wcześniej.

[86] I. J. Singer nie szczędzi czytelnikowi krótkich i celnych komentarzy, będących podsumowaniem prezentowanych wydarzeń, na przykład: „Noc w noc wytryskiwały pod niebo ze wszystkich stron ogniste łuny. [...] Łodzianie uśmiechali się w łóżkach, wiedzieli, że ktoś ni stąd ni z owąd odmówił wśród tygodnia sobotnią modlitwę «Bojre meojre huajsz» i puścił z dymem swoje bezwartościowe towary i maszyny, by otrzymać od towarzystwa asekuracyjnego gotówkę, wysoko teraz cenioną w wekslowym mieście. Konie straży ogniowej tak się wkrótce przyzwyczaiły do nocnych pożarów, że już same biegły w kierunku fabrycznych ulic" (Sing. I, s. 266).

[87] M. Adamczyk-Garbowska, *Bracia Singerowie*, Biblioteka Wirtualna, http://tnn.pl/tekst.php?s_keyword=am&idt=2563, s. 1 (dostęp: 10.09.2012).

głównych bohaterów. Kreacja tych postaci służy, poza ukazaniem na ich przykładzie dróg życiowych narodu wybranego, spajaniu powieści w całość, często bowiem sami bohaterowie (lub ich działalność) stanowią pretekst do snucia opowieści poświęconej innym problemom niż ich życie. Tak więc możemy uznać, że powieść I. J. Singera nie jest poświęcona braciom Aszkenazym – bliźniakom, lecz braciom Aszkenazyjczykom – Żydom. Aszkenazyjczycy, by nie ulec rozproszeniu i nie rozpłynąć się wśród ludów, z którymi sąsiadują, muszą spełnić określone warunki. Jednym z nich jest trwanie przy nakazach Zakonu, ale – jak się okazuje – nie jest to wymóg podstawowy.

Powieść I. J. Singera ukazuje społeczność żydowską w jej życiu codziennym, zmuszającym do zapobiegliwości, a najczęściej do walki o przetrwanie. Tylko najbogatsi, jak Maksymilian Fliederbaum, nie muszą się lękać, czy ich żony będą miały z czego przygotować pożywienie dla rodziny. Jego problemem jest zabezpieczenie tego, co zdobył. Już jednak inni, jak ojciec i teść Maksa Aszkenazego, choć nie muszą się martwić o jutro, nie mogą sobie pozwolić na taką rozrzutność, jaka cechuje Fliederbaumów. Mogą, co prawda, więcej niż inni, na przykład wyjechać do znanego kurortu lub obdarować kogoś kosztownym prezentem, jednak w wydatkach powinni kierować się rozsądkiem. Dlatego właśnie niepotrafiący tego reb Chaim Alter bankrutuje, a rozważny reb Abraham Hersz pozostawia po sobie duży majątek. Ci szczęśliwcy, którzy posiadają pieniądze, to wyjątki. Większość mieszkających na Starym Mieście i Bałutach Żydów to żyjący z dnia na dzień, w norach i piwnicach, ubodzy ludzie, zmuszeni do ciągłego zastawiania swojego nędznego dobytku.

Bogactwo, jak uświadamia I. J. Singer, nie jest grzechem, ale i bieda nie jest powodem do chwały, choć prawdziwy mędrzec powinien studiować Zakon w ubóstwie, jak reb Noske. Bóg Żydów jest wymagający, bardzo wymagający, ale jego wyznawcy potrafili znaleźć tyle wybiegów, że nie popadając w konflikt z prawami Zakonu, udaje im się obejść jego nakazy. Dlatego reb Noske, choć jest czczony jako mędrzec, nie jest poważany i chwały mu nie przynosi, że nie pomnożył posagu żony i żyje ona wraz z dziećmi w nędzy. Obowiązkiem Żyda jest nie tylko trwanie przy nakazach Zakonu, ale też bogacenie się, bowiem bogactwo jest jedyną bronią, jaką posiadają Żydzi. Poza nim ich bronią jest jeszcze pokora. Dowiadujemy się tego z rozmyślań Symche Majera podczas rytualnej pokuty, którą odbył po śmierci brata. Powieść nie podejmuje jednak innego ważnego problemu: bogactwo i pokora stoją ze sobą w sprzeczności, a poza tym pierwsze budzi zazdrość, a drugie potęguje nienawiść, szczególnie jeśli jest udawane.

Żydzi w swojej wędrówce doświadczyli tyle zła, że nie tylko akceptują wyroki Boga, lecz także tolerują odszczepieńców. Są nimi, na przykład, Fliederbaum i obaj bracia Aszkenazy, bo stali się gojami; stali się „Polakami", ponieważ ubierają się i żyją po pańsku, i mówią po polsku, lub „Niemcami", gdyż wynoszą się ponad innych, zajęci są tylko gromadzeniem majątków i mówią po niemiecku. Nie potępia się ich jednak, choć i nie pochwala. Są widomym znakiem wartości Żydów w świecie i tego, że świat musi się z nimi liczyć. Zupełnie inaczej społeczność żydowska traktuje Fajwla, Nisana i Tojwije-„Porządek-na-świecie". Wszyscy odeszli od nakazów Zakonu, żyją i ubierają się jak goje. Nisan i Tojwije chcą zburzyć ustalony porządek świata i nawołują do walki z bogatymi. Nie podoba się to Żydom, ale pociąga biedaków, bo daje nadzieję na inne życie. Tacy jak Nisan i Tojwije zaczynają zdobywać coraz większe rzesze zwolenników, słuchają ich nawet goje, ale wyśmiewają własne żony, jak Kaile Tojwijego. Jeszcze inną postacią jest Fajwel. Nie jest socjalistą i sam ruch mu się nie podoba. Ponieważ jednak socjaliści nie uznają religii, akceptuje ich i wspiera. Celem jego życia jest odstręczenie młodzieńców od bóżnicy i szerzenie za pomocą „wolnomyślicielskich" książek oświaty i postępu. I on jest odszczepieńcem, jednak nikt go ze społeczności nie wyrzuca. Żyje w niej i znajduje nawet słuchaczy i zwolenników swojej teorii oświecania ludzi, choć nie jest akceptowany i nie słuchają go ani żona, ani córki.

Żydzi nie wyrzucali nikogo poza nawias swojej społeczności, nawet jeśli odchodził od żydostwa. Wyrzutek żył w niej, choć przynosił wstyd rodzinie. Co najwyżej (lub „aż") ojciec rodziny odcinał się od odszczepieńca i uznawał go za zmarłego, jak reb Abraham Hersz swojego starszego syna. W powieści I. J. Singera z kulturą i tradycją żydowską zrywało się dobrowolnie lub jeśli zanadto zaufało się obcym. Żyd bowiem, jak twierdzi I. J. Singer, zawsze pozostanie Żydem, czy tego chce, czy nie. Do bycia Żydem zmuszają nie-Żydzi. Żaden nigdy nie będzie równy gojom, nawet jeśli odetnie się od współbraci. Pokładając zbyt duże zaufanie w obcych – przestrzega pisarz – wcześniej czy później zostanie się oszukanym i poczuje zagubionym. Tojwije-„Porządek-na-świecie" pozostał wśród swoich i odniósł zwycięstwo. W końcu nawet żona i córki zaczęły go podziwiać oraz darzyć szacunkiem, choć dalej nie potrafił utrzymać domu. Nisan, który chciał zbawić ludzkość, został przez obcych odrzucony, podobnie jak Feliks Feldblum, który walczył o wolność Polski, ukochał Mickiewicza i polską poezję. Jego działalność zyskała mu wśród obcych miano dziwaka, co miało wynikać tylko z tego, że był Żydem. Nie były to odosobnione przypadki. Tego samego doświadczyli Żydzi, którzy walczyli w powstaniu 1863 r.

Przesłanie powieści wydaje się oczywiste: bracia Żydzi pozostaną braćmi tylko wtedy, gdy będą tworzyć jedność; rozdzieleni – zatracą się. Myśl tę podkreśla kreacja tytułowych bohaterów. Bardziej sympatyczny, bliższy czytelnikowi, zdecydowanie milszy i bardziej ludzki jest Jakub Binem. Nie on jednak jest wybrańcem I. J. Singera. Jego faworytem jest starszy z braci, Symche Majer, jako człowiek uparcie dążący do celu, niepoddający się przeciwnościom losu, walczący do końca. Nie jest, co prawda, osobowością, którą można lubić; jest złośliwy, podstępny, zachłanny i nieuczciwy. Niszczy wszystko i wszystkich, którzy stają mu na drodze do celu, niszczy najbliższych, nawet siebie. W końcu jednak rozumie, że postępuje źle, zauważa, że bogactwo niczego mu nie dało, a zachłanność prowadzi tylko do samounicestwienia; z własnej winy jest samotny i nieszczęśliwy. Bo Żyd, poucza I. J. Singer, powinien dążyć do bogactwa, ale nie może to wynikać z pobudek egoistycznych. Żyd nie może zdobywać majątku tylko dla siebie. Dlatego teść Symche Majera, który był dla swoich tkaczy tak samo bezwzględny, cyniczny i okrutny, jak zięć w drodze do fortuny – zbankrutował, a Maksymilian Fliederbaum, który wspomagał ubogich, nawet jeśli czynił to z pobudek egoistycznych, zachował szacunek Żydów. Szacunek i uznanie zdobył również w końcu Maks Aszkenazy-Symche Majer, który powrócił do żydostwa i walczył o swoje dobra także po to, by pokazać, że nie poddaje się przeciwnościom i gojom: „Aszkenazy pozostał Aszkenazym – mówili ludzie do siebie". Na szczęście osobiste było już za późno.

Zupełnie inaczej układało się życie młodszego brata Symche Majera. Jakub Binem nigdy o nic nie musiał się martwić. Wszystko samo wchodziło mu w ręce i wszystko przez nie przepływało. Był bezwolny. On też, choć inaczej niż starszy brat, nikogo i niczego nie potrafił uszanować – ani majątku, który trwonił bez umiaru; ani kobiet, które przychodziły, niosąc mu szczęście, a odchodziły z niczym; ani wiary przodków, od której odszedł bez wysiłku i zastanowienia. Zginął, bo stał się gojem. W tym braterskim współzawodnictwie, które rozpoczęło się jeszcze w łonie matki, słabszy był na pozór Symche Majer, a jednak to on pierwszy przyszedł na świat i wzbudził w matce większą czułość niż dorodny brat. To nietypowe w naturze zwycięstwo słabszego osobnika nad silniejszym posiada wymiar symboliczny. Bo taki, jak Symche Majer, powinien być właśnie Żyd – na pozór słabszy, za to silny wewnętrznie. Wtedy dopiero będzie mógł przetrwać. Znamienne pod tym względem są rozmyślania Maksa Aszkenazego podczas pokuty po śmierci brata: Żydowi nie wolno chodzić gojowskimi ścieżkami, nie wolno poświęcać życia dla głupiego honoru.

Gdy psy opadają człowieka, to żadne poniżenie jego godności. Psy mają wprawdzie mocne zęby, ale nie przestają być dzięki temu psami, a człowiek jest człowiekiem. Lepiej robili nasi ojcowie i praojcowie, że pogardzali swoimi prześladowcami i nic sobie nie robili z ich obelg. [...] Nie na sile fizycznej polega potęga Izraela, ale na głowie i rozumie. Zawsze Żyd był wyśmiewany, prześladowany, a musiał milczeć, bo był wśród obcych, bo był jagnięciem wśród wilków. Jagnię nie może walczyć z wilkiem, bo wilk jest silniejszy. Gdyby Żydzi kroczyli gojowskimi ścieżkami, już dawno nie pozostałby po nich żaden ślad. Ale Żydzi pojęli, że ich droga jest inna, że nie gojowska droga jest ich drogą, że nie gojowskie honory są żydowskie. To właśnie dało im siłę przetrwania wszystkiego, a często nawet uczyniło ich tak wielkimi, że ich prześladowcy musieli się zwracać do nich po pomoc i korzystać z ich dobrodziejstwa. To jest potęga Żyda i taka jest jego zemsta za prześladowania. [...] Przez setki lat śpiewali i tańczyli Żydzi przed gojami, bo ich do tego zmuszano, bo tego od nich wymagano. Kiedy przychodzą złe czasy, Żydom nie wolno oddawać życia, ale muszą zaspokajać żądania drapieżników, by uniknąć rozszarpania. [...] Obelga wyrządzona słabemu przez silnego nie dotyka ofiary, ale prześladowcę. [...] Należy żyć według rozumu, a nie według popędu krwi. A krew to nie jest żydowska rzecz. Zew krwi jest Żydom zabroniony. [...] Żyd nigdy nie miał innej broni niż pieniądz. To był jego miecz i włócznia (Sing. II, s. 245–246).

Rozmyślania Maksa Aszkenazego w pełni potwierdzają wysuniętą wcześniej tezę o świadomym izolowaniu się Żydów. Ta izolacja miała pozwolić im przetrwać, inaczej Żydzi rozpłynęliby się wśród ludów, z którymi przyszło im żyć. Spowodowała ona jednak całkowite zamknięcie się na obcych, nie pozwoliła zbliżyć się z nimi, uniemożliwiła poznanie, a „inny" – znaczy zwykle, niestety, gorszy, co wyraźnie widać po relacjach pomiędzy litwakami i Żydami z Kongresówki. Znacznie trudniejsze więc relacje mogły występować i występowały pomiędzy Żydami i gojami. Do tego stosunek Żydów do gojów cechowała pogarda, jakkolwiek skryta za pokorą: Żyd zawsze był i musiał być mądrzejszy – tak nakazywała mądrość. Czy tej pogardy jednak nie wyczuwali intuicyjnie nie-Żydzi? A motłoch – czy ta pokora nie prowokowała go do zła, choćby po to, by odreagować własne krzywdy? Motłoch, żyjący na marginesie społeczeństwa, zawsze był skłonny do przemocy wobec słabszych. Nie znał innego prawa. W tej grupie przeżywał tylko ten, kto był silniejszy. Do tego „Żyd nigdy nie miał innej broni niż pieniądz". Ta broń jednak budzi zawiść i nienawiść. Tak więc to, co godne szacunku i uznania – trwanie przy własnej tożsamości – ściągało równocześnie zło. Czy winni temu złu byli jednak tylko „obcy", przed którymi trzeba było się koniecznie i za wszelką cenę chronić? W jakim stopniu winę ponosili Żydzi, zbyt wąsko postrzegając własną odrębność, nadając jej rangę pozwalającą wynosić się ponad innych? Jakakolwiek byłaby odpowiedź na to pytanie, jedno trzeba podkreślić – nic nie usprawiedliwia przemocy wobec drugiego człowieka, innego ze względu na przynależność etniczną, religię, kolor skóry, doświadczenia i postrzeganie przez „swojego" lub „obcego" miejsca na skrawku ziemi, które obaj zajmują.

5.3. O „czterech kulturach" Łodzi

Jesteśmy ostatnimi laty świadkami kolejnego mitologizowania przeszłości Łodzi, a mianowicie utrwalania się przekonania o współistnieniu w mieście czterech kultur na równi je tworzących: polskiej, niemieckiej, żydowskiej i rosyjskiej:

> Fabryczna Łódź – czytamy na stronie Festiwalu Dialogu Czterech Kultur – powstała dzięki współpracy przedstawicieli czterech narodów, wyznawców odmiennych religii, osób posługujących się różnymi językami. **W centrum Polski utworzył się fascynujący tygiel kultur** [podkreślenia Redakcji strony internetowej]. Przez wiele dziesięcioleci miasto rozkwitało dzięki wspólnym wysiłkom Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan. Przedstawiciele tych odmiennych światów u schyłku dziewiętnastego stulecia stworzyli potęgę przemysłowej Łodzi. Od kilku lat Łódź ponownie sięga do swoich wielokulturowych korzeni. To właśnie z szacunku dla przeszłości narodziła się idea festiwalu **Łódź Czterech Kultur**. Ślady mieszania się **polskich**, **żydowskich**, **niemieckich** i **rosyjskich** wpływów są widoczne w Łodzi na każdym kroku, obecne w tkance miasta, w mentalności mieszkańców, a historia – choć wydaje się już dawno miniona – staje się znowu początkiem rozmowy o współczesności i o przyszłości miasta[88].

Jak wcześniej stwierdzono, mit czterech kultur na równi budujących Łódź jest efektem oddziaływania życzeń miłośników Łodzi, politycznej poprawności i relatywizmu kulturowego, podobnie jak w przypadku twierdzeń o pokojowym i harmonijnym współżyciu Polaków, Niemców i Żydów. Co do współistnienia kultur trzech pierwszych narodowości nikt zastrzeżeń z pewnością nie wniesie, duże wątpliwości budzi natomiast istnienie czwartej, na równi z poprzednimi budującej łódzką rzeczywistość oraz ślady jej obecności, które można na każdym kroku współcześnie dostrzec.

„«Ziemię obiecaną» zaludniali przede wszystkim Polacy, Żydzi i Niemcy, na ulicach słyszało się też rosyjski, czeski, francuski, angielski, ormiański. Taka mieszanina jest typowa dla obszarów pogranicza i była pograniczem: kultur, religii, mentalności"[89]. Pierwsi Rosjanie – jak pisze W. Górecki, przedstawiając ich napływ się do Łodzi – osiedlili się w mieście w połowie XIX w. W latach sześćdziesiątych przybyła pierwsza, ośmioosobowa rodzina. Upadek powstania styczniowego spowodował napływ do Królestwa Polskiego, także do Łodzi, rosyjskich urzędników, sędziów, prokuratorów i policjantów, a nieco później również – nauczycieli, inżynierów i lekarzy. Wówczas też pojawili się żołnierze z 37 Jekaterynburskiego Pułku Piechoty. Rosjan nie było wielu. Spis ludności z 1897 r. odnotował w Łodzi 7,4 tysięcy Rosjan (Polaków było 145,6 tysięcy, Żydów

[88] Łódź Czterech Kultur, http://pl.4kultury.pl/o-festiwalu (dostęp: 10.09.2012).
[89] W. Górecki, *Łódź rosyjska*, „Tygiel Kultury" 1999, nr 7–9, s. 17.

92,4 tysiące, a Niemców 67,3 tysięcy). Kolejny napływ ludności rosyjskiej nastąpił na początku XX w. Jego przyczyną była najpierw budowa kolei kaliskiej i zapotrzebowanie na specjalistów, a następnie wybuch rewolucji 1905 r., która pociągnęła za sobą napływ urzędników, policjantów i żołnierzy. Liczba Rosjan zwiększyła się wówczas do 20 tysięcy. W roku 1913 ich liczba spadła jednak i wynosiła niewiele ponad 6 tysięcy. Polaków było wówczas 252 tysiące, Żydów 172 tysiące, a Niemców 75 tysięcy. Niewielką liczebność rosyjskiej kolonii W. Górecki tłumaczy tym, że miasto nie było atrakcyjne. Nie posiadało odpowiedniej infrastruktury, nie było siedzibą guberni, nie było w nim nawet szkoły wyższej, stąd odpływ ludności rosyjskiej[90]. I wojna światowa spowodowała wyjazd większości Rosjan. Ich ponowny napływ do Łodzi nastąpił po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i był spowodowany narastającym terrorem rewolucji bolszewickiej. Rosjanie byli w Łodzi przede wszystkim urzędnikami; po rewolucji pojawiali w niej się jako emigranci, „często wracali na stare śmieci, tam gdzie założyli rodziny i tu już zostawali, i tu się wżeniali"[91].

Co do tego, że Rosjanie mieszkali w Łodzi, tak jak przedstawiciele wielu innych narodów – na przykład Czesi, Węgrzy, Francuzi, Anglicy Włosi, Gruzini – wątpliwości, oczywiście, nie ma. Pozostały po nich trzy cerkwie: cerkiew Aleksandra Newskiego z 1884 r., cerkiew garnizonowa św. Aleksego z 1896 r. (dziś kościół pw. św. Jerzego) oraz cerkiew św. Olgi z 1898 r. I nie ma znaczenia, że nie przez Rosjan były wznoszone, bo przecież służyły nie tylko Rosjanom. Prawosławie, choć było i jest religią narodową Rosji, jest również religią innych narodowości. Po Rosjanach pozostały także dwa cmentarze prawosławne – jeden przy ul. Srebrzyńskiej, drugi na Dołach z kaplicą Zaśnięcia NMP. Ślady ich obecności można dostrzec w szyldach zapisanych bukwami, przebijającymi spod nowszych warstw farby. Język rosyjski był w okresie nasilonej rusyfikacji językiem urzędowym, dlatego pojawiał się obok napisów polskich lub niemieckich. W Łodzi żyją też potomkowie tych Rosjan, którzy nie wyjechali w związku z wybuchem I wojny światowej lub osiedlili się w niej, uciekając z Rosji ogarniętej rewolucją. Białogwardziści, którzy znaleźli w Łodzi schronienie, osiedlali się w kwadracie ulic Jaracza, Piramowicza, Narutowicza i Kilińskiego[92]. Rosjanie mieli również w Łodzi swoje czasopisma, jednak życie większości z nich było krótkie. Taki los spotkał nie tylko pisma ambitne, społeczne i literackie, ale też fachowe, poświęcone przemysłowi, a nawet gazety[93].

[90] Tamże.

[91] *Lodzermensch – historia i mit*, „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 35.

[92] W. Górecki, *Łódź...*, s. 20.

[93] „W Łodzi wychodziły rosyjskie [...] pisma ambitnie, społeczne i literackie, jak «Łodzinskaja Mysl» [...], «Łodzinskaja Żizn» [...], czy «Gołos Łodzi» i «Łodzinskij Kommie-

Poza Festiwalem Dialogu Czterech Kultur poświadczenie istnienia w Łodzi czwartej znaczącej kultury – rosyjskiej – odnaleźć możemy w różnych wypowiedziach medialnych, także w publikacjach[94]. Literatura przełomu wieków nie potwierdza jednak znaczącej dla rozwoju miasta i jego kultury obecności Rosjan. U I. J. Singera, w *Braciach Aszkenazych*, spotykamy przede wszystkim losy Żydów. W znacznie mniejszym stopniu autor ujął życie Niemców i Polaków, natomiast ani razu nie poruszył życia Rosjan mieszkających w mieście. Najbardziej wyrazistą rosyjską postacią jest gubernator z Piotrkowa, który sygnalizował synom Hünzego możliwość uzyskania dla ich ojca tytułu barona, za sowitą, oczywiście, „opłatą". I. J. Singer wymienia także mieszkającego prawdopodobnie w Łodzi generała Konicyna. Tak jak w powieści I. J. Singera, tak i u polskich pisarzy[95] Rosjanie pojawiają się sporadycznie lub wcale, nie odgrywając w świecie przedstawionym żadnej roli. Są głównie jedynie źle widzianymi przedstawicielami władz rosyjskich[96]. Jedyny „pokojowy" obraz Rosjan

resant» [...]. Szybko plajtowały także tytuły fachowe: dwutygodnik «Żurnał Tiechnołogii, Promyszliennosti i Torgowli» [...], i miesięcznik «Bumaga Gałantieriejno-Piszszczebumażnyje Prinadleżnosti» [...]. Efemerydami okazywały się gazety popularne, choćby «Łodzinskaja Gazieta Objawljenij» [...] i «Łodzinskij Listok Obljawlenij» [...]. Najdłużej, bo dwadzieścia lat (1894–1914), wychodził «Łodzinskij Listok» Leopolda Zonera, ale ten współfinansowały władze, zaś w kolportażu pomagał policmajster Hilary Chrzanowski, który rozsyłał go właścicielom sklepów, fabrykantom i kamienicznikom, a należność kazał ściągać rewirowym. Pismo drukowało rozporządzenia władz, urzędowe komunikaty, prowadziło kronikę policyjną, informowało o wydarzeniach kulturalnych" (tamże, s. 19).

[94] W publikacji *Pod jednym dachem* na przykład: „*Bracia Aszkenazy* to wielowarstwowy obszerny utwór ukazujący we względnie szerokim okresie czasu los czterech narodowości, które osiedliły się w polskim mieście Łodzi" (*Pod jednym dachem*..., s. 96). Dalej autor stwierdza, i słusznie: „Polscy mieszkańcy miasta nie odgrywają u Singera większej roli [...]". Wprowadza jednak błędnie czwartą narodowość: „Ostatnią, czwartą narodowością łódzką są dający się przekupić rosyjscy urzędnicy i emigranci z Rosji, którzy tak samo jak Polacy, ukazani zostają w powieści na marginesie". Emigranci z Rosji to litwacy, czyli Żydzi, którzy groźbą pogromów zostali zmuszeni do opuszczenia tego kraju. Były wśród nich elity intelektualne, Żydzi zasymilowani oraz ludzie sympatyzujący z ruchem socjalistycznym, którzy odegrali w nim ważną rolę. Byli zgoła odmienni od Żydów polskich, także w zakresie przestrzegania nakazów Zakonu, nie można ich wszakże utożsamiać z Rosjanami.

[95] Zob. np. utwory Wł. S. Reymonta, W. Marrené-Morzkowskiej, W. Kosiakiewicza i inne.

[96] „Policmajster rozczesywał sobie nabrzmiałymi palcami żółte bokobrody. Potem podszedł do dwóch tkaczy, blisko, bliziutko, stąpając im niemal po nogach.

– Więc tak? – igrał z nimi jak kot z myszą – Buntowszczyki? Buntujecie «naród», co?

Teraz domyślili się, o co ich się obwinia i jęli sie tłumaczyć. Mieszając polskie i rosyjskie słowa, [Nisan i Tojwijełe] usiłowali opowiedzieć o swoim ciężkim życiu w tkalni, o tym półrublu tygodniowo, który się chce zdjąć robotnikom. Ale policmajster wpadł w gniew.

wśród innych narodowości widzimy w cytowanym wcześniej balu u Hünzego. Zostali tam ukazani poprzez stereotypy. Łatwo ich sobie wyobrazić najpierw swobodnie rozpartych w powozach, a później, na balu, zadowolonych, uśmiechniętych, oblizujących się niemal na widok kobiet, a przede wszystkim pewnych siebie. Nie tylko „są we własnym kraju"; skorumpowany aparat władzy daje im też nieograniczone możliwości (Sing. I, s. 204–205).

Kilkakrotnie w bardzo wyrazistej funkcji spotykamy Rosjan w *Złym mieście* Z. Bartkiewicza. Widzimy jednak raczej to, co zrobili niż ich samych. Autor, ze względu na cenzurę, nie może pisać o Rosji i jej przedstawicielach wprost. Ich działalność widzimy więc „na lewo od ulicy Konstantynowskiej", na terenie dzisiejszego parku na Zdrowiu, tam gdzie znajduje się pomnik Czynu Rewolucyjnego, a na przełomie wieków XIX i XX było miejsce straceń. Z. Bartkiewicz prowadzi nas tutaj dwukrotnie:

Gdzie nowy prąd myśli i nowe hasła, tam nowe cmentarze. W lewo od ulicy, na nieużytku piaszczystym, kędy rzadko brzózka, rozsypane krzaki, jak padło nasienie, tak wzrosły, rozległ się szeroko dziwny ten cmentarz. Cały jasny, słoneczny, barwie śmierci urąga, a po nim uklepane z piasku świetliste mogiłki. Ani krzyżów nad nimi, ani nawet zieleni, tylko mała tabliczka znaczy miejsce spoczynku. Numer, nazwisko i nic z westchnień, nic z żalów, próśb o protekcyjne modlitwy. [...] Człowiek jakiś się zjawił, po grobach rozgląda, odczytuje tabliczki i klnie:

– Siostrę mi gdzieściś, psiakrew, zadziały. [...]

Na cmentarz wysypały się ciemnego ludu gromadki. Ten i ów na deskach, u rozwartej czeluści grobowej do obiadu zasiadł. Babina przyklęka u kopca. [...]

Na mogiłach „tych pięciu" strzępy czerwonych wstęg. Blade, wypełzłe na słońcu. [...] Przy mogile mogiła, długie rzędy aż pod czarny płot, gdzie świeżo wykopane jamy na swych wiecznych lokatorów czekają. Familijnych grobów tu nie ma, każdy jest sam i dziwnie zapomniany jest każdy, choć sto tysięcy spadkobierców zostawił... (Bartk., s. 17–19).

Drugi raz autor *Złego miasta* prowadzi nas w to samo miejsce o świcie, wraz z grupą skazańców. Jeszcze mają nadzieję:

A może wolność? A może cud?

– Sto-ooj! – Dech zamarł, ustały serca.

Spowiedź. Potem długie, śmiertelne koszule na głowę. Światło już zgasło, w myślach trwa jeszcze, a słuch wytężony każdy szmer chwyta. Nagły szczęk broni... Spazm dławi za gardła.

Żyć!... Żyć!...

Głos poszedł po lesie, rozsypał się w drobne odgłosy. Czemuś stało się zadość (Bartk., s. 73).

– Małczat', sukin-syny! – huknął. – Zgnijecie u mnie w łańcuchach za takie sprawki. Pasy z was będę darł za buntowanie spokojnego «narodu»" (Sing. I, s. 161).

Za trzecim razem spotykamy Rosjan w utworze Z. Bartkiewicza bezpośrednio. W podrzędnym kabarecie, przy jedzeniu i alkoholu, cieszą się występami podrzędnych aktorów. W tym miejscu, gdzie spotyka się ze sobą „zbytek i nędza, zbrodnia i praca", wśród gwaru gości i kabaretowych piosenek rozlega się od czasu do czasu dzikie i nieludzkie: „Urra – Urr-ra!" (Bartk., s. 49–50).

Dlaczego ten okrzyk ma być „dziki" i „nieludzki" wyjaśni reportaż Iwana Timkowskija-Kostina, ukazujący rosyjskich żołnierzy w scenach o zgoła odmiennym charakterze niż obrazki pilnujących spokoju i porządku przedstawicieli władzy. Nikt ich zresztą wówczas tak nie postrzegał. Oba ukazane przez rosyjskiego dziennikarza wydarzenia miały miejsce w Wigilię. I. Timkowskij-Kostin przywołał zupełnie już wynaturzony gwałt, żołnierzom bowiem nie przeszkadzała nawet obecność zbierających się ludzi, którzy jednak bali się zareagować[97]. Ukazał również zupełną wszechwładzę agentów tajnej policji – pijani, nie reagowali nawet na rozkaz oficera i „ćwiczyli się" w strzelaniu do przechodniów[98]. Poza tym żołnierzy, głównie kozaków, widzimy jeszcze podczas rozruchów rewolucji 1905 r., na przykład:

> Gęsto rozstawione w mieście patrole. W ludzkie gromady prą konie kozackie. Wężem nahaj się zwija, dragoni podnieśli karabiny gotowe do strzału, miarowym krokiem przeszła piechota. Lecz pusto i cicho na ulicy Łąkowej, tam nie pokaże się nikt; wie każdy, że tam czyha śmierć. Przyczajona za węgłem, za płotem szara śmierć – bez parady (Bartk., s. 49–50).

[97] „24 grudnia 1906 roku dwóch żołnierzy zaczepiło późnym wieczorem na Nowym Rynku [pl. Wolności] dwunastoletnią dziewczynkę, służącą, wysłaną po sprawunki. Dziewczynka zaczęła krzyczeć, ale żołnierze zamknęli jej usta, następnie pociągnęli do jatek i rzucili na ziemię. Jeden z nich gwałcił, podczas gdy drugi trzymał tamtego karabin. Broniąc się, dziewczynka ugryzła żołnierza w rękę. Wtedy ten, który trzymał karabin, nastąpił jej butem na usta. Zbroczona krwią nie przestawała rozpaczliwie krzyczeć. Powoli zaczęli się zbierać przechodnie. [...] Wtedy żołnierze zawołali: «Precz, będziemy strzelali!» [...] Widząc w pobliżu coraz większą ciżbę, żołnierz ochraniający gwałciciela, powiedział doń: «daj spokój, tymczasem dosyć. Widzisz ilu tych diabłów zebrało się!». Wtedy dopiero pierwszy porzucił zakrwawioną ofiarę i obaj wkrótce znikli" (Tim.-Kost., s. 80–81).

[98] „Dwóch pijanych agentów tajnej policji" – pisze I. Timkowskij-Kostin – „konwojowanych przez pijaną również ochronę, zaczęło strzelać do przechodniów. Pomiędzy innymi zranili jakiegoś robotnika. Ten rzucił się do ucieczki, chcąc ukryć się w najbliższej bramie. Agenci rozgniewali się. Towarzysze ich, żołnierze koływańskiego pułku, zeskoczyli z dorożki i zaczęli gonić uciekającego. Obok przechodzili dwaj oficerowie tegoż pułku, sztabskapitan Ostrogorski i Apuchtin. Widząc tę potworną pogoń za ranionym, broczącym we krwi, którego chciano koniecznie dobić, oficerowie zabronili strzelać. Jednak, nie bacząc na ów rozkaz, żołnierze rzucili jeszcze parę kul w leżące na chodniku ciało robotnika. Kule, odbiwszy się o kamień, lekko zraniły oficera Ostrogorskiego i przestrzeliły palto oficera Apuchtina" (Tim.-Kost., s. 81–82).

Dziwne może się wydawać, że w utworach ukazujących państwo rosyjskie nie ma Rosjan[99]. Przecież w tak krótkim okresie ciągle naruszanej, później zaś zupełnie już nierespektowanej autonomii, jak i wtedy, gdy ją zniesiono, a Królestwo przyjęło nieoficjalną nazwę Priwislinskij Kraj, Polska wchodziła w skład imperium rosyjskiego. Jest to również dowód na to, że jeśli nawet Rosjanie chcieliby oddziaływać na polską kulturę (a chcieli, inaczej nie byłoby rusyfikacji), to Polacy bronili się przed tym, traktując wszelkie wpływy tej nacji jako element wrogi i destrukcyjny, dbając o zachowanie własnej tradycji i tożsamości narodowej. Starali się też żyć tak, jakby Rosjan nie było w ich bliskim sąsiedztwie, jakby nie istnieli, choć nie było to z pewnością zadanie łatwe. Zwróćmy też uwagę, że w utworach Wł. S. Reymonta, W. Marrené-Morzkowskiej, W. Kosiakiewicza i Wł. Rowińskiego poświęconych Łodzi nie znajdziemy ani jednego przykładu jakichkolwiek związków Polaków i Rosjan[100], co oczywiście nie znaczy, że takowe nie istniały. Ich wymownym przykładem może być grobowiec w stylu bizantyjskim małżeństwa Gojżewskich na Starym Cmentarzu przy ul. Srebrzyńskiej. Po stronie katolickiej wieczny spoczynek znalazła Polka, po stronie prawosławnej – jej mąż Rosjanin. Obie części grobowca są połączone murem i „przytulone" do niego.

W wielokulturowym łódzkim tyglu Rosjanie żyli własnym życiem, stali na uboczu, choć pełnili najwyższe funkcje administracyjne. Unikali przemysłu, nie zostawali przedsiębiorcami ani robotnikami. Jedynym *lodzermenschem* pochodzenia rosyjskiego był Władimir Stolarow, właściciel średniej wielkości fabryki (po pierwszej wojnie przyjął polski paszport). Łodzianom innych narodowości Rosjanie kojarzyli się ze skorumpowanym urzędnikiem, brutalnym uczastkowym (Łódź posiadała stałą szubienicę), żołnierzem. Bardziej uświadomionym Polakom także z rusyfikacją i zniewoleniem[101].

Na koniec warto jeszcze zwrócić uwagę, że w Łodzi okresu zaborów mieliśmy wyrosłą z chłopskich korzeni kulturę robotników oraz opartą na

[99] Podążając śladem J. Maciejewskiego, wypada stwierdzić, że wpływ na brak Rosjan w literaturze drugiej połowy XIX w., poza stosowanym przemilczeniem, miała również możliwość podejmowania problematyki narodowej. Pewnych problemów twórca podejmować nie mógł, innych, jak obecność zaborców w Polsce, nie chciał. Zob. J. Maciejewski, *Wstęp*, [w:] *Z domu niewoli. Sytuacja polityczna a kultura literacka w drugiej połowie XIX wieku*, red. J. Maciejewski, Wrocław 1988, s. 8.

[100] Podobnie problem obecności Rosjan w Łodzi przedstawia K. Kołodziej, przy czym jej wnioski wypływają głównie z analizy twórczości publicystycznej przełomu wieków XIX i XX (zob. taż, *Między „ziemią obiecaną" a „złym miastem" – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 1, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2008, nr 10, s. 260–261). Autorka podkreśla, że choć o Rosjanach nie pisze się wprost, ich obecność można dostrzec poprzez walutę, w jakiej dokonuje się wszelkich transakcji (s. 261).

[101] W. Górecki, *Łódź…*, s. 19.

szlacheckim etosie kulturę inteligencji. Żadna z nich, z różnych przyczyn, nie była podatna na wpływy rosyjskie. Żydzi, jak już mówiliśmy, nie ulegali łatwo obcym wpływom[102], Niemcy zaś tylko w okresie Łodzi rękodzielniczej podatni byli na oddziaływanie Polaków; wtedy zresztą nie było w fabrycznym mieście Rosjan. Istnienie w Łodzi czwartej kultury i jej współoddziaływanie na miasto wespół z Polakami, Niemcami i Żydami oraz dialog z innymi kulturami jest więc zupełnie niepotrzebnym przekłamaniem[103].

5.4. Życie różnych nacji na łódzkim bruku w *Podróży po Polsce* Alfreda Döblina

A. Döblin, niemiecki pisarz, autor powieści *Berlin Alexanderplatz*, z zawodu lekarz psychiatra, przebywał w Polsce we wrześniu i październiku 1924 r. Zwiedził wówczas poza Łodzią również Wilno, Lublin, Lwów, Kraków, Zakopane oraz okolice Drohobycza i Borysławia. Owocem wyprawy, przedsięwziętej ze względu na odczuwaną przez autora potrzebę

[102] Mówimy w tym miejscu o Żydach ortodoksyjnych. Część społeczności żydowskiej ulegała, oczywiście, asymilacji. Jej przyczyny rysuje np. w odniesieniu do swojej rodziny J. Olczak-Roniker (taż, *W ogrodzie pamięci*, Znak, Kraków 2001).

[103] Skutki silnego eksponowania działalności Rosjan w Łodzi i usilnego poszukiwania ich obecności widać, niestety, w publikacji J. Podolskiej i M. Jagiełły, *Spacerownik. Rosyjskimi śladami po województwie łódzkim* (Biblioteka „Gazety Wyborczej", Łódź 2012). Ta niewątpliwie cenna i pięknie ilustrowana pozycja obciążona jest mylącymi informacjami, np. na s. 16 znajdujemy reprodukcję zdjęcia lub pocztówki Szkoły Powiatowej Realnej Niemiecko-Rosyjskiej przy Rynku Nowego Miasta. Jej wyeksponowanie obok cerkwi samo przez się narzuca interpretację. Jaki to jednak ślad Rosjan w Polsce? Tej narodowości przecież do połowy XIX w. w mieście nie było, a szkoła powstała na długo przed przybyciem pierwszej rodziny. Czy w ogóle to zdjęcie powinno znaleźć się w przewodniku? Czy szkołę tę Polacy zawdzięczają Rosjanom? Przecież to absurd. To raczej ślad rosyjskiej okupacji (podobnie jak więzienie), w związku z czym cały problem należałoby ująć zupełnie inaczej. Autorzy piszą np., że „rusyfikacja to jeden z najtrudniejszych tematów, jaki pojawił się przy omawianiu rosyjskich śladów w Łodzi" (s. 14). Dlaczego? Przecież, na szczęście, to przeszłość. Należy ten fakt odnotować i to wszystko. Rusyfikacja będzie jednak stanowić dość istotny problem, jeśli będzie się chciało przedstawić obecność Rosjan, izolując ją od historii. Przewodnik nie budziłby żadnych zastrzeżeń, gdyby obecność tej narodowości przedstawić jako dowód na skomplikowaną historię, jaka łączyła nasze narody. Wówczas każdy problem zostałby należycie i zgodnie z prawdą zinterpretowany i nie budziłby wątpliwości. To przecież historia, z której tylko należy wyciągnąć wnioski. Tak ujęta polsko-rosyjska przeszłość wraz z całą ikonograficzną obudową byłaby niezwykle cennym nabytkiem dla miłośników małych ojczyzn. Niewiele przecież wiemy o Rosjanach żyjących w Polsce. Niestety, przekłamania, będące niepotrzebnym „retuszem" historii, znacznie obciążają omawianą opozycję.

poznania żydowskich korzeni, była proza reportażowa *Podróż po Polsce*[104], opublikowana w 1925 r. Pisarz, którego można określić jako zasymilowanego niemieckiego Żyda, przepojonego niemiecką kulturą, zdecydował się na wyjazd do Polski po pogromie Żydów, którego był świadkiem w Berlinie w 1923 r.

Reportaż podróżniczy A. Döblina można było omówić w części poświęconej twórczości niemieckojęzycznej, ukazującej wzajemne relacje Polaków, Niemców i Żydów w Łodzi, zarówno z powodu kulturowej identyfikacji autora, jak i języka, w którym reportaż został napisany. Spotykamy w nim jednak niezwykle interesujące ujęcie problemu, stanowiącego przedmiot rozważań niniejszego rozdziału. Zadecydowało to o zakończeniu rozważań przywołaniem świadectwa niemieckiego pisarza.

W *Podróży po Polsce* A. Döblin stara się ukazać Łódź (zatrzymamy się tylko przy tej części reportażu – por. Döb., s. 263–294) w sposób bezstronny, nieobciążony pochodzeniem i kulturowymi sympatiami. Warto jednak zwrócić uwagę, że pomimo świadomego obiektywizmu, będącego najwyraźniej założeniem artystycznym pisarza, jego relacje – wolne od komentarzy i ocen – nie są wolne od spojrzenia charakterystycznego dla człowieka wychowanego w kulturze niemieckiej, z typowym dla niej w czasach pisarza widzeniem Polski i jej miejsca w świecie. Dochodzące miejscami do głosu opinie i sądy A. Döblina będą więc również charakterystyczne dla kultywującej korzenie przodków niemieckiej społeczności Łodzi. Niemieckie opinie o Polsce i Polakach uwidaczniają się szczególnie w partiach poświęconych historii:

> Straszna nienawiść Polaków i Niemców. Te narody wnikały w siebie od wschodu i od zachodu. Kraj ma ludność polską, potem Polacy sami zapraszają Niemców, przedstawicieli wyższej kultury: zaczyna się rozwój kulturalny, gospodarczy, duchowa asymilacja, zagrożenie narodowej tożsamości. Obie strony nie są już tym, czym były, dochodzi do wzajemnej aklimatyzacji. Ale ośrodki władzy państwowej są w rękach zaślepionych grup, które mają swój interes w podsycaniu nienawiści i tak zwanej tradycji (Döb., s. 274–275).

Nie wiemy dokładnie, do jakiego etapu historii odwołuje się autor[105]. Prawdopodobnie jest to wiek XIX, skoro Polacy i Niemcy wnikali

---

[104] A. Döblin, *Podróż po Polsce*, przeł. A. Wołkowicz, posł. H. Grynberg, seria: „Pisarze Języka Niemieckiego", Wyd. Literackie, Kraków 2000.

[105] W pierwszej połowie XIX w. koegzystencja Polaków i Niemców oceniana jest różnie, ale na ogół nie budzi zastrzeżeń. Pogorszyła się ona znacznie w drugiej połowie XIX w. Dlaczego gościnni wcześniej Polacy stali się nagle niegościnni? A. Döblin pisze o nienawiści polsko-niemieckiej i, jak się wydaje, obciąża jej istnieniem Polaków. Oddziaływanie stereotypów jest niezwykle silne. Autor *Reise in Polen* jest tak przywiązany do kultury niemieckiej, że nawet sytuacja Żydów w Niemczech i antyżydowskie nastroje, których był

„w siebie od wschodu i od zachodu". Dalej, jak można przypuszczać, następuje odwołanie do „ugody zgierskiej" z 1821 r. Ostatnie zdanie natomiast, bez żadnych wątpliwości, obejmuje czasy współczesne autorowi[106]. W innym miejscu A. Döblin pisze: „Dziś Niemcy przeżuwają «korytarz», Gdańsk, Górny Śląsk, narzucone układy, na pewno tego nie przełkną. A Polska – musi się bać! Nie zmieni tego żadna granica, taka czy inna decyzja" (Döb., s. 276). Choć wypowiedź ta dowodzi trzeźwości widzenia sytuacji i świadczy o prawidłowej ocenie dążeń Niemiec, to jednak we wcześniejszym cytacie, tak jak i w kilku innych miejscach reportażu, dochodzi do głosu nieuświadamiana duma z Wielkiej Ojczyzny. „Kraj [Polska] ma ludność polską" – możemy zapytać: a jaką inną miałby mieć? lub: „Polacy sami zapraszają Niemców, przedstawicieli wyższej kultury" – skąd taka ocena? Po raz kolejny wypadnie stwierdzić, że charakterystyczne dla człowieka sympatie i widzenie świata uzależnione są od jego korzeni; zwykle też zawsze dają one o sobie znać, nawet jeśli towarzyszyć mu będzie świadomy i daleko idący obiektywizm.

Zatrzymajmy się jeszcze przy zdaniu: „Już w szesnastym wieku kursowało śmiechu warte przysłowie: «Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem»" (Döb., s. 275). Należałoby zapytać, którą z nacji charakteryzuje ta „nienawiść" lub też tylko niechęć (zauważamy ją, jak się wydaje, i w powieści A. E. Rennera). W kontekście całej wypowiedzi A. Döblina zdanie wyraźnie wskazuje, że Polacy z własnej woli nigdy nie zechcą zbratać się z Niemcami[107]. Można jednak tę myśl zinterpretować inaczej – jako stwierdzenie, że Niemcy nigdy nie byli bratersko nastawieni do Polaków. I tak właśnie interpretują je Polacy. Nie znaczy ono

świadkiem w tym kraju, nie zasugerowały mu myśli, że to może jednak niekoniecznie Polacy są winni zaostrzonym stosunkom polsko-niemieckim.

[106] A. Döblin, pisząc o „zaślepionych grupach", ma z pewnością na myśli Narodową Demokrację. Warto wszakże zauważyć, że nie stworzyła ona nigdy rządu, gdyż nie posiadała nawet wymaganej większości parlamentarnej.

[107] W innym tłumaczeniu czytamy: „Już w szesnastym wieku krąży żałosne powiedzenie: «Dopóki świat światem, dopóty nie będzie Niemiec Polakowi bratem»" (*Pod jednym dachem*..., s. 214). Przysłowie o wzajemnych stosunkach między Polakami i Niemcami znajdujemy W *Moraliach* W. Potockiego:

Nigdy w szczerej nie żyli Polak z Niemcem zgodzie.
Polaka pycha, Niemca wolność w oczy bodzie.
Stąd przypowieści mówiące, że póki świat światem,
Nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem.

(W. Potocki, *Moralia (1688)*, wyd. T. Grabowski, J. Łoś, t. II, seria: „Biblioteka Pisarzów Polskich", Wydawnictwa Akademii Umiejętności, Kraków 1916, s. 18). Warto zwrócić uwagę na obiektywizm W. Potockiego w odniesieniu do obu nacji i obarczenie obu narodowości winą za wzajemną niechęć.

jednak, że Polacy nie są skłonni do braterskich uczuć wobec Niemców. Różnica pomiędzy tymi ujęciami jest więc zasadnicza.

Znajdziemy w reportażu A. Döblina także inne nieścisłości, wynikające – jak się wydaje – z nieznajomości faktów, mimo sygnalizowanej przez pisarza lektury poświęconej krajowi odwiedzin. W *Podróży po Polsce* czytamy na przykład: „Pewien książę łęczycki, Władysław, w czternastym wieku nadał pewnemu biskupowi kujawskiemu wieś Łodzia, a ten sprowadził niemieckich osadników" (Döb., s. 271). Biskup kujawski Władysław Garbaty nie tyle sprowadził niemieckich osadników, ile przeniósł wieś na korzystniejsze dla jej rozwoju prawo niemieckie. Lub: „A potem Łódź dostała się Prusom, a później Rosji" (patrząc na to z punktu widzenia Prus i Rosji, rzeczywiście tak to można określić: „dostała się"). „Za tych przeklętych Rosjan, którzy wszystko doprowadzą do ruiny, około 1820 roku wyszedł dekret [...]. Rządowy dekret rosyjski [...] był jednak czymś nadzwyczajnym; przyciągnął cudzoziemców [...]. Sukiennicy i tkacze byli teraz przedstawicielami kultury zachodniej!" (Döb., s. 271). Owo „teraz" jest bardzo znamienne[108]. Warto też dodać, że dekret rządowy, którym zachwyca się A. Döblin, wyróżniając przy tym pozytywnie Rosję, musiał być rosyjski, bo... inny być nie mógł, jednak jego zamysł i wykonanie było w całości polskie. To Polacy ponosili koszty uprzemysłowienia Królestwa Polskiego.

Nie można jednak odmówić A. Döblinowi niezwykle trafnych sądów, analiz i uogólnień, interesujących tym bardziej, że krótko przebywał w mieście. Reportaż cechuje artystyczna swoboda, przy zachowaniu wszelkich prawideł gatunku. Autor nie ogranicza się do prezentacji miejsca i jego oceny. Opis przeplata się z rozważaniami natury osobistej i wspomnieniami innych miejsc. Granica przejścia nie zawsze jest zaznaczona, co daje okazję do snucia refleksji o typowości ludzkich zachowań i samego życia. Wiedzę o Łodzi autor czerpie z różnych źródeł. Są nimi: informatorzy, oglądana właśnie ulica lub konkretne miejsce, wystawy, przechodnie, przypadkowe i aranżowane rozmowy, a nawet ich brak, także okazjonalna lektura miejscowej gazety. Wydaje się, że wpływ na postrzeganie miejsca wywiera nie tylko artystyczna natura pisarza, ale też jego zawód. Jako psychiatra jest zdolny i przygotowany do szybkiej i wnikliwej analizy dostrzeżonych faktów. Dlatego zapewne znajdujemy w *Podróży po Polsce* wiele różnorodnych wątków.

Zacznijmy od obrazu Łodzi. Pierwsze, co zauważa A. Döblin, to jej specyficzny układ przestrzenny: „Jedna linia przecina całe miasto od góry do dołu; takiej linii nie widziałem w żadnym innym mieście. To ulica

[108] Znów trudno się oprzeć wrażeniu, że do głosu doszło przekonanie o jakiejś zależności polskiej kultury i w ogóle rozwoju Polski od Niemiec.

Piotrkowska" (Döb., s. 264). Pisarz dostrzega też wszechobecne błoto, które i jego zaczyna drażnić, gdy musi się z niego oczyścić, a na które bezustannie narażeni są mieszkańcy miasta. Błoto, a więc brud. A. Döblin widzi jednak więcej: z jednej strony zwycięstwo techniki, która pozwoliła rozwinąć się miastu, a z drugiej – stagnację życia w nim. Ten zastój i martwota uwidacznia się w wyglądzie ulicy, zwykłych przechodniów, prostytutek, odgłosach idącego właśnie pogrzebu, niedbałym zachowaniu nietrzeźwego portiera, a nawet w wyglądzie hotelowego pokoju, w którym piękno miesza się z brzydotą, niewygodą i zniszczeniem. Złą sytuację życia w Łodzi potwierdza również miejscowa gazeta, prezentująca dane z *Rocznika Statystycznego*, dotyczące zachorowalności łodzian na świerzb (Döb., s. 264–268). Pisarz dostrzega też jednak ruch i gwar, co nasuwa mu skojarzenie Piotrkowskiej z warszawską ul. Marszałkowską i rodzinnym domem (Döb., s. 279), odnotowuje rozwój szkół, działalność stowarzyszeń, życie kulturalne. Koncert Szymanowskiego, na którym był A. Döblin, wywarł na nim duże wrażenie; podobnie reagują inni słuchacze: „Na Sali płoną policzki dziewcząt z warkoczami i zielonymi kokardami; panowie w smokingach całują panie w rękę. Starsi mężczyźni i kobiety siedzą w otoczeniu rodzin" (Döb., s. 285). Z drugiej strony, kamienice czynszowe przedmieść przeplatające się z malutkimi domkami i placami składowymi przywołują wspomnieniem nędzę Drohobycza. I tu jednak, jak zauważa, dotarł duch Zachodu – „duch przemysłu i techniki" (Döb., s. 279). A. Döblin, urzeczony nowoczesnością widzewskiej fabryki, stwierdza, że ten nieprzyjazny człowiekowi i jego dotychczasowym wartościom rozwój przemysłu jest z pewnością zapowiedzią zmian na lepsze (Döb., s. 289–290). Łódź od czasu Wł. S. Reymonta, jak widać, niewiele się zmieniła. W dalszym ciągu jest miastem kontrastów: bogactwa i nędzy, nowoczesności i zacofania, piękna i brzydoty. W Łodzi te kontrasty w dalszym ciągu sąsiadują ze sobą. Autor wielokrotnie odnotowuje istnienie prostytucji. Jest wszechobecna. To nie tylko uboczny wytwór wielkomiejskiego życia, to przede wszystkim efekt skrajnej nędzy i kryzysu.

Od informatora A. Döblin dowiaduje się, że Łódź ma pół miliona mieszkańców, z czego Niemcy stanowią jedną piątą, a Polacy i Żydzi po dwie piąte ogółu mieszkańców. Niemcy są przemysłowcami i fabrykantami. Posiadają własne gazety, szkoły, gimnazja i około trzydziestu oficjalnych szkół powszechnych, a ponadto własny teatr, w którym grają Austriacy (ponieważ Niemcy z Rzeszy nie chcą do Łodzi przyjeżdżać), około trzydziestu stowarzyszeń i dwie partie – mieszczańską i socjalistyczną. Z relacji informatora wynika również, że bogaci Niemcy odczuwają mniejszą więź ze starą ojczyzną niż ich biedniejsi współziomkowie. Nieco mniej rozmówca A. Döblina mówi o Polakach i Żydach. Pierwsi to

przeważnie robotnicy, sympatycy partii chrześcijańsko-społecznej lub chrześcijańsko-demokratycznej, drudzy zaś to przemysłowcy, kupcy i rzemieślnicy (Döb., s. 286–270). Te informacje o Niemcach i Żydach autor uzupełnia własnymi spostrzeżeniami. Zauważa, że język niemiecki gazety, którą czytał, jest tak dziwny, że Niemcy lepiej zrobiliby, mówiąc po polsku (Döb., s. 266). A. Döblin odwiedza niemiecką manufakturę (!). Jej właścicielem jest Niemiec, a pracują w niej Niemcy. Autor jest zadowolony, że w końcu może rozmawiać swobodnie i bez tłumacza, nie dziwi go jednak, że spotkał w niej tylko Niemców. Przyjemna rozmowa kończy się natychmiast, gdy jeden z robotników zaczyna narzekać przy właścicielu na zarobki (Döb., s. 285–286). Niemiłym zaskoczeniem dla autora jest zapełnienie witryny księgarskiej egzemplarzami *Mein Kampf* Adolfa Hitlera (Döb., s. 270–271). Książka mocno jest wyeksponowana, tak mocno, jak w wierszu potomka niemieckich osadników, którzy nie chcą mówić po polsku, słowa:

> My, Niemcy, jesteśmy słońcem i deszczem tego kraju,
> jego pożywieniem, jego błogosławieństwem.
> Dlatego do pracy! Uprawiajcie krainę dzieciństwa!
> By móc stworzyć nowy niemiecki świat.
>
> (Döb., s. 278)

A. Döblin, który był świadkiem antyżydowskich wystąpień w Niemczech, pisze: „Ach, moi drodzy Niemcy, moi drodzy Żydzi, więc spotykam was tu jednych obok drugich. Jaka dziwna sytuacja! Jedni i drudzy jesteście tu obcy! Równouprawnieni w braku równouprawnienia" (Döb., s. 270). Nie wyjaśnia jednak, jak należy rozmieć: „jesteście tu obcy". Czy jako obecność na obcej ziemi, czy też jako życie wśród niechętnych obcym Polaków? Autor jest bardzo wrażliwy na narodowościowe animozje, krzywdę ludzką, a szczególnie na poziom życia Żydów w Łodzi. Nie uszły więc jego uwadze polsko-żydowskie zadrażnienia. Przywołał pochodzące z roku 1820[109] zarządzenie, na mocy którego Żydzi nie mogli zamieszkiwać nowych osiedli, zajmować się karczmarstwem i propinacją (Döb., s. 272). Zacytował również hasło z antysemickiego plakatu: „Polacy, nie kupujcie u Żydów! Kupcy polscy, wasze towary nie mogą być i nie powinny być droższe od żydowskich. To nie tylko leży w waszym interesie. To wasz narodowy obowiązek!" (Döb., s. 281–282).

[109] Regulacje prawne dotyczące osiedlania się Żydów w Łodzi zostały umieszczone w „umowie zgierskiej" z 1821 r. oraz w specjalnym dekrecie z roku 1822, podpisanym w 1827 r.; znajdziemy go u O. Flatta.

Ze względu na szerzące się dzisiaj przekonania o polskim antysemityzmie, należy krótko odnieść się do tych zarzutów. A. Döblin rzeczywiście spotyka skupisko Żydów w północnej części miasta, gdyż z jednej strony tam właśnie, na Starym Mieście, wśród Polaków istniał rewir dla ludności żydowskiej, wyznaczony na mocy wspomnianych zarządzeń, z drugiej – tu znajdowała się żydowska dzielnica handlowa, a ponadto blisko Starego Miasta mieściły się Bałuty, które Żydzi już z własnej woli zasiedlali, o czym plastycznie i barwnie opowiada I. J. Singer[110]. Z jego opisu przekształcenia wsi Bałuty w osadę o charakterze miejskim, bo wsią pozostała do 1915 r., wynika, że Żydzi chętnie się tu osiedlali, wespół z Polakami zresztą, i nie byli w żaden sposób izolowani. Przepisy nakazujące Żydom zamieszkiwanie rejonu Starego Miasta przestały prawnie obowiązywać w 1862 r., nie respektowano ich już jednak znacznie wcześniej. Dodać też należy, że istnienie getta żydowskiego, bez względu na współczesną ocenę, nie było niczym nadzwyczajnym w Europie początków XIX w. (nie należy go, oczywiście, mylić z gettami zakładanymi przez Niemców w okupowanej Polsce). Żydzi nigdy też nie byli narażeni przez Polaków na zniszczenie własnej tożsamości i swobodnie mogli ją kulty-

[110] „Tuż przy mieście rozciągały się pola, rozległe, piaszczyste i nieurodzajne. [...] Chłopi, którzy uprawiali te pola, nie mogli ich po zniesieniu pańszczyzny odkupić od właścicieli, szlachciców, dwóch braci Konarskich [...]", nie mieli na to pieniędzy. „[...] Bogaty arendarz, chasyd, zwolennik rabina z Kocka, reb Szlojme Duwed Preiss, który eksportował polskie żyto i pszenicę do Prus, wpadł pewnej nocy na myśl, że trzeba od panów Konarskich odkupić nieurodzajne pola i wybudować na nich przedmieście dla Łodzi, gdzie mogłaby zamieszkać biedniejsza ludność, rzemieślnicy, furmani i ci wszyscy, którzy nie mieli się gdzie w mieście podziać". Zamysł arendarza powiódł się i szczęśliwi bracia Konarscy odsprzedali reb Szlojme Duwedowi nieurodzajne ziemie, jednak poniewczasie zorientowali się, że popełnili głupstwo. Starali się więc sprzedaż unieważnić: „Twierdzili, że Żyd kupił u nich pola na budowę huty, a nie na założenie miasteczka i przeto kontrakt jest nieważny. [...]" Ostatecznie spór wygrał „zwolennik rabina z Kocka: Z dnia na dzień powstawały place i ulice, przez noc wyrastały nowe domy. Budowano prędko, w pośpiechu, krzywo, bez planu, jak kto chciał i jak się komu podobało – jeden dom cofnięty, drugi wysunięty, pokracznie i na opak. Zanim wysmarowano budynek wapnem, już w nim ktoś mieszkał. [...] Akta i dokumenty przepadły gdzieś w senacie. A tymczasem wyrastało miasto, domy, ulice, place, rynek, których już żadna ustawa nie potrafiłaby znieść. Zanim jeszcze nowe miasto Bałuty [...] pomyślało o nazwach dla swych ulic i uliczek [...] nadali im własne nazwy Żydzi [...] według imion właścicieli domów, według bóżnic i bóżniczek [...]. W ten sposób powstały: ulica Mordche gabego, ulica Szkolna, Pieprzny zaułek, zaułek Grosmana, plac Jojne Pilcera i wiele innych ulic o podobnych nazwach" (Sing. I, s. 23–25). Dalsza część opowieści I. J. Singera może zdziwić jeszcze bardziej, gdyż ukazuje Żydów nie tylko jako silnych i z powodzeniem opierających się Polakom, ale też wręcz czujących się u siebie, a nie wśród obcych, na łasce gojów, o czym już w innym miejscu.

wować, o czym świadczyły choćby istniejące do początków II wojny światowej, zburzone przez Niemców synagogi, powstające niemal od początku osiedlania się Żydów w Łodzi. Warto również pamiętać, że rabin, duchowy przywódca gminy żydowskiej, od początku jej istnienia był ważną postacią w mieście.

Przywołane przez A. Döblina hasło było propagowane przez Narodową Demokrację, a więc tylko przez pewną, wcale nie najliczniejszą grupę Polaków. Zwolennicy jej ideologii, a przynajmniej ich część, rzeczywiście posiadała antysemickie poglądy[111]. Wspomniane hasło wynikało jednak i z samego nastawienia Żydów, którzy do opanowanego przez siebie sektora gospodarczego – rzemiosła, drobnej wytwórczości, handlu i pośrednictwa między wytwórcami i sprzedawcami – nie chcieli dopuścić Polaków[112], stąd zwrócenie uwagi w tych hasłach na „narodowy obowiązek", czyli wspomaganie działalności własnego narodu, a nie celowe krzywdzenie narodowości żydowskiej.

Bez względu na te wyjaśnienia A. Döblin, który zwrócił uwagę na istniejące zadrażnienia pomiędzy Polakami i Niemcami, skoncentrował się również na animozjach między Polakami i Żydami. Potwierdza ich istnienie „młody literat piszący w jidysz: Przed wojną [...] nasza inteligencja była w dużej mierze zasymilowana. Potem dokonał się zwrot: dziś mieszczanie to syjoniści; pozostali Poalej Syjon. Socjaliści wymigiwali się od kwestii żydowskiej" (Döb., s. 293). A. Döblin odnotowuje również istnienie szkoły, w której uczą się dzieci polskie i żydowskie. Ich nauczycielka stwierdza, że „z pisania, prac pisemnych i robót lepsi są mali Polacy; w mówieniu i kojarzeniu górują mali Żydzi" (Döb., s. 282). Autor reportażu o Łodzi po rozmowie z kobietą konstatuje: „Żydzi mają w domach dobre wydania Schillera: kochają go; jest w nim patos, etyka i wola. Polacy mają nad nimi ogromną przewagę w sferze uczuć, w miękkości" (Döb., s. 282). A mali uczniowie, nie przejmując się zawiłościami

[111] Pamiętać wszakże należy, że antysemityzm do II wojny światowej, choć znaczył to samo, posiadał inny wydźwięk aniżeli dzisiaj, po doświadczeniach Holokaustu. Uprzedzenie i niechęć w stosunku do Żydów nie były równoznaczne z wrogością i potrzebą usunięcia tej narodowości z życia społecznego. Przyznać jednak należy, że już w latach dwudziestych XX w. zaczęły przybierać skrajne i nieetyczne formy pod wpływem odłamu Narodowej Demokracji – Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga", którego jednym z twórców był Bolesław Piasecki.

[112] W poczynionej tu uwadze nie idzie o usprawiedliwienie antyżydowskich haseł (Polacy w większości nie zastosowali się do nich, o czym warto pamiętać), ile o zasygnalizowanie, że problem jest znacznie szerszy i nie można go sprowadzać tylko do antysemityzmu. Poza tym każda z obu narodowości posiadała prawo do obrony swoich interesów i każda z niego korzystała.

świata dorosłych, poznawali świat zgodnie ze swoją dziecięcą logiką, bez skrępowania komentując wypowiedzi nauczyciela (Döb., s. 282).

Odnotować wszakże należy, że w reportażu nie znajdujemy obrazu jakiejkolwiek niechęci pomiędzy Niemcami i Żydami. Jedyne nawiązanie do wzajemnej koegzystencji tych narodowości jest chyba reminiscencją berlińskich przeżyć autora. Pisząc o wspomnianych wcześniej zakazach dla ludności żydowskiej z 1820 r., autor mówi o Żydach: „Ani z nich cudzoziemcy, ani swoi, czym w takim razie są? Ten dziwny naród wszędzie cieszy się tym przywilejem. Zaiste naród wybrany. Sąsiedzi opisują to trafnie i z uczuciem za pomocą słowa «pluskwy»" (Döb., s. 272). A. Döblin nie wspomina więc o antagonizmach pomiędzy Niemcami i Żydami, nie pokazuje też jednak ani jednego przykładu ich współdziałania. O czym to może świadczyć?

Na koniec należy też wspomnieć o ukazanym przez pisarza stosunku władz zaborczych do Niemców i Polaków. A. Döblin potwierdza to, co zauważył H. Vimard: szykanowanie Polaków przy równoczesnym podkreślaniu zasług Niemców i obdarzaniu ich kolejnymi przywilejami. Kiedy Niemcy za swoje zasługi otrzymali po 1905 r. możliwość otwarcia własnych szkół, A. Döblin stwierdza: „Polacy musieli skręcać się ze złości; złość skręcająca Polaków trochę też chyba niepokoiła Niemców; wielcy panowie, rozdzielając łaski, bywają czasem złośliwi" (Döb., s. 274).

Znajdziemy również w reportażu o Łodzi potwierdzenie poczynionych wcześniej uwag na temat współistnienia czterech kultur w Łodzi i ich współoddziaływania na siebie i miasto:

> [...] Jest wolą naszego Najłaskawszego Monarchy, aby każda nacja w Królestwie Polskim dostała to, co się jej należy". W Wilnie i w Warszawie widziałem stare rosyjskie plakaty: zabrania się mówić po polsku. Widocznie najłaskawiej zatwierdzonej nacji nie należy się własny język. [...] zwłaszcza nacji polskiej. To przejaw ekstrawaganckiego szacunku do polskiego narodu [...]. Można jeszcze zwiększyć ten szacunek i uznać, że nie należy mu się i życie. I pozabijać Polaków. Dokonywano już tego eksperymentu, po trochu, w roku 1863 i później (Döb., s. 273).

Podróż po Polsce A. Döblina, wydana w 1925 r. i ukazująca obraz Łodzi z roku 1924, zakresem podejmowanych problemów mieści się w wyznaczonych ramach czasowych niniejszych rozważań. Łódź w ujęciu pisarza nie była wzorem pokojowego współistnienia różnych nacji i z wielu powodów być nim nie mogła. Rozważania A. Döblina potwierdzają to, wskazując również (bezpośrednio i pośrednio) przyczyny: istnienie trzech wielkich, silnych i spójnych wewnętrznie grup narodowościowych, każda o innej kulturze, odmiennym etosie i różnej wizji własnego miejsca w świecie, to powód podstawowy. Grupom tym – możemy dodać

– nieobce były zachowania etnocentryczne i ksenofobiczne, a niektórym ich przedstawicielom nawet szowinistyczne i antysemickie. Nie przybierały one jednak skrajnych, wrogich innym grupom etnicznym, postaci. Wpływ na stosunki pomiędzy mieszkającymi w Łodzi narodowościami miały również: sytuacja polityczna Polski, stosunek władz zaborczych do poszczególnych nacji, wczesny etap uprzemysłowienia miasta, kryzysy, a także zapoczątkowany w XIX w. rozwój nacjonalizmów. A. Döblin nie odnotowuje również, co warto podkreślić, obecności Rosjan w Łodzi ani ich widocznej działalności, potwierdza więc to, co o życiu tej narodowości w mieście powiedzieliśmy.

6. Zapomniane mity „ziemi obiecanej”

W poprzednim rozdziale szukaliśmy potwierdzenia w literaturze istnienia dwóch mitów, które wykreowała polityczna poprawność i relatywizm kulturowy. W tym rozdziale przypomnimy trzy zapomniane mity „ziemi obiecanej”: mit „złego miasta”, „Czerwonej Łodzi” i „Łodzi robotniczej” oraz mit „pozbawionego radości życia robotników”. Dwa ostatnie ukształtowały się po II wojnie światowej w wyniku indoktrynacji społeczeństwa, które miało „szczęście” żyć, wedle ówczesnej ideologii, zgodnie z regułami porządku socjalistycznego.

6.1. Mit „złego miasta”

Metaforę Łodzi jako „złego miasta” zawdzięczamy Z. Bartkiewiczowi, związanemu z nią literatowi i dziennikarzowi, zdradzającemu również talenty plastyczne. W Łodzi mieszkali jego rodzice; on sam był lub też tylko próbował być w mieście wielkich kominów animatorem życia kulturalnego. W latach 1895–1900 prowadził salon sprzedaży dzieł sztuki, zwany Salonem Artystycznym, którego wystawy prezentowane były także w parku Helenowskim. Z Łodzią związana była również jego druga żona, Eugenia Helena Glanz, rzeźbiarka i malarka.

Złe miasto – zbiór reportaży, refleksji o Łodzi, powstało już po jej opuszczeniu przez Z. Bartkiewicza i po jego kilkuletnim pobycie w Monachium i Paryżu. Po powrocie do kraju artysta związał się z warszawskim „Światem” – tygodnikiem ilustrowanym, kierowanym do inteligencji i mieszczaństwa. W tym właśnie czasopiśmie ukazały się pod koniec 1907 r. reportaże, będące przedmiotem naszego zainteresowania. Metafora Łodzi pojawia się w nich kilkakrotnie:

> Jest w Polsce takie miasto – złe.
>
> I jakże obłudne, bo jakby w welon żałobny spowite, a drwiące ze śmierci. Tysiące szczytów wyniosło w podniebia wysoko, a spodem we krwi się płuży. Nieugiętą moc czerpie z wiotkich kwiatów bawełny, a z martwego złota życie (Bartk., s. 13).

[...] wypadek pożaru w „Złym mieście" wcale nie jest groźnym zjawiskiem, ani nawet poważnym i stanowi nawet towarzyską zabawę. Gdy zabrzmią alarmowe sygnały, panowie fabrykanci przebierają się spiesznie w ochotniczej straży kostiumy i – chwila, a dobre konie gnają już z nimi na tę maskaradę, gdzie zawiązują się nowe handlowe intrygi, rozstrzygają dawniejsze (Bartk., s. 31–33).

Nie dziw, że wolny, twórczy poryw w „Złym mieście" trudno w dzieło wykwita. Otoczenie niszczy w zaraniu każdy promień jaśniejszy, co i tu schodzi w cienie spraw ludzkich, aby myśl rozpromienić, jeśli nie ukochaniem, to choć zajęciem się, książką, obrazem, czy utworem na scenie. Daremne wysiłki, bo nie rosną kwiaty w fabryce. Na grzęzawisku nie ozwie się pieśń, a niech tutaj Venus z Milo się zjawi, to ją wezmą na szmelc (Bartk., s. 41).

Zdawałoby się, że teatr – widowisko ciekawe, często zrozumiałe dla wszystkich, zawsze przez szerokie warstwy pojęte, będzie mógł się tu ostać na długo [...]. Nie, nie, bo każdy za rubla miał inne żądanie: ten chciał się śmiać, ów płakać, a tamtemu uwidziało się tak, że teatr powinien uczyć. [...] I oto, po dziś, trwa w ciągłych troskach polski teatr w „Złym mieście", bo niepotrzebny mu teatr. Niepotrzebne mu nic, w czym choćby ślad wyzwolenia myśli ze spraw wzajemnego wyzysku, brzydkich spraw ludzkich, w tej walce o byt, okrutniejszej niż w puszczy, bo ileż to środków ma człowiek do gnębienia swojego gatunku (Bartk., s. 42).

Prócz „Lutni" – „Lira", więc dzwoni śpiewem „Złe miasto" i dobrze, bo może zagłuszy złowrogi jęk nędzy. A jęk to coraz głośniejszy, bo raz w raz tu trzy dni, tam cztery na tydzień pracują fabryki, a ileż takich, gdzie w ogóle nie ma zajęcia ten dzisiaj już cichy, uległy, zbiedzony robotnik. Pierwszy spazm głodu zdławił w nim krzyk nienawiści na długo, bo mocny jest głód (Bartk., s. 60).

W tym kontekście Łódź jest „złym miastem", ponieważ jej potęga wyrasta z krwi, nędzy i biedy, i nie ma w niej miejsca dla dobra, wyższych uczuć i duchowych potrzeb. Krąg zła jest jednak znacznie szerszy, a jego przyczyną jest wyzysk i nieokiełznana żądza bogactwa. Miasto dzieliło się na dwie części: garstkę wzbogaconych wyrobników i przymierających głodem, ukrzywdzonych robotników. Różnili się we wszystkim, byli jednak związani mocą interesów, musieli się więc znosić, nawet udawać przychylność (Bartk., s. 13).

W „złym mieście" ta symbioza mogła być tylko pozorna. Ubogie przedmieścia dawały siły i młodość, „zaś można ulica zużywała ów towar", dając w zamian kilka dobrodziejstw: „prawo i możność odżywiania się" nędzną zupą, „noclegowe przytułki, łóżko w szpitalu" i kilkanaście godzin „uszlachetniającej pracy" (Bartk., s. 13). Robotnicy buntowali się coraz bardziej niezadowoleni, mimo wymuszonych groźbami ustępstw fabrykantów. Mogli więc otrzymać odszkodowanie za wypadek w fabryce, pomoc lekarską, mieszkanie w domach familijnych. Nie były to jednak dobra powszechnie dostępne (Bartk., s. 14). Płace robotników nie wystarczały na utrzymanie ich rodzin. Fabrykanci jednak nie byli skłonni do ustępstw i grozili zamknięciem fabryk – śmiercią głodową tych, którzy w nich pracowali (Bartk., s. 25). Twierdzili, powołując się na prawa

ekonomii, że podwyżki płac nie są w interesie samych robotników – robotnik powinien otrzymywać „[…] akurat tyle, aby nie umrzeć. Inaczej zaś to krzywda dla niego” (Bartk., s. 26). Celem działalności fabrykanta jest zysk, ale podstawą tego zysku – zawsze wyzysk (Bartk., s. 27).

W „złym mieście” głód i nędza budzą bezprawie. Kradzież jest podstawą przeżycia nizin społecznych – ludzi głodnych, w obdartym odzieniu i zziębniętych (Bartk., s. 27–29). Wyzysk słabszego staje się naturalnym działaniem silniejszego (Bartk., s. 28, 47–48, 67, 69), a nawet zasadą tego działania (Bartk., s. 27, 49–50, 65, 71). „Bo wszystko jest czyste i dobre, na czym można zarobić” – tę zasadę wyznaje i fabrykant, i złodziej (Bartk., s. 29).

W „złym mieście” szukający godnego życia robotnik nie znajduje oparcia, tak jak nie znajduje go ta, co „ma lekki chleb”. Gotów jest nawet oddać życie – i oddaje, nie może jednak znaleźć sprawiedliwości i gubi się w zawikłanych interesach różnych ugrupowań i partii. „Aż przyszedł rok 1905”, robotnicy zaczęli się burzyć i okazywać swoje niezadowolenie. „Skowytem strachu odpowiedziało miasto. Ścisnęły się serca” (Bartk., s. 14).

W „złym mieście” nie ma jedności pomiędzy robotnikami. Jedni chcą pracować, inni zmuszają ich do opuszczenia stanowisk pracy (Bartk., s. 23). Kręcą się też pomiędzy nimi prowokatorzy wysługujący się fabrykantom i nastawiają jednych przeciw drugim. Niechęć i antagonizmy skłócają narodowców i socjalistów. Polała się krew i zapełniły więzienia, na ulicach raz za razem rozlegały się salwy (Bartk., s. 15).

W „złym mieście” łatwo ulega się znikczemnieniu. W więzieniu przebywają robotnicy walczący o godność życia i pracy, przypadkowe ofiary zatargów w mieście, złodzieje i mordercy (Bartk., s. 65–68), a także ci, których wychował „instruktor” lub „starszy”. Ten dowódca bojowych piątek, walczących o równość społeczną, oswojony był „z błaganiem o życie, widokiem krwi i szamotaniem śmiertelnym” (Bartk., s. 69). Razem też ginęli o świcie w lesie konstantynowskim (Bartk., s. 17–20, 72).

W „złym mieście” często dochodzi do starć pomiędzy robotnikami i policją konną. Giną ludzie:

> I poczęły się krwawe Środy, krwawe Soboty, aż w końcu pamięć ludzka przestała dni znaczyć, śmierć schodziła się ze świtem, zachód zbrodnie obliczał i powiadano, że piękny był dzień, gdy zgasło dziesięć żywotów […]. W korytarzach, na schodach miejsca już brakło, a w zimnych kostnicach, z kłębu ciał trupich aż po pułap sztywne białe nogi wyrosły. Lęk gnał stamtąd człowieka, gdy wśród ciszy śmiertelnej cichym jękiem odezwało się życie: „Wody, ratunku” (Bartk., s. 61).

W „złym mieście" trwają bratobójcze walki i porachunki. Nie ma wybaczenia i zrozumienia. Bojowcy działają nie na ulicy i nie ustają w poszukiwaniach tych, których trzeba zabić[1].

W „złym mieście", gdy niemoc, wściekłość, żal, bunt nie znajdują ujścia lub zadośćuczynienia, rozjuszony tłum rusza przeciw Żydom. Pełno na ulicach patroli (Bartk., s. 63), lecz na pomoc niewinnym nikt nie rusza, a może i policja jeszcze podżega. Stara to taktyka – zogniskować bunt i pozwolić ujść gniewowi. Niespokojni ludzie stoją w bramach i czekają, bo przeczuwają, że coś się stanie, rzecz jasna nie wiedzą, co i gdzie.

Równo, miarowo śmierć idzie i gra Pogotowie. Pod ogniem zbierają rannych lekarze. Ciężarna baba ciśnie fartuchem trzewia wydarte, a tam, z rozłupaną głową kurczy się dzieciak w rynsztoku [...]. Słania się Żyd stary, zbiedzony, siwa broda dygoce [...] kuli w piersiach nie czuje [...] zsiniałe usta bełkocą:

– Za co? Dlaczego? [...] Ja przecież tylko biedny Żyd jestem [...] (Bartk., s. 63–64).

W „złym mieście [...] tylko biedny do nieszczęścia ma głowę i serce" (Bartk., s. 65). Hersz Karp, dobry człowiek, który opiekuje się obłąkanymi w żydowskiej gminie, odpowiada filozoficznie na pytanie starca o przyczynę nieszczęścia: „Czy jest taki mądry cadyk na świecie, który by wiedział, za co nieszczęście? Ale powiedz, mój stary, czy jak byś miał wielką fabrykę, co idzie dzień, noc, poszanowanie u ludzi, ładną, dobrą żonę, zdrowe dzieci, ale byłbyś sam złodziej, czy ty byś się pytał, za co ciebie szczęście spotkało?" (Bartk., s. 64).

W „złym mieście" nie wiedzą, czym jest dobro publiczne. Stowarzyszeniu doraźnej pomocy – Pogotowiu – brakuje środków. Lekarzy, którzy często z narażeniem życia ratują rannych, może już nie być – „Bo to nie jest interes. A jak co nie jest interes, po co ma być?" (Bartk., s. 65).

Ten, kto posiadł miliony, potrafi w „złym mieście" nawet z „walki wyzysku z rozpaczą" wydobyć złoto (Bartk., s. 15). Dochód musiały przynieść nawet strajki i wrzenie wśród robotników. Najpierw podburzał jednych przeciw drugim, później lokaut ogłosił. Głodem zmuszał ludzi do ustępstw. Fabrykantowi „kalkuluje się wszystko" (Bartk., s. 27), nawet pożoga mienia (Bartk., s. 33).

[1] „Wpada [do szpitala] garść ludzi w czarnych koszulach w pasach szerokich. Z nimi kilka kobiet wyjących. Sale przebiegają, każdemu w twarz patrzą, rwą z głów bandaże.

– Ten? – Nie ten!

Nagle nad człowiekiem, co twarz straszną, rozbitą ukrył w posłanie, wrzask radosny się rozległ. Buchnęły strzały, krwawą miazgą mózg trysnął.

– Pluj, Mańka, w tę mordę sobaczą!

I pochyla się dziewka publiczna, oszalała, rozżarta i rwie zaciekłymi zębami" (Bartk., s. 61).

W „złym mieście” ten, który i z łez ludzkich złoto potrafi wycisnąć, wydaje je na przedmioty zbytku, ale z nich nie korzysta. Pałac i salony ozdobione bogactwem sztukaterii i złoceń mogłyby zaspokoić wymagania „książąt udzielnych”, nie dają mu jednak zadowolenia. Woli stare kąty ze zwykłymi meblami, bo trudno mu zmieniać zwyczaje (Bartk., s. 37–40). Pracuje ciężko od rana do nocy jak jego robotnicy – po jedenaście godzin (Bartk., s. 11). Zmęczony, nie ma nawet ochoty na rozrywkę. Teatr uważa za zbytek i „głupstwo” (Bartk., s. 41).

Nic więc dziwnego, że w „złym mieście” nie tylko nie rozwija się sztuka, ale nawet nie może zadomowić teatr. Na sztukę nie ma tu czasu, ochoty i pieniędzy, a „zapracowani ludzie chcą żyć” (Bartk., s. 42). Teatr zastępują więc występy artystek w obskurnej sali, w której przy stolikach goście omawiają swoje interesy, nierzadko takie, które mogą zakończyć czyjeś życie. „Numery” są pośledniej jakości, goście raczej obojętni i artystki zmuszone są „brać za towarzystwo” (Bartk., s. 43–50). Trudno też utrzymać się czasopismom, mimo że w redakcjach nie brakuje dobrych publicystów. Przyczyną są czytelnicy, „[…] każdy by rad, aby jego interesom, jego uczuciom pismo służyło” (Bartk., s. 57). Życia nie ułatwia też cenzura, dlatego czasopisma bywają zamykane „z powodów od redakcji niezależnych”, a ich wyjścia doczekać się nie można. Podobnie jak życie teatralne i czasopiśmiennicze kształtuje się los innych dziedzin sztuki (Bartk., s. 58–60).

W „złym mieście” – wreszcie – zepchniętemu na margines życia i spracowanemu człowiekowi pozostaje wiara w Opatrzność Bożą. Tę szczególną wiarę i ufność widać, choć trudno w to uwierzyć, na osławionych występkiem Bałutach. Tu powstał pierwszy związek „Sokołów”[2], tu robotnicy najwięcej czytają i uczą się, a dla wierzących ukończono niedawno budowę kaplicy pod wezwaniem Dobrego Pasterza. „Budynek zgrabny i lekki niezwykle, zdobny w koronkę polskich motywów, ciętą w modrzewiu”. Twórcą artystycznym świątyni jest „szczery Polak” Kazimierz Pomian Sokołowski, „a szewc – kolatorem” (Bartk., s. 51–52). Jednak zepchnięty na margines życia spracowany człowiek, poszukując Boga, ulega też złu, zawierzając sektom[3]. „Niedaleko kaplicy rozparł się budynek całkiem odmienne sprawiający wrażenie. […] Kościół mariawitów” (Bartk., s. 53).

[2] Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, pozostające pod wpływami Narodowej Demokracji, działające legalnie w Łodzi pomiędzy 1905 a 1906 r.

[3] Na początku XX w. mariawici byli uznawani za sektę. Z. Bartkiewicz nie ufał w czystość intencji przywódców duchowych mariawityzmu. Dobro brał za obłudę i dopatrywał się w nim zła, tym bardziej, że ten odłam wiary katolickiej spotykał się z przychylnością władz carskich, które zresztą chętnie popierały każde działanie mogące osłabić Kościół katolicki.

W „złym mieście" nie ma też zgody i współpracy pomiędzy Polakami, Niemcami i Żydami (Bartk., s. 36–37).

Niewielki objętościowo zbiór reportaży Z. Bartkiewicza poruszył niemal wszystkie problemy życia Łodzi początków XX w., które odnajdziemy również w literaturze poświęconej miastu. Andrzej Kempa we wstępie do ostatniego książkowego wydania reportaży pisał:

> Dla Bartkiewicza, literata i pięknoducha, później dopiero mizantropa, mimo przedstawienia Łodzi w tak czarnych barwach, nie ona była złym miastem, złe było miasto jako M i a s t o, dobry zaś szum lasu, ćwierkot ptaków i wieś, do której on, szlachcic z pochodzenia a mieszczuch z ojca i dziada, tęsknił, odrzucając modną w czasie, gdy pisał swój reportaż, fascynację miastem[4].

Ten antyurbanizm zauważamy już u W. Dłużniewskiego i Wł. S. Reymonta. Dostrzeżemy także w *Julce* Wł. Rowińskiego, który na przykładzie tytułowej bohaterki podkreśla demoralizujący i destrukcyjny wpływ miejskiego życia na człowieka. Proza reportażowa Z. Bartkiewicza wpisuje się więc w nurt literatury, która mimo fascynacji miastem, jak podkreśla A. Kempa, w Łodzi posiadała już długą tradycję.

Interesująco przedstawia się życie metafory Łodzi jako „złego miasta". Została powołana do życia dzięki literaturze, a pamięć o niej dochowała się do czasów nam współczesnych, mimo że ostatnie wydanie reportaży Z. Bartkiewicza miało miejsce w roku 1930[5]. Następne ukazało się w kolejnym stuleciu, siedemdziesiąt lat później. Mniej czasu trzeba było, by zaginęła pamięć o Łodzi rolniczej. Reportaży Z. Bartkiewicza nie wznawiano, co ciekawe, z tych samych powodów, dla których zostały napisane. Przyczyną była rewolucja 1905 r., a raczej jej obraz. Ruch robotniczy po II wojnie światowej przedstawiany był zawsze szerokim masom jako monolit, a robotnicy – w sposób wyidealizowany. *Złe miasto* w pewien sposób przeczyło temu, choć w reportażach to nie robotnicy zostali poddani krytyce.

Pewien wpływ na żywotność tej metafory miało przywoływanie jej od czasu do czasu wraz z nazwiskiem autora. Oderwanie jej od treści utworu spowodowało, że żyła niezależnie od intencji jej twórcy. Wypada zgodzić się z cytowanym wcześniej zdaniem A. Kempy, który twierdzi, że dla Z. Bartkiewicza złe było miasto jako takie, a nie sama Łódź. Kończy on bowiem zbiór reportaży, odwracając się od niego i zła, które stworzyło: „Wolne słońce w całej pełni już wzeszło. Na korony sosen złotym blaskiem spływa, budzi życie i radość. Ćwierkają ptaki i szumi las" (Bartk., s. 74).

---

[4] A. Kempa, *„Złe miasto" – po wieku latach*, [w:] Z. Bartkiewicz, *Złe miasto*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001, s. 9–10.

[5] Tamże, s. 8.

W następnych pokoleniach, które zetknęły się z miastem i jego metaforą, znaczyła ona jednak to samo, co wcześniej powiedzieliśmy, mimo że nie znały one ani utworu Z. Bartkiewicza, ani jego autora. Jaki wpływ mieli na to „krwiopijcy” robotniczej Łodzi? A może, jak twierdzi K. Badziak, określenie Łodzi jako „złego miasta” powstało pod wpływem bratobójczych walk, których Łódź była świadkiem w latach 1906–1907?[6]

6.2. „Łódź Czerwona” czy „Łódź robotnicza”? O mitologizowaniu walki robotników o godność i równość społeczną

Przywołanymi wyżej „krwiopijcami” robotniczej Łodzi byli, oczywiście, fabrykanci. W okresie PRL mówiło się o nich z pogardą i nienawiścią, pomawiało o najgorsze czyny i cechy charakteru, a wszystko po to, by wzbudzić do nich nienawiść i równocześnie miłość do tych, którym zawdzięczaliśmy wyzwolenie z rąk tych katów[7], do robotników. Ich walka o godne życie i równość społeczną na świecie była sztandarowym – dziś możemy tak powiedzieć – mitem PRL. Po II wojnie światowej była jak aksjomat, stanowiła prawdę niepodważalną i nie trzeba było jej udowadniać. Czyniła jednak w jakiś sposób część naszej historii zupełnie niezrozumiałą. Była równocześnie i przejrzysta, i tak zagmatwana, że tego, co było tak wyraziste, nie dało się racjonalnie wytłumaczyć, a i nie sposób było pojąć. Zrozumienie dla niezwykłych efektów tej walki było tym trudniejsze, że nie było widać owej świetlanej przyszłości, czyli ówczesnej teraźniejszości, o którą robotnicy dla nas walczyli. Twierdzenie o gmatwaniu naszych dziejów udokumentować może choćby prezentowany niżej fragment publikacji poświęcony rewolucji 1905 r.:

> W XIX w. Łódź była świadkiem wszystkich możliwych etapów i znanych sposobów walki robotników z fabrykantami. W latach dwudziestych i trzydziestych stosowano bierny opór, składano protesty i petycje, pojawiły się pierwsze „zmowy”. Zdarzały się pobicia majstrów, a swoich zwierzchników nieraz robotnicy „lżyli najniegodziwszym

[6] *Łódź – monografia miasta*, red. S. Liszewski, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 2009, s. 53.

[7] Początek pieśni rewolucyjnej, *Czerwony sztandar*, powstałej przed 1918 r. brzmiał:
Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy.
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my.
Zob. *Pieśni młodzieży socjalistycznej*, http://spiewnik.mlodzisocjalisci.pl/?s=czerwony sztandar (dostęp: 10.09.2012).

sposobem". Łódź, Zgierz i Tomaszów były widownią „buntów czeladników" […]. Pozbawieni pracy i chleba tkacze oraz wyrobnicy często oblegali ratusz łódzki i w każdej chwili gotowi byli „targnąć się na życie i mienie fabrykantów". W 1828 r. grupa czeladników i uczniów krawieckich zagroziła porzuceniem pracy i opuszczeniem miasta, wykorzystując typowe dla średniowiecza formy nacisku. W czasie kryzysu w 1854 r. kilkusetosobowa grupa bezrobotnych dokonała najścia na okoliczne lasy. Był to bunt głodujących i zdesperowanych robotników, stosujących chłopską formę walki – wyrąb lasu.

Ruch burzenia maszyn w Łodzi w 1861 r. […] powstał na skutek przewrotu technicznego, kiedy produkcja maszynowa zaczęła eliminować ręczną wytwórczość warsztatową. Liczne petycje do władz przeciwko wprowadzeniu maszyn, a później ich zniszczenie w fabryce Scheiblera i próba rozszerzenia akcji na pozostałe fabryki („rozbestwiony tłum czyni pogróżki poniszczenia wszystkich zakładów fabrycznych w mieście tutejszym"), wskazuje na prawidłowość reakcji w określonym stadium produkcji i świadomości klasowej. Brak było oczywiście ośrodka koordynującego, a przywódca jednej z grup uczestniczących w burzeniu maszyn ogłosił się nawet „królem Herodem". Wraz z burzeniem maszyn dokonano licznych podpaleń stodół zamożniejszych obywateli Łodzi, co również świadczyło o kontynuacji chłopskich form walki. Pierwszy strajk ekonomiczny robotników odbył się w 1871 r. w fabryce Scheiblera[8].

Kto oddzieli w tej wypowiedzi ziarno od plew, czyli prawdę od nieprawdy, cokolwiek by się pod nią kryło: fałsz, dostosowanie faktów do forsowanej teorii, przemilczenia lub naddatki interpretacyjne? Fragment ten budzi dziesiątki pytań: Kto i przeciw komu w latach dwudziestych i trzydziestych stosował bierny opór, składał protesty i petycje? Przybyli tkacze i rękodzielnicy, którzy doświadczyli tylu łask od rządu Królestwa? Do kogo mieli pretensje i o co? W jakim języku składali petycje? O jakie „zmowy" autorowi chodzi? Kto i przeciw komu się zmawiał? Że „zdarzały się pobicia majstrów" – można zrozumieć, zastanowić się jednak trzeba, czy pojęcie „robotnik" posiada zastosowanie do tkaczy i rękodzielników, którzy w większości pracowali „na swoim", czyli byli… fabrykantami w ówczesnym rozumieniu tego słowa. Wątpliwe też, czy wielu z nich stać było na czeladników, bo nawet jeśli nie płaciło im się za pracę, trzeba było ich wykarmić. W jakim celu „pozbawieni pracy i chleba tkacze oraz wyrobnicy często oblegali ratusz łódzki"? Kto pozbawił ich pracy i tym samym chleba? Sami siebie pozbawiali? Na czyje życie chcieli się targnąć, skoro sami byli „fabrykantami"? Kto znajdował się w owym „rozbestwionym tłumie" w 1861 r.? Chuligani? Ileż było w końcu tych grup, które niszczyły maszyny, skoro zostały one zniszczone tylko u Scheiblera? Pytaniom nie ma końca. Odpowiedzieć na nie mogą zresztą tylko historycy, bo autor wypowiedzi nie odwołał się do żadnych źródeł. Postawić je może ponadto tylko ktoś, kto w stopniu zadowalającym poznał historię

[8] W. L. Karwacki, *Łódź w latach rewolucji 1905–1907*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1975, s. 10–11.

Łodzi[9]. W okresie, z którego cytowany fragment pochodzi, nikt jej jednak nie znał, dlatego z pewnością nikt nawet nie wiedział, o jaki las autorowi chodzi i skąd w fabrycznym mieście wzięły się stodoły. Tak czy inaczej wypowiedź była niezrozumiała, nie nazwano jej wszakże bełkotem. Co najwyżej czytelnik mógł stwierdzić, nie przyznając się do tego głośno, że, niestety, nie dojrzał na tyle, by ją zrozumieć albo że w jego wiedzy kryją się niedopuszczalne luki, które nie pozwalają zrozumieć tego, co takie oczywiste.

Można by się zastanowić, co zrozumiałby z cytowanej wyżej lub podobnej informacji współczesny młody miłośnik Łodzi, gdyby mu się jeszcze podpowiedziało, że wśród przywódców buntu tkaczy w 1861 r. byli

[9] Pytania, które postawiliśmy wyżej, uświadamiają konieczność niezwykle precyzyjnego budowania przekazywanych informacji wtedy, gdy odbiorca w stopniu ogólnym tylko zna historię. Odwołanie do nieznanych faktów, nawet jeśli intencje są przejrzyste, wprowadza dezinformację. Odpowiedzi na postawione pytania odnajdziemy w monografii Łodzi (*Łódź – dzieje miasta*, red. R. Rosin, t. I: *Do 1918*, red. B. Baranowski, J. Fijałek, PWN, Warszawa–Łódź 1980, s. 359–375), jakkolwiek przedstawione w niej wiadomości też nie są wolne od ideologicznych komentarzy. Ukazała się ona, co warto podkreślić, pięć lat po publikacji, z której pochodzi cytowany wyżej fragment.

Wprowadźmy kilka prostujących go wyjaśnień. Łódź rzeczywiście przeszła w połowie lat dwudziestych falę żywiołowych indywidualnych i zbiorowych buntów (nie dowiadujemy się jednak, ile ich było). W. L. Karwacki odwołuje się do buntu Polaków, głównie pochodzenia chłopskiego, zatrudnionych do prac ziemnych budowanego zakładu płócienniczego przez dwóch przedsiębiorców – Iwanowa i Jachozowa. Nie wywiązali się oni ze zobowiązań wobec zatrudnionych przez siebie ludzi, skazując ich na głodowanie. „Najaktywniejsi […] «porywają się – jak twierdzi burmistrz Czarkowski – na majstra [czyli osobę bezpośrednio ich nadzorującą], ciskają za nim kamieniami i lżą najniegodziwszym sposobem, a nareszcie szukają okazji pobicia go»” (*Łódź – dzieje miasta*…, s. 362). W 1828 r. doszło do buntu czeladników krawieckich. Wywołał go konflikt pomiędzy jednym z nich a zamożnym majstrem J. Wagowskim, który owego czeladnika zelżył i pobił. Czeladnik nie znalazł zrozumienia u burmistrza, u którego szukał sprawiedliwości, a ten, chcąc bezskutecznie przekonać skarżącego się o bezzasadności jego zażalenia, użył „środków przynaglających, bijąc onego batogiem”, a ponadto uwięził go. Wspierający kolegę czeladnicy zażądali wydania im paszportów i zagrozili opuszczeniem Łodzi (tamże). „Zmową”, czyli strajkiem nazywano zgodnie z postanowieniami namiestnika J. Zajączka z 1916 i 1823 r. oraz przepisami Kodeksu Karnego z 1818 r. każdą formę zbiorowego protestu lub oporu (tamże, s. 363). Był to przejaw typowego nadzoru administracyjno-policyjnego w Rosji, mający zapobiec jakimkolwiek protestom. Na początku lat czterdziestych symptomy kryzysu „dotknęły indywidualnych, drobnych wytwórców oraz ludność najuboższą, dziesiątkowaną głodem, chorobami i ogólną nędzą. […] biedni i bezrobotni tkacze niemal codziennie oblegali ratusz łódzki, domagając się pomocy. […] Przebieg zaburzeń, do których doszło podczas kryzysu lokalnego w Łodzi w 1854 r. – gdy bezrobotni ograniczyli się do grabienia drewna w lasach dóbr Widzew – dowodzi, iż był to raczej akt rozpaczy niż świadome wystąpienie przeciw stosunkom kapitalistycznym” (tamże, s. 369).

Franciszek Kindermann i Juliusz Heinzel[10], a chłopi przybyli licznie do Łodzi, stając się robotnikami, dopiero po ich uwłaszczeniu w 1864 r. Młodzież żyjąca w powojennym pięćdziesięcioleciu też niewiele z ówczesnego uświadamiania rozumiała, była więc oporna na tę naukę. Nie nienawidziła „krwiopijców" klasy robotniczej, bo ich nie znała i nie pokochała robotników z różnych innych powodów, także dlatego, że widziała ich na co dzień. Znała za to doskonale wiele rewolucyjnych pieśni, na przykład:

> Do mazura stań wesoło,
> buntownicza wiaro.
> /Suń wesoło, dalej w koło,
> Warszawo i Karo!/bis
>
> Nam pałacem turma – Kara,
> dla nas strój balowy:
> /katorżnicza kurtka szara
> i znaczek pąsowy./bis [...][11]
>
> ***
> Chcą nas, chcą nas rzucić na kolana,
> Chcą, byśmy błagali łaski pana,
> Chcą nas, chcą nas kajdanami skuć.
> Nie pójdzie, nie pójdzie pod knut Czerwona Łódź. [...]
>
> Nie oddamy fabryk ni ulicy,
> Próżno stoją kordony policji,
> Próżno będą w nas ołowiem pluć:
> Nie pójdzie, nie pójdzie pod knut Czerwona Łódź. [...][12]

[10] M. Kieruzel, *Pozostawili zabytki. Fabryki Kindermanna*, www.uml.lodz.pl/get.php?id=2133, s. 3 (dostęp: 10.09.2012).

[11] *Mazur kajdaniarski*, [w:] F. Kalicka, E. Olearczyk, *Polskie pieśni rewolucyjne z lat 1918–1939*, Książka i Wiedza, Wydział Historii Partii KC PZPR, Warszawa 1950. Za: *Biblioteka Polskiej Piosenki*, http://bibliotekapiosenki.pl/Mazur_Kajdaniarski (dostęp: 10.09.2012). Pieśń ta powstała w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej po ogłoszeniu wyników procesu 29 członków „Proletariatu". Czterem oskarżonym zasądzono karę śmierci. 28 stycznia 1886 r. zostali oni powieszeni w Cytadeli Warszawskiej. Pozostałych więźniów wysłano na długoletnią katorgę (Kara – słynna katorga syberyjska, dokąd w 1886 r. zesłano część „proletariatczyków"). Utwór został opublikowany po raz pierwszy 4 marca 1899 r. w dzienniku „Robotnik". Rewolucjoniści śpiewali słowa Waryńskiego na melodię popularnej wówczas pieśni powstania listopadowego *Bracia, rocznica! Więc po zwyczaju…*, do której tekst napisał Wincenty Pol.

[12] *Czerwona Łódź*, [w:] F. Kalicka, E. Olearczyk, *Polskie pieśni rewolucyjne…* Za: *Biblioteka Polskiej Piosenki*, http://bibliotekapiosenki.pl/Czerwona_lodz (dostęp: 10.09.2012). Pieśń powstała w 1932 r. podczas strajku włókniarzy łódzkich i śpiewano ją w czasie demonstracji robotniczych.

***
Śmiało podnieśmy krwawe sztandary,
Jasną zielenią opaszmy skroń.
Otośmy pełni siły i wiary
Na bój śmiertelny chwycili broń.

O, bo to walka o wolność ludu,
Sztandar nasz krwawy – braci krew,
Droga przed nami z cierni i trudu.
Uczucia w piersi – zemsta i gniew.

Naprzód, o Łodzi, w krwawej powodzi
Poległych braci pomścić już czas,
Czas, by stanęli starzy i młodzi,
Walczyć za wolność czas, wielki czas!

Dziś, gdy nas gnębią różne Szajblery,
Gdy majster każdy – szpicel i cham,
Gdy ufni w pomoc rządu Gajery
Pędzą łaknących pracy od bram,

Gdy z Kaznakowem Poznański w zgodzie,
Gdy razem chłoszczą: nędza i bat,
Gdy za idee w głodzie i chłodzie
Umiera ojciec, siostra i brat.

Naprzód, o Łodzi, w krwawej powodzi
Zerwijmy pęta z gnębionych mas.
Stańmy do walki, starzy i młodzi:
Czas pomścić braci poległych, czas! [...][13]

Pieśni te zostały przypomniane nie z sentymentu za minionymi czasami, ani tym bardziej z tęsknoty za nimi. Odrzucając je i skazując na zapomnienie, nie zastanawiamy się nawet, że skrywały przecież autentyczne uczucia goryczy płynącej z ciężkiego życia i cierpienia, które ono niosło, buntu przeciw temu i wiary w sens podejmowanej walki, która miała zaowocować lepszym życiem, a nie „dyktaturą proletariatu”, którą się stała w bolszewickiej Rosji za sprawą jej przywódców. Terror nigdy nie przynosił konstruktywnych zmian. Dawał tylko ból, strach, cierpienie i śmierć. Niszczył to, co dobre i szlachetne, budził zło, odkrywał i wydobywał z człowieka najniższe instynkty. Robotnicy łódzcy, podejmując

[13] *Łodzianka*, [w:] F. Kalicka, E. Olearczyk, *Polskie pieśni rewolucyjne...* Za: *Biblioteka Polskiej Piosenki*, http://bibliotekapiosenki.pl/Lodzianka (dostęp: 10.09.2012). Pieśń powstała w Łodzi w 1909 r.

walkę, może i myśleli o poświęceniu się dla dobra ludzkości, bardziej jednak interesowała ich teraźniejszość i problemy własnej przestrzeni.

Jak widać po cytowanym wcześniej fragmencie pracy poświęconej rewolucji 1905 r., trudno zaufać publikacjom powstałym w okresie PRL, nawet jeśli miały one ambicje naukowe. Ruch robotniczy zawsze przedstawiany był jako monolit. Nie było na nim żadnych pęknięć; jeśli istniały jakieś odstępstwa, poddawano je surowej krytyce, piętnowano i przedstawiano jako marginalne i nieistotne. Robotnicy stanowili zawsze wielką siłę, gotowi byli do heroicznych czynów, walki w imię postępu społecznego, a nawet okupienia go własnym życiem. Trzeba było im jednak przewodnika, ponieważ ich formy walki były przestarzałe i mało skuteczne – „chłopskie" albo „średniowieczne", jak udowadnia autor przywołanej publikacji. Jedno tylko zdawało się nie budzić wątpliwości – niezwykle trudne warunki życia robotników i bezwzględne wykorzystywanie ich przez fabrykantów. Być może był to wynik obserwacji i osobistych doświadczeń – rzeczywistość okresu Polski Ludowej nigdy nie była bogata w dobra materialne, a że większości rodzin trudno było związać koniec z końcem z powodu niskich uposażeń (potocznie mówiło się, że „brakuje do pierwszego"), łatwo było wyobrazić sobie i przedwojenną biedę, a także to, że ktoś był za to odpowiedzialny. Pozostawała tylko błoga świadomość, że wcześniej ludziom żyło się jeszcze gorzej.

6.2.1. Obrazy nędzy życia robotników w literaturze Łodzi przełomu wieków XIX i XX

Jak naprawdę wyglądało życie robotników i ich walka o godne życie? Wydaje się, że prawdziwy tego obraz powinna ukazać literatura okresu kształtowania się proletariatu i podejmowanych przez niego działań. Celem pisarstwa przywołanych wcześniej twórców, z wyjątkiem I. J. Singera i Z. Bartkiewicza, nie jest jednak robotnicza Łódź i jeśli podejmują oni to zagadnienie, koncentrują się głównie na życiu i problemach rodzącego się lub też dopiero kształtującego się proletariatu. Wł. S. Reymont patrzy na ludzi pracujących w fabrykach przez pryzmat wsi i życia chłopów, koncentrując uwagę na ludziach dopiero co przybyłych do miasta. Ukazuje nawet zmiany w ich zachowaniu i psychice. Na kartach *Ziemi obiecanej*, *Julki*, *Wśród kąkolu* znajdujemy obrazy nędzy i krzywdy ludzi pracujących w fabrykach lub poszukujących w nich pracy. Życie jakby nie miało dla nich litości. Robotnicy zdają się ukształtowanym przez nędzę anonimowym, pozbawionym woli i chęci życia tłumem, który istnieje tylko w związku z fabryką. Niezwykle sugestywny obraz idących do pracy robotników daje Wł. S. Reymont – tworzą oni bezkształtną

masę, która zdaje się płynąć bezwolnie; są ich tysiące, ale słychać tylko dźwięki, które im towarzyszą: klekot drewniaków, brzęk baniek z jedzeniem lub piciem, szmer i głuchy pogłos, tak jakby w tym tłumie nie było żywej duszy[14]. Przygnębiające wrażenie wywołuje jednak nie tylko ta sunąca bezwolnie, anonimowa masa ludzi, ale także objawy „życia”, które towarzyszą jej w drodze do fabryki:

[...] niektórzy biegnąc dojadali jeszcze obiadów. [...] Bokiem ulicy szedł jakiś ubogi pogrzeb. Białą trumienkę z niebieskim krzyżem pośrodku niosło czterech czarno ubranych wyrostków [...]; za trumienką kilkoro dzieci pod parasolami szło przy samym trotuarze, bo ich co chwila dorożki, powozy, i olbrzymie platformy naładowane towarem spędzały ze środka drogi i obryzgiwały czarnym lepkim błotem trumienkę, którą co chwila obcierała fartuchem jakaś stara kobieta (Reym., s. 172).

Takie obrazy zdają się świadczyć, że ani życie ludzkie, ani drobne czynności, które się na nie składają, nie mają żadnego znaczenia w tym mieście kominów. Nie ma w nim nawet miejsca dla sacrum. „[...] robotnik łódzki” – stwierdza jeden z bohaterów Wł. Rowińskiego, biorąc w obronę ciężko pracujących ludzi – „posiada wartość jedynie wtedy, gdy ma siłę i zdrowie”, a i wtedy pełni tylko „czynności bydląt pociągowych” (Row., s. 118).

Przejmujący obraz ludzkiej niedoli ukazuje A. Strug, przywołując we wspomnieniach starej Cywikowej całą jej egzystencję. Czekała na powrót syna, jedynego, który przeżył z jej czwórki dzieci. Był radością życia starej kobiety. Wiedziała, że nie wróci, ale na przekór wszystkiemu starała się w to nie wierzyć; udręka czekania mąciła jej myśli. Wspominała siebie jako wiecznie głodne, zalęknione dziecko, pijanego ojca, chorą ze zgryzoty matkę, służbę u szewca po śmierci matki[15]. Typowe, łódzkie dorastanie.

[14] „Tysiące robotników, niby ciche, czarne roje, wypełzło nagle z bocznych uliczek, które wyglądały jak kanały pełne błota, z tych domów, co stały na krańcach miasta niby wielkie śmietniska – napełniło Piotrkowską szmerem kroków, brzękiem blaszanek błyszczących w świetle latarń, stukiem suchych, drewnianych podeszw trepów i gwarem jakimś sennym oraz chlupotem błota pod nogami” (Reym., s. 11).

[15] „Rozgląda się dzikie wiejskie dziecko po ogromnym mieście. [...] Ostrożnie wyglądało spod ziemi z sutereny w podwórze, gdzie harcują miejskie dzieci. W domu głód. Tata szuka roboty i co dzień wraca bez niczego, co dzień wraca pijany, choruje matka z tego zmartwienia. Naokoło wszyscy obcy, źli, nieużyci, a domy takie ogromne, a miasto takie ogromne, a tyle ludzi aż za dużo. Bała się mała wszystkiego, a najbardziej strasznych dymiących kominów, które sterczały wszędzie, gdzie było spojrzeć i podpierały niebo. [...] Potem były służby po ludziach ubogich, ciemiężcach i katach. Złe majstrowe, wiecznie rozżarte, dzieci paskudne i dokuczliwe. Kulawy szewc obarczony dzieciskami, człek okrutny i pijak. Bała się go jak ognia. Jak kazał, zrobiła. Ile razy rozkazał – robiła, nie był jednak dla niej przez to lepszy. Bił, jak bijał. A miała wówczas dwanaście lat. Umarła

Bieda, strach, poniewierka były udziałem wszystkich dzieci, których rodzice nie mieli stałego utrzymania, a co jakiś czas, choćby w okresie kryzysu, nie miała go każda z robotniczych rodzin. Dzieci robotników szybko więc dorosłały. Nieszczęście Cywikowej polegało na tym, że do końca życia pozostała w głębi duszy małym, bezbronnym i bojącym się wszystkiego dzieckiem. Dostała pracę w fabryce, ale jej poniewierka nie skończyła się. Praca była ciężka, zbyt ciężka, monotonna i wyczerpująca:

[...] nie nastarczysz człowieku, choćbyś się rozerwał we dwoje. Nie wyczerpie się siła ludzka. Kiedyż zawyje gwizdek, kiedy oczy udręczone będzie można oderwać od warsztatu. Troi się w oczach, opada głowa, mdleją palce. Chwytaj nić! Pilnuj się! Staraj się! Trzymaj się! Pan majster patrzy. Patrzy na nią pan majster. Popatrzył jeszcze i kiwnął. Poszła. Któż się kiedy oparł majstrowi? Był to gruby, mocny Niemiec. Zazdrościły jej inne, a ona się tylko bała, jak zawsze (Strug, s. 81–82).

Podobny tragizm cechował życie Jana, bohatera noweli S. Łąpińskiego[16]. Był on robotnikiem, któremu nie „złe miasto", lecz zwykły los uczynił życie ciężkim, doświadczając go ponad miarę. Przybył do Łodzi z jednej z podłódzkich wsi, gdy nie była ona jeszcze wielkim miastem kominów. Od Niemca ożenionego z Polką nauczył się tkactwa, a później został właścicielem domu i warsztatu. Przyszły jednak epidemie, pomarły dzieci, a później żona. Warsztaty tkackie zastąpiły maszyny, a domy tkaczy zaczęły wypierać kamienice, więc Jan sprzedał swój i został robotnikiem fabrycznym. To, co zachował na starość i czarną godzinę wyłudził od niego człowiek żyjący z naiwności ludzkiej, jakich w miastach nigdy nie brakowało. Tkacz sądził, że na starość znajdzie opiekę u bratanicy, którą przygarnął, ale tę zbałamucił syn łódzkiego milionera. Bohater nie oskarża nikogo o swoje nieszczęścia. Żyje, jak potrafi, uznając wiejący wiecznie w oczy wiatr za przypisany ludzkiemu życiu.

Warunki pracy w każdej fabryce były ciężkie i niezdrowe. Z upływem czasu, który robotnicy spędzali przy warsztatach, ich ruchy stawały się coraz bardziej automatyczne, organizmy wyczerpywały się, starość dosięgała ich przedwcześnie, powoli zanikała radość życia, opadali z sił, ślepli od chemikaliów, głuchli od hałasu, chorowali na choroby, których nazw znać nie mogli; fabryka odbierała im siły. Dowodów na to nie

matka, uciekł gdzieś we światy ojciec, została sama, bojąc się wszystkiego, słuchając każdego" (Strug, s. 82).

[16] S. Łąpiński, *Tkacz, obrazek z życia łódzkich robotników*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 47–52. Na podstawie: S. Łąpiński, *Tkacz, obrazek z życia łódzkich robotników*, nakładem i drukiem „Rozwoju", Łódź 1898.

szczędzi żaden pisarz, który podjął problematykę ich egzystencji[17]. Wystarczyła chwila nieuwagi, by stracić życie lub zostać kaleką niezdolnym do samodzielnego życia:

> Jedno z kół wprawiających w ruch maszyny schwyciło nieostrożnie przysuniętego robotnika za kaftan, wciągnęło go w swój ruch, rzuciło na maszynę, obróciło, zgniotło, połamało o maszynę, zmiażdżyło i wyrzuciło miazgę, nie przestając iść ani na chwilę. Krew bluznęła aż pod sufit i czerwonym strumieniem oblała maszynę i część towaru leżącego przy niej, i najbliżej stojące robotnice. [...] Ratunku nie było żadnego [...]. Podniosły się ciche płacze kobiet, a nawet kilka starszych poklękało przy trupie i zaczęło głośno odmawiać litanie za konających, robotnicy pozdejmowali czapki, niektórzy żegnali się nabożnie i wszyscy kołem skupili się przy zabitym. W oczach nie błyszczał żal, a tylko świeciła jakaś dzika, surowa apatia. [...] Przyleciał i główny majster oddziału i widząc salę bezczynną i ludzi zbitych około trupa, krzyknął już od drzwi:
>
> – Do maszyn! [...] Verflucht! tyle materiału na nic – klął majster, oglądając poplamiony krwią perkal, i zaczął wymyślać robotnikom za nieostrożność, i groził, że całej sali każe wytrącić za ten materiał (Reym., s. 183).

Ani litości, ani współczucia. Poplamiony perkal był ważniejszy od ludzkiego życia. Człowieka zawsze można było zastąpić, bo robotnicy to tylko bydło, jak mówił Bucholc. Bez niego „zdechliby z głodu jak psy” (Reym., s. 98).

Symbolem tego robotniczego losu może być kaleki mężczyzna, którego Wysocki spotkał pod miastem. Rudera, którą widział lekarz, była kiedyś zapewne domem tego człowieka. Czy była jego własnością odziedziczoną po przodkach, czy też sam ją sklecił dla siebie i rodziny – nie wiemy. Nie wiemy też, co zmusiło go do pracy w mieście. Z pewnością bieda i chęć polepszenia swojego losu. Każdy, kto do Łodzi przybywał, tego oczekiwał po pracy w mieście. Łódź i fabryka odebrały mu jednak wszystko. Doprowadziły do ruiny dom, dzieci poumierały z niedożywienia, zimna i braku opieki lekarskiej, a najstarszemu synowi, zapewne jeszcze dziecku, życie odebrała fabryczna maszyna. Żona musiała cały dzień pomagać murarzom w rozbudowującej się Łodzi, by oboje nie pomarli z głodu. Umierający człowiek pogodził się ze swoim losem i czeka na miłosierną śmierć. Nie buntuje się, nie narzeka, nie skarży. Ból sprawia mu tylko wspomnienie nieżyjących dzieci; czasem ozwie się

[17] „Robotnicy w koszulach tylko i boso” – czytamy u Wł. S. Reymonta – „z szarymi twarzami, z oczami zgasłymi i jakby wypalonymi tą orgią barw, jaka się tutaj tłoczyła [w stertach materiałów], poruszali się cicho i automatycznie, tworzyli tylko dopełnienie maszyn” (Reym., s. 30). „Kilkanaście kobiet pracowało w tej białej, chłodnej i prawie cichej sali, zapełnionej niedostrzegalnym prawie obłokiem pyłu bawełnianego, który powstawał z tego strzyżenia materiałów, wisiał nad postrzygalniami, oblepiał białą powłoką ludzi i maszyny i trząsł się szarawym gęstym mchem na transmisjach obracających maszyny i ginących w suficie” (Reym., s. 182).

w nim nienawiść do Łodzi. Niezwykle znamienna jest, co należy podkreślić, jego wdzięczność dla Wysockiego za odruch zwyczajnego – wydawałoby się – ludzkiego miłosierdzia i szacunku, jaki powinien mieć każdy dla bliźniego w potrzebie:

– Zobaczę te wasze nogi – powiedział [...] i zaczął mu odwijać z nóg łachmany [...]. Gangrena była w rozkwicie, ale z powodu strasznego wycieńczenia organizmu szła bardzo wolno. Wysocki, porwany litością, przyniósł wody z małej studzienki, obmył rany, przepłukał roztworem karbolu, jaki nosił zawsze przy sobie. [...] nie namyślając się, zdjął z siebie wszystką bieliznę, podarł ją na pasy i obandażował nimi nogi chorego. [...]

– Jezus mój kochany, Jezus, Jezus! – wybuchnął chłop i rzucił się całym kadłubem z posłania do nóg jego, objął je sobą i przywarł do nich całą wdzięczną chłopską duszą.

– O mój panie dobry, o, mój janiele przenajświętszy – szeptał przez łzy [...]. – Już ja teraz jęczał nie będę... Jużeś się zmiłował nade mną, Jezu... już ja teraz zamrę... zamrę... (Reym., s. 482–485).

Dla tego kalekiego człowieka, który doznał w życiu tylko upokorzenia i poniewierki, odrobina tych ludzkich uczuć stała się objawieniem Boga na ziemi – teraz mógł umrzeć spokojnie. Bóg zlitował się nad nim, dostrzegł jego nieszczęście.

Obraz robotniczego życia byłby jednak niepełny, gdyby nie zwrócić uwagi na siłę woli tych ludzi. Ona pozwalała im się utrzymywać na powierzchni, mimo wszystkich przeciwności i na przekór im. Cywikowa, która jako kobieta dorosła doświadczyła takiej samej udręki, jak w dzieciństwie, znajdowała siły, by zadbać o dzieci i wiecznie chorego męża, wykarmić rodzinę i godnie pochować wszystkich, którzy jej umarli. Nie przeklinała losu i nie skarżyła się. Zachowała uczciwość i honor[18]. Tysiące takich kobiet, jak Cywikowa, mieszkało w Łodzi. Dziesiątki

[18] „Można podziwiać siły żywotne rasy proletariackiej" – pisze A. Strug – „niepodobna wynaleźć, skąd ona te siły bierze". Taką tajemną siłę posiadała Cywikowa: „Jeszcze nie spłacili długu zaciągniętego na wesele, kiedy Cywik położył się i pół roku przeleżał na piersi. Ona chodziła do roboty, póki mogła – urodziła to pierwsze dziecko u obcych, gdzie mieszkała kątem. Tu już się czepiła zupełna nędza. [...] Cywik wstawał ze słabości, chodził do roboty parę miesięcy, kładł się znowu. Było mu gorzej, lepiej, umierał, ożywał. Drugie dziecko, trzecie, czwarte... Nareszcie umarł na dobre. Została wdowa ze czworgiem w tym mieście Łodzi. [...] Ta tajemnicza potęga kazała Cywikowej żyć, pracować, dbać o dzieci. [...] Ona dała jej genialne zdolności w wygrzebywaniu ze śmietników zarobku – resztek i ochłapów, na które łakomi są tylko ci, co umierają z głodu. Ona wmówiła w nią, że głód jest rzeczą naturalną, że łachmany są odzieżą, że w zimie powinno się kostnieć z zimna, a latem dusić z gorąca na poddaszach pod blachą. Ona wreszcie przestrzegała [...], żeby Cywikowa zachowała w tych okolicznościach uczciwość, nie wyciągała ręki po cudze, nie zazdrościła zbyt widocznie i nie skarżyła się za głośno. Tak dokonał się cud, że wyżyła. Dzieci były wiecznie głodne, wiecznie chore. [...] żyły, póki mogły. Umierały po kolei co rok, co dwa, opłakiwała je matka i zapożyczała się na pogrzeby. Został tylko Stasiek [...]" (Strug, s. 82–84).

tysięcy robotników żyło uczciwie mimo nędzy. Dbali o rodziny i dzielili się z innymi, jeśli zachodziła taka potrzeba.

Bieda i nędza, które były udziałem łódzkich robotników, wynikały z ich wyzysku. Był on wszechobecny i dotyczył nie tylko samej pracy, jakby wysysanie z nich życiodajnych sił zbyt mało jeszcze ich krzywdziło. Na wysiłku robotników opierała się potęga łódzkich milionerów, ale oni sami nie posiadali w rachubach fabrykantów żadnego znaczenia[19]. Szukający oszczędności przemysłowiec wszystko rozpatrzył i przeliczył z wyjątkiem wydatków własnych i rodziny. Tych przecież w jego mniemaniu nie sposób uszczuplić. Szukając oszczędności, zmniejszano robotnikom płace, zatrudniano kobiety. „Będą pracować za grosze [...], dostaną trzecią część tego, co dostawali mężczyźni” (Sing. I, s. 211–212). Dzieci dostawały jeszcze mniej. Nie trzeba było zresztą czekać na „oszczędności” fabrykantów, by zachwiać losem i życiem najliczniejszej grupy miasta. Gdy nastawał kryzys, a były one częste i trwały długo, najbardziej cierpieli najubożsi:

> Lichwiarze, właściciele lombardów, podnieśli stopę procentową, robili ogromne obroty. Bankruci wyprzedawali się do ostatka, przekradali się przez niemiecką granicę, kupowali bilety okrętowe i uciekali do Ameryki. Tylko robotnicy nie mogli nic nikomu zabrać, niczym się poratować w tych głodowych czasach. [...] Właściciele domów wyrzucali biednych ludzi z mieszkań. Ludzie wałęsali się po ulicach, nocowali w pustych piwnicach, zakradali się do piekarń, żeby ogrzać przemarznięte kości. Robotnice z wielkich fabryk wałęsały się po ulicach, sprzedawały swoje ciało za kawałek chleba, za nocleg. Matki przyprowadzały swoje dzieci do majstrów; oddawały je do pracy za kawałek chleba. Dorośli prosili swych chlebodawców, żeby pozwolili im pracować bez żadnej płacy, tylko za samo pożywienie, za łyżkę kawy i garnuszek cykorii. [...] W biednych uliczkach od domu do domu jęły się szerzyć tyfus, szkarlatyna, dyfteryt. (Sing. I, s. 265–267).

Każde pogorszenie koniunktury mogło zakończyć się bezrobociem, głodem, nędzą, epidemiami, odpływem ludzi z miasta, upadkiem moralności, deprawacją i wzrostem przestępczości[20]. Ci, którzy zdobyli miliony,

[19] „Oni [robotnicy]” – czytamy u I. J. Singera – „nie byli przecież tym, co proces produkcji towarów, na którym oszczędności zaraz się odbiją. Wprawdzie nie płaci im się dużo, ale jest ich przecież mnóstwo [...]. Gdyby każdemu z nich zdjąć tylko cokolwiek z płacy, zyskałoby się z całości sporą sumę. [...] Kto się nie zgodzi na obniżenie płacy, będzie mógł sobie pójść precz. Nie brak teraz chętnych do pracy w fabryce. Codziennie przybywają do miasta ze wsi chłopi i chłopki szukać tu pracy” (Sing. I, s. 211–212).

[20] „Zapanowała panika, bo toczyła się na Łódź coraz większa lawina weksli do wykupienia, a tymczasem gotówki zabrakło, bankierzy miejscowi z miasta wyjechali, obcy pozatykali uszy, by nie dolatywały ich głosy rozpaczy o pomoc. W pewnej liczbie fabryk zawieszono roboty zupełnie, w pewnej znów zmniejszono ilość robotników, w niektórych ograniczono czas roboczy. Setki ludzi wałęsało się po mieście, szukając na próżno pracy i chleba, wrzało w tłumie roboczym. [...] Łódź zaczęła się wyludniać: robotnicy z pradziada

niechętnie się nimi dzielili, nie myśleli więc, by zabezpieczyć na czas kryzysu swoich pracowników; uposażenie robotników zaś nie pozwalało im samym zadbać o swoją przyszłość. Dodać też trzeba, że polscy robotnicy byli najgorzej wykształconymi i przygotowanymi pracownikami fabryki, co również niekorzystnie wpływało na ich sytuację; zawsze mogli być zastąpieni przez kogoś innego.

Nadmiar rąk do pracy i zła sytuacja materialna robotników służyła nie tylko fabrykantom, którzy nie musieli martwić się, że nie znajdą chętnych do pracy w fabrykach i obawiać konkurencji z tej strony – siły roboczej starczało w Łodzi dla wszystkich. Robotników wykorzystywali jednak nie tylko przemysłowcy, czynili to również fabryczni majstrowie i służący, umiejący czerpać korzyści nawet ze skrajnej nędzy robotniczych rodzin, jak wspomniani wcześniej bohaterowie I. J. Singera Melchior i Josel[21]. O nadużywaniu władzy majstrów fabrycznych wobec robotników pisali także inni twórcy przełomu wieków XIX i XX. Wł. Rowiński i W. Marrené-Morzkowska wspominają o zwalnianiu robotników bez żadnej przyczyny i zatrudnianiu na ich miejsce kogoś znajomego, polecenego lub z rodziny; zdarzało się nawet, że nie wahano się w takich sytuacjach rzucić na robotnika oskarżeń, za które trafiał do więzienia (Row., s. 127). Warszawska pozytywistka ukazuje nękaną przez fabrycznego majstra mężatkę. Chcąc skłonić kobietę do powolności, grozi jej wydaleniem z fabryki[22]. Natarczywość majstra i zazdrość męża, który poza tym

szli szukać zajęcia gdzie indziej, robotnicy doraźni spośród ludu wiejskiego biegli do miejsc urodzenia, by na łonie matki-ziemi szukać pożywienia, które wydarł im ojczym-przemysł. Z czeluści występków wyłoniła się stugłowa Kradzież. [...] złoczyńcy rabowali pieszych i przejezdnych, biednych i zamożnych, a sława ich czynów dochodziła do najodleglejszych zakątków kraju. Pod nożem rabusiów ginęli w dzień biały spokojni i hałaśliwi, słabi i silni; w krwi się kąpali łotrzykowie łódzcy, przejmując grozą [...] mieszkańców dalszych i bliższych okolic. Wyrośli różni aferzyści, obławiający się cudzą krzywdą [...]" (Row., s. 137). Problem przestępczości w Łodzi poruszył w *Kronikach* B. Prus. Zob. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie pozytywistyczno-młodopolskim*, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2009, s. 205.

[21] „Majstrom nie zmniejszono płacy. [...] Toteż byli oni jeszcze wierniejsi niż zwykle i szpiegowali robotników na każdym kroku. Bardziej jeszcze od majstrów używali sobie teraz służący fabryczny Melchior [...] oraz jego najbliższy przyjaciel Josel [...]. Obaj oni zajmowali się lichwiarstwem w fabryce. Pożyczali robotnikom małe sumki, od pół do trzech rubli. [...] Robotnicy nie umieli zbyt dobrze liczyć. Zawsze im warto było zapłacić rubla za 90 kopiejek. [...] Że wynosi to blisko 500 procent rocznie, tego oni nie umieli wyliczyć. [...] Na takie same warunki pożyczał pieniądze stary wartownik Josel. [...] Teraz zaś, kiedy w fabryce wywieszono ogłoszenie, że zdejmuje się robotnikom 15 procent płacy, obaj wartownicy robili doskonałe interesy" (Sing. I, s. 213–214).

[22] Kiedy bohaterka W. Marrené-Morzkowskiej wyrywa się majstrowi, ten stwierdza: „No, ja nie trzymala, ja mogę wcale puścić z fabryka – odparł z groźbą. – Ja mogę dać wam fajer [wydalenie z fabryki], czy to mało ludzi prosi o robotę?" (Mar.-Morz., s. 199).

był spokojnym człowiekiem, prowadzą do nieszczęścia. Gruszka, mimo że był chory, wrócił wcześniej do pracy, by chronić żonę, ale niewiele to pomogło. Objawów wściekłości majstra doznali tego dnia wszyscy robotnicy. W. Marrené-Morzkowska, ukazując konflikt pomiędzy Hafnerem i Gruszką, poruszyła kilka problemów: poza nadużywaniem władzy wobec kobiet i robotników, także bezkarność majstrów, zmuszanie szantażem do uległości, łamanie prawa, szykanowanie polskich robotników, a ochronę niemieckich majstrów nawet wtedy, gdy dopuścili się przestępstwa[23] (Mar.-Morz., s. 199–228).

Każde zachwianie w budżecie domowym robotniczej rodziny, zawsze przecież niewystarczającym na zaspokojenie podstawowych potrzeb, natychmiast odbijało się na jej życiu; prowadziło do znieprawienia charakterów, skazywało robotników na konflikty z prawem i respektowanymi dotąd zasadami, było przyczyną niedożywienia, które najsłabsze organizmy prowadziło do skrajnego wyczerpania i śmierci. Wpływało również na pożycie rodzinne. Niedożywieni, przemęczeni pracą mężczyźni, nie znajdując przyczyn problemów, odreagowywali własne niepowodzenia, używając siły wobec najbliższych[24]. By zapobiec konfliktom i nakarmić dzieci: „Kobiety starały się zarobić złotówkę na uboczu, więc oddawały się nieżonatym tkaczom, którzy mieszkali u nich po kuchniach” (Sing. I, s. 214). I. J. Singer dotknął kolejnego problemu wynikającego ze skrajnej nędzy robotniczych rodzin – prostytucji kobiet. Nie wartościując już ani samych kobiet zmuszonych do prostytucji, ani sytuacji, która je do tego popychała – zawsze przecież popadać będziemy w skrajności i wątpliwe moralnie oceny – była to ich „dobrowolna” decyzja. Łódzkie

[23] Hafner oskarżył Gruszkę, że pijany przyszedł do fabryki. Oskarżenie było bezpodstawne, a wywołana przez Niemca awantura zakończyła się bójką, podczas której majster ugodził robotnika nożem. Sytuacja była niekorzystna dla Niemca, gdyż stan rannego okazał się bardzo ciężki. Myślano już jednak, jak mu pomóc. Nad losem robotnika i jego rodziny nikt się nie zastanawiał. Gruszka przeżył, nie zakończyło to jednak nieszczęść, które spadły na rodzinę. Zmuszono go, by podpisał zeznanie, że był pijany w fabryce i spowodował bójkę: „No, jakże będzie? [...] macie wóz i przewóz. Albo zeznacie, co mówiłem i będziecie tu sobie do wyzdrowienia, albo każę wyrzucić zaraz”. Oboje, i mąż, i żona, stracili pracę. Niedługo stracą też dach nad głową.

[24] „W koszarach przy fabryce, w których robotnicy mieszkali, panowała bieda i nieustanne kłótnie. Kobiety nie mogły już teraz okraszać zupy, gotowały wciąż te same krupy z kartoflami, po których mężczyźni byli głodni i źli. Ze złości bili żony i dzieci i pili po szynkach. [...] Nieletnie dzieci odrywano od zabaw i posyłano do fabryki, żeby przyniosły kilka złotówek w tygodniu” (Sing. I, s. 214). „Pastor fabryczny stał się teraz częstym gościem w robotniczych koszarach. Przychodził wciąż, żeby odprowadzić na wieczny spoczynek tkackie dzieci. Często też zjawiała się tu policja, by szukać kur i wieprzków, które przepadły sąsiednim chłopom, podejrzewającym, że tkacze je ukradli. Nawet psy zaczęły ginąć. Mówiono w mieście, że tkacze wyłapują je i gotują ich mięso na niedzielę” (Sing. I, s. 214).

robotnice były jednak zmuszane do nierządu pod groźbą wydalenia z pracy, jak żona Gruszki, lub znieprawiane fałszywymi obietnicami lepszego życia, po których wyklinały je własne rodziny i wyśmiewali znajomi. Demoralizująco wpływało na nie już samo miasto i stosunki społeczne[25]. W Łodzi nie brakowało też stręczycieli. Rolę rajfurów w literaturze powierzano Żydom, choć w rzeczywistości było to „zajęcie" przedstawicieli różnych narodowości. U W. Dłużniewskiego stręczycielstwem zajmował się Żyd, „handlarz pięknościów" Cyperle. W. Marrené-Morzkowska obsadziła w tej roli Żydówkę Rubinkę. Choć namawia ona piękną pannę Jadwigę do małżeństwa z niemiłym jej Niemcem, sposób, w jaki to czyni, świadczy, że i kojarzenie innych par szło jej równie łatwo (Mar.-Morz., s. 197–198).

Doświadczyła „złego" Cywikowa (Strug), gdy była dziewczyną, uległa mu Julka, narzeczona Leona Cipcia (Row.), nie udało się od niego uciec ślicznej Zośce Malinowskiej (Reym.), córce powstańca i Sybiraka. Julkę wykorzystał pomocnik aptekarza (Row., s. 146–148), Zośkę zdeprawował Kessler, właściciel fabryki, w której pracowała. Kiedy wraz z jej ojcem, który pomścił krzywdę córki, zginął w trybach maszyny, została utrzymanką innego bogatego człowieka. Zwykle jednak nikt nie upominał się o cześć i godność kobiet. „Mało to dziewcząt w roku napsują w fabryce?" – pyta bohaterka M. Gawalewicza. – „Ot psy przeklęte!... Albo to się można obronić?... choćby która i chciała, to w końcu musi ulec, bo przecież każdej miły kawałek chleba. Co zrobi potem, jak ją przepędzą?... gdzie pójdzie?... Nie tu, to tam spotka ją to samo. Niech się tylko spodoba, zaraz na nią przyjdzie kolej [...]" (Gaw., s. 435). I tak, jak stwierdził w powieści Wł. Rowiński, nie było litości dla dziewcząt, które zaszły w ciążę. „No, a powiedzcie mi, jak do tego doszło?..." – pyta obdarzony zaufaniem mężczyzna, któremu bohaterka wyznaje swoją hańbę – „Przecież chyba siłą was nie wziął!... Mieliście swój rozum i swoją wolę, trzeba

[25] „W pracowni Glaszowej" – czytamy w powieści Wł. Rowińskiego – „każda ze szwaczek posiadała różne pojęcie moralności, wszelako bardzo dalekie od katechizmu, zarówno religijnego, jak i moralnego. Niejedna darowałaby zbrodnię np. rabunku, gdyby rabuś łup swój złożył u jej stóp, niejedna zazdrościła urody kokocie, dlatego że ta opływa w dostatki; nie zastanawiały się, że to tylko chwilowe, że następstwa mszczą się strasznie za nadużycia. Tak samo było ze światem uczuć erotycznych. Nie było zgorszeniem, gdy szwaczka miała kochanka, z którym wałęsała się, gdzie chciała, jeżeli kochanek ten był zamożny, kupował szwaczce suknie, fundował kolację, obwoził ją choćby w skromnej dorożce po spacerach; nie brano też tego za złe, gdy szwaczka go rzuciła dla zamożniejszego «faceta». Nie darowano jej tylko, gdy została matką nieślubną, wtedy wszystkie koleżanki wypierały się bezwstydnej, potępiały i szkodziły. Niemoc moralna wżarła się w sferę ową i pastwiła w okropny sposób nad nieszczęśliwymi istotami ludzkimi! Dostarczała też klasa szwaczek nierządnic, dzieciobójczyń i różnego [rodzaju] osobników zwyrodniałych, nad którymi niejeden człowiek płakał krwawymi łzami" (Row., s. 130).

było tedy być ostrożniejszą. Pomstować poniewczasie nie pomoże. Winien on, racja, ale i Fela winna!... Po co było iść na lep, jak głupia sikora?” (Gaw., s. 436). To, zdaje się, typowe podejście ludzi z początku XX w. do wykorzystania kobiety i pozamałżeńskiej ciąży. Przede wszystkim obwiniano dziewczynę, a ta nie będzie przecież wszystkim tłumaczyć, jak się sprawy naprawdę miały[26].

Wyzysk w Łodzi był zjawiskiem naturalnym. Nie miała znaczenia narodowość ani wyznanie fabrykanta, rodzaj jego fabryki lub stopień jej zmechanizowania. Dla właściciela fabryki nie miały też znaczenia narodowość i wyznanie jego robotników z wyjątkiem tych sytuacji, które uniemożliwiały im pracę. Żydzi, na przykład, nie mogli pracować w soboty, ale i te trudności można było obejść. Wyzysk wszędzie posiadał jednakowe oblicze i takie same przynosił skutki: „reb Chaim wie, że im więcej warsztaty stukają, tym więcej przynoszą zysku”. Dlatego jego tkacze – Żydzi, bo innych nie zatrudniał, w sobotę wieczorem pracowali dłużej niż zwykle, by odrobić sobotni dzień. Siedzą więc przy łojowych świeczkach, które muszą sami kupić sobie do pracy. „Wprowadzili to [...] pierwsi majstrowie, którzy zatrudniali po dwóch, trzech czeladników”. Reb Chaim Alter nie znosi nowości, szczególnie jeśli musi za nie płacić, dlatego w jego tkalni zachował się stary obyczaj. „Jego tkalnia jest żydowska. Na drzwiach są przybite mezuzy”, a w magazynie, między skrzyniami mały pulpit do nabożeństwa, blaszana menora i świece. Tkacze odprawiają tu poranne lub wieczorne modły, mogą też uczestniczyć w zbiorowym nabożeństwie bez potrzeby chodzenia do bóżnicy. Reb Chaim Alter, sam człowiek leniwy i dbały o wygody, troszczy się, aby jego robotnicy przestrzegali nakazów religijnych. W jego tkalni żaden młody robotnik nie może siedzieć bez czapki, „nawet w największe upały. Musi nosić jarmułkę lub choćby nawet papierową torebkę”. Pracodawca dba również, aby młodzieńcy nie golili zarostu i nie nosili krótkich surdutów. Utrzymuje też dla nich osobną tkacką bóżniczkę i opłaca nauczyciela. Ten zaś w ciasnym pomieszczeniu poucza stłoczonych, śpiących i zmęczonych tkaczy o znikomości ludzkiego życia. „Reb Chaim Alter jest ojcem dla swoich

[26] Nadużywanie władzy wobec kobiet było tak nagminne, że jeden z łódzkich lasków miejskich, w którym składały one haracz ze swego wstydu, nazywano „Pieprzorką”. Podobnie nazywano położoną obok niego fabrykę; pracowały w niej głównie kobiety. Zob. D. Bieńkowska. M. Cybulski, E. Umińska-Tytoń, *Słownik dwudziestowiecznej Łodzi. Konteksty historyczne, społeczne, kulturowe*, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2007, s. 143. Problem nadużywania władzy wobec kobiet podejmowała także prasa. B. Prus w jednej z *Kronik* przytoczył fragmenty listu robotnicy, która skarżyła się nie tylko na wysłuchiwanie dwuznacznych żartów kolegów i „propozycje” majstrów, ale też na ogólną atmosferę w pracy. Młode kobiety nie mogły liczyć na pomoc starszych koleżanek, a stawiające mężczyznom zdecydowany opór, stawały się nawet pośmiewiskiem. Zob. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie*..., s. 202.

robotników". Nie pozwala im w soboty chodzić na łąkę lub do lasu, bo powinni być w bóżniczce, a kto kilka razy do niej nie przychodzi, tego odprawia ze swojej tkalni. On sam również prowadzi bogobojne życie. Sobotnie przedpołudnia spędza na swojej werandzie na letnisku, zagląda do świątobliwej księgi lub prowadzi pobożne rozmowy z chasydami. „Żydowi nie wolno tracić czasu na głupstwa". Kiedy któremuś z jego robotników urodzi się dziecko, osobiście uczestniczy w obrzędzie obrzezania. Nie wynosi się ponad swych robotników i uświetnia biedną uroczystość swoją obecnością, „je ubogi piernik, którym go częstują, chociaż brzydzi się nim i nie może przełknąć" (Sing. I, s. 53–56). Tych dobrodziejstw, którymi reb Chaim Alter obdarza swoich robotników, jest znacznie więcej, a wszystkie służą uczynieniu z nich wydajnych maszyn przy ręcznych warsztatach, dostarczających właścicielowi bogactw, które bez umiaru i z niezwykłą łatwością wydaje jego żona „Priwe, ładna i tęga kobieta [...] obwieszona perłami na tłustej, ponętnej szyi, z brylantami na wszystkich okrągłych, wypieszczonych palcach". Wie, jak wydobyć pieniądze od męża: wdzięczy „z najrozkoszniejszym uśmieszkiem [...] pieści się i wyciąga pulchną rączkę po pieniądze" (Sing. I, s. 51). Reb Chaim Alter nigdy nie odmawia swojej żonie pieniędzy. Choć ich nie liczy, wie, że Priwe wydaje za dużo. Nie potrafi jednak kontrolować wydatków, bo jest na to zbyt leniwy, poza tym już samo pytanie: „po co ci tyle pieniędzy, Priwesiu" powoduje, że unieszczęśliwia... siebie. „Priwesia" już potrafi zadbać o to w odpowiedni sposób! Za tę możliwość uszczęśliwiania żony i siebie samego jego robotnicy otrzymywali wystarczająco dużo, by nie umrzeć i stać się pozbawionymi woli niewolnikami. „Dzieci" reb Chaima Altera nie miały sił i czasu, by się buntować.

Tę część naszych rozważań możemy podsumować, oddając głos publicystom końca wieku XIX:

> W szeregu cech charakterystycznych, przez nowe wytworzonych warunki, jaskrawo wyróżnia się kosmopolityzm. Handel i przemysł, oto pierwsze jego zdobycze, do których droga prowadzi przez gmach fabryczny. Hałaśliwa bestia nie zna odrębności rasowych, nie kieruje się względami narodowości, wyznania i płci. Potrzebuje silnych dłoni i z jednakowym apetytem pożera tutejszego chłopa, niemieckiego tkacza i czeskiego wieśniaka. Każdemu daje pracę, wydziera żonę, bałamuci córkę, rozkłada rodzinę i demoralizuje dziecko. Nie zna krajowców i przybyszów, współwyznawców i rodaków, wszyscy są dziećmi, ona dla wszystkich macochą. Pod jej komendą najrozmaitsze żywioły przeradzają się w jednolite i zgodne szeregi. [...] Kim jest łódzki robotnik? Łodzianinem. Cecha ta zastąpiła inne określenia. [...] Nienawiść rasowa zanikła, nie wytworzywszy żadnej, w kierunku przeciwnym łączności. Świadomość klasowa w uśpieniu[27].

[27] A. Gliszczyński, A. Mieszkowski, *Łódź, miasto i ludzie*, [w:] *Łódź, która przeminęła*..., s. 29.

6.2.2. Stefana Żeromskiego *Róża* *Dramat niesceniczny* – dramat nie o Łodzi

T. Czapczyński wskazał w 1937 r. dramat S. Żeromskiego *Róża* jako utwór regionalny, który należy włączyć do kanonu lektur szkolnych uczniów Łodzi. Szło mu, oczywiście, tylko o fragment utworu[28]. Podobnie kwalifikuje ten dramat L. Stolarzewicz[29]. Znaleźć możemy również głosy, które informują, że akcję *Sprawy pierwszej Obrazu pierwszego Róży* S. Żeromski umieścił w Łodzi. Lektura interesującego nas fragmentu prowadzi jednak do stwierdzenia, że istnieją pewne przesłanki, które pozwalają umiejscowić w Łodzi akcję tego ustępu, ale czy jest on poświęcony jej problemom – nie jest już pewne, sam fragment zaś z wielu powodów wyda się niejasny.

Bezpośrednich odwołań do Łodzi jako miejsca akcji znajdziemy w interesującym nas fragmencie dramatu niewiele. Kilka wypowiedzi wyraźnie to sygnalizuje: „Słuchajcie, robotnicy łódzcy” (Żer., s. 71), „Nie będziemy wówczas gnić w Bałutach” (Żer., s. 74), a także w pewnym stopniu: „Sokoły![30] Do broni!” (Żer., s. 78) oraz wyzwisko, którym obrzucono Czarowica: „kozłowito”[31]. Łódzkie są także niektóre wydarzenia przywołane przez osoby dramatu – strajki i ich przyczyny, środki represji ze strony władz, fabrykanci obcej narodowości i wykorzystywanie przez nich polskich robotników. Dość charakterystyczne i znaczące jest również pytanie skierowane do Czarowica: „Z jakiej jesteś partii?” Może się ono odnosić w pewien sposób do bratobójczych walk mających miejsce w Łodzi w latach 1906–1907. Nie jest to wszakże jedyne możliwe wyjaśnienie przyczyny jego postawienia. Czarowic mówi w sposób tak zawiły i niezrozumiały dla robotników („Nie rozumiemy o czym gadasz. Gadaj nam z rozumu do rozumu!”), że istnieje potrzeba upewnienia się, o co mu

[28] T. Czapczyński, *Łódź w świetle niektórych utworów literackich*, „Prace Polonistyczne” 1937, seria I, s. 303.

[29] L. Stolarzewicz, *Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia. Szkic literacki i antologia*, Łódź [1935].

[30] „Sokołami” nazywano członków Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

[31] Ruch mariawicki powstał na przełomie XIX i XX w. Jest jedynym wyznaniem katolickim oryginalnie polskim. Głosił hasła odnowy Kościoła i opierał się na starodawnych katolickich zasadach wiary i moralności. Założycielką i duchową opiekunką mariawityzmu jest Maria Franciszka Kozłowska nazywana przez wyznawców Mateczką. Od jej nazwiska urobione zostało przywołane w dramacie obraźliwe określenie mariawitów. W Łodzi mariawici spotkali się z przychylnym przyjęciem wśród robotników, szczególnie na Bałutach, ze względu na działalność charytatywną, zakładanie szkół, ochronek i domów robotniczych. W Łodzi na początku XIX w. mariawici liczyli około 28 tysięcy wiernych. Bartkiewicz sceptycznie podchodził do tego ruchu, podejrzewając ich Kościół o dwulicowość i skrywane złe intencje (por. Bartk., s. 53–55).

naprawdę chodzi. Przynależność partyjna być może byłaby tu pomocna. Co ciekawe – dopiero wszystkie przedstawione tu elementy razem dają możność stwierdzenia, że miejscem akcji jest Łódź. Każdy z osobna podstawy do takiej interpretacji nie daje.

Obraz pierwszy Sprawy pierwszej dramatu toczy się, jak wynika z didaskaliów, w pogrążonej w mroku, kilkupiętrowej hali fabrycznej, której ciemność rozprasza światło zewnętrzne „elektrycznych słońc", docierające do środka przez zakopcony, szklany dach. Odbijając się metalicznym refleksem od przedmiotów i ludzi, podkreśla stan bezruchu. Wewnątrz znajduje się około tysiąca osób, słychać jednak tylko ich pojedyncze głosy. Sceneria nawiązuje więc do Łodzi tylko istnieniem tej hali fabrycznej. Metaliczne, nieruchome refleksy i bezruch mają nadać całemu obrazowi nierealny charakter, podkreślając jego symboliczny wymiar. Najwięcej odwołań do łódzkich realiów znajdujemy w wypowiedzi głosu Pierwszego:

Ściągnęli nam zapłatę, w dół poza rok 1904. Trzy dni w tygodniu robimy. Resztę siedzimy z założonymi rękami, patrząc w między fabryczne pola z kupami łódzkiego brudu, w czerwone kominy i w czarne mury. Życie zdrożało. Nie opłata nam za tę cenę robić. Posłali my delegatów do właściciela. Poszli dwaj i przełożyli sprawę. Na pyski ich kazał zepchnąć ze schodów (Żer., s. 70).

Głos Pierwszy odwołuje się do wydarzeń, które miały miejsce w Łodzi w okresie rewolucji 1905 r., nie możemy jednak stwierdzić, jakiego okresu dotyczą. Równie dobrze mogą się odnosić do początkowych wydarzeń po wprowadzeniu stanu wojennego, jak i do wielkiego lokautu (zamknięcia fabryk, które pozostawiło 100 tysięcy ludzi bez środków do życia), na co może wskazywać nawiązanie fabrykanta do tragicznej sytuacji, w jakiej znalazły się rodziny robotnicze w obliczu głodu:

Skończyły się [...] wasze chamskie czasy. Nadszedł teraz rygor wojenny. My teraz! Żadnych delegatów! Prawaście [...] dyktowali? Teraz my wam podyktujemy cenę roboty. I za pół tego [...] będziecie robić. Przyjdziecie do mnie ze szlochem, żebym was wziął na trzy dni w tygodniu za tyle, za ile chcę i raczę (Żer., s. 70).

Nie rozstrzygnie problemu czasu wydarzeń, do których odwołuje się głos Pierwszy, także dalsza część jego opowieści:

Ujęliśmy się za posłów. Rzuciliśmy pracę. Wezwał wojsko. Kazał jenerał otoczyć mury wojskiem. Ośmiuset nas było. Stoimy na dziedzińcu. Wyszedł do nas policjant i nakazał: „Kto za strajką – na lewo! kto przeciw – na prawo!" Dwustu młodych odeszło na lewo. Sześciuset starszych poszło na prawo. Tych, co poszli na prawo, partiami wypuścił. Tych, co poszli na lewo, otoczył murem sołdatów. Z nich jedną gromadę posłali w Rosję rygorem swoim moskiewskim. Drugą gromadę wysłali na miejsce zamieszkania. Trzecią gromadę zamknęli do kryminału (Żer., s. 70–71).

Niewykluczone, że Żeromski przedstawił tu wydarzenia, które rzeczywiście miały miejsce w Łodzi lub nawiązał do podobnych. Warto zwrócić uwagę na charakterystyczny wśród robotników podział – starsi, pamiętający doskonale wydarzenia powstania styczniowego, z których niejeden brał w nim udział, byli bardziej zrównoważeni, spokojni, skłonni do ustępstw, młodsi zaś – bardziej nieustępliwi, uparci i radykalni w swoich postanowieniach[32].

Do łódzkich realiów odwołuje się Żeromski również w ostatnich zdaniach głosu Pierwszego: „Nas dwudziestu, cośmy twardo stali przy sprawiedliwym rozumieniu, zesiekli rózgami, po sto rózeg na człowieka. Krew z nas ciekła. Słuchajcie, robotnicy łódzcy! Siekli nas rózgami za to, żeśmy prawdy sprawiedliwie dochodzili! Słuchaj nas, ludu pracujący!” Głos Pierwszy mówi w tym miejscu o często wymierzanej i stosowanej w łódzkim więzieniu karze chłosty[33], a być może nawet odwołuje się do ulubionej, wynaturzonej zabawy kozaków – bicia bezbronnego, biegnącego przez utworzony przez nich szpaler[34]. „Sto rózeg” kończyło się śmiercią. Ostatnie zdania głosu Pierwszego ważne są dla nas z innego jeszcze powodu. Gdybyśmy w wypowiedzi mieli czasownik „zasiekli”, jego

[32] *Łódź – monografia miasta…*, s. 51. A. Humnicki w swoich *Wspomnieniach z lat 1888–1892* wyróżnia trzy grupy łódzkich robotników. Pierwszą stanowili ludzie starsi, pamiętający jeszcze powstanie 1863 r., a którzy prócz działań zmierzających do poprawy bytu widzieli również potrzebę walki z caratem i szczegóły tego chcieli poznać. Drugą grupę tworzyli ludzie, którzy spotkali się z pierwszym *Proletariatem* i widzieli długoletnią przerwę w ruchu po aresztowaniu działaczy w 1888 r. Trzecią zaś stanowili robotnicy, którzy niewiele wiedzieli o ruchu socjalistycznym, ale doświadczyli wyzysku ze strony fabrykantów (Humn., s. 387–392). Wydaje się, że wyodrębnione przez niego grupy druga i trzecia stanowią w istocie całość, a podział tu wprowadzony służył jedynie celom agitacyjnym.

[33] O nadużywaniu kary chłosty na swój specyficzny sposób pisze I. J. Singer w *Braciach Aszkenazych*: „Poprzedniej nocy pewien robotnik złapał psa policjanta […] i zarżnął go z zemsty za to, że ojca tego robotnika bito na przesłuchaniu w cyrkule policyjnym. Policjanci aresztowali tego robotnika i stawili go przed policmajstrem.

– Sto razów! – rozkazał policmajster. – Nie żałować pałek!

Przy siedemdziesiątym uderzeniu robotnik już nie krzyczał, nawet nie wierzgał nogami, ale policjanci nie zostawili go, tylko wyliczyli sumiennie sto razów, wedle rozkazu policmajstra. Gdy kazali mu się podnieść, robotnik już nie żył. Policmajster zwymyślał za to swoich ludzi.

– Bałwany – krzyczał grzmiącym głosem. – Trzeba mu było dać w przerwach odpocząć” (Sing. I , s. 283–284).

[34] Obraz bijących nahajkami kozaków kilkakrotnie pojawia się w powieści I. J. Singera: „Na podwórzu cyrkułu stali w szeregu po obu stronach kozacy z nahajkami w ręce. Nisan zatrzymał się przy furtce w bramie. Strażnicy popchnęli go. […] Był to znak dla kozaków, że prowadzą Żyda i że mogą sobie na nim użyć. Z obu stron jęły padać na głowę Nisana, na jego plecy i ręce kozackie batogi. Nisan usiłował przebiec przez tę kaźnię, ale kozacy podstawili mu nogę i nie puszczali go” (Sing. I, s. 292).

znaczenie byłoby jednoznaczne – 'zabili'. Mamy jednak wyraz „zesiekli", co może znaczyć 'zbili w sposób okrutny', nie wyklucza jednak i znaczenia podanego wcześniej. Wątpliwości zdają się rozwiewać występujące dalej sformułowania: „Siekli nas", „Słuchaj nas, ludu". Głos Pierwszy, który odzywa się tylko raz, mówi w imieniu tych dwudziestu, oni jednak się nie odzywają. Jest to więc postać realna czy nierzeczywista? Nie mamy absolutnej pewności. Takie sytuacje są charakterystyczne dla całego dramatu. A posiada to ogromne znaczenie dla rozumienia sztuki i interpretacji tej części, która wydaje się umiejscowiona w Łodzi.

Zajmijmy się tylko *Obrazem pierwszym Sprawy pierwszej*. Dlaczego nie widać tłumu? Kim jest głos Pierwszy – postacią rzeczywistą czy duchem? Później pojawiają się Czarowic i Bożyszcze. Druga postać z pewnością nie jest realna. Skoro Czarowic rozmawia z Bożyszczem, to jaki typ postaci prezentuje, czy jest człowiekiem? Co Bożyszcze robi wśród robotników, ludzi realnie patrzących na życie i twardo stąpających po ziemi? Dlaczego Żeromski „wysłał" Czarowica do robotników, do tego z mało zrozumiałymi dla nich ideami? Pytania te z pozoru tylko są naiwne; nie wszystko można wytłumaczyć właściwościami sztuki (jako dziedziny twórczości człowieka), konieczne jest odwołanie się do koncepcji i zamysłu autora dramatu. R. Zimand, który, choć stwierdza, że *Róża* „nie należy do najwybitniejszych utworów dramatycznych naszej literatury", podkreśla, że każdy jej element jest przez autora przemyślany i nie ma w niej niczego przypadkowego. Zwraca na przykład uwagę, że komentarz do tytułu: „dramat niesceniczny" nie odnosi się do możliwości inscenizacyjnych dramatu, lecz jest swoistym dopowiedzeniem, że „[...] tekst pt. *Róża* mówi o dramacie i jest dramatem, który rozgrywa się nie na scenie, lecz gdzie indziej – na nie-scenie, nie w teatrze, lecz w nie-teatrze. To znaczy w Polsce. Powiedzmy dokładniej: w Polsce Stefana Żeromskiego"[35].

Sprawy pierwszej Obrazu pierwszego Róży nie można omawiać w oderwaniu od całości dramatu, bo dojdziemy do jej opacznego rozumienia – jakiejś dyskusji na wiecu nie wiadomo czemu poświęconemu, bo mówi się na nim o problemach robotników, ale też o wielu różnych sprawach: proletariacie i jego znaczeniu, przemyśle, walce o niepodległość, potrzebie podjęcia przez każdego walki z własnymi słabościami, o Rosjanach, Niemcach i Żydach... O wielu problemach, ale... nie o Łodzi. Łódź i wydarzenia w niej są bowiem tylko jednym z pretekstów do snucia przez autora rozważań na temat przyszłości Polski. Są głosem niepokoju o jej przyszłość i kształt[36].

[35] R. Zimand, *Szkice*, PIW, Warszawa 1965, s. 7–16.

[36] Pisze o tym w dalszej części rozważań o *Róży* przywołany już R. Zimand. Warto zwrócić uwagę, że uznawany przez niego wynalazek Dana i jego zastosowanie w zakończe-

By zrozumieć dramat S. Żeromskiego, trzeba również znać ówczesne realia Polski, a te nie są łatwe do ujęcia i jednoznacznej oceny[37]. Po upadku powstania styczniowego szlachta przestała być siłą znaczącą w sensie politycznym, społecznym i przywódczym. Na czoło wysunęła się powstała w II połowie XIX w. burżuazja; ta jednak, co widać doskonale na przykładzie Łodzi, nie była polska i nie reprezentowała polskiej tradycji. Nie mogło być dla niej przeciwwagą mieszczaństwo, gdyż ta warstwa społeczna na ziemiach polskich nie ukształtowała się – albo precyzyjniej – nie była na tyle silna, by przejąć przywództwo nad narodem, a także stanowić siłę opozycyjną w stosunku do burżuazji. Był nią jednak powstały bardzo szybko po wejściu przemysłu w fazę burzliwego rozwoju proletariat, którego siły nie można było lekceważyć. Oczywiste, że ta klasa społeczna ukształtowała się nie tylko w Łodzi. Głos Piąty mówi: „Jesteśmy proletariat, wytwór potężnych świata sił, czyli potęga mocy rodzaju ludzkiego. Jeśli my pracujemy, żyje i rośnie świat. Jeśli my ustaniemy, ustanie świat. […] Do nas lub do synów naszych należy jutro świata. Na robotników przekształcimy wszystkie świata ludy”. Z żywiołowej początkowo walki proletariatu ukształtował się pod wpływem ideologów niemających niczego wspólnego z proletariatem ruch polityczno-społeczny, reprezentowany przez partie (Proletariat, SDKP, SDKPiL, ZRP, PPS), stawiający sobie za cel obronę interesów robotników i ochronę ich praw. W Królestwie Polskim zdominowany przez różne partie ruch robotniczy rozpadł się na dwa odłamy. Jeden, internacjonalistyczny, którego głównymi ideologami i rzecznikami byli Róża Luksemburg, Julian Marchlewski, Adolf Warszawski-Warski, Feliks Dzierżyński, dążył do rewolucji i dyktatury proletariatu. Sprawy narodowe były mu obce, co doskonale ilustruje, wraz z przyczynami tego stanu rzeczy, dalsza wypowiedź głosu Piątego:

> Nie dajmy się tylko złudzić podszeptom! Pilnujmy niezmiennej drogi proletariackiej, która wcześniej czy później nas lub synów naszych przyprowadzi na wzgórze dyktatury. Nie dajmy się omamić złudą państwa polskiego w proletariackiej masce. […] Widzimy, że będzie ona [Polska] „ojczyzną” szajki zbogaconych fabrykantów lub magnatów, która pochwyci w swe ręce rząd i będzie przeciwko nam wysyłała wojsko, kuła na nas w parlamencie zabójcze prawa i wypijała naszą krew (Żer., s. 75).

niu dramatu jako nieudane w ramach świata *Róży*, znajduje jednak interesujące wyjaśnienie (zob. E. Kalemba-Kasprzak, *Prometeusz z przepiórką. Dramaty Stefana Żeromskiego: od Czarowica do Przełęckiego*, Wyd. Uniwersytetu Adama Mickiewicza, Poznań 2000). Potwierdzałoby to wysuniętą przez niego tezę o wnikliwym przemyśleniu przez Żeromskiego każdego szczegółu jego dramatu.

[37] Trzeba wszakże zaznaczyć, że *Róża* nie jest wykładem programu politycznego, jak ją, co zaznacza R. Zimand, interpretowano. R. Zimand, *Szkice*, s. 57–58.

Przywódcy tej orientacji planowali dokonanie rewolucji robotniczej w sojuszu z organizacjami rosyjskimi, dlatego cele walki polskiego proletariatu miały być dostosowane do potrzeb rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. Odłam ten reprezentowały dwie partie: SDKPiL, która dążyła do obalenia ustroju kapitalistycznego, likwidacji państw narodowych oraz wprowadzenia rządów proletariatu, a także PPS-Lewica („Młodzi"), zakładająca po obaleniu caratu utworzenie autonomicznej, demokratycznej polskiej republiki. Te tendencje są wyraźnie wyartykułowane w dalszej części monologu głosu Piątego: „Ktokolwiek chcesz sztucznie oderwać Polskę od Rosji – ten z natury rzeczy jesteś wrogiem naturalnego rozwoju dobrobytu, wrogiem postępu i wrogiem rewolucji, czyli jesteś sługa reakcji" (Żer., s. 75). Drugi odłam, narodowy, zakładał odbudowę państwa polskiego, a realizacja ideałów socjalistycznych odbyłaby się m.in. poprzez przejęcie władzy przez klasę robotniczą, uczynienie ze środków wytwarzania i komunikacji własności wspólnej oraz drogą celowej i świadomej kontroli ogółu pracujących nad życiem gospodarczym. Przywódcami tego odłamu byli Józef Piłsudski, Ignacy Daszyński, Józef Montwiłł-Mirecki, Tomasz Arciszewski, Walery Sławek. Wyzwolenie Polski było silnie akcentowane przez PPS-Frakcję Rewolucyjną („Starych"). W dramacie Żeromskiego reprezentuje ją głos Szósty, zarzucający zwolennikom sojuszu z Rosją zniewolenie, które wypaczyło ich zdolność myślenia:

> Ziemię waszą naszedł postronny wróg, skuł wam ręce, spętał nogi, nagiął grzbiety [...]. Wy, zamiast otwierać źrenice ku najdostojniejszemu dobru wolnego człowieka, ku blaskowi wolności, zagłębiacie je w mrok co najgłębszej niewoli, kierujecie w najciemniejszy kąt sofizmatu (Żer., s. 75).

Obok ruchu socjalistycznego ukształtowała się w końcu XIX w. jeszcze jedna znacząca siła – Narodowa Demokracja, polski ruch polityczny o podłożu nacjonalistycznym. Jej najważniejszym przeciwnikiem ideologicznym była lewica i socjalizm, rozbijające jedność narodu, zarówno PPS-Lewica, jak i PPS-Frakcja Rewolucyjna. Ideologiem i współzałożycielem Narodowej Demokracji był Roman Dmowski, który początkowo postulował zjednoczenie ziem polskich i uzyskanie autonomii w ramach Imperium Rosyjskiego, a później odzyskanie niepodległości, opartej na sojuszu z Rosją i w opozycji do Niemiec. Realizm polityczny nakazywał endecji, jak popularnie nazywano tę partię, zaprzestanie walki zbrojnej o niepodległość. Rosja, z przeżartym korupcją aparatem władzy, nie stanowiła zagrożenia dla polskiego narodu i jego kultury, był nim natomiast niemiecki ekspansjonizm. Upadek Rosji spowodowałby uzależnienie Polski od Niemiec, to zaś ze względu na silne nacjonalistyczne trendy

tego państwa nie leżało w interesie Polaków. Najwyższym dobrem, według Narodowej Demokracji, miało być dobro narodu polskiego, rozumianego jako wspólnota etniczna, niezależnie od podziałów zaborczych lub klasowych. W jego ramach znalazłoby się również miejsce dla mniejszości, o ile zbyt silnie nie eksponowałyby one swojej odrębności. Endecja dążyła do budowy polskiego narodowego kapitalizmu, broniła własności prywatnej i wolnego rynku, ale dopuszczała interwencję państwa w obronie interesu narodowego. Starała się również pozyskać dla swoich idei najszersze masy ludowe, przede wszystkim chłopów. Jednym z elementów jej ideologii był antysemityzm oparty na kwestiach ekonomicznych i kulturowych. Zagrożenia dla Polaków upatrywano głównie w dużym udziale Żydów w handlu i rzemiośle. Opanowując je, Żydzi podporządkowali sobie pośrednictwo pomiędzy wytwórcami i konsumentami, nie dopuszczając do niego Polaków. Często powtarzanym hasłem Narodowej Demokracji było nawoływanie do bojkotu sklepów żydowskich i nakłanianie do zaopatrywania się w sklepach polskich. Jej antysemityzm spowodowany był również hermetyzmem Żydów, niepoddających się asymilacji; nie miał więc podłoża rasowego. Wymykał się jednak, co trzeba zauważyć, spod kontroli, przybierając niebezpieczne i nieetyczne formy. Echa ideologiczne Narodowej Demokracji dostrzegamy w głosie Czwartym:

> Kto i co zyskał na tym, że tu, polski lud, zamieramy w dymie, w kurzu bawełny, w fetorach farb, dla powiększenia bogactw spanoszonych Niemców i zbogaconych Żydów? [...] wytwór rąk naszych idzie w dalekie azjatyckie kraje. Czysty pieniądz zysków idzie do Berlina, do kas fabrykantów niemieckich. Jednego szeląga nie osiągnęła z prac naszych polska strona ni sprawa. Założyliśmy tu, na tej Golgocie ludu polskiego, posterunek teutoński, gniazdo wrogie nam, fortecę niemiecką. [...] Z ziemi naszej wyrośnie przemysł nasz własny, polski, z polską ziemią i tutejszym człowiekiem związany, ku jego służący potrzebie. [...] Nie będziemy [...] gnić w Bałutach, żeby Niemiec z naszej krwawicy budował sobie pałac marmurowy w Berlinie i stamtąd nam prawo śmierci dyktował[38] (Żer., s. 72–74).

Oprócz Narodowej Demokracji ugrupowaniami przeciwstawiającymi się ruchowi socjalistycznemu były jeszcze Narodowy Związek Robotniczy przez pewien czas związany z Narodową Demokracją oraz Chrześcijańska Demokracja. Możemy w tym miejscu rozwinąć problem, który podjęliśmy w związku z kwestią wypowiadaną przez głos Pierwszy, dotyczący podziału wśród robotników. Starsi z nich, najczęściej rzecznicy solidaryzmu społecznego, udzielali zwykle poparcia obozowi narodowej i chrześcijańskiej demokracji; młodsi, dążący do tworzenia nowej, lepszej rzeczywisto-

[38] W tym miejscu znajdujemy wyraźnie odwołanie do wielkiego lokautu, ogłoszonego z Berlina w grudniu 1906 r. przez siedmiu łódzkich przedsiębiorców bawełnianych.

ści, udzielali poparcia partiom socjalistycznym[39]. Wyjaśnia to również radykalizm młodszej generacji.

S. Żeromski *Obraz pierwszy Sprawy pierwszej* nieprzypadkowo umieścił w Łodzi. Było to największe w Królestwie Polskim miasto przemysłowe, z silnie zaznaczonym ruchem robotniczym, wewnętrznie skonfliktowanym przynależnością jego członków do różnych partii politycznych. I na tym w zasadzie kończy się związek pomiędzy ideą dramatu i „miastem proletariuszy". Lekcja (powróćmy do początku tej części rozważań), którą poświęcono by *Róży* (nie jej fragmentowi), w istocie zmierzałaby do omówienia artyzmu dramatu, poglądów S. Żeromskiego, sytuacji społeczno-politycznej Polski przełomu wieków, różnych postaw Polaków wobec niepodległości lub stanowiłaby pretekst do podjęcia rozważań o – ujmijmy to najogólniej – problemach nurtujących łódzki ruch robotniczy. Bez odwołań do szerokich kontekstów zabieg ten byłby jednak chybiony. Wydaje się więc, że kolejność powinna być odwrotna – najpierw szerokie wprowadzenie w konteksty, a dopiero później lektura *Róży* i wyłuskanie nawiązań do Łodzi, by w końcu stwierdzić, dlaczego autor przywołał to miasto w dramacie. *Róża* bowiem ani żaden z jej fragmentów nie posiada charakteru utworu regionalnego. Nawet odwołanie do łódzkich wydarzeń rewolucji 1905 r. jest bardzo ogólnikowe. Dla nas omówienie tego problemu, poza wyjaśnieniem nieporozumienia narosłego wokół dramatu, było, poprzez ukazanie sytuacji politycznej ruchu robotniczego, wprowadzeniem do następnych części rozdziału.

6.2.3. Obraz walki robotników o własne prawa w polskojęzycznej literaturze Łodzi przełomu XIX i XX wieku

Nie znajdujemy w interesującej nas twórczości przełomu wieku XIX i XX ani syntezy, ani analizy ruchu robotniczego – było zbyt wcześnie na uogólnienia, eksponowana zaś ideologia socjalizmu, jako ruchu dążącego do przejęcia środków produkcji i zburzenia istniejącego porządku, budziła kontrowersje. Utworów literackich podejmujących tematykę walki robotników Łodzi o własne prawa, pochodzących z interesującego nas okresu, znajdujemy niewiele, co można tłumaczyć przede wszystkim problemami z rozeznaniem istoty zjawiska, liczącego zaledwie kilkanaście lat. Powstanie nowej klasy społecznej, gwałtownie narastające doświadczenia i krwawe zamieszki nie ułatwiały oglądu i oceny tym, którzy chcieli poświęcić im karty swojej twórczości. Dodatkowo walka robotników o własne prawa od początku istnienia ruchu została zawłaszczona i zdominowana przez

[39] *Łódź – monografia miasta*..., s. 53.

ideologów, którzy z robotnikami, jak wcześniej powiedzieliśmy, niewiele mieli wspólnego, a działający wśród nich przedstawiciele partii często wywodzili się z elit społecznych.

Ruch robotniczy w Łodzi, zdominowany w utworach literackich przez socjalistów, co zdaje się jego cechą charakterystyczną także w rzeczywistości pozaliterackiej, poznajemy najczęściej poprzez ukazanie wydarzeń rewolucyjnych lub przygotowania do nich. Siłą rzeczy mamy więc albo obrazy fragmentaryczne, jak u M. Gawalewicza lub A. Gliszczyńskiego, albo wpisane w szerszy kontekst walki o wolność, a do tego ubrane w treści symboliczne, jak u S. Żeromskiego. Jego przybliżeniu służyła również kreacja charakterystycznych postaci: spiskowca-rewolucjonisty, agitatora, kobiety bezgranicznie oddanej „sprawie”, zwykle zauroczonej spiskowcem, prowokatora lub donosiciela i pojedynczych robotników, których życie i czyny miały znamionować całość ruchu, oraz właścicieli fabryk uosabiających zło strony przeciwnej[40]. Z wyjątkiem fabrykantów i donosicieli nie są to postaci jednoznaczne, poddające się łatwej ocenie, czasem charakteryzuje je tragizm wynikający z konfliktu interesów lub ze splotów okoliczności. Trudno też jednoznacznie stwierdzić, jaki był stosunek autora do prezentowanych wydarzeń; formułowane sądy mogą być mylne ze względu na szczupły materiał. Trzy problemy nie budzą, jak się wydaje, żadnych wątpliwości. Ruch robotniczy i sami robotnicy zdają się wyraźnie posiadać sympatię pisarzy[41], natomiast wobec socjalizmu nie

[40] K. Kołodziej w obrazie strajku i lokautu w powieściach E. C. Gaskel, M. Gawalewicza i K. Laskowskiego wyróżniła następujące, powtarzające się wątki: „a) historia fabrykantów, którzy kiedyś byli zwykłymi robotnikami; b) różnice pomiędzy starym i nowym pokoleniem fabrykantów; c) świadomość robotników, że to oni wypracowali fortuny fabrykantów; d) opis trudnych warunków życia robotników (wskutek mechanizacji produkcji i skracania dnia pracy; e) uwodzenie robotnic przez fabrykantów i dyrektorów fabryk; f) konspiracyjne zebrania robotników (opis działalności związków zawodowych); g) postulaty robotników (m.in. ośmiogodzinny dzień pracy, podwyżki); h) działalność agitacyjna działaczy związkowych (podburzanie opornych i niezdecydowanych); i) delegacja robotników z postulatami u właściciela fabryki; j) łamistrajki; k) donosiciele; l) kpiny fabrykantów z biedy robotników; ł) zebrania fabrykantów; m) ubożenie robotników wskutek zamknięcia fabryki; n) pomszczenie krzywd robotników poprzez zamach na fabrykanta” – K. Kołodziej, *Motywy wspólne w literackim obrazie strajku i lokautu w Manchesterze (Elizabeth C. Gaskel „Mary Barton”) i w Łodzi (M. Gawalewicz „Wir”, K. Laskowski „Lokaut”)*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica” 2007, nr 9, s. 188–189. Warto zwrócić uwagę, że wiele tych wątków znajdziemy w innych utworach poświęconych Łodzi, co być może wynika z konwencjonalizacji obrazu łódzkiej rewolucji oraz samej Łodzi, o czym autorka w artykule wspomina (tamże, s. 187).

[41] Zdaniem T. Sobieraja, M. Gawalewicz ukazuje w *Wirze* robotników w pełni świadomych własnego postępowania, upominających się o należne im prawa. Zob. T. Sobieraj, *O prozie Mariana Gawalewicza*, Poznań 1999, s. 208–209.

wykazują oni tak jednoznacznej postawy; tu często wyraźnie daje się odczuć pewną rezerwę. Spośród ukazanych postaci zawsze pozytywnie oceniana jest oddana „sprawie" dziewczyna, będąca łącznikiem pomiędzy spiskującym rewolucjonistą i robotnikami. Jej przeciwieństwem jest donosiciel, zwykle także prowokator. Oceniano go negatywnie i nie było dla niego żadnej litości ani usprawiedliwienia.

Przypatrzmy się najpierw spiskowcom-rewolucjonistom, prowadzącym wśród robotników działalność, która, jak wspominał A. Humnicki, polegała w jego przypadku głównie na jak najszybszym wyrobieniu sobie następców, zapewne z powodu ciągłych aresztowań, utrzymania nawiązanych kontaktów, zbierania składek na kasę oporu i rozdawania broszurek. Niczego więcej, prawdopodobnie ze względów konspiracyjnych (wspomnienia ukazały się drukiem w 1907 r.), nie dowiadujemy się o charakterze jego pracy. A. Humnicki był członkiem Związku Robotników Polskich, organizacji socjalistycznej, działającej na terenie zaboru rosyjskiego, m.in. w Łodzi, w latach 1889–1893. W swoich wspomnieniach podkreślił, że jego w miarę spokojna i nieskrępowana działalność w mieście proletariuszy była możliwa z powodu warunków, jakie wówczas w nim panowały. Policja nie dysponowała odpowiednią liczbą szpiegów, a ci, którzy pracowali, byli bardzo nieudolni. Zdarzało im się śledzić podejrzanego w cywilnym ubraniu, ale w granatowych, policyjnych spodniach, które widać było spod płaszcza. Poza tym policja przyzwyczaiła się do spokoju w mieście, ponieważ ostatnie aresztowania miały miejsce kilka lat wcześniej (Humn., s. 388–389). Ze wspomnień działacza ZRP nie dowiadujemy się zatem, na czym konkretnie polegała jego praca.

Odpowiednikiem A. Humnickiego w świecie powieściowym jest Awdyński, o którego przeszłości nic właściwie nie wiemy. Prawdopodobnie był człowiekiem majętnym, który dla „sprawy" poświęcił swój dobrobyt (Gaw., s. 432). Przyjechał pewnego dnia do Łodzi, wynajął niewielkie mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy i zameldował się w niej pod własnym nazwiskiem „Ryszarda Awdyńskigo, technika, rodem z guberni kaliskiej, pochodzenia szlacheckiego [...], kawalera mającego lat trzydzieści dwa" (Gaw., s. 454). Starał się jak najmniej zwracać na siebie uwagę, a wszystko, co mogło się wydawać w jego zachowaniu dziwne, można było złożyć na karb „bzików" nowego lokatora. Przychylnie usposobił do siebie dozorcę, traktując go z szacunkiem i kupując jego dzieciom cukierki; sprawdził też dokładnie możliwość ucieczki ze swojego mieszkania i rozpoczął działalność. Znał się doskonale na swojej „robocie", więc mimo działalności w mieście, mało kto o nim wiedział (Gaw., s. 446). Poza tym, że „[...] był jednym z najgorliwszych działaczy i burzycieli tego ruchu, który jak latająca iskra kręcił się wśród zapalonego żywiołu

i rozniecał pożar[42] […]” (Gaw., s. 489) i czytelnik wie o nim niewiele. Na czym polegała jego działalność – można byłoby odtworzyć, „podglądając” to, co robił, nie zbuduje to wszakże jednoznacznego obrazu. Widzimy go, na przykład, ciągle przeglądającego jakieś notatki, tak bardzo go interesujące, że nie zauważał ludzi wokół siebie. Do jego mieszkania przychodzili robotnicy, z którymi się naradzał, sam też gdzieś chodził, przekazywał broszury i ulotki; czasem brał udział w jakiejś akcji, choć wydaje się, że nie zawsze jego obecność była konieczna, jak na przykład wtedy, gdy poszedł z Lopkiem po bomby schowane w mieszkaniu aresztowanego robotnika. Zawsze też upewniał się, czy nie ma zagrożenia, za pomocą umówionych znaków (Gaw., s. 395–416). Słowem – jest to postać działająca sprawnie, ale też niezwykle tajemnicza. Nie budzi wszakże sympatii.

Spotkanie, które widzimy w mieszkaniu Awdyńskiego, będące – jak informuje narrator – jednym z wielu, które się w nim odbywały, wygląda bardziej na towarzyskie niż konspiracyjne. Podczas swobodnej pogawędki, która wywiązała się po zbyt długim monologu agitatora, pojawiła się kwestia, która budzi zastanowienie – przypadkiem wydaje się, że jeden z uczestników spotkania, ów partyjny agitator, otrzymuje za swoją działalność wynagrodzenie. Twierdzi przy tym, że działa bezinteresownie. Awdyński to akceptuje, choć wie, że „towarzysz Czerwony, zanim wstąpił do partii, był zwyczajnym sobie kantorowiczem za trzydzieści rubli miesięcznie”. Teraz, zajmując się agitacją, zarabia co najmniej dwa razy tyle. Broni go też, podając coraz to inne argumenty, na przykład, że „towarzysz Czerwony” jest bardzo zdolny, aż w końcu stwierdza: „Poświęca siebie, swoją osobę, naraża się na katorgę albo i na stryczek”. Nie reaguje na replikę: „Ależ to samo robi każdy z nas także, tylko z przekonania i z obowiązku […] i każdy coś oddaje swego, ponosi ofiary” (Gaw., s. 431–432). Zdziwienie budzi również jego ocena Feli Dybikówny, która pośredniczyła między nim a robotnikami. Gdy dziewczyna mówi mu w zaufaniu o swoim nieszczęściu – wykorzystaniu jej przez dyrektora fabryki, Awdyński, nim zacznie jej współczuć i wyrazi w końcu negatywną opinię o nadużywaniu w fabrykach władzy wobec kobiet, wypowie wiele przykrych dla Feli słów, tak że dziewczyna, mimo wstydu, będzie musiała jeszcze się tłumaczyć. „Taka pokraka?” – ocenia aparycję tego, który skrzywdził dziewczynę, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie; „a wiecie, panno Felu, że to głupia historia […]” lub: „Przecież siłą was nie wziął” (Gaw., s. 436). Można wszakże jego gafy lub zupełny brak delikatności

[42] Podobnie postępował bohater A. Gliszczyńskiego: „Powiadałem tej biedocie różne dziwy o jej doli; rozpalałem skry pożądań, rozdrażniałem to, co boli i uczyłem strasznych rzeczy o tym ślicznym ludzkim ładzie… Aż dziwował się tkacz stary i szedł pomruk po gromadzie; aż niekiedy pięść zachrzęści lub łza bólu z ócz się stacza…” (Glisz., s. 396).

wytłumaczyć zupełnie inaczej – po prostu niewiele wie o realiach życia robotników i ich pracy w fabryce.

Takich dwuznacznych sytuacji w zachowaniu Awdyńskiego, które mogą się nie podobać, jest więcej. Zostawia Felę na pastwę policji i sam ucieka z zagrożonego dekonspiracją mieszkania. Taką postawę można jeszcze zrozumieć: aresztowanie go może zakończyć się klęską jakichś działań, Fela musi się więc poświęcić i czyni to z oddaniem (Gaw., s. 439–441). Jednak kiedy Lopek, typowe dziecko Bałut, gotowe na każdy, nawet najbardziej nieprawdopodobny wyczyn, mówi ze śmiechem podczas ich wspólnej wyprawy, że gdyby zaszła taka potrzeba, zdetonowałby bomby, które odzyskali, Awdyński pyta: „A ja?" (Gaw., s. 456–461). Czy swoje życie uważa za najważniejsze? Zupełnie już jednak nie można zrozumieć sytuacji, w której pozwala nieświadomemu niczego Lopkowi mówić przy Feli Dybikównie źle o jej ojcu – donosicielu. Dziewczynie jest bardzo przykro, mimo że już wcześniej docierały do niej sygnały o dwuznacznej roli ojca w środowisku; zaprzecza oszczerstwom i broni go. Nie chce uwierzyć w to, o czym sama myśli. „Awdyński ze współczuciem spoglądał na nią spod oka i zagryzał wargi", milczał jednak, aż w końcu, kiedy stwierdził, że „za dużo było tego znęcania się, syknął głośno i schwyciwszy chłopca za ucho, szepnął mu kilka słów". Lopek poczuł się niezręcznie; nie chciał skrzywdzić dziewczyny (Gaw., s. 481–482). Czemu jednak Awdyński pozwolił na to?

Wydaje się, że M. Gawalewicz nie był zwolennikiem socjalistów i ich działalności. Poza kreacją głównego bohatera świadczy o tym jego ocena wydarzeń[43] oraz śmierć rewolucjonisty i okoliczności jej towarzyszące. Po jednym z wieców, wielu, które miały miejsce w trakcie strajku generalnego, uniesiony własnym zapałem Awdyński chwycił czerwony sztandar i stanął na czele kilkuset robotników. Poprowadził ich, nie wiadomo w jakim celu, pustym placem, pomiędzy głuchymi i tonącymi w mroku budynkami fabrycznymi. Radosny tłum, który szedł za nim, cieszył go i upajał – „był mu oddany na śmierć i życie". Natrafili jednak na przeszkodę – na drodze ich przemarszu stało wojsko. Żołnierze nie czekali na

[43] „Bezkrwawa rewolucja" – pisze M. Gawalewicz – „triumfowała efektem ogromnym, niebywałym w dziejach: strajkiem generalnym w całym państwie, sparaliżowaniem czasowym kolosalnego organizmu, sztuczną bezwładnością olbrzyma, którego spętały nieprzeliczone roje Liliputów. [...] «Budujcie ducha» urządzali wiece, jeden po drugim. Gromadząc w celach uświadomienia tysiące prostaczków, analfabetów naiwnych i łatwowiernych, wygłodzonych umysłowo, czujących instynktowną potrzebę światła i prawdy [...]" (Gaw., s. 488). Celem tych wieców było przyciągnąć jak największą rzeszę zwolenników, bez względu na to, czy uczestnicy wiecu rozumieją, o jakiej walce się mówi: „Czy rozumiecie, czy nie rozumiecie moich słów, zrzeszajcie się i chodźcie za nami" – nawołuje Awdyński.

strajkujących, wiecujących lub protestujących. Mieli pilnować porządku; zachowywali się tak, jakby zupełnie nie spodziewali się nadejścia pochodu robotników. Awdyński poczuł niepokój:

> Czuł w głębi duszy, że choćby miał na niechybną zgubę iść – pójść musi [...] teraz, w stanowczej chwili, nie wolno mu zachwiać się, cofnąć, stchórzyć, zwłaszcza po tej ostatniej przemowie, po takim śmiałym, junackim kroku, który uczynił [...] Cofnąć się teraz, wobec niebezpieczeństwa, to znaczyło tyle, co zaprzeczyć własnym słowom i hasłom głoszonym z taką siłą przekonania i pewności siebie (Gaw., s. 489).

Znaczyło to również stracić zaufanie i ośmieszyć się. Spiskowiec-rewolucjonista z pewnością nie miał ochoty na konfrontację z wojskiem, nie wiadomo nawet, po co sformował pochód, na czele którego stanął i w jakim celu prowokował żołnierzy, maszerując na nich. Ufa, że nie będą strzelać lub nie użyją ostrej amunicji. Co mieliby jednak robić ci, przeciw którym idzie? Przyłączyć się do maszerujących? Wszystko wskazuje, że Awdyński, zawsze zimny i kalkulujący na chłodno każde posunięcie, przewidujący niebezpieczeństwo i zabezpieczający się przed nim starannie, uległ jakiemuś nieprzemyślanemu impulsowi. Biorąc zaś pod uwagę całe jego działanie, możemy wnosić, że główny bohater i sprawca wydarzeń nie miał być ich uczestnikiem, jego zadaniem było tylko popchnąć ludzi do czynów, a ci dokonaliby reszty:

> Agitacja gwałtownie przyspieszyła swoją czynność, wytężała siły, korzystała z każdej chwili, rozrzucając niewidzialną ręką żarzące głownie, które miały wznieść pożar od krańca do krańca i nie wybuchając płomieniem, stlić, zwęglić, na popiół przepalić zmurszałe rusztowanie społecznej i politycznej budowy (Gaw., s. 488).

Jednak ufać, że agitacja i pozyskani za jej pomocą nieświadomi istoty walki ludzie będą w stanie zmienić porządek świata, jest naiwnością i świadczy o zupełnym nieprzygotowaniu tych, którzy chcą objąć przywództwo. Wydaje się, że Awdyński w ogóle w swoich kalkulacjach nie bierze pod uwagę popychanych do walki robotników. Nie ma dla niego większej wartości oddanie Feli Dybikówny, tak jak i bezgraniczna ufność Lopka, który darzy go podziwem i dziecięcą, bezwarunkową miłością. Bardziej ceni życie własne niż chłopca, który gotowy jest dla niego na każde poświęcenie. Ludzi ocenia tylko poprzez ich przydatność dla „sprawy”. Dlatego „towarzysz Czerwony” posiada dla niego duże znaczenie – z jego pomocą można pozyskać robotników; oni wydają się tylko środkiem do celu.

M. Gawalewicz stawia niemal znak równości pomiędzy Awdyńskim i fabrykantami, których poznajemy utworze[44]. Problem ten jest zarysowany

[44] Ta teza może wydawać się zbyt śmiała, jednak potwierdza ją silnie podkreślone w utworze i wyeksponowane miejsce zamieszkania Awdyńskiego – wynajmuje mieszkanie

w sposób dość interesujący – przedmiotem zabiegów spiskowca i przedsiębiorców są ci sami ludzie. Za ich pomocą Awdyński chce sięgnąć po władzę (chce im przewodzić), właściciele fabryk zaś – pomnożyć swój stan posiadania. Każdego z nich cechuje takie samo bezkompromisowe dążenie do celu – wykorzystują robotników, nie licząc się z nimi, a swoje potrzeby uznają za ważniejsze w ustanowionej przez siebie hierarchii wartości. Podobnie też cenią i oceniają ludzi, co podkreśla jeszcze sytuacja Dybików. Dybik traci zaufanie dyrektorów – właścicieli fabryki, ponieważ jego córka jest socjalistką, Fela przestaje być niezastąpioną pomocą dla Awdyńskiego, bo jej ojciec jest donosicielem – dlatego zapewne pozwala na jej poniżanie przez nieświadomego sytuacji Lopka. Warto też zwrócić uwagę na paralelną sytuację ucieczki spiskowca-rewolucjonisty z jego mieszkania w obliczu zbliżającej się rewizji i Lanceta, fabrykanta, z zagrożonego rewolucją miasta. Tu nawet Lancet zyskuje przewagę nad myślącym tylko o sobie Awdyńskim, gdyż troszczy się o bliskich. Różnica jest tylko jedna – Awdyński brata się z robotnikami i staje w ich obronie. Tak przynamniej widzą to robotnicy. Jaki jest jednak cel jego działalności?

Nigdzie w utworze nie mówi się, jak będzie wyglądać nowy ład po zburzeniu starego, bezustannie natomiast popycha się robotników do walki na śmierć i życie, o wolność, równość, konstytucję, powszechne głosowanie, reformy, podwyższenie płac i skrócenie czasu pracy (Gaw., s. 418–421). Agitatorzy do tego stopnia zapalają się na wiecach, że krzyczą: „Wszystko jest nasze… wszystko do nas należeć powinno, bo to jest nasz pot, nasza krew, nasza krzywda" (Gaw., s. 421). Taki jest zresztą cel agitacji, jak uświadamia „towarzysz Czerwony": natychmiast wywołać rewolucję, bo dłużej już czekać nie można, wytworzyć jak największą liczbę niezadowolonych, krytykować bez litości burżuazję, uświadomić lud i klasę robotniczą, zagrzewać młodzież do walki; przekonać o konieczności przewrotu, wypowiedzieć walkę kapitalizmowi, nie wahać się przed użyciem terroru, dążyć do obalenia istniejącego porządku (Gaw., s. 428). O tym też donosi Dybik dyrektorom – robotnicy w fabryce mówią o ośmiogodzinnym dniu pracy, podwójnej zapłacie, zmianie majstrów, a nawet, co już go śmieszy, o przejęciu fabryki na własność (Gaw., s. 412). Co będzie po przejęciu władzy? Czy Awdyński to wie?

Bardzo podobny w ogólnych rysach obraz spiskowca-rewolucjonisty ukazuje A. Gliszczyński w opowiadaniu *Mańka*. Bohatera utworu spotykamy jako ustatkowanego człowieka, gdy w gronie kolegów, „w kółku

w tej samej kamienicy, w której mieszka jeden z właścicieli fabryki. W tej fabryce pracują również robotnicy, których Awdyński pozyskuje dla swojej działalności.

niewzruszenie filisterskim”, wspomina z czasów młodości „dykteryjkę bardzo śmieszną”. Jako uczeń wraz z kolegami czytał Mickiewicza, ale też Spencera, Lassala, Libknechta, a jego starsi koledzy znali nawet *Kapitał* Marksa. Młodzi ludzie uznali, że „coś” robić trzeba, a w życiu ważniejsze niż „kariera” są ideały. Garstka z nich poszła więc „na «robotę»; weszła w wir i – utonęła…” (Glisz., s. 394). Młody Stach zamieszkał w lepiance, w izbie tkacza. Jego pomocnicą była Mańka, córka gospodarza. Potrafiła zrobić wszystko. Nic nie stanowiło dla niej przeszkody, nie było dla niej niczego niemożliwego, każdego potrafiła przekonać; za głosem Stacha poszli nawet ci, co nie chcieli. Taka była siła jej… miłości. Stach nie kochał Mańki, ale ta nadal służyła jemu i sprawie, gotowa nawet stanąć w obronie jego życia. W wirze rewolucyjnych rozruchów, gdy robotnicy wyszli na ulice, Stach początkowo, jak Awdyński, idzie na ich czele i przewodzi im. Jednak tłum w chaosie walki, huku, jęków i krwi rozpada się. Nikt nie słucha już przywódcy. Do zdezorientowanego bojownika dociera krzyk: „Nagle w zgiełku i chaosie usłyszałem głos niewieści, a co drgało w owym głosie, nie wypowiem: rozpacz, trwoga, tysiąc różnych drgnień w rozterce, wycie lwicy, jęk anioła” (Glisz., s. 397). Był to krzyk Mańki, która zauważyła, że Stachowi grozi niebezpieczeństwo. Starała się ostrzec go i zasłonić swoim ciałem. Kula przeznaczona dla mężczyzny ugodziła dziewczynę.

W ciągu roku od tych wydarzeń wszystko zmieniło się w życiu spiskowca-rewolucjonisty, „przyszła «trzeźwość» i «rozwaga»”. Został prokurentem, miał się żenić, a przyszłość nęciła spokojem i dostatkiem. Wtedy właśnie odwiedziła go Mańka – wyniszczona, wychudzona i umierająca. Jej uczucie nie wygasło. Przyszła zobaczyć „pana Stacha” po raz ostatni i oddać mu swoje pamiątki po nim, żeby się nie poniewierały, gdy jej już nie będzie. Przyniosła także przechowywaną jak relikwia kulę, która była dla niego przeznaczona. Kobietę przyprowadził jej mąż, świadomy uczuć żony do innego mężczyzny. Stach, jak wcześniej nie interesował się losem Mańki, która uratowała mu życie, tak teraz nie poszedł nawet na jej pogrzeb, choć mieszkał niedaleko jej domu; bał się plotek. Wydarzenia z przeszłości i śmierć dziewczyny, która z jego powodu była nieszczęśliwa i straciła życie, w jakiś sposób dręczyły go jednak, dlatego opowiada o tym kolegom w sposób lekki, twierdząc, że to „dykteryjka bardzo śmieszna” (Glisz., s. 397–398), w istocie jednak niepokoi go. Nie trzeba, oczywiście, mówić, że „pan Stach” niewart był ani uczucia Mańki, ani nawet nie dorównywał jej mężowi, który z zazdrości o dziewczynę, nim ta została jego żoną, chciał go zabić.

Ta prosta historia, banalna nawet, bo częsta, zastanawiająca jest jednak z innego powodu. Twierdzi się, że A. Gliszczyński należał do socjali-

stów[45] owej partii, której członkiem był A. Humnicki, a przynajmniej sympatyzował z ich ruchem. Tymczasem w *Mańce*, podobnie jak w *Wirze* M. Gawalewicza, mamy wyraźną krytykę nieprzemyślanych działań tych, którzy chcą się mienić przywódcami i bojownikami, mamienia robotników obietnicami bez pokrycia, wykorzystywania ich do własnych celów i przedmiotowego traktowania. Opowiadanie A. Gliszczyńskiego bardziej świadczy o sympatii dla robotników niż dla socjalistów, którzy w jego ocenie wydają się postaciami chwiejnymi i niegodnymi zaufania, a ich wybory – przypadkowe i nieprzemyślane. Tacy ludzie jak „pan Stach" nie powinni nikomu przewodzić, a tym bardziej prowadzić do walki.

Od próby ustalenia, jaką postacią był spiskowiec-rewolucjonista, przeszliśmy do jego najbliższego współpracownika – łącznika pomiędzy nim a tymi, których pozyskał dla „sprawy". Ów pośrednik jest informatorem, przekazuje polecenia, agituje. W utworach przełomu XIX i XX w., poświęconych problemom robotniczego i socjalistycznego ruchu, taką rolę odgrywa właśnie kobieta[46]. Co ciekawe – przy ogólnikowym omówieniu przywódców-spiskowców oraz ich działalności, postaci kobiet są ukazane z dużo większą wnikliwością. Dlaczego poświęcono im tyle miejsca i spotykamy je zawsze przy spiskowcu? Czy jest to jakiś refleks sytuacji rzeczywistej? Czy też może są wdzięcznym tematem, podobnie jak Halka z opery Moniuszki? W utworach ukazujących takie postacie kobiece nie znajdziemy odpowiedzi na to pytanie[47]. Być może jakieś

[45] *Kwiaty łódzkie. Antologia poezji o Łodzi*, wstęp i oprac. B. Stelmaszczyk-Świątek, Z. Skibiński, Wyd. Łódzkie, Łódź 1982, s. 308.

[46] „Od samego początku ruchu [socjalistycznego]" – pisze A. Próchnik – „pojawia się kobieta jako cenny i pełny poświęcenia i zapału współtowarzysz walki. U wstępu historii polskiego socjalizmu pojawia się cały szereg dzielnych i bardzo wartościowych kobiet, które nie wahały się oddać życia za sprawę. Były to młode dziewczyny i kobiety [...]. Ich nazwiska wymawia się dziś ze wzruszeniem". A. Próchnik, *Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym*, http://lewicowo.pl/kobieta-w-polskim-ruchu-socjalistycznym (dostęp: 10.09.2012). Tekst A. Próchnika powstał pod koniec lat 30. Przez Lewicowo.pl został przedrukowany na podstawie wydania broszurowego Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza", Warszawa 1948.

[47] Wydaje się, że o znaczeniu kobiet w ruchu robotniczym zadecydowała ich odwaga, siła woli, determinacja i poświęcenie. Brały udział w działalności konspiracyjnej, w manifestacjach, na nie też spadał ciężar nieszczęścia, z którym musiały się uporać. Warto nieco więcej na temat udziału kobiet w ruchu socjalistycznym powiedzieć, gdyż w *Złym mieście* Z. Bartkiewicza znajdujemy bardzo negatywny obraz bojowniczek: „Święto 1 maja w r. 1892 dało początek wielkiemu, potężnemu ruchowi strajkowemu w Łodzi [...]. Strajkowały też, oczywiście, wszystkie robotnice łódzkie. Z działaczek zorganizowanych, pracujących wtenczas na terenie łódzkim, można wymienić nauczycielkę Celinę Bronowską, należącą do Związku Robotników Polskich. Ale należy w pierwszym rzędzie ujawnić nazwiska dzielnych agitatorek po fabrykach, «podżegaczek» strajkowych. Dwie robotnice złapano przy rozlepianiu odezw, Marię Majer i Idę Berę. Inne były

znaczenie ma ich zaangażowanie emocjonalne w „sprawę” i w związek z przywódcą; z pewnością jednak nie on zadecydował o kreacji tych postaci w literaturze.

Wydaje się, że nietrudno odgadnąć, dlaczego kobiety godziły się na udział w ruchu robotniczym i pośredniczenie pomiędzy bojownikiem i robotnikami. Doskonale obrazuje to sytuacja Feli Dybikówny. Nie ma dla niej szacunku ojciec, nie znajduje go także w fabryce. Mimo poświęcenia i oddania dla rodziny jest tylko brutalnie traktowanym przez ojca popychadłem. Jej uczciwa praca w fabryce również nie wystarcza. Choć czasu nie ma za wiele, chętnie poświęca się działalności partyjnej. Awdyński „Wiedział, że była oddana partii całą duszą i służyła jej z fanatycznym przejęciem, gotowa spełnić każdy rozkaz i każde polecenie ze ślepym posłuszeństwem niewolnicy. Niejednokrotnie miał sposobność przekonać się o jej sprycie i wrodzonej inteligencji, którą rozwinęła własną pracą nad sobą, czytaniem książek z wypożyczalni i nieporządnym wprawdzie, ale gorliwym samouctwem” (Gaw., s. 434). Działalność w ruchu robotniczym dała jej szacunek dla samej siebie, poczuła się wyróżniona i doceniona. Dalej jest skromna i nie wymaga dla swojej osoby żadnych względów. Bliskość człowieka, którego darzy podziwem, zaufaniem i szacunkiem, a może nawet i nieuświadamianym uczuciem, wynagradza jej nieszczęścia, których doznała w życiu.

---

przewodniczkami w czasie samego „buntu” […]. I nie należy zapominać, że gdy z rozkazu gen[erał]-gub[ernatora] Hurki («strzelać, nie żałować naboi») wojsko przystąpiło do stłumienia strajku, padła na bruk łódzki przeszyta kulami młoda, 17-letnia robotnica, nieznanego nazwiska. […]

W czasie manifestacji związanych z ruchem strajkowym z początkiem r. 1905 poległy 30 stycznia na Widzewie 75-letnia staruszka Marianna Walczak i młodziutka, 15-letnia Wiktoria Oleksiakówna. Dnia 10 lutego na bruk łódzki padła przeszyta kulami 17-letnia Anna Madalińska. Manifestacje dnia 1 maja 1905 r. miały bardzo krwawy charakter. […] Najwięcej jednak ofiar w całej historii naszego ruchu legło w Łodzi w dni czerwcowe 1905 r., w czasie wielkich, potężnych manifestacji. Poległo wówczas 151 osób, w tym 30 kobiet, prawie wyłącznie robotnic. Część z nich uczestniczyła w ruchu żydowskim. Z polskich robotnic dały wtenczas swe życie: Maria Bączyńska, Rozalia Ciżniak [i inne – autor wymienia jeszcze dziewięć poległych robotnic]. I wśród nich są znów staruszki i 16-letnie dziewczęta. W październiku i listopadzie 1905 r. wybuchła w Łodzi znów olbrzymia akcja strajkowa. W czasie jednej z manifestacji, dnia 6 listopada, poległa znów młoda 16-letnia dziewczyna, Helena Dybowska […]”.

Oprócz działaczek socjalistycznych „[…] było jeszcze bardzo wiele innych, które pracowały w najrozmaitszych środowiskach. Nie kusząc się o ich pełną listę, rzucimy jeszcze dla przykładu trochę nazwisk. […] W Łodzi – Maria Gerschoffówna, Judyta Hefflichówna, Herbichówna [i inne – autor wymienia jeszcze dziesięć robotnic i działaczek, także kobiet pochodzących z inteligencji] […]” (tamże). Przywołany fragment opracowania A. Próchnika daje wyobrażenie o ruchu rewolucyjnym, zaangażowaniu robotników (nie tylko kobiet) oraz o skali działań rewolucyjnych.

Owo niezwykłe zauroczenie dziewczyny mądrością i postawą spiskowca pokazał A. Gliszczyński:

> Lecz najczulej to słuchała płowowłosa córka tkacza.
> Zawisając na mych ustach swoim jasnym szczerym okiem, pożerała „pana Stacha" rozkochanym swoim wzrokiem.
> Pan Stach plótł o „nadwartości" i o pracy wyzwalaniu, a dziewczyna zasłuchana śniła bajkę o kochaniu.
> Mówił jej o nienawiści i o walce w imię chleba – a biedactwu wciąż się zdaje, że i kochać także trzeba.
> Dawał książki do czytania, nad którymi trza aż szlochać, chciał nauczyć wielu rzeczy, a nauczył tylko... kochać,
> Kazał główkę trzymać dumnie i czuć godność pracownicy, a Marynia przed paniczem ma pokorę niewolnicy... (Glisz., s. 395).

Ta śpiewna opowieść uderza tyleż w „panicza" – spiskowca, co i nobilituje dziewczynę. Jej intencje są czyste, poza tym nie oczekuje niczego. Na swój sposób pojmuje naukę, której słucha i jak Baśka, córka Tojwijego z powieści I. J. Singera, marzy o miłości. „Panicz" widzi jej z trudem skrywane uczucia i napawa się nimi. Przywykł, że dziewczyna jest przy nim, w każdej chwili gotowa do działania: „Panie Stachu! Załatwiłam dzisiaj wszystko. I ci pójdą, co nie chcieli. Hasło wyjdzie od zecerów; zaczną zaraz po niedzieli. Wiedzą wszyscy i czekają... Z nami pójdą i sąsiedzi..." (Glisz., s. 395). Egoistycznie wykorzystuje jednak jej słabość, nie dając nic w zamian. Jej uczucie zaspokaja jego próżność; czuje się niemile dotknięty wiadomością, że dziewczyna wyjdzie za mąż. Na relacjach pomiędzy Felą i Awdyńskim, Mańką i panem Stachem, także Baśką i Nisanem w powieści I. J. Singera, zaciążył kompleks Pigmaliona – mężczyzna tworzy piękno, do którego jednak nie potrafi się zbliżyć i którego nie umie pokochać. Więcej – uważa, że to co stworzył, powinno mu służyć i jest jego własnością. Hołdy kobiet, ich wierność i oddanie przyjmowane są jako należne i niejako przypisane do pełnionej przez nie funkcji. Bojownika trzeba czcić dla samej zasady (może to dla niego nagroda za jego trudy, poświecenie i niebezpieczne życie?), on zaś pozwala łaskawie darzyć siebie uczuciem. Jaki jest więc stosunek spiskowca-rewolucjonisty do tych, których naucza i którym chce przewodzić?

Wyraźnie zarysowana w utworach przełomu wieków XIX i XX, poświęconych ruchowi robotniczemu, jest również postać prowokatora-donosiciela. To typ zdeprawowany, zły i odrażający, który nie cofnie się przed żadną niegodziwością, by zaspokoić swoje interesy lub nasycić egoistyczne poczucie władzy nad innymi. Nikczemność tych postaci podkreśla jeszcze sposób ich kreacji – są jednoznaczne, nieuwikłane

w żaden konflikt lub wybór, które łagodziłyby jednoznaczną ocenę. Ojciec Feli Dybikówny zwany jest z powodu swojego nieprzyjemnego śmiechu Chichotem. W fabryce był, dziś powiedzielibyśmy, zastępcą majstra, a więc powodziło mu się lepiej niż przeciętnemu robotnikowi. Nie wiadomo, czy za swoją nieoficjalną funkcję donosiciela, którą pełnił z całym oddaniem, pobierał jakieś wynagrodzenie – narrator mówi o jego „bezinteresownym przywiązaniu do Zarządu” (Gaw., s. 413); z pewnością wiemy tylko, że nie groziło mu zwolnienie z fabryki. Zbyt był cenny dla właściciela. Doskonale potrafił postępować z robotnikami, umiał nie tylko zdobyć ich zaufanie i uznanie, ale też je utrzymać. Jednak cokolwiek tylko się zdarzyło – „[…] od ukradzenia kilku szpulek przędzy – do plotek warsztatowych, od pomyłki w rachunkach przy wypłacie «lonu» – do «pyskowania» robotnic i robotników […]” (Gaw., s. 411), o wszystkim natychmiast dowiadywał się dyrektor. W sprawach nagłych i ważnych Dybik nie wahał się nawet iść do jego prywatnego mieszkania, choć nie był zapraszany. Wręcz nieoceniony był podczas niepokojów społecznych, gdy trzeba było dowiedzieć się, o czym mówią i co zamierzają robotnicy, i który z nich jest najaktywniejszy. Dybik wiedział o wszystkim. Sprawa Feli zaciążyła jednak na jego kontaktach z pracodawcami, jakby winien był temu, że córka została socjalistką. „Łaska pańska na pstrym koniu jeździ”, szybko więc zapomniano o jego „zasługach”. Nie koniec to jednak niegodziwości tego człowieka. Ludzie domyślali się, że Dybik donosił również policji (Gaw., s. 482), dla jego córki najgorsze jednak okazało się, że wiedział o jej poniżeniu i wykorzystywaniu w fabryce; wiedział i nie zareagował, a przecież to tylko ze względu na niego i rodzeństwo godziła się na upokorzenie.

Dybika znaleziono niedaleko fabryki, w której pracował, „z głową roztrzaskaną trzema kulami. Na plecach miał przyszpiloną kartkę z napisem: «Szpieg»” (Gaw., s. 485). W taki sam sposób zakończyło się życie Gotliba z powieści K. Laskowskiego *Lokaut* (Lask., s. 499–532). Niewiele o nim wiemy, poza krótkim spotkaniem na początku utworu, podczas którego poznajemy go najpierw jako socjalistę zachęcającego do udziału w spotkaniu robotników i chwilę później jako donosiciela. Dowiadujemy się z odczytanego przez innego bohatera nekrologu, że zginął w lasku konstantynowskim od trzech kul; był to wyrok wydany przez partię za donosicielstwo i prowokację (Lask., s. 520).

W literaturze poświęconej ruchowi robotniczemu znajdujemy także postacie wplątane w wielką historię przypadkiem. Nikt ich nie pytał, czy zgodzą się ponosić ofiary działalności socjalistów, nikt w ogóle nie brał w rachubę ich istnienia i krzywdy. Szymon Pajdera, który miał na utrzymaniu matkę i małe dzieci, wziął na przechowanie cztery bomby. Awdyń-

ski cieszył się, że usunął „dowody" z jego domu: „W ten sposób uratował może życie biednemu robotnikowi, który pomimo całego «uświadomienia» nie zdawał sobie nawet sprawy, ile ciężkiej odpowiedzialności zwalał na siebie, biorąc na przechowanie dynamitowe pigułki" (Gaw., s. 462). Awdyński nie myślał już jednak, co stanie się z matką robotnika i jego dziećmi. Nie spytał, czy potrzebna im pomoc, większym problemem było bezpieczne ukrycie „tego fantu". Tymczasem dla rodziny Pajdery jego aresztowanie było dopiero początkiem nieszczęść. Po ojcu aresztowano babkę, a dom, w którym małe dzieci zostały bez opieki, stał otworem dla złodziei, czego ci nie omieszkali wykorzystać. Bieda nie czyni nikogo szlachetnym (Gaw., s. 463–464).

Za sprawą ukochanego syna z ruchem socjalistycznym spotkała się też jedna z bohaterek powieści A. Struga. „Cywikowa nie była socjalistką. Zbyt ją sterały nędze życia, żeby mogła uwierzyć, że biedę i krzywdę można usunąć kiedyś z tego świata". Zaangażowanie syna martwiło ją, bo wiedziała, że za tę działalność grozi wiezienie. Nie przeszkadzała jednak synowi. W „socjalizm Stacha" uwierzyła dopiero wtedy, gdy otrzymał podwyżkę (Strug, s. 86). Tragizm tej postaci polega na tym, że syn, któremu zawdzięczała trzy lata niezwykłego szczęścia i spokojną starość po latach nieszczęść, udręki i nędzy, musiał wykonać niebezpieczne zadanie. Cywikowa nie dociekała, co to miało być, ale czuła, że więcej syna już nie zobaczy i gdyby mogła, zastąpiłaby go z ochotą. Dlaczego akurat on? Nie zastanawiała się, bo takie było już życie i nieszczęście było w nie wpisane. Nikt nie roztrząsał wyroków losu. Może dlatego tak łatwo było robotnikom pogodzić się z koniecznością złożenia najwyższej ofiary?

O sile i determinacji kobiet, na które spadał ciężar odpowiedzialności za rodzinę, szczególnie wtedy, gdy mąż działał w ruchu robotniczym i ponosił tego konsekwencje, świadczyć może wypowiedź jednej z nich, która mówiła do spotkanej na policji lamentującej matki aresztanta:

> Pani droga [...] jak można płakać wobec żandarmów, łzy nasze, toż to uciecha dla nich... Myśmy powinny ból nasz ukryć tak, by te łotry ani domyślały się go. Mój mąż siedzi już 8 miesięcy, zostałam z pięciorgiem dzieci, sama ciężko chorowałam, posprzedawałam wszystko, co sprzedać mogłam, obecnie żyjemy z 8 rubli, co je 14-letnia córka zarabia... A życie to straszne – już z trzeciego mieszkania nas wyrzucają, bo płacić nie ma czym, a trochę herbaty bez cukru i chleba starczyć musi za całe pożywienie... Ile cierpię, ile łez wyleję i nocy nie dośpię, ja tylko wiem, ale tutaj, wobec żandarmów płakać bym nie umiała[48].

Warto zastanowić się też, dlaczego robotnicy w ogóle ulegali wpływom partii socjalistycznych, kierowanych przez ludzi, którzy z ich środo-

[48] A. Próchnik, *Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym...*

wiskiem mieli niewiele wspólnego. Byli przecież ludźmi trzeźwo patrzącymi na rzeczywistość, przywiązanymi do tradycji i potrafiącymi ocenić sens i potrzebę walki. Czy wpłynęła na to tylko ich niezwykle trudna sytuacja? Czy też może byli aż tak zdeterminowani, że gotowi na każde działanie? A partia dawała im poczucie siły? Prawdopodobnie każdy z tych czynników odegrał istotną rolę. Warto jednak rozpatrzeć jeszcze Eliadowską koncepcję kontynuacji mitów społeczeństw archaicznych we współczesnym świecie. Zdaniem filozofa i religioznawcy, Karol Marks

> [...] podejmuje i kontynuuje jeden z wielkich eschatologicznych mitów świata azjatycko-śródziemnomorskiego: odkupicielska rola Sprawiedliwego („wybrańca”, „pomazańca”, „niewinnego”, „posłańca”, dzisiaj proletariusza), którego cierpienia wzywają do zmiany ontologicznego porządku świata. [...] bezklasowe społeczeństwo Marksa i konsekwentny zanik napięć historycznych odnajduje swój wierny pierwowzór w micie o złotym wieku, który wedle licznych tradycji charakteryzuje początek i koniec Historii. Marks wzbogacił ten szacowny mit o mesjanistyczną ideologię judeochrześcijaństwa: z jednej strony role profetyczna i soteriologiczna przypisywana proletariatowi, a drugiej zaś ostateczna walka Dobra ze Złem, którą [...] można porównać do starcia między Chrystusem i Antychrystem [...][49].

Istotę tej myśli odnajdujemy u Z. Bartkiewicza, który cytuje wypowiedź robotnika nad grobem rozstrzelanej siostry-rewolucjonistki o potrzebie poświęcenia siebie i własnego życia dla przyszłych pokoleń.

6.2.4. Bunt łódzki w 1892 roku i rewolucja 1905 roku w literaturze Łodzi przełomu XIX i XX wieku

K. Badziak podkreśla, że dominujący w literaturze przedmiotu pogląd o niezdolności klasy robotniczej do zrozumienia własnej sytuacji i znaczenia w społeczeństwie kapitalistycznym nie jest prawdziwy[50]. Robotnicy zawsze byli świadomi swojego położenia i wyzysku. Wydarzenia, m.in. w Łodzi, wykazały również, że posiadali także rozeznanie co do własnej siły, pozwalającej im żyć w ustroju innym niż kapitalistyczny. U podłoża ruchu robotniczego leżało więc dążenie do zerwania ze światem, do którego przynależeli lub radykalna jego przebudowa[51].

Ruch robotniczy zaznaczył swoją obecność w Łodzi w latach osiemdziesiątych XIX w., a więc już kilkanaście lat po wejściu miasta w fazę wielkoprzemysłową. Jego odzwierciedlenie znajdujemy w literaturze

---

[49] M. Eliade, *Mity, sny i misteria*, przeł. K. Kocjan, Wyd. KR, Warszawa 1994, s. 16.

[50] Należałoby dodać, że pogląd ten dominował w literaturze naukowej pięćdziesięcioletniego okresu PRL, inaczej dojdziemy do wniosku, że był to wynik jakiejś zbiorowej, niewinnej pomyłki w badaniach.

[51] *Łódź – monografia miasta*..., s. 51.

artystycznej, publicystycznej i wspomnieniowej. Bunt łódzki, który miał miejsce w początkach maja 1892 r., wywołał, jak pisze A. Humnicki, wyzysk robotników, głównie czternastogodzinny dzień pracy z półgodzinną przerwą na śniadanie i godzinną na obiad, złe warunki pracy – brak wentylacji i urządzeń zabezpieczających przed wypadkami, oszustwa, których dopuszczały się administracje fabryk (np. z zegarem pracy), działając na niekorzyść robotników, brutalne obchodzenie się majstrów z robotnikami i robotnicami oraz nadużywanie przez nich władzy. Zwracano również uwagę na faworyzowanie pracowników pionu administracyjno-technicznego w sprawach spornych z robotnikami, nieudolność i korupcję inspekcji fabrycznych, które zamiast bronić robotników, chroniły fabrykantów (Humn., s. 389–390). Bunt łódzki tym różnił się od wcześniejszych wystąpień robotniczych, że wywołał strajk powszechny i masowe manifestacje; zakończyła go krwawa interwencja wojska i policji, w której ponad trzysta osób odniosło obrażenia, a kilka (ówczesne doniesienia lewicy podają, że około stu osób) poniosło śmierć.

Przyczyny i przebieg buntu u I. J. Singera, który w *Braciach Aszkenazych* dużo miejsca poświęca ruchowi socjalistycznemu, są przedstawione w sposób specyficzny, podporządkowany głównie celom kultywowania solidarności „narodu wybranego". Podkreślić jednak trzeba, że autor bardzo dobrze znał realia wydarzeń, które miały miejsce pięćdziesiąt lat przed wydaniem powieści. Rysując wypadki majowe, pisarz przedstawia nieokiełznany tłum, silny raczej powodzeniem przedsiębranych akcji niż świadomy swojej rzeczywistej mocy; bardziej rozzuchwalony i żądny zadośćuczynienia krzywd aniżeli działający planowo. Robotnicy, rozzuchwaleni własnym powodzeniem, pociągali za sobą innych lub siłą odrywali ludzi od warsztatów[52]. Podobny obraz rozwoju wypadków znajdziemy we wspomnieniach A. Humnickiego. Bunt robotników zaczął

[52] „Po niespełna rocznym" – czytamy u I. J. Singera – „bezrobociu ruszyły łódzkie fabryki całą parą. Fabrykanci chcieli sobie odbić za swoje straty podczas kryzysu i obniżyli płace robotników o dziesięć procent. A robotnicy wygłodzeni, zmęczeni bezrobociem i głodem, zadłużeni powyżej uszu, nie chcieli przyjąć mniejszej płacy i porzucili pracę. Nie wszyscy jednak zdobyli się na porzucenie pracy. Strajkujący namawiali tych, którzy pozostali przy pracy, żeby się z nimi solidaryzowali, grozili im i wymyślali, ale oni nie odstępowali od warsztatów. Strajkujący więc usunęli ich przemocą [...] tkacze i szpularki w chustkach na głowie, murarze, furmani fabryczni, do których dołączyli się ludzie z ulicy, wymaszerowali na miasto, śpiewając rewolucyjne pieśni. Szli od fabryki do fabryki i odwoływali robotników od pracy. Dyrektorzy pracujących fabryk kazali dozorcom fabrycznym zamykać bramy i nie wpuszczać tłumu. Ale tłum wyłamywał bramy i wdzierał się do fabryk. Większość robotników zaraz porzucała pracę, tych zaś, którzy nie śmieli tego uczynić, bito i odciągano przemocą.

– Niech żyją bracia robotnicy! – rozlegały się okrzyki. – Hurra!

– Bić krwiopijców i pijawki! – wrzeszczały kobiety. [...]" (Sing. I, s. 280).

się 2 maja. Dnia 3 maja stanęły większe zakłady, a dwa dni później wszystkie fabryki. Wystąpienia były nie tyle wynikiem obchodów święta 1 Maja (jak u I. J. Singera), które przypadało w niedzielę, ile efektem problemów ekonomicznych. Bunt zaczął się od rozmów i narad między robotnikami w fabrykach, narastał powoli, przybierając na sile. Nie wszyscy też godzili się przyłączyć od razu do strajkujących. Poza pracownikami fabryk pracę przerwali też rzemieślnicy, na przykład murarze i brukarze (Humn., s. 390). Tak więc to, co u I. J. Singera wywołuje wrażenie chaosu i przypadkowości, było w istocie strajkiem powszechnym, obejmującym wszystkich pracujących, pierwszym tego rodzaju buntem w Łodzi i w Królestwie Polskim. Jego siła była tak duża, że fabrykanci po naradach skłonni byli do ustępstw. Przeciwstawił się jednak temu przedstawiciel władzy carskiej, gubernator piotrkowski Miller. Pomyślny początkowo dla strajkujących przebieg wypadków wynikał przede wszystkim z braku w mieście odpowiednich sił porządkowych; czekano na oddziały wojska, które mogłyby opanować rozruchy (Humn., s. 391).

Sposób przedstawienia wypadków przez I. J. Singera sugeruje, jak zwróciliśmy uwagę, pewną żywiołowość i przypadkowość buntu. Wspomnienia A. Humnickiego potwierdzają trafność spostrzeżeń i ujęcia żydowskiego pisarza. Socjaliści byli zupełnie nieprzygotowani do wydarzeń, które przecież prowokowali. Nie było komitetu strajkowego, który przewodziłby robotnikom i podjął pertraktacje z władzami, nie pomyślano też o zorganizowaniu straży bezpieczeństwa publicznego. Ustalono jedynie, że w miarę możliwości trzeba „być na ulicy” (Humn., s. 191). Bunt miał więc rzeczywiście charakter żywiołowy. Potwierdza to we wspomnieniach inny uczestnik wydarzeń, S. Wrzosek: „Słyszałem też, że robotnicy niektórzy sarkali między sobą na socjalistów, że proklamacje rozrzucają, a później w ruchu ich nie ma”[53].

I. J. Singerowi udało się również ukazać – na co warto zwrócić uwagę – drzemiące jeszcze w robotnikach resztki postawy pańszczyźnianych chłopów. Kiedy w fabryce Hünzów przyjął strajkujących dyrektor Albrecht, znany z tego, że bezcześcił młode kobiety, siłą dawnego przyzwyczajenia pokornie proszą:

– Chcemy prosić wielmożnego pana dyrektora, żeby nie obniżać nam płacy, bo inaczej nie można będzie pracować. [...]

[53] S. Wrzosek, *Bunt łódzki w roku 1982*, http://lewicowo.pl/bunt-lodzki-w-roku-1892 (dostęp: 10.09.2012). Na potrzeby Lewicowo.pl tekst przygotował P. Kuligowski. Wspomnienia S. Wrzoska odnaleźć można w reprincie *Z pola walki* (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1986).

– My nie dajemy żadnych zapewnień – mruknął gniewnie dyrektor. – To jest łaska, którą mogą wam wyświadczyć panowie baroni, jeśli im się tak spodoba. Najpierw jednak idźcie do roboty, potem pogadamy.

– Niech wielmożny pan dyrektor wybaczy – odezwał się któryś ze starszych robotników – ale niech przynajmniej nie obniżają płacy tym, którzy mają żony i dzieci. [...]

Przyzwyczajeni do uległości i uniżoności w obliczu dziedzica, skrywają nie tylko swoje żale, ale też nienawiść i wściekłość. Dopiero kiedy dyrektor nierozważnie i z pogardą przypomina im o upokorzeniach, których jest przyczyną, instynkt bierze górę nad posłuszeństwem. Co ciekawe, najpierw dochodzą do głosu animozje narodowościowe, a dopiero później osobiste:

– Po jakiego diabła żenicie się i płodzicie dzieci, kiedy nie macie za co ich chować? – odpowiedział dyrektor Albrecht. – Fabryka nie będzie za to płacić...

Wtedy oczy robotników nabiegły krwią.

– *Du verfluchter Schweinhund* [Ty przeklęty świński psie] – krzyknął jakiś niemiecki robotnik w aksamitnych spodniach.

– Ty psi synu! – wrzasnęli polscy robotnicy. – Ty szwabska świnio!

– Walić tego wieprza za nasze córki, które zbezcześcił!

– Wypuśćmy mu bebechy!

– Zedrzeć słoninę z tego sprośnego wieprza za to, że hańbił nasze ślubne żony i nasze dzieci.

Upojony zwycięstwem tłum nie zdarł wprawdzie z dyrektora słoniny, za to z workiem na głowie i miotłą w ręku obwiózł go na taczkach po ogromnym fabrycznym dziedzińcu. Nasyciwszy swą zemstę, podążył do fabryki Fliderbauma. „Tłum był wzburzony i łaknął krwi. «Powiesić Żyda przeklętego!» – rozlegały się wrzaski". Ale fabryka Fliderbauma otoczona była już wojskiem i policją (Sing. I, s. 280–281).

W szczytowym momencie zwycięstwa rozwój wypadków zaczął wymykać się spod kontroli. Przyczyną był oczywiście brak odpowiedniej siły przewodniej i kierownictwa. „Słyszałem" – pisze A. Humnicki – „że potrzeba organizowania się znalazła swe ujście w wielkim zebraniu na Rynku, które przystąpiło do obioru wodza i wyboru tego podobno dokonało". Robotnicy myśleli nawet o tym, by wysłać delegację do cara z informacją, że prowadzą walkę tylko z fabrykantami i w związku z tym interwencja wojska nie jest potrzebna, gdyż wydarzenia w Łodzi nie mają charakteru politycznego (Humn., s. 391). Działania te potwierdzają więc wspomnianą wcześniej świadomość klasy robotniczej, której bardziej potrzebne było odpowiednie przywództwo niż edukacja uświadamiająca jej znaczenie, siłę i wyzysk w społeczeństwie kapitalistycznym. O odczuwanej przez robotników potrzebie wyboru przywódcy podczas wydarzeń

1892 r. pisze również S. Wrzosek, ukazując wybór wodza, którego nazwano „królem polskim” i okoliczności jego aresztowania[54].

Sposób przedstawienia tego momentu buntu u I. J. Singera nabiera zupełnie groteskowego charakteru. Po rozbiciu zakładu monopolowego, „ludzie poukładali się na ulicach i pili wódkę z rynsztoków. Gdy wszyscy się poupijali, zapalili pochodnie i wyruszyli na ulice. Pijani robotnicy złapali polskiego krawca – łaciarza, zgarbionego człowieczka z długimi zwisającymi wąsami i ukoronowali go na polskiego króla. – Niech żyje polski król! – wrzeszczał pijany tłum”, obnosząc go ulicami (Sing. I, s. 282–285). Konkluzja wydaje się oczywista – w świecie przedstawionym *Braci Aszkenazych* Polacy zupełnie nie dorośli do godnej walki o swoje prawa. Zdają się tylko motłochem zdolnym do wszczynania pogromów, takich jak ten, który zakończył bunt łódzki w 1982 r.: „Zaiste brzydko się to wszystko skończyło. Bałuty drżały przed pierwszomajowym świętem. Dzień ten, mający być symbolem wolności i braterstwa, stał się symbolem zbrodni i rabunku” (Sing. II, s. 9). Jakże inni, w świetle tego, co powiemy dalej za I. J. Singerem o Nisanie, Tojwiem i Fajwlu, są Żydzi![55] Należy dodać, że S. Wrzosek przedstawił we wspomnieniach inną relację z tych wydarzeń. Rozruchy rozpoczęli mieszkający na Bałutach „pobytowi złodzieje”. Nie wiadomo tylko, czy był to wynik zapoczątkowanych przez

[54] „Około 4 i pół po południu tłumy robotników zapełniły wielki rynek. Przyniesiono tam trupy poległych [...]. Wystąpiło paru mówców i zaczęli dowodzić, że trzeba teraz wybrać wodza – «króla polskiego». I wybrano tego «króla polskiego»: został nim niejaki W., krawiec-łatacz z zawodu, którego i przedtem znałem i spotykałem. Zobaczyłem go też, jak wszedł na stół i zaczął mowę, której jednak z powodu odległości słyszeć nie mogłem. Gdy tak mówił, nagle od strony przeciwnej ulicy Konstantynowskiej wpadł silny oddział kozaków konnych. [...] Kozacy, tratując i rozpędzając tłum, rzucili się ku W. ..., pochwycili go i popędzili ulicą Konstantynowską. [...] Podobno zsieczono go okrutnie, potrzymano krótki czas i wypuszczono” (S. Wrzosek, *Bunt łódzki*...).

[55] I. J. Singer „bunt łódzki”, który zakończył się krwawą interwencją wojska i policji, podporządkował, jak wspomniano, własnym celom; widać to zresztą w ujęciu Polaków i Żydów podczas majowych zamieszek:

„Osowiali, zawstydzeni [przywódcy], z oczyma utkwionymi w ziemi, nie mogąc spojrzeć ludziom w twarz, błądzili po Bałutach przywódcy kółek robotniczych, którzy z takim zapałem i wiarą wzywali tkaczy do wolności, do solidarności proletariackiej i braterstwa w pierwszomajowe święto. A oto wszędzie dokoła widniały ślady zniszczenia. [...]

– Dla was to [pogrom] jest nowością – mówi właściciel mieszkania do Nisana – ale myśmy już przywykli. Mieliśmy takie rzeczy w Rosji, mamy je teraz tutaj i będziemy je mieli wszędzie i zawsze, jak długo będziemy wśród gojów...

– Nieprawda! – zerwał się Nisan. – Tylko tak długo, dopóki będą ciemiężcy i uciemiężeni.

– Jest pan młody, młodzieńcze. Ja też tak kiedyś myślałem. Oni nas zawsze będą bili. Gdy zaprowadzono nowe maszyny w Łodzi, oni nas bili. Studenci zabili cara, oni nas bili. Teraz biją nas robotnicy, potem będą nas bili rewolucjoniści... wiecznie... my będziemy Żydami, a oni gojami...” (Sing. I, s. 287–288).

nich rozbojów, czy też skutek policyjnej prowokacji[56]. Wydarzenia te wpłynęły przygnębiająco na polskich robotników. Podobnie o pogromie Żydów pisze A. Humnicki: „[...] rozpoczęły się rozruchy antyżydowskie, co wpłynęło przygnębiająco na olbrzymią większość strajkujących, która nie brała w nich udziału". Autor wspomnień daje też przykłady robotników, którzy z narażeniem życia brali w obronę poszkodowanych Żydów (Humn., s. 391–392).

Artur Rubinstein w swoich wspomnieniach ukazuje typowe zachowanie policyjnych prowokatorów, które mogło prowadzić do pogromów lub kończyło się pobiciem nie tylko tych, przeciw którym prowokacja była kierowana, ale również ludzi postronnych. Typowym działaniem prowokacyjnym policji było wmieszanie się agenta w tłum uczestników legalnej manifestacji, zgromadzenia, pogrzebu lub uroczystości. W dogodnym momencie wykrzykiwał on coś obraźliwego pod adresem cara lub rządu i oddanym strzałem dawał sygnał policji[57]. A. Rubinstein przywołuje również wydarzenie, którego jako dziecko był przypadkowym obserwatorem, a które na długo pozostało mu w pamięci. Sądząc z jego relacji, Żydzi byli częstymi ofiarami takich zamieszek[58].

---

[56] „Tam [na Bałutach] pobytowi złodzieje zaraz skorzystali ze sposobności i zaczęli rozbijać. Żyd rzeźnik, broniąc swej własności, trzasnął jednego z napastników toporem po głowie i zabił na miejscu. Czy to podziałało, czy też rzeczywiście, jak przypuszczano, policja, która w Łodzi, jak wszędzie, była w najlepszym porozumieniu ze złodziejami, wycofując się, dała im wskazówkę, aby bili Żydów, w celu zamącenia i sparaliżowania ruchu, dość że zaczął się na Bałutach straszliwy pogrom Żydów, rabowanie, pustoszenie mieszkań, mordowanie, szczególnie małych dzieci. Chociaż masa robotników łódzkich nie brała w tym udziału, jednak zajścia te zachwiały mocno ich nastrój, wzbudziły wahanie się i niepewność" (por. S. Wrzosek, *Bunt łódzki*...).

[57] A. Rubinstein, *Moje młode lata*, przekł. T. Szafar, Polskie Wyd. Muzyczne, Kraków 1986, s. 19.

[58] We wspomnieniach Artura Rubinsteina znajdziemy obraz zamieszek wywołanych niepotrzebną interwencją kozaków: „Za trumną spokojnie kroczyły setki jego towarzyszy pracy. Gdy nagle rozległ się głośny krzyk. Nie wiadomo skąd pojawiło się mnóstwo żandarmów, którzy z obnażonymi szablami wdarli się w tłum i zaczęli siec przechodniów. [...] Uczestnicy pogrzebu początkowo chcieli rozejść się, unosząc rannych, ale gdy żandarmi zaatakowali ich po raz wtóry, wpadli w gniew i zaczęli walczyć z napastnikami. Wtedy stała się rzecz straszna. Z bocznej ulicy wypadł oddział kozaków, wymachując nahajkami (nazywaliśmy ich kozakami, ale w rzeczywistości byli to sprowadzeni z Syberii Mongołowie). Na niedużych konikach, w czapkach zsuniętych na jedno ucho, z wściekłością natarli na tłum, bijąc wszystkich niemiłosiernie, a gdy ofiary z rozpaczliwym wrzaskiem uciekały, aby ocalić życie, w rozwścieczeniu kozacy napadali na niewinnych przechodniów, przeważnie starych Żydów w długich chałatach, tratując i raniąc, kogo popadło. Potem zabrali się do rozbijania witryn sklepowych. Wszędzie widniały ślady krwi, a na twarzach ofiar malowało się straszliwe przerażenie" (A. Rubinstein, *Moje młode lata*..., s. 19–20).

Wybuch drugiego wielkiego buntu w Łodzi do czasu odzyskania niepodległości w 1918 r. – rewolucji 1905 r., zwanej „czwartym powstaniem”[59] – był wynikiem ogólnego wrzenia, które ogarnęło imperium rosyjskie. Poprzedziło go pogorszenie warunków bytu klasy robotniczej na początku XX w., którego przyczyną był wzrost kosztów utrzymania spowodowany drożyzną żywności, z równoczesnym zmniejszeniem realnych dochodów w rodzinach robotniczych, wynikających z ograniczenia godzin pracy. Dezorganizacja rynku i komunikacji w Rosji w 1904 r. na skutek wojny rosyjsko-japońskiej oraz kryzys polityczny w imperium doprowadziły w 1905 r. do strajków protestacyjnych w Królestwie Polskim. W Łodzi rozpoczęły się one w styczniu. Początkowo strajki miały głównie charakter ekonomiczny i nie przynosiły spodziewanych efektów, fabrykanci nie byli bowiem skłonni do ustępstw. Nasilenie robotniczych protestów nastąpiło na przełomie maja i czerwca; określane jest mianem „bitwy o fabryki”, a organizowały je samorzutnie załogi fabryk, świadome swoich racji. Pomyślna koniunktura lat 1905–1907 ułatwiła zmianę stosunku fabrykantów do wysuwanych postulatów o poprawę warunków bytowych[60]. Druga grupa żądań, zwana konstytucjonalizmem fabrycznym, zmierzała do zorganizowania pewnego rodzaju samorządu fabryki, który tworzyliby delegaci pośredniczący pomiędzy zarządami fabryk a robotnikami.

W okresie rewolucji 1905 r. nastąpił w Łodzi burzliwy rozwój życia politycznego. Poza działającymi partiami, których charakter został nakreślony wcześniej, należy jeszcze wspomnieć o Bundzie, antysyjonistycznej, lewicowej partii żydowskiej, powstałej w latach dziewięćdziesiątych XIX w. Zaognienie walki klasowej, której rzecznikami byli ludzie młodzi zrzeszeni głównie w PPS, spotkało się ze sprzeciwem środowisk umiarkowanych i zbiegło z uaktywnieniem dążeń niepodległościowych. Na tym tle doszło do walk bratobójczych pomiędzy socjalistami i narodowcami, organizowanych przez bojówki partyjne. W końcowym etapie rewolucji (podczas wielkiego lokautu) przeniosły się one nawet do hal fabrycznych. Choć pierwszą ofiarą bratobójczych porachunków był robotnik narodowiec, to winę za powstanie konfliktu ponoszą obie strony. Stroną ekspansywną, atakującą byli jednak socjaliści. Wydarzenia rewolucyjne zakończył wspomniany wielki lokaut trwający od grudnia 1906 r. do marca 1907 r., ogłoszony przez właścicieli siedmiu firm bawełnianych. Decyzja fabrykantów o zamknięciu fabryk spotkała się z krytyką większości opinii

[59] K. Ratajska, *„Jedyna patriotyczna legenda Łodzi”*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica” 2002, nr 5, s. 115.

[60] Echa tych właśnie zmian znajdujemy w przywołanej wcześniej opowieści o starej Cywikowej, która po jednym ze strajków uwierzyła w socjalizm „przynoszony” przez jej syna do domu (zob. Strug).

publicznej; przemysłowcy uzasadniali konieczność jej wprowadzenia dezorganizacją produkcji i prześladowaniem pracowników administracji[61].

Charakter wydarzeń okresu rewolucji 1905–1907 r., związane z nimi nadzieje i problemy oraz wynikające stąd dylematy dla pisarzy i publicystów trafnie ujął A. Strug w *Dziejach jednego pocisku*:

> Przyszła wojna [rosyjsko-japońska], a z nią rewolucja. Wielkie strajki i krwawe demonstracje. [...] Dzień po dniu przynosił coraz to nowe nadzwyczajności, coraz to przedziwniej odmieniała się postać życia zbiorowego i postać duszy ludzkiej. [...] Jedni mówili, że to koniec świata, inni, że to dopiero początek. [...] Nie wiedzieli, co pisać, publicyści, nie wiedzieli, do czego się gotować, wodzowie narodu. Było dobrze, bo rząd tracił powagę i siłę, było źle – bo zbyt podnosiła głowę hołota. Było dobrze, bo musi się stać jakaś odmiana, było źle – bo ta odmiana mogła pójść za daleko. Dobre były demonstracje robotnicze, dobre były odezwy przeciwrządowe, dobre były zamachy – złe były strajki, drożyzna, upadek przemysłu i handlu. Dobrze robili socjaliści szarpiąc rząd, złe było, że rząd nie wzywa czynników miarodajnych do uspokojenia kraju. Dobrze było, że był niepokój – źle było, że nie było spokoju. Serca i umysły spodziewały się dobrego, oczy widziały samo zło (Strug, s. 88).

Rysując okres okołorewolucyjny, I. J. Singer ukazuje wrzenie i gniew poddanych cara Mikołaja II oraz intensyfikację działań ruchu socjalistycznego w obliczu wojny rosyjsko-japońskiej. Wszyscy mężczyźni od dwudziestego pierwszego do czterdziestego pierwszego roku życia zostali powołani do wojska. Mury, ściany a nawet płoty pokryły się zarządzeniami i obwieszczeniami władz oraz odezwami i ulotkami organizacji socjalistycznych i rewolucyjnych. Pierwsze wzywały do walki, odwołując się do uczuć narodowych, religijnych i patriotycznych, i informowały równocześnie, że ci, którzy sprzeciwią się woli najjaśniejszego pana, zostaną bez sądu rozstrzelani. Drugie, kierowane do tych samych ludzi, co pierwsze, wzywały do bojkotu wojny prowadzonej „przez japoński i rosyjski kapitalizm, ciemiężący chłopów i robotników". Ulotki zrywane przez policję i agentów pojawiały się na nowo w większej jeszcze liczbie, wywołując wśród rezerwistów nastroje buntu. Podobne zaczęły panować wśród żołnierzy, do których dodatkowo wysyłano mówców i agitatorów. Wojna rosyjsko-japońska i rewolucyjne wrzenie wywołały anarchię i chaos objawiający się napadami rezerwistów na sklepy z alkoholem, biciem konwojentów eskortujących żołnierzy i dezercją powołanych pod broń. By zogniskować ten bunt, policja zaczęła podżegać przeciw Żydom i przeciw nim zwrócili swój gniew chłopi, rabując żydowskie kramy, mordując Żydów, ich kobiety i dzieci. W całym imperium „wojskowe bębny i błogosławieństwa popów głuszyły lamenty pozostałych sołdackich kobiet

[61] *Łódź – monografia miasta...*, s. 51–54.

i krzyki bitych Żydów”. W robotniczych dzielnicach „gorzał płomień gniewu, nienawiści i rewolucji” (Sing. II, s. 17–18).

Wrzenie ogarnęło całą Rosję. Nisan przerwał swoją karę zsyłki, którą mu zasądzono po majowych rozruchach w 1892 r., i wrócił do Łodzi, mimo że zostało mu już niewiele do zakończenia wyroku. Uliczki Bałut zmieniły się nie do poznania. Mury były pokryte proklamacjami, a robotnicy swobodnie rozmawiali i agitowali. Nigdzie nie było widać policji.

A na giełdach robotniczych huczało i kotłowało się od ruchu i gwaru. Tkacze, szpulerki, pończoszarki, szwaczki, krawcy, szewcy w krótkiej odzieży i w długich kapotach, w czapkach i w chustkach, wszyscy oni uwijali się tu, rozmawiali ze swoimi delegatami, odbywali mityngi, ogłaszali strajki, prowadzili dyskusje, rozdzielali bibułę, zbierali składki członkowskie; ktoś nagle podnosił się na barkach towarzyszy i wygłaszał przemówienie. Prości Żydzi, kobiety, służące, ubodzy przekupnie, wszyscy przychodzili do „zjednoczonych” robotników opowiedzieć o swoich troskach, szukać sprawiedliwości. Na giełdy robotnicze przychodził biedak użalić się na złego „kamienicznika”, chcącego go wyrzucić z nędznej piwnicznej izby za to, że nie może płacić za komorne. Tu przychodziła biedna służąca lamentować, że gospodyni nie chce jej zapłacić za pracę. Żony furmanów przychodziły skarżyć się na swoich mężów pijaków, przepijających zarobki i nieprzynoszących ani grosza dla żony i dzieci. Terminatorzy oskarżali swoich majstrów, że ich biją lub że nie dają im jeść. Nawet żyjące źle ze sobą stadła małżeńskie, których rabini nie mogli pogodzić, przychodzili na giełdy robotnicze, aby szukać sprawiedliwości u „zjednoczeniowców” (Sing. II, s. 26).

Fragment ten ukazuje atmosferę towarzyszącą wydarzeniom rewolucyjnym, charakterystyczną dla całej Łodzi, nie tylko dla Bałut. W przedstawionych przez I. J. Singera pojedynczych przypadkach skarg służących, biedaków, żon furmanów idzie nie tyle o szukanie przez nich sprawiedliwości, ile o wiarę w siłę robotników i w solidarność, które zmienić mogą wszystko, nawet to, co nieodwracalne. Znękani życiem biedni ludzie uwierzyli w możliwość przemiany własnego losu, tak jak uwierzyła synowi i „jego” socjalizmowi stara Cywikowa. Siła rewolucyjnych wydarzeń była tak wielka, że robotnicy zaczęli nie tylko ufać w możliwość odmiany swojego życia, ale zapragnęli też być jej godni. Chcieli się uczyć i być czyści wewnętrznie. Warto zwrócić uwagę, że wykorzystywanie w fabryce przez majstrów, dyrektorów i właścicieli własnej pozycji wobec kobiet, o którym mówiliśmy wcześniej, miało i drugą stronę, nie mniej mroczną – wiele z nich oczekiwało takiego zainteresowania, upatrując w nim polepszenia swojego losu[62]. Teraz,

[62] Już wcześniej przedmiotem zainteresowania stała się kobieta i jej sytuacja w rodzinie i w fabryce oraz pozycja w społeczeństwie. Zob. np. artykuły: Dora Kłuszyńska, *Walka o polityczne prawa kobiet* [1911], Wojciech Szukiewicz, *Obowiązki etyczne* [1907], Józef Zieliński, *Kwestia kobieca* [1893], Ludwik Krzywicki, *Kto winien?* [1890], Ludwik Krzywicki, *Socjalizm i rodzina* [1884], Stanisław Posner, *Nad otchłanią (w sprawie*

w obliczu zmian, już sama myśl o tym była niegodna. Robotnicy dążyli nie tylko do własnej czystości moralnej, chcieli też, by czyste pod tym względem było samo miasto, dlatego nie tylko nie zamierzali znosić dłużej własnego wyzyskiwania w jakiejkolwiek postaci – przez majstrów, fabrykantów lub kamieniczników, chcieli też, by znikły przybytki wątpliwe moralnie. Charakterystyczne dla rewolucji 1905 r. było niszczenie domów publicznych[63]. Bez wiedzy o tym humorystyczny epizod powieści I. J. Singera, ukazujący atak rzemieślników na „uliczkę prewetów" pozostanie tylko anegdotą, tymczasem jest on również dowodem zachodzących w mentalności robotników zmian światopoglądowych.

W ciągu trzynastu lat od buntu łódzkiego w zachowaniach i świadomości robotników zmieniło się bardzo dużo. To nie są już ludzie pokornie proszący o zmianę warunków pracy. Charakteryzuje ich świadomość własnej siły i znaczenia w procesie produkcyjnym; wiedzą, że fabrykanci, nastawieni wyłącznie na zysk, niczego z własnej woli dla nich nie uczynią, gotowi są więc ponieść konsekwencje rozpoczętej walki: właściciel fabryki nie będzie miał spodziewanych zysków, oni i ich rodziny zostaną pozbawieni środków utrzymania. Przewidzieli tę ewentualność, tworząc kasy oporu. Żądania robotników są przemyślane, przedstawiane spokojnie, logicznie uzasadniane. Świadomość własnej siły nie prowokuje brutalnych zachowań. Fabrykanci szybko przekonują się, że robotników nie można już, jak wcześniej, wyrzucić za drzwi, zignorować lub pozbyć się, wzywając policję. Boją się ich nawet. Muszą z nimi pertraktować i postępować mądrze. Tę zmianę sytuacji doskonale ilustruje spotkanie Nisana z Maksem Aszkenazym. Syn podrabina z Bałut po raz drugi rozmawia z dawnym kolegą jako przedstawiciel robotników. Nie ma już potrzeby, jak kiedyś, obawiać się wyniosłej dumy fabrykanta. To raczej ten czuje się niepewny wobec robotników, nie wie, jak zwracać się do Nisana, próbuje różnych chwytów, ale nie osiąga niczego (Sing. II, s. 32–42). Podobną

handlu żywym towarem) [1903]. Za: *Kwestia kobieca*, http://lewicowo.pl/category/teksty/kwestia-kobieca (dostęp: 10.09.2012).

[63] „Nazajutrz wszyscy szewcy porzucili pracę w warsztatach, a także siodlarze, rymarze, garbarze i wszyscy pracownicy skórzanej branży. Przyłączyli się do nich zorganizowani poganiacze i rzeźnicy. Z pałkami w rękach i nożami w kieszeniach ruszyli na «uliczkę prewetów» i jęli niszczyć domy publiczne. Wyrzucali łóżka i pościel, darli suknie nierządnych kobiet, łamali stare pianina i niszczyli wiszące na ścianach nieprzyzwoite, litograficzne obrazy.

– Idźcie pracować! – krzyczeli. – Dość bajzli i łatwych zarobków!

Dziewki wrzeszczały, lamentowały i wydzierały sobie włosy z głowy. W zaułku powstał gwałt. Małżonka Zachariasza Pinca wydzierała sobie z rozpaczy swoją czarną, karbowaną perukę.

– Zachariasz, ratuj dziwki! – wrzeszczała. – Wyniszczą nam cały towar!

Ale Zachariasz bał się ratować. Robotników było dużo" (Sing. II, s. 31).

sytuację znajdziemy u M. Gawalewicza. Robotnik, który rozmawia z Lancetem – właścicielem i dyrektorem fabryki, przedstawiając postulaty załogi, użył słowa „żądać”. Kiedy zostaje poprawiony, że „żądać może tylko ten, kto płaci za robotę”, niezrażony stwierdza spokojnie: „No, to my przyszli prosić [...] wszystko jedno; my przyszli zatem prosić, jeśli panu prezesowi tak *recht*. O słowa przecież nie chodzi, prawda towarzysze? – zwrócił się do kolegów. [...] Więc my przyszli prosić – powtórzył z ironicznym naciskiem ten wyraz [...]” (Gaw., s. 446–454).

Nowa sytuacja zaczęła też wymuszać na robotnikach inne niż wcześniej zachowania; musieli być spokojni, zrównoważeni (przynajmniej starać się o to), a przede wszystkim mieli świadomość konieczności zapanowania nad instynktami i nieulegania im. Robotnicy dbali o „honor” – honorowe postępowanie, godne walki o własne prawa (Gaw., s. 476). Piętnowali burdy i rozboje, uspokajali zbyt krewkich towarzyszy, zakazywali psychicznego znęcania się. Warto tu zwrócić uwagę na ich stosunek do kobiet. Kiedy strajkujący zatrzymali uciekającą z Łodzi rodzinę fabrykanta[64], zadowolony zwycięstwem tłum zaczął w sposób gwałtowny, a potem nieprzyjemny żartować z uciekinierów i krzyczącej kobiety, jeden z robotników krzyknął wówczas na towarzyszy: „Stulcie no gęby!... Nie uchodzi; zawżdy co kobita, to kobita”. Inny uspokajał Lancetową: „Niech ta pani tak nie lamentuje, przecie my nie rozbójniki [...]” (Gaw., s. 474). Temu właśnie żona Lanceta zawdzięcza, że jej spotkanie z tłumem robotników podczas ucieczki z Łodzi skończyło się tylko na strachu (Gaw., s. 474). Przede wszystkim jednak robotnicy czuli siłę jedności i wspólnoty. Nie miała znaczenia przynależność narodowościowa, partyjna, religijna lub środowiskowa – byli towarzyszami niedoli i walki. To ta solidarność czyni robotników „zjednoczonymi” (Sing. II, s. 26–30); jedność nakazuje ustępować sobie nawzajem drogi podczas przemarszów, choćby miało się inne przekonania: „Towarzysze!... usunąć się na lewo, przepuścić naszych braci!... miejsca dla partii” (Gaw., s. 480) lub dać pierwszeństwo Żydom: „Stać!... miejsca dla towarzyszy Żydów!... Bundyści idą” (Gaw., s. 482). „We wzajemnych stosunkach robotników” – pisał I. Timkowskij-Kostin – „widzimy braterskie uczucia: w chorobie

[64] Z Łodzi w dniach rewolucyjnego wrzenia wyjeżdżały nie tylko rodziny fabrykanckie. A. Gliszczyński przytacza w reportażu wypowiedź łodzianina: „Takich uciekło ze 20 tysięcy [...]. Pouciekali do Koluszek, Andrzejowa, Piotrkowa, Tomaszowa, wreszcie do wsi, osad i miasteczek okolicznych. Pisano mi, że w Andrzejowie pod Łodzią kilkaset rodzin żydowskich obozuje pod gołym niebem. Porzucili sklepy i mieszkania i zbiegli w panicznym strachu”. A. Gliszczyński, *Łódź po zaburzeniach (1905)*, [w:] *Łódź, która przeminęła...*, s. 494. Na podstawie: A. Gliszczyński, *Łódź po zaburzeniach*, „Kurier Warszawski”, 2.07.1905, s. 2–4.

– troskliwość, w nieszczęściu, podczas strejków i lokautów – koleżeńską, natychmiastową pomoc" (Tim.-Kost., s. 11).

Rewolucja 1905 r., jak sama nazwa wydarzeń wskazuje, nie ograniczała się tylko do rozmów robotników z fabrykantami w sprawie zmian warunków pracy i wynagrodzenia oraz strajków, które robotnicy podejmowali, gdy pertraktacje kończyły się niepowodzeniem. Wypadki tego okresu charakteryzowała gwałtowność, niepokoje społeczne i dążenie do zmian. Miasto wyglądało inaczej niż zwykle:

> Na bruku nie widać było ani jednej dorożki, wszelki turkot ustał zupełnie, elektryczne tramwaje przestały krążyć. Tu i ówdzie drzwi i wystawy sklepowe przez przezorność zabite były sosnowymi deskami, które jasną, brutalną plamą odrzynały się od ciemnego tła kamienic. [...] W powietrzu czuć było jakieś naprężenie, jakąś grozę nadciągającej burzy. [...] Atmosfera wydawała się ciężka, jakby naładowana wybuchowymi gazami, które lada iskra mogła zapalić i spowodować katastrofę (Gaw., s. 478).

Ludzie niezwiązani bezpośrednio z wydarzeniami mówili szeptem i w taki też sposób podawali sobie informacje. Robotnicy i robotnice idący w pierwszej manifestacji szli całą szerokością bruku niczym powódź i stanowili potęgę żywiołu, który gotów jest zmiażdżyć wszystko, co spotka na swojej drodze[65].

We wspomnieniach okres ten utrwalił rozlegający się szczęk broni, wystrzałów karabinowych, salw, krzyków ludzi, trąbki pogotowia, a także ustawione w poprzek ulic zasieki i barykady uniemożliwiające ataki konnicy, albo resztki po nich w postaci rozrzuconych belek, desek, drabin, połamanych wozów i wszystkiego, co było pod ręką[66]. Przemarsze robotników i kondukty pogrzebowe liczyły po kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Po ogłoszeniu stanu wojennego wszelkie manifestacje, także oficjalne pogrzeby ofiar były zabronione. J. Tuwim utrwalił wydarzenia rewolucyjne w *Kwiatach polskich:*

---

[65] „Jakąś utajoną grozę miał w sobie ten tłum" – czytamy u M. Gawalewicza – „przeciągający środkiem miasta z jednego krańca na drugi, bez widocznego celu, bez określonych zamiarów. Przeciągał jak gromowa chmura, jak niemy, zdławiony huragan, który bez ryku, bez grzmotu, samym tchnieniem swoim mocen, zdawał się łamać całe lasy i zdmuchiwać góry, niby garść lotnego piasku... Ustępowało mu wszystko z drogi wylęknione, usuwało się i umykało w bok, aby nie być stratowane, spoglądało z zapartym oddechem, jak na widma, ciągnące długim korowodem bez końca. [...] Pierwsza wielka demonstracja robotnicza przesunęła się środkiem miasta, niby złowróżbna zmora... Strajk generalny stał się faktem" (Gaw., s. 478–479).

[66] P. Korzec, E. Szuster, *Łódzkie powstanie zbrojne w czerwcu 1905 r.*, Warszawa 1956, s. 41–42.

[…] Przewrócona na bok
Na szynach leży barykadą
W poprzek przez jezdnię (gdzie był Zielke,
A naprzeciwko Petersilge).
Za barykadą – tłum stłoczony,
A nad nią, w górę podniesiony,
Sztandar-wyzwanie, sztandar-gniew:
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew. […]

Piotrkowska, w stronę Grand Hotelu,
Jak wymieciona. Przed tramwajem
Beczki i skrzynie, a za nimi,
Z browningiem w ręku przyczajeni
Klęczą bojowcy patrząc w szarą,
Bezludną przestrzeń trotuaru
I pustą jezdnię. Nic. Martwota.
Cisza i tam – bo z morza tłumu
Nic nie usłyszysz prócz poszumu
Przybywających gromad ludzkich,
Co napływają od Widzewa,
Żeby na rynek iść bałucki:
Z Głównej, Nawrotu i Przejazdu
Strugami się w Piotrkowską wlewa
Burzliwy za przewałem przewał,
Zmierzając ku Staremu Miastu;
Ale się mało kto przepycha
Pod Meisterhaus i pod Urlicha,
Bo stamtąd, aż po barykadę,
W jedną się szczelną zbił gromadę
Milczący tłum, przy głowie głowa,
Jakby głowami wybrukował… […]
Wtem z krańca pustki w naszą stronę,
Od Benedykta, od Zielonej,
Sypnęło drobne rozproszone…
Przy każdym ostry punkcik stali.

Truchcikiem sypią mętni, mali,
Lecz rosną – już się ludźmi stali,
Sztykami prują pas martwoty,
Już rotą stali się piechoty
W krasnych lampasach furażerek.
Stanęli. A na czele roty
Maleńki, skoczny oficerek. […][67]

[67] J. Tuwim, *Kwiaty polskie*, Wyd. Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Warszawa 1978, s. 58–60 (fragment).

Poeta w chwili wybuchu rewolucji 1905 r. miał 11 lat. Fragment *Kwiatów polskich* poświęconych jej wydarzeniom możemy więc uznać za poetyckie „wspomnienie" wydarzeń, które musiały odcisnąć piętno na wyobraźni i wrażliwości chłopca. Traktowanie utworu jako źródła historycznego może być jednak zawodne[68].

W Łodzi zaprowadzony został stan wyjątkowy. Informowały o tym naklejane na murach wielkie obwieszczenia. Władze zabraniały gromadzenia się na ulicach, zbierania w mieszkaniach, rozpowszechniania złych wieści, sprzeciwiania się rozkazom policji i wojska, i powiadamiały równocześnie, że kto sprzeciwi się rozkazom, zgodnie z prawami wojennymi zostanie skazany na karę śmierci. Obok tych obwieszczeń, w ich miejscu, po zdarciu, lub bezpośrednio na nich naklejano proklamacje wzywające do gromadzenia się, demonstracji, strajków i protestów. Ulic pilnowało wojsko, aresztowano każdego, kto wydawał się podejrzany i poddawano represjom[69]. Okrucieństwo władz nie odstraszało rewolucjonistów i robotników. Rozrzucali nowe proklamacje, grzebali z honorami poległych, gromadzili się, maszerowali.

> Chorągwie – żydowskie, polskie, niemieckie, a wszystkie czerwone, łopocące – wznosiły się ponad odkrytymi głowami, ponad czarno-kędzierzawymi żydowskimi i gładko-konopianymi gojowskimi. Jednostajny tupot nóg, grzmiący śpiew, łopot chorągwi podniecał i budził zapał. Ze wszystkich bram, ze wszystkich zakątków napływały wciąż nowe strumienie ludzkie i zlewały się w wielką falę. [...] Na pierwszym rogu [ulicy Piotrkowskiej] stał oficer na koniu z obnażoną szablą w ręku. Za nimi stał sznur żołnierzy. Ich bagnety błyszczały w słońcu (Sing. II, s. 69).

Obrazy rewolucji u I. J. Singera i M. Gawalewicza w ogólnym wyrazie są niemal identyczne – tłumy ludzi biorących udział w manifestacjach, płynąca od nich siła, zdeterminowanie, odwaga i wola walki, a z drugiej strony – uzbrojone oddziały wojska gotowe do strzału i robiące z broni użytek, bo tłumy nie cofały się, a nawet próbowano przeciągnąć żołnierzy na stronę rewolucji. Pierwsze starcie mogło chwilowo powstrzymać

---

[68] K. Ratajska, *„Jedyna patriotyczna legenda Łodzi"...*, s. 123. Na temat obecności wydarzeń rewolucji 1905 r. w *Kwiatach polskich* Tuwima zob. tamże; R. Wierzbowski, *Łódzkie realia kwiatów polskich*, [w:] *Literatura i język łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978*, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978, s. 63–89.

[69] „Uzbrojeni sołdaci, prowadzeni przez prystawów i ich pomocników, krążyli po ulicach, wystawali na wszystkich rogach i rozpędzali, bili, ścigali każdego, kto tylko im się nie spodobał. W cyrkułach policyjnych stali w szeregach kozacy z nahajkami w rękach. Każda partia aresztowanych przyprowadzana z ulicy musiała przejść pod ich razami. Nahajki spadały jak grad, rozcinały ciało, krajały skórę w pasy" (Sing. II, s. 69).

żołnierzy i – jak pokazuje I. J. Singer – na ulicy pojawiały się barykady. Ślady po ulicznych walkach widoczne były długo po ich zakończeniu[70].

Okres wrzeń rewolucyjnych 1905–1907 r. to jednak nie tylko walka robotników z fabrykantami o godne życie. Ich jedność i solidarność załamały się w obliczu działań przemysłowców, które miały na celu odebranie robotnikom wywalczonych przywilejów. Rozpad pogłębiła agitacja różnych partii, także podział w 1906 r. w Polskiej Partii Socjalistycznej. Od jesieni tego roku Łódź stała się areną wypadków, które z samą walką o poprawę bytu robotników niewiele miały wspólnego. Bratobójcze walki pochłonęły nie mniej ofiar niż bezpośrednie starcia z policją i wojskiem. Niezwykle celną, choć anegdotycznie brzmiącą charakterystykę ruchu socjalistycznego dał w powieści A. Struga jeden z gości braci Jerke: „Pozawracali nam głowy inteligenci, delikatne panny, komitety! Strejki, organizacje, bibuła, gadanie, gadanie – a on, ścierwo jeden z drugim w pałacu siedzi i kpi z nas! i zawsze będzie bogaty, i zawsze będzie naszą krew pił!” (Strug, s. 73). Wpływ na walkę robotników wywarła również skomplikowana sytuacja Polski na arenie międzynarodowej i jej położenie geopolityczne. Robotnikom nieobcy był problem odzyskania niepodległości, przede wszystkim jednak stanowili oni siłę, o której pozyskanie warto było się pokusić, stąd też tarcia pomiędzy zwolennikami różnych opcji i wizji przyszłej Polski zaciążyły na ich ruchu. Problem ten zarysowaliśmy wcześniej. Zmiana sytuacji wśród robotników była przyczyną przyjazdu do Łodzi I. Timkowskija-Kostina, któremu „Łódź wydawała się zawsze jedną wielką bratnią rodziną proletariatu” (Tim.-Kost., s. 11).

I. J. Singer nie nawiązuje w *Braciach Aszkenazych* do bratobójczych walk, ukazuje natomiast bojowców PPS, Marcina Kuczyńskiego i Feliksa Feldbluma. Obaj prowadzili w Łodzi konspiracyjną drukarnię. Jak to u tego autora bywa, swobodnie wykorzystał on fakty historyczne do własnych celów, niewiele dbając o chronologię wydarzeń i ścisłość historyczną[71]. Biorąc pod uwagę dalszy rozwój akcji, możemy stwierdzić,

[70] „[…] najwięcej śladów niedawnych rozruchów widać na ulicy Wschodniej. W wielu domach dziury w tynku, a w mnóstwie szyb maleńkie otworki – wszystko od kul. Dom nr 11 przy tej ulicy ma ich bardzo wiele, a wielka kamienica pod nr 65 przy ul. Konstantynowskiej 65 jest cała podziurawiona. Gdzieniegdzie sklep zamknięty ze śladami okopcenia nad drzwiami i oknami: to monopole spalone, bez tych śladów zaś – to restauracje drugiego i trzeciego rzędu oraz piwiarnie i sklepy kolonialne ze spirytualiami, które, jak wiadomo, zamknięto” (A. Gliszczyński, *Łódź po zaburzeniach*…, s. 495).

[71] Z Kuczyńskim i Feldblumem spotykamy się w powieści jeszcze przed buntem łódzkim w 1892 r., kiedy PPS nie istniała, nie działała więc w Łodzi również, co oczywiste, socjalistyczna drukarnia. J. Piłsudski, na którego postaci pisarz kreuje Marcina Kuczyń-

że obaj bohaterowie byli przedstawicielami PPS-Frakcji Rewolucyjnej („Starych"). Nietrudno odgadnąć, że pierwowzorem Kuczyńskiego był Józef Piłsudski, a Feldbluma – Feliks Perl, polski działacz socjalistyczny i publicysta, jeden z głównych twórców niepodległościowej linii PPS, poróżniony później z marszałkiem. Już w powieści narrator sygnalizuje, że drogi obu rewolucjonistów rozeszły się. Choć Feldblum został oficerem legionów Kuczyńskiego-Piłsudskiego, nic już ich nie łączy i żadna wzmianka nie sugeruje, że kiedyś byli bliskimi współpracownikami. Wykreowany w powieści obraz J. Piłsudskiego zapewne nie spodoba się ani wielu Polakom, ani Żydom. W utworze jest on najwyraźniej żądnym krwi i pozbawionym skrupułów bojowcem, a do tego antysemitą[72]. Kuczyńskiego spotykamy ponownie w czasie rewolucji 1905 r., kiedy bierze udział w akcji pod Rogowem[73]. Zabija wówczas żołnierzy konwojujących wagon pocztowy, w którym przewożono pieniądze. Zdobył w ten sposób środki dla partii, która dzięki temu mogła rozwinąć szerszą działalność. Po akcji wraca do Łodzi i tu na jego trop wpada policja. Warto dodać, że I. J. Singer nazywa bojowców terrorystami. Wątpliwości,

skiego (możemy to jednoznacznie stwierdzić), mieszkał w Łodzi w 1899 r.; aresztowano go w lutym 1900 r. Nie brał udziału w akcji pod Rogowem, której dowódcą czyni go I. J. Singer; akcja pod Bezdanami, w której dowodził, miała miejsce po zakończeniu rewolucji 1905 r. i nie było w niej ofiar śmiertelnych.

[72] „– C. K. i C. K. [...] A mnie się nie podoba styl C. K. To jest napisane miękko i po inteligencku, nie tak jak trzeba dla robotników. Ja bym machnął taką proklamację, że robotnicy oblizywaliby palce. Tak na mokro...

– Ty wciąż tylko o krwi [...] Tylko rżnąć i mordować. To nie jest dobre. Trzeba ludziom przemówić do rozumów, a nie do instynktów.

– Bo ja jestem weterynarz i wiem, że zdychającego konia trzeba dobić bez żadnej ceremonii. A ty jesteś adwokat, dla ciebie tylko paragrafy i papierki.

– Ja wierzę w siłę słowa [...].

– A przede wszystkim jesteś Żydem, który boi się krwi [...] Takie metody mogą zyskać na Bałutach wśród anemicznych krawczyków i ręcznych tkaczy. Ale nie wśród naszych. Do nich trzeba mówić ich językiem... Na mokro... Cały C. K. jest obcy. Siedzą w nim sami inteligenci. Oni nie znają naszych robotników. Prawią im morały, jak w żydowskiej bóżnicy" (Sing. I, s. 275).

[73] Dowódcą oddziału biorącego udział w akcji pod Rogowem był Józef Montwiłł-Mirecki (ps. Grzegorz), powieszony w 1908 r. na stokach cytadeli. Jak wspomnieliśmy, J. Piłsudski nie brał w niej udziału. W akcji tej brało udział sześciu instruktorów oraz czterdziestu ośmiu bojowców. Na temat akcji i jej przebiegu możemy przeczytać we wspomnieniach jej uczestnika, Jana Kwapińskiego, *Akcja pod Rogowem*, http://lewicowo.pl/akcja-pod-rogowem (dostęp: 10.09.2012). Wspomnienia J. Kwapińskiego drukowane były w odcinkach w 1927 r. w „Robotniku"; w tym samym roku zebrano je w książce *Organizacja Bojowa – Katorga – Rewolucja Rosyjska*, wydanej nakładem Księgarni Robotniczej, z przedmową Ignacego Daszyńskiego. Drugie wydanie, zatytułowane *Organizacja Bojowa – Katorga – Rewolucja Rosyjska. Z moich wspomnień 1904–1919*, wydano nakładem Komitetu Zagranicznego PPS w Londynie w 1943 r. (za: Lewicowo.pl).

co do poczynań Kuczyńskiego miało też CK: „Nie chcemy już więcej mieć z tym, do czynienia – oświadczyli ludzie z «Ceka». – Nie wiemy już, gdzie zaczyna się terror, a gdzie bandytyzm, towarzyszu Kuczyński” (Sing. II, s. 80). W rzeczywistości akcja pod Rogowem była przeprowadzona tak sprawnie, że policja nie tylko nie odkryła, kto brał w niej udział, ale nawet nie wpadła na trop, który mógłby ją do poszukiwanych doprowadzić. Kuczyńskiego spotykamy po raz ostatni podczas brawurowej ucieczki. Zabił wówczas, co prawda w obronie własnej, ale z zimną krwią, policjanta (Sing. II, s. 79–83)[74]. Pośrednio słyszymy o nim w wolnym państwie polskim. To na Kuczyńskiego-Piłsudskiego i ustalone przez niego porządki zżymał się książę Pącz-Pączewski, który ubolewał, że w Polsce na najwyższe urzędy nie powoływano rodowej arystokracji, „lecz obsadzano je często adwokatami, partyjniakami, a nawet eks-więźniami i różnym motłochem” (Sing. II, s. 249)[75].

Zwolennikiem PPS nie jest również, choć z innych powodów, Z. Bartkiewicz. Uznał ją za partię wykorzystującą robotników i ich cierpienie do własnych celów, mamiącą skrzywdzonych ludzi kłamliwymi hasłami równości i sprawiedliwości, prowadząc ich do zbrodni i takich przewartościowań, że „głupi” stawał się „złym, ukrzywdzony zbójem krzywdzącym, zaś mądry kupiec-przywódca z krwi żyznej plon zbiera. Jak świadczą zamknięte bilanse P. P. S. i Ska” (Bartk., s. 17). Z. Bartkiewicz dostrzega nie tylko zło w tej partii, ale też łatwość, z jaką ludzie ulegają złu.

---

[74] J. Piłsudski na czele grupy bojowców z PPS dokonał pod Bezdanami na Wileńszczyźnie napadu na wagon pocztowy, przewożący 200 tysięcy carskich rubli. Akcja miała miejsce 28.08.1908 r. i nikt w niej nie zginął. Brali w niej udział m.in. W. Sławek, A. Prystor, Tomasz Arciszewski i A. Szczerbińska. Atak zwolennicy PPS nazywali ekspropriacją, czyli rekwizycją carskich pieniędzy uzasadnioną potrzebami walki o niepodległość. „Bojowcy podróżowali jako zwykli pasażerowie pociągu. Sławek, który wsiadł na jednej z wcześniejszych stacji, dyskretnie rozdał im broń. O umówionej porze wspólnie opanowali wagon pocztowy, terroryzując pracującą tam obsługę telegrafu. Pieniądze szybko zapakowano w worki, sprawnie i bez strat opuszczono pociąg, po czym uczestnicy akcji rozjechali się w różnych kierunkach. Fundusze zdobyte w Bezdanach posłużyły do spłaty długów organizacji oraz wsparcia uwięzionych towarzyszy i ich rodzin. Część trafiła do skarbu wojskowego, który posłużył później do utworzenia organizacji strzeleckich. […] Dla zwolenników Piłsudskiego Bezdany stały się symbolem jego odwagi […]. Dla przeciwników – dowodem, że […] jest podejrzaną personą o bandyckiej przeszłości”. Za: P. Semka, *Skok stulecia*, http://www.rp. pl/artykul/196122.html (dostęp: 10.09.2012).

[75] Nie tylko I. J. Singer nie przepadał za Piłsudskim. „Pamięć o Bezdanach” – jak stwierdza P. Semka – „powróciła w 1926 roku, gdy Piłsudski demonstracyjnie pojednał się z arystokracją na wielkim raucie w pałacu Radziwiłłów w Nieświeżu. Powstał wtedy złośliwy wierszyk: «To nie sztuka zabić kruka ani sowę trafić w głowę. Ale sztuka całkiem świeża trafić z Bezdan do Nieświeża»”. P. Semka, *Skok stulecia*…

Dziwnej urody [...] człek – pisze o spotkanym bojowcu – [...] Mówi niewiele, lecz lubi zdania mocne, porównania zuchwałe. Opowiada rzeczy ciekawe. Gdy jeszcze był praktykantem w bojówce i dano mu rewolwer, aby nabrał sprawności, a przede wszystkim oswoił się z bronią, paliła go ta czarna, chłodna „spluwa" w kieszeni. Rozpierało poczucie władzy i siły, a w mózgu dzwoniła myśl jedna, aż w końcu – zabił niewinnego człowieka. Ulżyło – niedługo, ale potem zrozumiał, że cóż to znaczy śmierć jedna, gdy trzeba ich milion – dla dobra. Z błaganiem o życie, widokiem krwi i szamotaniem śmiertelnym oswoił się prędko [...] (Bartk., s. 69).

Oswoił się do tego stopnia, że mówi o tym na zimno i z wyrachowaniem. Zabijać trzeba tak, by nie trzeba było dobijać. Bojówki, o których opowiada, istnieją w każdej dzielnicy i mają charakter militarny[76]. Swoje miejsce miały w nich także kobiety. Były śmiałe, nosiły broń, wykonywały wyroki bronią i nożem, podrywały do walki – gdy trzeba było, kupczyły swoim ciałem, gasiły podniecenie bojowe, jeśli widziały przegraną. Idealne towarzyszki walki, ale w swojej robocie zatracały się, lubiły pastwić się nad trupem, co już i „człekowi dziwnej urody" niespecjalnie się podobało. „Straszny człek" nie stroni od alkoholu, a jego umysł zdaje się zupełnie przeżarty agitacyjnymi, wypaczonymi hasłami walki o „wolność i równość" społeczną[77].

Nie był również zwolennikiem bratobójczych walk I. Timkowskij-Kostin. Jego sympatie były jednak zupełnie inne niż Z. Bartkiewicza, w innym świetle więc stawia socjalistów, na przykład:

Rodziny robotników socjalistów są jakieś jaśniejsze, czyściejsze. Są oni zwykle więcej oczytani, mówią językiem prawie książkowym, a chociaż z początku patrzą na obcego z niedowierzaniem, wystarczy kilka szczerych słów, aby to niedowierzanie rozwiać. Od narodowców, sam, rzeczywiście, nieraz słyszałem, że przyczyną wszystkich nieszczęść są Żydzi i że zamiast tego, żeby zabijać chrześcijan, lepiej byłoby skierować uwagę na „tych właśnie Żydków" (Tim.-Kost., s. 40).

„Zupełnie obiektywne i bezstronne wrażenia, które się odnosi przy zetknięciu z nimi [narodowcami], to – głęboka ciemnota, nieprzejrzany mrok myśli" (Tim.-Kost., s. 40); nazywa też narodowców szumowinami (Tim.-Kost., s. 31–35). Znajdziemy w jego reportażach także krytykę

[76] „Na czele dzielnicy stał instruktor, który dowodził pięcioma bojówkami [...], a każda składała się ze starszego, trzech zwykłych i ucznia. Poza tym starsi stanowili główną dzielnicową piątkę; ona to wykonywała wyroki partyjne, zaś na zwykłego szpicla szedł byle dzieciak – dla wprawy. O celu bojowej wycieczki wiedział zawsze tylko jeden, inni musieli być mu posłuszni, choćby skazany był ojciec czy brat. Bywało i tak" (Bartk., s. 69).

[77] „Z fabrykantem nie może być porozumienia – mówi straszny człek. – I to panu powiem, że nie będzie porządku przedtem, póki ich połowa nie padnie... I padnie... A jeżeli nie ja, to moje dzieci będą ich pruć. Ale przyjdzie ten czas, że i nad naszym czarnym życiem świt nowy zabłyśnie" (Bartk., s. 72).

stosunku Narodowej Demokracji do Niemców (Tim.-Kost., s. 36–37) oraz jej programu, który jest jego zdaniem „śliski i nieuchwytny jak węgorz” (Tim.-Kost., s. 38). Petersburski dziennikarz nie ukrywa także swojej niechęci do PPS-Frakcji Rewolucyjnej, którą nazywa „najskrajniejszą partią rewolucyjną” i zarzuca jej brak dokumentów i uchwał (Tim.-Kost., s. 39). W pełni natomiast popiera PPS-Lewicę, która dowodzi konieczności współdziałania z rosyjskim ruchem wolnościowym i rosyjskim proletariatem. Wydaje się też, że mimo zapewnień o obiektywizmie i bezstronności jego reportaże są tendencyjne i spaczone komunistyczną ideologią i celowymi przekłamaniami rzeczywistości, jak choćby informacja o rodzinach socjalistów, które są „jaśniejsze, czyściejsze” i mówią „prawie książkowym językiem”.

Nieco inne światło na bojówki i ich działalność rzuca we wspomnieniach o Tomaszu Arciszewskim, jednym z przywódców Organizacji Bojowej PPS, późniejszym premierze RP na uchodźstwie w latach 1944–1947, A. Rżewski[78]. T. Arciszewski jako instruktor bojowy był w Łodzi w 1907 r., chwalony jest za odwagę, spokój i determinację w działaniu, dla

[78] Aleksy Rżewski (1885–1939) był działaczem socjalistycznym i niepodległościowym, urzędnikiem, prawnikiem, prezydentem Łodzi w latach 1919–1923. W wieku dwunastu lat został robotnikiem w łódzkiej przędzalni, trzy lata później związał się z Kołem Oświaty Narodowej i współtworzył nielegalne pismo „Polak”. Był członkiem PPS-Frakcji Rewolucyjnej. Brał udział w rewolucji 1905 r. W 1907 r. został zesłany na Syberię, skąd uciekł przebrany za kozaka. Najpierw przebywał w Niemczech, a następnie we Francji. Pracował jako robotnik fizyczny, działał także społecznie wśród emigrantów polskich; tworzył m.in. chóry, placówki kształceniowe i oddział Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Do Polski wrócił w roku 1912. Pracował w Łodzi jako motorniczy tramwaju, podjął również działalność socjalistyczną i niepodległościową. Prowadził m.in. werbunek do POW. W czasie wojny przebywał w Łodzi, a później w Lublinie, gdzie brał udział w rozbrajaniu oddziałów niemieckich. Po odzyskaniu niepodległości wrócił do Łodzi. W grudniu 1918 r. premier Jędrzej Moraczewski mianował go Komisarzem Rządowym, a w marcu 1919 r. Rada Miejska powierzyła mu godność Prezydenta Łodzi. W trakcie kadencji m.in. wprowadził w Łodzi powszechny obowiązek nauczania (Łódź była pierwszym miastem w Polsce, w którym dzieci zostały takim obowiązkiem objęte) i zadbał o rozwój placówek oświatowych, stworzył zalążki nowoczesnego systemu wodociągów i kanalizacji, rozwinął system pomocy społecznej i robót publicznych, wprowadził lokalny system ubezpieczeń robotników, powołał miejską bibliotekę publiczną. Po zakończeniu kadencji ograniczył aktywność publiczną; pracował jako naczelnik Urzędu Stanu Cywilnego. W latach 1927–1933 był starostą powiatu łódzkiego. Później wycofał się z życia publicznego, ukończył studia prawnicze i ekonomiczne, prowadził kancelarię notarialną. Po napaści Niemców na Polskę został w listopadzie 1939 r. aresztowany wraz grupą łódzkiej inteligencji. Rozstrzelano go w zbiorowej egzekucji, prawdopodobnie 20 lub 22 grudnia 1939 r., do dziś nie odnaleziono miejsca jego pochówku. Odznaczony m.in. Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych. Za: http://lewicowo.pl/wodz-bojowcow (dostęp: 10.09.2012).

nas bardziej interesujący jest fragment poświęcony roli policji w bratobójczych walkach:

> Policja carska ściągała wieczorem z ulic posterunki, sprzedawała broń, konfiskowaną robotnikom podczas pogrzebów, i zacierała ręce, że cudzymi rękoma pozbędzie się „kramolników" [buntowników – od rosyjskiego „kramoła": bunt, postawa wywrotowa – przyp. red. Lewicowo.pl]. Należało za pośrednictwem akcji bojowej, wymierzonej w pachołków carskich, zamącić sielankę z różnymi skrytobójcami i położyć kres wzajemnemu mordowaniu się robotników, co też potem częściowo się udało.

W dwa dni po brawurowym napadzie T. Arciszewskiego na wóz monopolowy z kasą ukazały się ogłoszenia gubernatora, wzywające mieszkańców do oddawania posiadanej broni. Wpłynęło to w znacznym stopniu na zmniejszenie walk bratobójczych[79].

Rewolucję, jak zaznaczyliśmy, zakończył wielki lokaut. Warto zwrócić uwagę, że fabrykanci w przywołanych utworach M. Gawalewicza, I. J. Singera i K. Laskowskiego zostali ukazani tylko jako ludzie żądni bogactwa i dążący do niego za wszelką cenę, gotowi nawet oszukiwać innych fabrykantów. Tak właśnie postępuje Herman Lancet, który na zebraniu właścicieli fabryk popiera wspólny front odrzucenia żądań robotników, a równocześnie, w tej samej niemal chwili telefonuje do fabryki, by podnieść wynagrodzenie swoim robotnikom. Ufa, że ci będą dzięki temu pracować, co zwiększy przy zastojach w innych fabrykach jego zyski (Gaw., s. 427–428). Podobnie postępuje Moritz Berliński, bawełniany król, bohater powieści K. Laskowskiego, poświęconej ostatnim akordom rewolucji w Łodzi. Chce on wykorzystać sytuację dla własnych celów, nawet za cenę upadku przemysłu w Łodzi: „Z fabryką i przemysłem w tym kraju jest już *aus*!" (Lask., s. 507) – mówi do swojego dyrektora. Możemy przypuszczać, że upadnie i samo miasto, skoro podstawą jego istnienia jest ten właśnie przemysł. Berliński nawiązał kontakty z producentami z Berlina i Moskwy. Za zniszczenie przemysłu w Łodzi, a czas ku temu jest odpowiedni ze względu na strajki, fabrykanci związani z tymi miastami mieliby oddać czterdzieści procent swoich zysków fabrykantom łódzkim za ogłoszenie upadłości i odstąpienie od konkurencji. Każda ze stron byłaby zadowolona – przemysłowcy spoza Królestwa znacznie zwiększyliby swoje dochody, skoro zniknie łódzki konkurent, natomiast fabrykanci miejscowi bez żadnego wysiłku otrzymywaliby stały dochód. Warunek jest tylko jeden – trzeba zamknąć fabryki. Berliński zachęca więc łódzkich

[79] A. Rżewski, *Wódz bojowców*, http://lewicowo.pl/wodz-bojowcow (dostęp: 10.09.2012). Na potrzeby Lewicowo.pl przedrukowano z pozycji: Aleksy Rżewski, *W walce z trójzaborcami o Polskę Niepodległą. Wspomnienia*, Wydawnictwo Księgarni Łódzkiej „Czytaj", Łódź 1931.

przemysłowców do lokautu. Zmęczeni przedłużającymi się strajkami, niepewną sytuacją, brakiem spodziewanych dochodów i rozłąką z rodzinami, które na czas niepokojów wyjechały za granicę, fabrykanci łódzcy z nielicznymi wyjątkami zgadzają się z nim.

Pomysł K. Laskowskiego wydaje się karkołomny, jednak – jak pisze Z. Bartkiewicz – obliczono w kryzysowej sytuacji zaburzeń, „[…] co jest interes, co nie jest interes, i ten, co wczoraj szalał z rozpaczy, że traci majątek, nieszczęście przeklinał, dziś – pełen otuchy. Bo już sobie obmyślił milioner – okrutny alchemik, jak złoto wydobyć z tej walki wyzysku z rozpaczą” (Bartk., s. 15). Należy podkreślić, że warszawski publicysta winą za bratobójcze walki wśród robotników obarcza również fabrykantów, którzy nie żałowali pieniędzy na skłócenie swoich pracowników, a także robotników różnych fabryk. Jedni dawali pieniądze, by wstrzymać pracę konkurencyjnych fabryk, inni oszukiwali obietnicami własnych robotników, póki nie wyprzedali zalegającego towaru (Bartk., s. 15). Taką właśnie sytuację rysuje K. Laskowski na początku powieści *Lokaut* w rozmowie pomiędzy Gotlibem i Janem Hutą, robotnikami z fabryki Berlińskiego. Ma się odbyć zebranie, na które przyjedzie, jak sugeruje Gotlib, „ktoś” ważny z Berlina. Wyraźnie też podpowiada, co robotnicy powinni czynić i stara się dla swoich potrzeb zdobyć Hutę, dając mu do zrozumienia, że widzi w nim „delegata”. Nastawia też „młodych” robotników przeciw „starym”, bardziej zachowawczym. W ogóle udaje osobę niezwykle zaangażowaną w walkę robotników, w rzeczywistości zaś działa z rozkazu Berlińskiego (Lask., s. 500–505).

„Pierwsza operacja handlowa” – jak obrazowo pisze Z. Bartkiewicz – „skończona”. Zalegający towar został sprzedany, robotnicy – skłóceni; „ciasno stało się w więzieniach”. Nadszedł czas na drugą operację – „padł wtedy – już z zagranicznego hotelu: lokaut – wyraz okrutny. Blade oczy rozwarł robotnik – zrozumiał. Możnowładcy wysłali do porozumień ajenta. Głód mu było na imię” (Bartk., s. 15). I. Tomkowskij-Kostin pisze w jednym ze swoich reportaży o wszechobecnym głodzie (Tim.-Kost., s. 14). „Wie pan, zdaje mi się” – mówi głodujący robotnik – „że lokaut to ogromny potwór […] ciągnie nas do przeklętej otchłani anarchii głodowej. Nie dajemy się jeszcze, chwytamy za ręce towarzyszów, za ich odzież, krzyczymy, błagamy o pomoc. Lecz wkrótce wyczerpie się ta pomoc, towarzysze znużą się, cóż wtedy?” (Tim.-Kost., s. 77). Ten dojmujący głód, towarzyszące mu ziąb i choroby musiały być nieodłączne od wielkiego lokautu i cechą charakterystyczną okresu czterech miesięcy, który obejmował. Na przykładzie rodziny Marczaków, która straciła pracę w zakładach Berlińskiego, jego skutki ukazuje również K. Laskowski. Widzimy jednak równocześnie solidarność rodzinną i ludzką oraz pomoc towarzyszy i partii, która czyni obraz nędzy mniej dotkliwym (Lask., s. 514–519).

Nie jest tak ważny bochenek chleba i srebrny rubel, który nie starczy na długo wobec potrzeb, ile sama ludzka pamięć i troska o potrzebujących.

Wielki lokaut, którego celem było w oficjalnych wypowiedziach fabrykantów uspokojenie wrzenia w Łodzi, w rzeczywistości służył odebraniu robotnikom wywalczonych przez nich praw i zakończył się dla nich niekorzystnie. Zlikwidowany został m.in. konstytucjonalizm fabryczny. Pretekstem do ogłoszenia lokautu było obrażenie dyrektora Stefensona przez robotników w fabryce Poznańskiego. Było to błahe zajście, któremu nadano dla doraźnych celów wielkie znaczenie. W rzeczywistości, nawet jeśli robotnicy źle z dyrektorem postąpili, dał on ku temu powody, zachowując się ordynarnie, policzkując pracowników fabryki, pchając robotnice uderzeniami w piersi (Tim.-Kost., s. 74). Żądanie M. Poznańskiego, by robotnicy przeprosili Stefensona i zgodzili się na zwolnienie co piątego z nich (w sumie 98 osób), było zbyt wygórowane. Wśród zwolnionych znajdowali się tacy, którzy dla Poznańskich pracowali sumiennie przez 25–40 lat; jednemu z nich należała się nawet emerytura (Tim.-Kost., s. 74).

Do lokautu przystąpiło siedmiu fabrykantów: K. Scheibler, I. K. Poznański, J. Heinzel i J. Kunitzer, L. Grohman, H. Grohman, K. Steinert, R. Biedermann. Pracę straciło wówczas 22 tysiące robotników i około 100 tysięcy ludzi znalazło się z dnia na dzień bez środków do życia. Maurycy Poznański nazwał nawet wprowadzenie lokautu „barbarzyńskim postępkiem", uzasadniał jednak jego konieczność „«anarchistycznym usposobieniem» łódzkich robotników" (Tim.-Kost., s. 16–17). Lokautem była oburzona opinia publiczna (w powieści K. Laskowskiego krytyce został poddany Berliński; s. 527), a także inni przedsiębiorcy (Tim.-Kost., s. 74–76).

Podejmujący w *Kronikach* problem rewolucji 1905 r. i wielkiego lokautu B. Prus zabrał głos także w sprawach ruchu socjalistycznego. Wskazywał jego zdobycze, takie jak rozbudzenie świadomości klasy robotniczej, dostrzeżenie przez nią własnej siły i wartości, domaganie się prawa do dobrobytu, szacunku i korzystania z przywilejów obywatelskich. Zdaniem pisarza, dzięki ruchowi socjalistycznemu robotnicy zorganizowali się i wywalczyli dla siebie skrócenie godzin pracy, zwiększenie zarobków, zapoczątkowali rozwiązanie problemu mieszkaniowego oraz emerytur dla siebie poprzez kasy emerytalne. Ponadto dzięki socjalizmowi ograniczono pracę dzieci w fabrykach i niegodne wyzyskiwanie kobiet. B. Prus, jak pisze K. Kołodziej, dostrzegał także ujemne strony socjalizmu, uznając za największy jego błąd głoszenie zasad walki klasowej. W sprawie wielkiego lokautu pisarz nie opowiedział się po żadnej ze stron konfliktu. Podkreślał, że traci na nim całe społeczeństwo. Strajk i lokaut krytykował za osłabienie sił narodowych, wzrost przestępczości i alkoholizmu[80].

[80] K. Kołodziej, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie…*, s. 194–197.

Na koniec warto wspomnieć, że choć temat krzywdy robotników, ich walki i bratobójczych porachunków był niezwykle trudny do rozważenia, to jednak można było spojrzeć na niego z takim dystansem, który pozwalał, nie raniąc niczyich uczuć, łagodzić antagonizmy między zwaśnionymi stronami. A. Strug wprowadził w tym celu braci Jerke, właścicieli restauracji dla robotników, usytuowanej na jednym z rogów ul. Wólczańskiej (Strug, s. 59). Bracia byli zupełnie do siebie niepodobni, pewnie dlatego że „Jedna muter ich rodziła / Po niejednym fatrze”. Jeden pokraczniejszy od drugiego.

Choć obydwaj byli Niemcami, jednak Fryc był Polakiem, Moryc był Niemcem. Moryc gardził Polską i uważał Łódź za odwieczne niemieckie miasto, i marzył o przyłączeniu Łodzi i Polski do wielkiego Vaterlandu. Fryc nazywał Niemców „szwabami” i „kartoflarzami”, choć sam nędznie mówił po polsku. Na tym tle powstawały między braćmi ożywione dyskusje publiczne, czyli kłótnie, które były ulubioną rozrywką gości (Strug, s. 62).

Żeby ten dziwny tygiel osobowościowy braci Jerke dopełnić, należy dodać, że Fryc – Polak był pepeesowcem, a Moryc – Niemiec należał do SD. Poza tym „Bracia byli to ludzie rozsądni, zapobiegliwi, sprytni” (Strug, s. 62). Przydarzyła im się niemiła przygoda z pociskiem, który przypadkiem do nich trafił, ściągając szereg komicznych w swoim wyrazie nieszczęść. Dały one czytelnikowi możność obcowania z napięciami emocjonalnymi okresu rozruchów w formie na tyle łagodnej, że rodzącej pytania o sens, potrzebę i logikę antagonizmów: „Słuchajcie Jerke, do was mówimy, który wy Jerke, nasz czy esdecki?” (Strug, s. 69); „Tak my bronim Gajera, jak ty Kaznakowa. Ale my mamy świadomość, a ty nie…” (Strug, s. 73); „Proszę o głos, towarzysze, kwestia formalna! Towarzysze z Polskiej Partii! Znowu, widzę, jakieś ciemne duchy narobiły plotek i zamieszania! Znowu wrogowie proletariatu oszkalowali SD!” (Strug, s. 71); „Moryc, żebyś ty naprawdę wstąpił do partii – to byś był na pewno w centralnym łódzkim komitecie” (Strug, s. 77), mówił jeden brat o posturze dwunastolatka, twarzy pooranej zmarszczkami i ozdobionej straszliwymi jak u karalucha wąsiskami, do drugiego, właściciela rozdętego ciała i nagiej czaszki z wyłupiastymi oczyma, z których jedno oko patrzyło na Bałuty, a drugie spoglądało na Widzew (Strug, s. 62).

Pocisk trafił do braci Jerke w szczególnie trudnym okresie:

Były to […] czasy, kiedy w mieście Łodzi robotnicy rządzili nie tylko po knajpach, ale i po fabrykach. Znosiła to długo firma Drajer. Stary Drajer, który sam kiedyś był prostym tkaczem i przez trzydzieści lat trzymał żelazną ręką swoich robotników, który przez sześćdziesiąt lat nie opuszczał Łodzi i przez sześćdziesiąt lat nie nauczył się po polsku, chorował z wściekłości, patrząc na bezczelne rozpanoszenie się anarchii, która czy to przez usta delegatów PPS, czy SD stawiała mu niemożliwe żądania, zaprowadzała swoje socjalistyczne porządki, sądziła jego dyrektorów, wymyślała mu, przewracała wszystko do

góry nogami – przez całe dwanaście miesięcy pierwszego roku rewolucji. Stary przeżył jakoś strajki polityczne, za które zapłacił całą dniówkę, przeżył szkody i straty, przeżył wiece, odbywane w godzinach pracy na jego koszt i w jego własnej fabryce, ale zobaczywszy raz na własne oczy, jak kilkuset wałkoniów obradowało rozsiadłszy się na drogocennych firankach ułożonych w stosy, dostrzegłszy, że palą papierosy w tak niebezpiecznym miejscu, rozpłakał się i dostał ataku sercowego. [...] Młody Drajer, który po polsku mówił jak Polak, zmienił dyrektorów i majstrów sterroryzowanych przez robotników i zaczął kampanię na śmierć i życie. Robotnicy ogłosili strajk, Drajer ogłosił lokaut. Walka trwała już od sześciu tygodni, a bracia Jerke robili kolosalne interesy, szynkując od rana do nocy przeważnie na kredyt. Były to jednak czasy, kiedy bracia Jerke – i nie oni jedni, wierzyli jeszcze w zwycięstwo proletariatu i w jego wypłacalność. Wierzyli w to sami robociarze, toteż wesoło było w knajpie. Nikt się nie martwił zatargiem, bezrobociem. Kobiety jęczały tam po domach, jak zawsze w takich razach, ale mężczyźni byli pewni wygranej i tego lonu [zapłaty tygodniowej lub dwutygodniowej], który im zapłaci Drajer za przepróżnowany czas. Tego domagały się partie, a ponieważ partie były potęgą, a u Drajera i podczas lokautu tym potężniejsze, że działały zgodnie – więc dlaczego nie miało być wesoło? (Strug, s. 60–61).

6.2.5. Diagnoza przyczyn klęski ideałów walki o wolność i równość społeczną w powieści *Bracia Aszkenazy* Israela Joshuy Singera

Świadomość klasowa robotników narodziła się z chwilą wkroczenia Łodzi w stadium wysokiego uprzemysłowienia. Spowodowały je mechanizacja przemysłu, napływ i nadwyżka siły roboczej, kolejowe połączenie z Europą, umożliwiające łatwy import surowców i eksport produktów, a także, co oczywiste, pomyślna koniunktura. Dopiero te czynniki umożliwiły rozwój przemysłu, który w początkowej fazie charakteryzował się bezwzględnym wyzyskiem ludzi i bezkompromisowym dążeniem fabrykantów do korzyści materialnych. Zwykło się ją nazywać okresem krwiożerczego kapitalizmu. Świadomość klasowa nie mogła ukształtować się w czasach młodości ojca Maksa Bauma, który nie chciał zmechanizować swojej fabryki. Stary Baum pamiętał jeszcze Łódź o uczciwym obliczu: „[...] to było dawno, kiedy w Łodzi panowała jeszcze uczciwość i nie było milionerów. [...] Ja byłem z Geyerem starym największą łódzką firmą. Pary, maszyn, elektryczności, weksli, tandety, plajt, podstępnych pożarów nikt nie znał nawet ze słyszenia" (Reym., s. 197–198). Z mechanizacją warsztatów stary Baum wiązał całą nieprawość, której był świadkiem u schyłku życia. Nie chciał więc niczego zmieniać w swojej fabryce, mimo że z dnia na dzień była coraz mniej wydajna, aż w końcu został w niej sam i jak duch jej doglądał. Nie potrafił być nieuczciwy i nie chciał takim się stać. Podobnie jak ojciec Symche Majera i Jakuba Binema, Abraham Hersz Aszkenazy jest symbolem starego porządku i uczciwości, który w wielkoprzemysłowej Łodzi nie miał racji bytu.

Budzenie się świadomości klasowej i drogę do socjalizmu ukazuje tylko I. J. Singer, co wydaje się oczywiste. Jego wiedza i doświadczenia, wynikające z bezpośredniej obserwacji rewolucji w Rosji, były zupełnie inne, aniżeli autorów piszących na przełomie wieków. *Braci Aszkenazych* oddziela od przyjętej przez nas cezury czasowej ponad dwadzieścia lat i o ten czas bogatsza jest wiedza autora. Na drogę ku socjalizmowi kierowały jego bohaterów różne pobudki, ale u jej podstawy zawsze leżała nędza.

Nisan Nusenowicz Szlamowicz Ajbeszyc, którego wszyscy znali jako Nisana, urodził się w biednej rodzinie. „Od małego dziecka, gdy tylko zaczął samodzielnie rozumować” wiedział, że winę za nędzę w domu ponosi tylko jego ojciec. Przez niego płakały małe siostry, chorowała matka, a on musiał zajmować się domem, choć był na to zbyt mały. Znienawidził więc ojca „za krzywdę matki i siostrzyczek, za smutek i przygnębienie, jakie rozsiewał wokół siebie [...] za całe swoje smutne i biedne dzieciństwo” (Sing. I, s. 81–82). Religijność ojca ciążyła mu, wywoływała sprzeciw i niechęć do świętych ksiąg, modlitw, morałów, nakazów Zakonu. „Najbardziej zaś nienawidził pojmowania Boga przez swojego ojca: jako Boga zemsty i mściwości”. Bóg ten żądał od człowieka bezwzględnego posłuszeństwa i zdawał się wiecznie niezadowolonym z tego, co się dla niego robiło (Sing. I, s. 82).

Droga Nisana do socjalizmu była typowa: zbuntowany przeciw ojcu, nie mogąc jednak jawnie okazywać swoich uczuć, czynił wszystko, co – jak wiedział – mogło ojca gniewać: opuszczał słowa podczas modlitwy, rozdzierał papier w sobotę, patrzył na krzyż w kościele, jadł mleczne potrawy zaraz po mięsnych, nie przestrzegał postów (Sing. I, s. 82–83). Ta dziecinna gra z ojcem, który był jej zupełnie nieświadomy, doprowadziła Nisana do Fajwla, handlarza szmat. Pasją tego człowieka było kupowanie wywrotowych książek i uświadamianie za ich pomocą młodych ludzi. Wyławiał ich i ściągał do siebie, by uczynić heretykami. Dawał im pieniądze, utrzymanie, nocleg i ubranie, byle tylko podburzyć ich przeciw Bogu: „Tylko oświata, postęp i praca”, przypominał studiującym u niego chłopcom. W jego domu właśnie Nisan przeszedł od dziecinnego buntu do prawdziwego przeciwstawienia się ojcu, choć sam nie był tego świadomy. Fajwel od razu spostrzegł, że chłopiec jest niezwykle inteligentny, poświęcał mu więc dużo czasu. „Uczył go, uświadamiał, rozprawiał z nim poważnie i podziwiał go”. Nisan czytał bez żadnego planu i sięgał po wszystko, co tylko znalazł na półkach Fajwla. Uczył się niemieckiego z przekładu Biblii drukowanego hebrajskimi literami i nie rozumiejąc jeszcze dobrze po niemiecku, zaczął czytać filozofów. Zajmowały go traktaty i rozprawy, zachwycał się opowieściami i wierszami, a równocześnie interesował fantastycznymi opisami podróży i hebrajskimi rozprawami o astronomii i wyższej matematyce (Sing. I, s. 85–86).

Nisan był tak mądry, uparty i błyskotliwy jak Symche Majer Aszkenazy, którego wszyscy podziwiali. Syn ubogiego podrabina stanowił jednak przeciwieństwo Symche Majera w każdej z jego negatywnych cech: był czuły i wrażliwy na krzywdę ludzką, później, jako człowiek dorosły, gotów zawsze do poświęcenia, oddany ludziom, z którymi się związał i niezwykle lojalny wobec nich, zawsze mądry, dobry i prawy. Nie zajmowały go sztubackie żarty kolegów, nie pociągał występek. Los zetknął obu wielokrotnie, najpierw jako kolegów w szkole reb Noskego, ojca Nisana, a później jako przeciwników społecznych i politycznych. To właśnie za sprawą Symche Majera Nisan podążył drogą, która zbliżyła go do socjalistów, walczących o równość społeczną i sprawiedliwość dziejową. Tak przynajmniej w teorii miało wyglądać to, o co walczyli. Ubogi człowiek z Bałut i bogaty fabrykant pnący się coraz wyżej w hierarchii społecznej stykali się z sobą wielokrotnie i na krótko, a po każdym spotkaniu Nisan coraz bardziej oddalał się od swojego środowiska i umacniał w wierze w program socjalistów. Spotkania obu mężczyzn możemy uznać za symboliczne starcie nędzy i bogactwa, prawości i niegodziwości, altruizmu i egoizmu, które rodziło i kształtowało najpierw buntowników, a później rewolucjonistów. Wybijali się ci, którzy, jak Nisan, posiadali chłonne umysły, byli otwarci na świat, chcieli się rozwijać, byli pracowici i nie zajmowały ich błahe rozrywki ludzi młodych.

Za sprawą podstępu Symche Majera spowodowanego zazdrością o pierwszeństwo w szkole i przewodnictwo wśród kolegów ojciec wyrzucił Nisana z domu. Wbrew prośbom matki chłopiec zamieszkał u jednego z bałuckich tkaczy; wynajął się za naukę i utrzymanie. Chciał odbyć u niego trzyletnią praktykę. W zamian miał uczyć jego dzieci – córki czytać po hebrajsku i podpisać się na liście zaręczynowym, a synów rachunków i adresowania listu. Tkacz nie dopuścił go jednak do warsztatu. Nisan zwijał tylko bawełnę i kołysał kolejne dziecko majstrowej. Inni czeladnicy wyśmiewali go i wysługiwali się nim, a na Bałutach wytykano go palcami. On jednak w czasie swoich godzin pracy, zwijając bawełnę, wśród krzyków majstrowej i jej dziecka, poznawał z daleka tkacki warsztat i przeznaczenie jego poszczególnych części, a poza tym myślał o swoich książkach, które w dalszym ciągu czytał i pożyczał kolejne od Fajwla. Początkowo traktował swoją pracę jako tymczasowe zajęcie, które pozwalało mu uwolnić się od ojca. Ten z czasem zaczął go tolerować. Mimo całej pogardy dla ojca, Nisan odczuwał też w stosunku do niego ukrytą miłość, dlatego ciężko mu było, gdy słuchał ojcowskich westchnień nad sobą. Został jednak czeladnikiem i „na własnej skórze odczuł całe niewolnictwo terminatora. Jeszcze bardziej niż fabrykanci swoich czeladników uciskali mali majstrowie, chałupnicy, który brali surowiec do wyrobienia w domu" (Sing. I, s. 136). Drobni wytwórcy, narażeni bezu-

stannie na oszustwa i wyzysk, zmuszeni byli akceptować nieuczciwość większych przedsiębiorców, ponieważ od tego, czy otrzymają surowiec do pracy zależało ich życie. Znosili więc cierpliwie upominanie się o prezenty, niedoważanie surowca, a później oszukiwanie majstra przy wymierzaniu oddawanego towaru lub zapłatę wekslem, z którego trzeba było potrącić u lichwiarza procenty. Chałupnicy widzieli to wszystko i milczeli, a później „odbierali sobie za swoje u czeladników…” Ci cierpieli głód i żyli w nieludzkich warunkach; chałupnicy oszukiwali też przedsiębiorców, by odebrać od nich to, co im się należało. I tak trwała walka wszystkich ze wszystkimi, od której biednieli biedni i bogacili się najbogatsi (Sing. I, s. 136–146).

Los tkaczy na Bałutach zetknął Nisana z Tojwije Mejłachem Mendelewim Majerem Buchbinderem, znanym powszechnie jako Tojwije-„Porządek-na-świecie”. Był to zręczny tkacz pracujący w fabryce reb Chaima Altera, a później jego zięcia, Symche Majera. Biedny jak wszyscy wokół, ani myślał poddawać się biernie losowi. Zwykle zajmował się swoją pracą i nie interesował obecnością właściciela fabryki. Śpiewał nawet pod nosem wywrotowe piosenki. Zaczął on bałuckich tkaczy uświadamiać; mówił im o jedności i zgodzie w przeciwstawieniu się fabrykantom. Trudno było mówić o tym „zaharowanym, zgorzkniałym i udręczonym ludziom”, którzy początkowo słuchali go niechętnie, przewidując rychłe nadejście kłopotów. Mieli ich dość w codziennym życiu. Tojwije nie zniechęcał się jednak. Razem z nim zaczął też uświadamiać robotników Nisan, który doczekał się uznania wśród tkaczy. Był lubiany za to, że choć mądry i wykształcony, do tego syn podrabina, zaczął pracować i stał się jednym z nich. Łatwiej niż Tojwije docierał do ludzi. Wykorzystywał całą swoją mądrość, którą zdobył w szkole ojca i w bibliotece Fajwla. Razem przekonali udręczonych ludzi i założyli Stowarzyszenie Tkaczy z Bałut. Razem wywołali strajk, przekonali opornych i przyczynili się do jedności wśród strajkujących.

I tak los zetknął Nisana z Symche Majerem, dawnym kolegą ze szkoły ojca. To pierwsze spotkanie w nowej roli – rzecznika interesów tkaczy – nie było dla bałuckiego robotnika miłe. Symche Majer był tak wyniosły wobec dawnego kolegi, że Nisan poczuł się zmieszany. Nie wiedział, jak się do niego zwracać, onieśmielało go też bogactwo domu. Na nic zdała się jednak duma i pogarda właściciela fabryki. Robotnicy, mimo protestów żon i nacisków, dotrzymali przysięgi. Wtedy Symche Majer zwrócił się do policji i Nisana oraz Tojwijego aresztowano. Wrócili po kilku latach zmienieni nie do poznania. Nie poznała ich Kaile, żona Tojwijego, nie mogli rozpoznać mieszkańcy Bałut „ani z wyglądu, ani z ubioru, ani z litwackiej wymowy, a już najmniej z ich zachowania” (Sing. I, s. 231).

Jednak to, co się w nich zmieniło najbardziej, było niewidoczne na zewnątrz.

Nisan przez cały czas swego zesłania dużo się uczył i studiował, wiele go nauczyli studenci, którzy usunięci z uniwersytetów razem z nim przebywali na zesłaniu, a jeszcze więcej zdobył własną wytrwałą pracą. [...] Bardziej niż wszystkimi naukami zajmował się doktryną marksistowską, której wtedy nie znano jeszcze powszechnie w Rosji, a tylko po litewskich miastach i miasteczkach studiowali ją żydowscy rewolucjoniści i rozpowszechniali z wielkim zapałem. Z szalonym pragnieniem pochłonął nową naukę Nisan, został porwany jej logiką i głębią, jej prostotą i genialną konstrukcją. Nie rozstawał się z niemiecką książką „Der Kapital", miał ją zawsze przy sobie, jak pobożny Żyd tałes i tefilin. I jak jego ojciec, który sądził, że Zakon Boży należy nie tylko studiować, ale i rozpowszechniać jego nauki między ludźmi, tak i Nisan rozpowszechniał swój nowy zakon i wyśmiewał, i wydrwiwał tych, którzy nie chcieli go uznać (Sing. I, s. 233).

Nisan i Tojwije-„Porządek-na-świecie" przestali być tylko burzycielami i buntownikami, stali się socjalistami. Wraz z nimi przybyli na Bałuty inni zwolennicy nowej doktryny:

dziwni młodzi ludzie, długowłosi, w okularach, w rubaszkach na przygarbionych plecach, w studenckich czapkach na głowie lub w szerokoskrzydłych miękkich kapeluszach. Także dziewczęta, które widywano w ich towarzystwie, wyglądały równie dziwacznie i niezwykle: były skromnie ubrane i krótko strzyżone, zachowywały się swobodnie i paliły papierosy (Sing. I, s. 230–231).

Pod postacią Nisana I. J. Singer ukazał typową drogę człowieka z nizin do partii. Jak zostało powiedziane, Nisan był ubogim i doświadczonym przez życie chłopcem, który własną pracą i siłą woli uparcie dążył do celu. Na początku nie wiedział jeszcze, dokąd zmierza. Kierowała nim tylko chęć poznania. Im więcej wiedzy zdobywał, tym trafniej oceniał to, co widział wokół siebie. Ciężką pracą i mądrością zdobył posłuch wśród ludzi. Szanowali go, lubili i ufali mu. Przypadek sprawił, że spotkał na swej drodze socjalistów. Idea równości społecznej pociągnęła go i nie powinno to dziwić. Była niezwykle piękna, jeśli się patrzyło z tej perspektywy, z której Nisan patrzył na świat.

W powieści I. J. Singera spotykamy inny jeszcze typ socjalisty i inną drogę do zauroczenia socjalizmem. Feliks Feldblum pochodził ze zasymilowanej rodziny żydowskiej. Był studentem prawa, zrezygnował jednak ze studiów i

[...] poszedł w lud. Sam był synem bogatego człowieka, właściciela kilku szklanych hut i fabryk, ale stanął po stronie biednych przeciw bogatym. [...] Gdy ojciec umarł i zostawił mu jako jedynakowi cały majątek, sprzedał wszystko, a uzyskane pieniądze ofiarował swojej partii „Proletariatowi" [...]. Student Feldblum był synem Żyda i sam był Żydem, wiedział, że Żydzi są jeszcze bardziej uciskani przez carski reżim niż prości chłopi

i robotnicy, ale nie stanął w obronie żydowskiego ludu, nie oddał się sprawie biednych i uciskanych na żydowskiej ulicy. Albowiem będąc synem żydowskiego bogacza, został wychowany z dala od Żydów, nie znał Żydów ani ich języka, ani ich życia. W domu, we wsi, gdzie mieściły się huty i cegielnie jego ojca, wszystko było gojowskie [...]. Ojciec uważał się całkowicie za Polaka (Sing. I, s. 275–276).

Po opuszczeniu uniwersytetu Feliks Feldblum wrócił do Polski i z zapałem oddał się rewolucyjnej pracy. Początkowo agitował polskich chłopów, ale kiedy partia zwróciła uwagę na fabryki, przeniósł się do Łodzi. Nie zawsze spotykał się z zaufaniem. Chłopi i robotnicy traktowali go czasem nieufnie. „[...] podejrzewali go o jakieś żydowskie krętactwa” (Sing. I, s. 277). I. J. Singer w postaci Feldbluma zogniskował całą swoją teorię dotyczącą Żydów i żydostwa, którą wcześniej omówiono. Żyd zawsze pozostawał Żydem, nawet jeśli sam czuł się kimś zupełnie innym; wśród nie-Żydów zawsze był obcy i zawsze z powodu swojego żydowskiego pochodzenia znajdował się na drugim miejscu, choćby pierwsze bezsprzecznie mu się należało (Sing. I, s. 277–279). Problemu tego nie rozwijamy, interesuje nas bowiem tylko droga przedstawicieli różnych grup społecznych do socjalizmu.

Pomijając już przynależność etniczną Feliksa Feldbluma i wynikające z tego konsekwencje dla kreacji postaci, uosabia on charakterystyczny typ spiskowca wywodzącego się z bogatych sfer: człowieka wrażliwego i wykształconego, który wszystko poświęcił „sprawie”. W swoim przekonaniu nie może korzystać z jakichkolwiek dobrodziejstw, które są przywilejem jego warstwy, gdy inni w tym samym czasie cierpią z powodu biedy. Świadomie rezygnuje z przywilejów, którymi obdarzyło go życie – z bogactwa, a nawet wykształcenia. Jest biedakiem z wyboru i możemy domyślać się, że jego bieda jest tak samo dojmująca, jak tych, których życie na nią skazało. Z socjalizmem zetknął się podczas studiów, a poznana doktryna zawładnęła nim zupełnie. „Praktykę” wcielania w życie idei równości społecznej rozpoczął od buntowania robotników ojca. Jednak ci, dla których się poświęcił, nie rozumieli tego i podejrzewali o nieczyste zamiary lub żarty. Niektórzy zapewne sądzili też, że jest niespełna rozumu. Z czasem jego poświęcenie i praca, podobnie jak w przypadku Nisana, zaczęły przynosić efekty.

Oba typy spiskowców-rewolucjonistów, w różnych wariantach, były powszechnie znane w okresie PRL. Bohaterów I. J. Singera oraz postaci kreowane w okresie „spełnionej walki proletariatu” łączy jeszcze jeden charakterystyczny element – kobieta-partnerka szlachetnego spiskowca. Nisan posiada Baśkę, bezgranicznie oddaną jemu i „sprawie” córkę przyjaciela Tojwijego, którą – zdaje się – kocha, ale nie jesteśmy tego pewni. Feldblum kocha się, nie wiemy czy z wzajemnością, w pięknej Marii Licht, która oficjalnie jest jego żoną. Oba związki są zupełnie

platoniczne. Na miłość nie było podczas prowadzonej walki czasu[81]; poza tym takie uczucie mogło rozpraszać, a rewolucjonisty nic nie powinno wiązać; zawsze i wszędzie miał być gotów do podjęcia działania. A ponieważ spiskowców charakteryzuje czystość i niezwykła szlachetność, o żadnym uprawianiu przedślubnej miłości mowy być nie może. Dość już „napsuli" kobiet fabrykanci i ich majstrowie.

Bliższe przyjrzenie się losom spiskowców-rowolucjonistów – Nisana, Feldbluma i Tojwijego, bohaterów przedstawionych wyżej lub stworzonych przez innych pisarzy, a także ich walce i postawie, ukaże rysy na tych spiżowych postaciach lub na tym, o co walczyli. Ich podobieństwo z kreowanymi później, w czasach „spełnionej walki proletariatu", bohaterami w tym miejscu się kończy, gdyż ci dalej stanowili nieskażony niczym monolit ze spiżu, brązu lub marmuru, a słuszność idei, którą głosili, nie podlegała krytyce. Nie możemy też poddać jakiejkolwiek negatywnej ocenie Nisana, Tojwijego lub Felbluma. Ich szlachetność absolutnie nie podlega najmniejszej wątpliwości. Pęknięcia pojawiają się natomiast na realizowanej w praktyce ideologii, tak w mikro-, jak i makroprzestrzeni. Uświadomieni i przygotowani odpowiednio w powieści I. J. Singera robotnicy stają do walki o swoje prawa. Przestają być tylko bezwolną masą. Stają się świadomymi swojej siły ludźmi. Tak się przynajmniej wydaje. Jednak „Bunt łódzki" w 1892 r. kończy się pogromem Żydów. Sytuacja i robotnikom, i ich przywódcom wymknęła się spod kontroli.

Nisan trafił do więzienia i etapem miał jechać do Moskwy. Nie była to pierwsza jego droga, więc radził sobie doskonale. Obserwował ludzi jadących razem z nim i widział całą ich nędzę moralną.

> Dawne, wyniesione z ojcowskiej nauki sentencje o nicości natury ludzkiej jęły znów oblegać Nisana i przysłaniać mu umiłowane wizje wyzwolonej ludzkości. Przymykał więc oczy, jak za swoich chłopięcych czasów, gdy chciał odsunąć się od świata [...]. Cóż go teraz obchodzili ci ludzie, z ich miłością, brzydotą i samolubstwem? Cóż go obchodziło to całe robactwo, które się tu wzajemnie żarło, tak jak ich samych żarło zwykłe robactwo? Nie chciał na nich patrzeć. Jemu przyświecał ideał, daleki i piękny, dla którego warto było cierpieć, pracować, poświęcać się. Nie widział ludzi, widział tylko swoją ideę (Sing. II, s. 11).

W Nisanie zaszła bardzo niebezpieczna zmiana. Bardziej ludzcy niż on, ich przywódca, wydają się robotnicy, którzy w prostacki sposób okazują swoje uczucia. Skoro Nisan nie walczył już dla ludzi, to dla kogo

[81] „– Czemuż my uciekamy tak od szczęścia?" – pyta Nisana córka Tojwijego – „Czyż nie jest ono także i dla nas, bojowników?

– Tak, Baśka – powiedział Nisan – ale nam wolno będzie o nim myśleć dopiero po skończeniu naszej walki. Gdy wywalczymy wolność.

– A czyż my doczekamy jeszcze tego?

– Trzeba w to wierzyć, Baśka – powiedział Nisan z otuchą" (Sing. II, s. 73).

to czynił? Dla idei? Nie mogła ona przecież spełnić się wśród takich ludzi, jakich widział w Łodzi i jadących etapem. Jeśli nie dla idei, to po co podrywał ludzi do walki i wysyłał ich na śmierć? Dla siebie? Bo tak trzeba było?

Wśród takich wydarzeń, którym przewodził Nisan, podczas rewolucyjnego wrzenia 1905 r. zginęła Baśka. Była całkowicie i bezgranicznie podporządkowana „sprawie”, bo kochała Nisana i ufała mu. Jak tylko mogła, zawsze i wszędzie starała się mu pomóc. Intonując rewolucyjną pieśń, chciała powstrzymać uciekających z barykady mężczyzn. Powstrzymała ich, ale przypłaciła to życiem. Ta śmierć była tragiczna, ale była też tak przypadkowa i tak niepotrzebna, że aż groteskowa w swoim wymiarze: oto żołnierz siedzący na dachu wziął ją jako przypadkowy obiekt za cel i założył się z kolegą, że ją trafi. Stawką w tej grze był papieros. Wybrał ją, bo była widoczna – śpiewała i trzymała czerwony sztandar, nie dlatego że powstrzymywała uciekających mężczyzn. To tłumaczyłoby śmierć dziewczyny, to nadałoby jej bohaterski wymiar.

Równie groteskowy był jej pogrzeb:

> Na cmentarzu wygłaszano przemówienia, śpiewano rewolucyjne pieśni. Tojwije nie mógł tego słuchać. [...] Po co życie i wolność, kiedy Baśki już nie ma? Jak szpilki kłuły go słowa obcego człowieka z komitetu [...]. Przystojny, czarnooki, z długimi lokami i z twarzą okoloną bródką stał ten człowiek z komitetu i czarował swoją wymową. [...] Spoglądał wokół siebie dużymi, czarnymi oczyma, spostrzegał wywierane wrażenie i jeszcze bardziej wżywał się w swoją rolę. [...] Człowiek ten stał na grobie Baśki, na świeżej mogiłce ukochanej córki Tojwijego i wdzięczył się. [...] wyciągnął potem z zanadrza koszulę, ostatnią koszulę zmarłej, unurzaną we krwi śmiertelnej rany i podniósłszy ją zawołał:
>
> – Na krew tej zmarłej męczennicy przysięgamy zemstę!
>
> Tojwije wyrwał mówcy koszulę i wyszarpnął się zatrzymującym go ludziom, a publiczność była rozczarowana. Podniosły nastrój został zakłócony. Potem Tojwije usiadł na świeżo usypanej ziemi i spoglądał wokoło siebie oszalałymi oczyma. Obok niego stał milczący i posępny Nisan (Sing. II, s. 79).

Co właściwie stało się z ludźmi, którzy wszystko poświęcili walce? Czy Nisanem kierują jeszcze jakieś ludzkie uczucia, skoro walczy dla ludzi, ale nie jest już z nimi? O czym myśli nad grobem tej, która wszystko czyniła z myślą o nim? Czy czuje się w jakiś sposób winien tej śmierci? Czy kochał Baśkę? Czy był jeszcze zdolny do jakichś ludzkich uczuć? Czemu obcy mówca wygłasza porywającą mowę, stojąc na świeżej mogile kobiety, której nawet nie znał i wykorzystuje sytuację dla własnych celów? Komu i czemu ma służyć śmierć rewolucjonistki? Czy tylko umocnieniu wiary i siły wśród walczących? Nad innym grobem bohater Z. Bartkiewicza, robotnik, mówi:

[...] trzeba było widzieć, jak ich [poległych] tu chowali. Głowa przy głowie – tysiące [robotników, uczestników pogrzebu], i wszystko nasi, aż sercu serca przyrosło i nikt, panie, nie westchnął, ani jedna łza nie padła, bo twarde my ludzie. A kiedy, panie, trumny do dziury spuszczali, jak w ziemię wrósł każdy. Strach wtedy od tej cichości – ale i radość, bo cichy człowiek mocniejszy. [...] (Bart., s. 19–20).

Nie były więc potrzebne przemowy, by robotnicy dali znać o swojej sile. Czy porywająca przemowa „człowieka z komitetu" to tylko brak elementarnego poczucia przyzwoitości? A może są to oznaki początku lub całkowitego już rozdźwięku pomiędzy ideą a tymi, którym miała służyć?

Trzynaście lat później Nisan boleśnie przekona się, czym taki rozbrat się kończy. Upojony rewolucją, natychmiast po opuszczeniu więzienia poświęcił się działalności na rzecz nowego porządku: „Wśród tych wszystkich narad [które toczyły się w Dumie w pierwszych dniach rewolucji] i gadania, występowali ludzie i wymachiwali rękoma: Gadacie tylko i gadacie! – mówili. – A tymczasem robotnicy giną z głodu! Dajcie nam chleba! Otwórzcie sklepy spożywcze! My głodujemy!" Nisan całkowicie poświęcił się organizacyjnej pracy. Wchodził w skład różnych komisji, pracował przy utworzeniu „sowietu", brał udział w zaopatrzeniu ludności w żywność i dyskutował równocześnie nad interpretacją marksizmu (Sing. II, s. 159–162). Jednak dla niektórych ta nowa, długo oczekiwana wolność, była tym, czym śmierć Baśki i jej poplamiona krwią koszula dla „człowieka z komitetu" – sytuacją dogodną do realizacji własnych celów:

Wśród ponad 700 deputowanych, zebranych z całej Rosji na otwarciu Konstytuanty spotkali się dwaj łódzcy rewolucjoniści Nisan Noske Ajbeszyc i Paweł Ściński. [...] Ściński był gorącym zwolennikiem Lenina, a Nisan wciąż wierzył w głos ludu – w demokrację. Ogromny Pałac Taurydzki wyglądał raczej na koszary, niż na parlament. Wszędzie było pełno żołnierzy uzbrojonych w karabiny i ręczne granaty. [...] Na galerii było pełno wytatuowanych marynarzy. [...] Pierwsi wystąpili zwolennicy Lenina. Postawili wniosek, aby Konstytuanta przede wszystkim uznała ich władzę i zatwierdziła wszystkie wydane przez nich dotąd dekrety. Deputowani innych partii zawrzeli.

– Precz! Precz z dyktatorami! – wołały głosy.

– Nie Konstytuanta ma się wam podporządkować, ale wy macie się podporządkować Konstytuancie!

Wtedy jeden z członków rządzącej partii wydobył gotową rezolucję, która ułożył już zawczasu człowiek o nagiej czaszce i przeczytał zgromadzonym:

– Ze względu na to, że Konstytuanta jest przedawnioną formą ludowego przedstawicielstwa [...] formą nieodpowiednią dla obecnych czasów [...] z tego względu zgromadzenie Konstytuanty zostaje rozwiązane.

Deputowani jęli krzyczeć, protestować, hałasować, wymachiwać rękoma, ale wtedy łodzianin Paweł Ściński [...] dał znak uzbrojonym żołnierzom i marynarzom, że mają się zabrać do roboty. [...]

Wypędzony z Pałacu Taurydzkiego „Nisan [...]. Opłakiwał wielkie święto, którego doczekał, ale którego go pozbawiono. A na dworze trzaskały wśród nocy karabiny” (Sing. II, s. 176–178). Nie spotkamy już więcej Nisana. „Człowiek o nagiej czaszce, władca nowej Rosji” (Sing. II, s. 200), którego wcześniej obchodziła tylko „sprawa”, o czym informował znudzonym głosem, „prawem rewolucji” czynił wszystko „bezprawnie”. Swoje rządy zaczął od „oczyszczania”. „Pracę oczyszczania wykonał łódzki rewolucjonista, komendant «czerwonej» stolicy, Paweł Ściński” (Sing. II, s. 201).

Powieść I. J. Singera *Bracia Aszkenazy* ukazała się w 1936 r. Skutki walki o równość społeczną były doskonale znane autorowi, ponieważ doświadczył ich w bolszewickiej Rosji. Mógł więc zwrócić uwagę na zmiany w ruchu socjalistycznym i poszukiwać przyczyn niebezpiecznego dla samej idei kierunku, który ruch ten obrał. Idea, zdaje się twierdzić I. J. Singer, poszła swoją, niezależną od ruchu robotniczego drogą, tracąc z oczu tych, dla których powstała – uciśnionych i uciemiężonych. Na początku przecież wcale nie chodziło o robotników i dlatego Feldblum agitował chłopów. W kierunku robotników zwrócono się, gdy zauważono ich siłę zdolną zmienić oblicze świata. Jednak idea równości społecznej stała się w końcu pustym hasłem. W symboliczny sposób ukazuje to I. J. Singer na przykładzie Nisana, kiedy ten zdążał etapem do Moskwy. Bohater, jak się wydaje, nie wie już, jak na początku swojej świadomej rewolucyjnej działalności, dokąd zmierza. Na koniec wierzył już po prostu w samą rewolucję. Jak jego ojciec czekał na zjawienie się Mesjasza, tak Nisan oczekiwał wciąż rewolucji (Sing. II, s. 159). Niezwykle ważna dla upadku teorii walki o równość społeczną I. J. Singera jest przypadkowa śmierć Baśki, która może symbolizować poświęcających się robotników w imię bliżej już nieokreślonej idei, oraz przemowa „człowieka z komitetu”, który niepotrzebnie, ale prawdopodobnie we własnym interesie, czyni z Baśki męczennicę. Kobieta nie była męczennicą. Zginęła jak żołnierz na barykadzie, w walce, którą sama wraz z innymi wydała wrogom. „Człowiek z komitetu” zaś nie tylko popycha ludzi do dalszej walki w imię pustych już haseł, ale przede wszystkim napawa się własną przemową i jej porywającym charakterem, realizując jakieś bliżej nieokreślone, jemu tylko znane, cele. Przypomnijmy słowa robotników z Petersburga: „Gadacie tylko i gadacie! – mówili. – A tymczasem robotnicy giną z głodu!” On też tylko „gada” i poza nieszczęściem dla innych, niewiele z tego wynika. Wreszcie – walka o równość społeczną przybrała charakter walki o przejęcie władzy, a ta wcale nie musiała liczyć się z potrzebami robotników. Wystarczyło, że działała w „ich imieniu”.

6.3. Mit pozbawionego radości życia robotników

Cytowaliśmy wcześniej fragment rozważań powstałych w okresie Polski Ludowej, poświęcony walce robotników o godne życie. W tejże publikacji znajdziemy również wypowiedź poświęconą wypoczynkowi robotniczej Łodzi:

> Niewielkie możliwości kulturalnego spędzania wolnego czasu miały sfery mieszczańskie i inteligenckie, nikt także nie troszczył się o rozrywkę dla robotników. W niedzielę i święta wędrowali oni za rogatki miasta, w pole, do lasu lub do ogrodu na tzw. „Fafendorfie"[82]. Pikniki pozamiejskie były najczęściej okazją do picia wódki. W parku „Źródliska" tzw. Kwela uroczyście obchodzono corocznie Zielone Święta. Zabawa ta[83], popularnie nazywana „Fajką", była świętem ludowym, na które spieszyła cała ówczesna Łódź. Zjeżdżały tu liczne orkiestry, montowano huśtawki, karuzele, rozbijali swoje budy kuglarze i różnego autoramentu „artyści", dający „widowiska i dziwowiska" dla najszerszych kręgów publiczności. Również doroczny odpust w pobliskich Łagiewnikach (na św. Antoniego Padewskiego) stawał się okazją do zabaw ludowych na świeżym powietrzu. Na tych dwóch kościelnych uroczystościach[84] kończyły się możliwości atrakcyjnej zabawy dla ludzi pracy. W miesiącach zimowych rozrywki dostarczały sale tańca, które w końcu XIX w. przekształciły się w miejsce niewybrednej zabawy, częściej tu pito wódkę i awanturowano się, niż kulturalnie odpoczywano[85].

Przedstawione tu „możliwości kulturalnego spędzania wolnego czasu" zawierają półprawdy, nie są więc rzetelną informacją. Przede wszystkim – w końcu XIX w. Łódź dopiero wchodziła w fazę, w której zaczęły być bardziej widoczne przybytki kultury (o czym w następnym rozdziale). Jak do tej pory, była najbardziej demokratycznym miastem na świecie – to samo przedstawienie oglądali milioner, właściciel małej fabryki i ich robotnicy. Zważywszy jeszcze, że powstały w 1866 r. teatr Sellina nie miał balkonów i lóż – siedzieli wszyscy do czasu jego remontu i powstania w 1877 r. teatru Victoria na tym samym poziomie, wdychając zimą opary wydobywające się z piecyków. Przedstawiona tu sytuacja jest również przerysowana, bo możliwości elit miasta były oczywiście inne niż robotników. Trzeba też zwrócić uwagę, że zarysowane przez W. L. Karwackiego

---

[82] Przywołanie niemieckiej nazwy wyraźnie sugeruje, że był to zwyczaj niemiecki.

[83] Zwróćmy uwagę na sformułowanie: „[...] obchodzono corocznie Zielone Święta. Zabawa ta [...]". W istocie owe „Zielone Święta" to nie „zabawa", ale Zielone Świątki – bardzo ważne święto kościelne, którego rangę i znaczenie umniejszyły zarządzeniami administracyjnymi władze PRL. W okresie przedwojennym robotnicy mieli w związku z tymi świętami trzy dni wolne od pracy. Po wojnie ten przywilej zniesiono, uniemożliwiając tym samym uroczyste ich obchody.

[84] Okazję do zabaw na świeżym powietrzu dawały również święta patronów innych parafii, np. w parafii św. Wojciecha.

[85] W. L. Karwacki, *Łódź w latach rewolucji...*, s. 9.

formy rozrywki dla robotników w zupełności im wystarczały, gdyż innych nie znali, a te, które oferowało miasto, były im bliskie, ponieważ tak samo bawili się w swoich wsiach. Wreszcie – informacja: „nikt także nie troszczył się o rozrywkę dla robotników”, nie jest do końca prawdziwa. Kilka lat po zakończeniu rewolucji 1905 r. powstał Teatr Popularny Andrzeja Mielewskiego przeznaczony dla najszerszych kręgów publiczności, prezentujący wszakże ambitny repertuar. Robotnikami jako odbiorcami sztuki interesował się również Aleksander Zelwerowicz. Jak więc było naprawdę?

Życie mieszkańców Łodzi tego okresu, bez względu na narodowość, wyznanie i status majątkowy, porządkowały praca, rodzina i religia. Ta triada na równi wpływała na czas obowiązków i czas odpoczynku. W dalszej kolejności rytm ten uzależniony był od płci, wieku, świąt religijnych poszczególnych wyznań i świąt rodzinnych, więzi towarzyskich oraz od stanu posiadania. Zwykle sądzimy, że najciekawsze i najatrakcyjniejsze życie wiedli i wiodą ci, których los hojnie wyposażył w dobra materialne, a jednak

Życie codzienne fabrykantów łódzkich było dość monotonne – wspomina Jerzy Grohman[86]. – Mój ojciec był człowiekiem bardzo zajętym. Z samego rana wychodził do biura, o pierwszej był na obiedzie, a o trzeciej znowu w biurze. Do domu starał się wrócić na kolację, którą podawano o pół do ósmej. […] Duże przyjęcia z mnóstwem gości i specjalnie sprowadzaną orkiestrą odbywały się bardzo rzadko, natomiast spotkania w węższym gronie raz–dwa razy w miesiącu. Były to najczęściej obiady, kolacje lub podwieczorki. W naszym domu bywali aktorzy i pisarze – […] mógłbym wymienić Adwentowicza, Zelwerowicza, Witkacego czy Boya. Odwiedzali nas również politycy, począwszy od Witosa poprzez Daszyńskiego i Dmowskiego, a na Sikorskim skończywszy. […] Życie towarzyskie mojej rodziny nie ograniczało się do przyjmowania gości w domu. Ojciec miał pod Łodzią majątek, do którego zapraszał znajomych na kilku-, kilkunastodniowe polowania […]. Ze znajomymi spotykał się także w klubie tenisowym i na torach wyścigowych. Kontakty z innymi fabrykantami były częste, przeważnie jednak ojca i stryjów łączyły z nimi jedynie sprawy zawodowe. […] Bliższa znajomość łączyła Grohmanów jedynie z kilkoma rodzinami: Geyerami, Scheiblerami, Enderami i Eizertami[87].

Radość wynikająca z oddania się beztroskiej zabawie nie zależy jednak od wielkości sum, które na nią przeznaczymy, ani też od miejsca, które wybierzemy, by przyjemnie spędzić czas. Najważniejsze są przecież wrażenia i doznania, które pozwalają zapomnieć i odetchnąć od codziennych trudów i obowiązków. Temu przecież miał i ma służyć wypoczynek.

[86] Potomek fabrykantów łódzkich, minister ds. reprywatyzacji w kancelarii Lecha Wałęsy.

[87] W. Górecki, *Łódź przeżyła katharsis*, Biblioteka „Tygla Kultury”, Łódź 1998, s. 141–142. Zob. też P. Spodenkiewicz, *Piasek z Atlantydy*, rozmowy z Jerzym Grohmanem, Wyd. „Hobo”, Łódź 2006.

Choć niewątpliwie porównanie sposobów spędzania wolnego czasu Grohmanów przełomu XIX i XX w. i Traugotta Grohmanna – protoplasty rodu, wypadnie na korzyść jego potomków, to zastanówmy się, jak czułby się Traugott Grohmann przy, powiedzmy, Witkacym. Zapewne, jak Hünze, o którym mówiliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, wzdychałby do towarzystwa majstrów w „Bawarii" albo w „Paradyzie". Takie wartościowanie pozornie tylko ma sens.

O. Flatt, ukazując Łódź połowy XIX w., stwierdza, że nie ma w niej charakterystycznych dla miast „owych cukierni, kawiarni [...]; tu kilka zakładów z piwem bawarskim – oto i główne chwilowe wypoczynki dla ludności fabrycznej" (Flatt, s. 116–117). W przeciągu pięćdziesięciu lat wszystko jednak się zmieniło: ręczne warsztaty tkackie zastąpiły maszyny, obok parterowych domków pojawiły się wielkomiejskie kamienice i fabryki, powstały teatry, publiczne miejsca spotkań towarzyskich, banki, sale koncertowe, nowe świątynie, szkoły, hotele i parki; powstały także cukiernie (kawiarnie), o których Stefan Gorski pisał, że mają inny charakter niż w wielkich, europejskich miastach, ponieważ łódzkie pełnią funkcję giełdy i mówi się w nich tylko o interesach[88]. Obraz ten nie jest do końca prawdziwy.

Warszawski dziennikarz pisze o bogatszych mieszkańcach miasta, a nas interesuje w tym miejscu życie robotników i ich rozrywki. Czy było w nim w ogóle miejsce na zabawę? Wydaje się, że najpierw szesnastogodzinny, później dwunasto- i dziesięciogodzinny czas pracy skłaniał tylko do odpoczynku i nikomu przez myśl nawet nie przeszła jakakolwiek zabawa. A jednak nie jest to prawda. Piotrkowska w dni świąteczne stawała się reprezentacyjnym deptakiem nie tylko dla elit miejskich, korzystali z niej także robotnicy:

> Masy robotników poubieranych świątecznie w letnie jasne ubrania, w krzyczące kolorowe krawaty, w czapki o mocno błyszczących daszkach lub wysokie, dawno wyszłe z mody kapelusze, z parasolami w rękach, zalewały Piotrkowską, ciągnęli sznurami z bocznych ulic i tłoczyli się na trotuarach [...]; robotnice w cudacznych jaskrawych kapeluszach, w sukniach do figury, w jasnych pelerynkach, to znowu w chustach kraciastych na ramionach, z włosami gładko przyczesanymi i świecącymi pomadą i szpilkami złotymi, czasem wetkniętym sztucznym kwiatem, dreptały wolno, rozpierając się łokciami w tłumie, ochraniając w ten sposób sztywne, mocno wykrochmalone suknie albo rozpięte nad głowami parasolki, które jak wielkie motyle o tysiącach barw chwiały się nad szarą, wciąż płynącą rzeką ludzką, wzbierającą po drodze nowymi przypływami z bocznych, poprzecznych ulic (Reym., s. 114–115).

Wł. S. Reymont ukazuje tylko wygląd robotników w świąteczne dni. Ich zachowanie nie zdradza radości i chęci do zabawy, noblista w ogóle

[88] S. Gorski, *Łódź spółczesna. Obrazki i szkice publicystyczne*, Warszawa 1904, s. 13.

twierdzi, że robotnicy, zmęczeni trudami pracy, nie potrafią się bawić. Przeczą temu jednak wspomnienia łodzianek urodzonych na przełomie XIX i XX w.[89] Przywoływana przez nie przeszłość zdaje się sugerować, że robotnicy stosowali w praktyce maksymę Jana Kochanowskiego „miło szaleć, kiedy czas po temu”, choć znać jej, oczywiście, nie mogli. Ich wypowiedzi znamionuje radość, żywiołowość i spontaniczność, które z pewnością były charakterystycznymi stanami uczuciowymi, towarzyszącymi minionym zabawom i rozrywkom, choć te nie były w jakiś szczególny sposób wyszukane. Stanowiły je głównie spotkania towarzyskie w gronie rodziny lub znajomych w domach albo mieszkaniach prywatnych[90]. Dniem spotkań była zwyczajowo wolna od pracy niedziela, a przy wyjątkowych wypadkach także czwartek – dzień wypłaty. W famułach, zimową porą, częstym miejscem takich spotkań były korytarze i schody. Siadywano na nich lub na wyniesionych z mieszkań stołkach albo krzesłach.

W domach fabrycznych mieszkańców łączyły wspólne zainteresowania, ludzie dobrze się znali, wiedzieli o sobie wszystko. […] mężczyźni grali w karty, rozmawiali o polityce, o fabryce, omawiali zachowanie majstrów, wspólne interesy środowiska. Kobiety robiły robótki, uczyły się od siebie wzorów. Czasem ktoś przyniósł harmonię lub organki, wtedy wspólnie śpiewano […][91].

Czas wypełniały też wspomnienia, plotki, opowieści rodzinne, opowieści o wydarzeniach niezwykłych, zgoła fantastycznych lub tragicznych.

[89] Cytowane dalej wypowiedzi pochodzą z dwóch wyborów wspomnień łodzianek urodzonych na przełomie wieków XIX i XX, zbieranych z myślą wydobycia cech językowych mieszkańców Łodzi i będących w istocie materiałami do badań językowych (Wyb. 1989; Wyb. 1992).

Przywołane w tekście fragmenty wspomnień podaje się w taki sposób, by zapis odzwierciedlał wymowę, ale nie utrudniał odczytania tekstu. Z jednej strony więc, na przykład, zachowuje się pisownię *ó*, *rz*, *h*, mimo że słychać *u*, *ż*, *ch*, oraz pisownię wielką literą, z drugiej zaś podaje się pisownię zgodną z wymową, na przykład *sz* na końcu wyrazów zamiast *ż*, jeśli głoska ta znajduje się w odpowiedniej pozycji: *nósz*. Może jednak wystąpić też *ż*: *nóż do*…. W tym miejscu należy jeszcze zwrócić uwagę na głoskę *ŋ* (*n* tylnojęzykowe), której istnienia ogół Polaków nawet sobie nie uświadamia, jak na przykład w wyrazie pąk: *poŋk*.

[90] O sposobach spędzania wolnego czasu jedna z łodzianek informuje: „Noo, w Łodzi, to tak jak przed wojnom, to tak [można było się zabawić]. To jedni do drugich […] poszli […] w jedną niedziele, to na drugom poszło sie do koguś” (wspomnienia kobiety ur. w 1908 r. w Łodzi, Wyb. 1992, s. 33).

[91] *Łódź – dzieje miasta*, red. R. Rosin, t. I: *Do 1918*, red. B. Baranowski, J. Fijałek, PWN, Warszawa–Łódź 1980, s. 506. Sale tańca – „Tanzkränzchen” – nie cieszyły się jednak dobrą sławą i były uznawane raczej za domy schadzek, do których nie przychodziły robotnice dbające o swoją reputację. A. Gliszczyński, A. Mieszkowski, *Łódź, miasto i ludzie*…, s. 25–26.

Można się domyślać, że takie spotkania były też swoistym nośnikiem informacji i giełdą wiadomości o życiu miasta.

W przestrzeni publicznej miejscem spotkań były prywatne sale tańca, znane w Łodzi od 1863 r.[92] gospody, domy zajezdne, np. Paradyz, „tanc-budy", bretle[93], parki – Źródliska, a później Wenecja i Sielanka, lub place, na których rozstawiano wesołe miasteczka[94], także rynki przeznaczone również do świątecznych spotkań mieszkańców miasta. Prócz tych rozrywek codzienność urozmaicały występy podwórkowych śpiewaków, grajków, kataryniarzy, akrobatów, którzy w ten sposób zarabiali na swoje utrzymanie[95]. Łodzianie byli raczej wybredni i przeciętne lub złe przed-

[92] *Łodź – dzieje miasta*..., s. 507.

[93] „Zabawa na brytlach" – wspomina jedna z łodzianek – „bo to brytle nazywali. On [jeden z grajków] tam postawił takom szope. To nie była szopa, tylko dach i z jednej strony ściaŋka i takie potpory, żeby ten dach sie uczszymał. No i ten Śniady właśnie [...], a on był skszypkiem, to brał sobie muzykantów. Rźli [grali] tam co sobota od godziny dwunastyj i w niedziele ot południa znowuż do jakiej dwunastej. I płaciło sie za każdy kawałeg dziesieńdź groszy. Kto chciał tańczyć, to dziesieńdź groszy i w Wenecji tak samo brali dziesieńdź groszy ot kawałka. Chce pani tańczyć kawałka, to pani idzie do kasy, «prosze dwa bilety», no bo dwoje ludzi, czy dwie, czy dwóch, czy jak tam, to rozbijali na te pary. [...] I na pamjontke właśnie tego, to ja napisałam tak:

«Zabawa na bretlach w roku tysonc dziewincset czszynastym»
Tam na Chojnach, na Sadowy, w ogrodzie sołtysa Chinka,
dziesieńć groszy płacisz z góry, jeśli sobie chcesz pofikać.
Wieczorem f każdą sobote rżnie z orkiestrom Lutek Śniady,
on założył f Chojnach bretle, głowe ma nie ot parady.
Jedyn sezon tańcowali, troche wolno, troche fściekle,
miaz zaropku był deficyt, musiał Luteg zamknońć bretle.

No, zamknoł, bo nie wychodził na sfoje. Pszecież musiał muzykantom płacić, a mało było" (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 222–224).

[94] „Były tesz karuzele, były i były diabelskie młyny. [...] To jes tak jak karuzel, tylko [...] som długie liny i takie krzesełka, to nie wiem, sześć czy wiencej było takich naokoło. No ji jak sie fsadziło na takie kszesełeczko, to jedna drugom popychała, żeby jeszcze daleko, a jak jeszcze [...] chłopcy byli, to jusz nawed było strach, bo tak mocno popychali, że można było wylecieć. Ja bardzo lubiłam na tym diabelskim młynie jeździć. A mniejsze dzieci [...] to karuzel była, takie były koniki, bryczki, no to albo sobie z rodzicami wsiedli, albo sami, jak jusz starsze byli. [...] To znowu było takie wesołe miasteczko. [...] Ja jednego razu poszłam tesz i spotkałam mojego kuzyna. No i kuzyn mówi, choć pszejedziemy sie [...] tam była taka kolejka. No i bardzo mi sie spodobało, s tej kolejki nie chciałam zejść. Jeździłam, jeździłam, no i on późni poszed grać. To była znowu czekolada do wygrania. No to dosłownie na rence przyniosłam te czekolade, bo tyle nawygrywał" (wspomnienia kobiety ur. w 1908 r. w Łodzi, Wyb. 1992, s. 38, 41).

[95] Folklor podwórek łódzkich odnajdziemy we wspomnieniach łodzianki urodzonej pod koniec XIX w.: „Poznańskich było dużo, wienc Poznański, chtóry wybudował na Ogrodowej fabryke [...], późnij wybudował wielki pałac [...], no to o tym nie beńdziemy mówić [...]. Tylko był drugi Poznański, co chodził na popodwórkach, i miał tube od gr-mo--fo-nu. On chodził ze sfoją żoną. To jusz starsi Żytkowie byli [...]. Wienc oni jak pszycho-

stawienia ich nie zadowalały, choć też łatwo ulegali zauroczeniu. Podwórkowi artyści, by ich zauważono i nagrodzono, musieli wykazać się jednak wyróżniającymi ich umiejętnościami, dlatego też Poznański, który chodził z „lijem” (tubą od gramofonu) nie cieszył się szczególną popularnością i nagradzano go tylko z dobroci serca.

Prócz tych spotkań, które urozmaicały codzienność, dwa okresy co roku poruszały Łódź w sposób szczególny – zapusty, a zwłaszcza koniec karnawału, oraz rozkwit wiosny z jej ważnym świętem – Zielonymi Świątkami. Z zapustami łączył się zwyczaj „chodzenia po kolędzie” przebierańców. W podłódzkich miejscowościach w ostatki po wsiach i polach oprowadzano maszkary zwierzęce – Niedźwiedzia, Kozę, Bociana, Turonia, Koguta. Później ten zwyczaj, tkwiący korzeniami w magicznych praktykach związanych z siłami płodności natury, zaczął koncentrować się na stronie widowiskowej i orszak wzbogacano o Babę, Chłopa, Żyda, Żydówkę, Cygana, Cygankę, Diabła, Księdza lub Nowożeńców. Czasem towarzyszył im „Zapust” – zapowiadający koniec karnawału przebieraniec. Jego znakiem był wywrócony wełną na wierzch kożuch przepasany sznurem i wysoka czapka ozdobiona choinkowymi gałązkami i kolorowymi wstążkami. W Łodzi tradycja ta była nadal żywa. Kolędnicy

---

dzili na podwórza, to zafsze tak [śpiewali]: «Kaśka zapił ci kop, Maciek uciek pińć kop» i te ruchy i to fszystko. Wienc to był właśnie ten Poznański, który chodził po podwórkach i zarabiał na tym liju. [...] A skond on był, tego powiedzić nie moge. Jagby dzisiej, to bym go może zapytała. [...] [Z tego leja] nic nie wychodziło, on nic nie grał, tylko s tą Żydówką chodził. Ja se tak wyobrażam dzisiej, że ona go za reŋke prowadzała, to on niby paczszył na oczy, ale on nie widział. Nieraz mu ktoś rzucił grosz czy tam może pół grosza, a może kopiejke, bo pszeciesz to były czasy Mikołajewskie [za cara Mikołaja]. Acha, skont to powiedzonko «na liju Poznańskiego»? Bo nieras ktoś coś obiecywał: «no mówie, że ci to dam [...]». «No, pożyczysz albo oddasz – na liju Poznańskiego».

Kapele – chodziły właśnie. Czy to było małżeństfo, to nie wiem. On grał na gitarze, ona śpiewała. Ludzie! jak ona bardzo ładnie śpiewała! [...] Wienc prześpiewali jednom pioseŋke, raczej ona, później duet śpiewali i on grał na tej gitarze. A później [...] on zdjoł czapke, bo miał [...] takom cyklistófke i ona chodziła [...] i tom czpkom tak chfytała [pieniądze]. A późni byli znóf tacy, co chodzili z dywanikiem. Roskładali dywanik, no i tam jeden z nich [...] połykał nósz [...] rzeźnicki. Jag on to robił, to tego już nie powiem, tylko później to ja dowiedziałam sie, że on tag robił sztucznie, no sztucznie, ale może nie sztucznie, no tylko podłuk siebie, to może tak precyzyjnie [...], gdy on kłat [nóż do gardła], to on szeroko te usta otwierał i ten nósz kład wolno, w-o-l-n-o, asz czszonek sie [...] opar o zemby, później s powrotem [wyjmował]. [...] No to pszeciesz to cuda były nie s tej ziemi! [...] Później znóf, co jeszcze było: chodzili znóf – czterech – czterech i pieńciu. To były skrzypce, mandolina, gitara i taki bymbenek. I oni tesz śpiewali, śpiewali i grali. To był rok tysionc dziewińset, tysionc dziewićset ósmy – szósty – ósmy – f tych latach. [...] Wiendz oni bardzo ładnie śpiewali – tym to jusz sypali [rzucali pieniądze]. Bardzo ładnie. Kiedy pześpiewali, to oni grajom marsza, a tyn właśnie s tym bymbenkiem chodził, no i tam rzucano mu [pieniądze] f to [do bębenka]” (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 218–222).

odgrywali krótkie scenki i otrzymywali w zamian poczęstunek lub drobne datki albo podarunki. Koniec karnawału był niezwykle barwny i wesoły, a punkt kulminacyjny osiągał na dwóch głównych ulicach miasta – Piotrkowskiej, a później także na al. Kościuszki, zwanej wcześniej Promenadą lub ul. Spacerową. Ostatkowe maskarady cieszyły się w Łodzi wielką popularnością. Szczególnie lubiano przebieranie się i takie maskowanie, by trudno było przebraną osobę rozpoznać[96]. Radosny nastrój ogarniał wszystkich i nawet surowy na co dzień, pilnujący porządku w fabryce majster, jakby oczekiwał jego dowodów i domagał się przebierania, tak przynajmniej wspominały ten dzień łodzianki pamiętające Łódź wielkoprzemysłową[97]. Możemy jednak przypuszczać, że nie wszyscy majstrowie patrzyli na tę zabawę przychylnym okiem.

Ten radosny nastrój i gotowość do zabawy potwierdza również popularna w okresie międzywojennym, znana prawdopodobnie już w początkach wieku (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 223) polka *Zapusty*:

> Zawsze klawo jest w zapusty, gdy nadejdzie czwartek tłusty,
> nie ma w roku takiej gratki, gdy cała Łódź ma ostatki.
> Szajblerowskie, grohmanowskie, psy robocze alartowskie,
> fabryczne to motowidło, no i gayerowskie bydło.
> Odwaliłeś tak na co dzień te swoje szesnaście godzin,
> chcesz się wstawić tak beztrosko, to wal brachu na Piotrkowską.
> Przebierańców tam niemiara, od Gayera nasza wiara,
> andryjery i auskiery, gremple, webry i flajery[98].

[96] „No, na ostatki, to jag w domu, to sie piekło ponczki. To jusz tam takie były [poprzebierane] małe dzieci, no takie średnie [wiekowo]. Pszychodzili, no i śpiewali, to tych tymi ponczkami sie częstowało. A później to znowu po ulicy chodzili, ostatnio to było tag, że było na aleja Kościuszki takie było jedno tam [miejsce], taki plac, no to tam różne popszebierane [osoby] były różnie. To sie chodziło tam i paczszyło. [...] Jak sie szło na wieczór s pracy, to nie było [można nikogo] poznać, tak sie bardzo ładnie przebierali. [...] No, nawet w nocy jeszcze [chodzili]" (wspomnienia kobiety ur. w 1908 r. w Łodzi, Wyb. 1989, s. 41).

[97] „Jak ostatki czy co, to na aleja Kościuszki, deruszkami [dorożkami], jak ci było pieŋknie, kochana. Sama byź jechała, sama byś sie bawiła, fszystko sie na aleja Kościuszki odbywało [...], tera nic nie ma. Teras sie dziecko troche umaże, a to były naprawde uroczystości. Doroszki, panowie, panie, fszystko grało tak, że sie żyć chciało. Do domu, śpiewali, pszebierali sie, te herody, to tamto. Teras cuż masz? Nic. Każdy sie boi [...], stracili coś, no okropnie, no tak pieŋknie było. Jag jusz specjalnie ludzie śli i każdy, ja sama sie ubierałam i przebierałam, za cyganki, za to, fszystko lecieliźmy na Piotrkoskom, na aleja Kościuszki. [...] Nawet f fabrykach żeźmy sie pszebierali. Majster fszystko zadowolony, nic nie kszyczał, że tam, mówi, no co, dzisiej się nie pszebierata?" (wspomnienia kobiety ur. w 1912 r. w Łuszczanowicach, Wyb. 1989, s. 224).

[98] *Zapusty*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi. Pokłosie konkursu*, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, R. XII–XV, Wrocław 1976, s. 204.

Drugi okres radości nastawał z początkiem ciepłych dni wiosennych. Może była to „atawistyczna” tęsknota za wsią i jej niezmiennym porządkiem narzuconym przez cykle przyrody, a może tęsknota za ciepłem słońca po zimowych miesiącach spędzonych w fabryce i zadymionym mieście. Dość, że w wolne dni, w ciepłe dni wiosenne i latem, łodzianie wybierali się na majówki do okolicznych lasów. Zwyczaj ten znany był już w czasach Łodzi rękodzielniczej, o czym wiemy od O. Flatta (Flatt, s. 117). Do lasu nie było daleko. Łódź do I wojny światowej zamykała się w granicach dzisiejszych ulic Kopcińskiego na wschodzie, Łąkowej na zachodzie, pl. Reymonta na południu i Starówki (traktu Brzezińskiego, dziś Wojska Polskiego) na północy. Łodzianie bawili się więc, na przykład, w lesie łagiewnickim, w lesie zwanym Szelągiem lub zagajnikiem (pozostałości po lesie otaczającym rolniczą Łódź, leżącym pomiędzy torem kolejowym i dzisiejszymi ulicami Kopcińskiego i Piłsudskiego; jego pozostałością jest park 3 Maja), w lesie szajblerowskim na Kowalszczyźnie (dziś Park na Młynku), w „Manilesie” (las na Mani), na okolicznych łąkach (np. Księże Łąki położone za kościołem św. Wojciecha) lub nad wodą znajdującą się w stawach pomłyńskich, na przykład nad Stawami Jana lub nad stawem w dzisiejszym Parku na Młynku. Udawano się też do Bretli (dziś park Wenecja), do lasu w Rudzie Pabianickiej lub stawów Stefańskiego w Rudzie[99].

Ważnym świętem wiosennym, trzecim dorocznym świętem łodzian po Bożym Narodzeniu i Wielkanocy były Zielone Świątki. Mieszkania i bramy majono wtedy brzeziną i tatarakiem, a tydzień przed ich rozpoczęciem zjeżdżały do Łodzi wesołe miasteczko i cyrk, „[...] które rozbijały swoje budy i namioty na pustym placu, normalnie służącym ćwiczeniom wojskowym. Wzdłuż fabryki Scheiblera instalowano kolejkę linową

[99] Por. *Łódź – dzieje miasta*..., s. 507. Potwierdzają to również wspomnienia łodzianek: „A tam, prosze pani, są Stawy Jana i [...] Szfaby. Ja to właściwie nie wiem, dlaczego Szfaby, [może] to dlatego nazywali, bo tam pszeważnie mieszkali Niemcy. Tam to były takie [stawy], za kościołem [...] Wojciecha. Na jednej stronie był staw i na drugiej był staw. No to jusz pamientam od dawien dawna, jeszcze jag byłam mała, to jak tam chodziłam na ten otpust, no to zafsze tam przy tych stawach sie siedziało, tam sie kompali i fszystko. [...]. No to tam [...] było pszeciesz tych kramarzy, tego fszystkiego tyle [...] człowiek tam nawed do kościoła mało poszet, bo miendzy tymi kramarzami chodził. No i tesz tam nieras coś sie zakreńciło, to sie coś wygrało, a to jakieś osópka, a to wazonik jaki. [...] Późnij to znowu sie poszło, po tym otpuście na te Księże Łoŋki, to tam się speńdziło [czas] do wieczora. A jak latem, to przeważnie brali sobie jeść tam, czy patefon, czy co i chodzili na pola. [...] no ji bawili sie, potańczyli, jak to młode. Na wycieczki sie chodziło, to chodziło sie rano, jag było tak ciepło, to w maju jusz sie chodziło na rose. [...] My tu żeśmy chodzili na Młynek. [...] Na ten Młynek żeśmy poszli, to łótki były, to na łótkach sie pojeździło” (wspomnienia kobiety ur. w 1908 r. w Łodzi, Wyb. 1989, s. 32–33).

i kramy ze świecidełkami"[100]. Pierwszego dnia świąt łodzianie podążali zwykle do Łagiewnik i po mszy świętej odbywała się tradycyjna majówka.

F pierfszy dzień Zielonych Śfiontek to robotnicy, prawie cała Łóć, to szła do Łagiewnik. [...] Krańcófka była na Górniaku, [...] a później sie dojeżdżało do ryŋku, do Starófki, a tam jusz sie szło pieszo. [...] Zawsze mielim msze śfientom zamówionom. To lasami sie szło, a później żeśmy otśpiwali msze śfientom i po mszy świenty – w lasy i żeśmy sie bawili, bo takie wycieczki były. Wienc robotnicza Łóć pierwszy dzień Zielonych Śfiontek to spędzała w Łagiewnikach pszy tej wodzie, pszy tym cudownym źródle, no i tag dalej [...] (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 155).

Wyjeżdżali my do lasu, bawiliźmy sie, koc sie podłożyło, na tym kocu, prosze pani, jedzenia, tam nie było wótki. Tutaj była majówka, f parku czszeciego maja [...]. Na harmoni grali, tańczyliśmy, bawiliśmy sie [...]. Do Łagiewnik się jeździło, no to bawili sie, każdy. Jedna wzieła to, druga wzieła to, czszecia to, a meszczyźni wótki [nie brali] [...]. Tam tylko były miłości, jeden drugiemu wyznawał, a to ja ciebie kocham, a to to, na spacerek, to tamto, jag młodoź wyglondała, to była majówka [...] późni sie śpiewało, na pary sie szło do domu i spędzało sie, a f poniedziałek, kto miał iź do roboty, to poszet, meszczyźni tak samo. Orkiestra grała asz hej, po ty trawie wywijali różne tam fokstroty, jakie tylko, co tylko było na śfiecie. Tam nie było takich jak tera gibasów, tylko tam oberki, takie żeby było słychać [...]. To my sie złożyli na te muzyke, wzieliźmy sobie, zapłaciliśmy (wspomnienia kobiety urodzonej w 1912 r., Wyb. 1989, s. 232–233).

Taneczne szaleństwo majówek i ich żywiołowy charakter ukazywało wiele piosenek, dziś zupełnie już zapomnianych, na przykład: *W Helenowie*, *Cztery mile lasu*, które chętnie śpiewano podczas spotkań i zabaw.

W Helenowie raz byliśmy w taki piękny czas,
we wspomnieniach tylko został deptak, no i piękny las.
Potem znowu w Mani lesie ziemia miękka, że aż strach,
Mańce serce niby młotem, biło w rytmie rach ciach, ciach.

Mańka wstawaj, niech cię kolka, podnieś giry, idzie polka,
ja się już na nogach chwieję, pot się ze mnie ciurkiem leje.
Ona mówi, nie bądź frajer, bo i mnie przenika fajer,
Chociaż wszyscy polkę wolą, mnie od tańca nogi bolą[101].

Cztery mile lasu, półtorej leszczyny,
Oj, nie ma tu w Łodzi porządnej dziewczyny.
Same elegantki, same fidrygantki,
sukienki podarte, a idą na randki. [...]

Cztery mile lasu, półtora jałowca,
oj, nie ma tu w Łodzi porządnego chłopca.
Chusteczka w kieszeni trzy lata nie prana,
a jeszcze nie jego tylko pożyczana. [...][102]

[100] *Łódź – dzieje miasta...*, s. 506.
[101] *W Helenowie*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi...*, s. 195–196.
[102] *Cztery mile lasu*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi...*, s. 183.

Uroki majówek utrwalił w *Kwiatach Polskich* Julian Tuwim. W sposób niezwykły wspomnienia łodzianek, a także melodyjna rytmika przypomnianych wyżej piosenek współgrają i harmonizują z wierszem poety. Granica pomiędzy wspomnieniami, piosenkami i poezją zaciera się i niemal nie wiadomo, czy to majówka zaczarowała słowa poety, czy poetycki kunszt zamknął w melodii utkanej ze słów uroki majowych zabaw. I język codzienny wspomnień, i rubaszne czasem słowa piosenek, i mowa wiązana emanują bowiem radością, witalnością i rytmem muzyki wygrywanej przez domorosłych grajków.

Po błyszczącej trawie,
Po pachnącej świeżo,
Chodzą panny ulubione,
Spódniczkami śnieżą.

Nie byle dziewczyny,
Panów majstrów córki!
Pochrzęstują na staniczkach
Koralików sznurki.

Zobaczyły chłopców,
Otoczyły mgiełką,
Nawionęło, zawoniało
Różowe mydełko.

Prosimy, prosimy
Panów kawalerów!
Na murawie obrus biały,
Tkany przez szpinerów.

Na obrusie bułki,
Serdelki, ogórki,
Jak zaczęli wtrajać,
Nie zostało skórki;
Po bajgiełkach obwarzankach
Połykali dziurki.

Maczali w musztardzie
Kaszanki, blutwurszty,
Jak zajadą w pełny słoik,
to on zaraz pusty.

Chrupali, chrustali
Chrząskie korniszonki,
A w kapuście skwarki były
I kawał golonki.

Oj, śledzie, piklingi,
Oj, wędzone ryby!
Żebyście wy nóżki miały,
Nie zostawiliby!

Nie poodlepiają
Szprotek pozlepianych,
A w rolmopsach nie darują
Zatyczek drewnianych.

Czereśnie-kraszanki
I kwaskowe „szklanki”
Panny z drzewa otrząsały,
Napełniały dzbanki.

Przyleciały wróble,
By odziobać resztki,
A na trawie wokoluśko
Ani jednej pestki.

Potem im nosiły
Panów majstrów córki
Wielkie pączki z powidłami
I kremowe rurki,

Irysy, hopiesy,
Chałwę i cięguty,
Sachar maroż, rachatłukum,
Wafle i andruty.

Rąbały toporkiem
Białomiodu kamień:
Jak go zagryźć, to się w zębach
„Ciąga” pasemkami.

Wreszcie jabłka na patykach
Dostał każdy smakosz
I ledzieńce do lizania,
Na drewienkach takoż.

Zapijali chlebnym kwasem
I sodową z sokiem:
Malinowy, cytrynowy
Płynęły potokiem.

Jak tę wodę łyżką mieszać,
To ciareczki syczą,
Pęcherzyki pod nos biją
I jest bardzo byczo.

Przejście od sześcio- (najczęściej), siedmio-, (sporadycznie) ośmiozgłoskowca, do jedenasto- i dwunastozgłoskowca wprowadza też zmianę w nastroju i tematyki. Wersy krótkie oddają rytmikę i skoczność tańców, wersy dłuższe – wprowadzają panoramę narracyjną.

Jak nie umkną te majstrówny w gąszcz leśny!
„Teraz gońcie nas, szukajcie, gdzie żeśmy!”
Zabiegały, zamigały wiewem białym;
Białe sarny tak by w borze biegały.
Z drzew wynurzą się, oczyma zaświecą,
Zaobłoczą i w zadrzewie ulecą.
Byłoż tam mocowań, łaski, zadyszania,
Kiedy chłopak skoczną pannę doganiał!
Byłoż tam całowań, pisku, zamierań,
Gdy do drzewa chłopak pannę przypierał!
A łaskotu, a chichotu, sprzeciwień!...
Bo majstrówny były bardzo łechczywe.
I mówiły im na ucho sekrety,
I szeptały rozemdlałe: „Oj, rety!”...
Szeleściły panny po mchu, po chruście,
Upraszały ich najmilej: „Oj, puść mnie!” [...]
Słodko było mówić pannom z imienia:
Erna, Fryda, Olga, Wanda, Terenia.
A i one grzecznie do nich i gładko:
„Ach, prawdziwie, panie Edek, to zanadto!”
„Ach, i cóż pan, panie Czesiek, wyrabiasz?”
„Ależ z pana, panie Gieniek, niezgrabiasz!”
A te panny były wielkie chytrusy:
Tak gadały, a wodziły w pokusy.
Bo tam stało jezioreczko lustrzane,
Otaczały je skały omszałe:
To te panny nogi w wodzie pluskały,
Osrebrzone wychodziły na skały,
A te nogi to w jeziorze zostały –
Panny srebrnym ogonem chlastały.
Śmiechu było między chłopakami –
Śpiewające widzieć ryby z cyckami.
Było śmiechu, lecz i łez gorących
Od tych ślicznych piosenek smucących[103].

Wiersze Tuwima narzucają obraz zwiewnych, ubranych na biało panien, wabiących kawalerów i niemal płynących wokół nich i rozłożonych na trawie obrusów zastawionych smakołykami. Ich nazwy, brzmiące dzisiaj egzotycznie, niezamierzenie już dla samego zamysłu dodają teraz

[103] J. Tuwim, *Kwiaty polskie*..., s. 150–155.

sytuacji niezwykłości. I może tylko swojsko brzmiące imiona dziewcząt, zalotne dialogi i trudne do zaspokojenia apetyty kawalerów, zajadających ze smakiem pestki, zatyczki i… dziurki po obwarzankach, a którzy zjedliby nawet „wędrujące na nóżkach ryby", obraz ten czynią realnym. Przestrzeń spotkania jest niezwykła dzięki pachnącej świeżością, błyszczącej trawie, leśnemu gąszczowi skrywającemu tajemnice, „zadrzewiu" i „lustrzanemu jezioreczku". Wszystko zdaje się błyszczeć i migotać jak na obrazach impresjonistów. Wyliczenie przyniesionych smakołyków dodatkowo ukazuje obfitość tej prawie nierealnej krainy. „Ulubione, osrebrzone panny, śnieżące" spódniczkami, otaczające kawalerów „mgiełką", zdają się nierzeczywiste i tylko pochrzęstujące koraliki na ich staniczkach oraz otaczająca je aura pachnącego, różowego mydełka, czynią je istotami z krwi i kości, tak samo jak ich kusicielskie zabiegi przyciągające chłopców. Oj! nie były to nieświadome swojego uroku nimfy leśne…

Poeta uchwycił istotę tych spotkań – ich niezwykły klimat. Rzeczywistość bywała zwykle bardziej prozaiczna. Dziewczęta i kawalerowie z pewnością ubrani odświętnie, nierzadko pewnie przypominali przerysowanych bohaterów przyśpiewek z cytowanej wyżej piosenki *Cztery mile lasu*. Zamiast bogactwa różnorodności i ilości Tuwimowskich smakołyków łodzianie zabierali ze sobą zapasy bochenków chleba, bułek i taniej wędliny. Butelki z jasnym piwem dla mężczyzn i ciemnym, jałowcowym dla kobiet z powodzeniem zastępowały niezwykłe kolorami i smakami napoje orzeźwiające, rozpryskujące się maleńkimi bąbelkami. Wszystko to jednak w niczym nie przeszkadzało żywiołowej, spontanicznej i wesołej zabawie przy muzyce, granej przez wynajętych grajków lub wykonywanej przez samych uczestników. Zabawa zaś przeciągała się do późnych godzin. „Wieczorem na rozciągniętych między drzewami sznurkach wieszano papierowe lampiony zwane chińskimi latarkami, w których umocowywano palące się świeczki"[104]. W majowe święta przed bawiącymi się były jeszcze dwa dni wolne od pracy.

Ani wspomnienia kobiet, ani melodyczny wiersz Tuwima nie ukrywają też tchnących biologizmem „zauroczeń", bo przecież „tak młodość wyglądała" (Wyb. 1989, s. 232). W sposób bardziej sugestywny, a nawet rubaszny przedstawia je wiele piosenek, np. *W Łagiewnikach na majówce*, śpiewanych podczas wiosennych wypraw za miasto:

> W Łagiewnikach na majówce siadłem raz przy pięknej wdówce,
> która męża bardziej chciała, lecz powiedzieć mi nie chciała.
> Sam się jednak domyśliłem i do wdówki podskoczyłem,
> i nie tracąc dużo czasu, poszliśmy razem do lasu[105].

[104] *Łódź – dzieje miasta…*, s. 508.
[105] *W Łagiewnikach na majówce*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi…*, s. 198.

Najważniejszą zabawą Zielonych Świątek była jednak urządzana w parku Źródliska lub na sąsiadującym z nim Wodnym Rynku „fajka”. Organizowało ją niemieckie Towarzystwo Strzeleckie, które miało tu swoją siedzibę. Historia Towarzystwa, zwanego także Bractwem Kurkowym, sięga czasów pierwszej regulacji miasta w 1821 r.[106] Miała ona inny charakter aniżeli zabawy polskich robotników. Od początku swojego istnienia była bardziej sformalizowana i uroczysta, wiązała się też z pokazem zręczności strzeleckiej:

Strzelanie do tarczy i wybór Króla Kurkowego odbywa się corocznie w drugi i trzeci dzień Zielonych Świątek. [...] cały ruch fabryczny jest wtedy w stagnacji [...]. Z rana o godzinie dziewiątej wszyscy członkowie towarzystwa w wojskowym szyku, w zielonych mundurach, strzelbami uzbrojeni, ciągną pod przewodem swego Kapitana na Nowe Miasto i rozciągają się szeregiem przed siedliskiem miejscowego Magistratu. Starszyzna uprasza Prezydenta, który w pełnym mundurze, staje na czele orszaku. Na ten znak rozwija się chorągiew, brzmi orkiestra i pochód poprzedzany przez strzelca, niosącego ofiarowaną przez ostatniego króla tarczę honorową, rusza do mieszkania Króla, stojącego na schyłku swego panowania. Niebawem więc przyłącza się do orszaku Król, przybrany w oznaki swej godności: wielką gwiazdę na piersiach i przez plecy zielono wyszywaną szarfę, poobwieszaną różnymi numizmatami, ofiarowanymi przez ustępujących od władzy królów tarczowych. [...] Strzelanie do tarczy trwa przez dwa dni [...].

Zawody strzeleckie odbywały się później w okolicy parku Źródliska. W czasie trwania zawodów tuż obok odbywała się inna zabawa:

na placu tymczasem i w ogrodzie: zgiełk, wrzawa jarmarczna, wesołość i zabawa. Na placu urządzone są igrzyska ludowe; ale oprócz owych karuzeli, huśtawek, młynów diabelskich i słupów z nęcącymi zdobyczami widzieliśmy tu zabawy i współzawodnictwa nowego zupełnie rodzaju: nie tutejszo-krajowe, niemieckie to pomysły, wojczyznione tylko na naszą ziemię dla łódzkich mieszkańców. Dokoła rozbite szałasy z jarmarcznymi artykułami, a wszędzie ujrzysz tolerowane wyjątkowo: fortunkę i ruletę. [...] Nowo obrany Król bądź tegoż dnia, bądź też nieco później łącznie z towarzystwem wyprawia bal [...]. [Przybyli do Łodzi fabrykanci] korzystają z tego czasu [wypoczynku] z prawdziwym zapałem i umieją się bawić prawie zapamiętale (Flatt, s. 141–147).

W 1849 r. Towarzystwo Strzeleckie wprowadziło inną jeszcze zabawę, którą zamierzało organizować na zakończenie zawodów. Było to *Vogelschiessen*, strzelanie do ogromnego ptaka przytwierdzonego do wysokiego

[106] „Rząd w układzie zawartym z przybywającymi z zagranicy fabrykantami” – pisze O. Flatt – „[...] zapewnił im wolność zaprowadzenia Zgromadzenia Strzeleckiego, pod warunkiem, że takowe za prywatne uważane będzie. W Łodzi jednak dopiero w 1824 r. dano początek strzelnicy. Przybyli po większej części z Grünberga ze Śląska sukiennicy, w święto Wielkiej Nocy uchwalili coroczne strzelania do tarczy w uroczystość Zielonych Świątek i w miejscu, gdzie dziś wznosi się cegielnia miejska [...] [rejon placu Dąbrowskiego]. [Od 1826 r.] strzelanie do tarczy przez ciąg lat pięciu odbywało się w dolinie, poniżej Altdorfu [Starej Wsi] [...]” (Flatt, s. 141).

drzewa. Te zawody, których zwycięzca również zostawał królem (nie posiadał wszakże rangi Kurkowego Króla), kończył bal w Paradyzie (Flatt, s. 148).

Do tej zabawy wprowadzonej przez Towarzystwo w 1849 r. nawiązuje zapewne późniejsza ulubiona zabawa jego członków, a mianowicie strzelanie z łuku do znajdującej się na wysokim słupie gwiazdy z dwunastoma ruchomymi (luźno przymocowanymi) ramionami. Był to *Sternschuss*, zwany przez Polaków „sztejsisyn" (zob. niżej). Za trafienie w każde z ramion gwiazdy uczestnicy konkurencji otrzymywali nagrodę, której wartość wzrastała wraz ze zmniejszaniem się liczby ramion. Ostatnią, najcenniejszą nagrodę za celny strzał stanowił żywy kogut[107]. W samych obchodach Zielonych Świątek i fajki niewiele zmieniło się w ciągu kilkudziesięciu lat:

Pamientam jeszcze fajke, jako dziecko. To było w Zielone Śfiontki. [...] Na drugi dzień sfiont, bo ftedy i jeszcze po pierfszej wojnie jakiś czas robotnicy mieli czszy dni śfiont [...] Wienc w drugi dzień [...], to Łódź znóf szła na fajkę, bo f pierfszy dzień tesz tam było czynne, ale w drugi dzień, no to tam zatrzęsienie [bardzo dużo ludzi] było. [...] No, rynek to był zapełniony, tam były karuzele, tam był, no jak to powiedzieć, tag jagby diabelski młyn. [...] Niemcy urzondzali sztejsisyn, to była taka wysoka gwiazda, tak mówie, bo jag dziś se tak pszypomne, to mogła mieć może do jakich pietnastu metróf wysokości i tam była gwiazda zrobiona. Wienc Niemcy, to był Związek Sztszelecki, to były wielkie nagrody. No, s Polakóf to ja nie wiem, czy kto sztszelał. [...] Wiendz mnie mówiono, że to był Związek Sztszelecki i oni ftedy sie popisywali, no to było do wygrania tak: kupon na materiał na ubranie męskie albo kupon materiału na kostium, albo zegarek jakiś srebrny z dywiskom albo zygarek damski z dywiskom [...]. Ja tesz taki [miałam]... łojciedz mi kupił, a jagże. [...] Później, co tam, acha, były takie znóf szto, no bo pszecież ludzie byli głodni. Wienc kobieta była, nosiła, miała taki kocioł, goronca woda f tym była i kiełbaski, takie serdelki. No, pamientam, że nieraz jag ji fpadła [kiełbaska], to ta woda była jusz troszeczke tego [chłodniejsza], to ona je reŋkom tesz sieŋgła. [...] Mówie do mamy, żeby mi kupiła tej kiełbasy, a mój ojciec łusłyszał i pokazuje na pasa, no to ja już miałam dosyć, już miałam otpowiedź ojca, jusz sie kiełbasy nie domagałam fcale. No i były kramarze, tag jag na odpusty jeździli, to tam też było i pierścionki, i obraski, i tam różne [rzeczy do kupienia]. [...] Tańczyli tesz. Orkiestry tesz tam były, a orkiestra była strażacka, szajblerofska, to f Kfeli grała co niedziela dla robotników (Wyb. 1989, s. 155–157).

Stałym elementem spotkań, potańcówek lub majowych wypraw była muzyka i wspólne śpiewanie. Piosenki były smutne, wesołe, tęskne, o życiu codziennym, miłości, zdradzie, trudzie pracy w fabryce, życiu w wielkim mieście albo o „wydarzeniach mrożących krew w żyłach". Na to swoje nowe, lepsze życie robotnicy łódzcy potrafili patrzeć z dużym dystansem:

[107] *Łódź – dzieje miasta...*, s. 491, 506.

Oj, Łodzia moja Łodzia, jagiełofkie miasto,
ale dla wyrobnika to jes tu za ciasno.
Porzuciliśmy dwory, nasze kurne chaty,
pojechaliźwa do Łodzi, szukać tu roboty.
A zanim my f fabryce robote dostali,
to strycharzom na cegłe gline my deptali.
F fabryce brak powieczsza, słonka ni na garście,
my tu musimy pracować po godzin szesnaście.
Na polu za krowami pastuch se pohasał,
a w Łodzi brak powieczsza, nie ma tutaj lasóf.
Tam na fsi wszyscy sfoji, mie sie Łodzi zachciało,
asz f piekielnej maszynie reŋke mi urwało
i noge poczszaskało. Cięszki los człowieka,
ze śfarnego paropka, jażem dziś kaleka.
Do fabryki nie wzieli, życie dla mnie meŋka,
wychodze na ulice i wycioŋgam reŋke.
A litościwi ludzie, paczszonc na żebraka,
robotnig da mi grosik, czasem bogacz trojaka.
Zdany na dobrodziejów i na wole Boskom,
ale cieŋgiem mi sie śni za kochanom wioskom.

(Wyb. 1989, s. 224–225)

Tam, gdzie ruch fabryczny wre,
tam gdzie pył twe płuca żre,
gdzie transmisji pas pędzi przez cały czas,
dziewczę tam pracowało,
rąk swych nie żałowało
dla matki swej, by ulżyć jej,
uwierzyć chciej. […]

Raz rozległ sie straszny krzyk,
więc wstrzymano motor w mig,
w trybach leżał trup, robotniczy grób,
za trumną szedł zgnębiony
jej drogi narzeczony,
co kochał ją, ją tylko miał,
poślubić chciał[108].

Słowa pierwszej piosenki ukazują przeciętną i wcale nierzadką drogę chłopów ze wsi do miasta w poszukiwaniu lepszego życia. Przychodzili tu ludzie zbędni na wsi, bez zaplecza życiowego, „za chlebem”. Ale i w Łodzi nie było lepiej – właściwie było tak samo źle, jak na wsi. Tu również było zbyt dużo rąk do pracy. Nierzadko trzeba było zaczynać od deptania gliny na cegłę – pracy degradującej, sytuującej ludzi na samym dnie drabiny

[108] *Motor*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi…*, s. 184–185.

społecznej. Ta praca była też ostatnią, jaką wykonywali ci, którym się nie powiodło: „[...] ludzie robili jag na Sybirze. [...] Dzisiej [...] jest nowocześnie [...] maszynami fszystko robiu̯m, gline, a tu [w cegielni] ludzie sami kopali, sami deptali. Nogami, wodą polewali i nogami deptali [...] ja mówiłam [...] że tu [w cegielni] był isny Sybir" (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 189). Praca w fabryce, choć wydawała się w porównaniu z nią rajem, też nie dawała szczęścia, jak pokazują obie piosenki. Wielogodzinny dzień pracy w ciężkich i niezdrowych warunkach wcale nie tak rzadko kończył się okaleczeniem, po którym pozostawała już tylko nędza i oczekiwanie na zmiłowanie ludzkie. Życiu w mieście towarzyszyła też tęsknota za wsią, za jej swobodą, czystym powietrzem, słońcem i przyrodą.

Zupełnie innym problemem było znalezienie mieszkania w Łodzi. Oczywiście, nie było to takie trudne, jeśli miało się pieniądze. Dla robotników jednak, a już szczególnie dla nowo przybyłych, było to kwestią o znaczeniu zgoła życiowym. Nie można było pozostać w Łodzi, jeśli nie miało się gdzie zamieszkać. Radzono sobie w różny sposób. Najczęściej, w ramach pomocy rodzinnej i przyjacielskiej, łodzianie posiadający mieszkanie przyjmowali do siebie krewnych i przyjaciół ze wsi. W zamian, kiedy nadchodził kryzys i nie było pracy, mogli liczyć na pomoc i rewanż mieszkańców wsi. Był to poza tym również jeden ze sposobów poprawienia finansów domowych. Sytuację w takim właśnie mieszkaniu ukazuje piosenka *W czynszowej kamienicy*:

[...] A kiedy wieczór już nadchodzi,
w szufladach małe dzieci śpią,
dla starszych to jest fotel, szafa
lub otomana, lub jeszcze coś. [...]
Dwanaście rodzin żre u mnie co dzień,
dwanaście rodzin obżera mnie,
a każda z nich ma troje dzieci,
to razem jest trzydzieści sześć,
i mąż i żona, to już pięćdziesiąt
i takiej armii ja mam dać jeść.

(Wyb. 1989, s. 168–169)

Wydawać by się mogło, że przedstawione wyżej problemy mieszkaniowe łodzian mają tak karykaturalną formę, że nie mogą być prawdziwe. I rzeczywiście, są przerysowane, robotnicy potrafili żartować nawet ze swojego ciężkiego życia. Ta forma oddaje jednak klimat życia w takim mieszkaniu. Wbrew pozorom nie odbiegają też tak bardzo od typowej sytuacji:

My żeśmy tesz mieli na stancji [...]. To ftedy tych stancyjarzy to żeśmy mieli tak: kuzyn przyjechał z Łotwy, Pawlak, ten jeden to nawed nie pamiętam, jag on sie nazywał, to ich było czterech, to sie gnietli. No, ale nie było gdzie mieszkadź im, no to wszyscy mieszkali tag na kupie. Mama sienniki wycioŋgała, bo ja byłam, brat, rodzice [...] (Wyb. 1989, s. 22–23).

Żeby należycie oddać trudności życia, trzeba jeszcze dodać, że mieszkanie najczęściej było jednoizbowe i to jedno pomieszczenie pełniło funkcje kuchni, pokoju, jadalni, łazienki i pralni. Mimo wszystko jednak zamieszkanie w Łodzi traktowano jak awans społeczny. „Zasiedziali” łodzianie patrzyli nawet z wyższością na przybyszy i oznaki ich „nuworyszostwa”. Żartowali sobie z podkreślania przez dopiero co przybyłych oznak miejskiego stylu życia. Uwidaczniały się one w „miejskim” ubiorze i uczestniczeniu w życiu narzuconym przez pracę w fabryce i nowe środowisko:

W Łodzi fabryg nastawiali, ze wsiów ludzi naścioŋgali,
gdy chłop porobił rog w Łodzi jusz f kaszkiecie sobie chodzi
i drugiego se wydziwio, nosi krawat, chociasz kszywo,
w buty jusz nie fpuszczo portek, bo kamaszki kupił Wojtek.
A f sobote po fajrancie, peńdzi na Górniak co żywo,
pszecie chocioż ras f tygodniu może fundnońć sobie piwo.
Zeszła sie ferajna cała, jes pół Łodzi ich bez mała,
ot Alarta tych Francuzów zdolni oni są do guzóf,
od Gajera śpineroki, ot Śtajnerta młode sroki.

(Wyb. 1989, s. 22–23)

Zarówno słowa cytowanej powyżej piosenki, jak i wcześniejszej, *Zapusty*, zdradzają trzy dość charakterystyczne cechy życia robotników. Zacznijmy od znaczenia pracy w fabryce. Daje ona nie tylko utrzymanie, ale również w jakiś sposób wyodrębnia spośród ludzi w mieście. Nie jest się byle kim, jest się „od Gayera (nasza wiara); (stawiają ci) od Alarta; ot Śtajnerta (młode sroki); Gayer we dzwon dzwoni” (nie dla wszystkich, tylko dla nas). Wyróżniające zatrudnionych w fabrykach robotników określenia, takie jak: „szajblerowskie”, „grohmanowskie”, „alartowskie”, „gayerowskie”, świadczą o silnych więziach wytworzonych między nimi, co podkreślają też wyrażenia: „nasza wiara”; „stawiają ci od”; „zdolne o n e są do guzów”. Równocześnie obok neutralnych („śpineroki”) lub nacechowanych emocjonalnie („młode sroki”) określeń Szajblerowskich, Grohmanowskich, Alartowskich lub Gayerowskich robotników, pojawiają się silne ekspresywizmy: „psy robocze”, „fabryczne motowidło”, „bydło”. To druga cecha życia robotników – ich świadomość, kim są w istocie dla swojego pracodawcy, świadomość stosunku do nich i znaczenia w tym miejskim tyglu – dość niskiego usytuowania w drabinie społecznej, bo

przecież w każdej chwili można było stracić pracę i znaleźć się na dnie. Trzecią cechą życia robotników, którą można wyczytać z tych piosenek, jest ciągłe ocieranie się o margines społeczny. Wśród bawiących się robotników bezustannie przewijają się „andrusy" oraz „setniaki, fetniaki, szfendaki", czyli „siubrana" młodzież.

Setniak od andrusiaka to sie różnili. Setniak to udawał bohatera, ale jak widział, że nie tego [że nie jest bezpiecznie] no to oglądał sie, czy pintami czy pszodym uciekać. A andrus to jusz andrus. Andrus miał jusz sfój ubiór, granatowe spodnie, marynarka – czarna, biała kratka [...]. Cyklistówka taka sama jag y marynarka. Tutaj [na piersi] miał taki [...] chalsztuk, bo nigdy nie miał koszuli [...] albo tesz poszarpanom, wiendz, żeby mu nie było widać, to taki halsztug zakładał. Ten chalsztuk to był tak w rodzaju takiego jagby śliniaka. [...] Wiendz [halsztuk] był s tyłu zapinany albo tutej z boku, ale najczęściej s tyłu. Wienc taki andrus, jag wziuł ten chalsztuk, nałożył marynarke, to późni zawiązał sobie chusteczke i te chusteczke [zawiązał]... to jusz jejich było takie charakterystyczne. Musiała miedź dwa peŋki i te rószki musiały tak stać, tak jes. Ot prawej strony... ot prawej strony... [miał] majchra [nóż] albo sprężynófka, kosa sprężynófka. Bo sprężynófka... to był jak sie wzieło tag do reŋki, no to miało sie taki czszunek w rence. Jak to sie mówiło, czszonek, czszunek. A kiedy on poczszebował, co już robota była mokra, to on tylko reŋke do kieszeni i wiedział, gdzie nacisnońć i ta sprężyna wyrzucała tak tom kose takij długości. Wąska tag była, tag jak teras mój palec, s oszczem, szpicem oczywiście. No to ftedy gdzie sie dało: bog nie bok, brzuch nie brzuch i tag dalej i tag dalej. To była robota andrusa. [...] Jak andrus kogoź nie znał, to oferty nie pszyjmował, to jeżeli ktoź miał na kogoź złość, a znał andrusa, mówi: jez robota – Jaka? – może bydź mokra – To znaczy ile? jaki facet? No to tamten mu tłumaczy, że to, tamto, sio, owo, tego. Mówi: dobra, ale mówi – dziesieńć fajkli – inaczy nie. To dziesińdź rubli. Dlatego, że on musiał dadź dwa ruble temu, co poszet i tamtego zaprawił, bo on sam nie poszet. On hrabja, to on znowuż miał tych młotszych ot siebie szfendakuf. [...]

Siubrany to był taki, bo ja wiem, no zwykły chłopag oczywiście, mało okrzesany i tag dali, ale tak porywał, troche od andrusa, troche ot fetniaka, troche ot tego, no i tesz tutej czapka oczywiście na bakier, tutaj kłaki troche w góre potsuniente. No to był właśnie siubrany. No i siubrana dziewucha też, bo ona sie nie liczyła ze słowem żadnym. Kłaniaj sie mówi, brachu, bo w zymby, mówi, lune, aż byńdzież, mówi w ryśtoku sfoje kły zbiroł i takie inne powiedzonka (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 222–223).

Wspominająca kobieta doskonale zna realia świata przestępczego, choć sama nie miała z nim żadnych związków poza okazjonalnymi spotkaniami w miejscach publicznych. Zna je zapewne również z opowieści. Dziś skłonni jesteśmy dostrzegać w przedstawianych przez nią postaciach barwny koloryt lokalny. W jakiś zresztą sposób andrus może i w nas budzić sympatię. Jednak spotkania ze światem przestępczym były wystarczająco częste, by mogły zakończyć się tragicznie. Bijatyki pomiędzy tymi, którzy podkreślali swoją „niezależność" oraz między nimi i robotnikami nie należały do rzadkości:

Towarzystfo jez dobrane i frajery są siubrane.
Gra muzyka, to wszyscy f tanc, s fiksatury włosy na glanc,
by sie kłaki fest czszymali, kiedy bedom tańcowali.
Ładnie bawiom sie chłopaki, asz tu przyśli chebleroki,
f każdej knajpie oni zuchy, to andrusy som psiajuchy.
Stawiaj frajer, jedno piwo, tylko migiem, ino żywo,
bo ci głatko zrobidź możem i po żebrach rach, ciach nożem.
Że im nie zafundowali, zrobiło sie dużo wrzasku,
jednych wzieło pogotowie, drugich pendzom do uczastku.
Zabawa sie rozleciała, tylko kupa szkła została.
Chociasz troche sie pobili, ale ładnie sie bawili.

(Wyb. 1989, s. 225)

Kiedy piwo wypili, siubranego tańczyli,
Felek majcher zza koła odbijanego woła.
Bierze Antkowi Mańkę, a ten ciach go pod bańkę,
Felek kaszkiet poprawia, długo się nie zabawia.
Że nie był salonowcem, załechtał go sprężynowcem,
zanim glina przybyła, już karetka trąbiła[109].

Można wszakże na ten problem spojrzeć od jeszcze innej strony. W mieście, w którym trudno o pracę, redukcje zatrudnienia są częste, a ciężka praca nie zawsze wystarcza na godziwe życie, wszechobecność elementu przestępczego może wpływać destrukcyjnie na morale ludzi. I nie chodzi o to, że „łatwe” życie może skusić i skłonić do rezygnacji z ciężkiej pracy. Problem w tym, że na drogę przestępstwa można było wejść niespostrzeżenie, mimo woli, przypadkiem, a przyczynić się do tego mógł również osłabiony przez biedę duch moralny. „Andrus” był wcześniej „setniakiem, fetniakiem, szfendakiem czy siubranym”, wywodził się poza tym z takiego samego środowiska, jak robotnicy. Może i był biedny tak samo jak oni, ale wydawał się panem samego siebie i nie dbał o życie – ani swoje, ani cudze. Wspominająca swoją młodość kobieta nie krytykuje go, jest nawet pełna dla niego podziwu, nazywa go „hrabią”. To zatarcie granicy pomiędzy dobrem i złem widać również w balladzie o Łaniusze (choć tę balladę można też inaczej potraktować, o czym niżej):

Zapadła noc głucha, z toporem Łaniucha
do państwa Tiszerów zakrada się […]
Fortepian staluje, Tiszerów morduje,
w niecałą godzinę zabija ich. […]
Policja go szuka, on ciągle ucieka
więzienia ni kata nie boi się. […][110]

[109] *Hej na rynku Geyera*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi…*, s. 199. Piosenka śpiewana na początku XX w. na zabawach.

[110] *Łaniucha*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi…*, s. 214–215. Ballada oparta na autentycznym wydarzeniu (zbrodni dokonanej na rodzinie Tyszerów) z okresu międzywojennego.

Zupełnie inne podejście było do kobiet, które weszły na drogę przestępstwa. Nawet we wspomnieniach nie budzą one sympatii. Siubrana to była „dziewucha", siubrany – to „zwykły chłopak". Zupełnie już jednak nie miano pobłażania i zrozumienia dla prostytutek, na co wpływ mogła mieć i wulgarność tych kobiet, i ich pozornie lżejsze, lepsze życie:

> Smutne życie robotnicy, co f fabrycznych murach tkwi,
> prostytutka na ulicy ze mnie, robotnicy, kpi.
> Ona chodzi f kapeluszu, ja derkom okrywam sie,
> ona nosi palto z pluszu i ładnie maluje sie.
> We czfarteg mam tygodniófke, troche lepiej sobie zjem.
> a w niedziele na majófke pójde f pola z Antkiem mym,
> Uradziliśmy sie pobrać, umówiony był nasz ślup,
> raptem Antka pas uchwycił, zamias ślubu to był gróp.

Mogła pani iś z jakimś meszczyznom, a podobałby sie, proszę pani, to czszeba było unikać, bo by paniom uderzyła. [...] No, to były [takie] wypatki, tutej był deptak [...] to one już miały ten deptag od Górnego Rynku, to jes ot placu dzisiejszego Reymonta doo... teras ta ulica sie nazywa Sieracka, czy jak. [...] A drugi był deptag na Konstantynofskiej, a trzeci to nie pamientam, gdzieś... Piotrkoska była. Ale nie poczszeba było sie znać na nich, żeby odróżnidź je ot takiej porzondnej dziewczyny. [...] Bo tag zniszczone [były] te tfarze. Mogła miedź dwadzieścia lat, a twarz jej była jak pralka, pudru nasypała, różu nakładła, podmalowała oczy, no, podobna była, bo ja wiem, jak pszebierańce na ostatki, były takie, tag jes (wspomnienia kobiety urodzonej w 1898 r., Wyb. 1989, s. 226).

Żadnej litości ani współczucia. Trzeba dopiero wrażliwości poety, by spróbować te kobiety zrozumieć. Młody Tuwim w wierszach *Nierządna* i *Gamratka* przedstawia obraz takiej samej młodej kobiety, jaki wyłania sie z przedstawionych wyżej wspomnień, jednak z uwagą „pochyla się" nad jej losem:

> Nierządna! Taka biedać,
> Że los, jak chce, tak działa!
> Musiałaś siebie sprzedać,
> A możeś nie musiała?... [...]
>
> Nierządna! Żal mi ciebie!
> Wśród ulicznego szumu
> Zgubiłaś sama siebie,
> Wyrodny kwiecie tłumu. [...][111]
>
> Na malowanej, bezwstydnej gębie
> Uśmiech nieszczery piętno wyciska.
> (...Niewinnie czyste białe gołębie
> Padły w niemocy w brudne bagniska...). [...][112]

[111] J. Tuwim, *Juwenilia*, t. 1, oprac. T. Januszewski, A. Bałakier, Warszawa 1990, s. 96.
[112] Tamże, s. 240.

Dramaty młodych, porzuconych i wykorzystanych dziewcząt lub samotnych matek, których los pozbawił męża, były częstym motywem piosenek śpiewanych podczas uroczystości, spotkań i zabaw w chwilach wyciszenia. Opisywały szczegółowo tragedię kobiet, ich niedojrzałość, która przyczyniła się do zguby, okrutny los, niecne czyny ich kochanków i zwykle nieszczęsny koniec życia. Były pełne współczucia dla matki i dziecka, zwłaszcza gdy historia kończyła się tragicznie. Dla młodzieży były przestrogą, a dla śpiewających (zapewne bardzo wzruszonych) również swoistym pocieszeniem, że los innych jest jeszcze cięższy, i rekompensatą za pełne trudów życie.

[...] zakochała się w chłopcu w Łodzi,
który przysięgał jej miłość.
Wnet uwierzyła młoda niewiasta,
iż się marzenie ziściło. [...]

On z niej zabawkę dla siebie zrobił,
potem ja rzucił jak śmiecie.
I nieraz dziewczę okrutnie pobił,
nim porodziła swe dziecię. [...]

Pod krzyżem w polu ona klęczała,
modląc się, gorzko płakała.
Z zimna i głodu z dzieckiem na ręku
skonały dwa młode ciała. [...][113]

Rodzice nie byli zwykle tak okrutni, by wyrzucać córkę z dzieckiem. To raczej córkom było trudno pogodzić się z tym, że przynoszą wstyd rodzicom. Przedstawiona wyżej sytuacja miała opowieść udramatyzować, by wzruszyć i służyć tym silniejszą przestrogą, co też w zakończeniu dobitnie zostało podkreślone: „Nie wierzcie chłopcom, młode dziewczyny, [...] Rzuci Cię z dala od twej rodziny, a potem czeka cię zguba”. W repertuarze łodzian istniały również utwory o podobnych wydarzeniach, ale o zgoła odmiennym charakterze – tak w słowach, jak i w rytmie pełne wigoru, witalności i pochwały dla umiejętności radzenia sobie w życiu.

[...] Córuś mamy usłuchała
i do Łodzi pojechała, pojechała.
Minął roczek, trzy kwartały,
wtem przychodzi list niemały.

[113] *Uwiedziona dziewczyna*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi...*, s. 226.

W Łodzi takie są zwyczaje,
ten zarabia, kto sprzedaje, kto sprzedaje.
Ja ten zwyczaj podchwyciłam,
dla was wnuka zarobiłam. [...][114]

Warto wreszcie wspomnieć o grupie utworów, których zbiór stanowiłby swoisty „pitaval łódzki". To piosenki i ballady opowiadające z detalami o zbrodniach popełnionych w mieście. Nie omijały one nawet drastycznych szczegółów. Jak traktować te utwory? Czy służyły rozrywce? Dość dziwne i budzące niesmak wydaje się zestawienie słowa rozrywka z historią kobiety mordującej córkę, pomijając już „detale" tej zbrodni (cytowana niżej we fragmentach *Ballada o Zajdlowej*; jedna z kilku istniejących wersji). A jednak. Czy te piosenki nie zaspokajały tych samych potrzeb, które zaspokajają dziś literatura i filmy sensacyjne? W ośmiu ostatnich wersach autor ballady oddał głos zamordowanej dziewczynce, nadając piosence cechy bez mała dydaktyczne. Odwołuje się bowiem w ten sposób do sumienia ludzi. W ten nurt właśnie wpisuje się wspomniana wcześniej ballada *Łaniucha* i nie należy jej traktować jak utworu będącego wyrazem pobłażania dla zbrodni.

W bałuckiej cichej dzielnicy mieszkała z córeczką wdowa,
gdzieś na Szopena ulicy, zwała się pani Zajdlowa.
Miała kochanków dość wielu, no i za mąż pójść chciała,
prędko dążyła do celu, lecz córka jej przeszkadzała. [...]
Znaleźli ciało dziewczyny, ledwie dwanaście lat miała,
to przecież dziecko bez winy, czym w drodze była ta mała.
Dlaczegoś, matko, zabiła – zza grobu pytam – dlaczego? [...]
A ja spoczywam już w grobie, mój pogrzeb już w zapomnieniu,
ty za swą okrutną zbrodnię, na zawsze zgnijesz w więzieniu[115].

Niespostrzeżenie od prezentacji rozrywek łodzian z przełomu wieków przeszliśmy do omówienia treści śpiewanych przez nich piosenek. I nie powinno to dziwić. Piosenka towarzyszyła i zabawie, i życiu codziennemu. Słychać ją była na podwórkach, ulicach i rynkach. Była tak popularna, że sprzedaż modnych szlagierów stawała się źródłem utrzymania[116] (a może tylko je uzupełniała), podobnie jak występy podwórkowych artystów. W piosenkach ich wykonawcy wyrażali całe swoje życie – radości, potrzeby, troski, smutki, lęki, problemy. Być może wspólne ich śpiewanie

[114] *Niedziela w Czarnocinie*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi...*, s. 187.

[115] *Ballada o Zajdlowej*, [w:] *Folklor robotniczej Łodzi...*, s. 211–212. Ballada oparta jest na autentycznym wydarzeniu.

[116] *Folklor robotniczej Łodzi...*, s. 185.

przynosiło nie tylko radość, ale i ukojenie, ulgę, poczucie przynależności do wspólnoty dzielącej ten sam, trudny los. Warto o tym pamiętać, bo o trudach codziennego życia robotników zaledwie wspomnieliśmy, gdyż regionalna literatura Łodzi przełomu wieku XIX i XX nie poświęcała mu uwagi.

Łodzianie XXI w. są jednocześnie i podobni, i zupełnie odmienni od swoich poprzedników. Wydaje się, że dzisiaj przywołana na początku rozdziału maksyma Jana Kochanowskiego jakby się zagubiła, choć wolnego czasu, możliwości i form rozrywki mamy znacznie więcej niż sto lat temu. Więcej też czasu na nią poświęcamy i ciągle nam jej mało. Być może nie daje takich wrażeń, jakich oczekujemy? Formy i sposoby zagospodarowywania wolnego czasu zdecydowanie zmieniły swój charakter. Domy zajezdne, tancbudy i bretle zastąpiły kluby, puby, dyskoteki i koncerty zespołów, które są raczej obce ludziom w średnim wieku i wyjątkowo spotkamy na nich osoby w wieku starszym. Majówki nie mają masowego charakteru, udział w nich jest znikomy, zmieniły też swój charakter, stając się rekreacją na świeżym powietrzu. Rozrywka miasta zdecydowanie zerwała z kalendarzem obrzędowym i liturgicznym. Młode i średnie pokolenia nie znają już Zielonych Świątek. Odpusty, jeśli cieszą się zainteresowaniem ludzi spoza parafii, to na zasadzie ciekawostki, poszukiwania odmiennych form rozrywki, inności, powrotu do przeszłości. Odeszły w zapomnienie zabawy zapustowe z charakterystycznymi dla nich formami ekspresji[117]. Tym, co zdecydowanie różni łodzian współczesnych i ich poprzedników w zakresie spędzania wolnego czasu, jest

[117] Warto zauważyć, że nastąpiła dzisiaj obca łodzianom ubiegłego wieku atomizacja społeczeństwa. Z drugiej jednak strony, tak jak oni, usilnie poszukujemy wspólnoty, do której moglibyśmy się odnieść. Wspomniana atomizacja wynika z tego, że coraz więcej czasu oddajemy mediom. Dzięki tym masowym komunikatorom wiemy więcej, szybciej docieramy do informacji, utrzymujemy więzi z rodziną i przyjaciółmi, podtrzymujemy znajomości, które bez nich dawno by się rozpadły. I jesteśmy coraz bardziej samotni i zagubieni. Dlatego być może chętniej spędzamy wolny czas poza domem, co dotyczy głównie młodzieży. Podkreślić również należy współczesny podział rozrywki wynikający z wieku tych, którzy z niej korzystają. Inne sposoby spędzania wolnego czasu są charakterystyczne dla młodzieży, inne dla ludzi w wieku średnim, a jeszcze inne dla tych, którzy zakończyli pracę zawodową. Podział ten był raczej obcy łodzianom omawianego przełomu wieków. Czas wolny, podobnie jak wcześniej na wsi, spędzano bez względu na wiek wspólnie lub na podobnych rozrywkach. Kultura ludowa nie znała podziału na to, co dozwolone dla dorosłych lub niedozwolone dla młodych. Wśród podobieństw warto zwrócić jeszcze uwagę na ekspresję muzyczną i ruchową, szczególnie dziś charakterystyczną dla młodzieży. Należałoby się też zastanowić, czy jej masowy udział w koncertach wynika tylko ze ślepego podążania za modą, czy jest może efektem innych czynników, nieznanych większości dorosłych i nieuświadamianych przez samych zainteresowanych. Jak łodzianie sprzed stu lat, tak współczesna młodzież również wyraża swoje problemy i potrzeby za pomocą ekspresji muzycznej, to więc, co zasadnicze, nie uległo zmianie.

możliwość korzystania obecnie z szerokiej oferty kulturalnej miasta[118]. Takiej nie mieli łodzianie przełomu XIX i XX w., nie byli też do jej odbioru przygotowani. Nie przeszkadzało im to wszakże doskonale się bawić na miarę swoich możliwości.

[118] W Łodzi na jedenaście działających teatrów (w tym teatru muzycznego, filharmonii i dwóch teatrów dla dzieci) cztery należą do środowisk niszowych: Teatr Studyjny PWSFTviT (scena szkolna), Studio Teatralne *Słup* (teatr amatorski propagujący twórczość Juliana Tuwima), Logos (amatorski teatr związany z Duszpasterstwem Środowisk Twórczych), Grupa Teatralna *Dziewięćsił* (scena amatorska z repertuarem dramatycznym).

7. Mit Łodzi jako „pustyni kulturowej”

Postrzeganie Łodzi jako „pustyni kulturowej” jest typowym stereotypem. Walter Lippmann, twórca pojęcia, zdefiniował stereotyp jako „[…] «obraz w głowie» (*picture in our head*) jakiegoś zjawiska, obraz jednostronny, uproszczony i schematyczny, a zarazem uproszczona i schematyczna opinia o tym zjawisku. Jest on narzuconym człowiekowi wytworem kultury, który z góry określa sposób widzenia zjawiska”[1]. Stereotyp jako zjawisko społeczne posiada bogatą literaturę i jest przedmiotem zainteresowania wielu dyscyplin naukowych[2]. Mówiąc o stereotypie, Z. Chlewiński zwraca uwagę m.in. na ograniczony poznawczo charakter jego treści, generalizowanie, trwałość (stereotypy nie są podatne na zmiany; łatwo je potwierdzić i trudno obalić), emocjonalny i społeczny charakter treści, subiektywną pewność[3]. J. Bartmiński stwierdza, że pod wpływem socjologów stereotypy łączy się z wyobrażeniami ludzi różnych narodowości, zawodów i pochodzenia. Podkreśla się również dwie cechy tych wyobrażeń: zabarwienie emocjonalne i skłonność do fałszywych generalizacji. Językoznawcy, którzy stosunkowo niedawno zaczęli się interesować stereotypami, skłonni są traktować je jako niezbywalny element kultury, wiązać z pojęciem językowego obrazu świata, obrazu przyjmowanego z tradycją, w postawie „naiwnej”. Stereotypy są więc utrwalone społecznie, przekazywane kulturowo; człowiek poznaje je, zanim zdolny jest samodzielnie poznawać świat i analizować informacje,

---

[1] Za: B. Wilska-Duszyńska, *Rozważania o naturze stereotypów etnicznych*, „Studia Socjologiczne” 1971, nr 3, s. 99.

[2] Zob. np.: A. Kłoskowska, *Stereotypy a rzeczywistość narodowej identyfikacji i przyswojenia kultury*, „Kultura i społeczeństwo” 1993, nr 4; Z. Bokszański, *Stereotypy a kultura*, Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997; J. Bartmiński, *Stereotypy mieszkają w języku. Studia etnolingwistyczne*, Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2009; *Język – stereotyp – przekład*, red. E. Skibińska, M. Cieński, Dolnośląskie Wyd. Edukacyjne, Wrocław 2002.

[3] Z. Chlewiński, *Stereotypy: struktura, funkcje, geneza. Analiza interdyscyplinarna*, [w:] *Stereotypy i uprzedzenia*, red. Z. Chlewiński, I. Kurcz, Instytut Psychologii PAN, Warszawa 1992, s. 11–12.

które do niego docierają. Najbardziej wyraziste stereotypy występują w języku, choć mogą istnieć także poza nim, czego przykładem jest karykatura[4].

Jaki obraz miasta skrywa Łódź jako „pustynia kulturowa"? Ten stereotyp odwołuje się do miejsca pozbawionego przybytków kultury i twórczości artystycznej, braku potrzeby obcowania ze sztuką oraz jakiejkolwiek wrażliwości na bodźce estetyczne u jej mieszkańców. Jest wizją tyleż nośną, co i złudną. Wydaje się, że mieszkańców Łodzi rolniczej lub rękodzielniczej zaprzątały głównie sprawy codzienne i niewiele czasu pozostawało im na działania inne niż te, które służyły zaspokajaniu życiowych potrzeb. Mało jednak wiemy o rozrywkach łódzkich mieszczan. Księgi miejskie o tym milczą, a ponieważ odnotowują burdy wszczynane po odwiedzinach w karczmie, utarło się, że jedynym urozmaiceniem codzienności mieszkańców były spotkania w tym miejscu, a poza tym plotki i „afery" obyczajowe lub „kryminalne". Warto jednak pamiętać, że nie posiadamy żadnych przekazów dotyczących życia duchowego miasteczka, nie możemy też tą samą miarą oceniać Wiecznego Miasta i Krakowa albo współczesnej Łodzi i Strykowa. Porównania zawsze wypadną na niekorzyść drugiej miejscowości.

Rozpatrując życie duchowe i artystyczne Łodzi rolniczej, trzeba wziąć po uwagę: funkcję, jaką pełniła szkoła, czemu służyła karczma, co działo się podczas jarmarków, a także zdobnictwo użytkowe, urozmaicanie codzienności tańcami, pieśniami lub opowieściami. Innych przeżyć dostarczały święta kościelne, jeszcze innych – uroczystości rodzinne. Szkoły nie prowadził samouk, lecz ksiądz, który posiadał odpowiednie wykształcenie (choć różnie z tym bywało). Przybywał zwykle „ze świata", więc opowieści uczniom nie skąpił. Nie zapominajmy też, że przywozili takie do domu krakowscy żacy, jakkolwiek ich odwiedziny nie były częste. Gdyby w karczmach oferowano tylko trunki, raczej nie ostałyby się zbyt długo, musiały więc dostarczać również rozrywki, a o jej moralność dbał, jak pamiętamy, dzierżawca klucza. Jarmarki bywały dawniej urozmaicane pokazami kuglarzy, a także pouczającymi przedstawieniami wędrownych trup. Nic na temat ich obecności w Łodzi nie wiemy, nie można wszakże występów wędrownych artystów, choćby drugorzędnych, wykluczyć. Jeśli w Łodzi rolniczej istniało życie duchowe, to było ono niewątpliwie skromne; maleńka miejscowość tego okresu innych jednak znać nie mogła.

[4] J. Bartmiński, *Stereotypy mieszkają w języku*, rozmowa z prof. Jerzym Bartmińskim (UMCS), „Scriptores Scholarum" 1998, nr 2/3 (19/20), s. 11–17. Za: www.tnn.pl/tekst.php?idt=322 (dostęp: 10.02.2013).

Czasy Łodzi rękodzielniczej są już inne. W Polsce istnieją stałe teatry, biblioteki, zbiory muzealne. Znajdują się jednak w miastach, których dzieje i kultura zdecydowanie różniły się od historii i tradycji miasteczek rolniczych lub z nich się wywodzących. Poza tym Łódź była zajęta innymi problemami niż dbanie o życie duchowe i artystyczne – rozwijała się i rozbudowywała, nawiedzały ją kryzysy i epidemie. A jednak, mimo rozlicznych problemów, jej mieszkańcy brali udział w przedstawieniach teatralnych. Wiemy, że pierwszy zespół teatralny dotarł do Łodzi w 1844 r. Przybył z Łęczycy i zatrzymał się w zajeździe przy rogu ul. Zgierskiej i pl. Kościelnego. Szopa tego zajazdu, istniejąca jeszcze w końcu XIX w., była pierwszą łódzką „sceną”[5]. Wystąpiła wówczas z przedstawieniami *Adam i Ewa* oraz *Kobieta z ludu*, granymi w języku polskim, trupa Ignacego Marzantowicza, jedna z wielu grywających tylko na prowincji, które także później odwiedzały Łódź. Z profesjonalnym teatrem miasto zetknęło się, zanim jeszcze weszło w fazę rozwoju wielkoprzemysłowego, za sprawą zespołu Juliusza Pfeiffera, który włączył w 1858 r. Łódź do planowanej trasy swojego zespołu. Od tego czasu zaczęły występować w niej zespoły ambitniejsze. Zespół J. Pfeiffera grał na scenie teatru Paradyz, a jego przedstawienia recenzowała warszawska, poznańska i krakowska prasa. Dotąd o występach artystów Łodzi nie pisano. Wśród widzów oglądających zespół znaleźli się także Niemcy i: „Ci niemieccy widzowie” – jak pisze Anna Kuligowska-Korzeniewska – „płakali nad losem Antosia Rewizorczuka i Praksedy – bohaterów Karpackich górali Korzeniowskiego […]”[6].

Trzeba też pamiętać, że w okresie Łodzi rękodzielniczej powstało kilka szkół, a od 1846 r. istniało Niemieckie Towarzystwo Śpiewacze *Männergesangverein*. Samo miasto zaś rozwijało się i zabudowywało zgodnie z klasycystycznym ładem architektonicznym i przestrzennym oraz takąż samą dbałością o porządek. Dlatego zapewne wydawało się O. Flattowi inne od ówczesnych miasteczek polskich. Niekoniecznie też, jak twierdził, wpływ na jego wygląd musiała wywierać tylko ludność niemiecka. O tym, jak Łódź fabryczna miała wyglądać, decydowali przecież Polacy.

Nieco inaczej przedstawia się problem życia kulturalnego i artystycznego Łodzi wielkoprzemysłowej. Wydawać by się mogło, że obecność w jej wczesnym okresie instytucji oferujących możność obcowania ze sztuką byłaby tak samo stosowna i odpowiednia, jak bohaterka W. Marrené-Morzkowskiej, pani Pifke w swoim pałacu. Jej powierzchowność

[5] A. Kuligowska-Korzeniewska, *Łódź teatralna, Od Marzantowicza do Schillera*, s. 2. Za: www.uml.lodz.pl/get.php?id=268 (dostęp: 10.09.2012).

[6] Tamże, s. 4.

była tego rodzaju, że, jak stwierdza narrator, nawet we własnym salonie wydawała się nie na miejscu, choć jej mąż „obstalował dla niej zupełną wyprawę" (Mar.-Morz., s. 215). Rozwijająca się Łódź miała tylko taką właśnie „obstalowaną wyprawę", która nie była w stanie zakryć jej braków i tym bardziej one raziły. Z jednej strony oddziaływały na wyobraźnię fabryki, pałace, wielkomiejskie kamienice świadczące o bogactwie ich właścicieli, a z drugiej – ubogie domki, brak infrastruktury i nędza przybyłych do miasta chłopów, którzy w krótkim czasie stawali się robotnikami. A jednak już we wczesnym okresie Łodzi wielkoprzemysłowej powstała w niej kolejna scena teatralna. W 1866 r. spolonizowany cukiernik i przedsiębiorca, Fryderyk Sellin, otworzył przy ul. Konstantynowskiej 16 (Legionów) drewniany teatr, przerobiony z ujeżdżalni wojskowej. W dalszym ciągu działała też scena w Paradyżu.

Przed kilkunastu laty – pisali A. Gliszczyński i A. Mieszkowski w 1894 r. – produkcje muzyczne ograniczały się tu na rzadko udatnym, a jeszcze rzadziej udanym koncercie zabłąkanego, zwykle średniej miary artysty. Gwiazdy muzyczne, chociaż wiedziały o istnieniu Łodzi, w wędrówkach swych artystycznych omijały ją pogardliwie, sztukę bowiem przeraża nie tylko wrzawa wojenna, ale dusi i dławi dym kominów i fabryk. Jeżeli która z operetkowych trup prowincjonalnych odwiedziła Łódź dla dania kilku lub kilkunastu przedstawień, był to fakt tak ważny dla kronik miejscowych, że nawet po dniu, w którym aktorzy miasto opuścili, wspomnienia o nich przez długi czas stanowiły główny wątek rozmów nie tylko gadatliwych kumoszek, ale i poważnych obywateli[7].

Autorzy artykułu nawiązują tu do wczesnego okresu rozwoju miasta wielkoprzemysłowego. Na przeszkodzie obcowaniu z wartościową sztuką – jak widzimy – stał więc nie tylko brak predyspozycji i chęci jej mieszkańców. Miasto dopiero się rozwijało i nie było na tyle znane, by artyści sami decydowali się na zaprezentowanie w nim swojego repertuaru. Poza tym, jeśli o nim słyszano, to głównie jako o miejscu, w którym rozwija się przemysł, a nie sztuka. Pamiętajmy też, że były to czasy, w których masowe komunikatory jeszcze nie działały, toteż obieg informacji był inny niż dzisiaj.

Zobaczmy najpierw, jaki obraz życia kulturalnego Łodzi przekazała nam literatura piękna. Interesujący wizerunek łódzkich elit rysuje w *Julce* Wł. Rowiński:

Zaproponowana przezeń [przez Przegonowskiego zwanego de Gomezem] „wrześniówka" dlatego z takim zapałem przyjętą została, gdyż wówczas życie towarzyskie Łodzi w ogóle mało było rozwinięte. Nawet w domach prywatnych z rzadka się bawiono. Łódź

[7] A. Gliszczyński, A. Mieszkowski, *Łódź, miasto i ludzie*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 19–20.

miała wówczas cztery rodzaje kół towarzyskich: urzędników, fabrykantów, pracowników kantorowych oraz majstrów i oficjalistów fabrycznych. Urzędników była garść tylko, bo dostarczały ich jedynie biura magistratu, powiatu, kolei sądów i zawód nauczycielski[8]. Wszyscy jednak rozbijali się na kółka i kółeczka, nie będąc złączeni żadnymi ogniwami. [...] Fabrykanci również nie stanowili zorganizowanej gromady towarzyskiej, gdyż po prostu nie odczuwali potrzeby tego. Buchalterzy wieczory przepędzali w knajpie, majstrowie i oficjaliści nie mieli czasu myśleć o ukształtowaniu życia towarzyskiego. Robotniczy proletariat o potrzebie życia gromadnego w ogóle nie miał pojęcia (Row., s. 99).

Nie powinno dziwić rozbicie łódzkiej inteligencji, gdyż była ona napływowa; ci, którzy do niej przynależeli, rzadko kiedy w Łodzi urodzili się i wychowali[9]. Trudno przypuszczać, by przybysze po przyjeździe do miasta mieli ochotę natychmiast rzucać się w wir życia towarzyskiego lub je kształtować. Zastanowienie budzi natomiast informacja o tym, że „Robotniczy proletariat o potrzebie życia gromadnego w ogóle nie miał pojęcia”. Robotnicy jeszcze nie tak dawno byli chłopami, a życie tych zawsze łączyła silna więź z gromadą. Odnoszenie do nich pojęcia „życia towarzyskiego” jest ponadto pewnym nieporozumieniem, wymaga ono bowiem wykształcenia i znajomości świata innego niż ten, w którym się wyrosło, także, choćby w minimalnym stopniu, świata artystycznego. Czyżby inteligencja polska tak słabo znała niziny społeczne? Poza tym – „wrześniówka” nie była znów jakąś szczególnie wyrafinowaną formą rozrywki[10], a obok towarzystwa zaproszonego przez de Gomeza, w miej-

[8] Inteligencja polska, jak pisze P. Samuś, liczniej związała się z Łodzią prawdopodobnie dopiero w latach dziewięćdziesiątych XIX w. Znajdowała wówczas nie tylko większe możliwości zarobkowania, ale i oparcie w inteligencji zasiedziałej w mieście (P. Samuś, *Łódź – mała ojczyzna Polaków, Niemców i Żydów*, [w:] *Polacy, Niemcy i Żydzi w Łodzi w XIX i XX wieku. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Wyd. Ibidem, Łódź 1997, s. 128).

[9] W Łodzi urodził się Tadeusz Miciński. Losy jego rodziców mogą być przykładową ilustracją życia polskiej inteligencji na łódzkim bruku.

[10] Zaproponowana przez de Gomeza, wspomniana wyżej inteligencka „wrześniówka”, żywo przypomina swoim kształtem ukazaną wcześniej robotniczą majówkę: „Nadeszła wreszcie upragniona niedziela. Wszystkie matki, z koszykami pełnymi prowiantów, ojcowie ze szklankami, kieliszkami i butelkami po kieszeniach, panny z bijącymi sercami, mężatki z rozmarzonymi oczami, wdówki z wypięknionymi kształtami, panowie: zarozumiali, skromni, aroganccy i grzeczni, chmara dzieci – słowem wszyscy zaproszeni i nieproszeni stawili się na zbornym punkcie przy dworcu kolejowym, skąd wyruszono całą gromadą: pieszo młodzież, dorożkami lub wózkami obciążone panie, kalecy panowie i niemowlęta z mamkami i niańkami. [...] Za nimi wlokła się orkiestra z kilkunastu Żydków – muzykantów, z których każdy niósł sobie właściwy instrument [...]. Na dużej polanie leśnej ziemia już była ubita i obwiedziona sznurem. Obok pod krzakiem leżało kilka antałków piwa, dwa balony wody sodowej, kosz z zapasami żywności; było też wino w gąsiorkach. [...] po lesie kręciło się wiele innego ludu: robotnicy, majstrowie, a nawet fabrykanci w kupkach poroztasowywali się pod drzewami, w sposób jak najpierwotniejszy,

skim lasku bawili się również „robotnicy, majstrowie, a nawet fabrykanci" (Row., s. 103).

Być może wpływ na nikłe kontakty towarzyskie elit miała omówiona wcześniej „łódzka uczciwość", powodująca wzajemne niechęci pomiędzy ludźmi nieuczciwymi i tym bardziej odstręczająca od nich ludzi honoru[11]. Wydaje się, że podjęta przez Wł. Rowińskiego, W. Marrené-Morzkowską i W. Kosiakiewicza, silnie podkreślona w ich utworach nieuczciwość i uosobione w bohaterach powieści, przeciwstawione jej wzory prawości i cnót wszelkich, miały charakter dydaktyczny, o czym wyraźnie mówi się w *Julce*: „Trzeba w nich [nieuczciwych] te pojęcia [poczucia moralności i honoru] wyrobić" (Row., s. 100). U Wł. Rowińskiego znajdziemy całą galerię postaci szlachetnych, począwszy od wrażliwego, prawego, skromnego i bogobojnego Leona Cipcia i jego ciotki opiekującej się sierotami, po „Latarników" – ludzi młodych, zajmujących charakterystyczne mieszkanie, posiadające „wiele okien na trzy strony świata" (stąd ich miano),

---

to jest pozdejmowawszy buty i wierzchnią odzież, leżeli na brzuchu, plecach i bokach, siedzieli w kucki, z nogami wyciągniętymi lub po turecku. Dym z fajek, papierosów i cygar, odór z napojów wyskokowych kłócił się z ozonem drzew iglastych" (Row., s. 103). Uczestnicy „wrześniówki" bawili się, plotkując, flirtując, tańcząc, śpiewając, biorąc udział w zawodach sportowych, a także posilając się przywiezionymi wiktuałami i racząc się napojami. Wreszcie, gdy część gości już się rozeszła, „chórek męski zaśpiewał unisono: *Czas do domu*", kończąc przyśpiewką „wrześniówkę" (Row., s. 103–109). Warto przypomnieć, że zwyczaj wypoczynku na łonie natury wprowadzili w Łodzi Niemcy, o czym za O. Flattem wspomniano wcześniej.

Dodajmy, że przywołany w utworze Wł. Rowińskiego dworzec to z pewnością Dworzec Fabryczny, czynny od 1866 r. (Łódź Kaliska działała od 1902 r.). Budynek dworca powstał w 1868 r. Trudno wszakże stwierdzić, po co udawano się do jakiegoś lasu gdzieś dalej, skoro istniał taki niedaleko dworca. Na jego resztkach powstał w 1915 r. park 3 Maja. Istniejący w sąsiedztwie dworca park Moniuszki, zwany wcześniej parkiem Kolejowym lub ogrodem Kolejowym, zaprojektowany został w 1874 r. na obszarze dawnego lasu Karkoszka w obrębie dzisiejszych ulic Składowej, Kilińskiego, Narutowicza, POW. Wytyczone w nim alejki prowadziły podróżnych do dworcowego budynku. Poza tym, jak pisał S. Gorski, wszystkie niemal przecznice Piotrkowskiej utykały w laskach iglastych (S. Gorski, *Łódź spółczesna. Obrazki i szkice publicystyczne*, Warszawa 1904, s. 16).

[11] De Gomez wylicza: „Jagniątkowski – złodziej, bo skradł dokument w sprawie swego klienta, oczywiście na jego korzyść, ale ze szkodą dla biednego człowieka [...]. Ciszewski drugi złodziej, bo chcąc przywłaszczyć sobie pieniądze swego pryncypała, upozorował rabunek w swoim mieszkaniu; Pętlicki utrzymuje się z oszustw. Cieplicki roztrwonił powierzone sobie pieniądze i dotychczas nie zwrócił. Kamaszewski wymanił od starego Grosza przywilej, na mocy którego dusi od biedaków bajońskie sumy, Krawczyński łotr, który zgubił córkę swojej opiekunki. [...] Lutyński oszukał brata, Gądyński wydarł posadę Kaszewskiemu; Macharski kupił dom za łapówki; Sulmowska znana powszechnie kokota; Żarbarski dorobił się na spędzaniu płodu; Buraczyński trudni się lichwą. [...] Gnojowisko więc jest – nie towarzystwo" (Row., s. 100).

zwanych też w powieści „Olimpem”[12]. Oni to i inni ich jeszcze koledzy byli wzorem inteligencji polskiej. Wszystkich zaś cechowała świetlana uczciwość – wręcz brzydzili się nieprawością i odmawiali kontaktu ludziom, którzy zhańbili się niegodnym czynem.

Narrator Wł. Rowińskiego stwierdza też, że polska inteligencja składała się z niewielkiej liczby osób. Należało do niej kilku prawników, kilkunastu lekarzy i inżynierów. Ich wpływ na życie kulturalne był więc niewielki[13]. Inteligencja niemiecka natomiast nie troszczyła się o życie duchowe miasta. Jej przedstawiciele przybywali do Łodzi z myślą o zdobyciu majątku. „Niemiec, jeździł co miesiąc do Berlina lub Wiednia, tam nurzał się przez parę dni w piwie i zabawach, i wracał do pracy. Czasem pociągał za sobą pryncypała” (Row., s. 101). Ponadto elity Warszawy nie starały się wpłynąć na życie kulturalne Łodzi, warszawscy publicyści natomiast chętnie rozpisywali się na łódzkie tematy, drwiąc bezlitośnie z mieszkańców fabrycznego miasta. „Łódź w owym czasie tchnęła ideałami ordynarnego Michla, przejmując się jednocześnie zasadami Bismarcka – w dzielnicy wólczańskiej, a w zepsuciu obyczajów i zboczeniu różnorodnym – około Nowego Rynku” (Row., s. 101). Przywołany fragment powieści Wł. Rowińskiego to nie tyle dowód niechęci do uprawiania życia towarzyskiego w Łodzi, ile wyliczenie powodów stwierdzonej przez autora jego nieobecności w mieście. Brakowało w nim po prostu odpowiednich miejsc, w których byłoby można przyjemnie spędzić czas. Dlatego Niemcy wyjeżdżali za granicę do miejsc dobrze im znanych i ostatecznie znajdowali rozrywkę w lepszych restauracjach niż w Łodzi. Ponadto Łódź traktowali najczęściej jako przystanek na życiowej drodze i nie myśleli się z nią wiązać. Pamiętajmy, że wraz z rozwojem miasta i przemysłu w drugiej połowie XIX w. do Łodzi napłynęli kolejni Niemcy. Ich stosunek do nowego miejsca był zupełnie inny aniżeli pierwszych osadników. Poza tym dała też o sobie znać nowa sytuacja Niemiec na

[12] Mieszkanie przyjaciół autor prawdopodobnie umieścił w narożnej kamienicy przy zbiegu dzisiejszych ulic Gdańskiej i Legionów. Czterej przyjaciele stanowili interesujące samo w sobie towarzystwo, będące zbiorem pożądanych społecznie zasad: Wrzeszcz „był poetą wieszczącym w natchnieniu uszczęśliwienie świata. […] Pstrowski, umysł głęboki, poszukiwał środka do uleczenia raka ciemności wśród ludzi. Jelątkowski bronił czci niewieściej i w kobiecie widział jedynie drogę do zbawienia ludzkości. Tuman kochał wszystkie istoty na świecie i dlatego głównie był wegetarianinem […]” (Row., s. 106).

[13] B. Gołębiowska, pisząc o inteligencji Łodzi, wykazuje, że w 1897 r. na około 314 000 jej mieszkańców łódzka inteligencja liczyła zaledwie 7530 osób, z czego tylko 516 posiadało dyplom ukończenia wyższej uczelni. Na każdy tysiąc mieszkańców przypadało niespełna 33 osoby z wykształceniem średnim, rzadziej wyższym; ten wskaźnik wykształcenia wynosił dla Warszawy 87, Piotrkowa 107, Kalisza 114 (B. Gołębiowska, *Pasierbowie kultury. Kartka z dziejów inteligencji łódzkiej*, seria XLIV, „Prace Polonistyczne” 1988, s. 57).

arenie międzynarodowej. W 1871 r. powstało Cesarstwo Niemieckie, w skład którego weszło Królestwo Prus, stanowiąc dwie trzecie jego terytorium. Pod rządami Bismarcka nastąpiło pobudzenie nastrojów nacjonalistycznych, charakteryzujących się nasiloną germanizacją w zaborze pruskim i wzrostem nastrojów proniemieckich wśród łodzian pochodzenia niemieckiego, stąd Wł. Rowiński wspomina o żywotności zasad kanclerza Niemiec w dzielnicy wólczańskiej (okolice ul. Czerwonej niedaleko katedry), którą zamieszkiwali Niemcy. W Łodzi brakowało ponadto tradycji miejskich w zakresie spędzania wolnego czasu, dlatego jej możliwości były ograniczone. Warto może przypomnieć, że owego „ordynarnego Michla" wspomina też stary Baum w *Ziemi obiecanej* Wł. S. Reymonta (już bez epitetu, znaczącego tyle, co 'zwyczajny, przeciętny' i oznaczającego raczej możliwości przybytku Michla niż charakter właściciela piwiarni). Mamy więc prawdopodobnie do czynienia z postacią i miejscem autentycznym.

Spotkania towarzyskie w polskim domu przedstawia W. Kosiakiewicz w *Bawełnie*. Organizowała je siostra głównego bohatera, pani Wanda. Gospodyni, zupełnie nieświadoma realiów Łodzi, początkowo dniem spotkań chciała koniecznie uczynić środy lub soboty, musiała jednak w końcu zgodzić się na niedziele, gdyż w inne dni goście nie dopisywali. Panią Wandę poznajemy jako osobę, której nieobca była „łódzka uczciwość" o tyle, że nie interesowało jej, skąd miały pochodzić pieniądze na planowane przez nią wydatki; ważne, by mogła żyć na poziomie, który wydawał jej się odpowiedni. Wszelkie ograniczenia w tym względzie uznawała za niezasłużoną wobec siebie złośliwość ludzi i losu. Była istotą ograniczoną, pustą, niezbyt mądrą i owładniętą manią wielkości. Jej *idée fixe* było powołać do życia w Łodzi salon towarzyski i brylować w nim. Miała też nadzieję, że będzie najświetniejszy w mieście i rozsławi jej imię. Stworzony przez nią „salonik" skrojony był jednak na miarę możliwości gospodyni[14].

[14] Bywał na spotkaniach pani Wandy „Morzeński, chemik, ale człowiek gustów i nawyknień całkowicie arystokratycznych, który już za to jedno wdzięczny był pani Wandzie, iż jej jednej w całym tym marnym mieście mógł posyłać i składać przy okazjach bilety wizytowe z prawdziwym swoim nazwiskiem: «Jerzy Jastrzębiec Morzeński» i z herbową tarczą u góry. [...] przychodził i Stein, który potrafił sobie zyskać względy gospodyni, pozwalając [jej] być swoją przewodniczką w różnych rzeczach światowych [...]. Był on jednak w salonie pani Wandy, jak mówiła *une exception*. Pragnęła ona koniecznie zrobić coś nadzwyczajnego ze swoich przyjęć, skupić tu jakiś świat wyższy. Paru poczciwych ludzi, z którymi zawiązała stosunki na razie, jeden adwokat, jeden rejent, dwóch doktorów – «to nie było to», według jej pojęcia. Zraziła ich nie pozwalając wprowadzić do siebie winta. Przestali więc przychodzić i pozostały wierne jedynie panie doktorowe, pani adwokatowa i pani rejentowa. [...] Był tu stałym gościem Klein, który nie mógł nauczyć się dobrze po niemiecku, i Siloski, który najkomiczniej łamał sobie język, chcąc mówić po

Spotkania towarzyskie elit przemysłowych mają specyficzny charakter. Nawet jeśli nie są to bale wydawane z powodu jakichś szczególnych okazji, organizowane są hucznie i z wielką oprawą. Bal w sferach fabrykanckich ukazuje W. Marrené-Morzkowska. Prezentacja jego uczestników służy w jej powieści głównie krytyce Niemców, a może i w ogóle ukazaniu braku ogłady towarzyskiej wzbogaconych nuworyszy. Podczas tych spotkań kobiety nudziły się i nie prowadziły żadnej konwersacji, panny w zbyt wydekoltowanych sukniach zachowywały się krzykliwie, a hałaśliwi mężczyźni nie potrafili i nie zamierzali nawet bawić pań[15].

Nieco mniej krytyczny wobec fabrykantów jest Wł. S. Reymont. Jego spotkanie u Endelmanów ukazuje ludzi nawykłych do takich zebrań, jednak nudzących się, mimo zabiegów gospodarzy, którzy przewidzieli nawet muzykę, śpiewy i występy artystów. Przedstawienie nie było wysokich lotów, najbardziej jednak podobało się gościom. Spotkanie fabrykantów służy u Wł. S. Reymonta, podobnie jak u warszawskiej pozytywistki, charakterystyce łódzkich elit przemysłowych i ukazuje w zasadzie podobne typy ludzi i zachowań. Gospodarze zajmowali się gośćmi sami. Pani Endelmanowa wykrzykiwała do męża prośby, a on bardzo głośno powtarzał polecenia i chętnie, wręcz z przejęciem je spełniał, czasem nawet podbiegał do żony; „co chwila słychać było jego przenikliwe «co?»”. Sam otwierał i nalewał szampana – po „jedenaście rubli butelka” – podkreślał. Zły był jednak, bo panowie pili bez opamiętania i nic, nawet uwaga gospodarza, że trzeba bawić panie, nie była ich w stanie odciągnąć od bufetu: „Te chamy piją szampańskie, jakby to było *Münchenbier* […] oni nie mają wychowania, żeby tak pić, jakby to nic nie kosztowało” – mówił do brata. Goście zajmowali kilka pomieszczeń:

polsku. Bywał tu Adamer, jeden z tych bogaczy łódzkich, o których mówiło całe miasto, i jeden z tych schowanych w swoją willę i swoją fabrykę, z których w salonie pani Wandy najwięcej szydzono. […] Bywało tu jeszcze kilka figur, podobnych do Steina, do Kleina i do Siloskiego, takich «niewyraźnych, jakich grunt łódzki sam jeden tylko wyhodować jest w stanie»” (Kosiak., s. 306). Salonik pani Wandy nudził i raził jej brata, bohatera pozytywnego, który „czuł się skrępowanym wśród tych […] figur niewyraźnych” (Kosiak., s. 307).

[15] „Panie siedziały rzędem na kanapach i krzesłach […] i zamieniały między sobą niekiedy tylko po kilka słów. Nie nudziły się przecież: były zajęte oglądaniem i taksowaniem swych strojów; przy tym piły herbatę z ciastami roznoszoną ciągle. Do salonowej rozmowy nie były przyzwyczajone, nie czuły więc jej braku […]. Panny przybrane w różowe, błękitne i kremowe suknie, mocno wycięte, skupione były w jednym z rogów salonu, rozmawiały głośno, prawie krzykliwie, jadły ciastka nie chcąc herbaty, a ponieważ panny powinny być ożywione, śmiały się jak na komendę za każdym słowem. Panowie zebrani w dalszych pokojach zachowywali się bardziej hałaśliwie: co chwila dochodziły do salonu wybuchy śmiechu […]. nie myśleli bawić pań, a panie tego nie wymagały, bo nie były wcale do bawienia przyzwyczajone” (Mar.-Morz., s. 242).

Zgiełk trochę hałaśliwy zaczął się zrywać z buduarów sąsiadujących z salonem i z sali bufetowej, i z wielkiej grupy pań i panien siedzących w środku salonu. Panowały dwa języki: francuskim mówiły prawie wszystkie Żydówki młode i stare z nieliczną garścią Polek; niemieckim posługiwali się Żydzi, Niemcy i Polacy. Gdzieniegdzie tylko i po cichu brzmiała polska mowa, którą się komunikowała grupa inżynierów, doktorów i innych specjalistów dość wybitnych na to, aby być zaproszonymi do Endelmanów, i dość niewielką grających rolę wobec milionerów, aby zajmować naczelne miejsce w salonie (Reym., s. 239).

Powszechny szacunek otaczał Szaję Mendelsohna, który siedział „jak król wśród dworzan i wasalów". Cała jego postać zdradzała jednak brak elementarnych zasad kultury[16]. Goście zajmowali się najchętniej plotkowaniem, toteż trudno było sprostać wymaganiom subtelnej i wykwintnej pani Trawińskiej, o której Grosglik powiedział z zachwytem: „to anioł, to cztery razy anioł, nie kobieta" (Reym., s. 243). Znacznie łatwiej było zabawić panów. Bernard Endelman, brat pana domu, na „łódzki sposób" przedstawiał Borowieckiemu zaproszone panny, informując dokładnie, ile każda z nich może wnieść posagu. Takie spotkania były również swoistą giełdą matrymonialną[17].

Goście Endelmanów dostąpili również zaszczytu obejrzenia nowego nabytku gospodyni, obrazu Kraya przedstawiającego nimfy odpoczywające na skale po morskiej kąpieli. Ich uwagi zdradzają brak wykształcenia i niewielką znajomość sztuki, ale i gospodyni nie jest jej znawczynią, niewiele rozumie się na malarstwie. Obrazy kupuje wytargowawszy uprzednio cenę i dopiero wtedy, gdy jest pewna, że na kupnie nie straci. Każe je też werniksować: „Ja lubię, żeby był glanc! Mnie jest wszystko

[16] Szaja Mendelsohn siedział bardzo swobodnie, świadom swojej pozycji: „surdut rozpiął, że poły opadały na ziemię [...], nogę założył na nogę tak wysoko, że szpic jego buta był na wysokości głów siedzących [...]". Jego słuchacze śledzili każde poruszenie jego „chudej, żółtej ręki o poobgryzanych paznokciach [...]" (Reym., s. 239).

[17] Dokonywana przez Bernarda Endelmana prezentacja kobiet była dowcipna, nie można jednak pominąć, że również prostacka. Drwił z gości, po części także swoich gości, gdyż pomagał bratu pełnić honory gospodarza:

„– Uwaga, zaczynamy! Milion okrągły – szepnął przedstawiając go Müllerównie. [...]

– Dwieście tysięcy w wysortowanych towarach albo w niepewnych wekslach – szepnął znowu Bernard przedstawiając go brzydkiej, czarnej od piegów pannie, której głowa, twarz i chudy biust zasypane były pudrem i brylantami. – Czy ma zęby własne – nie ręczę, ale za brylanty odpowiadam. [...]

– Zaraz pana do ruin doprowadzę. Pięćdziesiąt tysięcy *bares geld* na stół – ale papa może się raz jeszcze spalić, to posag się skwadratuje. [...]

– Sto tysięcy, kaprysów za dwieście, a rozumu za trzy grosze – szepnął, przedstawiając go Feli [...] w tym ślicznym dziewczątku tkwi przyszła Messalina!

– Róża Mendelsohn! Nazwisko samo mówi: ile! ta druga, popielata, to Mela Grünspan, posagu nie wymienię w cyfrach, ale mogę pana objaśnić, że to najlepsza, najrozumniejsza panna w Łodzi" (Reym., s. 243–245).

jedno” – przyznaje bez skrępowania – „landszaft, scena rodzajowa, mitologiczna czy historyczna, ja wszystko kupuję, bo my możemy sobie na to pozwolić, ale ja lubię, żeby moje obrazy miały glanc! To porządniej wygląda […]” (Reym., s. 263)[18].

Potrzeby łódzkiej burżuazji nie są więc wyszukane. Bywa w mieście rzadko, zajęta głównie fabrykami, produkcją i koniunkturą. Przedstawiciele tej sfery spotykają się podczas urządzanych balów i rautów, sami też je wydają. Zarówno goście, jak i gospodarze starają się olśnić przepychem i pokazać swój stan posiadania. Spotkania te nudzą jednak wszystkich. Nie służą też zaspokojeniu wyższych potrzeb duchowych, łódzka burżuazja bowiem, zdaniem pisarzy, posiada w większości niewielkie wymagania i żadnych upodobań artystycznych. Wolny czas, o ile mogła go znaleźć, spędzała podczas organizowanych we własnym gronie spotkań towarzyskich, ale też i w oferujących rozrywkę podrzędnych knajpach. Mogli się w nich bawić łodzianie płci obojga, oglądając występy kabaretowych artystów przeplatane tańcami *girls*. Taki przybytek, znajdujący się „na rogu Nowego Rynku i Konstantynowskiej [Legionów], naprzeciwko cukierni Szwetysza”, ukazuje Wł. Rowiński. Była to „knajpa Pempicha słynna z dobrego piwa i szansonistek”, z niewybrednym repertuarem, który zawstydzał przyzwoitych ludzi (Row., s. 114–116)[19]. Życie takich knajp i restauracyjek poznajemy także w powieści Wł. S. Reymonta. Ich bywalcy ciągle się spieszą, omawiają interesy lub w zadymionej atmosferze spędzają wolny czas.

Cechą charakterystyczną łódzkiej prozy przełomu wieku XIX i XX jest prawie zupełne pominięcie życia intelektualnego w mieście, bo przecież skromne życie towarzyskie nie podlega kryteriom „kulturowej pustyni”, nawet jeśli jest tak puste i jałowe, jak to, które się toczy w salonie Reymontowskiej Róży Mendelsohn. Przejawy życia duchowego wśród inteligencji znajdujemy jedynie u polskiego noblisty. Pisarz zabiera nas do mieszkania Adama Malinowskiego, potomka szlacheckiej rodziny o tradycjach niepodległościowych, w którym spotykają się młodzi ludzie

[18] Podobny obraz łódzkich elit przemysłowych ukazuje w *Braciach Aszkenazych* I. J. Singer.

[19] Obraz takiego miejsca rozrywki znajdziemy również w prozie reportażowej Z. Bartkiewicza. Ukazuje on podrzędne, bardzo zaniedbane i zadymione pomieszczenie z mnóstwem stolików i krzeseł. Jego cechą charakterystyczną jest złe oświetlenie, brak wentylacji, brud, liszaje wilgoci zdobiące ściany, pozbawiony smaku wystrój. Wystarczą jednak nikłe ślady lepszych czasów, wyeksponowana scena, sącząca się muzyka ze stojącego obok fortepianu i piwo, by ściągnąć gości (Bartk., s. 43). Miarą tego przybytku zdaje się stojący na pulpicie szacownego instrumentu muzycznego kufel piwa – „ideał sięgnął bruku” albo knajpiana atmosfera wzniosła się za pomocą „ideału” na szczyty. Taki sam poziom, jak miejsce, prezentują występy „śpiewaczek” udających zagraniczne artystki.

różnych narodowości i pochodzenia, co warto podkreślić, by wspólnie pomuzykować, i do posiadających ziemiańskie korzenie Trawińskich – jedynego domu łódzkiej burżuazji, w którym, jak twierdzi Wysocki, nie uprawia się tylko plotek. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że intelektualne rozmowy łódzkiej inteligencji nie są prawdziwe. Na gruncie łódzkim wydają się sztuczne i wyidealizowane. Wł. S. Reymont ukazuje również w *Ziemi obiecanej* łódzką publiczność w teatrze, w którym kobiety strojne w brylanty obserwują siebie nawzajem, mężczyźni udają albo i nie udają, że nie zajmują się interesami, wszyscy plotkują i flirtują, a przedstawienie ogląda chyba tylko i bawi się przy tym dobrze – bo zapłacił – stary Müller.

W zasadzie jedynym utworem, który ukazuje potrzebę obcowania ze sztuką wśród polskiej inteligencji, jest nowelka Wł. Rowińskiego *Kwiaty dla Prusa*[20]. Wystarczyła plotka o przyjeździe artysty, by postawić w stan gotowości osoby zainteresowane. Młodzi ludzie na wieść o planowanej w Łodzi wizycie znanego pisarza przygotowali się do niej bardzo starannie. Ustalili, jak artysta wygląda, kiedy i którym pociągiem przybędzie do miasta i w oznaczonym czasie, elegancko i odświętnie ubrani we fraki, z bukietami w ręku, stawili się na dworcu, by godnie przywitać i przyjąć szacownego gościa. Prus jednak nie przyjechał. Początkowo mieli żal do pisarza, ale nie czuli się skonsternowani swoją niepotrzebną obecnością na dworcu. Uznali tylko, że trzeba było dokładniej dowiedzieć się, kiedy autor *Lalki* zamierzał gościć w mieście. Bukiety zaś trafiły wraz z kupionymi później butelkami wina na przyjęcie weselne wychodzącej właśnie za mąż sieroty. Nowi weselnicy zostali zaakceptowani przez rozpromienioną niespodziankami „panią młodą i [...] niebawem w ciasnej izdebce robotniczej – zagrzmiało: Niech żyje Prus!"[21] Nowelka Wł. Rowińskiego jest jedynym utworem ukazującym wrażliwość polskiej inteligencji na łódzkim bruku. Już taki obrazek wystarczy, by zaprzeczyć, że Łódź była „kulturową pustynią". Stereotypy jednak nie poddają się łatwo weryfikacji.

Przejdźmy teraz do obrazu życia kulturalnego Łodzi, jaki rysują publicyści. Piszący w tym samym czasie co A. Gliszczyński i A. Mieszkowski, warszawski publicysta Adolf Starkman stwierdza:

> Życia towarzyskiego w Łodzi nie ma, jeżeli zaś ono istnieje, to dla wybranych – tego, że się tak wyrazimy, więcej prywatnego, jak publicznego miasta; niepodobna oprzeć się zdumieniu, gdy w licznych jadło- i piwodajniach łódzkich spotyka się całe falangi młodzieży miejscowej, raczącej się obficie „czarnym z kufla" i jednocześnie słyszy biadania

[20] Wł. Rowiński, *Kwiaty dla Prusa*, [w:] *Łódź, która przeminęła...*, s. 167–169. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

[21] Tamże, s. 169.

na nieistniejące tu życie towarzyskie. […] w grodzie, w którym literalnie przez wszystkich czczony jest jedynie pieniądz […] o jakiejkolwiek spójni w sferach rodzinnych i życiu towarzyskim mowy być nie może. Stąd złe sięga i dalej, z tego bowiem źródła pochodzi bezprzykładna obojętność dla dzieł sztuki […], wzniosłych myśli, celów i projektów […]. Nie przeczę, że od lat paru daje się zauważyć pewna pod dopiero co wspomnianym względem reakcja, twórców której da się policzyć na palcach jednej ręki, jakże więc ona nikła być musi wobec – ogólnej apatii i niechęci, a nawet zupełnej ignorancji łodzian – tego, co piękne, wzniosłe i za materiał do kultury się nadaje. […] Łódź nie posiada **ani jednej** biblioteki publicznej, która by się jednak przydała, ani jednego zbioru muzealnego, ani jednego salonu dzieł sztuki, który by się rozwijał prawidłowo i żywotnie, a istniejące tu teatry, bądź co bądź zmuszone są stale zerkać w stronę potentatów mamony […]. Łódź, niestety, nie tylko odwraca się od wszystkiego tego, co… pachnie inteligencją i cywilizacją, ale […] gotowa jest ośmieszyć wszystko, co jest właściwością ludzi w jakimkolwiek bądź zakątku **cywilizowanej Europy** [podkr. autora] zamieszkałych[22].

A. Starkman cokolwiek przesadził, pisząc o braku życia towarzyskiego w mieście, nawet jeśli nie przedstawiało się ono atrakcyjnie dla samych zainteresowanych lub dla niego. Najwyraźniej jest do Łodzi uprzedzony, o czym może świadczyć również uwaga, że łodzianie śmieją się z widoku cylindra na ulicy lub ubolewanie, że mieszkańcy Warszawy muszą się zadowalać gorszymi stanowiskami pracy niż mieszkańcy Łodzi[23]. Bezustannie też porównuje Łódź do Warszawy, zapominając, że ta była przez lata choćby siedzibą królów, siedzibą pierwszej stałej sceny teatralnej i Teatru Narodowego, miejscem, w którym najbardziej światłe umysły starały się podnieść kraj z upadku. Łódź żyła wówczas sprawami swoimi i najbliższej okolicy, choć zło wypadków dziejowych jej nie omijało. Porównania te są więc tyleż chybione, co i niestosowne; zachodzi też obawa, czy nie są podyktowane jakąś dziwną zazdrością o gwałtowny rozwój Łodzi, której pod pozorem obiektywizmu koniecznie trzeba udowodnić, że nic nie znaczy. Trudno również oprzeć się wrażeniu, że wypowiedź A. Starkmana jest tendencyjna. Zdaje się, że wzajemne niechęci pomiędzy Warszawą i Łodzią posiadają długie korzenie. Kiedy bowiem francuski publicysta H. Vimard napisał: „Zimą bywa […] [w Łodzi] dużo balów publicznych na cele dobroczynne – wzorem Warszawy, lecz

[22] A. Starkman, *Łódź i łodzianie (szkic społeczno-obyczajowy)*, [w:] *Łódź, która przeminęła…*, s. 41–43. Na podstawie: A. Starkman, *Łódź i łodzianie (szkic społeczno-obyczajowy)*, druk. Wł. Jasińskiego, Warszawa 1895.

[23] „Bajką może się wydać […] że ukazanie się cylindra na głowie warszawskiego osobnika wywołuje na łódzkiej ulicy… sensację i uważane jest za… fanfaronadę […]. Niepodobna […] otrząsnąć się z przykrych myśli […], gdy się widzi w Łodzi całe legiony indywiduów zajmujących w tym dziwnym mieście dominujące i pierwszorzędne stanowiska i reprezentujących nieraz na zewnątrz najpoważniejsze firmy handlowe, podczas gdy wielu, bardzo wielu najzdolniejszych, najpracowitszych i najinteligentniejszych pracowników zadowalać się musi na bruku warszawskim najskromniejszymi pozycjami w hierarchii handlowej” (tamże).

bardziej eleganckich"[24], redakcja warszawskiego „Świata" zamieszcza pod jego tekstem uwagę: „No, No! Więcej eleganckich niż w Warszawie!"[25] K. P. Woźniak stwierdza, że spostrzeżenie H. Vimarda może być trafne. Łódź nie posiadała możliwości korzystania z rozrywek na europejskim poziomie, o które w Warszawie było łatwiej, toteż „łódzkie karnawałowe bale dobroczynne zamieniały się w rewie mody i nowinek sztuki kulinarnej wprost z Berlina, Wiednia i Paryża"[26].

Nie tylko A. Starkman, ale i inni warszawscy dziennikarze wypowiadali się źle o życiu duchowym w grodzie bawełny. S. Gorski w 1904 r. pisał:

> Wygląd europejski zaczyna się od ulicy Piotrkowskiej. Siedem wiorst długości drogę strzegą dwa rzędy domów, nie zawsze wielkomiejskich, ale często wykwintnych, a nawet imponujących. [...] Na znacznej części Piotrkowskiej widzi się bruki drewniane, a całą przestrzeń ulicy i jej przedłużenie przecinają podwójne linie tramwajów elektrycznych. Wielki ruch i ożywienie panują w tej dzielnicy.

Początek opisu jest interesujący, jednak już następne zdania budzą niechęć, a mogą wywołać nawet drwinę: cóż to znowu za europejskie miasto, skoro człowiek czuje się w nim jak na fabrycznym dziedzińcu! „Duże, wyładowane towarami i węglem wozy z wolna ciągną po wybojach w bruku kamiennym. Prawie w każdym podwórzu stoi fabryka większa lub tylko dochodzi stuk warsztatów ręcznych. W Łodzi pamiętają, że czas to pieniądz". S. Gorski, podobnie jak A. Starkman, nie może obejść się bez porównań do Warszawy i pozornie niewinnych uwag:

> Sklepów tak wspaniałych, jak w wielkich miastach, choćby tylko w Warszawie, Łódź posiada niewiele. Charakterystyczną jest rzeczą, że nawet przy ulicy Piotrkowskiej sklepy o mniej wykwintnym wyglądzie cieszą się nieraz powodzeniem większym od swych konkurentów o urządzeniach europejskich. [...] Cukiernie, restauracje mają zupełnie inny charakter, niż w wielkich miastach zachodnich. W Wiedniu do „cafe" schodzą się stali bywalcy dla omówienia najświeższych nowin politycznych, w Warszawie zbiera się „towarzystwo" dla wzajemnego zobaczenia się i lekkiego poflirtowania, w Łodzi cukiernia jest giełdą, gdzie od rana do nocy mówi się o „interesie"[27].

O parku Helenowskim, wzbudzającym zachwyt ówczesnych łodzian, warszawski publicysta pisał zaś:

> Nie są to poważne i pełne uroku Łazienki warszawskie, daleko mu do pięknej całości parku Stryjskiego we Lwowie. [...] Jak na park spacerowy może za dużo wygód i filister-

[24] H. Vimard, *Łódź. Polski Manszester*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001, s. 20.
[25] Tamże, s. [34].
[26] Tamże.
[27] S. Gorski, *Łódź spółczesna*..., s. 13–14.

stwa, ale za drogo płacone wejście łodzianin ma wszystko, na co stać „salon letni” w stolicy królów bawełnianych [...] jest to typowy park burżuazji[28].

Park został otwarty dla publiczności w 1885 r. i rzeczywiście przeznaczony był dla ludzi bogatych, gdyż wstęp do niego był drogi. Bagnisty pierwotnie teren zmieniono w niezwykle efektowny ogród. Wśród atrakcji znajdowały się stawy (których tafle stawały się zimą ślizgawkami) z przystanią dla łódek, kamienna kaskada na skarpie, fontanny, różane aleje, piękne i zadbane kwietniki, grota z lawy wulkanicznej, tarasy, zwierzyniec, muszla koncertowa, pawilon teatralny, cyklodrom, czyli tor kolarski, korty tenisowe, boisko, hala sportowa, wieża widokowa oraz cukiernia (kawiarnia) i restauracje. Od wejścia do wnętrza parku prowadziła aleja wysadzana gruszami, a później dębami i czerwonymi klonami. W parku odbywały się koncerty, przedstawienia, wystawy czasowe Salonu Artystycznego Z. Bartkiewicza, pokazy sztucznych ogni, zawody sportowe, wyścigi kolarskie i dwukrotnie, w roku 1898 i 1899, pokazy lotów balonem. Nie wszystkie to zresztą atrakcje. Warto zwrócić uwagę, że w 1895 r. odbyła się w nim wystawa rzemieślniczo-przemysłowa, na której swoje wyroby prezentowało stu dwudziestu kupców i rzemieślników (S. Gorski o tym milczy). Kres świetności parku przyniosła I wojna światowa; później, mimo prób, nie udało się przywrócić mu dawnego znaczenia. Dlaczegóż więc A. Starkman narzeka na brak życia towarzyskiego w Łodzi? Jako spokrewniony z Ludwikiem Starkmanem, wiceprezesem Rady Banku Handlowego w Łodzi, przebywał w niej w latach 1893–1894 i musiał znać Helenów, który był ulubionym miejscem spotkań, a nawet miejscem, w którym należało się pokazywać. Bywał też z pewnością w wykwintnej cukierni (kawiarni) Aleksandra Roszkowskiego położonej na rogu Piotrkowskiej i pasażu Meyera (dziś Moniuszki), w pobliżu dwóch hoteli – Victorii i Grandu. Cukiernię tworzyło kilka pomieszczeń wyposażonych na dole w marmurowe stoliki, wygodne fotele i kanapy, a ozdobionych ogromnymi lustrami w stylowych ramach. Na piętrze zaś znajdowały się pokoje bilardowe i szachowe. Kawiarniana czytelnia oferowała bogaty wybór pism krajowych i zagranicznych. „U Roszka” goście nie tylko delektowali się wyśmienitymi słodkościami i plotkowali w różnych językach. Swoje wystawy organizowali tu malarze. Ta kawiarnia była miejscem spotkań ówczesnej elity intelektualnej.

Nie miała więc Łódź szczęścia do publicystów[29]. Cokolwiek by w niej było, zawsze uznawano za nie takie, jakie być powinno i gorsze niż

[28] Tamże, s. 17.

[29] Podobnie problem ten widzi K. Kołodziej; zob. K. Kołodziej, *Między „ziemią obiecaną” a „złym miastem” – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 1, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica” 2008, nr 10, s. 254–260.

w wielkich miastach Europy albo „burżuazyjne"[30]. Nikt z ówczesnych nie zastanawiał się, dlaczego miałoby być lepsze, skoro wielkomiejska Łódź liczyła niespełna trzydzieści lat i miała być przede wszystkim miejscem rozwoju wielkiego przemysłu. Jej kultura powstawała w niezbyt sprzyjających okolicznościach, a mieszkańcy (w tym również elity) mówili różnymi językami, pochodzili z różnych obszarów kulturowych i środowiskowych. Samo miasto zaś bezustannie się rozbudowywało, co również nie było czynnikiem sprzyjającym rozwijaniu w nim kultury. Dla jego rozwoju, istnienia i warunków higienicznych ważniejsze było połączenie kolejowe z Europą lub kanalizacja niż teatr. Pod koniec XIX w. komunalne i przemysłowe ścieki płynęły w Łodzi rynsztokami. Ponadto Rosjanie nie byli zainteresowani kształceniem Polaków, nie widzieli też potrzeby rozbudowy szkolnictwa w mieście. H. Vimard pisze, że istniejące od 1905 r. polskie szkoły, w których Polacy mogą się uczyć w ojczystym języku (o czym dalej) nie są bezpłatne, a poza tym „robotnik, żywiący się chlebem, kartoflami i okrasą, nie może posyłać do nich swoich dzieci" (Vim., s. 28). Warto też wspomnieć, że łodzianie starali się o założenie pod koniec lat sześćdziesiątych XIX w. Instytutu Politechnicznego, który miałby kształcić kadry dla potrzeb rozwijającego się przemysłu[31]. Najwyraźniej polscy publicyści chcieli koniecznie, aby w Łodzi rozwijała się bez przeszkód, mimo rusyfikacji, polska kultura, do tego znacznie swobodniej niż w innych miastach, które posiadały już odpowiednie zaplecze. Dodajmy jeszcze, że skoro istniały tak eleganckie i wykwintne przybytki jak Helenów lub kawiarnia Roszkowskiego, musiały istnieć również inne,

Wśród publicystów warszawskich spotykamy jednak wyjątki. Należy do nich B. Prus. Choć nigdy nie był w Łodzi, potrafił na jej problemy spojrzeć z dystansem i widzieć je w perspektywie potrzeb kraju. Nie wahał się także wskazać działalności łodzian jako przykładu dla mieszkańców Warszawy, jak w przypadku powstałej w Łodzi ochronki dla umysłowo chorych lub powołania do życia drugiego towarzystwa śpiewaczego, mimo że Łódź w przeciwieństwie do Warszawy nie posiadała np. konwersatorium. Zob. taż, *Obraz Łodzi w piśmiennictwie pozytywistyczno-młodopolskim*, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2009, s. 191–212.

[30] S. Gorski pisał o łodziankach: „Piękności w świecie niewieścim brak w Łodzi, brak im przede wszystkim tej zręczności, jaką się widzi w Warszawie. Niegustownie, ale kosztownie poubierane damy nadają «tonu» ruchowi przechodniów [...]. W ogóle na ulicach brak wdzięku i elegancji" (S. Gorski, *Łódź spółczesna*..., s. 11). W podobny sposób dziennikarz patrzy na łódzką architekturę: „W urządzeniach mieszkalnych w ogóle lubią łodzianie wykwint i bijące w oczy efekty politury" (tamże, s. 18) i kulturę: „Na sztuce zna się Łódź bardzo mało, kiedy jednak do miasta zawita jakaś «gwiazda» europejska, łodzianie nie szczędzą grosza na nabycie biletów. Owszem, im miejsca są droższe, tym urok wrażeń artystycznych zyskuje w ich oczach" (tamże, s. 40).

[31] Zob. na ten temat M. Bandurka, *Łodzianie w drodze do szkolnictwa wyższego*, [w:] *Rola nauczycieli łódzkich w tworzeniu dziedzictwa kulturowego Łodzi*, red. S. Gala, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1998, s. 289–292.

może mniej wykwintne i mniej eleganckie, ale równie przyjemne. Te dwa nie byłyby przecież w stanie sprostać potrzebom co najmniej kilkusetosobowej grupy zainteresowanych.

Łódź była miastem kontrastów. Tuż obok bogactwa rozsiadła się nędza. Piękny Helenów leżał obok Starego Miasta. Tam, gdzie nie zachodził elegancki świat, zaczynała się żydowska dzielnica „[...] brudna i smrodliwa, rojna ludnością natłoczoną. Jak żyją ci biedacy? Jakim cudem nie mrą z głodu?”[32] Jeszcze dalej leżały „Bałuty o złej sławie” (Vim., s. 28). Nie trzeba było jednak oddalać się z Piotrkowskiej, by zauważyć te kontrasty: „Wzdłuż ulic o bruku pozapadanym szeregują się bezładnie skromne parterowe domki drewniane, do których woźnice wstępują, żeby gardło przepłukać, potężne banki o zabezpieczonych kratami oknach, niezliczone biura i piękne sklepy, w których milionerzy znajdują kapelusze paryskie, storczyki i diamenty” (Vim., s. 28).

Zarysowaliśmy wcześniej ukazane w literaturze i publicystyce życie towarzyskie i wygląd miasta, który w jakiś sposób odzwierciedlał możliwości (a raczej ich brak) życia duchowego Łodzi. Publicystyka dostarcza także materiału do przemyśleń nad jego charakterem. Z. Bartkiewicz, który dobrze znał miasto i jego problemy, pisał na łamach warszawskiego tygodnika „Świat”:

> [...] nie rosną kwiaty w fabryce, na grzęzawisku nie ozwie się pieśń [...]. I nawet nie trzeba się dziwić, bo tu prosty lud. Garść zbogaconych wyrobników fabrycznych, z których pono niejeden nawet pisać nie umie. Przy nich ludzie fachowi, nawet zdolni w zakresie swoich obowiązków, lecz poza tym – nic. Bo i czasu im brak, i wreszcie tak dobrze jest, wielu zaś adwokatom [...] czas zabierają albo poboczne interesy handlowe, albo też ducha wypełnia niepokój fachowej zawiści (Bartk., s. 41).

Niemcy i Rosjanie zamiast teatru wolą kabaret (Bartk., s. 41–50), Żydzi są od Niemców wrażliwsi, dlatego w brudnym szynku nie spędzają wieczorów, lecz chodzą do teatrów[33]. A Polacy? Stawiają kościoły. „Jak za dawnych lat, gdy po dniach zarazy, wojny lub głodu stawiano Panu przybytki, aby gniew Jego przebłagać, tak w czasach burzy dzisiejszej [zaburzeń po rewolucji 1905 r.] rosną świątynie” (Bartk., s. 51). Czy ma to być pochwała pobożności Polaków? Trudno dociec; z pewnością nie jest to jednak jej krytyka.

---

[32] W gazetach łódzkich tego okresu znajdujemy informacje o ludziach znalezionych na ulicy, zmarłych na skutek wycieńczenia organizmu spowodowanego głodem. Problem ten podjął w *Kronikach* B. Prus, zob. K. Kołodziej, *Obraz Łodzi*..., s. 204–205.

[33] Nie jest to jednak ukłon w stronę tej narodowości. „Żyd bogacz [...]” – pisze Z. Bartkiewicz – „woli [...] teatr czy koncert. Tam w chwilach znudzenia wydobywa notesik, oblicza, ile przedstawienie przyniosło i jakie są koszty, a potem wzgardliwie się uśmiecha, bo to nie jest interes” (Bartk., s. 41).

Z. Bartkiewicz przywołuje też polskie czasopisma: „Dziennik Łódzki" Henryka Elzenberga, „Rozwój" Wiktora Czajewskiego i „Gońca Łódzkiego" Henryka Łubieńskiego, których żywot na łódzkim bruku był trudny z powodu cenzury i samych czytelników, doceniających istnienie gazet dopiero po ich zamknięciu[34] (Bartk., s. 55–57). W Łodzi, jak stwierdza publicysta, czyta się niewiele, literatury nie zna się żadnej – ani dawnej, ani współczesnej, natomiast cechą charakterystyczną łodzian jest chęć rozprawiania o wszystkim, toteż są oni bardzo surowymi „krytykami" (Bartk., s. 58). Z. Bartkiewicz jest w ogóle bardzo krytyczny wobec elit miasta. Stwierdza, że jedynie architektura spośród wszystkich sztuk cieszyła się w Łodzi uznaniem, jednak „miejscowi obywatele" wywierali na architektów tak silne naciski, chcąc pokazać swoje bogactwo, że powstające budynki były

[...] dalekie od stylu, lecz z ozdobami spaczonego baroku lub jakiegoś niemieckiego renesansu, [...] duże ciężkie domiska z czerwonej cegły upstrzone majoliką lub pstrą malaturą, stanowią ciekawe dziwolągi [...]. Rzeźba, ta rodzona architektury siostrzyca, równie ciężką jest dotknięta niemocą. Zszedłszy na usługi kamieniarstwa lub sztukaterii, tworzy nagrobki kamienne lub gipsowe kariatydy, podpierające balkony lub wykusze tutejszych niby-pałaców[35]. [...] Malarstwo cokolwiek lepszej zażywało doli, bo wspierali je Żydzi. Jedyni to byli goście smutnej pamięci artystycznego salonu [prowadzonego kilka lat wcześniej w Łodzi salonu sprzedaży dzieł sztuki przez samego Z. Bartkiewicza], w którym jednak taka była pustka i ponurość, że uciekał stamtąd właściciel [...]. Pozostało paru zaledwie [artystów[36]], a i ci nie jedwabne mają życie, słuchając dzikich na sztukę poglądów [...]. Poza tym, jak wszędzie, dyletantów, niedouczonych malarczyków – plaga (Bartk., s. 58–60).

Z. Bartkiewicz zwraca też uwagę, że istnieje w Łodzi szkoła muzyczna, Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia"[37], pierwsze prawdziwie polskie stowarzyszenie, oraz „Lira"[38].

---

[34] Z. Bartkiewicz zwraca uwagę na następujących łódzkich publicystów: Aleksandra Milkeara, Feliksa Fryze, Władysława Ratyńskiego, Wiktora Czajewskiego, Stanisława Łąpińskiego, Kazimierza Kamińskiego (Bartk., s. [83]).

[35] Jako uznanych artystów, którzy pozostawili po sobie ślad w Łodzi, Z. Bartkiewicz wymienia Wawrzyńca Wojtasiewicza (Bartk., s. 59), Antoniego Urbanowskiego i Ludomira Wąsowskiego (Bartk., s. [83]).

[36] Z. Bartkiewicz wśród łódzkich malarzy wymienia Dawida Modensteina, swoją żonę Eugenię Helenę Glanz oraz mniej znanych Wołczaskiego, Radwańskiego i Biedrońskiego (Bartk., s. [83]).

[37] Założycielem, kierownikiem i dyrygentem Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia" (1892) był Alojzy Dworzaczek (Bartk., s. [83]).

[38] Łódzkie Rzemieślnicze Towarzystwo Śpiewu Chóralnego „Lira" powstało w 1894 r. W 1907 r. w Łodzi istniały trzy szkoły muzyczne: Marii Bojanowskiej, Nauma Podkaminera i Marii Wilkoszewskiej (Bartk., s. [83–84]).

Podobnie o życiu artystycznym Łodzi pisał kilka lat przed Z. Bartkiewiczem S. Gorski. Wśród ogólnych narzekań na jego poziom z rzadka trafiamy na pochwały, na przykład towarzystw muzycznych, o których już pisaliśmy. Jego zdaniem cieszą się mniejszym powodzeniem, niż by na to zasługiwały. „Lutnię” chwali za dbałość o poziom artystyczny. S. Gorski zwrócił uwagę na łódzkich malarzy; wymienił Leopolda Pilichowskiego, Samuela Hirszenberga i Przybylskiego[39], mających „już ustaloną opinię”. Pochwalił starania dyrektorów polskich teatrów – Michała Wołowskiego, Henryka Grubińskiego, Mariana Gawalewicza. Zwrócił też uwagę na Mieczysława Hertza, łódzkiego fabrykanta, historyka i działacza społecznego: „W mieście drzemki literackiej trafiają sie jednak wyjątki; ostatnio zaszczytnie dał sie poznać p. M. Hertz, autor sztuki scenicznej «Ananke» napisanej pięknym językiem, opartej na motywach klasycznych”[40]. Rzecz była wyróżniona na konkursie dramatycznym imienia Henryka Sienkiewicza[41]. Poza tym spotykamy raczej negatywne uwagi. „Ściany salonów niektórych przemysłowców zdobią dzieła sztuki, ale żaden nie posiada większego księgozbioru”[42]. Drukarnie łódzkie odbijają etykiety, „szematy” (szablony), księgi handlowe, a w najlepszym przypadku lepsze lub gorsze podręczniki szkolne[43]. S. Gorski pokusił się nawet o charakterystykę łódzkiego życia naukowego: „Miasto, nie dosyć, że nie wytworzyło placówki dla dorobku umysłowego, ale nie pozyskało względów u naukowców, chcących pracować nad Łodzią”. Odnotowuje istnienie Towarzystwa Lekarskiego, twierdzi jednak, że bardziej zajmuje się ono medycyną praktyczną niż teorią. Zwraca również uwagę na wydawane przez nie, a redagowane siłami lekarzy łódzkich „Czasopismo Lekarskie”. Jest to wszakże, jak zauważa, „organ lekarzy prowincjonalnych”. Miasto posiada wszakże naukową pracownię higieniczną doktora Stanisława Serkowskiego, znanego także poza granicami Królestwa[44].

Wbrew temu, co pisze S. Gorski, środowisko lekarskie działało w Łodzi bardzo prężnie, a jego aktywność nie opierała się jedynie na uznanym higieniście i nie tylko on mógł się pochwalić publikacjami z zakresu medycyny. Tu trzeba również wspomnieć o podjęciu przez lekarzy wielu

[39] S. Gorski wymienia tylko nazwiska; zapewne chodziło mu o Wacława Przybylskiego. Wymieńmy jeszcze pracującego w tym okresie ilustratora Antoniego Przybylskiego oraz doskonałego artystę Artura Szyka.

[40] Jak donosił łódzki „Rozwój”, sztuka była wystawiana także w Victorii: „Repertuar teatru Victoria zapowiada: na j u t r o «Ananke», tragedię Mieczysława Hertza, po raz drugi [...] na sobotę «Ananke», po raz trzeci”, „Rozwój”, 21.10.1903, s. 3.

[41] S. Gorski, *Łódź spółczesna*..., s. 67–85.

[42] Tamże, s. 68.

[43] Tamże, s. 68–70.

[44] Tamże, s. 67–69.

inicjatyw, które miały na celu działania profilaktyczne, zmierzające do poprawy warunków bytu i zdrowia dzieci, stanu sanitarnego robotniczych dzielnic, walki z gruźlicą i cholerą, zapobiegania epidemiom, objęcia leczeniem ludzi z problemami natury psychicznej. Założone przez lekarzy Towarzystwo Higieniczne walczyło nawet z analfabetyzmem. Należy wymienić choćby Seweryna Sterlinga, Karola Jonschera, Stefana Kopcińskiego, Jana Mazurkiewicza, Bolesława Handelsmana, Józefa Kolińskiego, Zofię Garlicką, Józefa Brudzińskiego[45].

Obraz życia intelektualnego rysuje więc dopiero publicystyka. Trzeba było jednak choć trochę lubić Łódź, by pokazać, co się w niej znajduje oraz cieszyć się tym. Bez przekłamań, epatowania brzydotą lub śmiesznościami ujęli się za Łodzią i ukazali ją łódzcy dziennikarze – A. Gliszczyński i A. Mieszkowski. Co prawda i oni nie szczędzą mieszkańcom miasta złośliwych uwag[46], dostrzegają niedomagania przeszłości[47], potrafią wszakże wydobyć i docenić dokonujące się w mieście korzystne zmiany:

---

[45] Szerzej na temat środowiska lekarskiego zob. B. Gołębiowska, *Pasierbowie kultury*..., s. 58–65.

[46] Łódzcy publicyści piszą o łodzianach: „Wszak Łódź się bawi? Wszak tu śpiewają, grają, tańczą, chodzą do teatru, dają aktorkom bukiety i kochają się w nich «do szaleństwa». Wszak na tym wielkim rynku bawełny pulsują serca tancerek rozmarzonych w walcach? Ależ naturalnie. My się bawimy, jak wszędzie, mamy rauty wcale nie nudniejsze od warszawskich, na rauty nasze «ladies» przychodzą z «dekolcikiem», tu się tak dobrze flirtuje pod palmą salonową jak i gdzie indziej. Kto jest innego zdania, niech będzie skazany na obmowę, a przekona się, że mamy nie tylko towary łokciowe, ale i języki; poczta, tak samo jak wszędzie, przesyła anonimowe listy, plotkarstwo nie ustępuje pod względem dobroci takimże wyrobom innych miast. I nie tylko, ale my lubimy bardzo teatr i muzykę, chętnie o niej mówimy, a my «jesteśmy ludzie bogaci», więc możemy sobie pozwolić na przeróżne przyjemności. [...] Jakąż to muzykę słyszeć można w Łodzi? Świst maszyn parowych, huk młotów, brzęk dzwonków, skrzyp warsztatów i turkot wozów fabrycznych. Ale nieustanny, iście piekielny koncert, musiał znieczulić słuch mieszkańców na wszelkie estetyczne dźwięki" (A. Gliszczyński, A. Mieszkowski, *Łódź, miasto i ludzie*..., s. 19).

[47] „Przed kilkunastu laty" – czytamy w artykule A. Gliszczyńskiego i A. Mieszkowskiego – „produkcje muzyczne ograniczały się tu na rzadko [...] udanym koncercie [...]. Wystarczał na to jedyny wówczas teatrzyk Sellina (ulica Konstantynowska [Legionów]), z małą salą (audytorium), bez lóż, a nawet galerii, z mniejszą jeszcze, bo zaledwie z kilkunastu desek sklepaną sceną, bez garderób dla artystów [...]. Dekoracje budziły mimowolną tęsknotę za czasami Szekspira. Blaszane piecyki więcej zaczadzały niż ogrzewały scenę i widownię, na których oświetlenie składały się mizerne świeczki. Do uroczystości tych przygrywała, równie jak teraz, jedyna orkiestra złożona z Moszków i Judków. [...] O prywatnych zebraniach, a tym bardziej stowarzyszeniach muzycznych, choćby tylko kościelny śpiew uprawiających, ani mowy wówczas być nie mogło. W małym, drewnianym kościółku Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny na Starym Mieście w uroczyste święta szczupłe grono amatorów śpiewu wykonywało łatwiejsze pienia religijne. Drobne kółka niemieckie («Euphonia», «Blaue Schleife») zbierały się w przybytkach Gambrynusa, by po całodziennych trudach przy kuflu piwa zanucić

Dziś jest inaczej. Łódź, która w ostatnim zwłaszcza lat dziesiątku z błyskawiczną wznosi się szybkością [...] nie zapomniała o przybytkach sztuki. Imponujący ogromem i piękną strukturą „Dom koncertowy” przy ulicy Dzielnej [Narutowicza] mieści na pierwszym piętrze wspaniałą salę, jakiej nie powstydziłaby się Warszawa. [...] Pomimo wyrestaurowania [...] teatru Sellina okazał się on za szczupłym [...]. Więc w przeciągu czasu, który gdzie indziej starczyłby zaledwie do wybudowania piętrowego domu, wzniesiono wcale pokaźne dwa gmachy teatralne: „Victoria”, przy ulicy Piotrkowskiej, i „Thalia”, przy ulicy Dzielnej obok „Domu koncertowego”[48].

Nastąpiły także inne korzystne zmiany. Uznani artyści, przybywając do Warszawy, dawali również koncerty w Łodzi. Kilkakrotnie odwiedzały miasto uznane trupy teatralne, choć przyznać należy, że nie zawsze cieszyły się należytym zainteresowaniem. Ponadto znacznie podniósł się poziom przedstawień. Publicyści odnotowali w Łodzi obecność znanych w świecie muzycznym artystów, m.in.: Zygrydy Arnoldson, Pauline Lucca, Stanisława Barcewicza, Pawła Kochańskiego, Władysława Mierzwińskiego, a także zespołów Józefa Teksla i Juliana Grabińskiego. Łódź nie posiadała pod koniec XIX w. stałej orkiestry koncertowej; próby jej utworzenia nie powiodły się. A. Gliszczyński i A. Mieszkowski zwrócili natomiast uwagę, że miejscowi artyści wraz z amatorami tworzą udany zespół, wykonujący także utwory symfoniczne. Odnotowali też istnienie zgranych zespołów straży ogniowej i zespołu fabrycznego[49].

Obraz życia towarzyskiego i intelektualnego Łodzi, ukazany w literaturze pięknej, różni się zdecydowanie od tego, który widzimy w publicystyce tego okresu, ale i ona nie niesie jednolitej wizji. Rozbieżności pomiędzy literaturą i informacją prasową nie powinny dziwić. Pierwsza realizuje sobie założone cele, dlatego u Wł. S. Reymonta mamy drapieżny obraz kapitalistycznej Łodzi i panoramę stosunków społecznych, natomiast u W. Marrené-Morzkowskiej i W. Kosiakiewicza znajdujemy dydaktyczne pouczenie, jaki powinien (lub nie powinien) być Polak. Nieco inne cele wyznaczył sobie Wł. Rowiński, mniej – jak się wydaje – uprzedzony do Niemców, toteż w powieści szerzej ujął Łódź, a baczniejszą uwagę zwrócił na degradację wartości moralnych u jej mieszkańców. Zupełnie inną wizję miasta, co już zostało omówione, znajdujemy w powieści I. J. Singera. Różnice w ujęciach Łodzi u publicystów wynikają z okresu, w którym pisano reportaże, stąd u Z. Bartkiewicza ponury obraz miasta po wrzeniach rewolucyjnych i bardziej lekki w tonie rys A. Starkmana, za to dość ironiczny, bo takie zapewne były oczekiwania warszawskich odbiorców. Być może właśnie one zaciążyły na obrazie Łodzi

świecką piosenkę. Całą ich zasługą inicjatywa utworzenia łódzkiego «Männer-Gesang-vereinu» [...]” (tamże, s. 19–20).

[48] Tamże, s. 21.

[49] Tamże, s. 21–22

u S. Gorskiego; cechują go takie same przerysowania, jakie widzimy w artykule A. Starkmana. Zupełnie inaczej kształtują obraz miasta i jego kultury znający ją A. Gliszczyński i A. Mieszkowski. Jest on najbliższy prawdzie, choć ograniczony do czasów im współczesnych. Jak więc było naprawdę, skoro stereotyp Łodzi jaku „pustyni kulturowej" żywotny był jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XX w.? Czy od czasu tych publicystów nic się w mieście nie zmieniło? Prawdziwy obraz tej sfery życia miasta może jednak bardzo zaskoczyć nawet tego, kto nie żywi względem niego negatywnych uczuć.

Trudności z ukazaniem rozwoju życia kulturalnego w mieście wynikają nie tyle z tego, co przedstawić, ile – jak przedstawić jego objawy, by nie zagubić istoty interesującego nas problemu lub nie popaść w wyliczanie faktów, których zestaw i tak nigdy nie będzie pełny. Zaprezentowane poniżej dowody zainteresowania łodzian sprawami innymi niż zaspokajanie podstawowych potrzeb nie roszczą sobie pretensji do opracowania kompleksowego (stworzenie takiego w tym miejscu jest niemożliwe), a wybór faktów i ich ujęcie niewolne są od subiektywizmu, idzie bowiem o takie ich przedstawienie, by jednoznacznie pokazać, że Łódź nigdy nie była „pustynią kulturową"[50].

Początki „Łodzi literackiej" datuje się na rok 1853 i wiąże, jak pamiętamy, z wydaniem *Opisu miasta Łodzi* O. Flatta oraz legendy literackiej W. Dłużniewskiego *Paweł Łodzia Kubowicz*. Dodać do nich możemy *Wyprawę do Ameryki* tegoż autora, powstałą nieco później, choć nigdy niewydaną. Rozpoczęcie istnienia życia literackiego w Łodzi we wspomnianym roku należy uznać tyleż za chwalebne, bo dążące do nobilitacji miasta przez jej miłośników, co i życzeniowe[51]. Na prawdziwe jego początki przyszło miastu czekać znacznie dłużej, gdyż latom 1860–1880, w których miasto gwałtownie zmieniało swoje oblicze, literatura nie towarzyszyła. Dopiero na przełomie wieków XIX i XX pojawiły się utwory W. Marrené-Morzkowskiej, W. Kosiakiewicza, Wł. S. Reymonta, Wł. Rowińskiego, A. Gliszczyńskiego, S. Łąpińskiego, M. Gawalewicza, A. Struga, proza publicystyczna Z. Bartkiewicza, H. Vimarda, I. Timkowskija-Kostina i innych. Poświęciliśmy ich twórczości wiele miejsca, dlatego nie trzeba rozwijać tego problemu. Wspomniany przełom stuleci jest okresem, w którym w Łodzi zaczęło się kształtować środowisko literackie; jego istnienia w wolnej Polsce i po 1945 r. nie ma potrzeby w tym miejscu udowadniać, choćby ze względu na istniejące i dostępne publikacje.

[50] O ile nie zaznaczono inaczej, rozwój życia intelektualnego przygotowano na podstawie: *Łódź – monografia miasta*, red. S. Liszewski, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 2009; *Łódź – dzieje miasta*, red. R. Rosin, t. I: *Do 1918*, red. B. Baranowski, J. Fijałek, PWN, Warszawa–Łódź 1980; J. Tynecki, *Literatura Łodzi*..., s. 13–34.

[51] Por. J. Tynecki, *Literatura Łodzi*..., s. 15.

Wspomnijmy jeszcze, że w interesującym nas okresie z Łodzią poprzez miejsce urodzenia i zamieszkania związani są znani w środowisku literackim m.in.: Tadeusz Nalepiński, Stanisław Rembek, Tadeusz Miciński, Antoni Szandlerowski i Julian Tuwim.

Jeśli rozważymy pod kątem istnienia literatury w Łodzi okres od ukazania się pierwszego utworu do pojawienia się następnego (nieważne czy poświęconego miastu, czy też innym zupełnie problemom), to może się wydawać, że mieszkańcy Łodzi przez kilkadziesiąt lat pozbawieni byli kontaktu z literaturą i środowiska literackiego w mieście, oddziałującego na jego życie duchowe. Nie jest to jednak zgodne z prawdą. Początki łódzkiego piśmiennictwa są związane z rozwojem w niej czasopism. Jego zalążki wiąże się z powstaniem w 1863 r. „Łodźer Anzeiger – Łódzkich Ogłoszeń”. Powstanie gazety wiąże się z wybuchem powstania styczniowego. Zaistniała wówczas potrzeba szybkiego przekazywania zarządzeń władz. Drukarz Jan Petersilge bez trudu uzyskał zezwolenie na wydawanie gazety.

Początkowo „Łódzkie Ogłoszenia – Lodźer Anzeiger” ukazywały się dwa razy w tygodniu i były w gruncie rzeczy spisem zarządzeń, przepisów porządkowych, ogłoszeń handlowych, przemysłowych i prywatnych różnej treści. Jako swego rodzaju „gazeta policyjna” nie cieszyły się jednak wzięciem i – mimo obowiązku prenumerowania – liczba abonentów nie była duża, a i tak zaczęła po jakimś czasie znacznie się zmniejszać[52].

Początki polskiej publicystyki (pamiętajmy o innych narodowościach, które w Łodzi również miały swoje organa prasowe) zapoczątkowała wychodząca od 1865 r. „Lodzer Zeitung – Gazeta Łódzka”, w której „dział polski” redakcja powierzyła nauczycielowi Franciszkowi Rybce[53]. W 1880 r. Jan Petersilge, aby pozyskać polskich czytelników, wprowadził do gazety stały dział polski, przekształcony rok później w samodzielny dodatek tygodniowy, noszący tytuł „Gazeta Łódzka”. Od maja 1881 r. „Lodzer Zeitung” stała się jednak gazetą wyłącznie niemiecką i dopiero w 1884 r. Polacy doczekali się „Dziennika Łódzkiego” – własnego czasopisma w języku polskim. Twórcą i kierownikiem pisma był Henryk Elzenberg, natomiast wydawcą – Stefan Kossuth, naczelny inżynier w zakładach Scheiblera, w rzeczywistości zaś firma, w której pracował. Jak stwierdza Jerzy Wilmański, za Zygmuntem Gostkowskim, powołanie pisma miało przeciwdziałać kampanii pism rosyjskich, które w imieniu fabrykantów moskiewskich starały się w ujemnym świetle ukazywać fabrykantów łódzkich, a szczególnie Scheiblera. Fabrykanci łódzcy, nie posiadając

[52] Tamże.

[53] J. Wilmański, *Dzieje prasy łódzkiej (z „Płatków sadzy”)*, www.art.intv.pl/Wilma%C5%84ski_J./Czasopisma (dostęp: 10.09.2012).

odpowiedniego organu, stali się na gruncie publicystyki prasowej bezbronni, tym bardziej, że prasa Królestwa Polskiego była im również nieprzychylna[54]. „Dziennik Łódzki" był pismem kierowanym do inteligencji i kontynuował program warszawskiego pozytywizmu, podejmował krytykę stosunków narodowościowych i wypowiadał się w obronie robotników. Pismo zostało zamknięte w roku 1892.

Kolejne czasopismo – „dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny i literacki ilustrowany" – „Rozwój" Wiktora Zajewskiego, ukazało się w roku 1897 i wychodziło z przerwami do roku 1931. Współpracowali z nim dawni członkowie redakcji „Dziennika Łódzkiego", Zygmunt Kułakowski i Karol Łaganowski, a także Stanisław Książek i Antoni Książek, Stanisław Łąpiński oraz dyrektor teatru, Michał Wołowski. „Rozwój" sympatyzował z Narodową Demokracją, a w okresie rewolucji 1905–1907 niejednokrotnie występował przeciwko walczącym robotnikom. Należy podkreślić, że W. Zajewski wydał dla swoich czytelników *Pana Tadeusza*, a jego pismo popierało ideę utworzenia w Łodzi biblioteki publicznej.

Inną orientację polityczną niż „Rozwój" reprezentował „Goniec Łódzki". Zaczął się ukazywać w 1989 r. i wychodził do marca 1906 r. Wydawał go Henryk Łubieński. Pismo charakteryzowało się wyraźnymi sympatiami socjalistycznymi. W okresie rewolucji 1905 r. redakcja opowiedziała się po stronie proletariatu, co w rezultacie doprowadziło do likwidacji pisma. W jego miejsce niemal natychmiast po zamknięciu zaczął wychodzić „Kurier Łódzki", wydawany przez Stanisława Książka. Nowa gazeta przejęła tradycje „Gońca", w istocie bowiem zmienił się tylko tytuł, pozostali natomiast jego współpracownicy oraz forma i treść. Przyjęta linia (lub jej kontynuacja) była powodem zamknięcia gazety w 1911 r. W tym też roku zaczął wychodzić i ukazywał się przez osiem kolejnych lat „Nowy Kurier Łódzki" wydawany tym razem przez Antoniego Książka. Nowa redakcja zachowała kierunek poprzednich pism. Warto wspomnieć, że w „Nowym Kurierze Łódzkim" publikowali m.in. Tadeusz Miciński i młody Julian Tuwim.

Oprócz „Rozwoju" i jego konkurencyjnych kontynuacji „Gońca Łódzkiego" do 1918 r. pojawiło się kilka nowych czasopism, lecz ich życie było krótkotrwałe. W latach 1906–1911 Alfons Dziaczkowski wznowił „Dziennik Łódzki", w lutym 1912 r. pojawia się „Gazeta Łódzka" wydawana przez Jana Grodka. Powstał także pierwszy tygodnik satyryczno-humorystyczny „Śmiech" (1912–1914), redagowany przez A. Dziaczkowskiego. Warto też wspomnieć, że na przełomie XIX i XX w. pojawiły się w Łodzi pierwsze tygodniki i miesięczniki, najpierw niemieckie, a później także polskie.

[54] Tamże.

Pierwszym polskim miesięcznikiem było wspomniane już „Czasopismo Lekarskie”, wychodzące w latach 1899–1908, organ Towarzystw Lekarskich Prowincjonalnych Królestwa Polskiego, redagowane przez S. Sterlinga. W tym samym czasie podejmowano próby wydawania tygodników kulturalno-literackich. Należały do nich adresowane do szerokiego odbiorcy „Ognisko Rodzinne”, wydawane w latach 1899–1900 przez Ludwika Fiszera, a redagowane przez Antoniego Mieszkowskiego, oraz wydawany przez Leopolda Zonera w 1901 r. „Świat”, kierowany głównie do inteligencji.

Skoro wymieniliśmy „Ognisko Rodzinne” i jego wydawcę, wspomnijmy, że ożywioną działalność prowadziły łódzkie księgarnie. Wśród nich wyróżniała się założona w 1882 r. i działająca przez pół wieku księgarnia nakładowa L. Fiszera, która wkrótce stała się uznanym przedsiębiorstwem w Łodzi i w Królestwie Polskim. Szczególną popularnością cieszyły się wydawane przez L. Fiszera publikacje pedagogiczne oraz polska literatura piękna. Jak pamiętamy, S. Gorski bardzo skrytykował łódzkie wydawnictwa.

Wpływ na kształtowanie się życia intelektualnego Łodzi miał rozwój scen teatralnych. Pierwszy zespół teatralny, jak już wspomniano, odwiedził Łódź w 1844 r., a zespoły profesjonalne zaczęły w niej bywać od 1858 r., grając najpierw w Paradyżu. Warto zatrzymać się przy tym miejscu nieco dłużej, gdyż w znanym nam już ogrodzie w połowie lat pięćdziesiątych XIX w. postawiono budynek teatru „[…] z drewnianych bali i pruskiego muru, ale w jego «wewnętrznym urządzeniu, dekoracjach i ubiorach zachowano dosyć smaku i staranności wykończenia»”[55]. Tutaj właśnie odbywały się występy amatorskich, niemieckich i polskich zespołów dramatycznych i muzycznych. Tutaj też występowali gościnnie aktorzy przyjezdnych zespołów polskich. W Paradyzie (lub w Paradyżu) miał wystąpić w 1867 r. czarnoskóry odtwórca ról szekspirowskich, Ira Aldridge.

Około dziesięciu lat po powstaniu teatru Fryderyka Sellina, w roku 1877, J. Teksel próbował stworzyć w Łodzi stały teatr polski. Namówił W. Kerna, właściciela hotelu „Victoria” przy ul. Piotrkowskiej 67, aby w podwórzu wybudował murowany teatr na 600 miejsc, oświetlony gazem i ozdobiony malowaną kurtyną[56]. Otwarcie teatru nastąpiło 2 października 1877 r. „Tak powstał – jak podkreślano – najlepszy teatr prowincjonalny w Królestwie Polskim, który był jednocześnie teatrem stałym, a więc mającym nie tylko okazałą siedzibę, ale również

[55] A. Kuligowska-Korzeniewska, *Łódź teatralna*…, s. 3.

[56] S. Gorski teatr skrytykował: „[…] nawet mniejszy znawca piękna widział w gipsaturach, brązach, w ogóle w całej budowli dużo zewnętrznego tylko poloru, dużo tandety, a mało smaku” (S. Gorski, *Łódź spółczesna*…, s. 82).

dającym regularne przedstawienia przez cały sezon"[57]. Nastąpił wówczas podział teatrów łódzkich – na deskach „Victorii" wystawiano sztuki w języku polskim, a w Paradyzie grano głównie dla publiczności niemieckiej. Stała scena polska powstała jednak dopiero w 1888 r. i tę zasługę przypisuje się Łucjanowi Kościeleckiemu.

Z działalnością teatru związane jest powstanie w 1893 r. oddzielnego zespołu Opery Łódzkiej, którym dyrygował ceniony na prowincji August Balcarek. Był to jeden z trzech istniejących w tym czasie na ziemiach polskich stałych zespołów operowych (obok warszawskiego i lwowskiego). Zespół odnosił sukcesy także poza granicami Królestwa. Dzięki stałej scenie, a także działalności artystycznej teatru Łódź gościła w 1891 r. Helenę Modrzejewską[58] oraz Henryka Sienkiewicza i Henryka Siemiradzkiego. Obaj uświetnili otwarcie Teatru Wielkiego w Łodzi na 1250 miejsc, większego od Teatru Wielkiego w Warszawie. Wzniósł go zasłużony dla łódzkiej sceny F. Sellin. Teatr okazał się jednak zbyt duży, dlatego aktorzy powrócili do „Victorii" i tylko w dni świąteczne urządzali w nim przedstawienia. Warto odnotować, że jednym z dyrektorów polskiej sceny teatralnej był znany już nam M. Gawalewicz, publicysta i dramaturg.

Z łódzkim teatrem byli związani znani artyści, m.in.: Aleksander Zelwerowicz, Stefan Jaracz, Kazimierz Junosza-Stępowski, Władysław Grabowski, Leon Bończa-Stępiński. Kierownikiem literackim w sezonie teatralnym 1916/1917 został Bolesław Leśmian, który w Łodzi debiutował także jako reżyser. B. Leśmian zaprosił do współpracy urodzonego w Łodzi Aleksandra Tansmana, słynnego później polskiego pianistę i kompozytora żydowskiego pochodzenia. Kompozytor przyszedł na świat w 1897 r. W Łodzi również rozpoczął edukację muzyczną i występy; grał w istniejącej od 1915 r. Łódzkiej Orkiestrze Symfonicznej pod dyrekcją Tadeusza Mazurkiewicza[59]. Wspomnijmy przy okazji innego polskiego pianistę żydowskiego pochodzenia, starszego o kilka lat od

[57] A. Kuligowska-Korzeniewska, *Łódź teatralna*..., s. 6.

[58] Helenę Modrzejewską gościł Teatr Polski. Zaprosił ją w 1891 r. Karol Kopczewski, ówczesny jego dyrektor. Skorzystał z obecności artystki w Warszawie, a jej występy potraktował również jako sposób na poratowanie finansów teatru, któremu trudno było konkurować ze wspomaganym wówczas teatrem niemieckim. Helena Modrzejewska wystąpiła w swoich kostiumach. Jej stroje były bardzo kosztowne, wykonane z doskonałych materiałów, wierne epoce, z której pochodziła grana postać. Już to odróżniało ją od artystek grywających na łódzkiej scenie. Przede wszystkim widownię zachwyciła jej gra. Aktorka wystąpiła w Marii Stuart, budząc niebywały, nieoglądany dotąd entuzjazm. Za: S. Dąbrowski, *Występy Modrzejewskiej w Łodzi i odgłosy w prasie*, „Prace Polonistyczne" 1962, seria XVIII, s. 231–232.

[59] Życiu A. Tansmana poświęcona jest dwutomowa powieść biograficzna Janusza Cegiełły (J. Cegiełła, *Dziecko szczęścia. Aleksander Tansman i jego czasy*, t. 1–2, Wyd. 86 Press, Łódź 1996).

A. Tansmana, Artura Rubinsteina[60]. Powróćmy jeszcze do łódzkiego teatru. Związany z nim był również inny znany artysta, malarz i scenograf, Andrzej Pronaszko. W roku 1910 A. Mielewski otworzył drugą w Łodzi polską scenę – Teatr Popularny, przeznaczony dla najszerszych kręgów publiczności. Zapewniał on wszakże bogaty repertuar i odpowiedni poziom widowisk.

To krótkie omówienie łódzkiej sceny polskiej kończymy na roku 1818. Święciła ona we wczesnym okresie triumfy. Częściej jednak jej udziałem były typowe problemy z kompletem widowni lub niestabilnością finansową, co kończyło się tragicznie dla niektórych dyrektorów teatru – chorobą, bankructwem, a nawet śmiercią. Sceny łódzkiej nie omijały też kataklizmy. W 1909 r. pożar strawił budynek „Victorii”, a w 1911 spłonął Teatr Polski. Mimo utrudnień władz zaborczych i skromnych, jak by się wydawało, zainteresowań robotniczego miasta, teatr polski silnie zaznaczył swoją obecność w Łodzi. Kierowali nim wybitni artyści, grywali doskonali aktorzy, repertuar był bogaty i ambitny, obok łatwiejszego, na który składały się operetki, farsy i komedie. Trudna była jednak jego droga, często też artyści narzekali na publiczność i przyznać trzeba, że mieli rację.

Swoją historię i siedziby posiadały w Łodzi również teatry niemieckie i żydowskie. Ich interesujące zestawienie zaproponowała A. Kuligowska-Korzeniewska[61].

Sceny teatralne Łodzi

	Teatr polski	**Teatr niemiecki**	**Teatr żydowski**
1	2	3	4
Pierwsze przedstawienia teatralne	1844	ok. 1848	1868
Powstanie stałego teatru	1888	1867	1905
Założyciel stałego teatru	Łucjan Kościelecki	Eduard Reinelt	Icchok Zandberg

[60] Wiedzę o życiu A. Rubinsteina możemy poszerzyć, korzystając z jego autobiografii (A. Rubinstein, *Moje młode lata*, przekł. T. Szafar, Polskie Wyd. Muzyczne, Kraków 1986).

[61] Na temat scen łódzkich narodowości zob. też: A. Kuligowska-Korzeniewska, *Scena obiecana. Teatr polski w Łodzi 1844–1918*, Łódź 1995; *Łódzkie sceny żydowskie*, red. M. Leyko, Łódź 2000; *Niemcy w dziejach Łodzi do 1945*, red. K. A. Kuczyński, B. Ratecka, Łódź 2001.

Sceny teatralne Łodzi (cd.)

1	2	3	4
Sale i teatry	1) Zajazd przy rogu ul. Zgierskiej i pl. Kościelnego, 1844 2) „Dom zabaw" Ludwika Geyera, ul. Piotrkowska 280, 1845–1848 3) Paradyz, ul. Piotrkowska 175a, 1854–1865 4) Teatr Sellina, ul. Konstantynowska 16 (Legionów), 1898–1917 5) Victoria, ul. Piotrkowska 67, 1877–1909 6) Apollo, ul. Konstantynowska 16 (Legionów), 1898 (?) [1866]–1917 7) Teatr Polski, ul. Cegielniana 63 (Stefana Jaracza 27 – Teatr im. Stefana Jaracza), 1909 do dzisiaj 8) Teatr Wielki, ul. Konstantynowska 14 (Legionów), 1901–1905 9) Thalia, ul. Dzielna 18 (Narutowicza 20, kino Bałtyk), 1920–1921 10) Teatr Miejski – dawna Scala, ul. Cegielniana 18 (Więckowskiego 15 – Teatr Nowy)	1) „Dom zabaw" Ludwika Geyera, ul Piotrkowska 280, ok. 1848 2) Paradyz, ul. Piotrkowska 175a, 1866–1882 3) Thalia, ul. Dzielna 18 (Narutowicza 20) 4) Scala, ul. Cegielniana 18 (Więckowskiego 15, Teatr Nowy), 1923–1933 5) Sängerhaus, ul. 11 Listopada 21 (Legionów 21, Teatr Powszechny), 1933–1939 6) Theater zu Litzmannstadt, ul. Cegielniana 27 (obecnie ul. Jaracza 27 – Teatr im. Stefana Jaracza), 1940–1944	1) Sala Andreasa Fischera, ul. Średnia 413 (Pomorska), 1868 2) Victoria, ul. Piotrkowska 67, 1877–1888 3) Teatr Sellina, ul. Konstantynowska 16 (Legionów), 1905–1920 4) Thalia, ul. Dzielna 18 (Narutowicza 20, kino Bałtyk), 1920–1921 5) Teatr Wielki, ul. Konstantynowska 14 (Legionów), 1901–1905 6) Scala, ul. Cegielniana 18 (Więckowskiego 15, Teatr Nowy), 1923–1933 7) różne teatry i sale (m.in. Filharmonia Łódzka, ul. Narutowicza 20), lata 30. XX w. 8) Dom Kultury, ul. Krawiecka 3, 1940–1943

Źródło: A. Kuligowska-Korzeniewska, *Łódź teatralna: polska, niemiecka i żydowska*, www.tygielkultury.eu/1_3_2005/aktual/7ram.htm (dostęp: 10.09.2012).

Najwcześniej ukształtowała się scena niemiecka, najpóźniej – ze względu na brak tradycji – scena żydowska. Wpływ na powstanie teatru żydowskiego miała działalność towarzystwa muzycznego Hazo-

mir. Teatry łódzkie, należące do różnych narodowości, konkurowały ze sobą, ale też współdziałały. Przez pewien czas Paradyż był sceną teatralną Polaków i Niemców. Wpływ na zainteresowanie teatrem wśród narodowości żydowskiej, a także na rozwój jej działalności teatralnej mieli również Polacy.

Przejdźmy teraz do innego rodzaju widowisk. Łódź była miastem, do którego szybko trafiały nowinki techniczne. Wspomnieliśmy wcześniej o lotach balonem, tym bardziej kilka słów należy poświęcić kinu. Zanim w mieście wybudowano pierwsze kino, jego bogatsi mieszkańcy mogli obejrzeć w 1891 r. w Grand Hotelu pokazy ruchomych obrazów. Dzięki maszynie zwanej elektotachiskopem (szybkowidzem), obracającej bardzo szybko fotografie, widzowie doświadczyli złudzenia ruchu obrazów. Podobne widowisko stało się udziałem szerszej publiczności w 1895 r.

Pierwszy pokaz filmowy miał miejsce 1 sierpnia 1896 r. w parku Helenowskim, później pokazy odbywały się w Domu Majstrów Tkackich[62]. Przeprowadzane były przy użyciu maszyny Tomasza Edisona, zaś kinematograf braci Lumière wykorzystano w Łodzi w roku następnym. Pierwsze stałe kino braci Władysława i Antoniego Krzemińskich[63], zwane „Teatrem żywych fotografii”, znajdowało się prawdopodobnie przy ul. Piotrkowskiej 120. Później dwukrotnie je przenoszono. Ten rodzaj rozrywki cieszył się tak dużym powodzeniem, że tłum czekający na wejście na kolejny seans uniemożliwiał wyjście osobom kończącym oglądanie wcześniejszego spektaklu, dlatego z budynku położonego przy Nowym Rynku na przecięciu z dzisiejszą ul. Legionów widzowie byli zmuszeni wychodzić oknem. Zainteresowanie nową sztuką można zapewne porównać do pokazów trójwymiarowego kina sprzed kilkudziesięciu lat. Nie mniejszym powodzeniem takie pokazy cieszyły się również kilka lat temu. W 1903 r. bracia Krzemińscy opuścili Łódź, w mieście zaczęły powstawać następne iluzjony, na przykład Optique Parisienne przy Piotrkowskiej 15 lub Belle-Vue przy Mikołajewskiej 40 (Sienkiewicza). Większość z nich działała bardzo krótko.

W 1908 r. przy ul. Przejazd 2 (dziś Tuwima) powstało kino Odeon. Było to pierwsze w Polsce kino, którego budynek wznoszono z przeznaczeniem dla tego typu działalności. Wcześniej wykorzystywano w tym celu sklepy, szopy lub sale tańca. Odeon był przestronnym i eleganckim budynkiem, mogącym pomieścić 450 widzów. Niedługo później urucho-

[62] Łodzianie obejrzeli wówczas takie filmy, jak: *Mężczyzna z dwoma damami*, *Przygody z dzikimi zwierzętami*, *Pożar fabryki w Chicago*, *Orientalny taniec haremowy*, *Scena u fryzjera w Nowym Jorku*, *Taniec wojenny Sioux-Indian*.

[63] Filmy wyświetlane na projekcjach braci Krzemińskich pochodziły z wytwórni braci Lumière. Łodzianie obejrzeli pierwszy w ogóle wyświetlony publicznie w 1895 r. film – *Wyjście robotnic z fabryki Lumière'a w Lyonie*.

miono w Domu Majstrów Tkackich kino Luna oraz Casino przy ul. Piotrkowskiej 67 (dzisiejsza Polonia). W 1913 r. w parku Helenowskim powstało kino na wolnym powietrzu. Umieszczono je na płycie cyklodromu, a trybuny służyły za widownię. Pokazy zaczynały się dopiero po zapadnięciu zmroku. Widzowie oglądali wówczas tylko, co oczywiste, filmy nieme[64].

Od 1907 r. w Łodzi zaczęto również kręcić filmy. Były to materiały kronikarskie, dokumentujące życie miasta. Zachował się m.in. materiał nakręcony podczas Wystawy Rzemieślniczo-Przemysłowej, która odbyła się w 1912 r. w dzisiejszym parku im. S. Staszica. Wspomnijmy jeszcze, że w okresie międzywojennym działały w Łodzi prywatne przedsiębiorstwa filmowe, jak np. Emes-film lub Koraj-film. W 1930 r. Aleksander Ford zrealizował filmy *Nad ranem* oraz *Tętno polskiego Manchesteru* – reportaże artystyczne przedstawiające życie Łodzi[65].

Osobne miejsce należy poświęcić sztuce pokrewnej X muzie, a mianowicie fotografice. Pierwszy zakład fotograficzny, należący do Józefa Zajączkowskiego, powstał w Rynku Nowego Miasta w 1862 r. Znajdował się w nieistniejącym dziś domu pod numerem 8[66]. Ta dziedzina sztuki jest dla nas szczególnie ważna ze względu na działalność Bronisława Wilkoszewskiego, zwanego „łódzkim Canalettem". W 1888 r. zamieszkał w należącej do Ludwika Meyera willi „Trianon" w Pasażu Meyera i otworzył fotograficzne atelier. Według doniesień prasowych „Lodzer Zeitung" i „Dziennika Łódzkiego" w 1892 r. rozpoczął fotograficzną dokumentację Łodzi. Dzięki niemu wiemy, jak wyglądało miasto w końcu XIX w. Jego fotografie zostały zamieszczone w albumie *Widoki miasta Łodzi*, wydanym po 1898 r.

Inną, ważną działalnością mieszkańców Łodzi, przeczącą istnieniu „pustyni kulturowej", jest aktywność oświatowa. Wiemy, że w Łodzi wszystkie narodowości miały od początku XIX w., z chwilą zamieszkania w mieście, własne szkoły. W wielu szkołach dzieci różnego pochodzenia i wyznania uczyły się wspólnie. Działalność oświatowa nie przebiegała jednak bez zakłóceń i w zasadzie tylko Niemcy nie napotykali na szczególne trudności w rozwoju własnych szkół. W 1912 r. istniały 92 szkoły elementarne, w których pracowało 291 nauczycieli i kształciło się 16 211 uczniów. Były to szkoły rosyjskie, polskie, niemieckie, żydowskie, maria-

[64] Pierwszym kinem dźwiękowym w Łodzi był Splendid (dziś kino Bałtyk). Jego widzowie w 1930 r. mogli obejrzeć nakręcony w 1827 r. w Stanach pierwszy film dźwiękowy *Śpiewak z jazzbandu*.

[65] H. Krajewska, *Życie filmowe Łodzi w latach 1896–1939*, seria: „Zeszyty Muzeum Kinematografii", nr 2, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa–Łódź 1992.

[66] P. Machlański, *Szlak ulicy Piotrkowskiej*, www.ulicapiotrkowska.pl/data/other/szlak_ulicy_piotrkowskiej.pdf.

wickie, szkoły fabryczne (założone przez właścicieli przedsiębiorstw dla dzieci robotników) oraz cerkiewno-parafialne. Potrzeby były jednak znacznie większe i społeczeństwo łódzkie bardzo odczuwało ich brak.

Jak pamiętamy, w latach sześćdziesiątych XIX w. łodzianie starali się o utworzenie w mieście Instytutu Politechnicznego. Mimo niepowodzenia tego projektu, uruchomiono w 1869 r. Wyższą Szkołę Rzemieślniczą. Nowy budynek dla tej szkoły, nazywanej Szkołą Rękodzielniczo-Przemysłową, powstał przy ul. Pańskiej 115 (Żeromskiego). Do użytku został oddany w 1903 r. Przyczynili się do tego przemysłowcy niemieccy – Scheiblerowie i Geyerowie, oraz żydowscy – głównie Poznańscy. Ponadto w 1886 r. powstały gimnazja rządowe męskie i żeńskie. Pierwsze istniało w budynku przy ul. Mikołajewskiej 44 (Sienkiewicza). Gimnazjum żeńskie mieściło się zaś w budynku przy ul. Średniej 14 (Pomorskiej). Do obu szkół chodziły dzieci różnych narodowości. Językiem wykładowym był wówczas rosyjski.

Dla rozwoju szkół z wykładowym językiem narodowym ważny był rok 1905, ze względu na wydany w październiku tego roku manifest carski, zezwalający na tworzenie szkół narodowych. Po uzyskaniu w październiku 1905 r. prawa zakładania szkół prywatnych nasiliła się akcja na rzecz zreformowania szkolnictwa. 22 grudnia 1905 r. na zebraniu, poświęconym sprawie budżetu łódzkich szkół, powołano Radę Szkolną, przemianowaną później na Komisję Szkolną, która miała przygotować wnioski dotyczące organizacji nowych szkół i zmian w programach nauczania.

W 1905 r. utworzyło się Towarzystwo Popierania Szkół Średnich „Uczelnia”, które przyczyniło się do powstania w 1906 r. pierwszego polskiego gimnazjum męskiego. Przemysłowiec żydowski Edward Heiman wraz z żoną Heleną podarowali mającej powstać szkole dwa place przy zbiegu ulic Pańskiej i Nowocegielnianej (Żeromskiego i Więckowskiego). Oni też sfinansowali w znacznej mierze koszty budowy. Do tego budynku polskie gimnazjum przeniosło się z dotychczasowej siedziby przy ul. Wólczańskiej 55 w 1910 r. Dziś jest to I Liceum Ogólnokształcące, znane nie tylko w Łodzi.

Z chwilą zaistnienia dogodnych okoliczności niemiecka społeczność Łodzi przystąpiła do budowy własnej szkoły. Zadecydowano o powołaniu odrębnego Niemieckiego Gimnazjum Reformowanego z nowoczesnym programem nauczania. Obiekt, usytuowany na obszernej narożnej działce przy zbiegu ulic Rozwadowskiej i Promenady, wzniesiony został na planie litery L. Główną część budynku oddano do użytku we wrześniu 1910 r., a część północną, z salą gimnastyczną i aulą, w 1911 r. Gmach określono jako „wzorcowy”. Przestronne i dobrze oświetlone sale, bogato wyposażone pracownie stwarzały bardzo korzystne warunki do nauki. Sala gimnastyczna oraz duże boisko szkolne pozwalały na przeprowadzanie ćwiczeń

sportowych, natomiast aula i sala widowiskowa – na prezentację spektakli szkolnych. Gimnazjum posiadało również własne, pierwsze w mieście obserwatorium astronomiczne. Znajdowało się ono w wieżyczce wieńczącej narożnik budynku.

Gimnazjum Niemieckie było porównywane i stawiane na równi ze Szkołą Zgromadzenia Kupców, wzniesioną przy ul. Dzielnej (Narutowicza). Jej gmach uznawano za jeden z najpiękniejszych w Łodzi i najnowocześniejszy obiekt szkolny (obok wspomnianego wyżej gimnazjum). Budowa szkoły została zakończona w 1911 r. Mieściła dwadzieścia klas, dwie aule, bibliotekę, pracownie naukowe, sale rysunkowe, dużą salę gimnastyczną, bufet i sale rekreacyjne. Trzypiętrowy gmach został wzbogacony wieżą od strony wschodniej, a od zachodniej przylegała do niego niska przybudówka mieszcząca salę gimnastyczną z charakterystycznym płaskim łukiem. Szkoła Zgromadzenia Kupców była jednym z pierwszych budynków z betonu w Polsce. Równolegle do ul. Trębackiej (Uniwersyteckiej) wzniesiono okazały kilkupiętrowy budynek mieszkalny dla nauczycieli.

W końcu lat osiemdziesiątych XIX w. postępowi Żydzi, skupieni w organizacji „Talmud-Tora" podjęli inicjatywę budowy szkoły rzemiosł. Powstała ona w 1890 r. przy ul. Zachodniej 20, cztery lata później uruchomiono warsztaty. Szkoła dzieliła się na oddziały męskie i żeńskie, miała charakter szkoły zawodowej i przyuczała do zawodu tkacza, ślusarza, kowala i elektrotechnika. Nowy gmach szkoły, przy ul. Średniej 46/48 (Pomorska), ufundowali małżonkowie Berta i Zygmunt Jarocińscy, którzy w ten sposób postanowili uczcić pięćdziesięciolecie małżeństwa. W 1906 r. organizacja „Talmud-Tora" przekształciła się w niezależne Towarzystwo Oświatowe „Talmud-Tora", które w okresie do 1914 r. prowadziło dwie szkoły – ludową z kursem sześcioletnim ogólnym i rzemieślniczą.

Żydowskie szkolnictwo średnie zaczęło powstawać dopiero przed wybuchem I wojny światowej. Inicjatorem powołania w 1912 r. Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich był Markus Braude. Objęło ono swoim patronatem ośmioklasową szkołę dr. Dawida Rabinowicza przy ul. Magistrackiej 7 (Kamińskiego), która została przekształcona w pierwsze gimnazjum żydowskie. Niedługo przed I wojną światową wyłącznie żydowskimi szkołami w Łodzi były jeszcze tzw. freblówka (przedszkole) i szkoła podstawowa hebrajska przy ul. Cegielnianej 4 (Jaracza), prowadzone przez Szoszanę Feinstein i Icchaka Kacenelsona[67]. Przed 1914 r. powstała ponadto specjalna szkoła dla głuchoniemych, założona przez Towarzystwo „Esras Ilmin" przy ul. Zawadzkiej 17 (Próchnika).

[67] I. Kacenelson prowadził w okresie międzywojennym doskonałe gimnazjum hebrajskie przy ul. Zawadzkiej 43 (Próchnika). Jest on autorem przejmującego utworu *Pieśń o zamordowanym narodzie żydowskim*.

Z inicjatywy Stanisława Silbersteina powstało w Łodzi Towarzystwo Oświatowe im. Elizy Orzeszkowej. Prowadziło ono założone w 1907 r. pierwsze polskie siedmioklasowe gimnazjum żeńskie przy ul. Spacerowej 21 (al. Kościuszki). Celem istnienia tej szkoły była asymilacja Żydów poprzez wytworzenie więzów m.in. pomiędzy polskimi i żydowskimi uczennicami[68].

Przedstawiliśmy powyżej niektóre tylko szkoły Łodzi. Poza nimi istniały również powstałe na przełomie wieków szkoły prywatne, prowadzone na wysokim poziomie. Podkreślić jednak trzeba, że mimo starań towarzystw i rodziców, także robotników, nie wszystkie dzieci polskie i żydowskie mogły chodzić do szkoły. Taką możliwość stworzył dopiero A. Rżewski, pierwszy prezydent Łodzi w wolnej Polsce.

Rok 1905 był przełomowym nie tylko dla rozwoju szkolnictwa. Inteligencja łódzka (lekarze, nauczyciele, adwokaci, inżynierowie) podjęła wówczas walkę z analfabetyzmem. Powołano Komitet do Walki z Analfabetyzmem, który przekształcił się później w Towarzystwo Krzewienia Oświaty, działające w trzech sekcjach: walki z analfabetyzmem, bibliotecznej i uniwersytetu powszechnego. Wielu łodzian zadeklarowało swoją pomoc – ofiarowano podręczniki, pomoce szkolne, udostępniono sale do odbywania zajęć. Nauczyciele pomogli opracować jednolity program obejmujący naukę pisania, czytania i liczenia. Pomyślano również o kształceniu tych, którzy tę naukę mieli prowadzić. Działalność Towarzystwo Krzewienia Oświaty obejmowała ponadto organizowanie wieczornic artystycznych i zabaw, współpracę z teatrem, wydawanie podręczników, gromadzenie księgozbioru i tworzenie sieci własnych wypożyczalni książek. Podobną działalność w czterech kołach Polskiej Macierzy Szkolnej podjęła część inteligencji związanej z obozem narodowym. Polska Macierz Szkolna zorganizowała ponadto Uniwersytet Ludowy na wzór warszawskiego. Poza wspomnianymi wyżej organizacjami działało jeszcze powstałe w 1905 r. Towarzystwo Kultury Polskiej. Jego inicjatywie łodzianie zawdzięczają powstanie biblioteki, która stała się zalążkiem biblioteki publicznej. Przed I wojną światową w mieście powstały Muzeum Miejskie oraz Muzeum Nauki i Sztuki, otwarte w 1912 r.[69] „W taki oto sposób niewielka stosunkowo grupa ludzi (nie więcej niż 300 osób) [...] podjęła szereg inicjatyw i działań, których konsekwencje w ciągu następnych kilkunastu lat doprowadziły do zmiany pejzażu kulturalnego Łodzi”[70].

[68] W omówieniu szkolnictwa Łodzi wykorzystano m.in.: W. Puś, *Szkoły żydowskie w Łodzi*, „Tygiel Kultury” 2004, nr 4–6, www.tygielkultury.eu/4_6_2004/aktual/15ram.htm.

[69] B. Gołębiowska, *Pasierbowie kultury*..., s. 63–66.

[70] Tamże, s. 67.

I rzeczywiście – gdyby Łódź do 1918 r. była „pustynią kulturową", nie mogłyby w niej powstać po odzyskaniu niepodległości tak znaczące w życiu miasta towarzystwa, jak: Koło Łódzkie Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego, Oddział Łódzki Towarzystwa Polonistów RP, Towarzystwo Przyrodnicze im. Stanisława Staszica, Polskie Towarzystwo Historyczne, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Ludoznawczymi i Archeologicznymi, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, Towarzystwo Bibliofilów i wiele innych[71]. Działali w nich wybitni przedstawiciele inteligencji polskiej – nauczyciele, inżynierowie, przemysłowcy, duchowni, działacze polityczni, oficerowie. Łódź okresu międzywojnia zawdzięczała im rozwój życia intelektualnego i naukowego, rozwój badań nad Łodzią i regionem, a także językiem łodzian, współpracę z ośrodkami naukowymi oraz powstanie bibliotek, muzeów i czasopism o charakterze naukowym, np.: „Prac Polonistycznych", „Wiadomości Ludoznawczych", „Rocznika Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego". Byli to jednak przede wszystkim społecznicy, którzy poświęcili się pracy dla wolnej ojczyzny. Znaleźli się wśród nich Polacy, Żydzi i Niemcy. Po wkroczeniu wojsk niemieckich w 1939 r. wielu tę działalność przypłaciło życiem i nie były to śmierci przypadkowe. Ci, którzy przeżyli II wojnę światową, często organizowali życie akademickie Łodzi lub zasilili inne ośrodki uniwersyteckie Polski.

Jak stwierdziliśmy we wstępie do rozważań o micie łodzi jako „pustyni kulturowej", oddziaływanie stereotypów jest niezwykle silne. Są one żywotne, sugestywne i nie podlegają łatwo weryfikacji. Nie znaczy to jednak, że są niezniszczalne. W przeciągu kilku zaledwie lat stereotyp ten uległ zapomnieniu. Gdyby ktoś dzisiaj powiedział, że Łódź jest „pustynią kulturową", wywołałby oburzenie. Dlaczego więc to przekonanie tak długo istniało wśród mieszkańców Łodzi? Wpływ na to z pewnością wywarły zmiany demograficzne, które wywołała II wojna światowa i okres powojenny, propaganda ideologiczna okresu powojennego oraz brak zainteresowania łodzian własnym miastem.

[71] Informacje na temat działających w Łodzi stowarzyszeń opracowano na podstawie artykułu M. Nartonowicz-Kot, *Zapomniani społecznicy*, http://topografie.pl/uart-zapomniani_spolecznicy.html (dostęp: 10.09.2012).

Między literaturą – „zwierciadłem życia” a historią – „nauczycielką życia”

Podstawą rozważań na temat wizji rozwoju Łodzi oraz relacji, jaka zachodzi pomiędzy literaturą regionalną epok minionych i współczesnymi wyobrażeniami tamtych czasów, uczyniono prozę artystyczną, gawędę pisaną wierszem, dramat, publicystykę oraz wspomnienia. W przypadku Łodzi rolniczej konieczne okazało się odwołanie do badań naukowych. Wykorzystano najstarsze ujęcie rolniczego miasteczka, będące efektem regionalistycznych dociekań inteligencji łódzkiej okresu międzywojennego. Jak we wstępie zaznaczono, zainteresowaniem został objęty okres od czasów Łodzi rolniczej po koniec I wojny światowej, ponieważ on właśnie ulega mitologizowaniu. Niektóre z wyobrażeń dziejów miasta dotyczą również czasów chronologicznie nam bliższych – mity życia i walki robotników odnoszą się z pewnością do okresu międzywojennego, a mit Łodzi jako „pustyni kulturowej” sięga nawet lat dziewięćdziesiątych, a więc czasów ostatniego zainteresowania regionalizmami.

Dziewiętnastowieczna proza wykorzystana w rozważaniach jest poświęcona różnym problemom życia rozwijającej się Łodzi, na przykład bezwzględnemu dążeniu do maksymalizacji zysków, tak zwanej łódzkiej uczciwości, współżyciu różnych narodowości w mieście, wyzyskowi i degradacji ludzi na miejskim bruku, niepokojom społecznym, życiu robotników, zagadnieniom ruchu robotniczego. W zasadzie tylko dwie nowele Wł. Rowińskiego *Przemówił* (1899) oraz *Kwiaty dla Prusa* (1899) wyłamują się tematycznie ze spuścizny literackiej tego okresu poświęconej Łodzi. Te dwa utwory stanowią przede wszystkim obrazki obyczajowe życia łodzian. Nowela Wł. Rowińskiego *Przemówił* ukazuje łódzkiego fabrykanta w roli ojca do tego stopnia zaślepionego miłością do syna, że zupełnie zobojętniałego na mieszkającą z nim córkę. Śmierć jedynaka, przypadkowa i bezsensowna, tak wstrząsnęła bohaterem, że ciężko zachorował i stracił głos. Odzyskał go pod wpływem silnego wzruszenia

w Wigilię[1]. To jedyny utwór literacki, w którym łódzki przemysłowiec występuje w czysto ludzkiej scenie, nieobciążony swoją funkcją właściciela fabryki w rozwijającym się mieście. Obraz ten jest w pewien sposób bliski wspomnieniom Heleny Geyerowej, która spisała dla dzieci historię własnego życia. Dla współczesnego czytelnika to dokument życia łódzkich elit przemysłowych, tym cenniejszy, że nieobciążony wizją bogactwa nuworyszy[2].

Utwory literackie, które wykorzystano w badaniach, charakteryzuje różny stopień artyzmu. Poza powieściami Wł. S. Reymonta, A. Struga oraz I. J. Singera, warto jeszcze zwrócić uwagę na *Dwa pokolenia* Wł. Rowińskiego oraz *Mańkę* A. Gliszczyńskiego (*Różę* S. Żeromskiego zostawiamy na boku). Wartość artystyczna pozostałych utworów nie jest imponująca. Drażnić może ich dydaktyzm, nie tylko pozytywistyczna tendencyjność, mieszanie stylów (*Julka* Wł. Rowińskiego nabiera momentami cech stylu publicystycznego), brak zwartej konstrukcji, a nawet przypadkowość zakończeń, jakby autorom wyczerpał się koncept albo stracili zainteresowanie utworem. Nawet *Ziemi obiecanej* i *Braciom Aszkenazym* można poświęcić kilka słów krytyki. Na temat powieści Wł. S. Reymonta znajdziemy je choćby w przywoływanej wcześniej monografii B. Koc lub L. Budreckiego, zaś na niedostatki utworu I. J. Singera zwrócono uwagę w tekście rozważań. Już jednak przy okazji omówienia *Wyprawy do Ameryki* W. Dłużniewskiego podkreślono, że w utworach, które uznajemy za regionalne, ich artyzm nie jest sprawą podstawową lub nadrzędną, choć byłby niewątpliwie bardzo miłym dodatkiem do lektury. Wielu z wykorzystanych w pracy utworów nie da się bowiem przeczytać bez znużenia, niektóre zostały opatrzone przez badaczy mianem „ramoty". Dla nas jednak bardziej istotna jest wiedza, którą one przekazują. Jej stopień w zależności od utworu jest różny, w całości zaś dają całkiem pokaźny zbiór informacji na temat życia

[1] Wł. Rowiński, *Przemówił*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 137–160. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

[2] „Kiedy się pobraliśmy" – pisze H. Geyerowa – „mój kochany mąż żył na skromnym poziomie i pracował z ogromnym wysiłkiem, aby wydźwignąć przedsiębiorstwo swojego zmarłego ojca, podupadłe skutkiem nieszczęścia. W pełni mu się to udało, ale okupił to swoim [...] życiem. [...] Często nadchodziły wysokie rachunki i niejednokrotnie zupełnie nie wiedział, skąd zdobyć pieniądze na ich zapłacenie. [...] Zaraz w pierwszym roku naszego małżeństwa zajęto nawet wszystkie nasze meble, co oczywiście nie było dla nas przyjemne [...]. Przez pierwsze sześć lat żyliśmy bardzo skromnie i oddaleni od otoczenia [...]" (H. E. Geyer, *Z mojego życia. Wspomnienia z lat 1855–1914*, Literatura, Łódź 2002, s. 19–20).

miasta, jakkolwiek trzeba zawsze pamiętać, że mamy w nich do czynienia z jego literacką wizją.

Twórczość publicystyczna posiada zgoła odmienny charakter od literackiej, gdyż bezpośrednio dotyka podejmowanych problemów, nazywa je po imieniu, nie odwołuje się do fikcji i nie fabularyzuje wydarzeń. Jej istotny walor polega na prezentowaniu zagadnień, które aktualnie, w określonym czasie, nurtują życie społeczne. Czytelnik otrzymuje (otrzymywał) do rozważenia starannie przemyślany problem oraz mniej lub bardziej wyraźną sugestię jego oceny. Dziś to dodatkowy atut tej literatury – odkrywamy sympatie publicystów i równocześnie w pewnym stopniu również adresatów ich wypowiedzi. Niezwykle ciekawe jest zestawienie artykułów pisanych w tym samym czasie przez petersburskiego dziennikarza I. Timkowskija-Kostina i warszawskiego – Z. Bartkiewicza. Podejmują te same problemy i zagadnienia okresu rewolucji 1905 r.; w tym celu nawet obaj przyjechali do Łodzi. Pierwszy jest sympatykiem socjalistów reprezentowanych przez „Młodych" (Lewicę), a wrogi narodowcom, zaś sympatie drugiego są zgoła odmienne. Przyglądając się przedstawionym przez nich zjawiskom i wydanej ocenie, trudno oprzeć się refleksji, że sytuacja robotników była w tym ogniu walki tragiczna i wręcz skazana na bratobójcze porachunki. Tu nie było możliwości wypośrodkowania i określenia własnego miejsca z dala od zaognionego konfliktu. I. Timkowskij-Kostin w swoich wypowiedziach na temat przeciwników politycznych bywa tak jednoznaczny, że czasem wręcz nazbyt prosty w osądach (może to kwestia tłumaczenia). Z. Bartkiewicz jest mniej bezpośredni. Nie wydaje ocen; czytelnik odczytuje je poprzez budowane przez niego obrazy. Potrafi poruszyć ironią, grozą lub szyderstwem. Na ich tle ciekawy jest głos H. Vimarda, w powstałych kilka lat później reportażach, jak się wydaje – najzupełniej obiektywny. Francuski dziennikarz wypowiada się tak, jakby chwilami w wielu kwestiach tłumaczył narodowców i wyjaśniał, dlaczego petersburski dziennikarz nie ma racji w swoich osądach. W rzeczywistości H. Vimard prezentuje oczywiście tylko to, co jest dostępne jego obserwacji. Ten trójgłos: Z. Bartkiewicz – I. Timkowskij-Kostin – H. Vimard powinien być, jak się wydaje, poddany osobnej, wnikliwej analizie.

Przedmiotem rozważań uczyniono, przypomnijmy, mit „ziemi zapomnianej", mit „ziemi obiecanej" w różnych jego wariantach – miejsca rozwijającego się bujnie i nieskrępowanie, w którym każdy (w związku z owym niezwykłym rozkwitem) mógł znaleźć swoje szczęście, mit „złego miasta", „Łodzi Czerwonej" i „Łodzi robotniczej", mit o „pozbawionym radości życiu robotników", o „zgodnym współżyciu Polaków, Niemców i Żydów", o „istnieniu czterech kultur współtworzących miasto" oraz mit Łodzi jako „pustyni kulturowej". Wykorzystana w pracy literatura posłu-

żyła, jak pisano we wstępie do rozważań, wydobyciu społecznego, kulturowego lub politycznego tła, na kanwie którego mogły się ukształtować współczesne mity oraz odnalezieniu tych treści, które pozwoliłyby je zweryfikować, potwierdzić możliwość ich powstania, określić jego czas lub wydobyć nośne elementy, stanowiące o ich ukształtowaniu. We wstępnych rozważaniach uznaliśmy, że choć u podstawy każdego z wyodrębnionych mitów leży niewiedza, nie są one wytworem czystej fantazji. Stanowią sposób na uporządkowanie „miejsca najbliższego", a powstają w wyniku łączenia strzępów docierających z różnych stron informacji z obrazem miasta, jaki każdy jego mieszkaniec nosi w sobie, oraz z doświadczeniami, wynikającymi z życia w nim.

Wyobrażenie Łodzi jako „ziemi zapomnianej", która nagle została odkryta, z dwóch powodów jest niezwykle interesujące. Po pierwsze, powstanie tego mitu dokonywało się dwukrotnie, za każdym razem powodując zachłyśnięcie tym niebywałym faktem, że Łódź przemysłowa miała jeszcze jakąś poprzedniczkę. Po drugie, wiedza o Łodzi rolniczej istniała niezależnie od krążącego o niej wyobrażenia i była łatwo dostępna. Możemy nawet powiedzieć, że istniała w zasięgu ręki. W końcu XIX w. żyli jeszcze nie tylko potomkowie „łyków łódzkich", ale też mieszczanie łódzcy pamiętający rolniczą Łódź. Sto lat później badaniem tego okresu miasta zajmował się miejscowy ośrodek uniwersytecki, zaś efekty dociekań były dostępne choćby w bibliotekach. A jednak Łódź rolnicza nie miała swojego miejsca w świadomości mieszkańców miasta.

Jak podkreśliliśmy w rozważaniach, wizja Łodzi, której dane było z brzydkiego kaczątka przemienić się na przekór wszystkiemu w pięknego łabędzia, posiada w sobie nieodparty urok, któremu ulegli nawet poważni badacze. Tym bardziej mogli jej ulec zwyczajni ludzie. Zaspokajano więc domysłami tkwiącą nawet w dorosłych dziecięcą potrzebę cudowności. W baśniach, legendach i mitach tkwi zwykle ziarnko prawdy i wcale nie musi być ono mikroskopijne. Łódź rzeczywiście pod koniec XVIII w. była zagrożona unicestwieniem. Jej upadek był jednak udziałem losów Rzeczypospolitej, a nie zapomnienia lub jakichś innych, nietypowych splotów okoliczności.

Miasto, którego mieszkańcy trudnili się pracą na roli, fascynowało i pobudzało wyobraźnię. Stworzyła ona nie tylko „zagubione wśród borów, zapomniane przez Boga i ludzi miasteczko", ale też zaowocowała obrazami „olejnymi, miniaturami, rysunkami piórkiem i pędzlem" Mariana Pawła Kaczmarka[3]. Kilka z nich przybliżyła łodzianom publikacja wydana przez Stowarzyszenie Przyjaciół Starego Miasta w Łodzi[4]. Ukazu-

[3] L. Małecki, M. Z. Wojalski, Ł. Robak, *Łódzkie Stare Miasto*, Łódź 2011, s. 4,

[4] Tamże, s. 6, 8, 24 oraz strony nieliczbowane.

ją one starą Łódź w taki sposób, że patrzymy na jej wizerunki jak na ulubione fotografie ze starego, rodzinnego albumu. Zdają się mieć w sobie tyle piękna i uroku, co obrazy mistrzów holenderskich, być może za sprawą wiatraków, młynów, pojedynczych, wyrazistych postaci ludzi, budynków lub drzew, które zupełnie nie pasują do dzisiejszego wizerunku Łodzi.

Z tego okresu życia miasta nie zachował się żaden utwór i żaden raczej, poza miejscowymi legendami, wtedy nie powstał. Jedną z tych opowieści przechowała dla nas gawęda W. Dłużniewskiego *Paweł Łodzia Kubowicz*. Jest ona również jedyną literacką pamiątką Łodzi rolniczej, dlatego i utwór, i jego autora należy chronić od zapomnienia. Warto też pamiętać, że gawęda przechowuje dla nas świat wartości Polaków połowy XIX w. Jej autor jako nauczyciel krzewił go z pewnością wśród swoich uczniów. Czy jego działalność pedagogiczna miała jakiś wpływ na łodzian, nigdy się nie dowiemy. Pracę nauczycielską W. Dłużniewskiego w całości przesłania nam konfliktowy charakter poety. Warto wszakże mieć świadomość, że polska kultura i świat wartości nie były obojętne łódzkim osiedleńcom. Jakkolwiek ogólnie wdzięczni za gościnę i lojalni wobec rosyjskich władz, niejednokrotnie wspomagali Polaków nawet w walkach narodowowyzwoleńczych. Ludwik Grohman, syn Traugotta, finansował powstańców 1863 r., za co spotkały go nieprzyjemności ze strony rosyjskich władz[5].

W historię Łodzi całego niemal wieku XIX wplata się mit „ziemi obiecanej" w różnych jego wariantach: obdarzonego szczęściem tkacza, otrzymującego w miasteczku takie przywileje, że już niczego nie powinno mu w życiu brakować, nieskrępowanego i bujnego rozwoju miasta oraz miejsca, w którym każdy mógł ziścić swoje marzenia o dostatnim życiu. Powstałe w połowie XIX w. *Opis miasta Łodzi* O. Flatta i nieopublikowana sztuka W. Dłużniewskiego *Wyprawa do Ameryki*, podobnie jak utwory W. Marrené-Morzkowskiej, Wł. S. Reymonta, Wł. Rowińskiego i W. Kosiakiewicza z końca XIX w., przeczą jednak temu wizerunkowi szczęścia, którego miasto i ludzie w nim mieszkający mieliby doznawać. Owszem, Łódź się rozwinęła, degradacji uległo jednak środowisko. W ciągu niespełna osiemdziesięciu lat od „oficjalnego" zamknięcia historii miasteczka rolniczego, gród bawełny zaczął być kojarzony z kominami i dymami, które spowijały go niczym całun. W jeszcze krótszym czasie uległo zniszczeniu to, co stanowiło o jego awansie – wody i bogaty drzewostan.

[5] P. Spodenkiewicz, *Piasek z Atlantydy*, rozmowy z Jerzym Grohmanem, Wyd. „Hobo", Łódź 2006, s. 13.

Rzadko który z tkaczy przybyłych do Łodzi został przedsiębiorcą dobrze prosperującej fabryki. Droga wielu z nich była naznaczona zmaganiem się z wyczerpującymi trudnościami. Niektórzy zbankrutowali i miasto o nich zapomniało, a przedsiębiorstwa innych wydobywali z zapaści spadkobiercy. Trudności z odbudowaniem utraconej pozycji i jej wpływem na życie codzienne ukazała we wspomnieniach H. Geyerowa[6].

W rozważaniach poświęconych metaforze Łodzi jako „ziemi obiecanej" zwróciliśmy uwagę, że literaccy fabrykanci, dążąc do ugruntowania swojej pozycji, złożyli w ofierze swoje życie i szczęście. Żaden z nich nie doświadczył pełni istnienia, żadnemu bogactwo nie przyniosło bodaj tylko zadowolenia. Chełpliwej dumy Endelmanów lub Müllerów nie można przecież nazwać objawem radości, a tym bardziej spełnionego życia. Każdy z bohaterów odczuwał jakiś niedosyt. Jak potoczyłyby się dalsze losy ukazanych w literaturze fabrykanckich fortun, nie wiemy. Interesujące może być natomiast przywołanie, już tylko na zasadzie anegdoty, losów fortun rzeczywistych. Oskar Kon przeżył wojnę. Życie uratował mu majątek zdeponowany w banku szwajcarskim i... chciwość gestapowców. Bez właściciela konta pieniędzy tych nie można było wydobyć. Wyjechał więc z Łodzi w asyście Niemców. Wcześniej poniżyli go, każąc sprzątać własną fabrykę. Uratował jednak życie. „Król Widzewa" chciał wrócić po wojnie do Łodzi i mimo zaawansowanego wieku zacząć wszystko od początku. Zamierzał wybudować swoim robotnikom największy w mieście szpital[7]. Jednak, nawet gdyby przyjechał do Polski, planów swoich z pewnością nie mógłby zrealizować. Niektórzy spadkobiercy rodziny Heinzlów mieszkają do dziś w Łodzi, inni rozjechali się po kraju. Z rodzinnych włości zostały tylko drobne pamiątki. Tytuł nabyty dla rodziny przez Juliusza Heinzla, jego wnukom przysporzył problemów, z których najmniej dotkliwe były drobne przykrości i drwiny. Na ich życiu zaciążył również nieistniejący już majątek. Kto uwierzyłby, że z milionowych dóbr nic nie zostało? Nie przyznawali się więc do tytułu i do pokrewieństwa z łódzkim przemysłowcem[8]. Innych przemyśleń na temat fortuny i jej wyroków może dostarczyć porównanie losów protoplasty rodu Scheiblerów, Karola, i jego ostatniego męskiego potomka, Petera von Scheiblera. Pierwszy stworzył miasto w mieście, fortunę, która umożliwiła jego rodzinie zaliczanie się do dziesięciu najbogatszych rodzin w Europie. Jego prawnuk nie wiedział nawet, z jak zamożnej rodziny pochodził[9]. Gdybyśmy dopisali ciąg dalszy historii nie tylko literackich

[6] H. E. Geyer, *Z mojego życia...*

[7] L. Skrzydło, *Rody fabrykanckie*, cz. I–II, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000, s. 19–23.

[8] *Saga rodu Heinzlów*, archiwum.polityka.pl/art/saga-rodu-heinzlow,364474.html.

[9] W. Górecki, *Łódź przeżyła katharsis*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 1998, s. 133–138.

fortun powstałych w Łodzi, otrzymalibyśmy całkiem pokaźny zbiór utworów o wydźwięku dydaktycznym, z przesłaniem o kruchości i znikomości dóbr doczesnych.

Historia ukazuje inny obraz fabrykantów, zupełnie różny od wykreowanych w świecie literackim. Realni bohaterowie, tworzący prawdziwą „ziemię obiecaną", z pewnością nie byli dobroczyńcami własnych robotników i budowali na ich pracy fortuny, nie poczuwając się do żadnej wdzięczności (postawieni w ich miejscu robotnicy czyniliby z pewnością to samo). Widzimy wszakże tylko pierwsze pokolenia fabrykantów. Już przełom wieków pokazuje, że przedsiębiorcy kształtowali nie tylko własne majątki, ale też życie miasta i jego oblicze, dobrowolnie oddając na jego rozwój niemałe sumy. Niezwykle ciekawy obraz łódzkich fabrykantów snuje w swoich opowieściach J. Grohman. Widzimy postaci nietuzinkowe, o wysokiej kulturze osobistej, ludzi wykształconych, zainteresowanych sztuką, mecenasów i kolekcjonerów, a równocześnie ludzi ciężko pracujących, posiadających dla siebie i rodziny niewiele czasu, wspierających miejskie inicjatywy, nieszczędzących pieniędzy na szlachetne cele[10]. Jeden kataklizm dziejowy zakłócił te działania, drugi – przerwał, niszcząc niemal wszystko, co zostało zbudowane. Trzeci – zniekształcił historię i wypaczył ludzkie intencje, czego skutki odczuwamy do dziś.

W rozważaniach zwróciliśmy uwagę, że w imię politycznej poprawności i relatywizmu kulturowego wśród łodzian zaczyna się szerzyć przekonanie o niezwykle harmonijnym współżyciu Polaków, Niemców i Żydów oraz o udziale kultury rosyjskiej w kształtowaniu oblicza Łodzi[11].

[10] P. Spodenkiewicz, *Piasek z Atlandydy*…

[11] Wizja harmonijnego współżycia wielu kultur, także rosyjskiej, nieobca jest również ludziom nauki. I oni również ulegają magii miejsca. Łódzki socjolog A. Majer pisze: „Miasto [Łódź] umożliwiało każdemu [z kolonistów] tworzenie własnej przyszłości. Popularyzator dawnych dziejów Łodzi, Henryk Stanisław Dinter (1978) w książce *Spod czarnych dymów* tak to określił: «Środowisk ludzkich o odrębnym charakterze było tak wiele w tym mieście, że każdy nowy przybysz mógł znaleźć sobie właściwe miejsce i żyć po dawnemu swoim starym stylem». Dlatego tak często na łódzkich ulicach, oprócz języka polskiego, niemieckiego, rosyjskiego, jidysz i rzadziej hebrajskiego, słyszało się też język angielski, francuski, czeski lub włoski. […] *Lodzermensch* [fabrykant, kupiec, rzadko inteligent] mógł ukształtować się jedynie w wyjątkowym miejscu, gdzie na niewielkiej przestrzeni żyli obok siebie przedstawiciele kilku narodów, kultur i religii. Katolicy, protestanci, Żydzi, prawosławni, mariawici, baptyści, kalwini i mahometanie pracowali obok siebie w fabrykach i często zamieszkiwali wspólną kamienicę. Ta unikatowa sytuacja wymuszała wzajemną tolerancję. Zajętym pogonią za pozycją społeczną i sukcesem gospodarczym *lodzermenschom* nie przychodziło do głowy piętnowanie inności sąsiadów. Mozaika językowa i wyznaniowa nie stanowiła zagrożenia dla przedstawicieli wielu kultur czy wyznawców innych religii. Sąsiedzi z jednej czynszowej kamienicy mogli być inni, ale nie obcy czy wrodzy. Byli «tutejsi», także przecież należąc do *lodzermenschów*. Tej spokojnej kohabitacji nie przerywały zdarzające się rzadko waśnie. Kroniki historii Łodzi

Z pewnością nie jest to przekonanie, które powstało samoistnie. Ze względu na brak szerszej wiedzy o łódzkich Niemcach i Żydach, i zupełny już o Rosjanach w Łodzi[12], mieszkańcy miasta nie mieli podstaw, by budować jakiekolwiek sądy o współżyciu w nim trzech lub czterech narodowości i ich współudziale w jego budowaniu.

Rozpatrując problem koegzystencji łódzkiej triady w świetle utworów literackich, zwróciliśmy uwagę na powielanie przez pisarzy stereotypów narodowych w kreowaniu postaci innych narodowości niż autor utworu, na nieznajomość pozostałych nacji, szerokie ujęcie jednej z nich i niczym nieuzasadnione pomijanie lub marginalne traktowanie innej oraz eksponowanie wartości własnego narodu. Wszystko to zdaje się przemawiać, że współżycie Polaków, Niemców i Żydów nie było wcale harmonijne. Nie znaczy to, oczywiście, że pomiędzy tymi grupami narodowościowymi dochodziło do ostrych konfliktów i starć. Najogólniej rzecz ujmując: Niemcy chronili własną tożsamość przed Polakami i ich kulturą, a nawet stawiali siebie ponad nimi, Polacy bronili się przed Niemcami i w mniejszym stopniu przed Żydami, Żydzi w równym stopniu niechętni byli Niemcom i Polakom. Musimy jednak pamiętać, że dysponujemy jedynie dość miarodajną ilościowo twórczością polską i o niej tylko w pełni możemy się wypowiadać. Historia potwierdza jednak te wzajemne niechęci. Czytamy o nich również w publicystyce przełomu wieków.

Kres istnieniu trzech (nie – czterech) kultur położyła, jak wiemy, II wojna światowa i okres powojenny. Rosjanie nie współtworzyli oblicza kulturowego Łodzi, tak jak nie brali udziału w budowaniu polskiej

nie zanotowały ani jednego przypadku poważniejszych wydarzeń na tle etnicznym, jak np. częstych w carskiej Rosji pogromów ludności żydowskiej. W 1905 r., podczas walk rewolucyjnych w Łodzi – co ma wymiar symbolu – żydowscy robotnicy stanęli na barykadach razem z polskimi, a o ich zaangażowaniu się może świadczyć fakt, że liczba ofiar żydowskich przewyższała liczbę ofiar polskich [...]" (A. Majer, *Miasto osobiste*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica" 2011, nr 36, s. 30–32).

Można by tu polemizować w wielu punktach. *Lodzermensch* to specyficzny wytwór Łodzi, jak sam badacz zauważa, wszakże nie oni zaludniali miasto, a ci, których było najwięcej, nie mieszkali w kamienicach, ale w ich piwnicach, na strychach lub w najlepszym przypadku w oficynach. „Waśni" nie wywoływali *lodzermensche*, ale Łódź od niepokojów społecznych nie była wolna. W czasie rewolucji 1905 r. rzeczywiście nie było wystąpień antyżydowskich, ponieważ niezadowolenie nizin społecznych znalazło ujście w bratobójczych walkach, wystąpień tych jednak bezustannie się obawiano. Niemcy okresu Łodzi wielkoprzemysłowej izolowali się w niej jako społeczność. Tak więc uwagi A. Majera mogą być prawdziwe w odniesieniu do „człowieka z Łodzi" – *lodzermenscha*, ale nie do każdego mieszkańca miasta i wszystkich łodzian w ogóle.

[12] Warto zwrócić uwagę, że już samo sformułowanie „Rosjanie łódzcy" budzi zaskoczenie; absolutnie żadnego zdziwienia nie wywołają natomiast zestawienia: Niemcy łódzcy lub Żydzi łódzcy.

kultury[13]. W przeciwieństwie do innych mitów, w tych właśnie literatura w zadziwiający sposób potwierdza to, co znane jest z historii. W żadnym utworze nie znajdziemy bohaterów – Rosjan, a jeśli już, to są to postaci epizodyczne, występujące w charakterystycznych dla nich rolach. Ukazana w literaturze niechęć Polaków do Niemców posiadała inne podłoże niż ksenofobia i z pewnością była odpowiedzią na stosunek Niemców względem Polaków. Dlaczego tak ważne jest zachowanie i utrwalenie prawdy historycznej? Ponieważ to część naszego dziedzictwa narodowego i kulturowego; powinniśmy się tak samo przeciwstawiać temu przekłamaniu, jak w przypadku „polskich obozów koncentracyjnych". To nieprawda, że nadanie innej rangi Rosjanom niż rzeczywista jest niewiele znaczącym „zabiegiem kosmetycznym" w stosunku do przywołanej, istniejącej na Zachodzie opinii, która czyni z Polaków morderców na równi z Niemcami Hitlera. Jeśli przyjmiemy, że w przeszłości akceptowaliśmy rusyfikację i eksterminacyjne rządy caratu, bo w istocie nie o samych Rosjan tu chodzi, okaże się, że nie wiadomo, z jakiego powodu wzniecaliśmy powstania, co w konsekwencji uczyni z naszej historii farsę. Wpływy tych „zabiegów kosmetycznych" już widać w populistycznych wypowiedziach polityków, artystów, a nawet ludzi nauki[14] oraz w szybkim i łatwym przekręcaniu lub utożsamianiu faktów historycznych.

[13] Nieprawdą będzie twierdzenie, że kultura rosyjska w żaden sposób nie wpłynęła na polską. Mieliśmy ślady jej wpływów także w języku. Polacy jednak, na ile mogli (również nie wszyscy), świadomie się jej opierali. Charakterystycznym oddziaływaniem Rosjan na Polaków była rusyfikacja, trudno ją wszakże uznać za działania sprzyjające i pokojowe, a więc budujące kulturę Łodzi.

[14] Przykładem może tu służyć choćby wypowiedź K. Kutza, który ocenił inicjatorów powstania warszawskiego jako zbrodniarzy, a szacunek okazywany powstańcom i pamięć o zrywie jako chorobę (K. Kutz, *Ja jestem Moniuszko*, „Fakty" 1997, nr 14, s. 30).

O. Lipińska na łamach dodatku do „Gazety Wyborczej" stwierdza: „Chciałam pokazać pryszcze na przecudnym obliczu Narodu. Pokazać ułana z dziewicą w szambie. I pokazać to, co nas gubi. A gubi nas brak racjonalnego myślenia. Nie mogę przeboleć, że dzieci wychowuje się w idiotycznych mitach. Na *Trylogii*. «Nic to!» – krzyknął Wołodyjowski i zginął. Wychowuje się, że najszczytniejszą sprawą jest umrzeć za ojczyznę. Pomnik Małego Powstańca to hańba. Co to jest? Przecież życie – ŻYCIE – jest najważniejsze". O. Lipińska, *Gorsze dziecko*, www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,9986145,Olga_Lipinska_gorsze_dziecko.html?as=3 (dostęp: 10. 09. 2012). Nikt nie wychowuje i nie wychowywał w Polsce dzieci „w idiotycznych mitach", należałoby natomiast zapytać, czy życie w szambie, skoro artystka użyła już tego określenia, jest godnym życiem i czy nie należałoby się jednak przed nim bronić.

W takim samym duchu wypowiadają się ludzie nauki, np. L. Stomma, który odbrązawia polskich królów (L. Stomma, *Królów polskich przypadki*, Wyd. B.G.W., Warszawa 1993), J. Majcherek piszący m.in. o polskiej nietolerancji etnicznej i religijnej (J. Majcherek, *Poprawka z historii*, www.silesia.restituta.eu/forum/viewtopic.php?f=17&t=113 (dostęp: 18.12.2011) lub Z. Kowalska, która widzi w Krzyżakach jedynie zakon niosący

Relatywizm kulturowy i polityczna poprawność, nakazujące uznawać na równi z innymi istnienie kultury rosyjskiej w Łodzi, może doprowadzić do farsy naszą historię. Konsekwencje tych zabiegów są jednak dużo bardziej niebezpieczne. Działalność, idee, poświęcenie, kultura Polaków końca XVIII, XIX i początków wieku XX zostaną osłonięte taką samą zasłoną, jak odejście z Łodzi narodowości żydowskiej i niemieckiej. W konsekwencji uprawiania takiej polityki kulturowej następne pokolenia nie będą potrafiły odczytać i zrozumieć polskiej literatury tych wieków ani też odwołań w niej do polskiej historii. Wreszcie – można wątpić, czy w ogóle zrozumieją (nawet z przypisami) na przykład *Złe miasto* Z. Bartkiewicza. Ileż to problemów rodzi dzisiaj dotarcie do rzeczywistej roli łódzkich robotników w ruchu socjalistycznym?

Na koniec jeszcze jedna uwaga o niebezpieczeństwie, jakie niesie poprawność polityczna i relatywizm kulturowy: skoro w Łodzi współżycie trzech nacji było tak harmonijne, że wręcz doskonałe, to dlaczego zniknęły z niej dwie wielkie liczebnie grupy narodowościowe? Kiedy społeczeństwu przedstawia się tę nieprawdę, pomija się ten fakt zupełnym milczeniem. Lekceważy się więc w imię poprawnych stosunków z innymi narodami nie tylko cierpienia Polaków, ale też cierpienia Niemców i Żydów[15] w okresie powojennym, czego z pewnością zwolennicy tychże ideologii są zupełnie nieświadomi! Nie wszyscy Żydzi zginęli przecież w getcie i niemieckich obozach zagłady, nie wszyscy Niemcy uciekli z Łodzi przed Armią Czerwoną. Zagadnienie to można drążyć dalej i pokazać inne, równie niebezpieczne następstwa takich przekłamań. Problemem wszakże są już nie tylko skutki, ale przede wszystkim to, dlaczego dziś nikt nie zadaje pytań o sprawy, wydawałoby się, podstawowe.

Mit „Czerwonej Łodzi", „Łodzi robotniczej" oraz „pozbawionego radości życia robotników" zaliczyliśmy do zapomnianych. Świadczą o tym choćby wypowiedzi internautów[16]. Roczniki powojenne, karmione nie-

cywilizację (*Krzyżacy w innym świetle: od średniowiecza do czasów współczesnych*, Biblos, Tarnów; Janineum, Wien 1996).

[15] Powstaje w ten sposób błędne koło: Żydzi, na przykład, bronią się przed umniejszaniem ich cierpień, dopominają o prawdę historyczną i każą bić w piersi za pogromy, o których Polacy nie mają pojęcia. W wyniku silnego udowadniania swoich prawd, ci, którzy mają je przyjąć jako pewnik, wyciągają nagle stare i zapomniane zupełnie, a głoszone kiedyś przez Żydów: „Wasze ulice, nasze kamienice", dodając, że „Babcia mówiła, że Żydzi tak mówili do Polaków" (użycie tej argumentacji jest autentyczne). I tak to, co ma służyć krzewieniu przyjaźni, prowadzi do odgrzebywania dawno zapomnianych fobii, czyniąc przy okazji z Polaków większych antysemitów niż byli w rzeczywistości.

[16] Na przykład: „Krew mnie zalewa kiedy czytam lub słyszę takie idiotyczne stwierdzenie, jakie zamieściłem w tytule [Czerwona Łódź]. Kto, kiedy i jakim prawem pozwolił sobie na znieważanie mieszkańców mojego miasta. Co to u licha znaczy «Czerwona Łódź»? Czy robotnicy walczący w 1905 roku, z nędzą, zniewoleniem przez obcy kapitał, broniący

prawdą, niedomówieniami i fałszywymi interpretacjami „starego porządku", na siłę także uszczęśliwiane wiedzą o walce robotników o godność i równość społeczną, doczekały czasów, gdy ich wnuki, mówiąc o „Czerwonej Łodzi", zupełnie nie wiedzą, o czym mówią. I nic dziwnego! Młody człowiek, który korzysta dziś głównie z „sieci" (Internetu), po „wrzuceniu" w Google hasła „Czerwona Łódź", poza propozycją: *Akademicy Czerwonej Łodzi* w reżyserii Ewy Petelskiej, nawiązującej do „jakiejś" „Czerwonej Łodzi", nie znajdzie niczego, co przypominałoby chociaż o walczących robotnikach zrzeszonych w jakiejś konkretnej partii, na przykład w Proletariacie, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy albo Polskiej Partii Socjalistycznej-„Starzy" lub Polskiej Partii Socjalistycznej--„Młodzi". I szkoda – bo tej walce robotników – prowadzonej często na oślep, bez tradycji przecież, którą można by się podeprzeć w wyborach, kształtującej się w bratobójczych walkach wynikających z różnych wyobrażeń przyszłości Polski, zawdzięczamy dzisiaj bardzo dużo. Nie tylko młodzież, ale też jej rodzice i dziadkowie nie potrafią oddzielić ruchu robotniczego od ruchu socjalistycznego w jego skrajnej postaci, podszytej ideologią bezwzględnie potrzebnej rewolucji[17].

Czy Łódź można nazwać miastem robotniczym? Jak najbardziej – proletariat stanowił przecież najliczniejszą grupę łodzian, kształtując również oblicze miasta. Metafory „Czerwona Łódź" i „Łódź robotnicza" powstały prawdopodobnie po II wojnie światowej, a przynajmniej wówczas zyskały nośny wymiar, czyniąc z miasta wizytówkę państwa socjalistycznego. Nie znaczy to jednak, że kultura miasta była kulturą robotniczą. Po wojnie Łódź była miastem akademickim, ale Uniwersytet Łódzki kontynuował dorobek instytucji działających w okresie międzywo-

swojej godności omijali Kościół z daleka? Na pewno nie. A może w czasach PRL kościoły świeciły pustką? Jaka jest więc prawda o nas samych? Łódź nie jest niebieska, a tym bardziej czerwona. Miasto ma swój rytm, poczucie godności, wyczulenia na zdrajców, kłamców, niesprawiedliwość. Wara od nas, czerwone farbowane lisy" (zob. *Czerwona Łódź*, http://samoobrona-rp.republika.pl/publcystyka/tekst4.htm (dostęp: 10.09.2012). Ta wypowiedź pojawiła się w 2005 r. i można ją uznać za świadectwo czasu. Jej autorem, sądząc z pewnych przesłanek, jest raczej młody człowiek. Mamy też do czynienia z kolejnym miłośnikiem Łodzi, który niewiele wie o swoim mieście (o czym świadczy choćby „zniewolenie obcym kapitałem"). Bo Łódź była „czerwona", choć też i... nie była. Ciekawe, jak autor internetowego wpisu wyjaśniłby przytoczone przez dziennikarza przeciwnego socjalizmowi słowa robotnika, który starał się odszukać grób swojej rozstrzelanej siostry w okresie rozruchów po rewolucji 1905 r., o czym pisał Z. Bartkiewicz w *Złym mieście*?

[17] Rozważania na temat robotników i życia robotniczego nasuwają pewną refleksję: czy w Polsce są jeszcze robotnicy, czy już tylko bezrobotni, którzy robotnikami wcale przecież być nie muszą? Ostatnio w ogóle o nich nie słychać, a jeszcze nie tak dawno *Dziennik telewizyjny*, *Wiadomości* lub *Echa dnia* bez robotnika i klasy robotniczej obejść się nie mogły... Na naszych oczach zginęła cała formacja i nawet tego nie zauważyliśmy.

jennym: Instytutu Nauczycielskiego (1921–1928), Wyższej Szkoły Nauk Społecznych i Ekonomicznych (1924–1928) oraz oddziału Wolnej Wszechnicy Polskiej (1928–1939)[18].

O tym, że Łódź była nie tylko miastem robotniczym, świadczy również prezentacja, jak zaznaczono – subiektywna, jej dorobku kulturowego w rozdziale poświęconym mitowi „pustyni kulturowej". W tym, co stworzono w mieście, odcisnęła się działalność inteligencji i burżuazji. Mit ten nie jest charakterystyczny tylko dla Łodzi. W zasadzie każde miejsce jest „pustynią kulturową" wtedy, gdy aktor społeczny (użyjmy pojęcia socjologii), „ja"[19], stwierdza, że na tej konkretnej przestrzeni nie ma i nie może być niczego interesującego, bo on po prostu tego nie widzi. „Pustynia kulturowa" w wyobraźni ludzi może istnieć nawet wtedy, gdy w miejscowości znajduje się zabytek klasy zerowej, księgarnia, teatr lub kino. Mamy tu więc do czynienia z typowym stereotypem myślowym, znaczącym tyle, co 'gdzie indziej jest ciekawiej, lepiej, bardziej interesująco, więcej się dzieje'. Obraz miejsca jest więc najzupełniej subiektywny. Taką też własną wizję ukazali nam niektórzy warszawscy publicyści przełomu wieków XIX i XX.

Jak niewiele wspólnego z prawdą miała walka łódzkich robotników o godne życie ludzi pracy na całym świecie, tak również przekłamane były informacje o ich życiu pozbawionym radości. Literatura przełomu wieków koncentruje się tylko na trudach egzystencji tej grupy i różnych formach wyzysku, jakie wobec niej stosowano, pomija natomiast zupełnie problem przyjemności, które rozświetlały trudną codzienność. Sposoby i formy spędzania wolnego czasu przez polskich robotników przełomu XIX i XX w. były skromne: spotkania towarzyskie w gronie rodziny, sąsiadów i przyjaciół w domu lub w miejscach publicznych, odpusty, majówki, festyny, zabawy taneczne na świeżym powietrzu i w prywatnych salach tańca (choć te nie cieszyły się dobrą opinią). Czasu na nie było mało – zaledwie dni świąteczne i niedziele. Nie przeszkadzało to jednak robotnikom cieszyć się tymi chwilami. Z ich wspomnień przebija radość, zachwyt i fascynacja tańcami, karuzelami, występami podwórkowych artystów, śpiewanymi i słuchanymi piosenkami, tym, co było na odpuście, na fajce,

[18] *Historia Uniwersytetu Łódzkiego*, www.uni.lodz.pl/ouni/historia (dostęp: 10.09. 2012).

[19] Zastosowanie pojęcia teorii aktora-sieci ANT (Actor-Network Theory) jest również o tyle uzasadnione, że w jej myśl aktorem społecznym jest nie tylko człowiek, ale każdy byt uczestniczący w tworzeniu zbiorowych więzi. Takim bytem będzie więc każdy element przestrzeni oddziałującej na żyjących w niej ludzi, tworząc (często niewidzialne) między nimi więzi. Zob. K. Arbiszewski, *Splatając na nowo ANT. Wstęp do „Splatając na nowo to, co społeczne"*, [w:] B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. A. Derra, K. Arbiszewski, Universitas, Kraków 2010.

na majówkach[20]. Po dziesiątkach lat przedstawione wcześniej doznania wspominających łodzianek wydają się tak samo intensywne, jak w czasach ich młodości. Jakże głęboko więc musiały wryć się w pamięć i jak wielkich, choć skromnych, dostarczały doznań. Wydaje się, jakby nasi poprzednicy byli wyznawcami horacjańskiej zasady *carpe diem*, choć ani znać jej nie mogli, ani o niej nie słyszeli.

Stwierdziliśmy na początku rozważań za Y.-F. Tuanem, G. Lakoffem i M. Johnsonem, że wyobrażenia lub wizje przeszłości miasta są w istocie mitami pozwalającymi ogarnąć doświadczenia i uporządkować wiedzę o mieście i życiu w nim. Ich werbalizacje są natomiast metaforami, ujęciami niejednoznacznymi, pozwalającymi to doświadczenie wyrazić. Warto w tym miejscu odwołać się jeszcze do koncepcji miasta Tadeusza Sławka, która od zupełnie innej strony dotyka tego problemu. Próbując dociec, czym jest miasto, T. Sławek stwierdza, że z pewnością nie tworzy go to, co poddaje się bezpośredniemu doświadczeniu, czyli jego architektoniczno-urbanistyczno-administracyjna struktura. O tym, że jakieś miejsce jest miastem, decyduje niewidoczna sieć powiązań międzyludzkich, służąca zaspokojeniu potrzeb mieszkających w nim ludzi. Powstało ono bowiem w wyniku braku samowystarczalności człowieka, a celem jego istnienia jest wzajemna pomoc[21]. Prawdziwe oblicze miasta może ujawnić się dopiero wtedy, gdy zostanie uwolnione od potrzeb, które do niego kierujemy. Może ono wtedy nagle okazać się zupełnie inne niż dotychczas widziane[22]. T. Sławek zauważa, że w każdym mieście istnieją w istocie dwa miasta: jedno, które odpowiada wyrysowanemu na planach, regulowanemu administracyjno-komunikacyjnymi dyrektywami i będącemu siedliskiem ludzkich spraw, rozgrywających się w architektoniczno-urbanistycznej przestrzeni oraz drugie, odsłaniające się dopiero uważnemu spojrzeniu, w którym regulacje ulegają zmianom i odsłaniają ideę bliskości i sąsiedztwa[23]. „Pierwsze" miasto nazywa miastem „dolnym", czasem „poziomym", „drugie" – „górnym", „pionowym"[24]. Prawdziwe miasto, czy też jego istota, rozpina się między nimi i formuje jako system „przejść/bram/pasaży", umożliwiających przenikanie pomiędzy tymi

[20] Podobne sposoby spędzania wolnego czasu przez robotników ukazuje również W. Pawlak. Warto podkreślić, że możliwości robotniczej Łodzi były nawet większe, niż przedstawiliśmy w rozdziale poświęconym temu zagadnieniu. Zob. tenże, *Minionych zabaw czar, czyli czas wolny i rozrywka w dawnej Łodzi*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2001.

[21] T. Sławek, *Miasto. Próba zrozumienia*, [w:] *Miasto w sztuce, sztuka miasta*, red. E. Rewers, Universitas, Kraków 2010, s. 19.

[22] Tamże, s. 21.

[23] Tamże, s. 23.

[24] Tamże, s. 24.

dwiema formami[25]. W tych „przejściach/bramach/pasażach" ukazuje się istota miasta, „historia zbudowana rękami" człowieka, odsłaniająca nieznaną dotąd „powagę architektury", czas, rytm i kulisy miasta[26]. Poznania miasta nie zawdzięcza się wędrówkom głównymi szlakami komunikacyjnymi ani też przewodnikom, lecz mapie punktów miasta, która dla każdego jego mieszkańca jest inna[27]. Koncepcja T. Sławka jest bardzo głębokim wniknięciem w to, co zwykle nieprecyzyjnie nazywamy „wrażeniem" lub „doznaniem". Miasto jako palimpsest nakładających się elementów lub miasto jako „cud", dokonujący się w trudnych do przewidzenia przejściach, konstytuuje te momenty, które prowadzą do uporządkowania wiedzy o mieście i powołują do życia metafory pozwalające to doświadczenie wyrazić[28].

Wróćmy zatem do metafor Łodzi. Jak rozumieć metaforę „ziemia zapomniana"? Może znaczyć tyle, co miejsce zapomniane już w czasie swojego istnienia, żyjące tylko samemu sobie, bez kontaktów ze światem lub zapomniane później, jakby zagubione w historii, ale też na nowo odkryte. „Ziemia obiecana" symbolizuje dziś raczej ziemię obiecującą, oferującą, obdarzającą, przynoszącą szczęście, a nie darowaną przez kogoś, wytęsknioną lub wymarzoną. „Czerwona Łódź" znaczyć może (i znaczyła) tyle, co komunistyczna, ale też walcząca, gniewna, burząca się, przelewająca krew. Podobnie wieloznaczne są mity „pustyni kulturowej", czyli miejsca pozbawionego sztuki, wrażliwości na sztukę, miejsca, gdzie nic nie ma i nic się nie dzieje[29], „Łodzi robotniczej", która, jak

[25] Tamże, s. 23.

[26] Tamże, s. 25–26.

[27] Tamże, s. 31. Por. uwagi o mapie mentalnej i tworzących ją punktach (reperach) w rozważaniach wstępnych (w *Przedmowie*).

[28] Tamże, s. 44, 55.

[29] „Reżyser Marek Koterski napisał, że dwie najgorsze rzeczy, jakie przytrafiły mu się w życiu, to komunizm i Łódź: «Ohyda! Tępe plugawe miasto. Z dworcami jak sracze w polu. Jedyne znane mi miasto tej wielkości bez rzeki»" (W. Górecki, *Łódź przeżyła katharsis*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 1998, s. 17). M. Koterski narzeka na Łódź, twierdząc też: „Tutaj [w Łodzi] umiera już na starcie każda kulturalna inicjatywa. To jedyne miasto, w którym na największe sławy muzyczne były wolne miejsca w Filharmonii. Tak wszedłem na 5 minut przed koncertem na Ohlossona, Igora Ojstracha, Kulkę (we Wrocławiu nie było na nich biletów na miesiąc wcześniej). Tu na «Zemście» Dejmka bileterki zgarniały wszystkich widzów do pierwszych rzędów, żeby aktorzy mogli widzieć kilkanaście twarzy. Tu nie mogłem obejrzeć zespołu w teatrze, w którym chciano, bym reżyserował, bo dwukrotnie odwołano przedstawienie z braku widzów. Ale na «pchłę w uchu» – tłumy […]" (tamże, s. 25).

Przyczyny tego stanu rzeczy wyjaśnia w pewnym stopniu *Kongres Kultury Polskiej 2009. Raport o stanie i zróżnicowaniach kultury miejskiej*, www.kongreskultury.pl/title,pid,397,oid,1045.html (dostęp: 10.09.2012). Trudno wszakże polemizować z kimś, kto przejawia skrajnie negatywne uczucia do miasta i nie zadał sobie trudu poznania go.

stwierdziliśmy, nie była miejscem życia tylko robotników ani też do nich nie należała, oraz „złego miasta" – metafory stworzonej przez artystę, której znaczenie zawęziło się pod wpływem mitów o życiu robotników do miasta oferującego ludziom jedynie ciężką egzystencję, wysysającego życiodajne siły, niczego nie oferując w zamian. W ten sposób „złe miasto" przejęło ironiczną wymowę metafory „ziemi obiecanej", jaką nadali mu W. Dłużniewski i Wł. S. Reymont. „Ziemia obiecana" natomiast jest wiązana tylko z powstaniem fabrykanckich fortun.

Wpływ na powstanie rozpatrywanych wyżej mitów, poza wspomnianą potrzebą porządku i samookreślenia się w konkretnym miejscu (nie można całe życie być w obcym środowisku i ciągle nie „u siebie", jak to było w przypadku wielu łodzian), miały również wielorakie czynniki: gwałtowne zainteresowanie miastem, uświadomienie sobie zupełnie nieznanych obszarów jego historii i w ogóle jej niewielkiej znajomości, trendy – ujmijmy to najogólniej – epok lub stereotypy myślowe. Literatura interesującego nas okresu miała raczej niewielki wpływ na ukształtowanie się tych wyobrażeń. W zasadzie dostarczyła dwóch metafor: „ziemi obiecanej" i „złego miasta" oraz dość nośnych obrazów nuworyszy i nędzy nizin społecznych w *Ziemi obiecanej* Wł. S. Reymonta i A. Wajdy. Do innych utworów, poza powieścią A. Struga, łodzianie nie mieli dostępu. Przejęte z literatury metafory żyły własnym życiem, przybierając inne znaczenia niż te, które nadali im ich twórcy.

Utwory literackie nie przyczyniły się więc do mitologizowania dziejów Łodzi. Podobnie było z innymi łodzianami – publicystyką i wspomnieniami pochodzącymi z interesującego nas okresu lub ten czas obejmującymi. Na powstanie mitów nie wpłynęła także publicystyka powojenna, np. Wacława Pawlaka, Edmunda Adama Jarzyńskiego, Tadeusza Gicgera, Jerzego Urbankiewicza, Zdzisława Konickiego lub Feliksa Bąbola. Pomiędzy tą nieznaną ogółowi łodzian literaturą a ich wyobrażeniami o historii miasta zachodzi bowiem pewien związek w postaci dość charakterystycznych motywów: ubogiego rolniczego miasteczka i bujnie rozwijającego się

Zarzucanie Łodzi, że nie posiada rzeki w żaden sposób nie obniża wartości miasta, wydaje jednak specyficzne świadectwo osobie, która takie nonsensy wypowiada, uzurpując sobie równocześnie prawo do oceny życia duchowego innych ludzi.

Z drugiej strony: „Łódzkie Muzeum Sztuki wymienia się jednym tchem obok nowojorskiego Museum of Modern Art i paryskiego Centre Georges Pompidou. «Dla nas, studentów historii sztuki w Poznaniu, Łódź otaczał mit miasta sztuki nowoczesnej – mówi Jaromir Jedliński. – Główną pożywką tego mitu była ta placówka i oczywiście szkoła filmowa. Przyjeżdżaliśmy tu często na wystawy, na spektakle Dejmka w teatrze Nowym [...]». Jedliński jest wyjątkiem potwierdzającym regułę [regułą jest, że z Łodzi wszyscy uciekają] – kiedy zaproponowano mu pracę, osiadł w Łodzi na stałe i został łodzianinem" (W. Górecki, *Łódź przeżyła katharsis...*, s. 27).

miasta, bogatego fabrykanta i żyjącego w nędzy robotnika, bogatego Niemca i Żyda, a ubogiego Polaka, postaci *lodzermenscha* lub miasta kominów. Jednakże wyobrażenie Łodzi jako miasta bez przybytków kultury, mało interesującego i w sumie nudnego, przeczy znajomości tych i wielu innych autorów, publikujących w okresie powojennym. Wizje przeszłości Łodzi kształtowały się więc samorzutnie jako wynik arefleksyjnego w nim życia, ciągle też pomijały życie rękodzielniczego miasteczka.

Warto również zwrócić uwagę na jednoznaczne i niemetaforyczne ujęcia mitów: „pozbawionego radości życia robotników", „zgodnego współżycia wielu kultur" oraz „czterech kultur i narodowości Łodzi na równi ją tworzących". Wyraz „mit" znaczy tu tyle, co 'przekłamanie, nieprawda, zmyślenie'. Dlaczego więc za wieloznaczne uznaliśmy dwa wcześniejsze, dotyczące robotników – mit „Czerwonej Łodzi" i „Łodzi robotniczej"? Są przecież, a szczególnie pierwszy, takim samym przekłamaniem, choć odwoływały się do mających miejsce wydarzeń? Zadecydowało o tym nie tylko ujęcie językowe, bo w istocie oba są ujęciami metaforycznymi. Przede wszystkim powstały po II wojnie światowej na bazie sztucznego mitologizowania walki robotników o godność i równość społeczną dla dobra całej ludzkości, stając się jego wykładnią, posiadały jednak wcześniejszy rodowód. Ówczesna propaganda odwołała się do charakterystycznych źródeł – dumy robotniczej, robotniczego etosu walki o godność społeczną, także do potrzeby zburzenia istniejącego porządku społecznego, która to idea posiadała zwolenników również wśród robotników. Wszystkim nadała tę samą wartość i sprowadziła do jednego – walki robotników o państwo dyktatury proletariatu.

Pomiędzy wyróżnionymi przez nas mitami i ich swoistymi tytułami zachodzi więc interesująca analogia – językowe ujęcia tych, które powstały samorzutnie, będąc próbą obłaskawienia przeszłości, uporządkowania wiedzy i wyrażenia doświadczeń, są metaforami, zaś narzucone – mają charakter wyrażeń opisowych. Nie przeczą temu odnoszące się do tego samego zagadnienia życia i walki robotników dwa mity – „Łodzi Czerwonej" i „Łodzi robotniczej". Być może dlatego właśnie powstało ich więcej, by objąć i rozróżnić dwa różne problemy walki proletariatu? Próby metaforyzowania dostrzegamy również w najnowszych mitach. Mówi się przecież o „«dialogu» czterech kultur". To wyszukane ujęcie przeczy jednak charakterowi „obłaskawiania" przeszłości i, jak twierdzili G. Lakoff i M. Johnson, jest efektem narzucania prawdy przez „przywódców politycznych, religijnych, urzędowych – oraz przez reklamę, środki masowego przekazu" (nie miejsce tu rozstrzygać, kto przyczynił się do ich szerzenia lub je wywołał).

Rozważania na temat przeszłości miasta, jego mitów oraz tego, co powołało je do życia, spowodowały konieczność, ale też i chęć szerszego

spojrzenia na pewne zagadnienia. Zwróciliśmy uwagę na potrzebę powrotów do przeszłości, dokonaliśmy porównań pomiędzy literackimi ujęciami życia wzbogaconych parweniuszy i podejścia do tego problemu człowieka współczesnego, dociekaliśmy podobieństw i różnic w sposobach spędzania wolnego czasu łodzian – Polaków sprzed wieku i współczesnych mieszkańców miasta. Dużo miejsca poświęciliśmy wzajemnym relacjom zamieszkujących Łódź Polaków, Niemców i Żydów. Powstanie najnowszych mitów – ujmujących życie i walkę robotników oraz istnienie i udział różnych narodowości i kultur w tworzeniu oblicza miasta, wywołuje z kolei potrzebę porównania obu sił, które powołały je do życia. Z jednej strony mamy bowiem działania indoktrynacyjne państwa totalitarnego, z drugiej – działania prądów kulturowych państwa demokratycznego. Zestawienie to budzi przykrą świadomość istnienia analogii pomiędzy oboma działaniami. I indoktrynacja, i współczesne trendy kulturowe zmierzają w tym samym kierunku – narzucenia konkretnej wizji świata pod pozorem, że ta jedna jest prawdziwa, jedynie słuszna i z pewnością uszczęśliwi tego, kto ją przyjmie bez zastrzeżeń. Oba też prowadzą do przekłamań i powodują zamieszanie[30]. Inne refleksje może

[30] Warto zwrócić uwagę na krytykę teorii działania komunikacyjnego Jürgena Habermasa, dokonaną przez Güntera Maschke w eseju *Sankt Jürgen und der triumphierende Drache. Anläßlich Habermas' neuestem Angriff auf Carl Schmitt*, [w:] tenże, *Der Tod des Carl Schmitt. Apologie und Polemik*, Karolinger, Wien 1987 s. 113–164. Tomasz Gabiś, referując wywód Maschkego, stwierdza, że sukces Habermasa wziął się „stąd, że filozof stał się czołowym intelektualistą warstwy, która rozrosła się w ostatnich dziesięcioleciach i nadal rośnie, nie pełniąc przy tym żadnej rzeczywistej funkcji społecznej: humanistycznej inteligencji dzisiejszych masowych uniwersytetów i rekrutującego się z niej personelu, którego zadaniem jest pouczanie i sprawowanie moralnej kurateli nad narodem. Ponieważ czysto polityczna władza tej grupy jest niewielka, dąży ona do uzyskania monopolu władzy w «nadbudowie», aby móc ją skutecznie kontrolować. Nie mając w ręku strategicznej dźwigni koniecznej do narzucenia rzeczywistości swoich myślowych konstrukcji, rekompensuje to sobie hipermoralnym nadzorem nad procesami społeczno-politycznymi. Habermas i jego stronnicy, porzuciwszy perspektywę rewolucji, stali się krytyczno-wstrzemięźliwymi obrońcami *status quo* masowej demokracji i państwa socjalnego, utopię zmiany stosunków władzy i pracy zastąpili jeszcze bardziej fantastyczną utopią zmiany stosunków komunikacyjnych. Każda teoria, która odsłania okrutną prawdę o polityczności, nie łącząc tego jednak z obietnicą «emancypacji», nie jest traktowana przez nich jako możliwa do zaakceptowania intelektualna konkurencja, ale zwalczana z najwyższą zaciekłością jako wróg zły do szpiku kości. Zakłóca on bowiem ich duchową grę, uświadamiając im bolesny fakt, że nic realnego z tej gry nie wynika" – T. Gabiś, *Przegląd niemiecki (VII)*, „Arcana", 6/2009, nr 90, s. 118–119. Za: J. Bartyzel, *Wspólne źródła liberalizmu i totalitarnej demokracji*, www.legitymizm.org/wspolne-zrodla (dostęp: 10.02.2013); pierwodruk: *Totalitaryzm – jawny czy ukryty?*, praca zbiorowa: Peter A. Redpath i in., Fundacja „Lubelska Szkoła Filozofii Chrześcijańskiej", Wyd. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2011, s. 41–58. Wnikliwej uwagi wart jest również esej J. Bartyzela, którego tytuł jest niezwykle wymowny. Zgodnie

nasunąć porównanie dwóch postaw – W. Dłużniewskiego i O. Flatta wobec zmian zachodzących w niewielkim miasteczku na polskiej ziemi. Pierwszy jest zaniepokojony zmianami i obawia się wykorzenienia oraz zawłaszczenia przez obcych tego, co przynależy Polsce; drugi w tym samym widzi postęp i rozwój polskiej ziemi, a poza tym w działaniach obcych dopatruje się tylko korzyści. Obie te postawy dzielą dzisiaj Polaków, kiedyś zaś służyły ojczyźnie. Zagłębianie się w historię „miejsca najbliższego" jest więc w istocie nie tylko rozpoznaniem jego przeszłości, ale również historii własnego narodu. Podejmując tę refleksję, powróciliśmy do zaprezentowanej na początku rozważań myśli Y.-F. Tuana i A. Stebelskiego.

Na koniec zastanówmy się jeszcze, jakie doświadczenia prowadzą do powstania wyobrażeń o mieście i każdym właściwie miejscu. T. Sławek mówi, jak już wspomnieliśmy, o „przejściach/bramach/pasażach", które pozwalają odkryć jego istotę oraz to, co na co dzień jest ukryte. Czy muszą to być szczególne chwile lub fragmenty przestrzeni? Co przemawia do nas z taką siłą, że zaczynamy uważniej patrzeć wokół siebie?

Niniejsze rozważania zamyka prezentacja zdjęć. Zwykle zamieszczane w publikacjach fotosy są piękne, przedstawiają miejsca starannie wybrane i „magiczne". Te, które prezentujemy dalej, takiego charakteru nie mają. Ich niezwykłość wynika jednak z tego, że mimo najzupełniejszej pospolitości pozwoliły autorce niniejszej publikacji otworzyć się na Łódź. Były to: „pajęcza, misternie utkana sieć" trakcji tramwajowej w perspektywie al. Kościuszki (fot. 1), fasady kamienic ul. Narutowicza (fot. 2), park Źródliska z altaną koncertową (fot. 3), Domem Ogrodnika (fot. 4), urokliwymi, przecinającymi się alejkami oraz wielością mostków (fot. 5), Księży Młyn (fot. 6, 7). Warto podkreślić, że famuły robotników Scheiblera, które autorka miała okazję widzieć tuż za granicą parku, a nawet w nich bywać, zupełnie jej wówczas nie zainteresowały. Wywołały natomiast niemal zachłyśnięcie się miejscem kilka lat później, jeszcze zanim kompleks „miasta w mieście" stał się wizytówką Łodzi. Wrażenie było tak silne, że wymusiło mimowolne zainteresowanie miastem. Niezwykłe było również „odkrycie" płyt chodnikowych przy zbiegu ul. Narutowicza i Piotrkowskiej w strugach majowego deszczu (fot. 8; dziś to miejsce jest wybrukowane kostką). Obluzowane, nierówno położone i szare na co dzień, posiadały w istocie dość intensywny odcień koloru zielonego i czerwonego. Obmyte deszczem, wydawały się piękne. Nie można było obok tego „zjawiska" przejść obojętnie.

---

z myślą tego filozofa, totalitaryzm „[...] wcale nie musi być związany wyłącznie z jawnie terrorystycznymi i ludobójczymi systemami sprawowania władzy" (tamże).

Łódź „otwierała się" więc powoli, w najmniej spodziewanych okolicznościach i w miejscach, które wcale dla miasta nie były charakterystyczne (z wyjątkiem Księżego Młyna). Nie były to fabryki, fabryczne kominy, pałace, wielkomiejskie kamienice ul. Piotrkowskiej, które dziś kojarzą się z miastem. Każde z tych „spotkań" możemy za T. Sławkiem nazwać zetknięciem „miasta dolnego, poziomego" z „miastem górnym, pionowym", a miejsce zetknięcia i to, co je wywołało – „przejściem/bramą/pasażem". Nie będziemy tu rozstrzygać i udowadniać, jak bardzo każdy z ujętych na fotografii fragmentów miasta jest dla Łodzi charakterystyczny. By to zauważyć, trzeba zagłębić się w jej historię. Bez zadanego sobie trudu żadne miejsce na ziemi nie otworzy się dla nas, a jego dzieje pozostaną tylko splotem urokliwych mitów. Rezultatem podjętego trudu jest niniejsza publikacja. Poza poznaniem miasta „łyków łódzkich", rękodzielników, przemysłowców i ich robotników, pozwolił on również uporać się z zawikłanym problemem ruchu robotniczego, a także przyjrzeć się z uwagą najnowszym tendencjom kulturowym oraz ocenić ich wpływ na postrzeganie historii i teraźniejszości.

Fot. 1. Perspektywa al. Kościuszki z widoczną siecią trakcji tramwajowej[*]

Fot. 2. Fasady wielkomiejskich kamienic i hotelu Polonia przy ul. Narutowicza

[*] Autorem wszystkich zdjęć jest Radosław Biernat.

Fot. 3. Altana koncertowa w parku Źródliska

Fot. 4. Dom Ogrodnika w parku Źródliska

Fot. 5. Park Źródliska

Fot. 6. Uliczka na Księżym Młynie

Fot. 7. Fragment Księżego Młyna i „drogi żelaznej” Karola Scheiblera

Fot. 8. Fragment podcieni zniszczonej kamienicy przy zbiegu
ul. Narutowicza i Piotrkowskiej

Bibliografia

Literatura podmiotowa

Bartkiewicz Z., *Złe miasto*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001. Na podstawie: Z. Bartkiewicz, *Złe miasto*, „Świat" 1907.

Döblin A., *Podróż po Polsce*, przeł. A. Wołkowicz, posł. H. Grynberg, seria: „Pisarze Języka Niemieckiego", Wyd. Literackie, Kraków 2000.

Dłużniewski W., *Paweł Łodzia Kubowicz*, Warszawa 1857, Cyfrowa Biblioteka Narodowa, www.polona.pl/dlibra/doccontent2?id=20788&dirids=1.

[Dłużniewski W.], *Wyprawa do Ameryki. Dzieło sceniczne w trzech aktach napisane przez Anastazego Podhalskiego, Quotlibet* [!] *złożony z żywych obrazów miasta Łodzi* (fragmenty), [w:] A. Kowalska, *„Wyprawa do Ameryki. Quodlibet z żywych obrazów miasta Łodzi" Wiktora Dłużniewskiego*, „Prace Polonistyczne" 1969, seria XXV, s. 92–93, 101–114.

Flatt O., *Łódź i nowobudująca się do niej droga żelazna*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 3–6. Na podstawie: O. Flatt, *Łódź i nowobudująca się do niej droga żelazna*, „Tygodnik Ilustrowany", 20.01, t. XIII, nr 330, s. 28–29.

Flatt O., *Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym*, Warszawa 1853, przedruk: Wyd. Grako, Łódź 2002.

Folklor robotniczej Łodzi. Pokłosie konkursu, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, R. XII–XV, Wrocław 1976 (*Ballada o Zajdlowej*, s. 211–212; *Cztery mile lasu*, s. 183; *Hej na rynku Geyera*, s. 199; *Łaniucha*, s. 214–215; *Motor*, s. 184–185; *Niedziela w Czarnocinie*, s. 187; *Uwiedziona dziewczyna*, s. 226; *W czynszowej kamienicy*, s. 168–169; *W Helenowie*, s. 195–196; *W Łagiewnikach na majówce*, s. 198; *Zapusty*, s. 20).

Gawalewicz M., *Wir. Powieść z niedawnych czasów*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 399–492. Na podstawie: M. Gawalewicz, *Wir. Powieść z niedawnych czasów*, druk P. Laskauera i S-ki, Warszawa 1908.

Geyer H. E., *Z mojego życia. Wspomnienia z lat 1855–1914*, Literatura, Łódź 2002.

Gliszczyński A., *Łódź po zaburzeniach (1905)*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 493–498. Na podstawie: A. Gliszczyński, *Łódź po zaburzeniach*, „Kurier Warszawski", 2.07.1905, s. 2–4.

Gliszczyński A., *Mańka*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 393–398. Na podstawie: A. Gliszczyński, *Obrazki*, nakładem Spółki Wydawniczej J. Rowiński i A. Sobieszczański, Warszawa 1907.

Gliszczyński A., Mieszkowski A., *Łódź, miasto i ludzie*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008. Na podstawie: *Miasto i ludzie*, przez X.Y.Z., odbitka z „Wieku", nakład Bolesława Londyńskiego, Łódź 1984.

Gorski S., *Łódź spółczesna. Obrazki i szkice publicystyczne*, Warszawa 1904.

Humnicki A., *Wspomnienia z lat 1888–1892*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 387–392. Na podstawie: A. Humnicki, *Wspomnienia z lat 1888–1892*, odbito w drukarni narodowej w Krakowie, Warszawa 1907.

Kosiakiewicz W., *Bawełna*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 267–386. Na podstawie: W. Kosiakiewicz, *Bawełna*, Nakładem Księgarni K. Grendyszyńskiego, Petersburg 1895; w 1894 r. powieść publikowana w „Gazecie Polskiej".

Laskowski K., *Lokaut, powieść łódzka*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 499–532. Na podstawie: K. Laskowski (EL), *Lokaut, powieść łódzka*, nakład J. Sokolnickiego, Warszawa [1907].

Łąpiński S., *Tkacz, obrazek z życia łódzkich robotników*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 47–52. Na podstawie: S. Łąpiński, *Tkacz, obrazek z życia łódzkich robotników*, nakładem i drukiem „Rozwoju", Łódź 1898.

Marrené-Morzkowska W., *Wśród kąkolu*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 171–266. Na podstawie: W. Marrené-Morzkowska, *Wśród kąkolu*, „Biesiada Literacka" 1890.

Reymont Wł. S., *Ziemia obiecana*, Świat Książki, Warszawa 2000.

Rowiński Wł., *Bez tytułu*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 161–165. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

Rowiński Wł., *Dwa pokolenia*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 149–156. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

Rowiński Wł., *Julka*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 123–124. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

Rowiński Wł., *Kwiaty dla Prusa*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 167–169. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

Rowiński Wł., *Przemówił*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)* , wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 161–166. Na podstawie: Wł. Rowiński, *W Łodzi: szkice i wrażenia*, Księgarnia K. Fiszlera, Warszawa 1905; rok wyd. pierwodruku – 1899.

Starkman A., *Łódź i łodzianie (szkic społeczno-obyczajowy)*, [w:] *Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia)*, wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008, s. 41–43. Na podstawie: A. Starkman, *Łódź i łodzianie (szkic społeczno-obyczajowy)*, druk. Wł. Jasińskiego, Warszawa 1895.

Stebelski A., *Łódź i klucz łódzki u schyłku* [*pierwszej*] *Rzeczypospolitej*, „Rocznik Oddziału Łódzkiego Polskiego Towarzystwa Historycznego" 1929–1930, t. 2 (1930), s. 57–159.
Strug A., *Dzieje jednego pocisku*, „Nasza Księgarnia", Warszawa 1980.
Timkowskij-Kostin I., *Miasto proletariuszów (Łódź)*, przeł. S. Lubicz-Majewski, przedm. K. P. Woźniak, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001.
Tuwim J., *Kwiaty polskie*, Wyd. Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, Warszawa 1978 (fragmenty).
Vimard H., *Łódź. Polski Manszester*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001.
Wrzosek S., *Bunt łódzki w roku 1982*, http://lewicowo.pl/bunt-lodzki-w-roku-1892.
Wybór tekstów języka mówionego mieszkańców Łodzi i regionu łódzkiego. Generacja starsza, średnia i najmłodsza, red. M. Kamińska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1992.
Wybór tekstów języka mówionego mieszkańców Łodzi i regionu łódzkiego. Generacja najstarsza, red. M. Kamińska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1989.
Żeromski S., *Róża. Dramat niesceniczny*, oprac. S. Pigoń, Czytelnik, Warszawa 1966.

Literatura przedmiotowa

Adamczyk-Garbowska M., *Dwie powieści o jednym mieście*, „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 82–89.
Arbiszewski K., *Splatając na nowo ANT. Wstęp do „Splatając na nowo to, co społeczne"*, [w:] B. Latour, *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. A. Derra, K. Arbiszewski, Universitas, Kraków 2010.
Arendt H., *O wartościach*, tłum. M. Jałocho, [w:] *Wartości: etyka i estetyka. Antologia tekstów filozoficznych*, red. S. Jedynak, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 419–420.
Bandurka M., *Łodzianie w drodze do szkolnictwa wyższego*, [w:] *Rola nauczycieli łódzkich w tworzeniu dziedzictwa kulturowego Łodzi*, red. S. Gala, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1998, s. 289–297.
Baranowski B., *O dawnej Łodzi*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1976.
Bartmiński J., *Stereotypy mieszkają w języku. Studia etnolingwistyczne*, Wyd. Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2009.
Bartyzel J., *Pojęcie, geneza i próba systematyki głównych typów nacjonalizmu*, [w:] *Różne oblicza nacjonalizmów. Polityka – religia – etos*, red. B. Grott, Nomos, Kraków 2010, s. 21–48.
Bauman Z., *Globalizacja. I co z tego dla ludzi wynika*, przeł. E. Klekot, PIW, Warszawa 2000.
Bieńkowska D., Cybulski M., Umińska-Tytoń E., *Słownik dwudziestowiecznej Łodzi. Konteksty historyczne, społeczne, kulturowe*, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2007.
Błażejewski T., *Łódzkie środowisko literackie*. [*Informator*], Łódź 1982.
Błażejewski T., *Współczesna Łódź literacka. Słownik autorów*, Łódź 1989.
Bokszański Z., *Stereotypy a kultura*, Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1997.
Bokszański Z., *Tożsamość grup etnicznych w społeczeństwach wielokulturowych*, [w:] *Tożsamość a język w perspektywie slawistycznej*, red. nauk. S. Gajda, Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2008, s. 21–33.
Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik łódzki*, Agora, Łódź 2008.

Bonisławski R., Podolska J., Bomanowska M., *Spacerownik łódzki*, cz. 2, Agora, Łódź 2010.

Braun A., *Psie Pole*, Oficyna Wyd. Agawa, Warszawa 1977.

Budrecki L., *Władysław Reymont. Zarys monograficzny*, Czytelnik, Warszawa 1953.

Budziarek M., *Łodzianie*, Literatura, Łódź 2000.

Campbell J., *Potęga mitu. Rozmowy Billa Moyersa z Josephem Campbellem*, oprac. B. S. Flowers, przeł. I. Kania, Znak, Kraków 2007.

Cegiełła J., *Dziecko szczęścia. Aleksander Tansman i jego czasy*, t. 1–2, Wyd. 86 Press, Łódź 1996.

Chlewiński Z., *Stereotypy: struktura, funkcje, geneza. Analiza interdyscyplinarna*, [w:] *Stereotypy i uprzedzenia*, red. Z. Chlewiński, I. Kurcz, Instytut Psychologii PAN, Warszawa 1992.

Czapczyński T., *Łódź w świetle niektórych utworów literackich*, „Prace Polonistyczne" 1937, seria I, s. 303–312.

Dąbrowski S., *Występy Modrzejewskiej w Łodzi i odgłosy w prasie*, „Prace Polonistyczne" 1962, seria XVIII, s. 231–240.

Delors J. (red.), *Edukacja – jest w niej ukryty skarb*, Wyd. UNESCO, Warszawa 1998.

Denek K., *Wartości jako źródło edukacji*, [w:] K. Denek, U. Morszczyńska, W. Morszczyński, S. C. Michałowski, *Dziecko w świecie wartości*, cz. 1: *Aksjologiczne barwy dziecięcego świata*, seria: „Nauczyciele – Nauczycielom", t. XIV, Oficyna Wyd. Impuls, Kraków 2003, s. 21–40.

Denek K., Morszczyńska U., Morszczyński W., Michałowski S. C., *Dziecko w świecie wartości*, cz. 1: *Aksjologiczne barwy dziecięcego świata*, seria: „Nauczyciele – Nauczycielom", t. XIV, Oficyna Wyd. Impuls, Kraków 2003.

Domińczak M., *Bielnik Kopischa w świetle najnowszych ustaleń badawczych*, [w:] *Sztuka w Łodzi 2. Materiały sesji naukowej zorganizowanej przez Łódzki Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki, 8–9 października 2001 roku*, red. M. Wróblewska-Markiewicz, Łódź 2003.

Drzewiecki S., *Wychowanie obywatelsko-państwowe a nauka języka polskiego*, [w:] L. Jazownik, *Teoria kształcenia literackiego w latach 1918–1939. Antologia*, cz. 1, Wyd. Humanistyczno-Społeczne Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2001, s. 250–263.

Dziedzictwo kulturowe w regionie. Założenia programowe, „Geografia w Szkole" 1995, nr 2 i 4.

Dziennikarz w świecie klerków. Rozmowy – szkice – reportaże, wybór i oprac. J. Fiećko, Wyd. WiS, Poznań 2006.

Eliade M., *Aspekty mitu*, przeł. P. Mrówczyński, Wyd. KR, Warszawa 1998.

Eliade M., *Mity, sny i misteria*, przeł. K. Kocjan, Wyd. KR, Warszawa 1994.

Filipek W., *Stereotyp Żyda w kulturze polskiej – rozpoznanie*, [w:] *Dziennikarz w świecie klerków. Rozmowy – szkice – reportaże*, wybór i oprac. J. Fiećko, Wyd. WiS, Poznań 2006, s. 111–118.

Fromm E., *Mieć czy być*, przeł. J. Karłowski, wstęp M. Chałubiński, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1995.

Fromm E., *Ucieczka od wolności*, przeł. O. i A. Ziemilscy, przedm. E. Wnuk-Lipiński, Czytelnik, Warszawa 2001.

Fromm E., *Wojna w człowieku. Psychologiczne studium istoty destrukcyjności*, przeł. P. Kuropatwiński, P. Pankiewicz, wstęp i red. nauk. P. Pankiewicz, Gdańska Inicjatywa Wydawnicza, Gdańsk 1991.

Furedi F., *Gdzie się podziali wszyscy intelektualiści?*, przeł. K. Makaruk, seria: „Biblioteka Myśli Współczesnej", PIW, Warszawa 2008.
Gołębiowska B., *Pasierbowie kultury. Kartka z dziejów inteligencji Łódzkiej*, seria XLIV, „Prace Polonistyczne" 1988, s. 57–67.
Górecki W., *Łódź przeżyła katharsis*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 1998.
Górecki W., *Łódź rosyjska*, „Tygiel Kultury" 1999, nr 7–9, s. 17–22.
Heidegger M., *Bycie i czas*, przeł. i przedm. B. Baran, PWN, Warszawa 1994.
Isajiw W., *Definitions of Ethnicity*, "Ethnicity" 1974, nr 1.
Jakubowski J. Z., *Posłowie*, [w:] A. Strug, *Dzieje jednego pocisku*, „Nasza Księgarnia", Warszawa 1980.
Język – stereotyp – przekład, red. E. Skibińska, M. Cieński, Dolnośląskie Wyd. Edukacyjne, Wrocław 2002.
Kaczmarek R., *Wiktor Dłużniewski, pierwszy piewca Łodzi*, „Prace Polonistyczne" 1955, seria XII, s. 381–402.
Kalemba-Kasprzak E., *Prometeusz z przepiórką. Dramaty Stefana Żeromskiego: od Czarowica do Przełęckiego*, Wyd. Uniwersytetu Adama Mickiewicza, Poznań 2000.
Karwacka H., *Łódź w oczach pozytywistki. „Wśród kąkolu" Walerii Marrené-Morzkowskiej – pierwsza powieść o fabrycznym mieście*, „Prace Polonistyczne" 1975, seria XXXI, s. 146–174.
Karwacka H., *„Opis miasta Łodzi" Oskara Flatta początkiem piśmiennictwa przemysłowego miasta*, „Prace Polonistyczne" 1976, seria XXXII, s. 250–264.
Karwacki W. L., *Łódź w latach rewolucji 1905–1907*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1975.
Kempa A., *Sylwetki łódzkich dziennikarzy i publicystów*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 1991.
Kempa A., *„Złe miasto" – po wieku latach*, [w:] Z. Bartkiewicz, *Złe miasto*, Biblioteka „Tygla Kultury", Łódź 2001, s. 9–10.
Kiedy w Łodzi wypasano owce, rozmowa z Henrykiem Samsonowiczem (rozmawiał Z. Dominiak), „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 9–12.
Kleiner J., *Godziny języka polskiego a budowanie kultury*, [w:] L. Jazownik, *Teoria kształcenia literackiego w latach 1918–1939. Antologia*, cz. 1, Wyd. Humanistyczno-Społeczne Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2001, s. 247–250.
Kłoskowska A., *Stereotypy a rzeczywistość narodowej identyfikacji i przyswojenia kultury*, „Kultura i społeczeństwo" 1993, nr 4.
Koc B., *O „Ziemi obiecanej" Reymonta*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990.
Kolega z „Żeromszczaka", rozmowa z Andrzejem Braunem, pisarzem (rozmawiał Z. Dominiak), „Tygiel Kultury" 1996, nr 6–7, s. 68–71.
Kołodziej K., *Między „ziemią obiecaną" a „złym miastem" – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 1, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2008, nr 10, s. 253–272.
Kołodziej K., *Między „ziemia obiecaną" a „złym miastem" – cała (?) prawda o Łodzi w publicystyce i prasie warszawskiej*, cz. 2, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2008, nr 13, s. 177–188.
Kołodziej K., *Motywy wspólne w literackim obrazie strajku i lokautu w Manchesterze (Elizabeth C. Gaskel „Mary Barton") i w Łodzi (M. Gawalewicz „Wir", K. Laskowski „Lokaut")*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2007, nr 9, s. 187–201.
Kołodziej K., *Obraz Łodzi w piśmiennictwie pozytywistyczno-młodopolskim*, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2009.
Konflikty współczesnego świata, red. R. Borkowski, Uczelniane Wydawnictwa Naukowo-Dydaktyczne, Kraków 2001.

Korzec P., Szuster E., *Łódzkie powstanie zbrojne w czerwcu 1905 r.*, Warszawa 1956.
Kossak-Główczewski K., *W poszukiwaniu źródeł realizacji poprzez edukację regionalną pedagogii Freineta*, [w:] *Pedagogia Celestyna Freineta a edukacja regionalna*, red. W. Frankiewicz, K. Kossak-Główczewski, Gdańsk 1997.
Kowalczykowa A., *Tuwim – poetyckie wizje Łodzi*, „Prace Polonistyczne" 1996, seria LI, s. 7–19.
Kowalska A., *„Wyprawa do Ameryki. Quodlibet z żywych obrazów miasta Łodzi" Wiktora Dłużniewskiego*, „Prace Polonistyczne" 1969, seria XXV, s. 83–114.
Kowalska A., *Nieznany łódzki utwór sceniczny o „ziemi obiecanej"*, „Prace Polonistyczne" 1966, seria XXII, s. 3–17.
Kowalska A., *Wiktor Dłużniewski, autor „Wyprawy do Ameryki"*, „Prace Polonistyczne" 1967, seria XXIII, s. 168–187.
Kowalska Z., *Krzyżacy w innym świetle: od średniowiecza do czasów współczesnych*, Biblos, Tarnów; Janineum, Wien 1996.
Krajewska H., *Życie filmowe Łodzi w latach 1896–1939*, seria: „Zeszyty Muzeum Kinematografii", nr 2, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa–Łódź 1992.
Krakowiak J., *Od Fiszera do „Pegaza". 123 lata łódzkiej księgarni. Księgarnie łódzkie okresu międzywojennego*, Łódź 2005.
Krzyżanowski J., *W świecie bajki ludowej*, PIW, Warszawa 1980.
Kuligowska-Korzeniewska A., *Scena obiecana. Teatr polski w Łodzi 1844–1918*, Łódź 1995.
Kutz K., *Ja jestem Moniuszko*, „Fakty" 1997, nr 14.
Kwiaty łódzkie. Antologia poezji o Łodzi, wstęp i oprac. B. Stelmaszczyk-Świątek, Z. Skibiński, Wyd. Łódzkie, Łódź 1982.
Lakoff G., Johnson M., *Metafory w naszym życiu*, przekł. i wstęp T. P. Krzeszowski, PIW, Warszawa 1988.
Latour B., *Splatając na nowo to, co społeczne. Wprowadzenie do teorii aktora-sieci*, przeł. A. Derra, K. Arbiszewski, wstęp K. Arbiszewski, Universitas, Kraków 2010.
Lewandowski E., *Charakter narodowy Polaków i innych*, Wyd. Muza, Warszawa 2008.
Lewandowski E., *Pejzaż etniczny Europy*, Wyd. Muza, Warszawa 2005.
Literatura i język Łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978.
Lodzermensch – historia i mit, „Tygiel Kultury" 1998, nr 4–5, s. 28–38.
Lynch K., *The Image of the City*, University of Cambridge, MIT Press, Cambridge 1960.
Łempicki Z., *Polska i polskość w nauczaniu polskiego*, [w:] L. Jazownik, *Teoria kształcenia literackiego w latach 1918–1939. Antologia*, cz. 1, Wyd. Humanistyczno-Społeczne Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2001, s. 209–225.
Łopata A., *Dlaczego milczą?*, „Polonistyka" 1997, nr 9, s. 529–533.
Łódzkie sceny żydowskie, red. M. Leyko, Łódź 2000.
Łódź – monografia miasta, red. S. Liszewski, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 2009.
Łódź – dzieje miasta, red. R. Rosin, t. I: *Do 1918*, red. B. Baranowski, J. Fijałek, PWN, Warszawa–Łódź 1980.
Łódź, która przeminęła w publicystyce i prozie (antologia), wybór i red. P. Boczkowski, Wyd. Piktor s.c., Łódź 2008.
Majer A., *Miasto osobiste*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Sociologica" 2011, nr 36, s. 17–34.
Małecki L., Wojalski M. Z., Robak Ł., *Łódzkie Stare Miasto*, Łódź 2011.

Maschke G., *Sankt Jürgen und der triumphierende Drache. Anläßlich Habermas' neuestem Angriff auf Carl Schmitt*, [w:] tenże, *Der Tod des Carl Schmitt. Apologie und Polemik*, Karolinger, Wien 1987, s. 113–164.
Mączyński J., *Nazwiska łodzian (wiek XV–XIX)*, Łódź 1970.
Miasto – kultura – literatura. Wiek XIX. Materiały sesji naukowej, red. J. Data, Wyd. Gdańskie, Gdańsk 1993.
Miasto – teren koegzystencji pokoleń. Łódź 19–21 maja 1997, red. Z. Staszewska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1999.
Miasto jako przedmiot badań naukowych w początkach XXI wieku, red. B. Jałowiecki, Scholar, Warszawa 2008.
Miasto. Przestrzeń, topos, człowiek, red. A. Gleń, J. Gutorow, I. Jokiel, Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2005.
Mity i stereotypy w dziejach Polski, red. J. Tazbir, Polska Agencja Interpress, Warszawa 1991.
Muznerowski S., *Przyczynki do monografii Łodzi*, Łódź 1922.
Nowaczewski A., *Metropolia bez centrum. Trójmiejskie mity przestrzenne w literaturze współczesnej*, [w:] *Miasto. Przestrzeń, topos, człowiek*, red. A. Gleń, J. Gutorow, I. Jokiel, Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2005, s. 157–166.
Oberländer J., *Łódź mojej młodości*, „Tygiel Kultury" 1996, nr 4, s. 52–57.
Omelaniuk A. J., *Przez kreowanie „małej ojczyzny" budujemy polską przyszłość*, [w:] S. Bednarek, *W kręgu małych ojczyzn. Szkice regionalistyczne*, Wrocław–Ciechanów 1996.
Paterek W., *Nacjonalizm*, [w:] *Konflikty współczesnego świata*, red. R. Borkowski, Uczelniane Wydawnictwa Naukowo-Dydaktyczne, Kraków 2001, s. 88–97.
Pawlak W., *Minionych zabaw czar, czyli czas wolny i rozrywka w dawnej Łodzi*, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2001.
Pod jednym dachem. Niemcy oraz ich polscy i żydowscy sąsiedzi w Łodzi w XIX i XX wieku/Unter einem Dach. Deutsche und ihre polnischen und jüdischen Nachbarn in Lodz im 19. und 20. Jahrhundert, red. K. Radziszewska, K. Woźniak, Łódź 2000.
Podolska J., *Spacerownik. Cmentarz żydowski w Łodzi*, Agora, Łódź 2010.
Podolska J., *Spacerownik. Łódź żydowska*, Agora, Łódź 2009.
Podolska J., Jagiełło M., *Spacerownik. Rosyjskimi śladami po województwie łódzkim*, Biblioteka „Gazety Wyborczej", Łódź 2012.
Polacy, Niemcy i Żydzi w Łodzi w XIX i XX wieku. Sąsiedzi dalecy i bliscy, red. P. Samuś, Wyd. Ibidem, Łódź 1997.
Polski słownik biograficzny, t. VII, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Kraków 1948–1958.
Potocki W., *Moralia (1688)*, wyd. T. Grabowski, J. Łoś, t. II, seria: „Biblioteka Pisarzów Polskich", Wyd. Akademii Umiejętności, Kraków 1916.
Prus B., *Kroniki*, oprac. Z. Szweykowski, t. 1–20, Warszawa 1996.
Ratajska K., *„Jedyna patriotyczna legenda Łodzi"*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica" 2002, nr 5, s. 115–125.
Renner A. E., *Deutsche Schicksalswege in Lodz*, Berlin 1893.
Rewers E., *Post-polis. Wstęp do filozofii ponowoczesnego miasta*, Universitas, Kraków 2005.
Rola nauczycieli łódzkich w tworzeniu dziedzictwa kulturowego Łodzi, red. S. Gala, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1998.
Różne oblicza nacjonalizmów. Polityka – religia – etos, red. B. Grott, Nomos, Kraków 2010.
Rubinstein A., *Moje młode lata*, przekł. T. Szafar, Polskie Wyd. Muzyczne, Kraków 1986.

Rynkowska A., *Łódź, jaką widział Reymont*, „Osnowa", wiosna 1967, s. 11–13.
Rynkowska A., *Łódź w latach „Ziemi obiecanej"*, „Odgłosy" 1967, nr 6, s. 1–3.
Rynkowska A., *Ulica Piotrkowska*, Wyd. Łódzkie, Łódź 1970.
Samp J., *Obraz Gdańska w relacjach wybranych podróżopisarzy*, [w:] *Miasto – kultura – literatura. Wiek XIX. Materiały sesji naukowej*, red. J. Data, Wyd. Gdańskie, Gdańsk 1993, s. 163–175.
Samuś P., *Łódź – mała ojczyzna Polaków, Niemców i Żydów*, [w:] *Polacy, Niemcy i Żydzi w Łodzi w XIX i XX wieku. Sąsiedzi dalecy i bliscy*, red. P. Samuś, Wyd. Ibidem, Łódź 1997, s. 118–161.
Scheler M., *Mentalność przemysłowa i kupiecka a wypaczenie hierarchii wartości*, przeł. J. Garewicz, [w:] *Wartości: etyka i estetyka. Antologia tekstów filozoficznych*, red. S. Jedynak, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991, s. 336–339.
Schlott W., *Antysemityzm w Polsce – widziany z zewnątrz*, „Tygiel Kultury" 1997, nr 3, s. 10–20.
Singer I. J., *Bracia Aszkenazy*, przeł. S. Pomer, t. 1–2, Sagitta, Warszawa 1992.
Skrzydło L., *Rody fabrykanckie*, cz. I–II, Oficyna Bibliofilów, Łódź 2000.
Sławek T., *Miasto. Próba zrozumienia*, [w:] *Miasto w sztuce, sztuka miasta*, red. E. Rewers, Universitas, Kraków 2010.
Sobieraj T., *O prozie Mariana Gawalewicza*, Poznań 1999.
Souter T., *Tak żyją nowojorscy bogacze*, „Marie Claire" 1999, nr 48, s. 38–42.
Spodenkiewicz P., *Piasek z Atlantydy*, rozmowy z Jerzym Grohmanem, Wyd. „Hobo", Łódź 2006.
Spodenkiewicz P., *Zaginiona dzielnica żydowska – miejsca i ludzie*, Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 1999.
Stefański K., *Gmachy użyteczności publicznej dawnej Łodzi*, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami w Łodzi, „Zora", Łódź 2000.
Stefański K., Piotrkowska 77, Wyd. Wing, Łódź 2005.
Steinhagen M. E., *Kruschowie. Historia rodu. Wspomnienia*, Literatura, Łódź 2003.
Stolarzewicz L., *Literatura Łodzi w ciągu jej istnienia. Szkic literacki i antologia*, Łódź [1935].
Stomma L., *Królów polskich przypadki*, Wyd. B.G.W., Warszawa 1993.
Studium wiedzy o regionie. Informator programowy kształcenia regionalnego w zakresie dziedzictwa kulturowego Łodzi i Polski Środkowej dla nauczycieli przedszkoli, szkół podstawowych i średnich, Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1997.
Szczepański M. S., Nawrocki T., *„Ludzie bez ojczyzny prywatnej" i edukacja regionalna* „Polonistyka" 1998, nr 5, s. 260–264.
Szkurłat E., *Więzi terytorialne młodzieży z miastem. Uwarunkowania – przemiany*, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2004.
Śmiałowski J., *Od narodzin do rozkwitu Łodzi przemysłowej. 1820–1870*, seria: „Biblioteczka Wiedzy o Łodzi", z. 4, Łódź 1973.
Tożsamość a język w perspektywie slawistycznej, red. nauk. S. Gajda, Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2008.
Tuan Yi-Fu, *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, wstęp K. Wojciechowski, seria: „Biblioteka Myśli Współczesnej", PIW, Warszawa 1977.
Tuwim J., *Juwenilia*, t. 1, oprac. T. Januszewski, A. Bałakier, Warszawa 1990.
Tynecki J., *Literatura Łodzi do 1918 roku*, [w:] *Literatura i język Łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978*, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978, s. 13–34.

Tynecki J., *Przemysł a kultura. Dzieje imperium bawełnianego w Łodzi dla historyków kultury*, „Prace Polonistyczne" 1988, seria XLIV, s. 5–55.
W kręgu mitów i stereotypów, red. K. Borowczyk, P. Pawelczyk, Wyd. Marszałek, Poznań–Toruń 1993.
Wartości: etyka i estetyka. Antologia tekstów filozoficznych, red. S. Jedynak, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1991.
Wielkie Miasto: czynniki integrujące i dezintegrujące, [Łódź, 17–19 maja 1994 r.], cz. 1–2, red. D. Bieńkowska, Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1995.
Wierzbowski R., *Łódzkie realia kwiatów polskich*, [w:] *Literatura i język łodzi. Materiały z sesji naukowej w Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowanej w dniach 18–20 kwietnia 1978*, red. Z. Skwarczyński, Łódź 1978, s. 63–89.
Wilska-Duszyńska B., *Rozważania o naturze stereotypów etnicznych,* „Studia Socjologiczne" 1971, nr 3.
Wojalski M. Z., *Kieszonkowa kronika dziejów Łodzi*, Widzewska Oficyna Wydawnicza „Zora", Łódź 1998.
Z domu niewoli. Sytuacja polityczna a kultura literacka w drugiej połowie XIX wieku, red. J. Maciejewski, Wrocław 1988.
Zand A., *Łódź*, Lwów 1933.
Zimand R., *Szkice*, PIW, Warszawa 1965.

Strony internetowe

Adamczyk-Garbowska M., *Bracia Singerowie*, Biblioteka Wirtualna, http://tnn.pl/tekst.php?s_keyword=am&idt=2563[1].
Bartmiński J., *Jak zmienia się stereotyp Niemca w Polsce*, „Obyczaje" 2001, nr 4, http://tnn.pl/tekst.php?idt=311, dostęp: 21.01.2013.
Bartmiński J., *Stereotypy mieszkają w języku*, rozmowa z prof. Jerzym Bartmińskim (UMCS), „Scriptores Scholarum" 1998, nr 2/3 (19/20), s. 11–17, www.tnn.pl/tekst.php?idt=322 (dostęp: 10.02.2013).
Bartyzel J., *Wspólne źródła liberalizmu i totalitarnej demokracji*, www.legitymizm.org/wspolne-zrodla (dostęp: 10.02.2013); pierwodruk: *Totalitaryzm – jawny czy ukryty?*, praca zbiorowa: Peter A. Redpath i in., Fundacja „Lubelska Szkoła Filozofii Chrześcijańskiej", Wyd. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 2011, s. 41–58
Centrum Informacji Turystycznej, www.cit.lodz.pl.
Czerwona Łódź, http://bibliotekapiosenki.pl/Czerwona_lodz.
Czerwony sztandar, [w:] *Pieśni młodzieży socjalistycznej*, http://spiewnik.mlodzisocjalisci.pl/?s=czerwonysztandar.
Deutsche Schicksalswege in Lodz, http://books.google.pl/books/about/Deutsche_Schicksalswege_in_Lodz.html?id=AZ7OSgAACAAJ&redir_esc=y.
Festiwal Dialogu Czterech Kultur, http://pl.wikipedia.org/wiki/Festiwal_Dialogu_Czterech_Kultur.
Flatt Beniamin, http://pl.wikipedia.org/wiki/Jerzy_Beniamin_Flatt.
Flatt Oskar, http://pl.wikipedia.org/wiki/Oskar_Flatt.
Historia Łodzi, www.historialodzi.obraz.com.pl.
Historia Starej Łodzi, www.astral.lodz.pl/bimar/index.html.
Historia Uniwersytetu Łódzkiego, www.uni.lodz.pl/ouni/historia.
Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi, z. 1, www.uml.lodz.pl/get.php?id=115.

[1] O ile nie podano inaczej, strony internetowe były dostępne 10.09.2012.

Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi, z. 2, www.uml.lodz.pl/get.php?id=116.
Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi, z. 3, www.uml.lodz.pl/get.php?id=117.
Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi, z. 4, www.uml.lodz.pl/get.php?id=118.
Kalicka F., Olearczyk E., *Polskie pieśni rewolucyjne z lat 1918–1939*, Wydział Historii Partii KC PZPR, Książka i Wiedza, Warszawa 1950 (Biblioteka Polskiej Piosenki: *Łodzianka*, http://bibliotekapiosenki.pl/Lodzianka; *Mazur kajdaniarski*, http://biblioteka piosenki.pl/Mazur_Kajdaniarski; *Czerwona Łódź*, http://bibliotekapiosenki.pl/ Czerwona_lodz).
Kieruzel M., *Pozostawili zabytki. Fabryki Kindermanna*, www.uml.lodz.pl/get.php? id=2133.
Kłuszyńska D., *Walka o polityczne prawa kobiet* [1911], http://lewicowo.pl/walka--o-polityczne-prawa-kobiet-19-marca.
Kongres Kultury Polskiej 2009. Raport o stanie i zróżnicowaniach kultury miejskiej, www.kongreskultury.pl/title,pid,397,oid,1045.html.
Kot A., *Oskar Flatt*, http://jura-pilica.com/?oskar-flatt,434.
Kreitman Esther, http://en.wikipedia.org/wiki/Esther_Kreitman.
Krzywicki L., *Kto winien?* [1890], http://lewicowo.pl/kto-winien.
Krzywicki L., *Socjalizm i rodzina* [1884], http://lewicowo.pl/socjalizm-i-rodzina.
Kuligowska-Korzeniewska A., *Łódź teatralna. Od Marzantowicza do Schillera*, www.uml. lodz.pl/get.php?id=268.
Kuligowska-Korzeniewska A., *Łódź teatralna: polska, niemiecka i żydowska*, www.tygiel-kultury.eu/1_3_2005/aktual/7ram.htm.
Kwapiński J., *Akcja pod Rogowem*, http://lewicowo.pl/akcja-pod-rogowem.
Kwestia kobieca, http://lewicowo.pl/category/teksty/kwestia-kobieca.
Lipińska O., *Gorsze dziecko*, www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,9986145, Olga_Lipinska_gorsze_dziecko.html?as=3.
Łódź art, www.lodz-art.eu; www.lodz-art.eu/historia.php; www.lodz-art.eu/architektura/ plac/plac.php.
Łódź Czterech Kultur, http://pl.4kultury.pl/o-festiwalu.
Machlański P., *Szlak ulicy Piotrkowskiej*, www.ulicapiotrkowska.pl/data/other/szlak_ ulicy_piotrkowskiej.pdf.
Mit Łodzi wielokulturowej, http://gunthera.wordpress.com/category/architektura/ page/3.
Nartonowicz-Kot M., *Zapomniani społecznicy*, http://topografie.pl/uart-zapomniani_ spolecznicy.html.
Obiektywnie widziane, http://boguslav.blog.onet.pl/.
Osiedle Stoki, http://forum.gazeta.pl/forum/w,443,55213833,55232602,Re_Osiedle_ Stoki.html?wv.x=1.
Pierzchała W., *Odkopano najstarszą łódzką fabrykę*, www.dzienniklodzki.pl/artykul/460498, odkopano-najstarsza-lodzka-fabryke-zdjecia,id,t.html.
Posner St., *Nad otchłanią (w sprawie handlu żywym towarem)* [1903], http://lewicowo.pl/ nad-otchlania-w-sprawie-handlu-zywym-towarem-fragment.
Próchnik A., *Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym*, http://lewicowo.pl/kobieta-w--polskim-ruchu-socjalistycznym.
Puś W., *Szkoły żydowskie w Łodzi*, „Tygiel Kultury" 2004, nr 4–6, www.tygiel-kultury.eu/4_6_2004/aktual/15ram.htm.
Rajski Ogród – Paradyż, *Ilustrowana encyklopedia historii Łodzi*, z. 4, s. 114, www.uml.lodz.pl/get.php?id=118 *lub* http://w4u.am.lodz.pl/~jkk/ld/Paradise1. html.

Rżewski A. *Wódz bojowców*, http://lewicowo.pl/wodz-bojowcow.
Saga rodu Heinzlów, *archiwum.polityka.pl/art/saga-rodu-heinzlow,364474.html*.
Semka P., *Skok stulecia*, www.rp.pl/artykul/196122.html.
Singer Israel Joshua, http://en.wikipedia.org/wiki/Israel_Joshua_Singer.
Słownik łódzko-polski, http://sepitaxy.w.interia.pl/sepia/slownik.doc.
Stowarzyszenie Przyjaciół Starego Miasta, www.staremiasto.lodz.pl.
Stowarzyszenie Topografie, http://topografie.pl.
Szabłowska M., *Obraz Żyda w literaturze (rekonesans)*, 2000, http://tnn.pl/tekst.php?idt=328 (dostęp: 21.01.2013).
Szlak ulicy Piotrkowskiej, www.ulicapiotrkowska.pl/data/other/szlak_ulicy_piotrkowskiej.pdf.
Szukiewicz W., *Obowiązki etyczne* [1907], http://lewicowo.pl/obowiazki-etyczne.
Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, www.tplodzi.eu.
Twórcy kultury i sztuki, www.art.intv.pl.
Ulica Piotrkowska w Łodzi, http://ulicapiotrkowska.blogspot.com.
Ulica Piotrkowska, www.ulicapiotrkowska.pl.
Wilmański J., *Dzieje prasy łódzkiej (z „Płatków sadzy")*, www.art.intv.pl/Wilma%C5%84ski_J./Czasopisma.
Wirtualna Łódź, http://historycznie.uni.lodz.pl/index.htm.
Yiddish literature, www.britannica.com/EBchecked/topic/653224/Yiddishliterature/234160/Writers-in-Poland-and-the-Soviet-Union.
Zabytki Łodzi, http://zabytki-lodzi.vex.pl/index.html.
Zieliński J., *Kwestia kobieca* [1893], http://lewicowo.pl/category/teksty/kwestia-kobieca.
Ziemia obiecana, http://pl.wikipedia.org/wiki/Ziemia_obiecana_%28powie%C5%9B%C4%87%29.

Indeks osób

Zestawienie nie obejmuje *Bibliografii*

A

Adamczyk-Garbowska Monika 165, 170, 179, 187, 190, 193–195, 200
Adamowski Jan 14, 50, 53, 54
Adwentowicz Karol 297
Ajnenkiel Eugeniusz 17
Aleksander I, car 98
Aleksander II, car 195, 197
Aleksander III, car 185, 197
Aldridge Ira 345
Arendt Hannah 116, 117
Arbiszewski Krzysztof 366
Arciszewski Tomasz 248, 279, 281, 282
Arkuszewscy, rodzina 14
Arnoldson Zygryda 341
August II Mocny, król 41
Awatka Andrzej 38

B

Badziak Kazimierz 227, 263
Balcarek August 346
Bałakier Alicja 316
Bandurka Mieczysław 336
Baran Bogdan 150
Baranowski Bohdan (Baran.) 29, 36, 37, 39, 40, 48, 229, 299, 342
Baranowski T., sługa miejski 49
Barcewicz Stanisław 341
Barszczewska-Krupa Alina 49
Bartkiewicz Zygmunt (Bartk.) 24, 28, 118, 120, 121, 125, 131, 132, 135, 143, 144, 156, 160–163, 208, 209, 221–227, 232, 243, 258, 263, 279, 280, 283, 293, 331, 335, 337–339, 341, 342, 357, 364, 365
Bartmiński Jerzy 163, 170, 321, 322
Bartyzel Jacek 147, 371
Bauman Zygmunt 150, 151
Baykowski Karol 62
Bąbol Feliks 369
Bączyńska Maria 259
Bednarek Stefan 16
Beer Bogumił 53
Bera Ida 258
Berlin Isaiah 148
Bethier Ludwik 53, 90
Biedroński [?], malarz 338
Bieńkowska Danuta 26, 27, 241
Bismarck Otto von 327, 328
Bittdorf Antoni 50
Błażejewski Tadeusz 9
Boczkowski Piotr 19, 31, 95, 157, 234, 324, 356
Bojanowska Maria 338
Bokszański Zbigniew 151, 321
Bomanowska Marzena 19
Bonisławski Ryszard 19
Bończa-Stępiński Leon 346
Borkowski Robert 148
Borowczyk Krzysztof 163
Boy zob. Żeleński-Boy Tadeusz
Braude Markus 352
Braun Andrzej 143, 193
Braun Edward 90
Bronowska Celina 258
Brudziński Józef 340
Budrecki Lech 165, 356
Budziarek Marek 49, 51

C

Cahan Abraham 193
Cała Alina 171
Campbell Joseph 14
Cegiełła Janusz 346
Chałubiński Mirosław 135
Chlewiński Zdzisław 321
Chmielowski Piotr 61
Chrzanowski Hilary 207
Cieński Marcin 321
Ciżniak Rozalia 259
Cybulski Marek 27, 241
Czajewski Wiktor 338
Czapczyński Tadeusz 243
Czarkowski Antoni 49–51, 90, 229
Czartoryscy, ród 83

D

Daniel III 57
Daszyński Ignacy 248, 278, 297
Data Jan 26
Dąbrowski S. 346
Dejmek Kazimierz 368, 369
Delors Jacques 17, 18, 149
Dembowski Edward 62
Denek Kazimierz 134, 135
Derra Aleksandra 366
Dierring, budowniczy obwodu łęczyckiego 90
Dinter Henryk Stanisław 361
Dłużniewski Wiktor (Dłużn., Dłużn. Paw.) 9, 16, 27, 43, 47, 48, 54, 55, 59–72, 74–78, 80, 81, 84, 93, 95, 99–111, 113, 115, 144, 160, 226, 240, 342, 356, 359, 369, 372
Dmowski Roman 148, 248, 297
Dominiak Zbigniew 38, 143
Domińczak Michał 57, 384
Döblin Alfred (Döb.) 28, 154, 211–220, 381
Dybowska Helena 259
Drucki-Lubecki Franciszek, książę 89, 98
Drzewiecki Stefan 18
Dworzaczek Alojzy 338
Dymitr Samozwaniec, car 71
Dziaczkowski Alfons 344
Dziekoński Józef Bohdan 62
Dzierżyński Feliks 141, 142, 247

E

Edison Tomasz 349
Eizertowie, rodzina 297
Elbinger Markus 90
Eliade Mircea 23, 45, 263
Elzenberg Henryk 338, 343
Enderowie, rodzina 297
Engel Antoni 54

F

Feinstein Szoszana 352
Feliński Alojzy 98
Fessler Leonard 56
Fiećko Jerzy 171
Fijałek Jan 48, 229, 299, 342
Filipek Włodzimierz 170, 171
Filleborn Seweryn 61
Fiszer Ludwik 17, 345
Fiszler Kelman 157, 332, 356
Flatt Jerzy Beniamin 81
Flatt Bogumił 80
Flatt Oskar 9, 16, 28, 34, 44, 47, 48, 54, 59, 67, 76, 77, 80–98, 102, 104, 150, 199, 216, 298, 303, 309, 310, 323, 326, 342, 359, 372
Flowers Betty Sue 14
Ford Aleksander 350
Francuzka Anna 39
Frankiewicz Wanda 16
Freilighrath Fryderyk 62
Freimund Adolf 91
Freinet Celestyn 16
Fromm Erich 116, 124, 126, 127, 130, 135
Fryderyk II, król 87
Fryze Feliks 338
Furedi Frank 25

G

Gabiś Tomasz 371
Gajda Stanisław 151
Gala Sławomir 336
Galton Francis 25
Garewicz Jan 130
Garlicka Zofia 340
Gaskel Elizabeth C. 251

Gawalewicz Marian (Gaw.) 9, 27, 240, 241, 251–256, 258, 259, 261, 262, 273, 274, 276, 282, 339, 342, 346
Gebhardt Karol 56
Gerschoffówna Maria 259
Gerward, biskup 74
Geyer Ludwik 53, 55, 83, 84, 88, 91, 94, 96
Geyerowa Helena 28, 356, 360
Geyerowie, rodzina 14, 15, 56, 108, 117, 231, 297, 351
Gicger Tadeusz 369
Glanz Eugenia Helena 221, 338
Gleń Adrian 26
Gliszczyński Artur (Glisz.) 27, 28, 31, 33, 44, 242, 251, 253, 256–258, 260, 273, 277, 299, 324, 332, 340–342, 356
Gogolewski Stanisław 20
Gojżewscy, rodzina 210
Goldfeder Maksymilian 141
Gołębiowska Barbara 327, 340, 353
Gorski Stefan 28, 34, 298, 326, 334–336, 339, 342, 345
Gostkowski Zygmunt 343
Gozdowski S., kasjer m. Łodzi 49
Górecki Wojciech 117, 205–206, 210, 297, 360, 368, 369
Grabiński Julian 341
Grabowski T. 213
Grabowski Władysław 346
Granowska z Pileckich Elżbieta 81
Grodek Jan 344
Grohmanowie, rodzina 108, 117, 297, 298, 313
Grohman Henryk 284
Grohman Jerzy 28, 142, 297, 359, 361
Grohman Leon 141
Grohman Ludwik 284, 359
Grohmann Traugott 55, 58, 83, 84, 91, 298
Grott Bogumił 147
Grubiński Henryk 339
Grynberg Henryk 212
Grynsztayn Jakubowicz Szmul 49
Grzegorczyk Arkadiusz 19
Gutorow Jacek 26
Gutsztadt Jankiel 53

H

Habermas Jürgen 371
Handelsman Bolesław 340
Heber Lewek 49
Hefflichówna Judyta 259
Heidegger Martin 150
Heiman Edward 351
Heiman Helena 351
Heimanowie, rodzina 192
Heinzel Juliusz 14, 55, 141, 230, 284, 360
Heinzlowie, rodzina 15, 360
Hentsch Julia 90
Hentschlowa Henrietta z Neumanów 54
Herbichówna, działaczka robotnicza 259
Herbst Edward 141
Herder Jan Gottfryd 62
Hertz Mieczysław 17, 339
Hirszenberg Samuel 339
Hitler Adolf 216, 363
Humnicki Antoni (Humn.) 28, 245, 252, 258, 264–266, 268
Hurko Josif 259

I

Iwan IV Groźny, car 71
Iwanow, przedsiębiorca 229
Isajiw Wsevolod 151

J

Jachozow, przedsiębiorca 229
Jagiełło Michał 211
Jakubowski Jan Zygmunt 27
Jałocho Małgorzata 116
Jałochowie, rodzina 74, 75
Jałoszanka Anna 74
Jałowiecki Bohdan 26
Jan III Sobieski, król 72
Januszewski Tadeusz 316
Jaracz Stefan 346
Jarocińscy, rodzina 352
Jarocińska Berta 352
Jarociński Zygmunt 352
Jarzyński Edmund Adam 369
Jasińska-Kania Aleksandra 163
Jasiński Wł. 333
Jaskólscy, rodzina 164
Jaskulski Mirosław 83
Jazownik Leszek 18
Jedliński Jaromir 369
Jedynak Stanisław 116

Jewison Norman 150
Johnson Mark 13, 14, 367, 370
Jokiel Irena 26
Jonscher Karol 340
Juliusz Cezar 87
Junosza-Stępowski Kazimierz 346

K

Kacenelson Icchak 352
Kaczmarek Roman 60, 61, 64, 69, 70, 74–76
Kaczmarek Marian Paweł 358
Kalemba-Kasprzak Elżbieta 247
Kalicka Felicja 230, 231
Kamińska Maria 10
Kamiński Jakub 14
Kamiński Kazimierz 338
Kania Ireneusz 14
Karłowski Jan 135
Kaufman Mieczysław 192
Karwacka Helena 16, 85, 158
Karwacki Władysław Lech 228, 229, 296
Kazimierz III Wielki, król 65
Kaznakow Mikołaj 162, 231, 285
Kempa Andrzej 15, 226
Kern Wilhelm 345
Ketschon Karol 50
Kieruzel Marcin 230
Kinderman Franciszek 230
Kleiner Juliusz 18
Klekot Ewa 150
Kłoskowska Antonina 321
Kłuszyńska Dora 271
Knychalski Witold 149
Koc Barbara 141, 165, 166, 356
Kochański Paweł 341
Kocjan Krzysztof 23, 263
Koliński Józef 340
Kofta Mirosław 163
Kołodziej Karolina 23, 24, 31, 85, 133, 143, 158, 171, 210, 238, 241, 251, 284, 335, 337
Kon Oskar 141, 360
Konicki Zdzisław 369
Kopciński Stefan 340
Kopczewski Karol 346
Kopisch Tytus 55, 57, 58, 89, 91
Korzec Paweł 274
Korzeniowski Józef 323
Kosiakiewicz Wincenty (Kosiak.) 16, 27, 113, 115, 117, 118, 120, 126, 153, 156, 158–160, 162, 207, 210, 326, 328, 329, 341, 342, 359
Kossak-Główczewski Kazimierz 16
Kossuth Stefan 343
Kościelecki Łucjan 346, 347
Kot Aleksander 81
Koterski Marek 368
Kowalczykowa Alina 191
Kowalska Aniela 47, 60, 61, 63, 65, 77, 81, 83, 99–102, 105, 109, 111, 113
Kowalska Zofia 363
Kozłowska Maria Franciszka 243
Krakowiak Janina 17
Krajewska Hanna 350
Krasiński Józef, hrabia 83
Kraszewski Józef Ignacy 99
Krauze K. 50
Kreitman Esther 193, 194
Krusche Teodor 57
Krzemiński Antoni 349
Krzemiński Władysław 349
Krzeszowski Tomasz P. 13
Krzywicki Ludwik 271
Krzyżanowski Julian 70
Książek Antoni 344
Książek Stanisław 344
Kubacius Albertus Jacobi zob. Kubowicz Wojciech
Kuba Jakub 74
Kubina Anna 74
Kubowicz Paweł 39, 69, 74, 75
Kubowicz Wojciech 74, 75
Kubowiczowie, rodzina 73–75
Kuczyński Krzysztof A. 347
Kuligowska-Korzeniewska Anna 323, 345–348
Kuligowski Piotr 265
Kułakowski Zygmunt 344
Kumer D. 50
Kunitzer Juliusz 141, 284
Kunkel L. 50
Kunkel Michał 54
Kurcz Ida 321
Kuropatwiński Piotr 124

Kutz Kazimierz 363
Kwapiński Jan 278

L

Lakoff George 13, 14, 367, 370
Lande Dawid 55, 83
Lande Samuel 91
Lange Jan Traugott 55, 90, 96
Laskowski Kazimierz (Lask.) 27, 251, 261, 282–284
Latour Bruno 366
Leonard Antoni 62, 63
Leszczyce, ród 74
Leśmian Bolesław 346
Lewandowski Edmund 97
Leyko Małgorzata 347
Lipińska Olga 363
Lippmann Walter 321
Liszewski Stanisław 48, 227, 342
Londyński Bolesław 32
Lubiński Maciej, arcybiskup 39
Lubomirski Jerzy Sebastian, hrabia 41
Lucca Pauline 341
Luksemburg Róża 247
Lumière, bracia 349
Lynch Kevin A. 11

Ł

Łaganowski Karol 344
Łaniucha, przestępca 315
Łapiński Stanisław 27, 234, 338, 342, 344
Łempicki Zygmunt 18
Łodzice, ród 74
Łopata Andrzej 16
Łoś Jan 213
Łubieński Henryk, hrabia 338, 344

M

Machlański Piotr 48, 350
Maciejewski Janusz 210
Madalińska Anna 259
Majcherek Janusz 363
Majer Andrzej 11, 361, 362
Majer Maria 258
Makaruk Katarzyna 25
Małecki Longin 64, 358
Manitius Zygmunt 59, 66
Marchlewski Julian 247
Marconi Henryk 51, 52
Marks Karol 257, 263
Marrené-Morzkowska Waleria (Mar.-Morz.) 9, 16, 27, 113, 115, 117–120, 143, 144, 153, 156–160, 162, 207, 210, 238–240, 323, 324, 326, 329, 341, 342, 359
Maryna Mniszchówna, caryca 71
Marzantowicz Ignacy 323
Maschke Günter 371
May Karol 57
Mazurkiewicz Jan 340
Mazurkiewicz Tadeusz 346
Mączyński Jan 39
Meischatz S. 50
Mertsching Jan Karol 54
Meyer Ludwik 14, 350
Michałowski Stanisław Czesław 135
Miciński Tadeusz 325, 343, 344
Mielewski Andrzej 297, 347
Mieszkowski Antoni 28, 31, 44, 242, 299, 324, 332, 340–342, 345
Mierzwiński Władysław 341
Mikołaj II, car 270
Milkear Aleksander 338
Miller Konstanty, gubernator 265
Miodek Jan 20
Misowicz J. 39
Modenstein Dawid 338
Modrzejewska Helena 346
Moes Fryderyk Karol 55, 57, 83, 84, 91
Montwiłł-Mirecki Józef 248, 278
Moraczewski Jędrzej 281
Morawińska Agnieszka 11
Morszczyńska Urszula 135
Morszczyński Wojciech 135
Mostowicz Arnold 22
Mostowski Tadeusz 89
Moyers Bill 14
Mrówczyński Piotr 23
Muznerowski Stanisław (Muzn.) 29, 37–39, 69
Müller Franciszek 90
Müller Władysław 91

N

Nalepiński Tadeusz 343
Nartonowicz-Kot Maria 354

Nawrocki Tomasz 16
Niewiarowski Aleksander 61, 62
Nowaczek Stanisław 75
Nowaczewski Artur 26
Nowaczkowie, rodzina 75

O

Oberländer Jürgen 96
Olczak-Roniker Joanna 211
Olearczyk Edward 230, 231
Oleksiakówna Wiktoria 259
Olszewski Mikołaj 51
Omelaniuk Anatol Jan 16

P

Padniewscy, ród 81
Pankiewicz Piotr 124
Paterek Włodzimierz 148
Pawelczyk Piotr 163
Pawiński Adolf 63
Pawiński Jan 63
Pawlak Wacław 367, 369
Peters H. 50
Peters Jakub 53, 83, 84, 90, 91
Petersilge Jan 275, 343
Pfeifer Florian 90
Pfeiffer Juliusz 323
Pfeiffer Włodzimierz 17
Piasecki Bolesław 218
Pierzchała Wiesław 57
Pileccy, ród 81
Pilichowski Leopold 339
Piłsudski Józef 180, 248, 277–279
Pitschmann Franciszek 90
Plebanowski, geometra 90
Podkaminer Naum 338
Podolska Joanna 19, 211
Poradecki Jerzy 9
Posner Stanisław 106, 271
Potempa Antoni 55, 91, 96
Potocki Franciszek 90, 98
Potocki Wacław 213
Poznańscy, rodzina 15, 284, 300, 351
Poznański Izrael Kalmanowicz 14, 117, 141, 143, 231, 284, 300, 301
Poznański Maurycy 284
Pronaszko Andrzej 347
Próchnik Adam 28, 258, 259, 262
Prus Bolesław (właśc. Aleksander Głowacki) 167, 238, 241, 284, 332, 336, 337
Prussak Abraham 55, 90
Przybylski Antoni 339
Przybylski Wacław 339
Puś Wiesław 49, 192, 353

Q

Quetisch Karol 90

R

Rabinowicz Dawid 352
Rachalewski Stanisław 17
Radwan Michał 52, 90
Radwański W. 338
Radziszewska Krystyna 149
Radziwiłłowie, ród 83, 279
Raettig Karol 90
Ratajska Krystyna 269, 276
Ratecka Barbara 347
Ratyński Władysław 338
Reinelt Eduard 347
Rembek Stanisław 343
Rembieliński Rajmund 89, 90, 98
Renner Alfred Erwin 154–156, 213
Rewers Ewa 26, 367
Reymont Władysław Stanisław (Reym.) 9, 16, 24, 27, 32, 33, 113–126, 128–141, 143, 144, 153, 159, 164–175, 179, 182, 187, 192, 194, 195, 207, 210, 215, 226, 232, 233, 235, 236, 240, 286, 298, 328–332, 341, 342, 356, 359, 369
Richter K. 50
Robak Łucja 64, 358
Rogowscy, rodzina 73
Rogowski Jakub 69, 73, 76, 77
Rosenblatt Szaja 141
Rosenthal Paweł 192
Rosin Ryszard 48, 229, 299, 342
Roszkowski Aleksander 335, 336
Roth Józef 154
Rowiński Władysław (Row.) 9, 14, 15, 27, 35, 114, 153, 155–157, 159–162, 210, 226, 233, 238, 240, 324–328, 331, 332, 341, 342, 355, 356, 359
Rozdrażewski Hieronim, biskup 37, 38
Rozwadowski, komisarz w rządzie gubernialnym 90

Rożkowic[z] Paweł 38
Rożkowic[z] Piotr 38
Rożkowic[z]owie, rodzina 38, 75
Rubinstein Artur 29, 268, 347
Rundzieher Jan Krystian 55, 89, 91, 96
Rybka Franciszek 343
Rynkowska Anna 48, 141, 150
Rżewski Aleksy 17, 28, 281, 282, 353

S

Saenger Karol 90
Samp Jerzy 26, 388
Samsonowicz Henryk 38
Samuś Paweł 49, 155, 164, 325
Scheibler Karol Wilhelm 51, 55–57, 83, 117, 141, 228, 284, 303, 343, 372, 378
Scheibler Peter von 360
Scheiblerowie, rodzina 14, 15, 108, 231, 297, 351, 360
Scheler Max 130
Schifferowie, rodzina 192
Schiller Fryderyk 62, 158, 218
Schiller Leon 323
Schlott Wolfgang 152
Schlösser Fryderyk 51
Schmidt Fryderyk Wilhelm 91
Schrej Rozalia 62
Seipelt Charlotta 17
Sellin Fryderyk 296, 324, 340, 341, 345, 346
Semka Piotr 279
Serkowski Stanisław 339
Siemiradzki Henryk 346
Sikorski Władysław 297
Sienkiewicz Henryk 339, 346
Silberstein Stanisław 192, 353
Singer Isaac Bashevis 193
Singer Israel Joshua (Sing.) 9, 16, 27, 28, 48, 117, 119, 120, 122–129, 131, 133–136, 139, 140, 143, 144, 153, 159, 160, 164, 175–190, 192–204, 207, 208, 217, 232, 237–239, 242, 245, 260, 264–267, 270–273, 276–279, 282, 286–295, 331, 341, 356
Singerowie, bracia 194, 200
Skerle, bracia 90
Skibińska Elżbieta 321
Skibiński Ziemowit 258
Skrudzińscy, rodzina 14, 142
Skrzydło Leszek 14, 48, 98, 142, 360
Skwarczyński Zdzisław 10, 65, 111, 276
Sławek Tadeusz 367, 368, 372, 373
Sławek Walery 248, 279
Sobieraj Tomasz 251
Sobieski Konstanty, królewicz 81
Sokołowski Pomian Kazimierz 225
Sonenberg Pinkus 49
Souter T. 145
Spodenkiewicz Paweł 28, 49, 142, 297, 359, 361
Stainhagen Maria Eliza 121
Stanisław Leszczyński, król 41
Starkman Adolf 9, 28, 332–335, 341, 342
Starkman Ludwik 335
Staszewska Zdzisława 26
Staszic Stanisław 81, 350, 354
Stebelski Adam (Steb.) 17, 28–30, 34, 35, 39–44, 85, 372
Stefan Batory 71
Stefański Krzysztof 141
Steinert Karol 56, 284
Stelmaszczyk-Świątek Barbara 258
Sterling Seweryn 340, 345
Stevenson (Stefenson), dyrektor 284
Stolarow Władimir 210
Stolarzewicz Ludwik 17, 60, 243
Stomma Ludwik 363
Straszybotka Zofia 31
Streisand Barbra 193
Strug Andrzej 27, 84, 233, 234, 236, 240, 262, 269, 270, 277, 285, 286, 342, 356, 369
Szabłowska Monika 163
Szafar Tadeusz 268, 347
Szandlerowski Antoni 343
Szczepański Marek S. 16
Szkurłat Elżbieta 11, 26
Szukiewicz Wojciech 271
Szuster Edward 274
Szyk Artur 339
Szymanowski Karol 215

Ś

Śmiałowski Józef 44
Śniady Lutek 300

T

Tangermann Karol 51, 52
Tansman Aleksander 346, 347
Tazbir Janusz 163
Teksel Józef 341, 345

Timkowskij-Kostin Iwan (Tim.-Kost.) 28, 209, 273, 274, 277, 280, 281, 283, 284, 342, 357
Torno Adam 50
Torno J. 50
Traeger Franciszek 51, 52, 90
Tuan Yi-Fu 11, 12, 30, 367, 372
Tulikowski A. 50
Tulikowski K. 50
Tuwim Julian 10, 29, 191, 274–276, 305, 307, 308, 316, 320, 343, 344
Twardowski, przezw. zob. Witkowski
Tykiel Benedykt 88, 90
Tynecki Jerzy 22, 23, 56, 59, 65, 66, 89, 111, 342
Tyszerowie, rodzina 315

U

Umińska-Tytoń Elżbieta 27, 241
Urbankiewicz Jerzy 369
Urbanowski Antoni 14, 338

V

Viebig Filip de 90
Vimard Henryk (Vim.) 28, 162, 219, 333, 334, 336, 337, 342, 357
Vorverk Henryk 90

W

Wagowski Jakub 229
Wajda Andrzej 117, 369
Walczak Marianna 259
Walkiewicz W. 59, 83
Wałęsa Lech 297
Warszawski-Warski Adolf 247
Waryński Ludwik 230
Wąsowski Ludomir 338
Wende K. 50
Wendisch Krystian Fryderyk 55–58, 84, 90, 96
Werner J., stróż 49
Wessel Teodor 81
Wesslowie, ród 81
Wierzbowski Ryszard 276
Wilkoszewska Maria 338
Wilkoszewski Bronisław 350
Wilmański Jerzy 343
Wilska-Duszyńska Barbara 321
Witkacy zob. Witkiewicz Stanisław Ignacy
Witkiewicz Stanisław Ignacy 297, 298
Witkowski (przezw. Twardowski) 94
Witkowski Bonifacy 50
Witos Wincenty 297
Władysław [Garbaty], książę łęczycki 32, 214
Władysław IV, król 71
Władysław Jagiełło, król 81
Wnuk-Lipiński Edmund 127
Wojalski Mirosław Zbigniew 44, 45, 64, 358
Wojciechowski Krzysztof 11
Wojtasiewicz Wawrzyniec 338
Wołczaski [?], malarz 338
Wołkowicz Anna 212
Wołowski Michał 339, 344
Woźniak Krzysztof Paweł 149, 334
Wróblewska-Markiewicz Małgorzata 57
Wrzosek Stanisław 28, 265, 267, 268

Z

Zajączkowicz Michał 38
Zajączek Józef, książę 89, 229
Zajączkowski Józef 350
Zajdlowa, przestępczyni 318
Zajewski Wiktor 344
Zand Andrzej 44
Zandberg Icchok 347
Zasadka Sebastian 39
Zawadzki Józef 90
Zawisza Franciszek 63
Zawisza Czarny 64, 65, 72, 73
Zbylut z Wąsosza, biskup 37
Zelwerowicz Aleksander 297, 346
Ziemilscy Olga i Andrzej 127
Zimand Roman 246, 247
Zimmermann Bogumił 50
Zinger Pinchas Mendel 193
Zmorski Roman 62
Zoner Leopold 207, 345
Zygmunt Luksemburczyk, król, cesarz 64, 65, 72
Zygmunt III Waza, król 71
Zylberman Basheva 193

Ż

Żeleński-Boy Tadeusz 297
Żeromski Stefan (Żer.) 27, 167, 243–251, 356
Żółkiewski Stefan 72

Mythos von „dem gelobten Land“ in der Regionalliteratur von Lodz Zwischen dem Vorstellungsspiel, der literarischen Fiktion und der Geschichte

(Zusammenfassung)

Die Abhandlung *Mythos von „dem gelobten Land“ in der Regionalliteratur von Lodz. Zwischen dem Vorstellungsspiel, der literarischen Fiktion und der Geschichte* ist den Vorstellungen der Lodz – Stadtbewohner über den Aufschwung und die Geschichte ihrer Geburtsstadt gewidmet. Sie als Folge des lebendigen Interesses an ihrer Vergangenheit entstanden. Die Grundlage für jeden Mythos ist Mangel an dem Wissen. Die Mythos von Lodz – Stadtbewohner sind aber kein Auswuchs der reinen Phantasie. Sie entstanden als Folge der Verbindung von verschiedenen Informationen über eine Stadt mit dem Bild der Stadt, das jeder Stadtbewohner in sich selbst trägt, sowie Erfahrungen, die aus dem Leben in dieser Stadt resultieren. Die Vorstellungen über die Vergangenheit von Lodz, die in Erwägungen zur Analyse gestellt wurden, sind in der Wirklichkeit für die Stadtbewohner lediglich die Methode ihrer Begnadigung und des (scheinbaren und lediglich auf einem gewissen Niveau möglichen) Kennenlernens ihrer Vergangenheit.

Der Gegenstand der Überlegungen wurde *der Mythos des vergessenen Landes, des gelobten Landes* in seiner verschiedenen Variationen gebildet – eines sich üppig und freizügig entwickelnden Ortes, in dem jeder sein Glück finden konnte, *der Mythos der schlechten Stadt, des Roten Lodz und der Lodz – Arbeiterstadt, der Mythos über das freudeberaubte Leben der Arbeiter, über das friedliche Leben von Polen, Deutschen und Juden, der Mythos über das Vorhandensein von vier Kulturen* – der polnischen, deutschen, jüdischen und russischen Kultur, die *die Stadt gemeinsam gebildet haben* und der Mythos von Lodz als *einer Kulturwüste*. Das Ziel der Überlegungen war die Forschung des Zusammenhanges, der zwischen der regionalen Lodzer Literatur der vergangenen Epochen und den gegenwärtigen Vorstellungen von damaligen Zeiten auftritt, das Herausbekommen des sozialen, kulturellen oder politischen Hintergrunds, der die Grundlage zur Bildung der zeitgenössischen Mythen sein

konnte, sowie ihre Bestätigung, Verifizierung, Festlegung ihrer Entstehung, die Ermittlung der tragbaren Elemente, die die Ursache ihrer Bildung sind.

Die Grundlage der Überlegungen wurden Kunstprosa, Erzählungen, die in Gedichtform geschrieben wurden, und Erinnerungen angefangen mit den ältesten Werken bis zum Jahr 1918. Bezugnehmend auf das landwirtschaftliche Lodz war erforderlich, sich an die wissenschaftlichen Forschungen zurückzuerinnern. Der Kenntnisgrad der Werke, die in Überlegungen in Anspruch genommen wurden, ist unter Lodz – Stadtbewohnern verschieden. Im Grunde genommen ist ihnen *„das gelobte Land"* von Wł. S. Reymont hauptsächlich bekannt. Nicht fremd können für sie die Werke von J. Tuwim, A. Strug i Z. Bartkiewicz sein. Die sonstigen Werke existieren im Leserbewusstsein der Gesamtbevölkerung eher nicht. Die Entstehung der Vorstellung vom landwirtschaftlichen Lodz als *eines vergessenen Landes* (eines schon während seines Vorhandenseins vergessenen Ortes oder eines Ortes, der später vergessen wurde) vollzog sich zweimal. Die Vision eines Städtchens, das sich allen Widerständen zum Trotz in eine Industriegroßstadt entwickelt hat, besitzt einen solchen Reiz, dem sogar die ernsten Forscher verfallen sind. Ohne Rücksicht darauf, was die menschliche Vorstellung geschaffen hat, war Lodz als landwirtschaftliche Stadt am Ende des 18. Jahrhundert durch die Zerstörung bedroht, sein Zusammenbruch war aber ein Teil des Schicksals der Republik und kein Ergebnis der außergewöhnlichen Umstände.

In die Geschichte von Lodz wurde der Mythos des gelobten Landes in seinen verschiedenen Variationen im fast ganzen neunzehnten Jahrhundert eingeflochten: ein das Glück genießender Weber, der im Städtchen, verschiedene Vorteile bekommt, ein üppiger und ungezwungener Aufschwung der Stadt und des Ortes, in dem jeder seine Träume über das wohlhabende Leben verwirklichen konnte. Die im 19. Jahrhundert entstandenen Werke stehen im Widerspruch gegen diese Glücksvorstellung. Lodz entwickelte sich, aber die Baumwollburg begann mit Schornsteinen und Qualm assoziiert zu werden, der die Stadt wie ein Leichentuch umgewickelte. Lodz war auch *kein gelobtes Land*, das das Glück beschenkt und bringt. Die Stadt bot der sozialen Tiefebene nur die schwere Existenz und saugte aus Menschen die lebensspendenden Kräfte aus. Die in Lodz angekommenen Weber erlitten häufiger Niederlagen als den Wohlstand. Die Mechanisierung der Industrie, die den Aufschwung der Stadt bestimmte, war für sie mit dem sozialen Abstieg gleich. Die literarischen Industriellen, die Millionen gewonnen haben, opferten das Leben und das Glück. Keiner erlebte im ganzen sein Dasein, keinem brachte der Reichtum die Zufriedenheit. Dieses Bild von Lodzer Industriellen und ihr Weg zum Reichtum stimmen mit der Wirklichkeit nicht überein. Die Grundlage jeder Fortuna in Lodz war die schwere Arbeit, aber auch das angemessene Ausgangskapital.

In Überlegungen wurde darauf Aufmerksamkeit gelenkt, dass sich im Namen der politischen Angemessenheit und des kulturellen Relativismus die Überzeugung von dem ungewöhnlich harmonischen Zusammenleben unter Polen, Deutschen und Juden sowie von dem Anteil der russischen Kultur in der Prägung des Antlitzes von Lodz unter Lodz – Stadtbewohnern verbreitet.

Diese Vision ist auch unter den Wissenschaftlern nicht fremd. Bei der Ermittlung des Problems der Koexistenz von Lodzer Nationalitätstriada im Licht der literarischen Werke schenkte man die Aufmerksamkeit auf die Vervielfältigung von nationalen Klischees durch Schriftsteller, auf die breite Fassung einer Nation und auf die unbegründete Vermeidung oder die nebensachliche Betrachtung einer anderen Nation und die Hervorhebung der Werte des eigenen Volkes. Aus literarischen Auffassungen geht hervor, dass die Deutschen sich vor den Polen und ihrer Kultur schützten, und sogar sich über sie stellten, die Polen schützten sich vor den Deutschen und im kleineren Grad von den Juden, die Juden (nicht assimiliert) waren sowohl den Polen als auch den Deutschen abgeneigt, sie pflegten hauptsächlich die Bewahrung der eigenen Identität. Die Geschichte bescheinigt diesen gemeinsamen Widerwillen. Darüber lesen wir auch in der Publizistik aus der Jahrhundertwende. Die Russen schufen Kulturantlitz von Lodz nicht. Im Gegensatz zu sonstigen Mythos wird in der Literatur das bescheinigt, was aus der Geschichte bekannt ist. In keinem der Werke finden wir Helden – die Russen und wenn schon, dann sind sie lediglich die Nebengestalten.

Die Mythos von dem Roten Lodz, von Lodz – einer Arbeiterstadt und vom freudeberaubten Leben der Arbeiter wurden anerkannt als solche, die in Vergessenheit geraten sind. Heute spricht man und schreibt man nicht viel über Arbeiter und über den Kampf um das würdige Leben. Die literarischen Revolutionäre aus der 19. und 20. Jahrhundertwende sind den Revolutionären sehr ähnlich, die der sozialistische Staat nach dem Jahr 1945 geschaffen hat. Man darf die geschaffenen Helden zum Zeitpunkt der Bildung des Kampfes um die Rechte der Arbeiter mit ihrem Äquivalent im Proletariat – Staat nicht vergleichen. Das sind Helden, die nicht eindeutig positiv sind, wir sehen die deutliche Sympathie der Schöpfer den Arbeitern und eine Reserve den Revolutionären gegenüber.

Die Mythos des Roten Lodz und der Lodz – Arbeiterstadt sind in der Wirklichkeit die durch den totalitären Staat aufgezwungene Vorstellung des Kampfes der Arbeiter um die Freiheit und die soziale Gleichheit. Laut damit war das Leben der Arbeiter so schwer, dass es dort keinen Platz auf die Freude und das Vergnügen gab. Die Literatur der Jahrhundertwende konzentriert sich auf Schwierigkeiten des Lebens dieser Gruppe und verschiedenen Ausbeutungsformen, die gegen diese Gruppe verwendet wurden, wird aber die Frage des Vergnügens völlig vermieden, das den schweren Alltag heller machte. Die Ursache vom Missglück der Arbeiter war die übermäßige Lust der Industriellen auf den Gewinn; sie klagen niemanden wegen des schweren Schicksals an, sie leben, wie sie können, und akzeptieren den immer in die Augen wehenden Wind, der dem menschlichen Leben zugeschrieben ist. Es bedeutet aber nicht, dass ihr Leben der freudigen Momente und des fröhlichen Vergnügens beraubt war.

Unter dem Einfluss der Schwierigkeiten und des Kampfes der Arbeiter gestaltete sich der Mythos von Lodz als *einer schlechten Stadt*. Er setzt sich dem Mythos *des gelobten Landes* entgegen. Beide Metapher, die von Künstlern geschaffen wurden, begannen das eigene Leben zu leben und veränderten die Bedeutung, die ihnen durch die Künstler gegeben wurden. Die schlechte Stadt nahm die ironische Aussage *des gelobten Landes* – einer Metapher, die Lodz

durch W. Dłużniewski und später durch Wł. S. Reymont verliehen wurde. Für Z. Bartkiewicz, dem Schöpfer der Metapher der schlechten Stadt, war die Stadt als sich selbst schlecht, und nicht Lodz selbst.

Der Mythos von Lodz als einer kulturellen Wüste ist charakteristisch nicht nur für die Burg der Baumwolle. Wir haben hier mit einem typischen Klischee zu tun. Das heutige Bild des Ortes, das auf diese Weise gefasst wurde, ist völlig subjektiv. Eine solche subjektive Vision stellten die Publizisten der 19. und 20. Jahrhundertwende dar, und zwar die Warschauer Journalisten. Lodz war nie *eine kulturelle Wüste* und besaß auch das geistliche und künstlerische Leben, das für den Ort und für seinen Status auf einer bestimmten Entwicklungsstufe charakteristisch war. Diese Probleme wurden durch die Literatur nicht angesprochen, selten wurden die Menschen dargestellt, die unvorbereitet waren, den Inhalt anzunehmen, der für die ausgebildeten Menschen vorgesehen war, zusätzlich herabsetzend die junge Bourgeoisie von Lodz hinsichtlich ihrer Kultur und der Gewandtheit.

In der Zusammenfassung der Überlegungen kann man feststellen, dass die Berufung auf die Geschichte *des nächsten Ortes* den Willen einer breiteren Fassung der angesprochenen Probleme mit sich bringt. Sowohl die örtliche Literatur von Lodz, als auch die Gesichte der Stadt zwang dazu auf, sich mit der letztens betonten Frage der polnischen Xenophobie zu befassen. Die Ermittlung dieser Frage führt zum Fazit, dass wir als das Volk nicht feindlich den fremden Nationen sind, obwohl wir die antideutschen Akzente und anti- jüdischen Aspekte in der geforschten Literatur in der Literatur finden. Die Entstehung von den neusten Mythos – die das Leben und den Kampf der Arbeiter und das Vorhandensein und der Anteil von verschiedenen Nationen und Kulturen zur Schaffung des Antlitzes der Stadt bildete dann den Bedarf nach dem Vergleich der beiden Kräfte, die sie ins Leben berufen haben: die Indoktrinierungsmaßnahmen des totalitären Staates und die Auswirkung der kulturellen Ströme des demokratischen Staates. Diese Zusammenstellung weckt das unangenehme Bewusstsein des Vorhandenseins der Analogie zwischen beiden Maßnahmen, die nach der Richtung streben, eine konkrete Vision der Welt darzustellen. Beide führen zu Verleumdungen und haben die Verwirrung zur Folge. Die Vertiefung in die Geschichte des nächsten Ortes ist also nicht nur die Erkennung seiner Vergangenheit, sondern auch die Vertiefung in die Geschichte des eigenen Volkes.

Die Literatur von Lodz von der 19. Und 20. Jahrhundertwende hatte eher einen geringen Einfluss auf die Gestaltung der zeitgenössischen Visionen der Stadtgeschichte. Sie gestalteten sich spontan, als das Ergebnis des darin nicht nachdenklichen Lebens. Den Mythos unterliegt auch der älteste Teil der Geschichte von Lodz, und zwar die zweite Hälfte des 19. Jahrhunderts, es gibt keine Vorstellungen über die Stadt aus der Zwischenkriegszeit bis heute. Dieser Zeitraum von Lodz, wichtig im Hinblick auf den geschichtlichen Verlauf erweckt kein größeres Interesse – der Erkenntniswillen konzentriert sich hauptsächlich auf die Zeiten seines raschen Aufschwungs.

Od Redakcji

Jolanta Fiszbak jest od 1987 r. pracownikiem Zakładu Dydaktyki Języka i Literatury Polskiej. Doktoryzowała się u prof. dr. hab. Sławomira Gali w roku 1995 pracą na temat *Procesy ustalania się nazwisk oraz ich derywatów (na przykładzie parafii Mąkolice)*. Główną sferę jej zainteresowań stanowi szkolna dydaktyka polonistyczna. Opublikowała wiele artykułów z zakresu kształcenia językowego, literackiego i kulturowego. Jest współautorką oraz redaktorem publikacji *Łódź i okolice. Konspekty i scenariusze lekcji edukacji regionalnej*. Napisała także cykl podręczników do zintegrowanego nauczania języka polskiego, historii i geografii dla szkół polonijnych *Trylogia polonijna* oraz *Z bliska i z daleka*.